

DOUGLAS PRESTON  
LINCOLN CHILD

# SIARKA



# Douglas Preston

# Lincoln Child

**SIARKA**

(Brimstone)

Przełożyła: Hanna Szajowska

Cykl: Pendergast tom 5

**G+J**

2004

*Douglas Preston dedykuje tę książkę  
Barry'emu i Jody Turkusom*

*Lincoln Child dedykuje tę książkę  
swojej córce Veronice*

# Spis treści

- Karta tytułowa
- Dedykacja
  - -1-
  - -2-
  - -3-
  - -4-
  - -5-
  - -6-
  - -7-
  - -8-
  - -9-
  - -10-
  - -11-
  - -12-
  - -13-
  - -14-
  - -15-
  - -16-
  - -17-
  - -18-
  - -19-
  - -20-
  - -21-
  - -22-
  - -23-
  - -24-
  - -25-
  - -26-
  - -27-
  - -28-
  - -29-
  - -30-
  - -31-
  - -32-
  - -33-

- -34-
- -35-
- -36-
- -37-
- -38-
- -39-
- -40-
- -41-
- -42-
- -43-
- -44-
- -45-
- -46-
- -47-
- -48-
- -49-
- -50-
- -51-
- -52-
- -53-
- -54-
- -55-
- -56-
- -57-
- -58-
- -59-
- -60-
- -61-
- -62-
- -63-
- -64-
- -65-
- -66-
- -67-
- -68-
- -69-
- -70-
- -71-
- -72-

- -73-
- -74-
- -75-
- -76-
- -77-
- -78-
- -79-
- -80-
- -81-
- -82-
- -83-
- -84-
- -85-
- -86-
- -87-
- -88-
- - Epilog -
- Od autorów



Agnes Torres zaparkowała swojego białego forda escorta na małym parkingu przed żywopłotem i wysiadła prosto w chłód poranka. Żywopłot wznosił się na wysokość dwunastu stóp, równie nieprzenikniony jak ściana z cegieł; od ulicy widoczny był tylko pokryty gontem wierzchołek dachu wielkiego domu. Słyszała jednak huk przetaczającej się fali i czuła słone powietrze znad niewidocznego stąd oceanu.

Agnes starannie zamknęła samochód - ostrożność popłaca nawet w tej okolicy - i gmerając w potężnym pęku kluczy, znalazła właściwy i wepchnęła go do zamka. Ciężka brama obita blachą otworzyła się do wewnątrz, odsłaniając rozległą przestrzeń zielonego trawnika, który ciągnął się trzysta jardów w dół, aż do plaży po obu stronach osłoniętej wydmami. Czerwone światełko na konsoli w samym środku bramy zaczęło mrugać; Agnes niespokojnymi palcami wprowadziła kod. Miała trzydzieści sekund do włączenia się syren. Któregoś razu, kiedy upuściła klucze i nie zdążyła wstukać kodu na czas, alarm zbudził niemal całe miasto i sprowadził na miejsce trzy policyjne wozy. Pan Jeremy był tak zły, że aż się bała, by nie zaczął ziać ogniem. Coś okropnego.

Agnes wcisnęła ostatni przycisk i światełko zmieniło się na zielone. Odetchnęła z ulgą, zamknęła bramę i zatrzymała się, żeby się przeżegnać. Potem wyciągnęła różaniec, z czcią ujmując w palce

pierwszy paciorek. Teraz, w pełni uzbrojona, odwróciła się i kołysząc się na krótkich grubych nogach, zaczęła powoli przemierzać trawnik, dając sobie czas na miarowe wyszeptanie po hiszpańsku *Ojcie nasz, Zdrowaś Mario i Chwała Ojcu*. Wchodząc do Grove Estate, zawsze odmawiała dziesiątkę różańca.

Przepastny szary dom wyłonił się przed nią, pojedyncze okno w szczycie dachu mrugało jak oko Cyklopa, żółte na tle stalowej szarości domu i nieba. W górze krążyły krzyczące nieustannie mewy.

Agnes była zaskoczona. Nie pamiętała, żeby to światło było kiedykolwiek zapalone. Co pan Jeremy robił o siódmej rano na poddaszu? Zazwyczaj nie wstawał z łóżka przed dwunastą.

Skończywszy modlitwy, schowała różaniec i ponownie się przeżegnała; pospieszny, automatyczny gest wykonany ręką stwardniałą od dziesiątek lat prac domowych. Miała nadzieję, że pan Jeremy jeszcze się nie obudził. Lubiała pracować w pustym domu, bo kiedy pan wstawał, wszystko robiło się takie nieprzyjemne: popiół z papierosów, który rozsiewał tuż za jej mopem, talerze, które gromadził w zlewie, gdy tylko skończyła zmywanie, komentarze i niekończące się przekleństwa pod nosem, przez telefon albo nad gazetami, zawsze kwitowane chrapliwym śmiechem. Miał głos jak zardzewiały nóż - zjadliwie ciął powietrze. Był chudy, niemiły, cuchnął papierosami, a po lunchu ciemną brandy i gościł sodomitów o wszystkich porach dnia i nocy. Raz próbował porozmawiać z nią po hiszpańsku, ale szybko to ucięła. Nikt poza rodziną i przyjaciółmi nie będzie rozmawiał z nią po hiszpańsku; Agnes Torres mówiła po angielsku wystarczająco dobrze.

Z drugiej strony pan Jeremy, a Agnes pracowała w życiu dla wielu



ludzi, był bardzo w porządku, jeśli idzie o jej zatrudnienie. Dobrze płacił, zawsze na czas, nigdy nie prosił, żeby zostawała do późna, nigdy nie zmieniał planu jej pracy i nigdy nie oskarżył jej o kradzież. Raz jeden, dawno temu, bluźnił w jej obecności Panu, ale z nim o tym porozmawiała. Całkiem grzecznie przeprosił i nigdy więcej tego nie zrobił.

Ścieżką wybrukowaną otoczkami przeszła do tylnych drzwi, włożyła do zamka kolejny klucz i znów nerwowo postukała w konsolę, wyłączając alarm wewnętrzny.

Dom był ponury i szary, wielodzielne okna od frontu wychodziły na długą, pokrytą wodorostami plażę i wściekły ocean. Odgłosy fal dobiegały tu stłumione. W domu było gorąco. Wyjątkowo gorąco.

Pociągnęła nosem. W powietrzu unosił się dziwny zapach, jakby tłustej pieczeni zbyt długo pozostawionej w piekarniku. Kolebiąc się na boki, weszła do kuchni, ale tu było pusto. Stosy talerzy, jak zwykle bałagan, wszędzie zeschnięte jedzenie, a jednak zapach nie pochodził stąd. Wyglądało na to, że pan Jeremy przyrządził wczoraj wieczorem rybę. Zwykle nie sprzątała we wtorki, ale poprzedniego wieczoru pan urządził jedno ze swoich niezliczonych przyjęć. Wrześniowe święto pracy przyszło i przeszło już miesiąc temu, lecz weekendowe przyjęcia pana Jeremy'ego nie skończą się aż do listopada.

Weszła do salonu i ponownie pociągnęła nosem. Zdecydowanie coś się gdzieś przypiekało. A do tego jeszcze ten zapach, jakby ktoś bawił się zapalkami.

Agnes Torres doświadczyła przelotnego uczucia niepokoju. Wszystko wyglądało mniej więcej tak samo jak wczoraj, kiedy

wychodziła o drugiej po południu, tyle że teraz z popielniczek wysypywały się niedopałki, na kredensie jak zwykle stały puste butelki po winie, w zlewie piętrzyły się talerze i ktoś upuścił, a potem rozdeptał na dywanie miękki ser.

Uniosła pulchną twarz i znów pociągnęła nosem. Zapach dochodził z góry.

Wspięła się na idące łukiem w górę schody, cicho stawiając stopy, i zatrzymała się na podeście, żeby powąchać. Na palcach minęła gabinet Grove'a, drzwi jego sypialni, poszła dalej korytarzem, skręciła przy końcu balustrady i podeszła do drzwi na drugie piętro. Zapach był tu silniejszy, a powietrze cięższe, cieplejsze. Spróbowała otworzyć drzwi, ale okazało się, że są zamknięte.

Wyjęła swój pęk kluczy, przerzuciła je z brzękiem i odemknęła drzwi. *Madre de Dios* - zapach był znacznie gorszy. Weszła po stromych, niemalowanych stopniach, jeden, dwa, trzy, po każdym kroku dając chwilę odpocząć zartretyzowanym nogom. Na szczycie ponownie odpoczęła, ciężko oddychając.

Poddasze, ogromne, składało się z jednego długiego korytarza, od którego odchodziło kilka nieużywanych dziecięcych sypialni, pokój do zabawy, kilka łazienek, i z niewykończonych przestrzeni zapchanej meblami, pudłami i okropnymi nowoczesnymi malunkami.

W dalekim końcu korytarza zobaczyła prostokąt żółtego światła pod drzwiami ostatniej sypialni.

Zrobiła kilka niepewnych kroków naprzód, zawahała się i jeszcze raz przeżegnała. Serce jej waliło, ale wiedziała, że ściskając w dłoni różaniec, jest bezpieczna. W miarę jak zbliżała się do drzwi, zapach robił się coraz gorszy.

Delikatnie zapukała, tak na wypadek, gdyby spał tam jakiś gość pana Jeremy'ego, skacowany albo chory. Nie było odpowiedzi. Chwyciła za gałkę i z zaskoczeniem poczuła, że jest lekko ciepła. Pożar? Czy ktoś zasnął z papierosem w ręce? Na pewno czuła słabą woń dymu, chociaż to nie był tylko dym - coś pachniało mocniej. Coś zgniłego.

Spróbowała poruszyć gałką i przekonała się, że drzwi były zamknięte. Przypomniały się jej czasy, kiedy jako dziewczynka chodziła do klasztornej szkoły i zmarła wtedy zwariowana stara siostra Ana i trzeba było wyważyć drzwi jej pokoju.

Ktoś po tamtej stronie mógł potrzebować jej pomocy; może chory albo unieruchomiony. Jeszcze raz przerzuciła klucze. Nie miała pojęcia, który pasował, więc znalazła taki, który się obrócił przy jakiejś dziesiątej próbie. Wstrzymując oddech, otworzyła drzwi, ale poruszyły się najwyżej o cal, zanim stanęły przez coś zablokowane. Pchnęła, pchnęła mocniej, usłyszała huk po drugiej stronie.

*Santa Maria*, to obudzi pana Jeremy'ego. Czekala, ale nie doczekała się odgłosu jego kroków, żadnych trzaskających drzwi do łazienki ani spuszczenia wody, żadnego z dźwięków, które sygnalizowały, że wstał rozzłoszczony.

Popchnęła drzwi i zdołała wsadzić do środka głowę, wstrzymując oddech z powodu zapachu. W pokoju unosiła się leciutka mgiełka i było gorąco jak w piecu. Stał zamknięty przez całe lata - pan Jeremy nie znosił dzieci - ze ścian obitych obłazącą boazerią zwisały brudne pajęczyny. Huk wywołała przewracająca się stara szafa, która została dopchnięta do drzwi. Właściwie chyba wszystkie meble zostały spiętrzone pod drzwiami, oprócz łóżka. Łóżko, jak zdołała zobaczyć,

stało w odległym końcu pokoju. Pan Jeremy leżał na nim kompletnie ubrany.

- Proszę pana?

Ale Agnes Torres wiedziała, że nie będzie odpowiedzi. Pan Jeremy nie spał, nie z wypalonymi oczami, które na zawsze zostały otwarte, spopielałym stożkiem ust zamartwych w krzyku i poczerńniętym językiem - nabrzmiętym do wielkości kiełbaski chorizo - sterczącym prosto w górę jak maszt. Śpiący człowiek nie leżałby z łokciami uniesionymi nad łóżkiem, pięściami zaciśniętymi tak mocno, że między palcami przesączała się krew. Śpiący człowiek nie miałby piersi spalonej i zapadniętej do środka jak wypalona kłoda drewna. W dzieciństwie, w Kolumbii, widziała wielu martwych ludzi, a pan Jeremy wydawał się bardziej nieżywy niż każdy z nich. Był martwy jak głaz.

Usłyszała, że ktoś coś mówi, i zdała sobie sprawę, że to ona sama mruczy *En el nombre del Padre, y del Hijo, y del Espiritu Santo...* Jeszcze raz się przeżegnała, przebierając w paciorkach różańca, niezdolna poruszyć nogami ani oderwać wzroku od sceny w pokoju. Na podłodze wypalony był znak, dokładnie u stóp łóżka: znak, który Agnes rozpoznała.

W tym momencie jasno zrozumiała, co się przydarzyło panu Jeremy'emu Grove'owi.

Z gardła wyrwał się jej zduszony krzyk i nagle odnalazła energię, żeby wycofać się z pokoju i zatrzasnąć drzwi. Poszukała wśród kluczy i przekręciła zamek, cały czas mamrocząc *Creo en Dios, Padre todopoderoso, creador del cielo y de la tierra*. Przeżegnała się ponownie i jeszcze raz, i jeszcze, zaciskając w dłoni różaniec i przyciskając go

do piersi. Gdy cofała się korytarzem, krok za krokiem, jej szloch mieszał się z mamrotanymi modlitwami.

Wypalony na podłodze ślad kopyta powiedział jej wszystko, co potrzebowała wiedzieć. Po Jeremy'ego Grove'a w końcu przyszedł diabeł.





Sierżant przerwał rozciąganie żółtej policyjnej taśmy, żeby objąć scenę pełnym złości spojrzeniem. Zamieszanie, które zaraz miało stać się pieprzonym zamieszaniem. Blokady zostały ustawione za późno i gapie sforsowali plażę oraz wydmy, kompletnie niszcząc wszelkie ślady, jakie mogły zachować się na piasku. W dodatku blokady zostały ustawione w niewłaściwych miejscach i trzeba je było przesuwać, odcinając parę bliźniaczych range roverów, przy których stali teraz właściciele, on i ona, wykrzykiwali o ważnych spotkaniach (fryzjerka, tenis) i wymachiwali telefonami komórkowymi, grożąc wezwaniem swoich prawników.

Plaśnięcie, które usłyszał za plecami, oznaczało, że gównno zdążyło już trafić w wentylator. W Southampton na Long Island był szesnasty października, a najbardziej niesławny mieszkaniec miasta został właśnie znaleziony zamordowany we własnym łóżku.

Usłyszał głos porucznika Braskiego. - Ominęliście te żywopłoty, sierżancie! Chyba powiedziałem, że chcę mieć ogrodzone całe miejsce zbrodni?

Nie zwracając sobie głowy udzielaniem odpowiedzi, sierżant zaczął wieszać żółtą taśmę wzdłuż żywopłotu, który otaczał posiadłość Grove'a. Jakby żółta taśma mogła powstrzymać reporterów skuteczniej niż wysoki na dwanaście stóp żywopłot z ukrytymi wewnątrz zwojami drutu kolczastego. Sierżant widział, że

pojawiają się już wozy telewizyjne, vany z satelitarnymi łączami, i słyszał też odległe, monotonne dudnienie helikoptera. Lokalna prasa gromadziła się przy blokadzie na Dune Road, kłócąc się z gliniarzami. Jednocześnie z Sag Harbor i East Hampton zjeżdżały się radiowozy stanowiące wsparcie, a z South Fork brygada do spraw zabójstw. Porucznik rozstawiał nowo przybyłych na pozycjach wzdłuż plaży i wydm w daremnym wysiłku utrzymania wszystkich w ryzach. Pojawili się chłopcy z wydziału specjalnego i sierżant przyglądał się, jak wchodzi do domu, taszcząc swoje metalowe walizki z zestawami laboratoryjnymi. Kiedyś wszedłby tam z nimi, nawet dowodził - ale dawno temu, w innym miejscu.

Wrócił do wieszania taśmy na żywopłotach i wreszcie dotarł do wydm ciągnących się wzdłuż plaży. Było tam już kilku gliniarzy powstrzymujących ciekawskich. Ci stanowili tłum dość potulny, jak nieme zwierzęta gapili się w kierunku krytej gontem rezydencji z ostrymi szczytami, wieżyczkami i oknami o zabawnym wyglądzie. Ale powoli zaczynało się to zmieniać w imprezę. Ktoś włączył sprzęt grający, a jacyś napakowani faceci otwierali puszki z piwem. Babie lato było tego roku niezwykle ciepłe i wszyscy mieli na sobie szorty albo kąpielówki, jakby chcieli zaprzeczyć, że to koniec sezonu. Sierżant ze złośliwym uśmiechem wyobraził sobie, jak będą wyglądały te zgrabne ciała po dwudziestu latach piwa i frytek. Pewnie tak jak on.

Ponownie zerknął w stronę domu i zobaczył chłopaków z wydziału specjalnego pełzających po trawniku na czworakach. Porucznik szedł obok wielkimi krokami. Facet nie miał pojęcia, czego się chwycić. Sierżant poczuł kolejne bolesne ukłucie. On kontroluje



tłum, marnując umiejętności i talent, a prawdziwa policyjna robota odbywa się gdzie indziej.

Nie ma sensu teraz o tym myśleć.

Telewizyjne ciężarówki już się rozpakowały i kamery zostały ustawione w grupie, z dobrym widokiem na dom, a wymuskani korespondenci trajkotali do mikrofonów. Porucznik Braskie, jasna sprawa, porzucił chłopaków ze specjalnego i podążył w stronę kamer jak mucha do świeżego gówna.

Sierżant pokręcił głową. Aż trudno uwierzyć.

Zobaczył człowieka, który nisko pochylony, zygzakiem biegł przez wydmy, i ruszył za nim, odcinając mu drogę przy skraju trawnika. Fotograf. Zanim sierżant do niego dotarł, zdążył już przykłęknąć i robił zdjęcie za zdjęciem, kierując długi jak fiut słonia teleobiektyw w stronę jednego z detektywów z wydziału zabójstw z East Hampton, który na werandzie przesłuchiwał służącą.

Sierżant zakrył obiektyw ręką, delikatnie odsuwając go na bok.

- Wynocha.

- Panie władzo, proszę...

- Nie chcesz, żebym ci skonfiskował film, prawda? - odezwał się uprzejmie. Zawsze miał słabość do ludzi, którzy starali się po prostu wykonywać swoją pracę, nawet jeśli należeli do prasy.

Facet wstał, odszedł kilka kroków, odwrócił się, żeby zrobić ostatnie szybkie zdjęcie, a potem oddalił się niedbałym krokiem. Sierżant zawrócił w kierunku domu. Szedł w stronę tego starego, pełnego zakamarków budynku od nawietrznej, ale i tak czuł w powietrzu dziwny zapach, fajerwerki czy coś. Zauważył, że porucznik stał teraz w pół-okręgu telewizyjnych kamer, przeżywając najlepsze

chwile życia. Braskie planował startować w następnych wyborach na stanowisko szefa policji i - skoro obecny komendant był na wakacjach - nie mógł trafić na lepszy moment, nawet gdyby sam popełnił to morderstwo.

Sierżant zrobił rundkę wokół trawnika i skrócił sobie drogę za stawkiem z kaczkami i fontanną, nie wchodząc w paradę zespołowi do zadań specjalnych. Gdy minął żywopłot, zobaczył w oddali stojącego przy stawie człowieka, który rzucał kaczkom kawałki chleba. Był ubrany w najbardziej krzykliwy strój wycieczkowy, jaki tylko można sobie wyobrazić, łącznie z hawajską koszulą, ciemnymi okularami Oakley Eye Jacket i gigantycznymi, workowatymi szortami. Mimo że lato skończyło się dobry miesiąc temu, facet wyglądał, jakby to był jego pierwszy dzień na słońcu po długiej, mroźnej zimie. Może nawet po paru zimach. Podczas gdy sierżant miał nieco zrozumienia dla fotografa czy reportera usiłującego wykonywać swoją pracę, nie przejawiał śladu tolerancji dla turystów. Stanowili zakałę świata.

- Hej, ty.

Mężczyzna podniósł wzrok.

- Co ty sobie wyobrażasz? Nie wiesz, że to miejsce zbrodni?

- Tak, panie oficerze, i bardzo przepraszam...

- Wynocha stąd w cholerę.

- Ale sierżancie, to ważne, żeby kaczki zostały nakarmione. Są głodne. Wyobrażam sobie, że ktoś karmił je co rano, ale tego ranka, jak pan wie... - uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

Sierżant ledwie mógł uwierzyć własnym uszom. Ktoś morduje człowieka, a ten idiota martwi się o kaczki?

- Proszę mi pokazać jakiś dowód tożsamości.

- Oczywiście, oczywiście. - Mężczyzna pogrzebał w jednej kieszeni, potem w drugiej, wreszcie z zakłopotaniem spojrzął na rozmówcę. - Przykro mi, panie oficerze. Wciągnąłem te szorty, kiedy tylko usłyszałem te okropne wieści, i najwyraźniej portfel wciąż tkwi w kieszeni marynarki, którą miałem wczoraj wieczorem. - Jego nowojorski akcent działał sierżantowi na nerwy.

Sierżant przyjrzał się facetowi. Normalnie tylko przepędziłby gapia za blokadę, ale w tym gościu coś nie grało. Po pierwsze, ubranie, które miał na sobie, było tak nowe, że wciąż pachniało sklepem z męską odzieżą. Po drugie, stanowiło tak paskudną mieszankę kolorów i wzorów, że sprawiało wrażenie chwyconego na chybił trafił z wieszaka w wiejskim butik. To było coś więcej niż zły gust - to było przebranie.

- Będę już leciał...

- Nie. - Sierżant wyjął notatnik, przerzucił plik stron, polizał ołówek. - Mieszka pan w pobliżu?

- Wynająłem dom w Amagansett na tydzień.

- Adres?

- Brickman House, Windmill Lane. Kolejny bogaty dupek. - A stały adres?

- To będzie Dakota House, Central Park West.

Sierżant się zawahał. „A to zbieg okoliczności”. Głośno zapytał: - Nazwisko?

- Proszę posłuchać, sierżancie, naprawdę, jeżeli to problem, po prostu sobie pójdę...

- Pana imię? - zapytał ostrzej.

- Czy to naprawdę konieczne? Trudno je zapisać i jeszcze trudniej wymówić. Często się zastanawiam, co sobie myślała moja matka.

Sierżant rzucił spojrzenie, które błyskawicznie zamknęło facetowi usta. Jeszcze jeden żarcik i ten dupek znajdzie się w kajdankach.

- Spróbujmy jeszcze raz. Imię?

- Aloysius.

- Proszę przeliterować. Mężczyzna przeliterował.

- Nazwisko?

- Pendergast.

Ołówek w ręku sierżanta poruszył się, zaczął zapisywać. Nagle zamarł. Powoli podniósł głowę. Tamtem zdjął okulary i sierżant zorientował się, że patrzy w tak dobrze znaną twarz o delikatnie rzeźbionych rysach i bladej skórze, przejrzystej jak marmur z Carrary, otoczoną szaroblond włosami, z szarymi oczyma.

- Pendergast?

- We własnej osobie, mój drogi Vincencie. - Nowojorski akcent zniknął zastąpiony starannie pielęgnowanym południowym przeciąganiem głosek, które tak żywo pamiętał.

- Co tu robisz?

- Mógłbym zapytać cię o to samo.

Vincent D'Agosta poczuł, że się rumieni. Kiedy ostatnio widział Pendergasta, był dumnym porucznikiem nowojorskiej policji. A teraz tkwił w Srałhampton jako nędzny sierżant ozdabiający żywoploty policyjną taśmą.

- Byłem w Amagansett, kiedy dotarły do mnie wieści o tym, że Jeremy'ego Grovea spotkał przedwczesny koniec. Jak mógłbym się oprzeć? Wybacz mi strój, ale musiałem dotrzeć tu jak najszybciej.

- Zajmiesz się tą sprawą?

- Dopóki nie zostanę do niej oficjalnie przydzielony, nie mogę zrobić niczego poza karmieniem kaczek. Nad ostatnią sprawą pracowałem bez pełnego upoważnienia i to, przynajmniej, doprowadziło do pewnych napięć na wysokim szczeblu. Muszę powiedzieć, Vincencie, że natknięcie się tu na ciebie jest niezwykle przyjemną niespodzianką.

- Dla mnie też - stwierdził D'Agosta, znów czerwieniejąc. - Przepraszam, naprawdę moja pozycja tu nie jest...

Pendergast położył mu rękę na ramieniu. - Później będziemy mieli mnóstwo czasu na rozmowy. A teraz widzę zmierzającego tu osobnika potężnych rozmiarów, który wygląda, jakby cierpiał na obstrukcję.

Zza pleców sierżanta rozległ się niski, przepęnlony groźbą głos.

- Z przykrością przerywam panom tę pogawędkę. - D'Agosta odwrócił się, żeby zobaczyć porucznika Braskiego.

Braskie stanął, przyjrzał się Pendergastowi, a potem wrócił spojrzeniem do D'Agosty - Być może się mylę, sierzancie, ale czy ten człowiek nie wkroczył bez pozwolenia na miejsce zbrodni?

- Cóż, ee, panie poruczniku, my... - D'Agosta zerknął na Pendergasta.

- Ten człowiek nie jest pańskim przyjacielem, no nie?

- Prawdę mówiąc...

- Sierżant właśnie kazał mi się oddalić - gładko włączył się Pendergast.

- Och, doprawdy? Proszę wybaczyć mi śmiałość, czy mogę zapytać, co w ogóle pan tu robił?

- Karmiłem kaczki.

- Karmił pan kaczki. - D'Agosta zauważył, że twarz Braskiego nabiega purpurą. Marzył, by Pendergast się pospieszył i pokazał odznakę.

- No tak - ciągnął Braskie - jak to pięknie z pańskiej strony. Obejrzyjmy pańskie dokumenty.

D'Agosta czekał ze złośliwą satysfakcją. To będzie niezłe.

- Jak właśnie wyjaśniałem temu tu funkcjonariuszowi, zostawiłem portfel w domu...

Braskie odwrócił się do sierżanta, zobaczył w jego dłoni notes.

- Macie dane tego człowieka?

- Tak. - D'Agosta spojrzał na Pendergasta niemal prosząco, ale twarz agenta FBI przypominała maskę.

- Czy zapytaliście go, jak ominął policyjny kordon?

- Nie...

- Nie uważacie, że być może powinniście o to zapytać?

- Przeszedłem przez boczną bramę przy Little Dune Road - powiedział Pendergast.

- Niemożliwe. Jest zamknięta. Sprawdziłem to osobiście.

- Być może zamek jest uszkodzony. Ja w każdym razie wszedłem.

Braskie zwrócił się do D'Agosty - Nareszcie możecie się na coś przydać. Idźcie załatać tę dziurę, sierżancie. I proszę się u mnie zameldować punkt jedenasta. Musimy porozmawiać. A co do pana, odprowadzę pana poza teren nieruchomości.

- Dziękuję, poruczniku.

D'Agosta z konsternacją śledził porucznika Braskiego oddalającego się z Pendergastem, idącym powoli obok, z rękoma w kieszeniach

workowatych szortów i głową odchyłoną do tyłu, jakby rozkoszował się świeżym powietrzem.





Porucznik L.P Braskie junior z departamentu policji w Southampton stał przed ozdobną kratą obrośniętej winoroślą altany, obserwując zespół wydziału do zadań specjalnych przeczesujący nieskończony areał trawnika w poszukiwaniu śladów. Gdy myślał o komendancie MacCreadym grającym w golfa w górach Szkocji, jego twarz osłonięta była nieprzeniknioną maską profesjonalizmu. Wyobrażał sobie pola golfowe w St. Andrews jesienią: wąskie pasy zakręcającej darni, ponury zamek, jałowe wrzosowiska za nim. Zaczeka do jutra z telefonem do szefa, żeby zawiadomić go, co się dzieje. MacCready był komendantem od dwudziestu lat i ten wyjazd na golfa stanowił kolejny dowód, że Southampton potrzebowało świeżej krwi. Braskie był miejscowym chłopakiem, tu zasiedziały, mającym przyjaciół w ratuszu. Udało mu się nawiązać także istotne koneksje wśród letników. Przysługa tu i przysługa tam działy cuda. Miał punkty zaczepienia w obu światach. Rozegrał karty jak należy.

A teraz to. Za tydzień albo dwa zapudłują sprawcę, a kiedy przyjdzie listopad i wybory, będzie pewnym zwycięzcą. Może zadzwoni do MacCready'ego pojutrze: „Rany, szefie, naprawdę się wahałem, czy przerywać panu te solidnie zasłużone wakacje.

Braskie z długiego doświadczenia w wydziale zabójstw w South Fork wiedział, że w sprawie o morderstwo pierwsze dwadzieścia

cztery godziny śledztwa miały często kluczowe znaczenie. Fakt faktem, jeśli od razu nie wpadło się na ślad i nie poszło za nim, równie dobrze można było zawiesić kapelusz na kołku. Znalezienie miejsc wtargnięcia i ucieczki oraz wszystkiego, co istotne dla śledztwa - dowodów dla sądu, narzędzia zbrodni, świadków, motywu - tworzyło łańcuch, który prowadził do sprawcy. Zadanie Braskiego nie polegało na tym, żeby szukać samemu, ale przypilnować, by inni zrobili, co do nich należy. Chodziło mu po głowie, że słabe ogniwo tego łańcucha stanowi sierżant Vincent D'Agosta. Nie zrobił tego, co mu kazano. Musiał być mądrzejszy. Rzecz w tym, że D'Agosta sam był kiedyś porucznikiem w nowojorskim wydziale zabójstw, i to dobrym. Zrezygnował, żeby pisać powieści kryminalne, przeprowadził się do Kanady, spłukał do zera i musiał wrócić ze spuszczonego ogonem wepchniętym mocno między pośladki. Nie udało mu się znaleźć pracy w mieście i skończył tutaj. Gdyby to Braskie był komendantem, w życiu by kogoś takiego nie zatrudnił - facet może i znał się na rzeczy, ale gwarantował kłopoty. Nie umiał działać w zespole. Z daleka było widać, że nic mu się nie podoba.

Braskie spojrział na zegarek. Jedenasta, o wilku mowa. Obserwował, jak D'Agosta zbliża się do altany - niezły typ: czarne włosy spadające na kołnierzyk, rosnący bebech, nastawienie do życia wyczuwalne z daleka jak zastarzały pot. Tu, w Southampton, był potrzebny jak wrzód na dupie. Nic dziwnego, że żona z ich jedynym dzieckiem zdecydowała się zostać w Kanadzie.

- Sir - odezwał się D'Agosta, nawet tym jednym słowem umiając okazać odrobinę arogancji.

Braskie przeniósł spojrzenie z powrotem na zespół do zadań

specjalnych przeczesujący trawnik. - Mamy tu poważną sprawę, sierżancie.

Ten skinął głową.

Braskie zmrużył oczy, zerknął w stronę rezydencji, w kierunku morza. - Nie możemy sobie pozwolić, żeby to spieprzyć.

- Nie, sir.

- Cieszę się, że to mówicie. Muszę wam powiedzieć, D'Agosta, że odkąd pełnicie tu służbę, dość wyraźnie daliście do zrozumienia, że Southampton nie jest miejscem, w którym chcecie się znajdować.

D'Agosta nie odpowiedział.

Braskie westchnął i spojrzał prosto na niego tylko po to, by natknąć się na twarz o wojowniczym wyrazie, z miną „no dalej, zrób mi tę przyjemność”. - Sierżancie D'Agosta, czy naprawdę muszę to przeliterować? Jesteście tutaj. Jesteście sierżantem w departamencie policji w Southampton. Przywyknijcie.

- Nie rozumiem, co ma pan na myśli, sir.

To zaczynało być irytujące. - D'Agosta, czytam w waszych myślach jak w książce. Gównu mnie obchodzi, co wcześniej wydarzyło się w waszym życiu. Mnie jest potrzebne jedno, żebyście działali zgodnie z programem.

D'Agosta nie odpowiedział.

- Weźmy dzisiejszy ranek. Widziałem, że rozmawialiście z tym intruzem przez dobre pięć minut, dlatego musiałem interweniować. Nie chcę się do was przypieprzać, ale nie mogę sobie pozwolić na to, żeby jeden z moich sierżantów marnował czas, wyjaśniając jakiemuś gnojkwowi, czemu musi się wynieść. Ten człowiek powinien zostać wyrzucony natychmiast, bez dyskusji. Myślicie, że możecie działać

po swojemu. Nie mogę tego tolerować.

Zamilkł, z uwagą, badawczo przyglądając się sierżantowi i zastanawiając się, czy przypadkiem nie wykryje obraźliwego uśmiešku. Ten facet naprawdę miał problem.

Porucznik kątem oka zarejestrował obecność krzykliwie ubranego faceta po prawej. Ten sam męt w hawajskiej koszuli, workowatych szortach i kosztownych, wygiętych okularach zbliżał się do altany jakby nigdy nic, ponownie w obrębie policyjnego kordonu.

Braskie zwrócił się do D'Agosty spokojnie: - Sierzancie, aresztujcie tego człowieka i odczytajcie mu jego prawa.

- Proszę zaczekać, poruczniku...

Nie do wiary: D Agosta zamierzał się z nim kłócić. Po wszystkim, co właśnie mu powiedział. Braskie ściszył głos. - Sierzancie, mam wrażenie, że właśnie wydałem wam rozkaz. - Odwrócił się do nadchodzącego. - Mam nadzieję, że tym razem przyniósł pan portfel.

- Prawdę mówiąc, owszem - facet sięgnął do kieszeni.

- Nie, nie chcę go oglądać, na litość boską. Proszę to zostawić dla sierżanta, który będzie pana spisywał na posterunku.

Ale facet wydobył już portfel jednym płynnym ruchem i kiedy go otworzył, Braskiemu błysnęło złoto.

- Co do...? - zatchnął się porucznik.

- Agent specjalny Pendergast, Federalne Biuro Śledcze.

Porucznik poczuł falę krwi napływającą do twarzy. Facet go podpuścił. A nie było żadnego powodu, absolutnie żadnego, żeby usprawiedliwić zaangażowanie w sprawę FBI. A może? Przełknął ślinę. Trzeba to rozegrać z wyczuciem.

Portfel został z trzaskiem zamknięty i zniknął.

- Są jakieś szczególne powody tego zainteresowania czynników federalnych? - zapytał Braskie, starając się panować nad głosem.

- Traktujemy sprawę jak zwykłe morderstwo.

- Istnieje możliwość, że zabójca lub zabójcy mogli się tu zjawić i odpłynąć łodzią przez cieśninę. Może do Connecticut.

- I?

- Ucieczka poza granice stanu.

- Trochę to naciągane, prawda?

- Taki jest powód.

„Taa, jasne”. Grove pewnie prał pieniądze albo handlował narkotykami. A może był zamieszany w terroryzm. W dzisiejszych czasach, przy całym tym gównie, które przelewało się po świecie, nie można pierdnąć, żeby falanga federalnych nie przygniotła człowieka jak tona gnoju. Jakkolwiek było, nadawało to sprawie całkiem nowy obrót - musiał wykorzystać sytuację najlepiej jak się dało.

Porucznik przełknął ślinę, wyciągnął rękę. - Witamy w Southampton, agencie Pendergast. Jeżeli jest coś, co ja albo departament w Southampton możemy dla pana zrobić, proszę dać mi znać. Podczas gdy komendant jest na wakacjach, pełnię jego obowiązki, więc proszę ze wszystkim zgłaszać się do mnie. Jesteśmy tu chętni do pomocy.

Dłoń faceta okazała się w uścisku chłodna i sucha. Jak on sam. Braskie nigdy wcześniej nie widział takiego federalnego. Wydawał się nawet bledszy niż ten artysta, który tu przyjeżdżał - jak on się nazywał?

- dziwak z blond włosami, który robił te Marilyn Monroe. Jesień czy nie, pod koniec dnia facet będzie potrzebował kwarty kremu na

oparzenia i dzbanka martini, zanim zdoła choćby usiąść.

- A teraz, skoro już wszystko wyjaśniliśmy - uprzejmie odezwał się mężczyzna nazwiskiem Pendergast - czy mogę uprzejmie prosić o oprowadzenie? Ufam, że pilne badania zostały zakończone, otwierając nam drogę. - Spojrzał na D'Agostę. - Czy będzie nam pan towarzyszył, sierżancie?

- Tak jest.

Braskie westchnął. Kiedy zjawiało się FBI, człowiek czuł się jak przy grypie: nic się nie da zrobić, trzeba czekać, aż ból głowy, gorączka i biegunka ustąpią.



Vincent D'Agosta poszedł za Pendergastem i Braskiem przez trawnik. W cieniu przepastnego patio wydział zabójstw z South Fork urządził zaimprovizowane centrum przesłuchań z kamerą wideo. Oprócz gosposi, która znalazła ciało, nie było zbyt wielu osób do przesłuchania, ale właśnie ku temu zacienionemu miejscu skierował kroki Pendergast, poruszając się tak płynnie, że aby mu dotrzymać kroku, D'Agosta i Braskie musieli prawie biec.

Starszy detektyw z East Hampton wstał. D'Agosta nigdy wcześniej nie widział tego faceta, niedużego i ciemnego, z wielkimi czarnymi oczami o długich rzęsach.

- Detektyw Tony Innocente - powiedział Braskie. - Agent specjalny Pendergast, FBI.

Innocente wyciągnął rękę.

Gosposia siedziała przy stole, niska, nieokazująca emocji kobieta. Jak na kogoś, kto świeżo odkrył trupa, wyglądała na całkiem opanowaną, może poza lekkim błyskiem niepewności w oczach.

Pendergast uklonił się jej, podając rękę. - Agent Pendergast.

- Agnes Torres - odparła.

- Mogę? - Pendergast pytająco spojrział na Innocente'a.

- Zapraszam. Taśma się kręci, tak dla pańskiej informacji.

- Pani Torres...

- Panno.

- Dziękuję. Panno Torres, czy wierzy pani w Boga? Innocente wymienił spojrzenia z innymi detektywami. Zapadła niezręczna cisza.

- Tak - odparła.

- Czy jest pani gorliwą katoliczką?

- Tak, jestem.

- Czy wierzy pani w diabła? Kolejna długa pauza.

- Wierzę.

- I wyciągnęła pani własne wnioski z tego, co zobaczyła pani w tym domu na górze, prawda?

- Naprawdę pan uważa, że wiara tej pani ma tu znaczenie? - włączył się Braskie.

Pendergast zwrócił na mężczyznę swoje jasne oczy. - To, w co wierzymy, poruczniku, kształtuje to, co widzimy. - Ponownie odwrócił się do kobiety. - Dziękuję, panno Torres.

Przeszli dalej, do bocznych drzwi. Policjant otworzył je przed nimi, kiwając głową Braskiemu. Zebrali się w holu, gdzie porucznik przystanął.

- Wciąż jeszcze próbujemy ustalić drogę wtargnięcia i opuszczenia miejsca zbrodni - powiedział. - Brama była zamknięta, teren objęty alarmem. Reaguje na przerwanie obwodu i sensory ruchu aktywowany kontrolką. Sprawdzamy, kto miał kody. Drzwi i okna w domu także były zamknięte, z włączonym alarmem. W całym domu znajdują się detektory ruchu oraz sensory na podczerwień i lasery. Przetestowaliśmy system alarmowy i działał idealnie. Jak pan widzi, pan Grove posiadał dość wartościową kolekcję sztuki, ale wydaje się, że niczego nie brakuje.



Pendergast pełnym podziwu spojrzeniem obrzucił najbliższy obraz. Dla D'Agosty wyglądał jak skrzyżowanie świni, kości do gry i nagiej kobiety.

- Pan Grove urządził zeszłej nocy przyjęcie. Nieduże, w sumie na pięć osób.

- Macie listę gości?

Braskie odwrócił się do D'Agosty. - Przynieście listę od Innocente'a.

Pendergast powstrzymał go ruchem dłoni. - Wolałbym, żeby sierżant został tu i słuchał, poruczniku. Gdyby mógł pan przydzielić innego oficera.

Braskie wahał się dość długo, obrzucając D'Agostę podejrzliwym spojrzeniem, a potem wskazał na innego gliniarza w pomieszczeniu.

- Proszę kontynuować.

- Wszystko wskazuje na to, że ostatni gość wyszedł przed dwunastą trzydzieści. Właściwie wszyscy wyszli mniej więcej razem. Od tamtego momentu do siódmej trzydzieści rano Grove był sam.

- Czy macie czas zgonu?

- Jeszcze nie. Lekarz sądowy jest ciągle na górze. Wiemy, że żył o trzeciej dziesiąt nad ranem, ponieważ wtedy zadzwonił do ojca Cappi.

- Grove dzwonił po księdza? - Pendergast wydawał się zaskoczony.

- Wygląda na to, że Cappi był starym przyjacielem, ale nie widział Grove'a od trzydziestu, czterdziestu lat. Ich drogi się rozeszły. Tak czy owak, to bez znaczenia, Grove połączył się tylko z automatyczną sekretarką.

- Będę potrzebował kopii tej wiadomości.

- Oczywiście. Grove był rozhisteryzowany Chciał, żeby ojciec Cappi natychmiast przyjechał.

- Czy przypadkiem nie z Biblią, krzyżem i święconą wodą? - zapytał Pendergast.

- Widzę, że już pan słyszał o tej rozmowie.

- Nie, tylko zgadywałem.

- Ojciec Cappi przybył dziś rano o ósmej. Przyjechał natychmiast po odebraniu wiadomości. Ale, oczywiście, było już za późno i jedyne, co mógł zrobić, to dać ciału ostatnie namaszczenie.

- Czy goście zostali przesłuchani?

- Wstępnie. Stąd wiemy, kiedy skończyło się przyjęcie. Wygląda na to, że ostatniej nocy Grove nie był w dobrej formie. Podniecony, gadatliwy, niektórzy twierdzą, że przestraszony.

- Czy ktoś mógł zostać dłużej albo wślizgnąć się z powrotem po wyjściu gości?

- Pracujemy nad tą koncepcją. Pan Grove miał, ee, perwersyjne upodobania seksualne.

Pendergast uniósł brwi. - Jak to?

- Lubił mężczyzn i kobiety.

- A te perwersyjne upodobania seksualne?

- Tak jak powiedziałem. Mężczyźni i kobiety.

- Chciał pan powiedzieć, że był biseksualny? Jak sądzę, trzydzieści procent wszystkich mężczyzn ma takie skłonności.

- Nie w Southampton.

D'Agosta pokrył śmiech wybuchem kaszlu.

- Jak na razie, znakomita robota, poruczniku. Czy możemy przejść na miejsce zbrodni?

Braskie odwrócił się i poszli za nim w głąb domu. Szczególny zapach, który D'Agosta wyczuł przelotnie na trawniku, był tu znacznie mocniejszy. Zapalki, fajerwerki, proch strzelniczy - co to dokładnie było? Mieszało się z wonią spalonego drewna i lekko nadpsutej pieczeni. D'Agosta zapach ten przypomniał niedźwiedzie mięso, które próbował kiedyś upiec w swoim domu pod Invermere w Kolumbii Brytyjskiej, przyniesione przez przyjaciela. Jego żona zniesmaczona wyszła. Skończyło się na tym, że zamówili pizzę.

Pokonali jeden ciąg schodów, przeszli przez korytarz i weszli na drugi.

- Te drzwi były zamknięte - powiedział Braskie. - Gospoia je otworzyła.

Wąskimi, trzeszczącymi schodami wspięli się na poddasze. Na szczycie znajdował się długi korytarz z drzwiami po lewej i prawej stronie. W jego dalekim końcu przez otwarte drzwi padało ostre światło. D'Agosta oddychał przez usta.

- Drzwi do tego odległego pokoju oraz okno w nim także były zamknięte - ciągnął Braskie. - Zmarły, jak się wydaje, od środka spiętrzył za nimi meble. - Przeszedł przez próg, Pendergast i D'Agosta za nim. Smród stał się przemożny.

Była to mała sypialnia upchnięta między okapami, z pojedynczym oknem mansardowym, wychodzącym na Dune Road. Jeremy Grove leżał na łóżku w głębi pokoju. Kompletnie ubrany, chociaż rzeczy zostały gdzieś poprzecinane, by umożliwić badanie lekarskie. Lekarz sądowy stał przy nim odwrócony tyłem i pisał coś na podkładce.

D'Agosta lekko dotknął brwi. Może to słońce na dachu, może jasne

światło w pokoju, ale nie było tu czym oddychać. Zapach źle upieczonego mięsa oblepił go niczym tłusty pot. Zaczekał przy drzwiach, podczas gdy Pendergast okrążył zwłoki napięty jak drapieżny ptak, przyglądając im się badawczo z każdej strony, z twarzą tak pełną zapału, że zakrawało to na przesadę.

Martwy mężczyzna leżał na łóżku, oczy przekrwione, ręce zaciśnięte. Ciało miało dziwny kolor, jakby smalcu, dziwna wydawała się także jego konsystencja. Jednak to wyraz twarzy, grymas przerażenia i bólu, zmusił D'Agostę, by odwrócić wzrok. Pracując przez lata jako nowojorski gliniarz, zgromadził niewielką, niepożądaną kolekcję obrazów, które przechowywał w pamięci i których, póki życia, nie miał zapomnieć. Teraz dodał do niej kolejny

Lekarz odstawił swoje przybory i dwaj świeżo przybyli pomocnicy szykowali się, aby włożyć ciało do worka i załadować na nosze. Kolejny gliniarz klęczał na podłodze, wycinając kawałek deski z wypalonym na niej znakiem.

- Doktorze? - odezwał się Pendergast. Lekarz się odwrócił i D'Agosta z zaskoczeniem zorientował się, że to kobieta z włosami ukrytymi pod czapką, młoda i bardzo atrakcyjna blondynka. - Tak?

Pendergast błysnął odznaką. - FBI. Czy mogę zająć pani czas kilkoma pytaniami? Skinęła głową.

- Czy ustaliła pani czas zgonu?

- Nie i mogę od razu panu powiedzieć, że będzie z tym problem.

Pendergast uniósł brwi. - Jak to?

- Wiedzieliśmy, że mamy kłopoty, kiedy sonda doodbytnicza pokazała temperaturę stu ośmiu stopni.

- To właśnie zamierzałem panu powiedzieć - wtrącił Braskie. -

Ciało zostało w jakiś sposób podgrzane.

- Zgadza się - stwierdziła lekarka. - Najsilniej w środku.

- W środku? - zapytał Pendergast.

D'Agosta przysięgłby, że usłyszał w jego głosie nutę niedowierzania.

- Tak. Jakby... jakby ciało zostało ugotowane od środka. Pendergast uważniej przyjrzał się kobiecie. - Czy na skórze były jakieś ślady oparzeń, powierzchownych uszkodzeń?

- Nie. Z zewnątrz ciało jest praktycznie nietknięte. W pełni ubrane. Oprócz pojedynczego, dość niezwykłego oparzenia na klatce piersiowej skóra wydaje się nienaruszona i nieuszkodzona.

Pendergast zawahał się. - Jak to możliwe? Nagły skok gorączki?

- Nie. Temperatura zwłok zdążyła już spaść, ale sięgała powyżej stu dwudziestu stopni - o wiele za wysoka, by była fizjologiczna. W tej temperaturze ciało częściowo się gotuje. Proces podgrzewania kompletnie zniszczył wszystko, z czego zwykle korzystamy, by ustalić czas zgonu. Krew w żyłach osiągnęła stan stały. Stały. W takich temperaturach białko mięśni zaczyna się denaturować, więc nie ma stężenia - i ciepło zabiło większość bakterii, zatem stopień rozkładu jest niewart wspomnienia. Bez zwykłego spontanicznego trawienia enzymatycznego nie ma też autolizy. Mogę teraz stwierdzić jedynie to, że zmarł między trzecią dziesięć rano, kiedy najwyraźniej wykonał telefon, a siódmą trzydzieści, gdy został znaleziony martwy. Ale to, oczywiście, określenie niemedyczne.

- To, jak przypuszczam, jest oparzenie, o którym pani wspomniała wcześniej? - Pendergast wskazał pierś mężczyzny. Tam, wypalone na żółtawej skórze jak piętno, widniało oparzenie o wyraźnie

rozpoznawalnym kształcie krzyża.

- Został znaleziony z krzyżem na szyi, wszystko wskazuje, że niezwykle kosztownym. Ale metal częściowo się stopił, a drewno spłonęło. Wydaje się, że był wysadzany diamentami i rubinami; znaleziono je wśród popiołu.

Pendergast powoli skinął głową. Po chwili podziękował lekarce i skupił uwagę na mężczyźnie pracującym na podłodze. - Mogę? Funkcjonariusz cofnął się o krok i Pendergast ukląkł obok niego.

- Sierzancie?

D'Agosta podszedł, a Braskie pospiesznie ruszył za nim.

- Jakieś wnioski?

D'Agosta spojrzał na znak wypalony na podłodze. Lakier wokół pokrył się bąblami i popękał, ale bez cienia wątpliwości był to ślad wielkiego kopyta, głęboko odcisnięty w drewnie.

- Wygląda na to, że morderca miał poczucie humoru - zamruczał D'Agosta.

- Mój drogi Vincencie, naprawdę sądzisz, że to żart?

- A ty nie?

- Nie.

D'Agosta zauważył, że Braskie się na niego gapi. „Mój drogi Vincencie” - to wcale nie zostało dobrze przyjęte. W tym czasie Pendergast na czworakach węszył przy podłodze prawie jak pies. Nagle z jego workowatych szortów wyłoniła się próbówka i szczypczyki. Agent FBI podniósł brązowy okruszek, przez chwilę przytrzymał go pod nosem, następnie, wciąż węsząc, wyciągnął go w kierunku porucznika.

Braskie zmarszczył brwi. - Co to takiego?

- Siarka, poruczniku - powiedział Pendergast. - Poczciwa starotestamentowa siarka.



„Chaunticleer” było restauracją na sześć stolików schowaną w bocznej ulicy w Amagansett, między Bluff Road a Main. D'Agosta, mrugając, rozejrzył się z wąskiego, drewnianego siedzenia. Wydawało się, że wszystko jest żółte: żółte żonkile w skrzynkach na oknach, żółte taftowe zasłony w pomalowanych na żółto oknach, żółte lniane obrusy. To, co nie było żółte, zostało podkreślone zielenią albo czerwienią. Cała knajpka przypominała jeden z tych ośmiokątnych francuskich półmisków, za które ludzie płacili tyle pieniędzy D'Agosta na chwilę zamknął oczy. Po stęchłych mroczościach poddasza Jeremy'ego Grove'a to miejsce sprawiało wrażenie niemal nieznośnie pogodnego.

Pospiesznie podeszła właścicielka, niska, rumiana kobieta w średnim wieku. - A, monsieur Pendergast - powiedziała. - *Comment ca va?*

- *Bien, madame.*

- To, co zwykle, monsieur?

- *Oui, merci.*

Kobieta przeniosła wzrok na D'Agostę. - A pan, panie oficerze?

D Agosta zerknął na menu - nabazgrane białą kredą na tablicy obok drzwi - ale połowy dań nie rozpoznał, a druga połowa go nie interesowała. Wciąż czuł w nosie smród ciała Jeremy'ego Grove'a. - Dla mnie nic, dziękuję.



- Coś do picia?

- Buda. Schłodzonego.

- Tak mi przykro, monsieur, ale nie mamy licencji na sprzedaż alkoholu.

D'Agosta oblizał wargi. - W takim razie poproszę mrożoną herbatę.

Odprowadził wzrokiem odchodzącą kobietę, potem zerknął przez stół na Pendergasta, ubranego teraz w swój tradycyjny czarny garnitur. Facet kompletnie się nie zmienił od czasu, kiedy ostatni raz go widział, lata temu. D'Agosta, zakłopotany, wiedział, że o sobie nie może powiedzieć tego samego. Był o pięć lat starszy, o dziesięć lat cięższy i dwie belki lżejszy Co za życie.

- Jak znalazłeś to miejsce? - zapytał.

- Kompletny przypadek. To zaledwie kilka przecznic od miejsca, w którym się zatrzymałem, być może jedyna porządna restauracja w Hamptons nieodkryta przez eleganckie towarzystwo. Na pewno nie zmienisz zdania co do lunchu? Szczerze polecałbym jajka Benedykt. Madame Merle robi najlepszy sos holenderski, jakiego próbowałem z dala od Paryża: lekki, ale jedwabisty, z ledwie wyczuwalną nutą estragonu.

D'Agosta szybko potrząsnął głową. - Wciąż jeszcze mi nie powiedziałaś, co tu robisz.

- Jak wspominałem, wynająłem dom na tydzień. Zajmuję się - jak brzmiał ten zwrot - poszukiwaniem właściwej lokalizacji.

- Poszukiwaniem lokalizacji? Na co?

- Na, powiedzmy, rekonwalescencję przyjaciółki. Poznasz ją we właściwym czasie. A teraz chciałbym usłyszeć twoją historię. Kiedy ostatnio o tobie słyszałem, byłeś w Kolumbii Brytyjskiej i pisałeś

powieści. Musze przyznać, że Anioły czyścica dały się przeczytać.

- Dały się przeczytać?

Pendergast machnął ręką. - Jeśli chodzi o historie policyjne, to słaby ze mnie sędzia. Moje upodobania do fikcji sensacyjnej kończą się na M.R. Jamesie.

D'Agosta pomyślał, że pewnie chodziło mu o PD. Jamesa, ale nie ciągnął tematu. Ostatnie, na co miał ochotę, to „konwersacja literacka”. W minionych latach miał ich więcej niż dosyć.

Pojawiły się napoje. D'Agosta pociągnął wielki łyk mrożonej herbaty, stwierdził, że była niesłodzona, i rozdarł torebkę z cukrem. - Moją historię łatwo opowiedzieć. Nie mogłem wyżyć z pisania, więc wróciłem do domu. Nie udało mi się odzyskać starej posady w nowojorskiej policji. Nowy burmistrz zmniejszyła liczebność sił policyjnych, a poza tym narobiłem sobie w pracy zbyt wielu wrogów. Zrobiło się rozpaczliwie. Dowiedziałem się, że w Southampton mają wolne miejsce, i je wziąłem.

- Wyobrażam sobie, że są gorsze miejsca pracy.

- Taa, można by tak pomyśleć. Ale gdybyś spędził lato na ściganiu typów, których psy właśnie zostawiły na plaży parujący ładunek, myślałbyś inaczej. I ci ludzie tutaj - dajesz facetowi mandat za przekroczenie prędkości, a za chwilę masz na posterunku kosztownego prawnika z nakazami i wezwaniami do sądu, który robi piekło. Powinieneś zobaczyć nasze rachunki za obsługę prawną.

Pendergast pociągnął łyk czegoś, co wyglądało na herbatę. - A jak praca z porucznikiem Braskiem?

- To dupek. Sto procent polityki. Będzie kandydował na komendanta.

- Wydawał się wystarczająco kompetentny.

- W takim razie to kompetentny dupek.

Zauważył chłodne spojrzenie Pendergasta i poczuł niepokój. Zapomniał o tych oczach. Sprawiały, że człowiek czuł się odarty z tajemnic.

- W twojej historii jest pewien brakujący element. Kiedy ostatnio razem pracowaliśmy, miałeś żonę i syna. Vincenta juniora, o ile pamiętam.

D'Agosta skinął głową. - Nadal mam syna. Jest w Kanadzie, mieszka z moją żoną. Cóż, w każdym razie żonę na papierze.

Pendergast się nie odezwał. Po chwili D'Agosta wydobył z siebie westchnienie.

- Lydia i ja nie byliśmy już sobie tacy bliscy Wiesz, jak to jest: służba, długie godziny w pracy No i nie chciała się przeprowadzać do Kanady, szczególnie w tak odległe miejsce jak Invermere. Kiedy tam osiedliśmy, fakt, całymi dniami siedziałem w domu, próbowałem pisać... cóż, działaliśmy sobie na nerwy I to delikatnie mówiąc. - Wzruszył ramionami, potrząsnął głową. - A co zabawne, spodobało jej się tam. Mam wrażenie, że moja przeprowadzka z powrotem okazała się tą ostatnią kroplą.

Madame Merle pojawiła się z zamówieniem Pendergasta, a D'Agosta uznał, że czas na zmianę tematu. - A co z tobą? - zapytał niemal agresywnie. - Co porabiasz? Nowy Jork dostarcza zajęć?

- Prawdę mówiąc, niedawno wróciłem ze środkowego zachodu. A dokładnie z Kansas, gdzie prowadziłem sprawę - niedużą, ale niepozbawioną, hm, interesujących cech.

- A Grove?

- Jak wiesz, Vincencie, moje zainteresowanie - niektórzy nazwaliby je niezdrowym - budzą zabójstwa niezwykle. Podążałem ich śladem w miejsca znacznie bardziej odległe niż Long Island. Zły nawyk, ale bardzo trudny do zwalczenia. - Pendergast nakłuł jajko nożem i żółtko wypłynęło na talerz. Więcej żółtości.

- Więc działasz oficjalnie?

- Czasy wolnego strzelca minęły FBI to już inne miejsce. Tak, działałam oficjalnie. - I poklepał kieszeń z telefonem komórkowym.

- Gdzie jest haczyk? To znaczy dla federalnych? Narkotyki? Terroryzm?

- Tak jak powiedziałem porucznikowi Braskiemu - możliwość ucieczki poza granice stanu. Słaby argument, ale będzie musiał wystarczyć. - Pendergast nachylił się i lekko zniżył głos. - Potrzebuję twojej pomocy, Vincencie.

D Agosta przyjrzał mu się uważnie. Żartował? - Kiedyś tworzyliśmy dobry zespół.

- Ale ja... - zawahał się. - Nie potrzebujesz mojej pomocy - Wyszło z większą złością, niż chciał. Znów poczuł na sobie to cholerne spojrzenie.

- Być może nie tak bardzo, jak ty potrzebujesz mojej.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Nie potrzebuję niczyjej pomocy. Świetnie sobie radzę.

- Wybacz szczerść, ale nie radzisz sobie świetnie.

- Co ty, do cholery, mówisz?

- To praca poniżej twoich możliwości. Nie tylko marnujesz swoje talenty, ale aż nazbyt wyraźnie dajesz temu wyraz własną postawą. Porucznik Braskie wydaje się zasadniczo porządny i może nawet do

pewnego stopnia inteligentny, ale pod jego rozkazami jesteś nie na miejscu. Kiedy zostanie komendantem, wasze stosunki tylko się pogorszą.

- Uważasz, że ten dupek jest inteligentny i porządny? Jezu, gdybyś tylko mógł dzień z nim popracować, zmieniłbyś śpiewkę.

- To ty, Vincencie, powinieneś zmienić śpiewkę. Są znacznie gorsi policjanci niż porucznik Braskie i pracowaliśmy z nimi.

- Więc zamierzasz mnie uratować, tak?

- Nie Vincencie. To ta sprawa cię uratuje. Przed samym sobą.

D'Agosta wstał. - Nie muszę wysłuchiwać tego gówna ani od ciebie, ani od nikogo innego. - Wyciągnął portfel, rzucił na stół zmiętą piątkę i wyszedł ciężkim krokiem.

Dziesięć minut później D'Agosta znalazł Pendergasta w tym samym miejscu, w którym go zostawił, zmięty banknot wciąż tam leżał. Odsunął krzesło, usiadł, z pałającą twarzą zamówił kolejną mrożoną herbatę. Pendergast ledwie kiwnął głową, kończąc ostatni kęs lunchu. Potem wyjął z kieszeni marynarki kawałek papieru i delikatnie położył na stole.

- To lista czterech osób, które uczestniczyły w ostatnim przyjęciu Grove'a, oraz nazwisko i numer do księdza, który odebrał jego ostatni telefon. Równie dobrze można zacząć od tego. Biorąc pod uwagę, jak krótka jest ta lista, nazwiska na niej są dość interesujące. - Pchnął papier po stole.

D'Agosta potaknął. Wrażenie, że płonie żywym ogniem, zaczęło słabnąć, gdy spojrzał na nazwiska i adresy. Coś w nim narastało: stare podniecenie związane z pracą nad sprawą. Dobrą sprawą.

- Jak ma się to odbyć, skoro jestem w departamencie policji w

Southampton i tak dalej?

- Ustale z porucznikiem Braskiem, żeby wyznaczył cię na oficera łącznikowego z FBI.

- W życiu na to nie pójdzie.

- Przeciwnie, będzie przeszczeniwi, mogąc się ciebie pozbyć. I w żadnym razie nie przedstawię tego jako prośby Braskie, jak zauważyłeś, jest zwierzeniem politycznym i zrobi, co mu każą.

D'Agosta skinął głową.

Pendergast spojrział na zegarek. - Prawie druga. Chodźmy, Vincencie, mamy przed sobą długą jazdę. Księża jadają wcześniej, ale jeśli się pospieszymy, to może złapiemy ojca Cappi.



D'Agosta czuł się, jakby go połknął biały wieloryb Ahaba, gdy tak siedział rozparty w pokrytym białą skórą wnętrzu rolls-royce'a silver wraith, rocznik pięćdziesiąty dziewiąty. Z szoferem, ni mniej, ni więcej. Pendergast z pewnością zyskał na statusie od czasu morderstwa w muzeum, kiedy jeździł starym modelem buicka z zasobów Biura. Może umarł jakiś krewny i zostawił mu kilka miliardów. Rozejrzył się. A może po prostu minął czas występowania w przebraniu.

Samochód podążał drogą numer dziewięć, wzdłuż pięknej środkowej części doliny Hudson, na północ od Poughkeepsie. Po miesiącach spędzonych przez D'Agostę wśród niskich piaskowych wydm i plażowych zarośli bujna zieleń i wzgórza wokół stanowiły ulgę dla oczu. Tu i tam można było zauważyć stare domy: stojące z dala od drogi, z widokiem na rzekę albo schowane wśród zagajników. Znaki identyfikowały niektóre z nich jako klasztory albo miejsca odosobnienia; inne wydawały się pozostawać w prywatnych rękach. Mimo że dzień był ciepły, jesień wyraźnie zabarwiła już drzewa porastające delikatne pochyłości.

Samochód zwolnił, a potem wślizgnął się w długi, wybrukowany kostką podjazd, w końcu stanął bezszelestnie pod bramą z czerwonej cegły. Po wyjściu z auta D'Agosta znalazł się przed nieregularnie rozbudowanym domostwem w stylu flamandzkim. Wąska dzwonnica

z boku budynku sprawiała wrażenie późniejszego dodatku. Dalej dobrze utrzymany trawnik opadał w kierunku Hudson. Tabliczka przykręcona do fasady informowała, że budowla powstała w roku 1874 i obecnie jest uznawana przez Krajowy Rejestr Obiektów Historycznych za Zabytek.

Na ich pukanie odpowiedział zakapturzony mnich w brązowej szacie, z jedwabnym sznurem w pasie. Bez słowa poprowadził ich do eleganckiego wnętrza pachnącego przeszłością i woskiem do polerowania. Pendergast zgiął się w ukłonie i zaprezentował mnichowi wizytówkę; ten w odpowiedzi skinął głową i wykonał zapraszający gest. Przeszli za nim przez kilka zakrętów korytarza do spartańsko urządzonego pokoju bielonego wapnem, o nagich ścianach, tylko z samotnym krzyżem, z dwoma rzędami twardych drewnianych krzeseł stojących pod przeciwległymi ścianami. Pojedyncze okno w pobliżu odsłoniętych belek stropowych wpuszczało snop światła.

Mnich uklonił się i wycofał. Chwilę później w drzwiach pojawiła się kolejna postać. Także ten człowiek ubrany był w habit, ale kiedy zsunął kaptur, D'Agosta z zaskoczeniem zobaczył mężczyznę wzrostu dobrze ponad sześć stóp, szerokiego w ramionach, z kwadratową szczęką, o czarnych oczach, z których tryskała energia. W oddali usłyszał słaby dźwięk dzwonów, gdy na wieży zaczęły grać kuranty. Z jakiegoś powodu przyprawiło go to o dreszcze.

- Jestem ojciec Bernard Cappi - powiedział mężczyzna. - Witajcie w klasztorze Hyde Park Carthaginian. Przestrzegamy tu ślubów milczenia, ale raz w tygodniu spotykamy się właśnie w tym pokoju na rozmowę. Nazywamy go salą sporów, ponieważ to tu się



wkurzamy i narzekamy. Przez tydzień milczenia człowiek gromadzi wiele uraz. - Energicznie rozsunał szaty, zajmując miejsce.

- To mój współpracownik, sierżant D'Agosta - powiedział Pendergast, idąc za przykładem mnicha. - On także może chcieć zadać parę pytań.

- Miło mi poznać pańskiego znajomego. - Ksiądz zmiądzzył rękę D'Agosty w powitaniu. „To nie jest pokorna boża owieczka”, pomyślał D'Agosta. Zakreślił się na krześle, usiłując znaleźć wygodną pozycję. Nie udało się. Sala mimo słonecznego dnia wydawała się wilgotna i zimna. Boże, w życiu nie byłby dobrym mnichem.

- Proszę przyjąć moje szczerze przeprosiny za to najście - oznajmił Pendergast.

- Ależ w porządku. Mam tylko nadzieję, że mogę być pomocny. To tragiczna sprawa.

- Zajmiemy jak najmniej pańskiego czasu. Być może powinniśmy zacząć od telefonu.

- Jak już powiedziałem policji, telefon zadzwonił w moim domu o trzeciej dziesiątej rano - sekretarka zarejestrowała czas - ale ponieważ co roku szukam tu odosobnienia przez dwa tygodnie, więc nie było mnie tam, żeby odebrać. Sprawdzam wiadomości po wstaniu - to naruszenie reguły, lecz mam starszą matkę. Natychmiast pojechałem do Long Island, ale, oczywiście, było już za późno.

- Czemu dzwonił?

- To skomplikowane pytanie wymagające długiej odpowiedzi. Pendergast ruchem głowy polecił księdzu kontynuować.

- Jeremy Grove i ja znamy się od dawna. Poznaliśmy się na Columbii jako studenci, wiele lat temu. Ja wybrałem stan duchowy, a

on pojechał do Florencji studiować sztukę. W tamtych czasach byliśmy obaj - cóż, nie nazwałbym nas religijnymi w zwykłym sensie tego słowa. Byliśmy obaj duchowo zaintrygowani. Całymi godzinami, do rana, kłóciliśmy się o kwestie wiary, epistemologię, naturę dobra i zła i tak dalej. Zacząłem studiować teologię w Mount St. Mary. Nasza przyjaźń trwała i kilka lat później udzieliłem Grove'owi ślubu.

- Rozumiem - mruknął Pendergast.

- Grove został we Florencji i kilka razy go odwiedziłem. Mieszkał w pięknej willi na wzgórzach w południowej części miasta.

D'Agosta odchrząknął. - Jak zdobył pieniądze?

- To interesująca historia, sierzancie. Na aukcji w Sotheby's kupił malowidło, którego autorstwo przypisano późnemu naśladowcy Rafaela. Grove zdołał udowodnić, że to dzieło samego mistrza, zakręcił się i sprzedał je Metropolitan Museum za trzydzieści milionów dolarów.

- Ładnie.

- W rzeczy samej. W każdym razie, mieszkając we Florencji, Grove stał się dość gorliwy W sposób intelektualny, z niektórymi tak bywa. Uwielbiał wciągać mnie w dyskusje. Istnieje ktoś taki jak katolicki intelektualista, agencie Pendergast, i kimś takim był Grove.

Pendergast skinął głową.

- Był bardzo szczęśliwie żonaty. Uwielbiał żonę. A potem dość niespodziewanie opuściła go, uciekła z innym mężczyzną. Powiedzieć, że Grove był załamany, to za mało. Był zdruzgotany I skupił swój gniew na Bogu.

- Rozumiem - odparł Pendergast.

- Grove poczuł się zdradzony przez Boga. Stał się... cóż, z

pewnością nie można by go nazwać ateistą czy agnostykiem. Raczej podjął walkę z Bogiem. Celowo rozpoczął życie grzeszne i pełne przemocy, skierowane przeciw Bogu, które w rzeczywistości było przemocą wobec własnego wyższego ja. Został krytykiem sztuki. Uprawianie krytyki to zawód, który do pewnego stopnia sankcjonuje złośliwość wykraczającą poza normalne, cywilizowane zachowanie. Zwykły człowiek nigdy by nie powiedział drugiemu, że jego obraz to odrażający śmieć, krytyk zaś nic sobie nie robi z wygłaszania takich oświadczeń przed całym światem, jakby spełniał wielkiej wagi moralny obowiązek. Nie ma profesji bardziej haniebnej niż zawód krytyka - oprócz, być może, lekarza obecnego przy egzekucji.

- Ma pan rację - stwierdził D'Agosta z przekonaniem. - Ci, którzy nie potrafią niczego robić, uczą, a ci, którzy nie potrafią uczyć, krytykują.

Ojciec Cappi się roześmiał. - Szczera prawda, sierżancie.

- Sierżant D'Agosta pisuje powieści sensacyjne - wyjaśnił Pendergast.

- Doprawdy! Uwielbiam kryminały. Proszę mi podać tytuł.

- Jego najnowsza książka to Anioły czyścica.

- Natychmiast ją kupię.

D'Agosta wymamrotał podziękowanie. Drugi raz tego samego dnia poczuł się zakłopotany. Będzie musiał pomówić z Pendergastem o tym trąbieniu na wszystkie strony o jego poronionej karierze pisarskiej.

- Dość powiedzieć - ciągnął ksiądz - że Grove stał się znakomitym krytykiem. Otoczył się najbardziej zdegenerowanymi, samolubnymi i okrutnymi ludźmi, jakich zdołał znaleźć... wszystko, co robił, było

przesadne - picie, jedzenie, seks, pieniądze, plotki. Wydawał przyjęcia jak rzymski cesarz i często pojawiał się w telewizji, brutalnie atakując tego czy tamtego, oczywiście w najbardziej czarujący sposób. Jego artykuły w „Nowojorskim Przeglądzie Książkowym” spotykały się z żywym oddźwiękiem. Naturalnie był szalenie popularny wśród nowojorskiej elity.

- A pańskie relacje z nim?

- Nie potrafił mi wybaczyć tego, co sobą reprezentuję. Nasza znajomość po prostu nie mogła dłużej trwać.

- Kiedy to się stało? - zapytał D'Agosta.

- Żona Grovea odeszła w siedemdziesiątym czwartym, a nasze rozstanie nastąpiło wkrótce potem. Od tamtej pory nie miałem z nim kontaktu. To znaczy aż do dzisiejszego ranka.

- Wiadomość?

Książdz wyjął z kieszeni magnetofon na minikasety. - Zrobiłem kopię, zanim oddałem ją policji.

Trzymając urządzenie jedną ręką, wcisnął guzik. Rozległ się sygnał. A potem:

Bernard? Bernard! Mówi Jeremy Grom Jesteś tam? Odbierz, telefon, na litość boską!

Głos był wysoki, pełen napięcia, łamał się.

Słuchaj Bernardzie, potrzebuję cię tutaj, zaraz. Musisz przyjechać. Southampton, trzy tysiące jeden Dune Road. Przyjedź natychmiast. To... to potworne. Przywieź krzyż, Biblię, święconą wodę. Mój Boże, Bernardzie, on po mnie idzie. Słyszysz? Idzie po mnie! Muszę się wypowiadać, potrzebuję przebaczenia, rozgrzeszenia. .. Na miłość Boga, Bernardzie, odbierz telefon...

Wypowiedź została ucięta przez automatyczną sekretarkę, minął czas przeznaczony na nagranie. Chrapliwy głos rozbrzmiewał echem w tym gołym, bielonym pokoju. D Agosta poczuł dreszcz przerażenia.

- Cóż - po chwili odezwał się Pendergast. - Ciekaw byłbym pańskich przemyśleń w tej kwestii, ojcze.

Twarz ojca Cappi była ponura. - Czuł, że grozi mu potępienie.

- Potępienie? Czy diabeł?

Cappi poruszył się niespokojnie. - Z jakiegoś powodu Jeremy Grove wiedział, że zbliża się moment śmierci. Przed końcem chciał uzyskać przebaczenie. To było dla niego nawet ważniejsze niż telefon na policję. Grove, widzi pan, nigdy nie przestał wierzyć.

- Czy wiadomo ojcu o fizycznych dowodach znalezionych na miejscu zbrodni: wypalonym znaku kopyta, śladach siarki, niezwykłym podgrzaniu ciała?

- Powiedziano mi o tym, tak.

- Jak to ojciec wyjaśni?

- Jako dzieło śmiertelnego człowieka. Zabójca chciał zaznaczyć, jakiego pokroju człowiekiem był Grove. Stąd ślad kopyta, siarka i cała reszta. - Ojciec Cappi wsunął magnetofon z powrotem do kieszeni mniszej szaty. - Zło nie ma w sobie niczego tajemniczego, panie Pendergast. Jest tu, wokół nas, widzę je co dnia. I jakoś wątpię, by prawdziwy diabeł, jakkolwiek postać mógłby przybrać, chciał przyciągać tak niepożądaną uwagę do sposobu, w jaki załatwia interesy.

W zaczynającym zapadać zmroku, niedługo po zachodzie słońca, mężczyzna znany po prostu jako Wren szedł szeroką zaśmieconą ulicą w górnej części Riverside Drive. Po lewej miał czarne kontury parku Riverside i rzeki Hudson za nim, po prawej potężne zręby wspaniałych niegdyś domów, teraz pustych i rozpadających się. Cień Wrena szybko przesuwał się od latarni do latarni, gdy z krwistego nieba znikwały ostatnie ślady czerwieni. Mimo prób podniesienia statusu okolicy, podjętych od strony południowego Manhattanu, pozostała niebezpieczna, jedno z tych miejsc, gdzie niewiele osób chciałoby się znaleźć po zapadnięciu ciemności. Wren jednak miał coś w sobie - może trupie rysy, może pospieszny cichy krok albo zmierzwioną czuprynę siwych włosów, nienaturalnie gęstą jak na człowieka w jego wieku - co trzymało wszystkich na dystans.

Teraz Wren zatrzymał się przed obszerną posiadłością w stylu Beaux Arts, która stała frontem do Riverside Drive, między Sto Trzydziestą Siódmą a Sto Trzydziestą Ósmą Ulicą. Czteropiętrowy budynek otoczony był wysokim płotem z ostro zakończonych żelaznych sztachet pokrytych rdzą. Trawnik za ogrodzeniem porastały chwasty i wiekowe krzaki ailantu. Sam dom wydawał się zrujnowany: okna starannie zasłonięte blachą, połamane dachówki, w loggi brakowało połowy metalowych słupków.

Żelazna brama blokująca przejście była częściowo otwarta. Nie

zatrzymując się, Wren prześlizgnął się przez szparę i poszedł brukowanym podjazdem do wejścia. Tam w narożnikach zgromadziły się śmieci usypane przez wiatr w stosy o fantastycznych kształtach. W ciemności sklepionego wejścia wstawiono samotne dębowe drzwi zabazgrane graffiti, ale poza tym wyglądające solidnie. Wren uniósł kościstą rękę, puknął raz, potem drugi.

Echo jego pukania zginęło w ogromie przestrzeni. Przez minutę, może dwie, wszystko trwało nieruchomo. Potem rozległ się zgrzyt ciężkiego zamka i drzwi powoli się uchyliły. Przez szparę przesączyło się żółte światło. W drzwiach stanął Pendergast z ręką na klamce, jaskrawe światło z korytarza podkreślało bladość jego rysów. Bez słowa wprowadził Wrena do środka, a potem zamknął za nim drzwi na zamek.

Wren przeszedł za agentem FBI przez marmurowy przedsionek w długą, wyłożoną drewnianymi panelami galerię. Wtedy zatrzymał się gwałtownie. Ostatnio widział ten dom latem, kiedy przez kilka tygodni katalogował rozliczne zbiory znajdujące się w posiadłości, podczas gdy agent Pendergast urządził sobie wakacje w Kansas. Wówczas budynek był tak samo zrujnowany wewnątrz, jak na zewnątrz: boazeria pozrywana, deski podłogowe powyrywane, gips i drewniane konstrukcje odsłonięte - efekt uboczny intensywnych poszukiwań. Wraz z Pendergastem Wren należał do czterech - nie, właściwie pięciu osób, które znały wyniki tych poszukiwań i rozumiały, co znaczą.

Ale teraz kasztanowa boazeria lśniła świeżą politurą, ściany zostały wygładzone i pokryte dyskretną wiktoriańską tapetą, w przytłumionym świetle wszędzie połyskiwały mosiężne i miedziane

wykończenia. W kilkunastu niszach ściennych i na marmurowych piedestałach ustawiono eksponaty ze wspaniałej kolekcji: meteoryty, nieoszlifowane bryły kamieni szlachetnych, rzadkie motyle, szczątki dawno wymarłych gatunków zachowane w skałach. We wnętrzu tego domu przywrócono blask gabinetowi osobliwości, z którym żaden inny nie mógł się równać, blask, jakim nie cieszył się od stu lat. A jednak gabinet ten miał pozostać ukryty przed światem.

- Jestem zachwycony zmianami, które wprowadziłeś - powiedział Wren, gestem wskazując pokój.

Pendergast skłonił głowę.

- Zdumiewające, że tak szybko to zakończyłeś. Zaledwie dwa miesiące temu dom był w ruinie.

Pendergast zaczął go prowadzić przez galerię. - Cajuńscy rzemieślnicy i cieśle z południa Bayou Teche dobrze służyli mojej rodzinie w poprzednich latach. Raz jeszcze dowiedli, że są nieocenieni. Choć nie aprobowali tego - nazwijmy je - otoczenia.

Wren zaśmiał się słabo, bezgłośnie. - Muszę się z nimi zgodzić. Wydaje się dziwne, że tu zamieszkałeś, podczas gdy masz tak znakomite lokum w Dakota, które... - Zamilkł w pół zdania, oczy rozszerzyły mu się w nagłym zrozumieniu. - Chyba że...?

Pendergast skinął głową. - Tak, Wren. Taki jest powód. W każdym razie jeden z powodów.

Mijali teraz obszerną salę balową z kopulastym sklepieniem odmalowanym na błękit w odcieniu jak z porcelany Wedgwood. Wzdłuż ścian stały wygięte oszklone szafy pełne kolejnych przedmiotów pięknie wyeksponowanych. Na pokrytej parkietem podłodze rozstawiono małe szkielety dinozaurów i wypchane



zwierzęta. Wren pociągnął Pendergasta za rękaw. - Jak ona się czuje?

Pendergast stanął. - Dobrze. Fizycznie. Emocjonalnie tak, jak można się było spodziewać. Robimy powolne postępy. To trwało tak długo, sam rozumiesz.

Wren kiwnął głową ze zrozumieniem. Potem sięgnął do kieszeni i wyciągnął płytę DVD.

- Proszę - podał ją Pendergastowi. - Kompletny inwentarz zbiorów zgromadzonych w tym domu, skatalogowanych i poindeksowanych wedle moich najlepszych umiejętności.

Pendergast skinął głową.

- Wciąż mnie dziwi, że najbardziej zdumiewający gabinet osobliwości znalazł się pod tym dachem.

- Rzeczywiście. Mam nadzieję, że pochodzące z niego przedmioty, które ci dałem, uznajesz za wystarczające wynagrodzenie za swoje usługi?

- O tak - wyszeptał Wren. - Tak, tak, zdecydowanie stanowiły wystarczającą zapłatę.

- O ile sobie przypominam, odrestaurowaniu pewnej hinduskiej pozycji z zakresu księgowości poświęciłeś tak dużo czasu, że obawiałem się, by prawowity właściciel nie zaczął się niepokoić.

- Nie można popędzać sztuki - prychnął Wren. - A to była taka piękna księga. Chodzi o to, że... to problem czasu, rozumiesz. Czas unosi wszystkie rzeczy, jak powiedział Wergiliusz. Unosi teraz moje książki, moje cudowne książki, i to szybciej, niż jestem w stanie je odrestaurować. - Miejscem zamieszkania Wrena była siódma, najniższa kondygnacja Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, gdzie sprawował władzę nad legionami nieskatalogowanych niszczących

książek, wśród których tylko on umiał się poruszać.

- Rzeczywiście. Więc pewnie czujesz ulgę, że twoja praca tutaj jest zakończona.

- Przeprowadziłem także inwentaryzację biblioteki, ale wydaje się, że ona zachowała wszystkie informacje na ten temat we własnej głowie. - I Wren pozwolił sobie na gorzki śmiech.

- Jej znajomość tego domu jest niezwykła i udało mi się już znaleźć dla niej zastosowanie.

Wren zerknął na rozmówcę pytająco.

- Mam zamiar poprosić ją, by zbadała zasoby biblioteki poświęcone szatanowi.

- Szatanowi? To rozległy temat, *hypocrite lecteur*.

- Tak się składa, że jestem zainteresowany tylko jednym jego aspektem. Śmiercią poniesioną przez istoty ludzkie z ręki diabła.

- Jak w wypadku sprzedaży własnej duszy? Zapłaty za oddane usługi, tego rodzaju rzeczy?

Pendergast potwierdził.

- Temat nadal jest rozległy

- Nie interesuje mnie literatura, Wren. Ciekawią mnie wyłącznie źródła dokumentalne. Podstawowe. Najchętniej relacje w pierwszej osobie i od naocznych świadków.

- Za długo tkwisz w tym domu.

- Uważam, że znajdowanie dla niej zajęcia jest korzystne. I jak sam powiedziałeś, tak dobrze zna zasoby biblioteki.

- Rozumiem. - I Wren pozwolił, by jego wzrok powędrował do drzwi w ścianie na wprost.

Pendergast śledził drogę tego spojrzenia. - Chcesz ją zobaczyć?

- Dziwi cię to? Po tym, co tu zaszło tego lata, jestem, praktycznie, rzecz biorąc, jej ojcem chrzestnym. Zapominasz o mojej roli.

- O niczym nie zapominam i już to jedno wystarczy, żebym zawsze był twoim dłużnikiem. - Nie dodając nic więcej, Pendergast zrobił krok naprzód i bezszelestnie otworzył drzwi.

Wren zajrzał przez nie do środka. Jego żółtawe oczy pojaśniały. W głębi znajdowała się obszerna i obficie zaopatrzona biblioteka. Półka za półką bogato oprawne książki wznosiły się aż po sufit, światło kominka nadawało ich skórzanym grzbietom ciepły połysk. Na grubym perskim dywanie rozstawiono kilka niedużych sof i głębokich foteli. W jednym z nich, przed ogniem, siedziała młoda kobieta przerzucająca strony ogromnego zbioru litografii. Miała na sobie białą sukienkę z narzuconym na nią fartuchem i czarne pończochy, a kiedy odwróciła kolejną stronę, blask ognia oświetlił jej szczupłe kończyny. Ciemne włosy i oczy. Na niskim stoliku obok przygotowano nakrycie do herbaty dla dwóch osób.

Pendergast lekko odchrząknął i dziewczyna podniosła wzrok. Jej oczy przesunęły się od agenta FBI do Wrena i przez chwilę lśnił w nich strach. Ale potem na twarzy odmalował się błysk rozpoznania. Odłożyła książkę, wstała, wygładziła fartuch i czekała, by mężczyźni podeszli.

- Jak się miewasz, Constance? - zapytał Wren, łagodząc swój chropawy głos, jak umiał najlepiej.

- Bardzo dobrze, proszę pana, dziękuję. - Constance wykonała lekkie dygnięcie. - A pan?

- Zajęty, bardzo zajęty. Książki zajmują mi cały czas.

- Nie pomyślałabym, że ktoś może być tak wstrzemięzliwy w

pochwałach, gdy chodzi o tak szlachetne zajęcie - Constance mówiła poważnym tonem, ale na jej ustach pojawił się ślad uśmiechu - rozbawienia? protekcjonalności? - i zniknął, zanim Wren zdążył nabrać pewności, że go widział.

- Nie, nie, oczywiście, że nie. - Usiłował się nie gapić. Jak w tak krótkim czasie zdołał zapomnieć o tym wystudiowanym głosie i osobliwych konstrukcjach gramatycznych? Jak mógł zapomnieć o tych oczach, tak bardzo wiekowych, a jednak osadzonych w pięknej i młodej twarzy? Odchrząknął. - Powiedz mi więc, Constance, jak spędzasz dni.

- Raczej spokojnie. Rankiem czytam po łacinie i w grece pod kierunkiem Aloysiusa. Popołudnia mam do własnej dyspozycji i zwykle spędzam je, przeglądając zbiory, poprawiając jakieś przypadkowo zabłąkane niedokładne opisy, na które zdarza mi się natknąć.

Wren rzucił szybkie spojrzenie na Pendergasta.

- Jemy późny podwieczorek, podczas którego Aloysius na ogół czyta mi gazety Po kolacji ćwiczę na skrzypcach. Bez powodzenia. Aloysius znosi to, twierdząc, że moja gra jest znośna.

- Doktor Pendergast jest najuczciwszym z ludzi.

- Powiedzmy, że doktor Pendergast jest najbardziej taktownym z ludzi.

- Nawet jeśli, bardzo bym chciał posłuchać czasami twojej gry.

- Będę zachwycona. - I Constance ponownie dygnęła. Wren skinął głową, odwrócił się, żeby wyjść.

- Proszę pana? - zawołała za nim Constance.

Wren odwrócił się, jego krzaczaste brwi uniosły się pytająco.

Spojrzała na niego. - Jeszcze raz dziękuję. Za wszystko. Pendergast cicho zamknął drzwi do biblioteki i towarzyszył Wrenowi w drodze przez rozbrzmiewające echem galerie.

- Czytasz jej gazety? - zapytał Wren.

- Tylko wybrane artykuły, oczywiście. Wydawało się to najprostszą formą... jak to najlepiej ująć?... społecznej dekompresji. Doszliśmy na razie do lat sześćdziesiątych.

- A jej nocne, ee, wędrówki?

- Teraz, kiedy znajduje się pod moją opieką, nie ma potrzeby poszukiwania pożywienia. I wybrałem już miejsce na jej rekonwalescencję: posiadłość mojej ciotecznej babki w Hudson. Obecnie opuszczona. Przy zachowaniu odpowiedniej ostrożności powinna być dobrym miejscem na ponowny kontakt z dziennym światłem.

- Dziennym światłem - Wren powtórzył to słowo powoli, jakby je smakując. - Wciąż wydaje mi się niemożliwe, że była tam cały czas po tym, co się stało, w tych tunelach z dostępem do rzeki. Nie przestaję się zastanawiać, czemu się przede mną ujawniła.

- Może nabrała do ciebie zaufania. Przyglądała się, jak pracujesz, dostatecznie długo, przez lato. Było oczywiste, że kochasz zbiory, które i dla niej są cenne. A może osiągnęła punkt, w którym kontakt z człowiekiem był konieczny bez względu na ryzyko.

Wren potrząsnął głową. - Jesteś pewien, naprawdę pewien, że ma tylko dziewiętnaście lat?

- To pytanie trudniejsze, niż się wydaje. Fizycznie jej ciało ma dziewiętnaście lat.

Dotarli do frontowych drzwi i Wren czekał, żeby Pendergast je

otworzył. - Dziękuję, Wren - powiedział agent FBI, ustępując z przejścia. Do wnętrza wpadło nocne powietrze niosące ze sobą słabe odgłosy ulicznego ruchu.

Wren przekroczył próg, zawahał się, odwrócił. - Czy już zdecydowałeś, co z nią zrobisz?

Pendergast przez chwilę nie odpowiadał. Potem w milczeniu skinął głową.



Salon Renesansowy Metropolitan Museum of Art stanowił jedno z najbardziej godnych uwagi pomieszczeń: kawałek po kawałku, kamień po kamieniu zabrany z antycznego Palazzo Dati we Florencji i złożony w całość na Manhattanie, pieczołowicie zrekonstruowany w najdrobniejszych szczegółach późnorennesansowy salone. Jako najbardziej okazała i ascetyczna spośród wszystkich wielkich galerii w muzeum został wybrany na stypę po śmierci Jeremy'ego Grove'a.

D'Agosta czuł się jak idiota w swoim uniformie gliniarza ze złotoniebieską naszywką dystryktu Southampton i żałosnymi belkami sierżanta. Ludzie pospiesznie odwracali się w jego stronę, gapili, jakby był jakimś dziwadłem, a potem przestawali zauważać równie szybko jak płatną pomoc i zajmowali się własnymi sprawami.

Idąc za Pendergastem do holu, D'Agosta z zaskoczeniem zobaczył długi stół uginający się od jedzenia i drugi, obciążony butelkami wina i mocniejszego alkoholu w ilości wystarczającej, żeby rozłożyć na łopatki stado nosorożców. Niezła stypa. Coś jak irlandzkie czuwanie przy zmarłym. W czasach kiedy służył w nowojorskiej policji, D'Agosta uczestniczył w kilku takich i cieszył się, że to przeżył. Niewątpliwie załatwili całość w imponującym tempie - Grove nie żył zaledwie od dwóch dni.

Sala była zatłoczona. Żadnych krzeseł: ludzie mieli krążyć, a nie dostojnie siedzieć. Kilka ekip telewizyjnych rozstawiło sprzęt w

pobliżu wyłożonej dywanem sceny, pustej, jeśli nie liczyć niewielkiego podium. W dalekim krańcu salone ustawiono klawikord, ale ledwie się go dało słyszeć poprzez gwar tłumu. Jeśli ktoś ronił łzy nad Grove'em, świetnie się z tym krył.

Pendergast się pochylił. - Vincencie, jeśli interesują cię jakieś artykuły spożywcze, teraz jest czas na działanie. Przy takim tłumie długo nie przetrwają.

- Artykuły spożywcze? Masz na myśli jedzenie na stole? Nie, dzięki. - Flirt ze światem literackim nauczył go, że przy okazji takich wydarzeń serwowano rzeczy w rodzaju rybich jajek i sera, który pachniał tak paskudnie, że człowiek miał ochotę sprawdzić podeszwy własnych butów.

- W takim razie zaczniemy krążyć? - Pendergast zaczął się przesuwać wśród tłumu z gracją nimfy. Teraz na scenę wspiał się samotny mężczyzna: nieskazitelnie ubrany, wysoki, włosy starannie zaczesane do tyłu, twarz błyszcząca profesjonalnym makijażem. Tłum się uciszył, zanim jeszcze zdążył dojść do mikrofonu.

Pendergast ujął D'Agostę za łokieć. - Sir Gervase de Vache, dyrektor muzeum.

Mężczyzna zdjął mikrofon z podium, jego elegancka sylwetka trwała wyprostowana i pełna godności.

- Witam was wszystkich - powiedział, najwyraźniej nie czując potrzeby, by się przedstawić. - Jesteśmy tu, aby uczcić pamięć naszego przyjaciela i kolegi Jeremy'ego Grove'a, ale w sposób, jaki by chciał: jedzeniem, napojami, muzyką i zabawą, bez smutnych min i żałobnych oracji. - Mówił z lekkim francuskim akcentem.

Chociaż Pendergast zatrzymał się w chwili, gdy dyrektor doszedł



do sceny, D'Agosta zauważył, że nieznużenie lustruje salę wzrokiem.

- Poznałem Jeremy'ego Grove'a jakieś dwadzieścia lat temu, gdy napisał dla „Downtown” recenzję naszej wystawy Moneta. Była to - jak by to ująć? - klasyczna Groveowska recenzja.

Rozległa się fala pełnych zrozumienia śmiechów.

- Jeremy Grove był przede wszystkim człowiekiem, który głosił prawdę taką, jak ją widział, i robił to z niezachwianą pewnością oraz klasą. Jego ostry dowcip i lekceważące docinki ożywiły wiele przyjęć...

D'Agosta wyłączył uwagę. Pendergast wciąż nieustająco badał salę i teraz ponownie zaczął się przesuwac powoli jak rekin, który właśnie wyczuł w wodzie krew. D'Agosta ruszył za nim. Lubił oglądać Pendergasta w akcji. Tam, przy stole z napojami, stał przykuwający uwagę młody człowiek, ubrany całkowicie na czarno, z porządnie przyciętą bródką. Miał wyjątkowo duże, głębokie i wilgotne oczy oraz place, które wydawały się bardziej pajęczne niż u Pendergasta.

- Maurice Vilnius, malarz, ekspresjonistyczny abstrakcjonista - zamruczał Pendergast. - Jedna z wielu ofiar sprawowania przez Grovea posługi duchowej.

- To znaczy?

- Przypominam sobie recenzję lata temu napisaną przez Grove'a na temat obrazów Vilniusa. Fraza, która najsilniej utkwiała mi w pamięci, brzmi: „Obrazy tę są tak złe, że wywołują szacunek, wręcz podziw. Aby wytworzyć miernotę na tym poziomie, potrzebny jest szczególny rodzaj talentu. Vilnius ma tego talentu pod dostatkiem”.

D'Agosta zdusił śmiech. - Za to warto zabić. - Pospiesznie

zapanował nad twarzą; Vilnius odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, że nadchodzą.

- O, Maurice, jak się masz - zagadnął Pendergast.

Malarz uniósł bardzo czarne brwi. D'Agosta, jako że sam cierpiał z powodu złych recenzji, spodziewał się zobaczyć na pokrytej rumieńcem twarzy gniew albo przynajmniej urazę. Ale zobaczył szeroki uśmiech.

- Poznaliśmy się?

- Nazywam się Pendergast. Widzieliśmy się przelotnie na pańskim wernisażu w Galerie Dellitte w zeszłym roku. Piękne prace. Rozwahałem zakup czegoś do swojego apartamentu w Dakota.

Uśmiech Vilniusa stał się jeszcze szerszy. - Jestem zachwycony. - Mówił z rosyjskim akcentem. - Proszę wpaść, kiedy pan zechce. Proszę wpaść dziś. To byłaby moja pięćdziesiąta praca sprzedana w tym tygodniu.

- Rzeczywiście? - D'Agosta zauważył, że Pendergast starannie usunął z głosu zaskoczenie. W tle monotonnie rozbrzmiewał głos dyrektora: człowiek odważny i pełen determinacji, który nie odszedł łagodnie w tę dobrą noc...

- Maurice - ciągnął Pendergast - chciałbym pomówić z panem o Grovie i ostatniej...

Nagle do Vilniusa podeszła kobieta w średnim wieku, przypominającą szkielet figurę spowijaną wyszywaną cekinami suknią. Towarzyszył jej wysoki mężczyzna w czarnym smokingu, z łysiną wypolerowaną do połysku.

Kobieta szarpnęła rękaw Vilniusa. - Maurice, kochanie, po prostu musiałam pogratulować ci osobiście. Ta nowa recenzja jest po prostu

cudowna. I tak bardzo spóźniona.

- Już ją widzieliście? - odparł Vilnius, odwracając się w stronę nowo przybyłych.

- Dziś po południu - stwierdził wysoki mężczyzna. - Przefaksowano mi do galerii korektę.

- ...a teraz jedna z ukochanych przez Jeremy'ego sonat Haydna... Grupka kontynuowała rozmowę, ignorując mężczyznę na podium.

Vilnius przelotnie zerknął na Pendergasta. - Miło mi było ponownie pana spotkać - powiedział, wyciągając z kieszeni wizytówkę i wręczając ją agentowi. - W każdej chwili może pan wpaść do mojego studia. - Potem odwrócił się do kobiety i jej towarzysza. Gdy odchodzili, D'Agosta usłyszał, że Vilnius mówi: - Zdumiewające, jak szybko rozchodzą się wieści. Recenzja nie powinna się ukazać aż do pojutrze.

D'Agosta spojrzął na Pendergasta. On także przyglądał się odchodzącemu Vilniusowi. - Interesujące - mruknął pod nosem.

Ponownie pożeglowali w tłum. De Vache zakończył mowę i poziom hałasu znowu wzrósł. Klawikord podjął grę, ale jego dźwięk był kompletnie niesłyszalny wśród odgłosów picia, jedzenia i plotkowania.

Nagle Pendergast nabrał wielkiej prędkości, pomknął przez tłum jak strzała. D'Agosta zorientował się, że za cel wybrał sobie dyrektora muzeum schodzącego ze sceny.

De Vache zatrzymał się, gdy do niego podchodzili. - A, Pendergast. Chyba nie chce pan powiedzieć, że to pan prowadzi dochodzenie.

Pendergast skinął głową.

Francuz zacisnął usta. - Oficjalnie? A może należał pan do jego

przyjaciół?

- Czy Grove miał jakichś przyjaciół?

De Vache zaśmiał się. - Prawda, szczerą prawdą. Przyjaźń pozostawała Jeremy'emu nieznaną, była czymś, co trzymał na dystans. Ostatnim razem, kiedy go spotkałem, to było - niech pomyślę - na kolacji. Przypominam sobie, że poprosił siedzącego naprzeciw mężczyznę - całkowicie niegroźnego starszego dżentelmena ze sztuczną szczęką - by przestał klekotać przy jedzeniu przednimi siekaczami, bo jest człowiekiem, a nie szczurem. Później ktoś poplamiał mu sosem krawat i Jeremy zagadnął, czy to nie przypadkiem z powodu pokrewieństwa z Jacksonem Pollockiem. - Sir Gervase zachichotał. - I to podczas jednej kolacji. Czy człowiek, który zazwyczaj tak właśnie przemawia, ma przyjaciół?

Sir Gervase został odwołany przez grupę obwieszonych biżuterią matron. Przeprosił Pendergasta, kiwnął głową D'Agoście i odwrócił się w stronę kobiet. Spojrzenie Pendergasta ponownie powędrowało przez salę, skupiając się w końcu na grupie ludzi w pobliżu klawikordu. - Voila - oznajmił. - Złoże pierwotne.

- Kto taki?

- Ta rozmawiająca trójka. Razem z Vilniusem, którego właśnie poznałeś, byli gośćmi ostatniego przyjęcia u Grove'a. I to oni są powodem naszej tu bytności.

D'Agosta skupił wzrok na pierwszym, przeciętnie wyglądającym mężczyźnie w szarym garniturze. Obok stała przypominająca ducha starsza kobieta, pokryta pudrem i różem, wystrojona, wymanikiurowana, uczesana i bez wątplenia naszprycowana botoksem w całkowicie daremny wysiłek, by wyglądać na mniej

niż sześćdziesiątkę. Założyła naszyjnik ze szmaragdów tak wielkich, że D'Agosta przestraszył się, by jej kościste barki nie osłabły od dźwigania takiego ciężaru. Jednak punktem centralnym grupy był stojący po jej drugiej stronie niewiarygodnie tłusty mężczyzna we wspaniałym gołębioszarym garniturze uzupełnionym jedwabną kamizelką, białymi rękawiczkami i złotym łańcuchem.

- Kobieta - zamruczał Pendergast - to lady Milbanke, wdowa po siódmym baronie Milbanke. Mówi się, że to zjadliwa plotkara, pijąca absynt i niezmordowanie zajmująca się organizowaniem seansów spirytystycznych oraz wskrzeszaniem zmarłych.

- Wygląda, jakby ją też należało wskrzesić z martwych.

- Vincencie, brakowało mi twojego ciętego dowcipu. Potężnie zbudowany dzentelmen to niewątpliwie hrabia Fosco. Wiele o nim słyszałem, ale widzę go po raz pierwszy.

- Musi ważyć ze trzysta funtów.

- Ale zauważ, jak lekko się porusza. Wysoki dzentelmen w szarym garniturze to Jonathan Frederick, krytyk z „Art & Antiques”.

D'Agosta kiwnął głową.

- Czy ryzykujemy wejście w paszczę lwa?

- Ty jesteś szefem.

Pendergast natychmiast ruszył naprzód wielkimi krokami, gładko i śmiało zbliżył się do grupy i ujmując dłoń lady Milbanke, uniósł ją do ust.

Stara kobieta pod makijażem spłonęła rumieńcem. - Czy mieliśmy przyjemność...?

- Nie - stwierdzi Pendergast. - Żałuję, ale nie. Nazywam się Pendergast.

- Pendergast. A kim jest pański przyjaciel? Ochroniarzem? -  
Pytanie wywołało w grupce falę nerwowych śmiezków

Pendergast zachichotał ze wszystkimi. - Można tak to ująć.

- Jeżeli dorabia do pensji - odezwał się wysoki mężczyzna nazwiskiem Frederick - powinien to robić bez munduru. W końcu to stypa.

D'Agosta zanotował w pamięci, że Pendergast nie zadał sobie trudu, żeby uświadomić mężczyznę w kwestii dorabiania na boku. Zamiast tego ze smutkiem potrząsnął głową, ignorując komentarz. - Strasznie smutna sprawa z Grove'em, nie sądzą państwo?

Potwierdzające kiwnięcia.

- Słyszałem plotkę, że w noc śmierci wydał przyjęcie. Zapadła nagle cisza.

- Cóż, panie Pendergast - odezwała się lady Milbanke. - Co za niezwykła uwaga. Bo widzi pan, wszyscy byliśmy na tym przyjęciu.

- Rzeczywiście? Mówi się, że pomiędzy gośćmi mógł być morderca.

- Ależ to podniecające! - wykrzyknęła Milbanke. - Jak w powieści Agathy Christie. Prawdę mówiąc, wszyscy mieliśmy powody, żeby skończyć z Grove'em. Przynajmniej wcześniej. - Wymieniła z pozostałymi przelotne spojrzenia. - Jednak nie tylko my Czyż nie tak, Jasonie? - I unosząc głos, przywołała przechodzącego młodego człowieka z kieliszkiem szampana w dłoni. Z butonierki jego brązowego żakietu zwisała orchidea, włosy miał koloru marmolady.

Młodzieniec zatrzymał się, marszcząc brwi. - O czym mowa?

- To Jason Prince. - Roześmiała się prowokująco. - Jason,

mówiłam właśnie panu Pendergastowi, jak wiele osób w tej sali miało powody, by zamordować Jeremy'ego Grove'a. A ty, jak wiadomo, jesteś zazdrosnym chłopcem.

- Jak zwykle gada bzdury - powiedział Prince z płonąca twarzą. Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Lady Milbanke ponownie wybuchnęła dźwięcznym śmiechem. - W swoim czasie Grove nieraz użądlił także Jonathana, prawda, Jonathanie?

Siwowłosa uśmiechnął się ironicznie. - Należę do licznego klubu.

- Nazwał cię dmuchaną lalą do pieprzenia wśród krytyków, prawda?

Facet nawet nie mrugnął okiem. - Grove miał talent do dobrej frazy. Myślałem jednak, że ustaliliśmy, iż mamy to wszystko za sobą, Evelyn. To było ponad pięć lat temu.

- A weźmy hrabiego. Pierwszorzędny podejrzany. Spójrzcie tylko na niego! Rzuca się w oczy, że skrywa jakieś mroczne sekrety. Jest Włochem, a wiecie, jacy oni są.

Hrabia się uśmiechnął. - My, Włosi, jesteśmy podstępnyimi istotami.

D'Agosta spojrział na hrabiego z ciekawością. Uderzyły go oczy, ciemnoszare, o niezwykłej czystości głębokiej wody. Mężczyzna miał długie popielate włosy zaczesane do tyłu i mimo wieku - musiał się zbliżyć do sześćdziesiątki - skórę różową jak niemowlę.

- A teraz moja kolej - ciągnęła lady Milbanke. - Można by pomyśleć, że miałam najlepszy ze wszystkich motyw, by go zamordować. Byliśmy kiedyś kochankami. *Cherchez la dame*.

D'Agosta poczuł dreszcz i zastanowił się, czy coś takiego było

fizycznie możliwe.

Krytyk Frederick wydawał się równie zniesmaczony tym obrazem, ponieważ zaczął się zęgnąć. - Przepraszam, ale jest tu ktoś, z kim muszę pomówić.

Lady Milbanke się uśmiechnęła. - O nowym stanowisku, jak przypuszczam?

- Prawdę mówiąc, owszem. Panie Pendergast, miło mi było pana poznać.

Nastąpiła krótka pauza w rozmowie. D'Agosta zauważył, że hrabia utkwiał szare oczy w Pendergaście, a na jego ustach zagościł nieznaczny uśmiech. - Niech pan będzie tak łaskaw, Pendergast - poprosił - i powie, dlaczego oficjalnie interesuje się pan tą sprawą.

Pendergast nie zareagował. Zamiast odpowiedzi wsunął rękę do kieszeni marynarki i wyjął portfel, po czym powoli i uprzejmie go otworzył, jakby prezentował szkatułkę z klejnotami. Złota odznaka zalśniła w światłach wielkiej sali.

- Ecce signum! - z upodobaniem wykrzyknął hrabia. Stara dama cofnęła się o krok. - Pan? Z policji?

- Agent specjalny Pendergast, Federalne Biuro Śledcze.

Lady Milbanke zaatakowała hrabiego. - Wiedziałeś i mi nie powiedziałaś? A ja tu zrobiłam podejrzanych z nas wszystkich! - Z jej głosu zniknęła nuta zadowolenia.

Hrabia się uśmiechnął. - W chwili gdy podszedł, wiedziałem, że należy do sił policyjnych.

- Jak dla mnie nie wygląda na agenta FBI.

Hrabia zwrócił się do Pendergasta. - Mam nadzieję, że informacje Evelyn będą panu pomocne?



- Bardzo - stwierdził agent. - Wiele o panu słyszałem, hrabio. Zagadnięty uśmiechnął się.

- Sądzę, że pan i Grove od dawna byliście przyjaciółmi?

- Dzieliliśmy miłość do muzyki i sztuki oraz do najwyższego związku tych dwóch: opery. Czy przypadkiem i pan jest miłośnikiem opery?

- Nie.

- Nie? - Hrabia uniósł brwi. - A dlaczego nie?

- Opera zawsze robi na mnie wrażenie wulgarnej i infantylnej. Wolę formę symfoniczną: czysta muzyka bez rekwizytów w rodzaju dekoracji, kostiumów, melodramatu, seksu i przemocy.

D'Agosta odniósł wrażenie, że hrabia skamieniał. Ale po chwili zdał sobie sprawę, że Fosco cicho się śmieje, czego objawem były tylko wewnętrzne konwulsje. Śmiech trwał dość długo. Wreszcie hrabia otarł kąciki oczu chusteczką i z aprobatą lekko klasnął w urękawiczone dłonie. - No, no. Widzę, że jest pan dżentelmenem o wyrobionym zdaniu. - Zrobił pauzę, nachylił się do Pendergasta i zaczął cicho śpiewać, jego głęboki bas ledwie wznosił się ponad hałas panujący w sali.

*Braveggia, urla! T'affretta*

*a palesarmi il fondo dell'alma ria!*

Zamilkł, wyprostował się i z uśmiechem rozejrzał dookoła. - Tosca, jedna z moich ulubionych oper.

D'Agosta zobaczył, że Pendergast lekko ściągnął usta. - Krzycz, bufonie! - przetłumaczył. - Jak ci spieszno pokazać mi osad na dnie

twej niegodziwej duszy!

Grupa zamilkła na słowa, które zdawały się obelgą rzuconą hrabiemu. Ale ten tylko rozjaśnił się w szerokim uśmiechu. - Bravo. Mówi pan po włosku.

- Ci provo - odparł Pendergast.

- Mój drogi, skoro potrafi pan tak dobrze przetłumaczyć Pucciniego, powiedziałbym, że radzi pan sobie znacznie lepiej niż na poziomie zaledwie prób. Więc nie lubi pan opery. Mogę tylko mieć nadzieję, że w kwestiach sztuki nie jest pan takim filistynem. Miał pan okazję podziwiać tego Ghirlandaio tutaj? Wspaniały

- Wracając do sprawy - powiedział Pendergast - zastanawiam się, hrabio, czy mógłby pan odpowiedzieć na kilka pytań.

Fosco skinął głową.

- W jakim nastroju był Grove w noc swojej śmierci? Czy był zdenerwowany? Przestraszony?

- Tak, był. Ale chodźmy, możemy lepiej się przyjrzeć? - Hrabia ruszył w stronę malowidła. Pozostali poszli za nim.

- Panie hrabio, był pan jedną z ostatnich osób, które widziały Jeremy'ego Grove'a żywego. Byłbym wdzięczny za pomoc.

Hrabia ponownie klasnął w ręce. - Proszę wybaczyć, jeśli moje zachowanie wydaje się nonszalanckie. Chcę pomóc. Tak się składa, że pełniona przez pana funkcja zawsze mnie fascynowała. Jestem zapalonym czytelnikiem angielskich powieści sensacyjnych; to chyba jedyne, w czym Anglicy są dobrzy. Ale muszę wyznać, że nie przywykłem do bycia obiektem dochodzenia. To niezupełnie przyjemne uczucie.

- Nigdy nie jest przyjemne. Czemu uważa pan, że Grove był tamtej

nocy zdenerwowany?

- W trakcie wieczoru nie mógł usiedzieć na miejscu dłużej niż kilka minut. Prawie nie pił, co było rażącym odstępstwem od zwykłego zachowania. Czasami mówił głośno, niemal nieprzytomnie. Czasami łkał.

- Wie pan, czemu był zdenerwowany?

- Tak. Bał się diabła.

Lady Milbanke klasnęła w dłonie w przypiływie podniecenia. Pendergast uważnie przyjrzał się hrabiemu Fosco. - A co nasuwa panu taką myśl?

- Gdy wychodziłem, zadał mi niezwykle dziwne pytanie. Wiedząc, że jestem katolikiem, błagał, bym pożyczył mu mój krzyż.

- I?

- Pożyczyłem. I muszę przyznać, że odkąd przeczytałem poranne gazety, nieco niepokoję się o jego bezpieczeństwo. Jak mógłbym go odzyskać?

- Nie może pan.

- A to czemu?

- Został włączony do materiału dowodowego.

- Ach! - powiedział z ulgą hrabia. - Ale we właściwym czasie mogę go odzyskać, czy tak?

- Nie widzę przeszkód, lecz być może tylko klejnoty, które były w niego wprawione.

- A to dlaczego?

- Został spalony i stopiony nie do poznania.

- Nie! - wykrzyknął hrabia. - Bezcenna rodzinna pamiątka przekazywana od pokoleń. To był prezent od mojej normo z okazji

konfirmacji! - Szybko się opanował. - Los jest kapryśny, panie Pendergast. Grove nie tylko umarł o dzień za wcześnie, by wyświadczyć mi ważną przysługę, ale w dodatku moja cenna scheda stała się elementem jego zagłady. Takie życie. - Otrzepał dłonie. - A teraz może wymiana informacji? Zaspokoilem pańską ciekawość, a pan zaspokoi moją.

- Żałuję, ale nie mogę mówić o sprawie.

- Ależ drogi panie, nie chcę mówić o sprawie. Mówię o tym malowidle! Ceniłbym sobie pańską opinię.

Pendergast odwrócił się w stronę obrazu i bezceremonialnie stwierdził: - W twarzach tych wieśniaków widzę wpływy tryptyku Portinarich.

Hrabia Fosco uśmiechnął się. - Co za geniusz! Co za wyczucie!

Pendergast lekko skłonił głowę.

- Nie mówię o panu, mój przyjacielu, ale o artyście. Widzi pan, byłby to nie lada wyczyn, ponieważ Ghirlandaio namalował to niewielkie panneau trzy lata przed sprowadzeniem do Florencji tryptyku Portinarich z Flandrii. - Fosco rozpląnął się w uśmiechu, rozglądając się po zebranych.

Pendergast spokojnie wytrzymał spojrzenie. - Ghirlandaio widział studia do obrazu, które zostały przysłane rodzinie Portinari na pięć lat przed przybyciem ołtarza. Jestem zaskoczony, hrabio, że fakt ten nie był panu znany.

Hrabia zapomniał o uśmiechu tylko na moment. Potem klasnął ze szczerym podziwem. - Dobra robota, dobra robota! Wygląda na to, że pokonał mnie pan na moim terenie. Naprawdę muszę lepiej pana poznać, Pendergast; jak na członka carabinieri jest pan wyjątkowo

kulturalnym człowiekiem.



D'Agosta wsłuchiwał się w dochodzące z daleka dzwonienie w słuchawce, tak słabe, że ten drugi telefon równie dobrze mógł dzwonić na księżycu. Gdyby tylko odebrał jego syn Vincent. Naprawdę nie chciał rozmawiać z żoną.

Rozległo się kliknięcie i odezwał się ten znajomy głos. - Tak? - Nigdy nie mówiła „halo”, zawsze „tak”, jakby sam fakt wykonania rozmowy telefonicznej coś nakazywał.

- To ja.

- Tak? - powtórzyła. „Jezu Chryste”. - Ja, Vinnie.

- Wiem, kto mówi.

- Chciałbym mówić z moim synem. Nastąpiła pauza. - Nie możesz.

D'Agosta poczuł płomień gniewu. - Dlaczego nie?

- Tu, w Kanadzie, mamy coś, co nazywa się „szkoła”. D'Agosta poczuł się otumaniony Oczywiście. Był piątek, koło południa. - Zapomniałem.

- Wiem, że zapomniałeś. Tak jak zapomniałeś zadzwonić w jego urodziny.

- Zdjęłaś słuchawkę z widełek.

- Pies musiał ją zrzucić. Ale mogłeś przysłać kartkę, prezent.

- Wysłałem i kartkę, i prezent.

- Przyszły dzień za późno.

- Wysłałem je na dziesięć dni przed urodzinami, na litość boską.

Nie możesz mnie obwiniać, że poczta za wolno działa. - Szaleństwo. Kolejny raz pozwalał się wciągnąć w bezsensowną kłótnię. Czemu czuli tę rozpaczliwą potrzebę, żeby ze sobą walczyć? Najlepiej było po prostu nie reagować.

- Posłuchaj, Lydio, zadzwonię później, wieczorem, okej?

- Vincent wychodzi z przyjaciółmi.

- Zadzwonię jutro rano.

- Pewnie na niego nie trafisz. Cały dzień ma trening bejsbolowy...

- W takim razie niech on zadzwoni do mnie.

- Myślisz, że możemy sobie pozwolić na międzymiastowe z tym, co przysyłasz?

- Wiesz, że robię, co mogę. Nikt ci nie broni przeprowadzić się tutaj.

- Vinnie, zaciągnąłeś nas tu siłą. Nie chcieliśmy jechać. Z początku było ciężko. Ale potem zdarzyło się coś zdumiewającego. Urządziłam tu sobie życie. Podoba mi się tutaj. Tak samo Vincentowi. Mamy przyjaciół, Vinnie. Mamy życie. A teraz, gdy tylko stanęliśmy na nogi, chcesz żebyśmy wracali do Queens. Pozwól, że coś ci powiem: nigdy nie wrócę do Queens.

D'Agosta się nie odezwał. To była właśnie taka deklaracja, jakiej nie chciał sprowokować. Jezu, naprawdę spieprzył sprawę tym telefonem. A chciał tylko porozmawiać z synem.

- Lydia, nic nie jest przesądzone. Możemy coś wymyślić.

- Wymyślić? Czas, żebyśmy spojrzeli...

- Nie mów tego, Lydia.

- Zamierzam to powiedzieć. Czas, żebyśmy spojrzeli prawdzie w oczy Czas...

- Nie.

- ...czas na rozwód.

D'Agosta powoli odłożył słuchawkę. Dwadzieścia pięć lat, ot tak. Poczuł, że brakuje mu oddechu, że jest prawie chory. Nie będzie o tym myślał. Miał pracę do wykonania.

Kwatera główna policji w Southampton mieściła się w czarującym, choć częściowo zrujnowanym, starym drewnianym budynku, który był kiedyś siedzibą klubu Stale Rock Country. Siły policyjne, pomyślał ponuro D'Agosta, musiały się nieźle natrudzić, żeby zmienić te wnętrza w typowy, pozbawiony uroku, wyłożony linoleum posterunek w kolorze wymiocin, wyglądający jak wykuty w betonie. Miał nawet uniwersalny zapach komendy: tę mieszankę potu, przegrzanych fotokopiarek, brudnego metalu i środków do czyszczenia z dodatkiem chloru.

D'Agosta poczuł ciężar w brzuchu. Nie zaglądał tu przez trzy dni, krążąc z Pendergastem, składając porucznikowi raporty przez telefon. A teraz miał się z nim spotkać osobiście. Telefon do żony sprawił, że był wrakiem. Naprawdę powinien odczekać i zadzwonić do niej później.

Mijał kolejne biura, tu i tam kiwając głową. Nikt nie wydawał się szczególnie zadowolony na jego widok; nie cieszył się sympatią chłopaków. Nie przyłączył się do klubu kręglarskiego ani nie bywał z nimi w Tiny's, żeby pograć w strzałki. Zawsze myślał, że to tylko etap przejściowy w drodze powrotnej do nowojorskiej policji, i uważał, że szkoda czasu, aby się zaprzyjaźniać. Może popełnił błąd.

Odrzucając takie myśli, ostro zapukał w matowe szklane drzwi, które prowadziły do małego biura porucznika. Zblakłe złote litery w



czarnych obwódkach głośiły: BRASKIE.

- Taa? - rozległ się głos.

Braskie siedział za starym metalowym biurkiem. Z jednej strony miał stertę gazet od „Post” i „Timesa” po „East Hampton Record”, wszystkie na stronie tytułowej pisały o sprawie. Porucznik wyglądał okropnie: ciemne koła pod oczami, twarz poryta zmarszczkami. D’Agosta niemal go pożałował.

Braskie ruchem głowy nakazał mu siadać. - Jakież wieści?

D’Agosta zrelacjonował wszystko, a Braskie słuchał. Kiedy skończył, porucznik potarł dłonią przedwcześnie rzednące włosy i westchnął. - Szef wraca jutro, a właściwie jedyne, co mamy, to trup. Ani śladu wtargnięcia czy ucieczki, żadnych odcisków palców, żadnych włosów ani włókien, żadnego naoczego świadka, nic. Kiedy zjawi się Pendergast?

Był tak zdesperowany, że w jego głosie brzmiała niemal nadzieja.

- Za pół godziny. Chciał, żebym się upewnił, czy wszystko gotowe.

- Gotowe. - Porucznik podniósł się z westchnieniem. - Chodźcie ze mną.

Magazyn dowodów mieścił się w ciągu ruchomych, podobnych do kontenerów pomieszczeń wciśniętych ciasno za posterunek, na skraju jednego z ostatnich kartoflisk w Southampton. Porucznik przeciągnął swoją kartą przez skaner przy drzwiach i weszli. D’Agosta zobaczył, że Joe Lillian, drugi sierżant, układał ostatnie dowody na stole pośrodku długiego, wąskiego pomieszczenia. Po obu stronach ciągnęły się półki i szafki, ginąc w mroku, zavalone dowodami sprzed Bóg jeden wie ilu lat.

D’Agosta przebiegł wzrokiem stół. Sierżant Lillian zrobił dobrą

robotę. Papiery, przezroczyste koperty, próbówki - wszystko zostało opatrzone etykietami i ułożone równo jak pod linijkę.

- Myślicie, że to się spotka z aprobatą waszego agenta? - zapytał Braskie.

D'Agosta nie był pewien, czy wykrył w jego głosie sarkazm, czy desperację. Ale zanim zdołał rozważyć odpowiedź, usłyszał za sobą znajomy, przyjemny głos.

- W rzeczy samej, poruczniku Braskie, w rzeczy samej. Braskie wyraźnie podskoczył. Pendergast stał w drzwiach z rękoma za plecami; musiał jakimś sposobem wślizgnąć się za nimi.

Agent powoli podszedł do stołu z dłońmi nadal splecionymi na plecach, z zaciśniętymi ustami, badając dowody przenikliwym wzrokiem konesera, który podziwiał stół zastawiony cennymi dziełami.

- Proszę się częstować - powiedział Braskie. - Bez wątplenia wasze laboratorium na sądówce jest lepsze od naszego.

- A ja wątpię, by zabójca zostawił jakiegokolwiek dowody oprócz tych, które chciał zostawić. Nie, w tej chwili po prostu się rozglądam. A co to takiego? Stopiony krzyż. Mogę?

Sierżant Lillian podniósł kopertę z krzyżem i wręczył Pendergastowi. Agent wziął ją ostrożnie, powoli obracając w różne strony. - Chciałbym to wysłać do laboratorium w Nowym Jorku.

- Nie ma sprawy. - Lillian wziął kopertę i umieścił w plastikowym pojemniku na dowody.

- I ten zwęglony materiał. - Pendergast podniósł następnie próbówkę ze spalonymi kawałkami siarki. Odkorkował ją, przesunął pod nosem, zakorkował.

- Załatwione.

Agent zerknął na D'Agostę. - Coś tu pana interesuje, sierżancie? D'Agosta zrobił krok do przodu. - Może. - Przejrzał zawartość stołu, kiwnął głową w kierunku paczki listów.

- Wszystko zostało sprawdzone przez laborantów - stwierdził Lillian. - Możesz wziąć.

D'Agosta podniósł listy i wyjął jeden. Od tego chłopaka, Jasona Prince'a, do Grove'a. Kątem oka zobaczył pojawiający się na twarzy Lilliana zadowolony uśmieszek. Co, do diabła, miało być takie zabawne? Zaczął czytać.

„Jezu. O Jezu”. Czerwieniejąc, D'Agosta odłożył listy.

- Człowiek codziennie uczy się czegoś nowego, co, D'Agosta? - zapytał Lillian, szczerząc zęby.

D'Agosta ponownie skupił się na stole. Nieduży stosik książek: Tragiczne dzieje doktora Fausta Christophera Marlowe'a, Nowa księga chrześcijańskich modlitw, Malleus Maleficarum.

- „Młot na czarownice” - powiedział Pendergast, ruchem głowy wskazując ostatni tytuł. - Zawodowa instrukcja polowania na czarownice dla inkwizycji. Źródło informacji o czarnej magii.

Obok książek znajdował się plik wydruków z sieci. D'Agosta wziął do ręki pierwszą kartkę. Strona nosiła nazwę „Maledicat Dominus”, wyglądało na to, że poświęcona jest zaklęciom lub modlitwom mającym odstraszyć diabła.

- Podczas ostatnich dwudziestu czterech godzin życia odwiedził wiele stron tego rodzaju - powiedział Braskie. - Te wydrukował.

Pendergast za pomocą szkła powiększającego badał teraz korek do wina. - Jak wyglądało menu? - zapytał.

Braskie zajrzał do notesu, przerzucił parę stron i podał agentowi.

Pendergast przeczytał głośno: - Sola z Dover, grillowane medaliony wołowe w sosie z burgunda i grzybów, marchewka julienne, sałata, sorbet cytrynowy. Podane z petruszem, rocznik dziewięćdziesiąty. Znakomity gust w kwestii win.

Pendergast oddał notes, kontynuował polowanie. Nachylił się, podniósł zmięty kawałek papieru.

- Znaleźliśmy to zmięte w kulę w koszu na śmieci. To chyba jakaś korekta.

- Próbny wydruk artykułu do następnego numeru „Przeglądu Sztuki”. Jutro będzie w sprzedaży, jeśli się nie mylę. - Pendergast wygładził papier i ponownie zaczął głośno czytać: - „Historia sztuki, jak każda inna wielka dyscyplina, ma swoje uświęcone przybytki: miejsca i chwile, za obecność w których każdy szanujący się krytyk dałby się poćwiartować. Pierwsza wystawa impresjonistów na Boulevard des Capucines w 1874; dzień, w którym Braque po raz pierwszy zobaczył Panny z Awinionu Picassa. Jestem tu dziś, by obwieścić, że seria Golgota Maurice'a Vilniusa - obecnie wystawiana w jego studiu w East Village - będzie kolejnym takim znaczącym momentem w historii sztuki”.

- Wczoraj na stypie powiedziałaś chyba, że Grove nienawidził prac Vilniusa - odezwał się D'Agosta.

- Nienawidził - w ubiegłych latach. Ale wygląda na to, że zmienił zdanie. - Pendergast odłożył papier z zamyślonym wyrazem twarzy.

- To z pewnością wyjaśnia, czemu Vilnius był wczoraj w takim dobrym nastroju.

- Znaleźliśmy inny podobny artykuł leżący obok jego komputera -

stwierdził Braskie, wskazując kolejną kartkę na stole. - Wydrukowany, ale niepodpisany. Wydaje się jednak, że autorstwa Grove'a.

Pendergast wziął wskazany tekst. - To artykuł do „Burlington Magazine” zatytułowany „Ponowna ocena Edukacji Dziewicy Georges'a de la Toura”. - Szybko go przejrzał. - Krótki tekścik napisany przez Grove'a, wycofujący jego własną wcześniejszą recenzję, w której nazwał obraz de la Toura fałszerstwem. - Odłożył kartkę.

- Wygląda na to, że w ostatnich godzinach zmienił zdanie na temat wielu spraw.

Pendergast sunął wokół stołu, potem nagle się zatrzymał, tym razem obok pliku billingów. - Tak, to będzie pomocne, nie sądzisz, Vincencie? - powiedział, wręczając go D'Agoście.

- Właśnie dziś rano uzyskałem zgodę sądu na ich wydanie - oznajmił Braskie. - Z tyłu są podpisane nazwiska i adresy oraz krótkie wyjaśnienia dotyczące każdej osoby, do której dzwonił.

- Wydaje się, że ostatniego dnia wykonał masę telefonów - powiedział D'Agosta, przerzucając kartki.

- Owszem - potwierdził Braskie. - Do masy dziwnych ludzi.

D'Agosta odwrócił billingi i spojrzał na listę. Była dziwna: międzynarodowa rozmowa z profesorem Ianem Montcalmem z New College w Oksfordzie, z Instytutu Badań nad Średniowieczem. Inne, lokalne, do Evelyn Milbanke, Jonathana Fredericka. Wiele telefonów do biura numerów. Po północy telefony do Locke'a Bullarda, przemysłowca, jeden do Nigela Cutfortha i potem - jeszcze później - telefon do ojca Cappi.

- Planujemy przesłuchać ich wszystkich. Montcalm, nawiasem mówiąc, jest jednym ze światowych ekspertów w zakresie średniowiecznych praktyk satanistycznych.

Pendergast skinął głową.

- Milbanke i Frederick byli na tym ostatnim przyjęciu i telefony prawdopodobnie dotyczyły jego organizacji. Nie mamy pojęcia, po co dzwonił do Bullarda. Nie ma dowodów, że kiedykolwiek spotkał tego faceta. Także Cutforth jest tajemnicą. To jakiś producent muzyczny. Znowu brak wskazówek, aby on i Grove kiedykolwiek się na siebie natknęli. A jednak w obu wypadkach Grove miał ich domowe numery.

- A co z tymi telefonami do biura numerów? - zapytał D'Agosta. - Musiał dzwonić co najmniej do kilkunastu różnych miast.

- O ile wiemy, próbował wysledzić kogoś nazwiskiem Beckmann. Ranier Beckmann. Jego poszukiwania w internecie też obejmowały to nazwisko.

Pendergast odłożył brudną serwetkę, którą oglądał. - Znakomita robota, poruczniku. Czy nie ma pan nic przeciwko temu, abyśmy także przesłuchali niektóre z tych osób?

- Ależ proszę.

D'Agosta i Pendergast wsiedli do należącego do agenta rollsa, ostentacyjnie zaparkowanego przed posterunkiem, z szoferem w pełnej liberii. Gdy potężny pojazd nabierał szybkości, oddalając się od komendy, Pendergast wyjął z kieszeni oprawiony w skórę notes, otworzył go na pustej stronie i złotym piórem zaczął sporządzać notatki. - Wygląda na to, że mamy nadmiar podejrzanych.

- Taa. Właściwie każdego, kto znał Grove'a.

- Z możliwym wyjątkiem Maurice'a Vilniusa. Ale jeśli nawet, to spodziewam się, że lista dość szybko sama się skróci. Na razie pracę na jutro mamy zaplanowaną. - Wręczył D'Agoście kartkę. - Porozmawiasz z Milbanke, Bullardem i Cutforthem. Ja wezmę Vilniusa, Fosca i Montcalma. A tu masz wizytówki lokalnego biura FBI z Południowego Dystryktu na Manhattanie. Gdyby ktoś miał zastrzeżenia do przesłuchania, daj mu jedną z nich.

- Powiniennem szukać czegoś szczególnego?

- To wyłącznie rutynowe działania. Doszliśmy do punktu, w którym z żalem musimy uciec się do staroświeckich metod policyjnych. Czy nie tak mówią w tych powieściach detektywistycznych, które pisywałeś?

D'Agosta zdobył się na gorzki uśmiech. - Niezupełnie.



Nigel Cutforth, siedząc w swojej wnęce jadalnej w stylu Bauhausu tysiąc pięćdziesiąt dwie stopy ponad Piątą Aleją, opuścił najnowsze wydanie magazynu „Billboard” i wciągnął powietrze. Co w ostatnich dniach działo się z wentylacją w jego apartamencie? Ten siarczany smród już trzeci raz przedostawał się do mieszkania. Dwa razy przychodziły na górę te bysiory od konserwacji budynku, dwa razy niczego nie znaleźli.

Cutforth cisnął gazetą. - Eliza!

Eliza była drugą żoną Cutforth'a - w końcu rzucił to stare próchno, które zużyło się, dając mu dzieci, i znalazł coś świeższego - i właśnie stała w drzwiach w legginsach do ćwiczeń, szczotkując blond włosy z głową przechyloną na bok. Cutforth słyszał trzaski wyładowań elektrycznych.

- Znów ten zapach - powiedział.

- Też mam nos - stwierdziła, odrzucając do tyłu pasmo włosów i przekładając do przodu inne.

Jeszcze do niedawna Cutforth lubił patrzeć, jak bawi się włosami. Teraz zaczynało mu to działać na nerwy. Marnowała z pół godziny dziennie, co najmniej.

Nie przerywała szczotkowania, a Cutforth poczuł narastającą irytację. - Zapłaciłem za ten apartament pięć i pół miliona, a śmierdzi jak cholerne laboratorium. Czemu nie zadzwonisz do konserwacji?



- Telefon jest tutaj, obok twojego łokcia.

Cutfortowi nie podobał się ton, jakim z nim rozmawiała.

Odrzuciła do tyłu ostatnie kosmyki włosów, potrząsnęła nimi, wygładziła. - Za piętnaście minut mam trening spinningu. Już jestem spóźniona.

Mówiąc to, zniknęła. Cutforth słyszał walnięcie drzwiami szafy w korytarzu, zakładanie sportowych butów. Chwilę później pomruk windy w dalszym korytarzu i już jej nie było.

Gapił się na zamknięte drzwi, starając się pamiętać, że chciał czegoś świeższego i że dostał coś świeższego. Prawdę mówiąc, to było o wiele, kurwa, za świeże.

Ponownie pociągnął nosem. Zapach był jakby mocniejszy. Upierdliwa sprawa trzeci raz ściągać tu konserwatorów. Administracja budynku była bezużyteczna; zajmowali się czymś tylko wtedy, gdy człowiek dostatecznie głośno krzyczał. Ale na tym piętrze znajdowały się tylko dwa apartamenty - drugi wykupiony, lecz jeszcze niezamieszkały - a wyglądało na to, że na innych piętrach nikt niczego nie czuł. Więc Cutforth był jedynym, który krzyczał.

Wstał, czując ukłucie niepokoju. Grove w tym swoim dziwnym telefonie narzekał na paskudny zapach - na to i setkę innych dziwnych rzeczy. Pokręcił głową, starając się odegnąć chmury lęku, które powoli się nad nim zbierały. Znów pozwolił, żeby dopadły go te stare, odbierające sen wątpliwości i szalone obawy.

Może dochodził z wentylacji? Zaczął krążyć, badając powietrze. Silniejszy w salonie, jeszcze silniejszy w bibliotece. Poszedł za zapachem do drzwi studia, węsząc jak pies. Mocniejszy, coraz mocniejszy Otworzył drzwi zamknięte na klucz, wszedł, pstryknął

światło i rozejrzył się. Stał tam jego piękny sześćdziesięcioczerokanałowy mikser Studer, system zapisu dźwięku z macierzą RAID i półki ze sprzętem do nagrań audio. Na ścianie z tyłu znajdował się ciąg szklanych gablot mieszczących jego starannie gromadzoną kolekcję. Gitarę, którą Mick Jagger rozbił w Altamont; cennego telecastera Keitha Richardsa z 1950 roku, wciąż jeszcze z oryginalnymi adapterami. Byle jak naba-zgrany zapis nutowy Imagine z plamami od kawy i obscenicznymi ba-zgrołami na marginesach. Jego żona stwierdziła, że studio wygląda jak Planet Hollywood. To go naprawdę wkurzyło. W tym miejscu znajdowała się jedna z największych na świecie kolekcji pamiątek rockowych. W miejscu, w którym dzięki przysłanemu niespodziewanie z Cincinnati czterośladowemu demo odkrył Suburban Lawnmovers. To tu po raz pierwszy usłyszał muzykę Rappah Jowly i poczuł to szczególne ciepło pełnące wzdłuż kręgosłupa. Cutforth miał ucho. Umiał rozpoznać dźwięki przynoszące wielką forszę. Nie wiedział, skąd mu się to wzięło, ale kogo to obchodzi. Działo i tylko to miało znaczenie.

„Planet Hollywood, jasna dupa. Skąd, do diabła, bierze się ten zapach?”

Cutforth, kierując się węchem, dotarł do tafli szkła oddzielającej studio nagrań. Zdecydowanie stamtąd. Pewnie sprzęt się pali.

Otworzył ciężkie dźwiękoszczelne drzwi. Kiedy to zrobił, zapach ogarnął go jak tłusta mgła. Przez szybę tego nie zauważył, ale w powietrzu unosił się tu lekki opar. I nie tylko ten siarkowy smród; było coś znacznie gorszego. Przypominało wybieg dla świń w gorący letni dzień.

Szybko rozejrzył się po studiu, zerknął na fortepian marki

Bosendorfer, swoje ukochane mikrofony Neumann, na wydzielone, izolowane części pomieszczenia, na wyłożone dźwiękochłonnymi płytkami ściany.

Czy jakiś skurwysyn grzebał mu w studiu?

Cutforth przebiegł pomieszczenie wzrokiem, czując gniew pomieszany ze strachem. Niemożliwe, żeby ktoś wszedł do mieszkania. Miało kunsztowny alarm. Kiedy człowiek zadawał się z gangsterami i innymi typami, którzy różnice poglądów w interesach załatwiali za pomocą ołowiu, a nie prawników, dobre zabezpieczenia były konieczne.

Ponownie się rozejrzał. Chyba wszystko jest na miejscu. Sprzęt do nagrań wyłączony. Położył rękę na rzędzie wzmacniaczy: zimne, ciąg diod ciemny. Ale co to było? W dalekim kącie coś leżało na podłodze.

Podszedł, nachylił się nad jasnym drewnem podłogi, podniósł. Ząb. A raczej kieł. Jakby kieł knura. Z krwią, jeszcze mokry. Z kawałkiem chrząstki na jednym końcu.

Upuścił go z potężnym obrzydzeniem.

„Jakiś skurwiel tu był”.

Cutforth przełknął ślinę, wycofał się. Niemożliwe. Nikt nie mógł tu wejść. Przecież dopiero co sam otworzył zamknięte na klucz drzwi. Może to się stało wczoraj, kiedy oprowadzał tego organizatora, faceta, którego tak naprawdę nie znał. W tym biznesie człowiek ma do czynienia z masą dziwaków. Szybko chwycił jakąś szmatkę, podniósł przez nią ząb i wręcz pobiegł do kuchni, wrzucił wszystko do młynka na odpadki, włączył urządzenie. Słuchał dźwięku ciężkiego mielenia. Urządzenie wypuściło chmurę paskudnego smrodu, odwrócił twarz.

Rozległ się ostry dźwięk brzęczyka i Cutforth o mało nie wyskoczył pod sufit. Gwałtownie łapiąc oddech, podszedł do interkomu, nacisnął guzik.

- Pan Cutforth? Oficer policji chce się z panem widzieć. Cutforth rzucił okiem na ekranik wideo przy interkomie i zobaczył glinę po czterdziestce, który w holu Przeszł pował z nogi na nogę.

- W sobotę? Czego chce?

- Nie powiedział, proszę pana.

Cutforth zdołał wreszcie opanować oddech. Myśl o gliniarzu w mieszkaniu była teraz niemal zachęcająca. - Wyślij go na górę.

Przy bliższych oględzinach policjant wyglądał tak jak każdy amerykański gliniarz włoskiego pochodzenia, z akcentem klasy pracującej z Queens na dokładkę. Cutforth usadził gliniarza na sofie w salonie i zajął krzesło naprzeciwko. Facet miał na naszywce napisane Southampton, co stanowiło potwierdzenie podejrzeń Cutforth'a. Chodziło o Grove'a. Miał identyfikację numeru; w ogóle nie powinien odbierać telefonu od tego stukniętego sukinsyna.

Gliną wyjął notatnik i pióro, wyłożył minimagnetofon.

- Żadnego nagrywania - zastrzegł Cutforth.

Policjant wzruszył ramionami, schował urządzenie do kieszeni. - Ma pan tu dziwny zapach.

- Problemy z wentylacją.

Glina odwrócił kilka stron w notesie, przyszykował wszystko i mógł zaczynać. Cutforth rozsiadł się na krześle, krzyżując ramiona.

- Okej, oficerze Dee-Agusta, co mogę dla pana zrobić?

- Czy znał pan Jeremy'ego Grove'a?

- Nie.

- Dzwonił do pana bardzo wczesnym rankiem szesnastego października.

- Dzwonił?

- O to właśnie pana pytam.

Cutforth wyprostował ramiona, skrzyżował nogi, potem skrzyżował nogi odwrotnie, żałując już, że wpuścił gliniarza na górę. Jedyna pociecha, że nie wyglądał na zbyt bystrego.

- Odpowiedź brzmi tak, dzwonił do mnie.

- O czym rozmawialiście?

- Czy muszę odpowiadać na te pytania?

- Nie, przynajmniej nie w tej chwili. Jeśli pan sobie życzy, możemy zaaranżować coś bardziej oficjalnego.

Cutforthowi nie spodobało się to, co usłyszał. Szybko się zastanowił. - Nie ma tu nic do ukrycia. Posiadam kolekcję instrumentów muzycznych, pamiątek rockowych, tego rodzaju rzeczy. Był zainteresowany zakupem czegoś.

- Czego?

- Tylko listu.

- Proszę mi go pokazać.

Cutforth zdołał nie zdradzić zaskoczenia. Wstał. - Proszę za mną. Poszli razem do studia. Cutforth obrzucił pomieszczenie poszukującym wzrokiem. - Tego.

Glina podszedł, obejrzał, marszcząc brwi.

- List, który Janis Joplin napisała do Jima Morrisona, ale nigdy go nie wysłała. Tylko dwie linijki. Nazwała go najgorszą podrywką życia. - Cutforth zmusił się, żeby zachichotać.

Gliniarz wyjął notes i zaczął przepisywać list. Cutforth przewrócił

oczyrna.

- A cena?

- Powiedziałem mu, że nie jest na sprzedaż.

- Czy podał powód swojego zainteresowania?

- Powiedział tylko, że zbiera parafernalia Doorsów. To wszystko.

- A pan nie miał nic przeciw rozmowie o takiej godzinie?

- W muzycznym biznesie późno się kładziemy. - Cutforth podszedł do drzwi i przytrzymał je, wyraźnie dając gliniarzowi do zrozumienia, żeby wyszedł. Ale facet nawet nie drgnął. Zamiast tego chyba znowu węszył.

- Ten zapach jest naprawdę dziwny

- Właśnie miałem dzwonić po konserwatora.

- Dokładnie ten sam zapach był na miejscu zabójstwa Jeremy'ego Grovea.

Cutforth przełknął ślinę. Co takiego powiedział Grove? „Zapach jest z tego najgorszy Ledwie mogę normalnie myśleć”. W czasie rozmowy Grove powiedział, że coś znalazł - strzęp pokrytego futrem mięsa wielkości piłki do golfa. Wydawał się żywy... przynajmniej dopóki Grove go nie rozdeptał i nie spuścił w toalecie. Cutforth czuł, jak serce wali mu w piersi, więc wziął kilka głębszych oddechów, a potem powoli wypuścił powietrze, tak jak nauczono go na zajęciach z terapii gniewu. To było śmieszne. Był dwudziesty pierwszy wiek. „Wyhamuj, Nigel”.

- Czy zna pan Locke'a Bullarda, panie Cutforth? Albo Raniera Beckmanna?

Pytania, następujące jedno po drugim, podziały na niego niemal jak uderzenie. Potrząsnął głową, mając nadzieję, że nie zdradza go

wyraz twarzy.

- Kontaktował się pan z Beckmannem? - naciskał glina.

- Nie. - Cholera, w ogóle nie powinien go tu wpuszczać.

- A co z Bullardem? Jest pan z nim w kontakcie? Wie pan, jakaś przyjacielska rozmowa o dawnych czasach?

- Nie. Nie znam tego człowieka. Nie znam żadnego z nich. Policjant sporządził długi zapis w notatniku. Cutforth zastanawiał się, co wymagało tak długiego zapisywania. Czuł płynące mu po bokach cienkie strumyki potu. Przełknął, ale nie było czego przełykać. Usta miał suche.

- Na pewno nie chce mi pan powiedzieć niczego więcej o tym telefonie? Bo wszyscy, którzy rozmawiali z Grove'em tamtej nocy, twierdzili, że był zdenerwowany. Potwornie zdenerwowany. Niezupełnie w nastroju do zakupu rockowych pamiątek.

- Wszystko już panu powiedziałem.

Teraz w końcu wrócili do salonu. Cutforth nie usiadł ani nie zaproponował tego gliniarzowi. Chciał się go tylko pozbyć.

- Czy zawsze ma pan tak gorąco w mieszkaniu, panie Cutforth? Było gorąco, zauważył Cutforth, nawet jak dla niego. Nie odpowiedział.

- Na miejscu zabójstwa Grove'a także było wyjątkowo gorąco, mimo że w domu wyłączono ogrzewanie. - Policjant spojrzał na niego pytająco, ale Cutforth nadal nic nie mówił.

Gliniarz chrząknął, z trzaskiem zamknął notes, umieścił pióro z powrotem w skórzanej pętelce. - Na pana miejscu następnym razem odmówiłbym odpowiedzi na pytania policji bez obecności adwokata.

- Dlaczego?

- Ponieważ prawnik poradziłby panu, że lepiej trzymać buzię na kłódkę, niż kłamać.

Cutforth gapił się na glinę. - A czemu pan sądzi, że kłamię?

- Grove nienawidził muzyki rockowej.

Cutforth wstrzymał się z odpowiedzią. Facet nie był taki głupi, na jakiego wyglądał. Prawdę mówiąc, był równie głupi jak sprytny lis.

- Wróć, panie Cutforth. I następnym razem będzie z nagrywaniem i pod przysięgą. Proszę pamiętać, że składanie fałszywych zeznań to poważne przestępstwo. W ten czy inny sposób dowiemy się, o czym pan dyskutował z Grove'em. Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas.

Gdy tylko winda z szumem się oddaliła, Cutforth trzęsącą się ręką chwycił telefon i wybrał numer. Potrzebował wakacji i seksu na plaży. Na plaży na drugim końcu świata. Znał na Phuket dziewczynę, która robiła zdumiewające rzeczy. Nie mógł wyjechać jutro - Jowly, jego najważniejszy klient, był umówiony na uzupełniającą sesję nagraniową - ale potem będzie wolny jak ptak, pieprzyć resztę klientów. Wyniesie się z miasta w cholerę. Z dala od żony Z dala od tego gliny i jego pytań. I przede wszystkim z dala od tego mieszkania i jego smrodu...

- Doris? Tu Nigel. Chcę zabukować lot do Bangkoku. Jeśli można, jutro wieczorem, jeśli nie, pierwszy w poniedziałek rano. Nie, tylko ja. Plus limuzyna z kierowcą na Phuket. I znajdź mi ładny duży dom na plaży, coś naprawdę bezpiecznego, z kucharzem, pokojówką, osobistym trenerem, ochroniarzem i całą resztą. Nie mów nikomu, dokąd pojechałem, dobrze, kochanie? Taa, Tajlandia... Wiem, że mają tam upał o tej porze roku, nie martw się za mnie.

„Czy zawsze ma pan tak gorąco w mieszkaniu, panie Cutforth?”



Rzucił słuchawkę i wszedł do sypialni, cisnął na łóżko walizkę i zaczął wyciągać rzeczy z szafy: kąpielówki, kurtkę i spodnie ze skóry rekina, okulary, sandały, pieniądze, zegarek, paszport, telefon satelitarny. Nie dopadną go za fałszywe zeznania, jeżeli go, kurwa, nie znajdą.



W chwili gdy sierżant Vincent D'Agosta wchodził tylnymi drzwiami do Nowojorskiego Klubu Lekkoatletycznego, był cholernie wkurzonym gliną. Portier zatrzymał go przy wejściu od strony Central Park South - mimo że jako element umundurowania nosił krawat - i po wysłuchaniu wyjaśnienia posłał dookoła, do tylnych drzwi, ponieważ D'Agosta nie był członkiem klubu. Oznaczało to spacer aż do Szóstej Alei, cały kwartał przecznicą, i wędrówkę z powrotem Pięćdziesiątą Ósmą Ulicą - prawie ćwierć mili.

Idąc, D'Agosta kłął pod nosem. Cutforth kłamał, tego był pewien. Zaryzykował ze stwierdzeniem, że Grove nienawidził muzyki rockowej i Cutfortha zdradził wyraz oczu. A jednak mimo całej tej bezczelnej gadki D'Agosta wiedział, że między nim a bogatym draniem w rodzaju Cutfortha stał cały system prawny. Milbanke okazała się kompletnie nieużyteczna: chciała tylko pleść o swoim nowym naszyjniku ze szmaragdów Ta wariatka nie podsunęła mu żadnego śladu, nic. A teraz odbywał niespodziewany spacer dla zdrowia wokół jednego z najdłuższych kwartałów na Manhattanie. „Cholera”.

Kiedy dotarł wreszcie do tylnego wejścia do Klubu Lekkoatletycznego, stuknął w guzik przy windzie dla personelu - jedynej tutaj - a gdy po dobrych trzech minutach oczekiwania, skrzypiąc i trzeszcząc, otworzyła drzwi, wcisnął dziewiątkę. Winda

wznosiła się powoli, męcząc i jęcząc przez całą drogę, i w końcu z sapaniem ponownie otworzyła drzwi. D'Agosta wyszedł na mroczny korytarz - jak na modny klub było tu wyjątkowo ciemno - i poszedł w stronę wskazaną przez nieduży drewniany znak, złotą rękę z palcem pokazującym na napis „Bilard”. W powietrzu unosił się słaby zapach dymu z cygara, który sprawił, że zatęsknił za dobrym kubańskim. Żona tak marudziła, że przed przeprowadzką do Kanady rzucił palenie. Ale może znowu zacznie. Cholera, właściwie czemu nie.

Gdy szedł korytarzem, zapach stawał się silniejszy.

Przeszedł przez drzwi prowadzące do obszernego pomieszczenia, na wprost zakończonego ścianą wielkich okien. Gdy wszedł, kolejny stróż porządku zerwał się zza biureczka z okrzykiem „Proszę pana!”. Ignorując go, D'Agosta rozejrzał się po sali. W końcu spostrzegł samotną ciemną postać spowitą dymem, nachyloną nad najdalszym stołem bilardowym.

- Czy mogę zapytać o cel pańskiego przybycia...?

- Nie możesz. - D'Agosta przecisnął się obok człowieka z obsługi i długimi krokami minął stoły bilardowe z nisko zawieszonymi lampami, których światło tworzyło kałuże na szmaragdowej powierzchni. Minęła szósta i widoczny przez okna prostokąt Central Parku był ciemny jak cmentarz. Nowy Jork trwał w magicznej chwili zmroku, nie światła i nie ciemności, kiedy blask miasta współgrał z blaskiem nieba.

D'Agosta zatrzymał się jakieś dziesięć stóp od mężczyzny i wyciągnął notes. Otworzył go szybkim ruchem i napisał „Bullard. 20 października”. Potem czekał.

Spodziewał się, że Bullard podniesie wzrok i go zauważy, ale nie.

Zamiast tego mężczyzna mocniej nachylił się nad zielonym suknem, z twarzą w cieniu, i lekko uderzył następną bilę. Płynnym ruchem nadgarstka potarł kij kredą, obszedł stół, znów uderzył. Stół nie przypominał żadnego stołu bilardowego, jaki D'Agosta widział: znacznie większy, z mniejszymi kieszeniami i mniejszymi bilami wyłącznie w dwóch kolorach, czerwonym i białym.

- Pan Bullard?

Mężczyzna go zignorował, przemieszczając się, by wykonać kolejny strzał. Plecy miał ogromne, ramiona szerokie, opięte jedwabnym garniturem. Jedyne, co D'Agosta widział wyraźnie, to połyskujący niedopałek wielkiego cygara i dwie duże, węzłaste dłonie z żyłami grubymi i poskręcany jak dżdżownice, które gwałtownie wepchnęły się w krąg światła. Jedną rękę zdobiły dwa potężne złote pierścienie. Mężczyzna uderzył, przesunął się, znów uderzył.

Kiedy D'Agosta miał już coś powiedzieć, gracz gwałtownie się wyprostował, wyjął z ust cygaro i zapytał:

- Czego pan chce?

D'Agosta nie odpowiedział od razu. Za to przez minutę przyglądał się twarzy tego człowieka. Całkiem możliwe, że na ziemi nie było nikogo brzydszego. Głowę miał wielką i ciemną. Chociaż ciało, na którym była osadzona, wydawało się masywne i ciężkie jak u niedźwiedzia grizzly, głowa i tak robiła wrażenie zbyt dużej. Wystający podbródek przytrzymywany przez drgające mięśnie sięgające aż do pofałdowanych płatków uszu. Pośrodku znajdowały się suche mięsiste wargi, białe na tle ciemnej skóry; szczególnie nieprzyjemna kombinacja. Powyżej sterczał gruby nos z głębokimi

porami. Masywne, krzaczaste brwi wyraźnie wystawały ponad głęboko osadzonymi oczami. Niskie i szerokie czoło przechodziło w nagą czaszkę ze skórą pokrytą piegami i plamami wątrobowymi. Facet emanował brutalną siłą i pewnością siebie, cielesną i umysłową. Kiedy się poruszał, chrząścił niebieski jedwab opinający jego sylwetkę, ruchy były ciężkie i celowe jak u dobrze umięsnionego konia pociągowego.

D'Agosta oblizwał wargi. - Mam do pana kilka pytań.

Bullard patrzył na niego przez chwilę, potem ponownie umieścił cygaro w ustach, pochylił się nad stołem i lekko uderzył jedną z bil.

- Jeżeli tu nie może się pan skupić, zawsze da się to zorganizować w mieście.

- Minutę.

D'Agosta spojrział na zegarek. Zerknął do tyłu, zobaczył mizdrzącego się pracownika, który z nieznacznym, obraźliwym uśmiechem przyglądał im się z odległego końca sali, z rękoma splecionymi przed sobą, jakby był odźwiernym w kościele.

Bullard ustawił się plecami do D'Agosty, głęboko nachylając się nad stołem, jedwab napiął się i podsunął do góry, odsłaniając sztywną powierzchnię białej bawełnianej koszulki i czerwone szelki. Kolejne słabe puknięcie, kolejny szelest jedwabiu.

- Twoja minuta minęła, Bullard.

Bullard gwałtownie uniósł kij, wtarł w czubek trochę kredy, znów się nachylił. Sukinsyn naprawdę zamierzał wykonać jeszcze kilka uderzeń.

- Wkurzasz mnie, wiesz o tym?

Bullard wykonał uderzenie, okrążył stół do następnego. - W takim

razie może potrzebny ci kurs panowania nad gniewem. - Przesunął kij tam i z powrotem, a następnie najdelikatniejszym pchnięciem przesunął bilę o trzy cale, tak że musnęła drugą.

Dosyć tego. - Bullard, jeszcze jedno uderzenie, a zakuję cię w kajdanki i wyprowadzę stąd frontowymi drzwiami obok portiera i wszystkich innych, którzy się nawiną. Pomaszerujemy sobie potem wzdłuż Central Park South do Columbus Circle, gdzie zaparkowałem radiowóz. A potem poproszę przez radio o wsparcie i będę cię trzymał przy krawężniku na Columbus Circle z rękoma skutymi za plecami do zasranego końca tego sobotniego popołudnia, dopóki nie zjawi się wsparcie.

Ręce Bullarda znieruchomiały na kiju. Potem się wyprostował, mięśnie szczęki miał napięte. Wsunął rękę do kieszeni garnituru i zaczął stukać w klawiaturę komórki. - Chyba po prostu powiem burmistrzowi, że jeden z jego ludzi właśnie groził mi z użyciem wulgarnych przerywników.

- Proszę. Ale gdybyś nie zauważył, jestem z dystryktu Southampton i gówno mnie obchodzi twój burmistrz.

Bullard uniósł telefon do ucha i wsunął cygaro do ust. - W takim razie jesteś poza swoim terenem i groźenie mi aresztowaniem opiera się na fałszywych przesłankach.

- Jestem oficerem łącznikowym z Federalnym Biurem Śledczym, biuro lokalne Południowego Dystryktu na Manhattanie. - D'Agosta otworzył portfel, wyjął jedną z wizytówek, które dał mu Pendergast, rzucił ją na stół. - Jeżeli chcesz złożyć skargę u przełożonego, to agent specjalny Carlton i tu jest jego numer.

To wreszcie dotarło. Bullard powoli i z namysłem zamknął telefon.

Potem wrzucił cygaro do wypełnionej piaskiem spluwaczki w rogu, gdzie nadal się paliło. - W porządku. Zdołałeś przyciągnąć moją uwagę.

D'Agosta otworzył notes. Nie zamierzał marnować więcej czasu.

- Szesnastego października o godzinie drugiej zero dwa nad ranem Jeremy Grove wykonał telefon pod pański zastrzeżony numer domowy Na jachcie, jak sędzę. Rozmowa trwała czterdzieści dwie minuty. Czy to się zgadza?

- Nie przypominam sobie takiej rozmowy.

- Taa? - D'Agosta wysunął z notesu kserokopie billingów i wyciągnął przed siebie. - Rejestry firmy telefonicznej mówią co innego.

- Nie muszę tego oglądać.

- Czy był z panem w tym czasie ktoś jeszcze, ktoś, kto mógł odebrać ten telefon? Chciałbym dostać nazwiska. Dziewczyna, kucharz, opiekunka do dzieci, ktokolwiek. - Przygotował pióro.

Długie milczenie. - W tamtym czasie byłem na jachcie sam.

- Więc kto odebrał telefon? Kot?

- Na wszystkie pozostałe pytania odpowiem tylko w obecności mojego prawnika.

Facet miał głos pasujący do twarzy, głęboki i chrapliwy; kiedy mówił, D'Agosta miał wrażenie, że przesuwają mu zapałką wzdłuż rdzenia kręgowego. - Proszę pozwolić, że coś panu powiem: właśnie mnie pan okłamał. Okłamał pan funkcjonariusza policji. To utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości. Jeśli pan chce, może pan zadzwonić po adwokata, ale to już z miasta, bo teraz pana stąd wyprowadzę. Czy tak chce to pan załatwić? A może spróbujemy

jeszcze raz?

- To klub dla dżentelmenów i będę wdzięczny, jeśli nie będzie pan podnosił głosu.

- Mam pewne kłopoty ze słuchem, rozumie pan, a poza tym nie jestem dżentelmenem.

Czekał.

Białe wargi Bullarda uniosły się w czymś, co mogło być uśmiechem. - Teraz, kiedy pan o tym wspomniał, przypominam sobie ten telefon Grovea. Dawno nie rozmawialiśmy

- A czego dotyczyła rozmowa?

- Tego i owego.

- Tego i owego. - D'Agosta zapisał. „Tego i owego”. - Przez czterdzieści dwie minuty?

- Uzupełnialiśmy braki w wiadomościach, tego rodzaju sprawy.

- Jak dobrze znał pan Grove'a?

- Parę razy na siebie wpadliśmy. Nie byliśmy przyjaciółmi.

- Kiedy spotkał go pan po raz pierwszy?

- Lata temu. Nie pamiętam.

- Zapytam jeszcze raz. O czym rozmawialiście?

- Opowiedział mi, czym się ostatnio zajmował...

- To znaczy?

- Nie pamiętam dokładnie. Pisaniem artykułów, przyjęciami, tego rodzaju sprawami.

Zupełnie jak Cutforth, sukinsyn kłamał, kłamał, kłamał.

- A pan? O czym pan z nim mówił?

- Z grubsza o tym samym. O pracy, firmie.

- Z jakiego powodu zadzwonił?



- Będzie pan musiał jego zapytać. Po prostu odświeżaliśmy informacje o sobie.

- Zadzwoił do pana po północy, żeby odświeżyć informacje?

- Zgadza się.

- Jak to się stało, że miał pański numer? Jest zastrzeżony.

- Pewnie kiedyś mu go dałem.

- Myślałem, że nie był pańskim przyjacielem.

Bullard wzruszył ramionami. - Może dostał od kogoś innego.

D'Agosta zrobił pauzę, żeby spojrzeć na Bullarda. Stał w pewnym oddaleniu, częściowo w cieniu, częściowo w świetle. Wciąż nie mógł zobaczyć jego oczu.

- Czy Grove wydał się panu przestraszony albo niespokojny?

- Nie umiałbym stwierdzić. Naprawdę nie pamiętam.

- Czy zna pan Nigela Cutfortha?

Lekkie zawahanie przed odpowiedzią. - Nie.

- A Raniera Beckmanna?

- Nie. - Tym razem żadnej pauzy.

- Hrabiego Isidora Fosco?

- Nazwisko jest mi znajome. Chyba widziałem je raz czy dwa w rubryce towarzyskiej.

- Lady Milbanke? Jonathana Fredericka?

- Nie i nie.

Beznadziejne. D'Agosta umiał rozpoznać porażkę. Z kłaśnięciem zamknął notes. - Jeszcze z panem nie skończyliśmy, panie Bullard.

Bullard zdążył się już odwrócić z powrotem do stołu bilardowego.

- Ale ja z pewnością skończyłem z panem, sierzancie.

D'Agosta odwrócił się na pięcie, a potem zatrzymał. - Mam

nadzieję, że nie planuje pan żadnych podróży poza granice kraju, panie Bullard.

Cisza. Zachęcony, D'Agosta poszedł dalej tym tropem. - Mógłbym załatwić uznanie pana za ważnego świadka, ograniczyć panu swobodę ruchów - D'Agosta wiedział, że nie mógłby czegoś takiego zrobić, ale szósty zmysł mu powiedział, że wreszcie trafił. - Jak by się to panu podobało?

Wydawało się, że Bullard nie słyszał, ale D'Agosta wiedział, że było inaczej. Odwrócił się i poszedł w kierunku wyjścia, mijając wielkie zielone stoły z małymi kieszeniami. Przy drzwiach zatrzymał się, ostrym spojrzeniem mierząc człowieka z personelu. Uśmiezek zniknął, jego twarz nagle stała się całkowicie neutralna.

- Co to za gra? Bilard?

- Snooker, proszę pana.

- Snooker? - D'Agosta wpatrywał się w mężczyznę. Żarty sobie stroił? Brzmiało to jak coś, za co prostytutka policzyłaby ekstra. Ale twarz faceta z obsługi niczego nie zdradzała.

D'Agosta wyszedł z sali, zlokalizował frontową windę i zjechał na dół. Do diabła z portierem i jego zasadami.

W wielkiej sali bilardowej Nowojorskiego Klubu Lekkoatletycznego powoli dogasały resztki wieczornego światła. Locke Bullard stał nad stołem z kijem w rękach, nie widząc już stołu ani bil. Minęło sześćdziesiąt sekund. Potem umieścił kij na stole, podszedł do baru i podniósł słuchawkę. Coś trzeba było zrobić, i to zaraz. Miał do załatwienia ważną sprawę we Włoszech i nikt - a już na pewno nie ten parweniusz sierżant - mu w tym nie przeszkodzi.





D'Agosta zatrzymał się na schodach Nowojorskiego Klubu Lekkoatletycznego i zerknął na zegarek. Dopiero szósta trzydzieści. Pendergast poprosił, żeby wstąpił do jego, jak to nazwał, „miejskiej rezydencji” o dziewiątej, żeby mogli porównać notatki po dniu przesłuchań. Sprawdził w kieszeni, znalazł klucz, który dał mu Pendergast. Dziewiąta. Miał trochę czasu do zabicia. Jeśli służyła mu pamięć, na rogu Broadwayu i Sześćdziesiątej Pierwszej był ciemny mały irlandzki pub o nazwie „Mullin's”, gdzie podawano przyzwoite hamburgery. Mógłby wrzucić coś na ruszt i wypić zimne piwko.

Zerknął z powrotem do holu, zauważył spojrzenie snoba portiera, który zmusił go wcześniej do spaceru dookoła, i celowo postął na schodach trochę dłużej. Facet siedział w swoim kantorku, odwieszał właśnie słuchawkę i przyglądał mu się, wykrzywiając zasuszoną twarz. Cholera, czasami miało się wrażenie, że portierem na Manhattanie mógł zostać tylko przedpotopowy stary pierdziel.

Wreszcie leniwym krokiem zszedł ze schodów i skręcił w lewo, w Central Park South, myślami wracając do Pendergasta. Na co mu, do cholery, dom w górnej części miasta? Z tego, co słyszał, apartament agenta w Dakota House był obszerniejszy niż większość domów. Wyciągnął z kieszeni kartkę: 891 Riverside Drive. Która to z bocznych ulic? Pewnie chodzi o jeden z tych eleganckich starych budynków przy Riverside, w pobliżu Dziewięćdziesiątej Szóstej. Za

długo tkwił poza Nowym Jorkiem. W dawnych czasach potrafił wziąć dowolny adres przy którejś z alei i w pamięci ustalić, jaka to będzie boczna.

Pub „Mullin's" wciąż był tam, gdzie go pamiętał, mętne frontowe okno, długi bar i stare drewniane stoliki pod ścianą naprzeciwko. D'Agosta wszedł, serce rozgrzewała mu myśl o prawdziwym nowojorskim cheeseburgerze, krwistym, zamiast jednej z tych wymyślności z awokado, arugulą, camembertem i pancetą, które sprzedawano w Southampton za piętnaście dolarów.

Godzinę później, dobrze nakarmiony, D'Agosta wyszedł z pubu i ruszył na północ, do stacji metra przy Sześćdziesiątej Szóstej. Nawet o wpół do ósmej miliony samochodów gnały przed siebie, ścigały się i trąbiły, cuchnący chaos stali i chromu, a wśród nich obsrany złoty chevrolet impala z lat osiemdziesiątych, z przyciemnianymi szybami, który prawie przejechał mu po palcach. Obrzucając samochód stosowną wiązką przekleństw, D'Agosta zszedł do metra. Niezgrabnie przeciągnął kartą magnetyczną przez czytnik, a potem udał się w dół po schodach na peron. Mimo że poświęcił na obiad godzinę, będzie za wcześnie. Może powinien zostać w „Mullin's" na jeszcze jedno piwo.

Po niespełna minucie narastający ryk i balon stęchłego powietrza, siłą wypchniętego z ciemnego tunelu, obwieścił przybycie pociągu. D'Agosta wsiadł, zdołał znaleźć miejsce, usadowił się na twardym plastiku i zamknął oczy. Niemal instynktownie liczył przystanki: Siedemdziesiąta Druga, Siedemdziesiąta Dziewiąta, Osiemdziesiąta Szósta. Kiedy pociąg zwolnił przed Dziewięćdziesiątą Szóstą, otworzył oczy, wstał. Wyszedł wyjściem na południowym końcu

stacji.

Przeciął Broadway i poszedł na zachód, w dół Dziewięćdziesiątą Czwartą, przez West End Avenue do Riverside Drive. Po drugiej stronie zasypanej liśćmi ulicy, za cienkim zielono-srebrnym paskiem parku Riverside, widział autostradę West Side, a za nią rzekę. Wieczór był dość przyjemny, ale niebo już ciemniało i w powietrzu czuło się zapach wilgoci. Wolno płynąca rzeka Hudson wydawała się mętna jak atrament, a światła New Jersey drobnymi plamkami znaczyły jej daleki brzeg. Zobaczył słabe migotanie błyskawicy.

Odwrócił się i zbadał adres budynku na najbliższym rogu. Numer dwieście czternaście.

Dwieście czternaście? Zaklął. Naprawdę stracił wyczucie przez te kilka lat w Kanadzie. Osiemset dziewięćdziesiąt jeden było znacznie dalej, niż przypuszczał, może w pobliżu Harlemu. Czemu Pendergast tam mieszkał, do cholery?

Mógł wrócić do metra, ale to oznaczało długi spacer pod górę, z powrotem na Broadway, i być może długie oczekiwanie na stacji, potem pociąg pełznący w głąb miasta. Mógł złapać taksówkę, ale to nadal oznaczało spacer na Broadway, w dodatku o tej porze taksówki były trudno dostępnym towarem.

Ale mógł też zasuwać na piechotę.

D'Agosta zawrócił na północ i zaczął iść ulicą. To pewnie najwyżej dziesięć albo piętnaście przecznic pomiędzy krótkimi kwartałami. Klepnął się po brzuchu. Dobrze mu to zrobi, spali trochę tego tłustego hamburgera. Poza tym nadal miał ponad godzinę do zapełnienia.

Narzucił sobie zwawe tempo, kajdanki i kluczyki podzwaniały.

Wiatr dmuchał poprzez drzewa rosnące wzdłuż parku Riverside, a fasady budynków stojących frontem do rzeki były jasno oświetlone, większość z widocznym portierem albo ochroniarzem. Mimo że dochodziła ósma, masa ludzi dopiero wracała z pracy do domu: mężczyźni i kobiety w garniturach, muzyk niosący wiolonczelę, para w tweedowych marynarkach wyglądająca na profesorów college'u i kłócąca się głośno o kogoś nazwiskiem Hegel. Raz na jakiś czas ktoś na niego spoglądał, uśmiechał się, kiwał głową, zadowolony, że go widzi. Jedenasty września zmienił w Nowym Jorku wiele rzeczy i jedną z nich był sposób, w jaki ludzie patrzyli na gliniarzy Kolejny powód, żeby przy pierwszej sposobności ponownie się tu zatrudnić.

D'Agosta nucił, idąc, napełniając płuca ostrym zapachem, charakterystyczną dla West Side mieszanką słonego powietrza, spalin, śmieci i asfaltu. Przelotnie poczuł zapach palonej kawy z całodobowych delikatesów. Nowy Jork. Kiedy człowiek się nim zaraził, nie było szansy na wyleczenie. Gdy sytuacja ekonomiczna się zmieni i miasto zacznie zatrudniać, D'Agosta będzie pierwszy w kolejce. Jezu, mógłby zacząć jako zwykły krawężnik w Far Rockaway, gdyby to miało oznaczać, że znów pracuje dla nowojorskiej policji.

Przebiegł Sto Dziesiątą Ulicę. Numery wciąż na poziomie czterystu, rosły, ale nie dość szybko. Jak, do cholery, szła ta zasada wyliczania przecznicy dla Riverside? Coś podzielone przez coś minus pięćdziesiąt dziewięć... Nie potrafił nawet zgadnąć - wiedział tylko, że będzie się musiał zapuścić w głąb miasta dalej, niż myślał.

Przynajmniej miał mnóstwo czasu. Może Pendergast mieszkał w którymś z tych profesorskich domów z piaskowca przy Columbii. Na

pewno - Pendergast gnieźdzący się ze środowiskiem akademickim. Przyspieszył kroku. Budynki były teraz mniej eleganckie, prostsze, ale wciąż porządne i zadbane. Dotarł w okolice Uniwersytetu Columbia, pełne studentów w workowatych ciuchach. Jakiś dzieciak wrzeszczał do drugiego przez okno, rzucając mu książkę. D'Agosta zamyślił się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby pochodził z rodziny, która posłałaby go do college'u. Może byłby do tej pory wielkim pisarzem. Może krytykom bardziej podobałyby się jego książki. We właściwym college'u człowiek nawiązuje masę kontaktów, a na Columbii tych krytyków z „New York Timesa” musiało studiować od czorta. I wszyscy teraz recenzowali sobie nawzajem książki. Cholerny dział recenzji „Timesa” przypominał prywatny klub.

Pokręcił głową. Jak mawiał jego włoski dziadek, staruszek, wszystko to była acqua passata.

Przy Sto Dwudziestej Drugiej zatrzymał się, żeby złapać dech. Dziesięć po ósmej. Przewędrował milę. Jak na dziś wykonał normę. Wciąż miał mnóstwo czasu, ale spacer już go nie cieszył. A w tej części miasta miał zerowe szanse na taksówkę. W zasięgu wzroku wciąż jeden czy dwaj studenci, ale także tłumy dzieciaków wystających na gankach, przyglądających się, jak przechodzi obok, czasami z sykiem, czasami z mruknięciem. Zdał sobie teraz sprawę, że Riverside osiemset dziewięćdziesiąt jeden to będzie gdzieś przy Sto Trzydziestej Piątej Ulicy, jeśli nie trochę dalej. Mógł tam dotrzeć w dziesięć minut - i wciąż jeszcze byłby za wcześnie, ale to oznaczało wejście do serca Harlemu.

Ponownie wyciągnął z kieszeni wizytówkę. Był tam adres wypisany eleganckim pismem Pendergasta. Wydawało się to



niemożliwe. Ale widział wyraźnie.

Zostawił za sobą jasną oazę International House, nie spieszył się ani nie ociągał. Nie miał powodu do nerwów, nie w mundurze i uzbrojony w glocka dziewięć milimetrów.

Szedł dalej, okolica uległa gwałtownej zmianie. Zniknęli studenci, hałaśliwe zamieszanie. Latarnie były potłuczone, fasady domów ponure. Zrobiło się cicho, prawie pusto. Przy Sto Trzydziestej D'Agosta minął pustą rezydencję, jedną z tych naprawdę starych: blacha pozrywana z pustych ram okiennych, cały budynek cuchnący aż na ulicę pleśnią i uryną. Pałac ćpunów. W następnym kwartale znajdował się „hotel” z pojedynczymi pokojami, jego mieszkańcy siedzieli na ganku i pili piwo. Umilkli i śledzili go zamglonym wzorkiem. Ujadał pies.

Przy krawężnikach stała masa starych samochodów - poobtłukiwanych, bez szyb, czasami nawet bez kół - ale na ulicy było teraz mniej pojazdów. Minęła go staroświecka mikroskopijna honda accord CVCC, tak przerdzewiała, że nie dało się określić oryginalnego koloru. Jakąś minutę po niej nadjechał złoty impala z przyciemnianymi szybami. D'Agosta miał wrażenie, że zwolnił, kiedy go mijał. Patrzył, jak chevrolet skręcił w najbliższą przecznicę w prawo.

Złoty impala. W tym mieście musi ich być z milion. Cholera, zaczynał dostawać paranoi. Całe to wygodne życie w Southampton...

Nie przerywał marszu przed siebie, mijając rzędy opuszczonych budynków, stare domy podzielone na mieszkania i pokoje do wynajęcia. Na chodniku walały się teraz psie kupy, śmieci, potłuczone butelki. Większość ulicznych lamp nie działała - strzelanie

do nich stanowiło ulubioną rozrywkę gangów - a ponieważ miasto nie dbało o ten teren, trwało wieki, zanim je ktoś naprawił.

Zbliżał się teraz do samego centrum zachodniego Harlemu. Wydawało się niemożliwe, żeby Pendergast miał tu mieszkanie: facet był ekscentryczny, ale nie tak ekscentryczny. Następnym kwartałem, sto trzydziesty drugi, tonął w kompletnych ciemnościach, żadnych latarni, dwa znajdujące się tam budynki były opuszczone i zabite deskami. Ktoś powystrzelał nawet światła po stronie parku. Idealne miejsce na napad - tyle że nikt przy zdrowych zmysłach nie chodził tamtędy piechotą w nocy.

D'Agosta przypomniał sobie, że był uzbrojony, w pełnym umundurowaniu, z radiem. Potrząsnął głową. Ależ się z niego zrobił mięczak. Stanowczo, długim krokiem ruszył wzdłuż ciemnego kwartału.

I wtedy zauważył za sobą jadący powoli samochód. Zdecydowanie zbyt powoli. Gdy przejechał pod ostatnią latarnią, D'Agosta zobaczył połysk złota - ten sam chevrolet impala, który o mało na niego nie wjechał na Sześćdziesiątej Pierwszej Zachodniej.

D'Agosta zapomniał może wzoru na wyliczanie przecznicy, ale wyrobione w policji wyczucie sytuacji miał w idealnym porządku i teraz wyraźnie się odezwało. Samochód posuwa się z taką prędkością, że znajdzie się obok niego dokładnie w środku ciemnej przestrzeni.

To była zasadzka.

D'Agosta z miejsca podjął decyzję. Ruszając biegiem, skręcił na lewo i sprintem przeciął ulicę przed zbliżającym się chevroletem. Usłyszał wizg przyspieszających kół, ale biegł tak szybko, że kiedy

auto z piskiem stanęło przy krawężniku, wpadł już na teren parku Riverside.

Kiedy rzucił się w ciemność między drzewami, zobaczył, że dwoje drzwi otwiera się jednocześnie.

Drzwi do dziesięciopokojowego apartamentu w hotelu „Sherry Netherland” zostały otwarte przez angielskiego lokaja odzianego tak nieskazitelnie, że wyglądał, jakby zszedł z kart powieści Wodehouse'a. Ukłonił się Pendergastowi i odsunął na bok. Dwurzędowy surdut w stylu księcia Alberta był idealnie wyszczotkowany, a kiedy mężczyzna się poruszył, wykrochmalony przód białej koszuli słabo zaskrzypiał. Jedną dłonią, obleczoną w białą rękawiczkę, wziął płaszcz agenta, w drugiej trzymał srebrną tacę. Pendergast bez wahania sięgnął do kieszeni, wyjął wąskie złote pudełeczko na wizytówki i umieścił na tacy bilet wizytowy.

- Szanowny pan zechciałby uprzejmie zaczekać. - Lokaj kolejny raz lekko się skłonił i zniknął w długim korytarzu, niosąc tacę przed sobą. Dało się słyszeć delikatne otwieranie drzwi, słabe szcęknięcie i stukanie młotkiem. Otwarto następne, dalsze drzwi. Kilka minut później lokaj wrócił.

- Szanowny pan zechce pójść za mną.

Pendergast wszedł za lokajem do wyłożonego drewnem salonu, gdzie powitał go widok płonących polan. Ogień wesoło trząskał w obszernym kominku.

- Zapraszam szanownego pana do zajęcia wygodnego miejsca - powiedział lokaj.

Pendergast, nieodmiennie pożądamy ciepła, wybrał czerwone

skórzane krzesło najbliższe ognia.

- Hrabia będzie wolny za chwilę. Czy szanowny pan miałby ochotę na amontillado?

- Chętnie. Dziękuję.

Lokaj wycofał się bezszelestnie i ponownie pojawił po czasie krótszym niż trzydzieści sekund, niosąc tacę, na której podał kryształowy kieliszek do połowy wypełniony bladym, bursztynowym płynem. Postawił go na najbliższym stoliku i równie bezszelestnie zniknął.

Pendergast sączył wytrawny, delikatny alkohol i z rosnącym zainteresowaniem rozglądał się po pokoju. Umeblowano go z wyjątkowym, choć dyskretnym gustem, z powodzeniem łącząc wygodę i piękno. Podłogę okrywał rzadki okaz perskiego dywanu z czasów dynastii Safawidów, w stylu szacha Abbasa. Kominek był stary, wyrzeźbiony z szarego florenckiego pietra serena, z herbem starożytnej rodziny szlacheckiej. Na stole, na którym postawiony został kieliszek, także znajdował się interesujący wybór przedmiotów: kilka starych sreber, antyczna kolba, kilka uroczych szklanych rzymskich butelek na perfumy i etruski drobiazg z brązu.

Jednak to obraz nad kominkiem zaskoczył Pendergasta. Wyglądał na dzieło Vermeera, przedstawiał damę przy oknie z oprawionymi w ołów szybkami, oglądającą kawałek koronki; chłodne flamandzkie światło zza szyby padało poprzez koronkę, która rzucała słaby cień na suknię kobiety. Pendergast znał wszystkie z trzydziestu pięciu opisanych obrazów Vermeera. Ten do nich nie należał. A jednak nie mógł być falsyfikatem: żaden fałszerz nie był w stanie skopiować światła Vermeera.

Rozglądał się dalej. Na przeciwległej ścianie powieszono niedokończony obraz w stylu Caravaggia pokazujący nawrócenie Pawła w drodze do Damaszku. Była to mniejsza i nawet bardziej wyrazista wersja sławnego malowidła Caravaggia z Santa Maria del Popolo w Rzymie. Im dłużej Pendergast na nią patrzył, tym bardziej wątpił, że ma do czynienia z kopią albo szkołą. W rzeczy samej wyglądało to raczej na studium namalowane ręką mistrza.

Pendergast skierował teraz uwagę na ścianę po prawej, gdzie wisiał trzeci obraz: dziewczynka w ciemnym pokoju czytająca książkę przy świecy. Rozpoznał go jako obraz bardzo podobny - a jednak nie kopię - do serii prac na ten sam temat: Edukacja Dziewicy autorstwa tajemniczego francuskiego malarza Georges'a de la Toura. Czy to mógł być autentyk?

W pokoju znajdowały się wyłącznie te trzy obrazy: trzy zapierające dech klejnoty. Nie zaprezentowano ich jednak z pompą i pretensjonalnie, przeciwnie, wydawały się elementem budowania klimatu, umieszczone tu raczej dla prywatnej przyjemności niż dla budzenia publicznej zawiści. Żaden z obrazów nie miał nawet tabliczki z podpisem.

Pendergast był coraz bardziej ciekawy hrabiego Fosca.

Z dalszych pokoi dobiegły kolejne słabe dźwięki, natychmiast wyłowione przez niezwykle czuły słuch agenta. Gdzieś daleko otworzyły się drzwi i Pendergast usłyszał ptasie gwizdanie, lekki stukot kroków i głęboki, czuły głos.

Słuchał uważnie.

- Wychodź i wskakuj na górę! Raz, dwa, trzy, i na górę! Trzy, dwa, jeden - i na dół!

Wybuchy świergotania i kwilenia połączone z jeszcze jednym dźwiękiem - stukotem i wibracją - napływały do pokoju z oddali zmieszane z radosnymi zachętami. Potem miękko odezwał się piękny tenor śpiewający nuty arii belcanto. Ptak - jeśli to był ptak - ucichł jak zaczarowany. Głos nabrał siły i mocy, potem powoli ścichł, a kiedy to nastąpiło, wrócił lokaj.

- Hrabia teraz pana przyjmie.

Pendergast wstał i ruszył za nim długim, szerokim korytarzem zastawionym książkami do gabinetu.

Hrabia w swym korpulentnym majestacie stał w przestronnym studiu zakończonym ścianą szkła od podłogi do sufitu, odwrócony plecami, wyglądając na mały balkon obramowany krzakami różniknymi w mroku. Miał na sobie spodnie i świeżą białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Obok znajdował się nieskazitelny stół do pracy. Z zegarmistrzowską precyzją ułożono na nim co najmniej setkę narzędzi: maleńkie śrubokręty, ciupeńkie lutownice, jubilerskie piłki, zegarmistrzowskie imadła i pilniki. Dalej szereg niezwykle małych zębatek, mechanizmów zapadkowych, sprężyn, widełek i innych misternych metalowych części mechanicznych razem z czipami, płytkami obwodów elektrycznych, pękami kabli światłowodowych, diod, kawałków gumy i plastiku oraz innych elektronicznych przedmiotów o tajemniczym przeznaczeniu.

Pośrodku stołu znajdowała się drewniana podstawka w kształcie litery T, a na niej dziwny przedmiot, na pierwszy rzut oka kakadu triton, lśniący białą, z cytrynowożółtym grzebieniem. Przy bliższych oględzinach okazywało się jednak, że to urządzenie mechaniczne: ptak-robot.

Lokaj uprzejmie wskazał Pendergastowi najbliższy stółek. W czarodziejski sposób zjawilo się jego do połowy wypite amontillado, a potem służący zniknął niby duch.

Pendergast przyglądał się hrabiemu. Ten wolną ręką chwycił z tacy orzeszek rzewni, umieścił go między tłustymi wargami i wysunął usta. Z gwizdem podniecenia robot kakadu wspiął się na ramię Fosca, potem przesunął w stronę ucha i - wychylając się do wtóru obrotu zębatek - wyjął nasionko z jego warg, rozłupał mechanicznym dziobem, a potem wykonał dokładnie takie ruchy, jakby je zjadał.

- Ach! Mój śliczny, koniec zabawy! - zaszcebiotał hrabia. - Wracaj na żerdkę. - Lekkie machnięcie ręki w rękawiczce. Kakadu wydobyła z siebie skrzek niezadowolenia i nastroszyła mechaniczny grzebień, ale się nie ruszyła.

- A, dziś uparty, jak widzę. - Hrabia odezwał się głośniejszym, bardziej stanowczym głosem. - Wracaj na żerdkę, mój śliczny, albo przez resztę dnia będziesz jadł proso zamiast orzeszków.

Z kolejnym skrzekiem kakadu zeskoczyła mu z ramienia na stół, kołysząc się, podeszła do podstawki i wspięła na nią za pomocą metalowych pazurków, po czym pozostała na miejscu, oczami z diod błyskając w stronę Pendergasta.

I teraz wreszcie hrabia odwrócił się z uśmiechem i ukłonem, wyciągając dłoń do agenta. - Przepraszam, że kazałem panu czekać... Mój przyjaciel - jak pan widzi - musi odbyć swoje ćwiczenia.

- Niezwykle interesujące - sucho stwierdził Pendergast.

- Bez wątplenia! To prawda, z moimi zwierzakami wyglądam śmiesznie.



- Zwierzakami?

- Tak. No, ale widzi pan, jak mnie kochają! Kakadu i... - zwrócił tłuścą twarz w inną stronę pokoju, gdzie coś, co wyglądało jak stadko myszy, dokazywało w skomplikowanej pagodzie z drutu wśród szczęknięć, zgrzytów i cyfrowych pisków - moje kochane białe myszki! Ale oczywiście ze wszystkich tych śliczności to Bucefalus jest moją dumą i radością. - I Fosco odwrócił się do papugi. - Prawda, mój śliczny?

Jedyną reakcją ptaka było schowanie masywnego czarnego dzioba między zmierzwione sztuczne piórka, jakby wstydliwie przyjmował komplement.

- Musi pan wybaczyć Bucefalusowi! - powiedział Fosco z dezaprobatą. - Nie przepada za obcymi. Powoli się zaprzyjaźnia i wrzeszczy, kiedy jest niezadowolony - ach, przyjacielu, wydaje takie wrzaski, że by pan nie uwierzył! Byłem zmuszony wziąć dwa apartamenty przylegające do tego i kosztem wielkich osobistych wydatków zachować je niezamieszkanymi. Zwykłe ściany, widzi pan, nie stanowią przeszkody dla płuc tego wspaniałego stworzenia!

Robot kakadu w żaden sposób nie okazał, że przyjmuje do wiadomości ten panegiryk, przyglądał się Pendergastowi bez ruchu.

- Ale wszystkie przepadają za operą. Jak powiedział Congreve, muzyka ma urok et cetera. Może słyszał pan mój kiepski śpiew. Czy rozpoznał pan utwór?

Pendergast skinął głową. - Aria Pollione z Normy, *Abbandonarmi cosi potresti*.

- A! Więc podobało się panu.

- Powiedziałem, że rozpoznałem. Proszę mi powiedzieć, hrabio,

czy sam pan zbudował te roboty?

- Tak. Jestem miłośnikiem zwierząt i gadżetów. Czy chciałby pan zobaczyć moje kanarki? Mam na myśli te prawdziwe; rzadko dokonuję rozróżnienia między swoimi dziećmi a dziećmi natury.

- Nie, dziękuję.

- Powinienem się urodzić w Ameryce jako Thomas Edison, tu, gdzie moją pomysłowość wspomagałyby słowa zachęty Ale zamiast tego urodziłem się wśród sztywnej, gnijącej florenckiej arystokracji, gdzie umiejętności takie jak moje są bezużyteczne. Tam, skąd pochodzę, hrabiowie powinni stać mocno, obiema nogami, w osiemnastym wieku, jeśli nie wcześniej.

Pendergast poruszył się. - Czy mogę przeszkodzić panu kilkoma pytaniami, hrabio?

Hrabia machnął ręką. - Zostawmy cały ten hrabiowski ambaras. Jesteśmy w Ameryce i tutaj jestem Isidorem. Czy mogę nazywać pana Aloysium?

Zapadło krótkie milczenie, a potem Pendergast odezwał się chłodno. - Jeśli nie robi to panu różnicy, hrabio, wolałbym przeprowadzić to przesłuchanie na stopie formalnej.

- Jak pan woli. Widzę, że poczciwy Pinketts zaopatrzył pana w coś odświeżającego. Prawdziwy skarb, nie sądzi pan? Anglicy lordowali Włochom przez tyle stuleci, że znajdują przyjemność w zarządzaniu przynajmniej jednym Anglikiem. Pan nie jest Anglikiem, prawda?

- Nie.

- W takim razie możemy swobodnie rozmawiać o Anglikach. Ech! Proszę sobie wyobrazić, że jedyny kompozytor wart zapamiętania, jakiego z siebie wydali, to człowiek nazwiskiem Byrd. - Hrabia

rozsiadł się w fotelu naprzeciw, a kiedy siadał, Pendergast ponownie zwrócił uwagę, jak lekko i łatwo poruszał się ten ogromny mężczyzna, jak delikatnie się sadowił.

- Moje pierwsze pytanie, panie hrabio, dotyczy przyjęcia. Kiedy pan na nie przybył?

Hrabia z szacunkiem złożył razem białe ręce, jakby zamierzał się modlić, i westchnął: - Grove chciał, żebyśmy przyszli na siódmą. W dodatku w poniedziałek - to zupełnie do niego niepodobne. Pojawialiśmy się kolejno, stosownie spóźnieni, między siódmą trzydzieści a ósmą. Ja zjawiłem się pierwszy.

- Jaki był stan psychiczny Grove'a?

- Powiedziałbym, że bardzo kiepski. Jak już mówiłem, wydawał się zdenerwowany, napięty do granic. Jednak nie do tego stopnia, żeby się nie zabawić. Miał kucharza, ale główne dania przygotował sam. Całkiem nieźle radził sobie w kuchni. Zrobił znakomitą solę, lekko zgrillowaną nad ogniem, z cytryną. Tylko tyle. Ideał. Następnie...

- Mam już menu, dziękuję. Czy coś sugerowało, dlaczego jest zdenerwowany?

- Nie. Prawdę mówiąc, chyba usilnie starał się to ukryć. Strzelał oczami na boki. Po wpuszczeniu każdego z gości zamykał drzwi na klucz. Prawie nie pił, co nie było w jego stylu. Był człowiekiem, który w normalnych warunkach lubił czerwone wino, i nawet przy tej okazji podał świetne wina, rozpoczynając od tokaju z Friuli, a potem petru-sa, rocznik dziewięćdziesiąty, rzeczywiście znakomitego.

Chateau Petrus, rocznik tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty, uważany za najlepszy od czasów legendarnego rocznika

sześćdziesiątego pierwszego, to jedno z win najwyższej cenionych przez Pendergasta; miał on tuzin butelek z Pomerolu, po dwa tysiące dolarów każda, złożonych w piwnicy w Dakota. Postanowił nie wspominać o tym fakcie.

Hrabia kontynuował opis z wielkim poczuciem humoru i swadą. - Grove otworzył także, pod wpływem chwili, wino z Castello di Verrazzano, to tak zwane bottiglia particolare, ze srebrną etykietą. Wyjątkowe.

- Czy znał pan pozostałych gości?

Hrabia się uśmiechnął. - Lady Milbanke znam dość dobrze. Vilniusa kilka razy spotkałem. Jonathana Fredericka znam tylko z tekstów.

- O czym rozmawialiście podczas kolacji?

Uśmiech stał się szerszy. - To było najbardziej szczególne.

- Tak?

- Pierwszą część kolacji zdominowała rozmowa o obrazie Georges'a de la Toura, który widział pan w moim salonie. Co pan o nim sądzi, agencie Pendergast?

- Czy moglibyśmy się trzymać tematu, panie hrabio?

- To jest temat. Proszę okazać cierpliwość. Myśli pan, że to de la Tour?

- Tak.

- Dlaczego?

- Ruchy pędzla na koroncy są bardzo charakterystyczne, a płomień świecy przeświecający palce oddany dokładnie w stylu de la Toura.

Hrabia spojrział na Pendergasta z zaciekawieniem, ze słabym błyskiem czegoś nieokreślonego w oczach. Po długim milczeniu

niezwykle cicho i poważnie powiedział: - Bardzo mnie pan zaskoczył, Pendergast. Jestem pod wielkim wrażeniem. - Żartobliwy, familiarny ton zniknął z jego głosu. Hrabia zamilkł, a potem podjął opowiadanie. - Dwadzieścia lat temu znalazłem się w niewielkim finansowym kłopotcie. Wystawiłem właśnie ten obraz na sprzedaż w Sotheby's. Dzień przed aukcją Grove napisał w „Timesie” artykuł, w którym nazwał go jednym z fałszerstw Delobre'a, wykonanych na przełomie stuleci. Wycofano mnie z aukcji i mimo że miałem w ręku dowód autentyczności, straciłem piętnaście milionów dolarów.

Pendergast rozważył to, co usłyszał. - I o tym rozmawialiście? O tym, że naznaczył pańskiego de la Toura piętnem fałszerstwa?

- Tak, z początku. Potem rozmowa zeszała na Vilniusa i jego obrazy Grove przypomniał nam pierwszą wielką wystawę Vilniusa, w SoHo we wczesnych latach osiemdziesiątych. W tym czasie Grove napisał szeroko znaną miażdżącą recenzję. Wystarczy powiedzieć, że kariera Vilniusa nigdy się po tym nie podźwignęła.

- Dziwny temat rozmowy.

- W rzeczy samej. A potem Grove poruszył kwestię lady Milbanke i romansu, który z nią miał lata temu.

- Wyobrażam sobie, że było to dość poruszające przyjęcie.

- Rzadko widywałem coś, co może się z nim równać.

- Jak zareagowała Milbanke?

- A spodziewa się pan, że jak mogła zareagować dama? Ten romans zrujnował jej małżeństwo. A potem Grove potraktował ją wstrętnie, zostawił dla chłopca.

- Wydaje się, że każdy z was miał powód, aby być śmiertelnym wrogiem Grove'a.

Fosco westchnął. - Tak. Wszyscy go nienawidziliśmy, także Frederick. Zupełnie nie znam tego człowieka, ale jak zrozumiałem, parę lat temu, kiedy był redaktorem „Art & Style”, miał czelność napisać o Grovie coś paskudnego. Grove skorzystał z pomocy wysoko postawionych przyjaciół i Frederick został zwolniony, zanim się obejrzał. Biedak latami nie mógł znaleźć pracy.

- Kiedy przyjęcie się skończyło?

- Po północy.

- Kto wyszedł pierwszy?

- Ja wstałem pierwszy i oznajmiłem, że wychodzę. Zawsze potrzebowałem potężnej dawki snu. Pozostali podnieśli się w tym samym czasie. Grove bardzo niechętnie na to patrzył. Nie przestawał namawiać nas na drinki, kawę. Wyjątkowo mu zależało, żebyśmy zostali.

- Wie pan czemu?

- Wydawało się, że boi się być sam.

- Czy przypomina pan sobie dokładnie jego słowa?

- Do pewnego stopnia. - Fosco zaczął mówić wysokim głosem z arystokratycznym akcentem brzmiącym wyjątkowo realistycznie: - „Przyjaciele! Chyba już nie idziecie! Ależ dopiero północ! Chodźcie, wnieśmy toast za nasze pojednanie i wypijmy za to, że po latach pozbyłem się mojej nierozważnej dumy. Mam znakomite porto, którego musisz spróbować, Fosco - i chwycił mnie za rękaw - Graharn's Tawny, rocznik siedemdziesiąty drugi”. - Fosco pociągnął nosem. - O mało mnie nie skusił, żeby zostać, kiedy to usłyszałem.

- Czy wszyscy wyszliście razem?

- Mniej więcej. Pożegnaliśmy się i ruszyliśmy przez trawnik.

- O której to miało miejsce? Chciałbym wiedzieć jak najdokładniej, jeśli pan łaskaw.

- Dwunasta dwadzieścia pięć. - Przez chwilę patrzył na Pendergasta, a potem powiedział: - Proszę wybaczyć, że poczynię tę uwagę, ale wśród wszystkich tych pytań nie zadał pan najważniejszego.

- A jakie to pytanie, panie hrabio?

- Dlaczego Jeremy Grove zaprosił nas, czworo swoich śmiertelnych wrogów, abyśmy spędzili z nim finalną noc życia?

Pendergast długo nie odpowiadał. Starannie rozważał pytanie i myślał o człowieku, który je właśnie sformułował. W końcu stwierdził po prostu: - Dobre pytanie. Uznajmy je za postawione.

- Dokładnie to samo pytanie zadał sam Grove, kiedy zebrał nas przy stole na początku przyjęcia. Powtórzył to, co mówiło jego zaproszenie: że zaprosił nas tej nocy do swojego domu, ponieważ byliśmy czwórką ludzi, których potraktował najbardziej nieuczciwie. Chciał to nam wynagrodzić.

- Czy ma pan egzemplarz zaproszenia?

Hrabia Fosco z uśmiechem wyjął go z kieszeni koszuli i wręczył - krótką, odręcznie napisaną notkę.

- I już zaczął wynagradzać. Na przykład ponowną oceną prac Wilniusa.

- Znakomita recenzja, nie uważa pan? Jak sędzę, Wilnius właśnie załatwił sobie wystawę prac w Galerii 10, a oni podwoili jego ceny.

- A lady Milbanke? Jonathan Frederick? Jak im to wynagrodził?

- Ponieważ nie mógł naprawić małżeństwa lady, dał jej coś w zamian. Podał jej przez stół niezwykle naszyjnik, więcej niż dość, by

zastąpić to próchno, tego wysuszonego barona, którego straciła. Czterdzieści karatów nieskazitelnych szmaragdów ze Sri Lanki, wartych co najmniej milion dolarów. O mało nie zemdłała. A Frederick? Bez powodzenia starał się o stanowisko prezesa Fundacji Edsel, a Grove załatwił mu tę pracę.

- Niezwykłe. A co zrobił dla pana?

- Z pewnością zna już pan odpowiedź.

Pendergast skinął głową. - Artykuł, który pisał do „Burlington Magazine”. „Ponowna ocena Edukacji Dziewicy Georges'a de la Toura”.

- Właśnie. Ogłaszając, że popełnił błąd, składając stosownie pokorne przeprosiny, bijąc się w piersi i potwierdzając chwalebłą autentyczność obrazu. Odczytał nam ten artykuł na głos przy stole.

- Został przy komputerze. Niepodpisany i niewysłany

- Aż nazbyt zgodne z prawdą. Z całej naszej czwórki ja jeden straciłem na jego śmierci. - Rozłożył ręce. - Gdyby morderca zaczekał jeden dzień, byłbym bogatszy o czterdzieści milionów.

- Czterdzieści milionów? Myślałem, że wystawiono go na sprzedaż za piętnaście.

- To wycena Sotheby's sprzed dwudziestu lat. Dzisiaj ten obraz poszedłby za przynajmniej czterdzieści milionów. Ale skoro wiadomo, że Grove uznał go za jedno z fałszerstw Delobre'a... - Fosco wzruszył ramionami. - Niepodpisany artykuł obok komputera martwego człowieka nic nie znaczy. Jedno jest w tym dobre: przez resztę życia będę miał cudowny obraz do oglądania. Ja wiem, że jest autentyczny, i pan wie, że jest autentyczny, nawet jeżeli nie wie o tym nikt inny.



- Tak - stwierdził Pendergast. - Ostatecznie to jedyne, co się liczy.
- Dobrze powiedziane.
- A ten Vermeer, który wisi obok?
- Autentyczny
- Rzeczywiście?
- Jest datowany na 1671 rok, między Kobieta pisać list ze służącą a Alegorią wiary.
- Skąd pochodzi?
- Znajduje się w mojej rodzinie od kilkuset lat. Hrabowie Fosco nigdy nie rozgłaszali swojego stanu posiadania.
- Jestem szczerze zdumiony.

Hrabia uśmiechnął się, skłonił. - Czy ma pan czas, by obejrzeć resztę mojej kolekcji?

Pendergast wahał się zaledwie sekundę. - Prawdę mówiąc, owszem.

Hrabia wstał i podszedł do drzwi. Tuż przed wyjściem zwrócił się do mechanicznej kakadu, wciąż siedzącej na swojej żerdce.

- Miej tu oko na wszystko, Bucefalusie, mój śliczny. W odpowiedzi ptak wydał cyfrowy skrzek.



D Agosta przemieszczał się szybko między drzewami, szukając najciemniejszej części parku - gęsto rosnących drzew i krzaków wzdłuż nasypu prowadzącego w dół do autostrady West Side. Zatrzymał się na chwilę wystarczającą, żeby się obejrzeć. Biegły za nim dwie postacie, w rękach połyskiwały im pistolety.

Pochylny, klucząc między drzewami, D'Agosta rozpiął kaburę swojego glocka. Wyciągnął broń, odbezpieczył. Była to broń używana w większości komend policji i D'Agosta nie miał wyboru, czy chce się nią posługiwać na służbie i poza nią. Bez tego kopa, co jego osobista czterdziestka piątka, ale lekka i można było na niej polegać, a co ważniejsze, mieściła piętnaście naboí. Tego ranka zostawił zapasowy magazynek w szufladzie biurka - komu potrzeby zapasowy magazynek podczas dnia przesłuchań?

Mężczyźni byli już między drzewami, poruszali się szybko. D'Agosta biegł dalej, nie zwracając uwagi na hałas, który robi - zarośla nie były dość gęste, żeby ukryć go na więcej niż minutę lub dwie, i to w najlepszym wypadku. Zmierzał na południe, gałązki trzaskały mu pod stopami. Gdyby dał radę ich zgubić choćby na pewien czas, może udałoby mu się wrócić do Riverside Drive i ruszyć w stronę Broadwayu. Nie ośmieliliby się gonić go tak ruchliwą ulicą. Szybko przemyślał możliwe rozwiązania. Najbliższy posterunek znajdował się przy Dziewięćdziesiątej Piątej, między Broadwayem a

Amsterdam Avenue - tam będzie się kierował.

Słyszał biegnących za sobą mężczyzn. Jeden krzyknął coś do drugiego i uzyskał cichszą odpowiedź. D'Agosta z miejsca zrozumiał, co się stało: rozdzielili się i wciąż go gonili, jeden z każdej strony wąskiego pasa parku.

„Cholera”.

Trzymając się blisko ziemi, biegł przez lasek z bronią w ręku. Zero czasu, żeby stanąć i zastanowić się nad strategią; zero czasu, żeby skorzystać z radia, zero czasu na cokolwiek poza biegiem na najwyższych obrotach. Słabo widoczne światła Riverside Drive zamigotały przez drzewa po jego lewej stronie; po prawej znajdowała się długa, zarośnięta krzakami pochyłość, ostro opadająca w kierunku autostrady. Słyszał monotonne brzęczenie samochodów daleko w dole. Przelotnie rozważył zbiegnięcie wzdłuż wału i próbę przedostania się na autostradę, ale mógłby zaplątać się w tych paskudnych paprociach, które zarastały spadek.

Gdyby tak się stało, wystawiłby się jak kaczka, do której można strzelać z góry.

Połąć lasku skończyła się raptownie i wypadł na oświetloną księżycem przestrzeń równoległych tras spacerowych z widokiem na rzekę, ogrody i drzewa pomiędzy nimi. Wszystko odsłonięte, nie miał wyboru i musiał biec dalej.

„Kto mnie, kurwa, goni? Rabusie? Ktoś, kto nienawidzi gliniarzy?” Bez sensu. Nie był już przypadkowym celem. Ci zabójcy byli zdeterminowani. Śledzili go w mieście. Szukali z jakiegoś powodu.

Pochylony za rzędami żelaznych ławek przebiegł przez pierwszy ogród. Nagle zobaczył coś po swojej lewej ręce: goniącą go czerwoną

plamkę światła, tańczącą wokół jak podniecony robaczek świętojański.

„Celownik laserowy”.

Rzucił się w prawo, kiedy rozległ się strzał. Trafił w metalową ławkę, z mdlącym odgłosem zrykoszetował i z szumem poleciał w ciemność. D'Agosta padł na klomb kwiatowy, niezgrabnie się przetoczył i uniósł na kolana w pozycji strzeleckiej. Zobaczył ciemny kształt szybko przesuwający się przez mrok na otwartej przestrzeni trawnika i strzelił - raz, drugi - przetoczył się na bok, wstał i znów zaczął biec, przeklinając się za odpuszczenie treningów strzeleckich. Ale nawet dwa pudła dały dobry efekt - zmuszając ich do ostrożności, spowalniając. Przynajmniej w teorii. Minał odległy koniec ogrodu i zanurkował między drzewa.

Kolejna tańcząca czerwona kropka. Gdy rozległ się strzał, rzucił się na asfalt, przetoczył, rozwalając o chodnik kolano, i już był na nogach, i już biegł. Strzelający używali jakiejś broni dużego kalibru i wiedzieli, co robią. Jego strzały wcale ich nie przystopowały.

Ci faceci byli zawodowymi zabójcami.

Przebiegł przez plac zabaw, rozpaczliwie przeskakując najpierw nad huśtawką, a potem piaskownicą - i przecinając skwerek z fontanną - sapał z wysiłku. Rany, żadnej kondycji, zdechłak. Dni w policyjnej sali gimnastycznej, utrzymywanie formy i szczupłej sylwetki od dawna należały do przeszłości.

Przeciął skwerek z fontanną, przeskoczył kamienny murek i znów znalazł się na stromym, zarośniętym nasypie prowadzącym w dół do autostrady. Przykucnął za kamiennym murem, czekał. Będą musieli przejść przez otwartą przestrzeń ścieżki. Wtedy wystawią się na

strzał. Mocno trzymał broń w dwuręcznym uścisku, uspokoił się, spróbował kontrolować rozszalały oddech. „Nie ściskaj spustu. Kiedy go puścisz, powinno to być niemal zaskakujące. Niech każdy strzał się liczy”.

„Teraz!” Ciemne sylwetki wynurzyły się zza drzew, szybko się zbliżały. Strzelił: raz, drugi, trzeci.

Czerwone światełka tańczyły w gałęziach nad jego głową. Głośno zaklął; zapominając o własnej dobrej radzie, strzelił do niewyraźnych postaci jeszcze raz, i jeszcze. Poprzez hałas swojej broni niczego nie słyszał, ale poczuł uderzenia pocisków trafiających w kamień tuż przy jego twarzy. Te gnoje zachowywały zimną krew.

On z kolei spudłował o milę, i nic dziwnego. Nie pofatygował się na strzelnicę przez trzy cholerne lata i jego umiejętności były równie stare i zakurzone jak dyplomy za konkursy strzeleckie, które trzymał rozwieszane na ścianie.

Wygramolił się zza murku, biegł skulony, modląc się, żeby nie mieć odsłoniętych pleców. W ruchu odciągnął magazynek, zaglądając do niego w słabym świetle. Pusty. To oznaczało tylko dwa naboje w komorze... trzynaście zmarnowanych strzałów.

Nagle zobaczył coś między drzewami przed nim: kładkę nad zjazdem w Sto Dziesiątą Ulicę. Całość z łańcuchów, jak klatka. Gdyby dał się tam złapać, utknąłby jak śledź w beczce.

Ale zawrócić - z powrotem przeskoczyć przez murek i przeciąć ścieżkę - oznaczało biec prosto w ramiona prześladowców. A to byłoby samobójstwo.

Zerknął w dół, na prawo. Istniała tylko jedna szansa. Autostrada albo nic. Wyjść na autostradę West Side, zatrzymać ruch, zrobić

zamieszanie, przez radio wezwać pomoc. Nie będą go tam gonić ani nie zastrzelą.

Nie zastanawiając się nad tym dłużej, rzucił się w dół stromego nasypu, przedzierając się przez jeżyny, sumak i trujący bluszcz, na wprost spadając, na wprost się tocząc. Gałęzie brutalnie rozdarły materiał munduru, a o ostre kamienie potłukł ramiona i kolana.

Łup! Zabrzmiał strzał.

Przed nim nasyp ostro opadał w dół. Upadł, przetoczył się jak najdalej, zmusił do wstania i znów zaczął biec, rzucając jedno przelotne spojrzenie do tyłu. Słyszał ich przedzierających się przez krzaki najwyżej trzydzieści stóp nad nim. W rozpaczy wykonał obrót wokół własnej osi, nacisnął spust, strzelił do najbliższej postaci. Zanurkowała w bok, potem znów rzuciła się w przód. D'Agosta odwrócił się i pobiegł, jak mógł najszybciej. Serce waliło mu niebezpiecznie. Szum samochodów nagle stał się głośniejszy, światła błyskały przez drzewa, co chwilę go oświetlając.

Łup! Łup!

Nasyp się spłaszczył. Jeszcze dwadzieścia stóp do linii drzew i autostrady. Pognał prosto przed siebie...

Bum. I odrzuciło go w tył.

D'Agosta leżał przez chwilę oszołomiony, przekonany, że dostał, że to koniec. Potem zdał sobie sprawę, że całym rozpędem wpadł na płot, który biegł tuż nad autostradą. Dotarło to do niego w czasie jednego uderzenia serca: drut kolczasty na górze, cholerny płot, cały poszarpany i powykręcany przez ćpunów, szkielety samochodów leżące na skraju poniżej. „Oczywiście”. W dawnych czasach milion razy jeździł tą autostradą, widział płot niebezpiecznie nachylający się

nad nim, oblepiony śmieciami i gnijącymi liśćmi. Jeszcze jedna rzecz, o której zapomniał przez te lata w Kolumbii Brytyjskiej. Był w pułapce.

To było to. Ukląkł na jedno kolano i odwrócił się, żeby przyjąć pozycję. „Jeden strzał, dwóch ludzi”.

Rachunek nie wyglądał dobrze.

W kominku płonął nieduży ogień, rzucając czerwonawe światło na ściany zastawione książkami, wyganiając z powietrza wilgotny chłód. Dwa fotele zajmowały miejsca po obu stronach ognia. W jednym siedział agent specjalny Pendergast, w drugim - Constance Greene, blada i szczupła, w pięknie wyprasowanej i ułożonej w fałdy sukni. Obok ślady po podwieczorku: filiżanki i spodki, łyżeczki do herbaty, dzbanuszek do śmietanki, pełnoziarniste herbatniki. Nieruchome powietrze pachniało pastą do polerownia drewna i klejonym płótnem, a wokół wznosiły się półki na książki, rząd za rzędem, aż do wysokiego sufitu. Stojące na nich stare oprawne w skórę woluminy połyskiwały w świetle ognia złotymi tłoczeniami.

Srebrzyste oczy Pendergasta powędrowały w stronę zegara nad kominkiem, a potem ich spojrzenie ześlizgnęło się z powrotem na starą gazetę, którą czytał. Przyciszonym głosem podjął lekturę w miejscu, gdzie została przerwana.

- „Siódmego sierpnia 1964. Waszyngton. Dziś stosunkiem głosów osiemdziesiąt osiem do czterech Senat Stanów Zjednoczonych upoważnił prezydenta Johnsona do użycia wszelkich koniecznych środków do odstraszenia sił atakujących zbrojnie amerykańskie wojska w Wietnamie. Głosowanie to było odpowiedzią na ostrzelanie przez północny Wietnam dwóch amerykańskich okrętów wojennych w Zatoce Tonkińskiej...”



Constance uważnie słuchała tego, co czytał. Rozległ się szelest, kiedy Pendergast ostrożnie odwrócił delikatną, pożółkłą stronę. Dziewczyna uniosła rękę i Pendergast zrobił pauzę.

- Nie jestem pewna, czy zniosę kolejną wojnę. Czy będzie paskudna?

- Jedna z najgorszych. Rozedrze kraj na części.

- W takim razie zostawmy tę wojnę na jutro.

Pendergast skinął głową, starannie poskładał gazetę i odłożył na bok.

- Ledwie jestem w stanie uwierzyć w okrucieństwo ostatniego stulecia. Wprawia duszę w drżenie.

Pendergast schylił głowę w potwierdzeniu.

Powoli potrząsnęła głową i blask płomieni odbił się w jej ciemnych oczach i prostych czarnych włosach. - Czy sądzisz, że to nowe stulecie będzie równie barbarzyńskie?

- Wiek dwudziesty pokazał nam szatańską twarz fizyki. Ten pokaże szatańską twarz biologii. To będzie ostatni wiek ludzkości, Constance.

- Taki jesteś cyniczny?

- Oby Bóg pokazał, że się myliłem.

Rozsypał się stos żaru, otwierając wśród ognia pulsującą światłem ranę. Pendergast poruszył się niespokojnie. - A teraz może przejdziemy do wyników twoich poszukiwań?

- Oczywiście. - Constance wstała i podeszła do jednej ze ścian zastawionych książkami, wracając z kilkoma tomami. - Opat Trithemius, Liber de Angelis, tekst McMastera Zaprzysiężona księga Honoriusza, Secretum philosophorum i oczywiście Ars notorium.

Traktują o sprzedaży duszy, wywoływaniu diabła i tym podobnych sprawach. - Umieściła woluminy na bocznym stole. - Wszystkie to potwierdzone relacje naocznych świadków. Po łacinie, w grece, po aramejsku, starofrancusku, staronordycku i w średnioangielskim. Następnie są grimoiry.

- Księgi zaklęć - potwierdził Pendergast.

- Najbardziej znany jest Klucz Salomona. Wiele z tych dokumentów należało do tajnych towarzystw i zakonów popularnych w wiekach średnich Wśród szlachetnie urodzonych. Najwyraźniej towarzystwa te często oddawały się praktykom satanistycznym.

Pendergast znów potwierdził. - Szczególnie ciekawią mnie relacje, które opowiadają o diable zgłaszającym się po to, co mu należne.

- Jest wiele takich. Na przykład... - z lekkim niesmakiem wskazała na uszkodzoną przez robactwo okładkę Ars notorium - historia Geoffreya, magistra z Kentu.

- Mów dalej.

- Opowieści nie odbiegają zasadniczo od wątku faustowskiego, różnią się tylko w szczegółach. Wysoko wykształcony człowiek, niezmordowany i niezadowolony, manuskrypt, wywołanie diabła, poczynienie obietnic, złamanie obietnic, gorący koniec. Tak jak w tym wypadku: magister Geoffrey był doktorem filozofii w Oksfordzie na początku piętnastego wieku, chemikiem i matematykiem. Jego wielką namiętnością była zagadka liczb pierwszych. Cała lata spędził w swoim gabinecie, badając liczby pierwsze aż do pięciocyfrowych. Niektóre z tych obliczeń wymagały ponad roku pracy i mówi się, że potrzebował drobnej pomocy, żeby je dokończyć. Stąd pakt z Lucyferem. W Oriel College mówiono o monotonych śpiewach.

Przykrych zapachach, niewyjaśnionych hałasach i dziwnych światłach palących się w mieszkaniu uczonego długo po północy Magister kontynuował nauczanie i przeprowadzał swoje eksperymenty alchemiczne. Jego sława szeroko się rozniosła. Twierdzono, że odkrył arkana przemiany ołowiu w złoto i został przyjęty do Zakonu Złotego Kielicha przez samego króla Henryka VI. Opublikował wielkie dzieło: Dziewięć liczb Bożych i był znany w całej Europie ze swej mądrości i nauk.

Ale potem sytuacja uległa zmianie. U szczytu sławy stał się nerwowy, podejrzliwy, dziwny Często chorował, zamykał się w swoich pokojach. Podskakiwał przy każdym hałasie. Wydawało się, że chudnie, oczy miał „jak wielkie zapadnięte oczy cielęcina w rzeźni”. Zamówił mosiężne zamki i kazał okuć swoje drzwi żelazem.

A potem pewnego dnia studenci nie doczekali się go na śniadaniu. Poszli do jego pokoi. Drzwi były zamknięte, żelazo gorące w dotyku. Pachniało fosforem i siarką. Dopiero przy wielkim wysiłku udało im się te drzwi wyłamać.

Ujrzeni okropny widok: Geoffrey, magister z Kentu, leżał na swoim wąskim drewnianym łóżku całkowicie ubrany, jakby ułożony do pogrzebu. Na skórze nie miał żadnych nacięć, złamań, siniaków. A jednak jego serce leżało obok ciała, częściowo spalone i wciąż jeszcze dymiące. Mówiono, że nie przestało bić, dopóki nie spryskano go święconą wodą. Wtedy wybuchło. Szczegóły są raczej... nieprzyjemne.

Pendergast zerknął na dziewczynę. Pochyliła się do przodu, pociągnęła łyk herbaty, odstawiła filiżankę, uśmiechnęła się.

- Czy teksty opisują, jak przywoływano księcia ciemności?

- Rysowali wokół siebie kręgi. Na ogół o średnicy dziewięciu stóp. Zwykle rysowano je za pomocą arthame, rytualnego noża. Często w obrębie większego kręgu znajdowały się mniejsze lub pentagramy. Przede wszystkim zasadnicze znaczenie miało, by krąg nie został przerwany podczas ceremonii - dopóki przywołujący pozostawał w kręgu, był zabezpieczony przed demonami, które przyzywał.

- A kiedy demony zostały już przyzwane?

- Sporządzano umowę. To, co zwykle: bogactwo, władza, wiedza w zamian za nieśmiertelną duszę. Faust, oczywiście, jest historią prototypiczną - szczególnie jeśli chodzi o zakończenie.

Pendergast zachęcająco skinął głową.

- Po zawarciu paktu z diabłem Faust posiadał całą władzę, ziemską i pozaziemską, której zawsze pożądał. Ale zyskał też inne rzeczy. Narzekał, że nigdy nie jest sam: obserwowały go oczy w ścianach, pojawiły się hałasy, dziwne hałasy, jak szczęknięcie zębów. Mimo że miał wszystko, czego może pragnąć śmiertelna istota, nie zaznał spokoju. W końcu, gdy zaczął się zbliżać termin wypełnienia umowy, zaczął czytać Biblię, otwarcie obwieszczając swój żal. Ostatni wieczór spędził w towarzystwie pijackich kompanów, gorzko szlochając, oplakując swoje grzechy, błagając niebiosa, by zwolniły upływ godzin.

- *O lente, lente, currite noctis equi* - zaintonował cicho Pendergast.

- Doktor Faust, akt piąty, scena druga - natychmiast powiedziała Constance.

Gwiazdy biegną cicho, biegnie czas, zegar uderzy i przybędą diabły i musi Faust być przeklętym

Nieznacznym uśmiechem przemknął przez twarz Pendergasta.

- Według legendy po północy słyszano dochodzące z jego pokoju straszne krzyki. Żaden z jego gości nie ośmielił się tego zbadać... Rankiem zastali sypialnię zmienioną w rzeźnię. Ściany były pomalowane krwią. W kącie pokoju ktoś znalazł pojedynczą gałkę oczną. Zmiażdżone nędzne resztki jego czaszki pozostały na jednej ze ścian. Resztę ciała znaleziono w uliczce poniżej ciśniętą na kupę końskiego nawozu. Mówiono...

Przerwało jej pukanie do drzwi biblioteki.

- To będzie sierżant D'Agosta - powiedział Pendergast, zerkając na zegar. - Wejdz - zawołał głośniej.

Drzwi otwały się powoli i do biblioteki wszedł sierżant Vincent D'Agosta, brudny, w podartym ubraniu, podrapany, krwawiący. Pendergast gwałtownie uniósł się z krzesła. - Vincent!

D'Agosta opadł na fotel, czuł się otumaniony i zszokowany. Miał wrażenie, że połowa ciała mu zdrętwiała, a druga pulsuje bólem. Stara rezydencja przyprawiła go o dreszcze, taka wilgotna, zimna i ciemna. Czy Pendergast naprawdę teraz tu mieszka? Facet miał piękne mieszkanie na Central Park West, ale zamiast tego wybrał życie w najdalszej części Harlemu, w nawiedzonym domu przypominającym - ni mniej, ni więcej - muzeum, pełnym wypchanych zwierząt, szkieletów i półek zastawionych dziwnym szajsem. Przynajmniej ta biblioteka wydawała się oazą: miękkie fotele, trzaskający ogień. Wyglądało na to, że Pendergast ma gościa, ale w tej chwili D'Agosta czuł się zbyt podrapany, poobijany i posiniaczony, żeby się tym przejmować.

- Wyglądasz, jakbyś uciekł z rąk diabła - stwierdził Pendergast.

- Uciekłem.

- Sherry?

- Nie masz przypadkiem buda?

Pendergast miał zboląłą minę. - Mógłby być pilsner urquell?

- Jeżeli to piwo, pasuje.

Druga obecna w bibliotece osoba - młoda kobieta w długiej sukni łososiowego koloru - wstała i wyszła z pokoju. Za parę minut była z powrotem, niosąc na tacy szklanekę piwa. D'Agosta wziął ją i wypił, pełen wdzięczności. - Dzięki, ee...

- Constance - nadeszła spokojna odpowiedź.

- Constance Greene - powiedział Pendergast. - Moja podopieczna. A to sierżant Vincent D'Agosta, mój zaufany sprzymierzeniec. Bierze udział w sprawie.

D'Agosta zerknął na Pendergasta. Podopieczna? Co to, do cholery, znaczyło? Spojrzał na dziewczynę z większą ciekawością. Była piękna w blady, delikatny sposób. Suknię miała stosowną i skromną, ale piersi, które unosiły koronkowy przód, przyprawiły D'Agostę o niezwykle nieskromne poruszenie w lędźwiach. Mimo staroświeckich ciuchów wydawała się mieć najwyżej dwadzieścia lat. Tylko te fiołkowe oczy, tak czujne i inteligentne, jakoś zupełnie nie wyglądały na oczy młodej dziewczyny. Zupełnie nie.

- Miło mi poznać - powiedział D'Agosta, prostując się w fotelu i krzywiąc z bólu.

- Boli cię? - zapytał Pendergast.

- Właściwie wszystko. - D'Agosta pociągnął kolejny długi łyk.

- Opowiedz nam, co się stało.

D'Agosta odstawił szklanke. - Zacznę od początku. Odwiedziłem najpierw lady Milbanke. Kompletnie bez sensu. Chciała rozmawiać tylko o swoim nowym naszyjniku ze szmaragdów. Cutforth wcale nie był lepszy: skłamał, mówiąc, dlaczego Grove do niego dzwonił, odpowiadał na pytania wymijająco, jeśli w ogóle. Ostatni był Bullard w Nowojorskim Klubie Lekkoatletycznym. Twierdzi, że prawie nie znał Grove'a, nie wie, czemu ten dzwonił, nie pamięta, o czym rozmawiali, nie wie, skąd Grove miał jego numer. Kłamstwa od początku do końca, nawet nie starał się tego ukryć.

- Interesujące,

- Taa, niezły typ. Wielki, brzydki, arogancki sukin... - D'Agosta zerknął na dziewczynę. - Człowiek. Zasadniczo to mnie spławił. Wyszedłem, zjadłem obiad w pubie „Mullins” na Broadwayu. Parę razy wpadł mi w oko złoty impala. Metrem pojechałem do Dziewięćdziesiątej Szóstej i poszedłem do Riverside. Pieszko od stacji. Impala pojawił się ponownie na wysokości Sto Trzydziestej.

- Jechał na północ czy na południe?

D'Agosta zastanowił się, czemu to ważne. - Na północ. Pendergast skinął głową.

- Zorientowałem się, że coś się szykuje, więc pobiegłem w stronę parku Riverside. Wskoczyli dwaj faceci, gonili mnie, strzelali z broni ręcznej z laserowym celownikiem: skutecznej, duży kaliber. Ścigali mnie przez park. Zbiegłem na dół w stronę autostrady West Side i nadziałem się na płot. Naprawdę myślałem, że to koniec. Wtedy zauważyłem świeży wrak z pięćdziesiąt jardów dalej. Jakiś dupek przejechał przez płot, robiąc dziurę. I zostawił wóz, żeby tam rdzewiał. Zanurkowałem w ten otwór, zgubiłem ich na autostradzie, zatrzymałem samochód. Wysadzili mnie przy następnym zjeździe, ale nie mogłem złapać taksówki i musiałem przejść z powrotem trzydzieści przecznic. Trzymałem się ciemnych miejsc, uważałem na tego chevroleta - trochę to trwało.

Pendergast ponownie skinął głową. - Więc jeden człowiek śledził cię w metrze, drugi prowadził samochód. Połączyli siły i próbowali odciąć ci drogę.

- Tak to sobie wyobrażam. Stara sztuczka.

- Odpowiedziałeś ogniem?

- Nie na wiele się to zdało.



- Ach! A twoje słynne umiejętności strzeleckie? D'Agosta spuścił wzrok. - Nieco zaśniedziało.

- Pytanie brzmi: kto ich nasłał?

- Mam wrażenie, że zdarzyło się to cholernie szybko po tym, jak sprowokowałem Bullarda.

- Może za szybko.

- Bullard nie wyglądał na faceta, który by czekał. Autorytatywny typ. Pendergast skinął głową.

Młoda kobieta uprzejmie słuchała tej wymiany zdań. Teraz podniosła się z sofy. - Panowie pozwolą, że ich zostawię, aby omówili tę sprawę między sobą. - Mówiła wyraźnie, w charakterystyczny sposób, a lekki akcent z jakiegoś powodu przypomniawszy D'Agostie stare czarno-białe filmy. Podeszła i lekko ucałowała Pendergasta w policzek. - Dobrej nocy, Aloysiusie. - Potem odwróciła się w stronę D'Agosty i skinęła głową. - Miło mi było poznać pana, sierżancie.

Chwilę później drzwi do biblioteki zamknęły się i zapadła cisza.

- Podopieczna, co? - odezwał się D'Agosta. Pendergast potwierdził.

- Skąd pochodzi?

- Odziedziczyłem ją wraz z domem.

- Jak, do licha, można kogoś „odziedziczyć”? To krewna?

- Nie. To dość skomplikowane. Ten dom i jego zbiory przeszły na mnie po wujecznym dziadku Antoinie. Została tu odkryta przez znajomego, który latem katalogował znajdujące się w rezydencji zbiory Ukrywała się tutaj.

- Jak długo?

Nastąpiła pauza. - Dość długo.

- Kim ona jest, uciekinierką? Nie ma rodziny?

- To sierota. Mój wujeczny dziadek wziął ją do siebie, opiekował się nią, wykształcił.

- Taa? Musiał być święty

- Raczej nie. Tak się składa, że Constance była jedyną osobą, na której mu kiedykolwiek zależało. Prawdę mówiąc, troszczył się o nią jeszcze długo potem, gdy przestał się troszczyć nawet o samego siebie. Był mizantropem, a ona wyjątkiem potwierdzającym regułę. W każdym razie wygląda na to, że jestem teraz jej jedyną rodziną. Ale muszę cię prosić, żebyś nie wspominał o żadnej z tych kwestii w jej obecności. Ostatnie sześć miesięcy były dla niej czasem wyjątkowo... trudnym.

- Jak to?

- To coś, co lepiej pozostawić w przeszłości. Wystarczy powiedzieć, Vincencie, że Constance jest niewinną ofiarą szeregu diabolicznych eksperymentów przeprowadzonych dawno temu. Widziałem, jak jej rodzina ucierpiała w tych eksperymentach na ich wczesnym etapie, i czuję się zobowiązany dbać o dobro dziewczyny. To komplikacja, której z pewnością nie przewidywałem. W każdym razie jej znajomość domu i biblioteki okazuje się nieoceniona. Będzie znakomitą asystentką badawczą albo kuratorem.

- Przynajmniej można na nią patrzeć bez przykrości. - Gdy D'Agosta poczuł na sobie ciężar surowego spojrzenia, odchrząknął i dodał pospiesznie: - A jak tobie poszły przesłuchania?

- Montcalm nie umiał zbyt wiele dodać do tego, co już wiemy. Aż do wczoraj go nie było, podróżował. Wygląda na to, że Grove zostawił jego asystentowi rozpaczliwą wiadomość: „Jak się zrywa

kontrakt z diabłem?". Asystent wyrzucił tę notkę - najwyraźniej Montcalm jak magnes przyciąga wariatów i dostaje masę tego typu wiadomości. Nie umiał dodać niczego więcej. Za to Fosco okazał się szczególnie interesujący.

- Mam nadzieję, że musiał się przy tobie napocić.

- Nie jestem pewien, kto przy kim musiał się napocić.

D'Agosta nie potrafił sobie wyobrazić spoconego Pendergasta. - Jest w to zamieszany?

- Zależy, co masz na myśli, mówiąc „zamieszany”. To niezwykle człowiek, a jego wspomnienia okazały się bezcenne.

- Cóż, wciąż trzeba mieć na uwadze Cutfortha i Bullarda.

- Stwierdziłeś, że Cutforth to kłamca, tak samo jak Bullard. Skąd wiesz?

- Powiedział mi, że Grove zadzwonił do niego w środku nocy, chcąc kupić jakąś pamiątkę po gwiazdach rocka. Zablefowałem, mówiąc, że Grove nienawidził muzyki rockowej. Wyraz twarzy z miejsca go zdradził.

- Prostackie kłamstwo.

- Bo to prostak, w dodatku głupi. Ale biorąc pod uwagę całą kasę, którą nastukał, rozumiem, że jest dobry w tym, co robi.

- Inteligencja, kultura i wykształcenie nie są, generalnie rzecz biorąc, cechami charakterystycznymi dla robiących interesy na muzyce popularnej.

- No, Bullard to inny poziom. Też prostak, ale wybitnie inteligentny. Nie wolno go nie doceniać. Prawda jest taka, że obaj wiedzą o śmierci Grove'a znacznie więcej, niż mówią. Cutforth możemy złamać, właściwie jestem pewien - to mięczak - ale Bullard

to będzie twardy orzech.

Pendergast skinął głową. - Jutro powinien być gotowy raport sądowy na temat ciała Grove'a. Może to da nam tak potrzebne informacje. Decydujące znaczenie ma teraz znalezienie powiązania między Bullardem, Cutforthem i Grove'em. Jeżeli znajdziemy to powiązanie, Vincencie, będziemy mieli w ręku klucz do całej zagadki.



Doktor Jack Dienphong obrzucił spojrzeniem swoje laboratorium, sprawdzając metalowe stoły, okapy chemiczne, komory rękawicowe, mikroskopy, skaningowe mikroskopy elektroniczne, mikrotomy i zestawy do miareczkowania. Niezbyt ładnie, ale wszystko zorganizowane i funkcjonalne. Dienphong sprawował funkcję szefa Sekcji Medycyny Sądowej FBI na Congress Street i bardzo był ciekaw spotkania - nareszcie - z agentem specjalnym Pendergastem, o którym tyle słyszał.

Zerknął na trzymaną w rękę zabazgraną kartę katalogową, jeszcze raz przebiegając wzrokiem notatki. Większość miał w głowie: karta miała go raczej podtrzymać na duchu. Czekał na gości z niepokojem. Nie podobało mu się to, co napisał w raporcie, ale w duchu liczył, że sławny - lub, jak twierdzili niektórzy, niesławny - agent zrozumie. W opinii Dienphonga najgorszym błędem, jaki można popełnić w zakresie analizy chemicznej na potrzeby medycyny sądowej, była możliwość nadinterpretacji wyników. Zrobisz coś takiego odpowiednio wiele razy i w końcu pošlesz do więzienia niewinnego człowieka. Tego Dienphong bał się najbardziej. Nie naciągnąłby wyników dla nikogo, nawet dla kogoś budzącego taki podziw jak Pendergast.

Przy drzwiach zrobiło się zamieszanie i Dienphong zerknął na zegarek. O czasie, niemal co do sekundy - to z miejsca potwierdzało

jedną z rzeczy, z których, jak słyszał, Pendergast był znany. Chwilę później drzwi się otworzyły i wszedł szczupły mężczyzna w czarnym garniturze, a za nim agent specjalny Carlton, szef biura lokalnego Południowego Dystryktu, oraz cicha grupa młodszych agentów i asystentów. Podniecenie było niemal wyczuwalne, podniecenie, jakie zawsze wywoływały głośne sprawy. A tylko tego rodzaju sprawa mogła sprowadzić tu Carltona w niedzielę. Wszystkie dowody mające z nią związek zostały przekazane FBI przez lokalną policję, by dokonano dogłębnych analiz. I teraz do Dienphonga należało poskładać to wszystko do kupy. Jego niepokój wcale się nie zmniejszył.

Dienphong z uwagą przypatrywał się nieznanemu. Pendergast wyglądał dokładnie tak, jak go opisywano, poruszał się celowo i z gracją kota. Włosy miał tak bardzo blond, że niemal białe, twarz chłodną i patrycjuszowską, jasne oczy nieustrudzenie lustrowały otoczenie. W swoim czasie Dienphong poznał wielu agentów FBI, ale ten należał do zupełnie innej kategorii.

Lodowato chłodne oczy zatrzymały się na Dienphongu i agent podszedł do niego bez chwili zawahania. - Doktorze Dienphong - odezwał się mężczyzna miękko z głębokiego Południa.

- Miło mi - Dienphong uściśnął suchą dłoń.

- Pański artykuł do „Gazety Sądowej” o tempie rozwoju larw muchy mięsnej w ludzkich zwłokach uznałem za znakomitą lekturę.

- Dziękuję. - Sam niekoniecznie myślał o tym artykule jako „znakomitej lekturze”, ale każdemu według gustu. Dienphong za znakomitą lekturę uznawał eseje z Wędrowca Johnsona.

- Prezentacja jest gotowa — powiedział, wskazując na dwa rzędy

metalowych krzeseł ustawionych przed ekranem do projekcji. -  
Zaczniemy od krótkiej prezentacji wizualnej.

- Znakomicie.

Agenci usiedli z pomrukiwaniem, pokasływaniem i szuraniem krzeseł. Agent specjalny Carlton zajął pozycję na środku pierwszego rzędu, jego grube uda opadały poza brzegi siedzenia.

Dienphong skinął na asystenta i światła przygasły. Włączył komputerowy projektor.

- Proszę bez skrępowania przerywać mi pytaniami. -  
Zaprezentował pierwszy obraz. - Przejdziemy od najprostszych do najbardziej złożonych. To próbka siarki odkrytej na miejscu zdarzenia, w pięćdziesięciokrotnym powiększeniu. Nasze analizy chemiczne wykazały, że jest pochodzenia naturalnego, zawiera pierwiastki śladowe, które wskazują na pochodzenie wulkaniczne. Została gwałtownie podgrzana i spalona za pomocą nieznanymi środków. Kiedy siarka płonie, łączy się z tlenem i tworzy gaz, dwutlenek siarki, SO<sub>2</sub>, który ma bardzo silny zapach - woń spalonych zapalek. Jeśli następnie wejdzie w kontakt z wodą, tworzy H<sub>2</sub>SO<sub>4</sub> znany jako kwas siarkowy.

- Te włókna tutaj - pojawił się następny obraz - pochodzą z odzieży ofiary. Proszę zauważyć wżery i zwinienia: wyraźne efekty działania kwasu fosforowego na odzież ofiary.

Trzy kolejne, szybko po sobie następujące obrazy - Jak widać, gwałtowna reakcja spowodowała mikroskopijne wżery nawet w plastikowych okularach ofiary i w pokoście na ścianach oraz podłodze.

- Jakież koncepcje co do pochodzenia z konkretnego terenu

wulkanicznego? - To odezwał się Pendergast.

- Odpowiedź jest niemal niemożliwa. Musielibyśmy porównać tę próbkę z tysiącami innych ze znanych terenów wulkanicznych, przytłaczające zadanie, nawet gdybyśmy zdołali zdobyć próbki. Mogę tylko powiedzieć, że wysoka zawartość krzemu wskazuje na pochodzenie kontynentalne, a nie oceaniczne. Innymi słowy, ta siarka nie pochodzi z Hawajów czy, powiedzmy, dna morskiego.

Pendergast odchylił się na oparcie z nieodgadnionym w ciemnej sali wyrazem twarzy.

- Następne zdjęcie przedstawia pewne mikrocząstki spalonego drewna z podłogi, z tak zwanego śladu kopyta. - Przez ekran przemknęło kilka obrazów. Dienphong odchrząknął. Tu zaczynały się trudności.

- Zauważycie państwo bardzo głęboką penetrację spalenizny w drewnie. Lepiej widać to przy dwustukrotnym powiększeniu.

Kolejny slajd. - Nie zostało to wywołane działaniem niczego w stylu żelaza do piętnowania. - Zrobił pauzę, przełknął ślinę. - Czyli znak ten nie został wypalony na podłodze przez rozpalony do czerwoności przedmiot, który przyciśnięto do drewna. Wywołał go intensywny wybuch promieniowania niejonizującego, prawdopodobnie w zakresie bardzo krótkich fal podczerwieni, które głęboko spenetrowały drewno.

Odezwał się Carlton; Dienphong wiedział, że się odezwie. - Chce pan powiedzieć, że sprawca nie podgrzał niczego i nie przycisnął tego do drewna?

- Właśnie. Nic tak naprawdę nie dotknęło drewna. Przypalenie powstało dzięki wybuchowi czystej radiacji.



Carlton się uniósł, krzesło niebezpiecznie jęknęło. - Zaraz. Jak to możliwe?

- Moje zadanie to opisywać, nie interpretować - powiedział Dienphong, przeskakując do następnego slajdu.

Ale szef nie skończył. - Czy pan mówi, że ten znak powstał przy użyciu jakiegoś pistoletu na promieniowanie?

- Nie potrafię stwierdzić, jakie było pochodzenie promieniowania.

Carlton usiadł z powątpiewającym mruknięciem.

- To prowadzi nas do krzyża. - Zjawił się następny obraz. - Nasz ekspert do spraw sztuki zidentyfikował go jako rzadki egzemplarz siedemnastowiecznego toskańskiego krzyża, zwykle noszonego przez szlachetnie urodzonych. Wykonany ze złota i srebra, ułożonych warstwowo, stopionych i ręcznie wykrojonych, aby uzyskać dość interesujący efekt, znany jako lamelles fines. Następnie został osadzony w drewnie, które w większości spłonęło.

- Ile jest wart? - zapytał Carlton, dla odmiany zadając inteligentne pytanie.

- Dodając drogie kamienie, osiemdziesiąt, może sto tysięcy dolarów. To znaczy nieuszkodzony.

Carlton gwizdnął.

- Krzyż znaleziono na szyi ofiary, dotykał skóry Oto zdjęcie z miejsca zbrodni, krzyż wciąż jeszcze na ciele ofiary.

Pojawił się następny slajd, wywołując odgłosy niesmaku i niedowierzania.

- Jak widać, został podgrzany do punktu topnienia, głęboko wypalając skórę w miejscu, w którym leżał. Ale proszę zauważyć, że otaczające go ciało nie jest przypalone ani nawet zaczerwienione.

Coś - i naprawdę nie potrafię powiedzieć co - selektywnie podgrzało krzyż, nie podgrzewając znajdującej się dookoła skóry. Krzyż częściowo się stopił i wtopił w ciało ofiary.

- A tu - pokazał następną fotografię - zdjęcie spod mikroskopu elektronowego, z obrazu w powiększeniu trzy tysiące razy, prezentujące niezwykle wżery w srebrnej, ale nie złotej powierzchni krzyża. Także tego nie potrafię wyjaśnić. Podejrzewam, że mogły powstać na skutek intensywnego i długotrwałego kontaktu z porcją promieniowania, które najwyraźniej usunęło wierzchnią warstwę elektronów i wywołało częściowe parowanie metalu. Coś zadziało znacznie silniej na srebro niż na złoto. I znów nie mam pojęcia dlaczego.

Carlton był na nogach. - Możemy to usłyszeć po angielsku?

- Oczywiście - sucho stwierdził Dienphong. - Coś podgrzało i stopiło krzyż bez podgrzewania czegokolwiek dookoła. Zgaduję, że musiało to być jakiegoś rodzaju promieniowanie, które metal pochłonął silniej niż ciało.

- Może takie samo jak to, które wypaliło odcisk kopyta? Carlton, Dienphong musiał to przyznać, nie był taki głupi, jakiego udawał.

- Wiarygodne przypuszczenie.

Pendergast uniósł palec.

- Agencie Pendergast?

- Czy na innych powierzchniach w pokoju były ślady spalenizny spowodowanej promieniowaniem lub podgrzaniem?

Jeszcze lepsze pytanie. - Tak, prawdę mówiąc, owszem. Słupki łóżka, które wykonano z pokrytej pokostem sosny, nosiły ślady działania promieniowania, podobnie ściana z malowanej sosny za

łóżkiem. W niektórych miejscach farba została zmiękczona i powstały bąble.

Myszą przeszedł do menu i przywołał kolejny obraz. - Oto przekrój ściany pokazujący cztery warstwy farby. A tu jeszcze jedna mała tajemnica: tylko najgłębsza warstwa farby wydaje się podgrzana i wybrzuszona. Pozostałe są nienaruszone i pozostają niezmienione pod względem chemicznym.

- Czy zrobiliście analizę wszystkich czterech warstw farby? - zapytał Pendergast.

Dienphong skinął głową. - Czy najgłębsza została sporządzona na bazie ołowiu?

Dienphong poczuł zaskoczenie. Szybko się zorientował, do czego doprowadzi taka linia zadawania pytań, i było to coś, o czym sam nie pomyślał. - Proszę pozwolić, że sprawdzę. - Przerzucił raporty laboratoryjne, ułożone i skategoryzowane w zbindowanej teczce z etykietą „Siarka”. Wszystkie dochodzenia prowadzone przez FBI miały swoje nazwy, a taką właśnie nadano niniejszej sprawie. Może melodramatyczną, ale stosowną.

Podniósł wzrok znad skoroszytu. - Tak, rzeczywiście miała w składzie ołów.

- A reszta nie?

- Zgadza się.

- Kolejny dowód, że mamy do czynienia z jakiegoś rodzaju promieniowaniem.

- Zgadza się, agencie Pendergast. - Pierwszy raz w jego karierze zdarzyło się, że agent FBI wymusił na nim sformułowanie wniosku. Ten Pendergast zasługiwał na swoją reputację. Dienphong

odchrząknął. - Jakież inne pytania lub komentarze?

Carlton zdążył już usiąść i ociężale uniósł rękę.

- Tak?

- Czegoś nie pojmuję. Jak coś mogło zadziałać na dolną warstwę farby i nie zadziałać na górne?

Pendergast się odwrócił. - To ołów w farbie zareagował jak metal w krzyżu. Silniej zaabsorbował promieniowanie. Czy podczas późniejszych badań na miejscu wykryto ślady jakiegokolwiek promieniowania radioaktywnego, doktorze?

- Żadnych.

Carlton skinął głową. - Sprawdź to, Sam, dobrze?

- Oczywiście, sir - odparł jeden z młodszych agentów. Dienphong przeszedł do kolejnego obrazu. - A to zdjęcie ostatnie:

zbliżenie fragmentu krzyża. Proszę zauważyć szczególnie skoncentrowany obszar stopienia, zupełnie niezwiązany z konwekcyjnym źródłem ciepła. Kolejna wskazówka, że zadziałało promieniowanie.

- Jakiego typu promieniowanie mogłoby wybiórczo podgrzać metal bardziej niż ciało? - zapytał Pendergast.

- Promienie rentgenowskie, gamma, mikrofałe, podczerwień daleka, pewnej długości fale radiowe, nie wspominając o promieniowaniu alfa i strumieniu neutronów prędkich. Nie ma w tym niczego niezwykłego. Nietypowe jest natężenie.

Dienphong czekał na nieuniknione wymówki ze strony Carltona, ale tym razem główny agent niczego nie powiedział.

- Wzery na krzyżu - odezwą się Pendergast - czy coś panu sugerują?

- Jak na razie nie.

- Spekulacje?

- Nigdy nie spekuluję, panie Pendergast.

- Skoncentrowana wiązka elektronów mogłaby coś takiego spowodować, nie sądzi pan?

- Tak, ale wiązka elektronów musiałaby przejść przez próżnię. Powietrze by ją rozproszyło o, powiedzmy, milimetr albo dwa. Jak powiedziałem, to mogła być podczerwień, mikrofałe albo promienie rentgenowskie, ale do Stworzenia wiązki o takiej sile potrzeba przekaźnika, kilkutonowego transmitera.

- Naturalnie. A co pan sądzi, doktorze, o teorii, którą forsuje „New York Post”?

Dienphong zawahał się przelotnie z powodu tak nagłej zmiany podejścia. - Nie mam zwyczaju czerpać swoich teorii ze stron „Post”.

- Opublikowali spekulacje, że to diabeł zabrał jego duszę. Zapadła chwilowa cisza, a potem rozległy się pojedyncze chichoty.

Pendergast ewidentnie żartował. Czy na pewno? Nie wyglądało na to, żeby się uśmiechał.

- Nie jest to teoria, pod którą się podpisuję.

- Nie?

Dienphong się uśmiechnął. - Jestem buddystą. Jedyne diabeł, w którego wierzymy, to ten w ludzkim sercu.



Nie trzeba się było specjalnie przyglądać tłumowi płynącemu do Metropolitan Opera, by zlokalizować hrabiego Isidora Fosco: jego wielkiej postaci, upozowanej dramatycznie obok fontanny w Lincoln Center, nie dało się z nikim pomylić. Pendergast pozwolił się unieść tłumowi w jego stronę. Wszyscy dookoła, mężczyźni w smokingach i kobiety w naszyjnikach z pereł, paplali z podnieceniem. Premiera w Metropolitan, w programie Lukrecja Borgia Donizettiego. Hrabia włożył biały krawat i frak, pięknie dopasowany do jego niewiarygodnie tłustej figury. Fason był staroświecki, ale zamiast zwykłej białej kamizelki Fosco prezentował inną, ze wspaniałego biało-gołębiego jedwabnego brokatu z Hongkongu. W butonierkę wetknął gardenię, przystojną twarz miał wymasowaną i upudrowaną do różowej perfekcji, a gęste siwe loki zaczesane do tyłu na podobieństwo lwiej grzywy. Małe pulchne ręce idealnie okryte szarymi rękawiczkami z delikatnej skóry.

- Mój drogi Pendergast! Miałem nadzieję, że przyjdzie pan w białym krawacie! - powiedział Fosco uradowany. - Nie potrafię zrozumieć, dlaczego ludzie w tak barbarzyński sposób nie dbają o strój takiego wieczoru. - Z dezaprobatą machnął ręką na ubranych w smokingi patrycjuszy wlewających się do holu. - W dzisiejszych ponurych czasach istnieją tylko trzy okazje, by ubrać się rzeczywiście elegancko: ślub, pogrzeb i premiera w operze. Najszczęśliwsza z tych

trzech jest ostatnia.

- Zależy od punktu widzenia - sucho stwierdził Pendergast.

- Jest pan więc szczęśliwym małżonkiem?

- Miałem na myśli tę drugą okazję.

- A! - Fosco zaśmiał się cicho. - Ma pan rację. Najbardziej pogodnie uśmiechy widziałem u pewnych ludzi na ich własnych pogrzebach.

- Myślałem o spadkobiercach.

- Podstępny z pana człowiek! Wejdziemy? Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciw siedzeniu na parterze - unikam łóż, mają kiepską akustykę. Mamy bilety do rzędu N, na prawo od środka, miejsca te wybrałem drogą eksperymentów jako akustyczne centrum tej sali, szczególnie siedzenia od dwudziestego trzeciego do trzydziestego pierwszego. Ale proszę spojrzeć, światła na widowni, lepiej usiądźmy

- I z uniesioną wysoko gigantyczną głową, z wysuniętym podbródkiem, Fosco gładko przeszedł przez kręcący się tłum, który odruchowo rozstał się, aby zrobić mu miejsce. Gdy przechodzili przez główne wejście, Fosco nie patrzył ani na prawo, ani na lewo, odsyłając kilku portierów oferujących programy i lekkim krokiem idąc do części środkowej i rzędu N. Hrabia zaczekał z brzegu, ruchem ręki nakazując kilku osobom powstanie z miejsc i przejście do dalszego rzędu, by mógł przedostać się bez kłopotu. Nabył dla siebie trzy miejsca i usiadł na środkowym, kładąc ramiona na oparciach złożonych siedzeń po obu stronach.

- Proszę o wybaczenie, że nie siedzimy obok siebie, mój drogi. Moja korpulentność wymaga odpowiedniej przestrzeni i nie zamierzam się ograniczać. - Wyjął z kieszeni fraka ozdobioną kamieniami, inkrustowaną macicą perłową lornetkę teatralną i

umieścił ją na pustym siedzeniu obok. Po chwili pojawiła się też silniejsza mosiężna luneta i została ułożona na drugim siedzeniu.

Wielka sala wypełniała się i panowała atmosfera podniecenia. Z kanału dla orkiestry dochodził pomruk strojonych instrumentów wygrywających urywki z opery, która miała zostać wystawiona.

Fosco nachylił się w kierunku Pendergasta, kładąc schludną dłoń w rękawicze na jego ramieniu. - Nikt, kto kocha muzykę, nie pozostanie obojętny wobec Lukrecji Borgii. Ale zaraz - co to jest? - Uważniej przyjrzał się Pendergastowi. - Nie ma pan chyba zatyczek w uszach?

- Nie, zatyczek nie. Zaledwie łagodzą dźwięk - mam niezwykle czuły słuch i każdy dźwięk powyżej poziomu normalnej rozmowy jest dla mnie dość bolesny. Proszę się nie obawiać, muzyka przedostanie się przez nie aż za dobrze, zapewniam pana.

- Aż za dobrze, mówi pan?

- Hrabio, dziękuję panu za zaproszenie. Ale tak jak pana ostrzegałem, nie słyszałem jeszcze opery, która by mi się podobała. Czysta muzyka i wulgarny spektakl są zasadniczo nieprzystające. Najbardziej odpowiadają mi kwartety smyczkowe Beethovena - i nawet one, jeśli mam być szczery, raczej z powodu przekazu intelektualnego niż muzycznego.

Fosco się wzdrygnął. - A co jest złego, jeśli mogę zapytać, w spektaklu? - Rozłożył ręce. - Czy samo życie nie jest spektaklem?

- Wszystkie kolory, hałas, cielesność, zażywna diwa wpadająca na scenę. Skrzeczająca, wyjąca i rzucająca się z murów jakiegoś zamku - to odrywa umysł od muzyki.

- Ale właśnie tym jest opera! Świętem obrazu i dźwięku. Jest tu



humor! Jest tu tragedia! Są strzeliste szczyty namiętności i głębia okrucieństwa! Są tu miłość i zdrada!

- Wyraża pan moje zdanie lepiej, niż sam bym to zrobił, hrabio.

- Pański błąd, Pendergast, to przekonanie, że opera jest wyłącznie muzyką. To więcej niż muzyka. To życie! Musi się pan dać mu ponieść, zdać się na jego łaskę.

Pendergast się uśmiechnął. - Obawiam się, hrabio, że nigdy niczemu nie daję się ponieść.

Fosco poklepał go po ramieniu. - Może ma pan francuskie nazwisko, ale angielskie serce. Anglicy nigdy nie ulegają. Samoświadomość nigdy ich nie opuszcza. Dlatego Anglicy wydają spośród siebie znakomitych antropologów i okropnych kompozytorów. - Fosco prychnął. - Purcell. Britten.

- Zapomina pan o Haendlu.

- Przeszczepiony Niemiec. - Fosco zachichotał. - Cieszę się, że tu pana ściągnąłem, Pendergast, i pokażę panu, jak pan błądzi.

- A skoro już o tym mowa, jak się pan dowiedział, gdzie doręczyć zaproszenie?

Hrabia obdarzył agenta triumfalnym uśmiechem. - To było całkiem proste. Poszedłem do Dakoty i przeprowadziłem tam dochodzenie.

- Mają wyraźny zakaz ujawniania moich pozostałych adresów.

- Ale nie stanowili przeszkody dla Fosca! Zawsze interesowała mnie pańska profesja. W młodości przeczytałem całego Arthura Conana Doyle'a, Dickensa, Poe'go. I wybornego Wilkiego Collinsa! Czytał pan Kobieta w bieli?

- Oczywiście.

- Mistrzowska! W następnym życiu wybiorę być może zawód detektywa. Życie hrabiego ze starożytnej rodziny jest dość nudne.

- Te dwie rzeczy nie wykluczają się wzajemnie.

- Trafna uwaga! W dzisiejszych czasach mamy wszelkiego rodzaju detektywów, od angielskich lordów po policjantów z plemienia Nawahów. Czemu więc nie hrabiego z rodu Dantego i Beatrycze? Muszę wyznać, że ta sprawa z Grove'em mnie fascynuje i nie tylko dlatego, że byłem gościem na - czy wolno mi tak powiedzieć? - ostatniej wieczerzy. Dziś mija tydzień. Współczuję temu biedakowi, oczywiście, ale to smakowita zagadka. Służę swoją pomocą w tej sprawie.

- Dziękuję, ale ja z kolei muszę wyznać, że mało prawdopodobne, bym potrzebował pańskiej pomocy.

- Słusznie! Mówię teraz - jeśli mi wolno - jako przyjaciel. Chcę tylko zaoferować usługi jako człowiek mający szczególną wiedzę na temat sztuki i muzyki, i może socjety. A jeśli chodzi o to ostatnie, sprawia mi przyjemność myśl, że byłem już pomocny, kiedy pytał pan o przyjęcie.

- Był pan.

- Dziękuję. - Hrabia lekko klasnął w rękę, podniecony jak mały chłopiec.

Światła przygasły. W sali zapadła cisza. Fosco skupił uwagę na scenie, dosłownie wijąc się z podniecenia. Pojawił się koncertmistrz i zabrzmiało a, orkiestra się dostroiła. A potem wszyscy ucichli. Wśród grzmotu oklasków wyszedł dyrygent. Zajmując miejsce na podium, uniósł batutę, potem gwałtownie ją opuścił i zaczęła się uwertura.

Fosco słuchał w skupieniu, uśmiechając się i od czasu do czasu

kiwając głową, nie umknęła mu ani jedna nuta z bujnej muzyki Donizettiego. Kiedy do pierwszego aktu podniosła się kurtyna, salę wypełnił pomruk i urywane oklaski. Twarz Fosca zmącił wyraz irytacji, hrabia rzucił pełne dezaprobaty spojrzenie na sąsiadów.

Siedział tak w ciemnej sali niby olbrzym, od czasu do czasu unosząc teatralną lornetkę lub lunetę, by obserwować scenę. Gdy ludzie obok niego oklaskami nagrodzili koniec arii bez śladu poszanowania dla muzyki, która po niej nastąpiła, Fosco wycelował w nich spojrzenie pełne nagany i nawet uniósł ręce uciszającym gestem, ze smutnym, choć pełnym współczucia potrząśnięciem głowy. Po bardziej złożonych i trudniejszych fragmentach, które przechodziły niezauważone przez jego sąsiadów, unosił dłonie w rękawiczkach i z upodobaniem lekko bił brawo, czasami mrucząc „Brava!”. Po chwili ogromna postać Fosca, jego głęboki entuzjazm i rzucający się w oczy fakt bycia koneserem zaczęły docierać do siedzących w pobliżu osób. Wiele wybuchów aplauzu w uznaniu dla szczególnych partii muzyki brało swój początek z rzędu N, na prawo od środka, od lekkiego uderzenia o siebie pulchnych, okrytych rękawiczkami z delikatnej skóry dłoni Fosca. Pierwszy akt dobiegł końca przy wtórze wiwatów, z burzą oklasków i okrzyków „Bravi!”, którym przewodził Fosco, tak głośnych, że przyciągnęły nawet uwagę dyrygenta. Gdy hałas wreszcie ucichł, Fosco odwrócił się do Pendergasta, ocierając pot z czoła ogromnych rozmiarów chustką. Ciężko dyszał, łapiąc oddech, mokry z emocji.

- Widzi pan, widzi pan! - wykrzyknął tonem samousprawiedliwienia, wskazując na Pendergasta. - A jednak się pan bawi.

- Na jakiej podstawie pan to wydedukował?

- Przed Foskiem się pan nie ukryje! Widziałem, że kiwał pan głową do rytmu przed chwilą, podczas „ Vieni! La mia vendetta”.

Ale Pendergast się nie odezwał, zaledwie lekko pochylając głowę, gdy tymczasem na sali rozbłysły światła i zaczął się antrakt.

Nigel Cutforth odrzucił kołdrę i usiadł w pustym łóżku. Eliza wyraziła sprzeciw wobec jego wyjazdu do Tajlandii i poszła zanoć u przyjaciółki w Village. I, kurwa, świetnie.

Rozejrzał się. Zegar obok łóżka wyświetlał czerwonymi cyframi dziesiątą trzydzieści cztery. „Jezu, dopiero wpół do jedenastej?” Jego samolot wylatywał o szóstej rano, więc około ósmej strzelił sobie dzinu na dwa palce, po czym wczłogał się do łóżka, rozpaczliwie marząc o śnie. Ale sen jakoś się nie spieszył. I teraz, nagle zupełnie obudzony, siedział na łóżku z gwałtownie bijącym sercem. Chryste, ależ gorąco. Strzepnął kołdrę, próbując poruszyć nieruchome powietrze w pokoju, ale wydawało się, że to tylko pogorszyło upał. Z kolejnym przekleństwem pstryknął światło, przerzucił nogi nad krawędzią łóżka i postawił stopy na podłodze. Jak tak dalej pójdzie, zmęczenie spowodowane zmianą czasu podczas lotu do Bangkoku może się okazać fatalne i będzie musiał przedłużyć wakacje o tydzień. Ale to byłoby dość trudne; w morderczym muzycznym biznesie jesienią wiele się działo i należało zachować czujność.

Wstał, poczłapał przez pokój, żeby sprawdzić termostat. Wyłączony, wiedział, że tak będzie, a jednak termometr wskazywał osiemdziesiąt pięć stopni. Przyłożył rękę do kratki nawiewu ciepłego powietrza, ale okazała się chłodna. Więc gorąco nie pochodziło stamtąd.

Gorąco. Właśnie na to narzekał Grove.

Kolejny raz przypomniał sobie, że był dwudziesty pierwszy wiek, a Grove oszalał w ostatnich dniach swojego żalostnego życia. Podeszedł do balkonu, rozsunał ciężkie zasłony, przekręcił zamek i odsunął szklane drzwi. Ogarnął go przyjemny strumień chłodnego październikowego powietrza, a z dołu doleciały słabe odgłosy ruchu ulicznego. Cutforth odetchnął głęboko i wyszedł na balkon, czując, że wraca mu przytomność umysłu. Tam był Nowy Jork: solidny, nowoczesny, racjonalny Nowy Jork. Budynki centrum stały na tle nocnego nieba jak mury obronne, a Piąta Aleja przypominała połyskujący pasek, który przesuwając się pod jego oknem, zmieniał kolory z bieli na czerwień. Odetchnął jeszcze raz i czując, że pot ochładza się na skórze, wszedł z powrotem. Upał w środku wydał mu się gorszy niż do tej pory, a teraz poczuł jeszcze mrowienie pełzające po skórze głowy i twarzy i wzdłuż kończyn. Bardzo dziwne, niczego takiego do tej pory nie czuł, wrażenie gorąca i zimna jednocześnie.

Brało go. To właśnie się działo. Wczesny przypadek grypy.

Włożył pantofle i wyszedł z sypialni, przez salon kierując się do baru. Szarpnięciem otworzył drzwi kredensu, wyjął butelkę Bombay Sapphire, trochę lodu i słoik oliwek, po czym zmieszał sobie kolejnego drinka. Xanax, trzy tabletki tylenolu, pięć witamin C, dwie kapsułki z tranem, tabletkę selenu i trzy ekologicznego wapna, każda spłukana solidnym łykiem dzinu. Gdy opróżnił szklanekę, nalał sobie jeszcze i podeszedł do przeszklonej ściany salonu. Te okna wychodziły na wschód, przez Madison i Park na Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicę i Roosevelt Island. Dalej leżały pustkowia dzielnicy Queens.

Cutforth zorientował się, że myśli z trudem. Skóra cierpła mu w

nieprzyjemny sposób, jakby oblażyły go pająki, które łąziły po nim i go skubały Albo może pszczoły: czuł się jak człowiek, którego obsiadły pszczoły, i te pszczoły się przemieszczały, nie żeby go żądliły, ale kłuły suchymi, owłosionymi odnóżami.

Grove zwariował, musiał to sobie powtórzyć. Grove stracił rozum, uległ własnym fantazjom. Niezbyt zaskakujące, biorąc pod uwagę życie, jakie prowadził. No i była jeszcze ta druga sprawa: to, o czym Cutforth już nigdy, przenigdy więcej nie chciał myśleć...

Z wściekłością odepchnął od siebie tę myśl i pociągnął kolejny łyk dzinu, czując, że alkohol i tabletki uspokajające zaczynają działać. W innych okolicznościach byłoby to cudowne, odprężające wrażenie powolnego odpływania. Ale wyglądało na to, że nie pomaga na kłujące, gorące uczucie pełzania czegoś po skórze. Potarł dłonią ramię. Suche i rozpalone: skóra przypominała w dotyku papier ścierny.

Grove też narzekał na dziwne wrażenie gorąca. Na to i na zapach.

Jednym ruchem drżącej dłoni przechylił szklanę, kończąc drinka. „Nigel, mój drogi, nie popadaj w paranoję”. To był początek choroby, tylko tyle. Nie zrobił szczepienia przeciw grypie i w tym roku wcześniej go dopadła. Świetny moment, w wigilię wyjazdu do Tajlandii.

- Kurwa - powiedział głośno. Drink się skończył. Powinien zmieszać następnego? A po co, do cholery? Sięgnął po butelkę, chwycił ją, napełnił szklanę i odstawił butelkę na bar.

Nadchodzę.

Cutforth odwrócił się na pięcie. Apartament był pusty.

Kto się, kurwa, odezwał? Cichy głos, cichszy niż szept; bardziej jak

wibracja, raczej wyczuwalna niż słyszalna.

Przełknął ślinę, oblizał suche wargi. - Kto tu jest? - Język wydawał się obrzmiały i obcy, ledwie zdołał wydusić z siebie te słowa.

Brak odpowiedzi.

Odwrócił się, zawartość szklanki przelała się przez brzegi i pociekła mu po dłoni. Uniósł naczynie i łapczywie opróżnił. Niemożliwe. Nigdy w nic nie wierzył i nie zamierzał teraz tego zmieniać. Bóg nie istniał, diabeł nie istniał, życie było po prostu cholernym przypadkowym zamieszaniem i kiedy umierałeś, to byłeś martwy.

Maledicat dominus.

Gwałtownie podniósł głowę, drink bryzgnął na boki. Co to było, łacina? Jakiś dowcip? Skąd to dochodziło? Któryś z jego klientów, raperów, zachowuje się jak dupek? A może, co bardziej prawdopodobne, jakiś były klient? Jeden z haitańskich raperów faktycznie groził mu zemstą. Prawdopodobnie on albo jego ludzie usiłowali doprowadzić go do przedwczesnego ataku serca jakimiś bzdurami wudu.

- No dobra! - zawołał. - Wystarczy tego gówna. Cisza.

Skóra mu cierpła, nienaturalnie gorąca i sucha. Nagle wcale nie miał wrażenia, że to bzdury. Wydawały się realistyczne. To się działo. Działo się tak, jak powiedział Grove. Trzęsącą się ręką uniósł szklankę, przełknął, niczego nie czując.

Ale przecież w rzeczywistości nie mogło się dziać, prawda? Był dwudziesty pierwszy wiek. Grove na pewno zwariował. Na pewno. Ale, dobry Jezu, te rzeczy, o których napomykały gazety... Gliny naprawdę niedużo mówiły o tym, jak umarł Grove, lecz brukowce



pełne były plotek o ciele spalonym od środka, o śladach Lucyfera na ścianach.

Czy to naprawdę było możliwe, po takim czasie?

Pozwolił, żeby niedokończony drink spadł na podłogę, i zaczął rozpaczliwie szukać. Nieżyjąca matka dała mu krucyfiks, który zatrzymał raczej jako pamiątkę niż co innego. Dopiero go widział, w zeszłym miesiącu. Gdzie? Pognał do sypialni, do garderoby, wyszarpnął szufladę, pogrzebał z tyłu. Na podłogę poleciał deszcz spinek do mankietów, guzików, szpilek do krawata, monet.

Ani śladu krucyfiks. Gdzie on był?

Gwałtownie otworzył następną szufladę, potem kolejną, chaotycznie grzebiąc w zegarkach, biżuterii, złocie. Wyrwał mu się szloch.

Krucyfiks! Chwycił go mocno, łkając z ulgi, przytulił do piersi, przeżegnał się nim.

Wrażenie, że oblażyły go pełzające pszczoły, zaczęło się wzmacniać. Teraz czuł, jakby pszczoły rzeczywiście żądliły, miliardy dręczących drobnych ukłuć.

- Odejdź! Odejdź! - Szlochał. - Ojciec nasz, któryś jest w niebie... Boże, jak to szło dalej?

Krzyż w jego dłoniach był gorący. Teraz buczało mu w uszach. Gardło jakby pokryte popiołem, jakby dusił się gorącym powietrzem.

Teraz nadchodzę.

Wyciągnął trzęsące się dłonie z krucyfiksem, machnął nimi w różne strony, jakby powstrzymywał coś niewidzialnego. - Odstąp, szatanie! - zachrypiał.

Krzyż zrobił się teraz bardzo gorący. Palił mu palce. Wszystko było

gorące: piżama, nawet brwi i włoski na rękach sprawiały wrażenie, jakby się przypiekały.

- Odejdź!

Z okrzykiem upuścił krucyfiks. Kompletnie przerażony zobaczył unoszące się wstążki dymu; krzyż wypalał znak na dywanie. Gwałtownie zaczerpnął tchu, rękoma szarpiąc gardło, dusząc się powietrzem o zapachu siarki.

Musiał wyjść. Musiał znaleźć świątynię. Gdyby tylko zdołał się dostać do kaplicy, kościoła, czegokolwiek, może byłby bezpieczny...

Pognał do drzwi i już kładł dłoń na gałce, gdy rozległo się pukanie.

Cutforth zamarł zawieszony między ulgą a strachem. Kto to był?

Może wybuchł pożar? Tak, oczywiście, właśnie: budynek płonął i trwała ewakuacja. Coś musiało się popsuć w systemie zraszaczy. - Jestem tutaj! - Szlochał na wpół z bólu, na wpół z poczucia ulgi. - Tutaj!

Chwycił gałkę, poczuł palący ból po zetknięciu się z rozpalonym do czerwoności metalem, oderwał rękę. Kurwa!

Spojrzał z niedowierzaniem. Wnętrze dłoni było spalone, unosił się z niego dym; gdy otworzył rękę, ciało pękło, ze szczeliny popłynęła krew i przezroczysta substancja i pociekły na nadgarstek. Na gałce został duży kawał jego skóry zwijający się i smażący jak skwiercząca wieprzowina.

Pukanie rozległo się ponownie: powolne, równe niczym bicie dzwonu.

- Ratunku! - krzyknął Cutforth w stronę drzwi. - Pali się! Jest pożar!

Wzdłuż ciała przebiegła mu nagła fala bólu, jakby ktoś ściągnął z niego skórę, a potem groteskowe wrażenie w brzuchu, jakby zamieszano mu we wnętrznościach. Odchylił się. To „on” był przy drzwiach. Ponownie poczuł dziwne wewnętrzne ciśnienie, okropny skurcz wnętrzności. Wrzasnął, chwytając się za żołądek, zginając w pół. Potykając się, zdołał dotrzeć do sypialni. Gdy się poruszył, przez skórę przebiegły ukłucia bólu i oczy zasłoniła mu krwawa mgła. Czuł narastające wewnątrz okropne ciśnienie, a potem wszystko zrobiło się czarne i ciśnienie stało się nieznośne, rozległ się odgłos jakby skwierczenia smażących się jajek i nagle ciśnienie zniknęło, a po twarzy płynęła mu gorąca wilgoć.

Wrzasnął, wijąc się na podłodze, wybijając nogami szaleńczy rytm na dywanie, szarpiąc piżamę, włosy, próbując zerwać skórę z ciała, bo była taka paląca, gorąca, tak nie do zniesienia rozpalona...

Oto jestem, oto jestem, oto...



Letitia Dallbridge leżała w swoim łóżku bez ruchu, sztywna, zupełnie obudzona. W końcu wstała z zimną wściekłością, wsunęła ręce w satynowy szlafrok, z pstryknięciem rozchyliła i założyła okulary. Potem sprawdziła czas: jedenasta piętnaście. Zaciśnęła usta. To było nie do zniesienia. Nie do zniesienia.

Podniosła słuchawkę wewnętrznego telefonu i wybrała recepcję; natychmiast odezwał się jakiś głos.

- W czym mogę pomóc, pani Dallbridge?

- Rzeczywiście możesz, Jason. Dżentelmen z mieszkania bezpośrednio nad moim, numer siedemnaście B, nieprzerwanie wali w podłogę. Także krzyczy. To trwa i trwa, i pragnę przypomnieć, że już drugi raz w tym miesiącu muszę składać zażalenie. Jestem starą kobietą i po prostu nie mogę tolerować tego rodzaju hałasów w środku nocy

- Tak, proszę pani, natychmiast się tym zajmiemy.

- Pomówię o tym z radą budynku na następnym zebraniu.

- Trudno się dziwić, proszę pani.

- Dziękuję, Jason.

Odłożyła telefon i nasłuchiwała. Prawda, walenie było teraz słabsze, mniej regularne. Prawdę mówiąc, chyba nawet ustało, podobnie jak krzyki. Ale niedługo znowu się zacznie - zawsze tak było. Ten okropnie wulgarny producent muzyczny z pewnością

urządził kolejne przyjęcie. Z piciem, tańcami, narkotykami i wszelkiego rodzaju niestosownym zachowaniem. I to w środku tygodnia. Ciaśniej owinęła szlafrokiem swoje chude ciało. Nie ma sensu próbować teraz zasnąć - w jej wieku byłby to daremny trud.

Przeszła przez salon do kuchni, nastawiła czajnik z wodą. Wyjęła srebrny dzbanek, włożyła do niego trzy torebki rumianku i zaczęła na gwizdek. Kiedy się rozległ, zdjęła czajnik z ognia, nalała wody do imbryka i nasunęła na wierzch kapturek, żeby pozostał gorący. Srebrna łyżeczka, dwa tosty z masłem, petit dejeuner gotowe. Podniosła tacę i wróciła do sypialni. Ponuro zerknęła na sufit. Potem wygładziła satynowe poduszki i nalała sobie herbaty.

Kwiatowy aromat i ciepło naparu szybko ją uspokoiły. Życie było zbyt krótkie, by dać zawracać sobie głowę dłużej, niż to konieczne. W apartamencie nad nią zalegała teraz grobowa cisza. Wszystko jedno: podejmie zdecydowane starania, musi zyskać pewność, że więcej nie zostanie w ten sposób obudzona.

Usłyszała jakiś cichy odgłos i zaczęła nasłuchiwać. Ciche kapanie. Wyglądało na to, że znów pada. Będzie musiała pamiętać o płaszczu, kiedy rano wyjdzie do...

Kapanie się wzmoгло. A teraz jeszcze pojawił zapach jakby smażonego bekonu, słaby, ale wyraźny. Podobnie jak deszcz stałe się wzmagał. Nie była to przyjemna woń: odstręczająca jak przypalone mięso. Pociągnęła nosem, rozejrzała się. Czy zostawiła włączoną kuchenkę? Niemożliwe, nawet nie...

Kap! Wielka tłusta kropla wylądowała w herbacie, rozpryskując ją dookoła. A potem kolejna tłusta kropla i jeszcze jedna, zachlapując herbatą jej twarz, koszulę nocną, piękne satynowe pokrycie łóżka.

Z przerażeniem spojrzała w górę, by zobaczyć plamę na suficie sypialni. Szybko się powiększała. Połyskiwała oleiście w słabym świetle nocnej lampki.

Letitia Dallbridge porwała słuchawkę z widełek i ponownie zadzwoniła na dół.

- Tak, pani Dallbridge?

- Z apartamentu powyżej jest teraz jakiś przeciek! Przechodzi dokładnie przez sufit mojej sypialni!

- Natychmiast przysyłamy kogoś na górę. Zaraz zakręcimy tam wodę.

- To oburzające! Moja piękna angielska kapa jest zrujnowana! Zrujnowana!

Teraz płyn kapał z sufitu w kilku miejscach, gromadząc się w narożnikach gzymsu i ściekając po weneckim żyrandolu na środku sufitu. Padał na rokokowe krzesła, chippendale'owską komodę. Niechętnie pochyliła się i dotknęła palcem jednego z brązowych rozbryzgów na porcelanowej filiżance. Ciepły i tłusty jak łój albo воск ze świecy. Skurczyła się z przerażenia.

- To nie woda - wykrzyknęła. - To jakiegoś rodzaju tłuszcz!

- Tłuszcz?

- Tak! Tłuszcz! Z mieszkania powyżej!

W tle dała się słyszeć niespokojna rozmowa, potem głos odezwał się ponownie, nieco zdyszany. - Uruchamiamy tu alarmy. Wydaje się, że w apartamencie nad panią może być pożar. Proszę słuchać uważnie. Proszę nie opuszczać mieszkania. Jeżeli pod frontowymi drzwiami pojawi się dym, proszę umieścić tam wilgotny ręcznik. Proszę czekać na instrukcje...

Mówiącego zagłuszyło przeraźliwe wycie alarmu w holu, a potem jeszcze głośniejszy ryk syreny w mieszkaniu. Pani Dallbridge upuściła słuchawkę, zakrywając uszy. Chwilę później z sykiem uruchomiły się zraszacze i nagle pokój napełnił się płynącą strumieniami wodą.

Pani Dallbridge była w takim szoku, że pozostała nieruchoma jak posąg, nie pojmując, co się dzieje, podczas gdy zraszacze powoli zmieniały na ciemniejszy kolor jej koszuli, jej uroczej narzuty i napełniały filiżankę na tacy szarą, zimną wodą.



Smród wiszący w wejściu do mieszkania pomógł D'Agoście przygotować się na to, co się szykuje. Gdy szedł w kierunku głównej sypialni, zaduch stawał się coraz gorszy. Kiedy znalazł się w holu budynku, był na wpół śpiący - wypełnianie raportu na temat zdarzenia z wymianą ognia w parku Riverside zajęło mu więcej czasu, niż się spodziewał - ale pewnie jak cholera, że teraz nie czuł senności. Zdumiewające, jak ten smród przebił wszystko: usunął oszołomienie związane z porą (druga nad ranem). Ból w stawach, ból obtartych kolan, swędzenie po kontakcie z trującym bluszczem, przez który się przeturlał, umykając przed zbirami.

W swoim czasie widział wiele nieprzyjemnych zabójstw, ale nic nie mogło go przygotować na to, co leżało na podłodze obok łóżka. Chodziło o zwłoki, to przynajmniej było jasne: zwłoki pęknięte w taki sposób, jakiego nigdy wcześniej nie widział, otwarte od miednicy aż do mostka, wyrzycujące z siebie skurczoną płataninę spalonych, poczerniałych organów. Niemal nieświadomym gestem sięgnął w górę i dotknął noszonego pod koszulą krzyżyka, czując jego uspokajającą obecność. Gdyby istniał diabeł, tak by to zrobił. Właśnie tak by to zrobił.

Podniósł wzrok na Pendergasta i poczuł przelotną satysfakcję, widząc, że nawet wielki detektyw wydawał się bledszy niż zwykle. Wyglądało na to, że charakterystyczny dla Pendergasta odruch



myszkowania, szperania i węszenia jakoś go opuścił. Po prostu stał ubrany w biały krawat i frak, z wyrazem niemal szoku na twarzy.

Ostatni z chłopców z wydziału specjalnego - ten od odcisków palców - obchodził ciało na czworakach, uzbrojony w probówki, szczypczyki i waciki. Też wyglądał dość zielonkawo, a ci faceci to były twarde sztuki. To oni musieli znaleźć włókna i włosy, plamy płynów, pozbierać wszystkie szczątki i kawałki. A to praca w zblizeniu, naprawdę blisko.

Przyczłapał lekarz sądowy. - Skończone?

- Niewątpliwie mam taką nadzieję.

Pendergast wyciągnął swoją odznakę. - Czy mogę zadać kilka pytań, doktorze?

- Wal pan.

- Czy zna pan przyczynę śmierci?

- Jeszcze nie. Podgrzanie, spalenie, to jasne. Ale co do przyczyny. .. nie mam pojęcia.

- Przyspieszacz?

- Wykluczone, przynajmniej wstępnie - odparł facet ze specjalnego. - Są inne anomalie. Proszę zwrócić uwagę na brak przykurczów - ani śladu skrócenia mięśni, jakie zwykle widuje się w wypadku tak poważnych oparzeń. Proszę też zauważyć, że gorąco spowodowało pęknięcia kości kończyn. Bliżej środka ciała kości zostały wyprażone. Czy macie panowie pojęcie, jakiej temperatury potrzeba, żeby spowodować tego rodzaju zniszczenie? Znacznie powyżej progu spalania. A jednak nie nastąpiło zapalenie się pokoju. Prawdę mówiąc, wygląda na to, że nawet nie istniało takie niebezpieczeństwo. Ciepło było skupione na ciele i tylko na ciele.

- Jakiego rodzaju ciepło zastosowano?

Lekarz pokręcił głową. - Na razie nie mam pojęcia.

- Spontaniczne samozapalenie?

Doktor przyjrzał mu się uważnie. - Jak Mary Reeser, chce pan powiedzieć?

- Zna pan ten przypadek, doktorze?

- Na medycynie to coś w rodzaju legendy. A w istocie - żart. Zdaje się, że FBI zajmowało się tą sprawą.

- Tak. I jeśli można wierzyć aktom, SPS - spontaniczne samozapalenie, jak jest to określane - nie ma nic wspólnego z żartem.

Doktor roześmiał się cicho, cynicznie. - Wy z FBI i wasze skróty. Nie sądzę, żeby znalazł pan „SPS” w Podręczniku medycznym Mercka, panie Pendergast.

- Na świecie są rzeczy, o których nie śniło się filozofom, doktorze, ani Podręcznikowi Mercka. Przyślę akta sprawy, żeby mógł się pan z nimi zapoznać.

- Jak pan sobie życzy. - Doktor wyszedł z ludźmi z wydziału specjalnego, zostawiając ich sam na sam z ciałem.

D'Agosta wyjął notes i pióro. Nic mu nie przychodziło do głowy, ale potrzebował czegoś, co pozwoli oderwać wzrok od tej sceny, a to wystarczyło. Zmusił się do działania i napisał: „23 października, 2.20, Piąta Aleja 842, mieszk. 17B, Cutforth”. Pióro posuwało się niepewnie, kiedy próbował oddychać tylko przez usta. Od tej pory miał zamiar zawsze nosić ze sobą słoik maści Vicks VapoRub. Na randki. Podczas wakacji. Przy okazji gry w kręgle. Zawsze.

Usłyszał stłumione głosy w salonie: detektywi z wydziału zabójstw. Przesłuchiwali pracownika z działu konserwacji na

zewnątrz, w korytarzu - z dala od smrodu - i D'Agosta był zadowolony, że udało mu się przemknąć obok nich, kiedy wchodził do mieszkania. Nie chciał, żeby jacyś starzy kumple zobaczyli go z naszywką z Southampton i belkami sierżanta na pagonach.

Ponownie skupił się na stronach notesu. Jego umysł nie działał. Poddał się i podniósł wzrok.

Wyglądało na to, że Pendergast przewyciężył odrazę i teraz na czworakach badał zwłoki. Podobnie jak chłopcy ze specjalnego miał w rękach parę szczypczyków oraz szklaną probówkę - gdzie on to trzymał w takim dopasowanym fraku? - i coś do niej wkładał, przemieszczając się bardzo ostrożnie. Potem podszedł do ściany, gdzie się zatrzymał, żeby zbadać spalony fragment za pomocą szkła powiększającego. Spędził tyle czasu, wpatrując się w to miejsce, że D'Agosta też zaczął się tam gapić. Farba na tym kawałku była zbrązowiała i pokryta bąblami. Nie dało się zauważyć śladu kopyta, ale kiedy D'Agosta tak się przyglądał, zaczął czuć pełzające wzdłuż kręgosłupa i przez czaszkę mrowienie. Niewyraźne, zamazane. Ale - cholera - czy to było jak przy tych testach z plamami z atramentu, tylko w jego umyśle?

Pendergast nagle się odwrócił i zauważył jego wzrok. - Też to widzisz?

- Tak myślę.

- A co dokładnie?

- Twarz?

- Jakiego rodzaju?

- Brzydka jak cholera, grube wargi, wielkie oczy, usta otwarte, jakby chciały ugryźć.

- Albo połączyć?

- Taa, raczej jakby połączyć.

- Dziwnie przypomina fresk Vasariego z diabłem połykającym grzeszników. Ten z wnętrza kopuły Duomo.

- Taa? To znaczy tak.

Pendergast z namysłem cofnął się o krok. - Czy jest ci znana historia doktora Faustusa?

- Faustusa? Znaczą Fausta? Tego faceta, który sprzedał duszę diabłu? Pendergast skinął głową. - Istnieje wiele wariantów tej opowieści.

Większość została nam przekazana w zapisach manuskryptowych sporządzonych w średniowieczu. Każde sprawozdanie ma pewne cechy wyjątkowe, ale wszystkie opisują śmierć podobną do poniesionej przez panią Mary Reeser.

- To ta sprawa, o której dopiero co wspomniałeś lekarzowi.

- Właśnie. Spontaniczne samozapalenie. W średniowieczu nazywano to ogniem od wnętrza.

D'Agosta skinął głową. Mózg ciążył mu jak ołów.

- Tu, w osobie Nigela Cutforth'a, mamy, jak się zdaje, klasyczny tego przykład. Nawet bardziej niż w przypadku Grove'a.

- Mówisz mi, że twoim zdaniem po tego faceta przyszedł diabeł?

- Przedstawiam spostrzeżenie, nie dołączając żadnej hipotezy.

D'Agosta pokręcił głową. Cała ta sprawa była upiorna. Normalnie

upiorna. Poczuli, że jego ręka sama wędruje w kierunku krzyżyka.

To nie mogła być robota diabła... prawda?

- Dobry wieczór, panowie. - Głos rozległ się z tyłu: damski, głęboki kontralt, spokojny, kompetentny.

D'Agosta odwrócił się, żeby zobaczyć kobietę stojącą w obramowaniu drzwi, ubraną w szary prążkowany garnitur, z kapitańskimi belkami na kołnierzyku białej koszuli. Za nią widział kilku detektywów. Przyjrzał się uważnie: drobna, szczupła, duży biust, lśniące czarne włosy otaczające bladą, delikatną twarz. Oczy w intensywnie niebieskim kolorze. Wyglądała najwyżej na trzydzieści pięć lat: zdumiewająco młoda jak na kapitana w wydziale zabójstw. I wydawała się znajoma. Znał ją. Wróciło mdlące uczucie. Może trochę przedwcześnie pogratulował sobie, że nie natknął się na żadnego ze starych kumpli.

- Jestem kapitan Hayward - stwierdziła energicznie, przyglądając się D'Agoscie nieco zbyt intensywnie, żeby go uspokoić: wyglądało na to, że też go rozpoznaje. - Wiem, że przy wejściu przedstawiliście panowie dokumenty tożsamości, ale czy mogłabym ponownie je zobaczyć?

- Oczywiście, pani kapitan. - Pendergast eleganckim ruchem zaprezentował swoją odznakę.

Hayward wzięła ją do ręki, obejrzała, podniosła wzrok. - Pan Pendergast.

Pendergast się skłonił. - To przyjemność znów panią widzieć, pani kapitan. Czy mogę pogratulować powrotu do służby, a zwłaszcza awansu na kapitana?

Hayward pozostawiła to bez komentarza i zwróciła się do D'Agosty Pokazał jej swoją odznakę, ale na nią nie patrzyła. Patrzyła na niego.

Nazwisko o wszystkim mu przypomniało: Laura Hayward, gliniarz z wydziału komunikacji, zetknął się z nią w poprzednim życiu,

chodziła wówczas do szkoły, pisała jakąś książkę o bezdomnych z metra na Manhattanie, szykowała się do magisterki czy coś w tym rodzaju. Przelotnie pracowali razem przy sprawie Pameli Wisher. Wtedy to ona była sierżantem, a on porucznikiem. Poczł ssanie.

- A pan to z pewnością porucznik Vincent D'Agosta.

- Obecnie sierżant Vincent D'Agosta. - Poczł, że się rumieni. Naprawdę nie miał nastroju do dalszych wyjaśnień. Nie było co ukrywać, to cholerny upadek.

- Sierżant D'Agosta? Już nie z nowojorskiej policji?

- Komenda w Southampton. Na Long Island. Jestem oficerem łącznikowym przy sprawie Grove'a.

Podniósł wzrok i zobaczył, że wyciągnęła do niego rękę. Ujął ją, niepewnie potrząsnął. Dłoń miała ciepłą, nieco wilgotną. D'Agosta poczuł sekretną satysfakcję, orientując się, że nie była tak opanowana, jak się wydawała.

- Cieszę się, że znów razem pracujemy. - Głos zdecydowany, pozbawiony niezdrowej ciekawości. Poczł ulgę. Nie będzie żadnych pogaduszek, żadnych wścibskich pytań. Pełen profesjonalizm.

- Ja także jestem szczęśliwy, widząc sprawę w tak kompetentnych rękach - powiedział Pendergast.

- Dziękuję.

- Zawsze robiła pani wrażenie oficera, na którym można polegać, że poprowadzi śledztwo energicznie.

- Jeszcze raz dziękuję. I jeśli mam być szczerą, pan zawsze robił na mnie wrażenie kogoś, kto niezbyt się przejmuje hierarchią służbową i nie pozwala, by formalności policyjnych procedur stały mu na przeszkodzie.

Jeśli zaskoczyła Pendergasta, nie dał tego po sobie poznać. - To prawda.

- W takim razie ustalimy hierarchię dowodzenia od razu na początku, pozwoli pan?

- Znakomity pomysł.

- To moja sprawa. Nakazy aresztowania, wezwania do stawienia się przed sądem, wszystko musi najpierw przejść przez moje biuro, chyba że jest jakiś nagły wypadek. Wszelkie kontakty z prasą będą koordynowane przez moje biuro. Być może pan tak nie tak działa, ale ja - owszem.

Pendergast skinął głową. - Zrozumiano.

- Ludzie opowiadają, jak to FBI ma czasami kłopoty przy współpracy z lokalnymi siłami policji. Tu się to nie zdarzy. Przede wszystkim nie jesteśmy „lokalnymi siłami policji”. Jesteśmy z wydziału zabójstw departamentu policji w Nowym Jorku. Będziemy pracować z Federalnym Biurem Śledczym jak równy z równym i na żadnych innych zasadach.

- Tak jest, pani kapitan.

- Oczywiście zrewanżujemy się za każdą uprzejmość.

- Niczego innego bym się nie spodziewał.

- Postępuję zgodnie z regulaminem, nawet kiedy regulamin jest głupi. Wie pan dlaczego? Bo tak uzyskujemy wyroki skazujące. Wystarczy byle głupstwo i nowojorska ława zdecyduje o uniewinnieniu.

- Prawda, szczerą prawdą - stwierdził Pendergast.

- Jutro rano, punkt ósma, i w każdy następny wtorek w czasie trwania sprawy będziemy się spotykać w One Police Plaza, w pokoju

odpraw na siedemnastym piętrze. Pan, ja i porucznik - to znaczy sierżant - D'Agosta. Gramy w otwarte karty.

- Ósma rano - powtórzył Pendergast.

- Kawę i drożdżówki stawiamy.

Na twarzy Pendergasta pojawił się wyraz niesmaku. - Będę po śniadaniu, dziękuję.

Hayward spojrzała na zegarek. - Ile jeszcze czasu potrzebujecie, panowie?

- Jestem przekonany, że wystarczy pięć minut - odparł Pendergast.

- Może pani podzielić się z nami jakimiś informacjami?

- Starsza kobieta z mieszkania poniżej była świadkiem, a przynajmniej kimś najbardziej zbliżonym do świadka. Morderstwo nastąpiło niedługo po jedenastej. Wydaje się, że słyszała, gdy zmarły miał konwulsje i krzyczał. Przypuszczała, że urządza przyjęcie. - Przez twarz przemknął jej suchy uśmiezek. - Wreszcie ucichło. A potem o jedenastej dwadzieścia dwie przez jej sufit zaczęła przeciekać jakaś substancja: płynna tkanka tłuszczowa zmarłego.

„Płynna tkanka tłuszczowa”. D'Agosta zaczął to zapisywać, ale zrezygnował. Nie sądził, żeby zdołał o tym zapomnieć.

- Mniej więcej w tym samym czasie włączono alarm przeciwpożarowy i zraszacze, kolejno o jedenastej dwadzieścia cztery i jedenastej dwadzieścia pięć. Konserwator wszedł na górę, żeby to sprawdzić, zastał drzwi zamknięte, z mieszkania wydostawał się dziwny zapach. Drzwi otwarto za pomocą klucza uniwersalnego o jedenastej dwadzieścia dziewięć i znaleziono zmarłego, tak jak go teraz widzicie. Kiedy zjawiliśmy się piętnaście minut później, temperatura w mieszkaniu wynosiła niemal sto stopni.



D'Agosta wymienił spojrzenie z Pendergastem. - Proszę mi powiedzieć coś o sąsiadach z przyległych mieszkań.

- Mężczyzna powyżej niczego nie słyszał aż do włączenia się alarmu, ale narzekał na brzydki zapach. Na tym piętrze znajdują się tylko dwa mieszkania: drugie zostało zakupione, ale wciąż stoi puste. Nowy właściciel to Anglik, pan Aspern. - Z kieszeni na biurku wyciągnęła bloczek, napisała coś pośpiesznie i wręczyła Pendergastowi. - Tu są ich nazwiska. Aspern jest obecnie w Anglii. Pan Roland Beard zajmuje mieszkanie powyżej, a Letitia Dallbridge poniżej. Czy życzy pan sobie teraz ich przesłuchać?

- Nie ma potrzeby. - Pendergast zerknął na nią, a potem spojrzał na znak wypalony na ścianie.

Hayward skrzywiła usta rozbawiona albo może z jakimś innym podtekstem, którego D'Agosta nie był pewien. - Widzę, że pan zauważył.

- Owszem. Jakieś przemyślenia?

- Czy to nie pan, Pendergast, ostrzegł mnie kiedyś przed przedwczesnym formułowaniem hipotez?

Pendergast odwzajemnił uśmiech. - Nauka nie poszła w las.

- Uczyłam się od mistrza. - Mówiąc to, spojrzała na D'Agostę. Zapadła krótka cisza.

- Zostawię tu panów - Kiwnęła na swoich ludzi, którzy ruszyli za nią do drzwi.

Pendergast odwrócił się do D'Agosty - Wygląda na to, że nasza Laura Hayward dorosła, nie uważasz?

D'Agosta po prostu twierdząco skinął głową.





Bryce Harriman stał na rogu Piątej Alei i Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy, wpatrując się w jeden z tych anonimowych wysokich budynków z białej cegły, od których roilo się na Upper East Side. Było szare wtorkowe popołudnie i Harriman czuł stłumiony ból starego kaca pulsujący gdzieś za oczami. Ritts, redaktor naczelny, zrugął go za to, że nie opisał tej historii poprzedniej nocy. Cóż, nie pracował na telefon jak lekarze, prawda? Jasne jak cholera, że nie płacili mu wystarczająco dużo, żeby szukał sensacji o trzeciej nad ranem. A poza tym jego stan nie pozwalał na pisanie o morderstwie. Jedyne, na co pozwalał, to znaleźć drogę do domu za pomocą metra.

Spodziewał się, że mogą tu być jacyś maruderzy, a zastał cały tłum, który zebrał się po porannych wiadomościach i dzięki internetowi. No i proszę, minęła druga po południu, a w kwartale zgromadziło się co najmniej sto osób - gapiów, gothpunków, czarownic - zwolenniczek białej magii, świrów z East Village, nawet kilku wyznawców Hare Kriszny, których nie widział w Nowym Jorku od co najmniej sześciu lat. Czy żaden z tych ludzi nie pracował? Po prawej miał grupkę satanistów ubranych w coś, co wyglądało jak średniowieczne szaty, rysujących na chodniku pentagramy i śpiewających monotennie. Po lewej grupkę zakonnicy, z których każda odmawiała różaniec. Banda stukniętych nastolatków odprawiała czuwanie, mimo pory dnia paląc świece i śpiewając przy

akompaniamencie gitary. Niewiarygodne, jakby z filmu Felliniego.

Harriman rozejrzał się i poczuł przyływy podniecenia. W zeszłym tygodniu odniósł umiarkowany sukces artykułem o morderstwie Grove'a. Nie miał jednak zbyt wielu dowodów, na których mógłby się oprzeć, i tekst poprzestawał na ponurych spekulacjach. Ale teraz był tutaj na tropie drugiego morderstwa - morderstwa, które jak wynikało z plotek przebiegających tłum niczym fale elektryczne, było jeszcze gorsze. Może naczelny miał rację. Może powinien tu trafić bladym świtem mimo całej tej szkockiej single-malt, którą poprzedniej nocy tak nierozsądnie wchłonał w „Algonquin” z kumplami.

Jeszcze jedno przyszło mu do głowy. Oto szansa, żeby dokopać staremu wrogowi Billowi Smithbackowi, który był teraz zajęty zamaczaniem ogóra podczas miodowego miesiąca. I do tego w Angkor Wat. Smithbackowi, temu gnojowi, który miał teraz jego dawną działkę w „Timesie” - i nie dzięki błyskotliwym dziennikarskim zdolnościom czy choćby uporczywemu wydeptywaniu ścieżek w poszukiwaniu pracy, ale z powodu parszywego łutu szczęścia. Przypadkiem był we właściwym miejscu o właściwej porze, nie raz, ale kilka razy: przy morderstwach w metrze kilka lat temu, a potem, ostatniej jesieni, przy okazji morderstw Chirurga. Ostatnie miało szczególnie gorzki smak: to była historia Harrimana - zadał już Smithbackowi decydujący cios - ale potem ten głupi kapitan policji Custer podsunął mu fałszywy trop...

To nie było w porządku. To koneksje Harrimana zapewniły mu pracę w „Timesie”, to i jego charakterystyczne nazwisko. To Harriman, w starannie odprasowanych garniturach od Braci Brooks i

rypsowych krawatach, przynależał do grupy wybrańców i wzniosłej atmosfery „Timesa”. Nie ten wymięty, niechlujny Smithback, który był zupełnie na miejscu wśród dziennikarskich nizin „Post”...

Było, minęło. Teraz miał tu świeżynkę, a Smithback znajdował się dziesięć tysięcy mil stąd. Jeżeli morderstwa będą trwały - a Harriman miał gorącą nadzieję, że tak - temat będzie się robił coraz większy. Mogą się pojawić możliwości związane z telewizją, artykuły do czasopism, kontrakt na książkę. Może nawet Pulitzer. Przy odrobinie szczęścia „Times” przyjmie go z pocałowaniem ręki.

Został potrącony przez staruszkę w kostiumie czarodzieja, którego solidnie odepchnął. Tłum zdradzał niemal histeryczne podniecenie, jakiego Harriman nigdy wcześniej nie widział, mieszanka potencjalnie niebezpieczna, jeśli by się nad tym zastanowić - wybuchowa jak beczka z prochem.

Z boku nagle zrobiło się głośno i Harriman się rozejrzył. Jakiś naśladowca Elvisa w złotej lamie - dla odmiany wyglądający nawet dość podobnie do oryginału - przy wsparciu przenośnej maszyny do karaoke ryczał Burning Love:

Czułem, jak narasta gorączka.

Tłum stawał się bardziej hałaśliwy, bardziej niespokojny. Od czasu do czasu do Harrimana dolatywał odległy skrzek policyjnej syreny.

Boże Wszchemogący, wypalam dziurę tam, gdzie leżę.

Magnetofon miał przygotowany; mógł złapać trochę lokalnego kolorytu, żeby ubarwić to, co już wiedział na temat samego morderstwa. Rozejrzył się. Obok stał facet w skórzanych kowbojkach i stetsonie, z kryształową różdżką w jednej ręce i żywym chomikiem w drugiej. Nie, zbyt dziwaczne. Niech to będzie ktoś bardziej

reprezentatywny Jak ten dzieciak w czerni, z irokezem, tam niedaleko. Mieszkający za miastem przyszczaty dzieciak z klasy średniej, który usiłuje być inny.

- Przepraszam! - Przepchnął się do młodziaka. - Przepraszam! „New York Post”. Mogę zadać kilka pytań?

Dzieciak spojrział w jego stronę, oczy mu pojaśniały. Wszyscy tak się pchali do swoich piętnastu nanosekund sławy.

- Czemu tu jesteś?

- Nie słyszał pan? Przyszedł diabeł! - Twarz chłopaka dosłownie promieniała. - U jakiegoś faceta tam na górze. Tak samo jak u tego na Long Island. Diabeł zabrał mu duszę, usmażył go na frytkę! Zaciągnął go do piekła, chociaż wyrywał się i wrzeszczał.

- Skąd się o tym dowiedziałeś?

- Wszystko jest w sieci.

- Ale dlaczego ty sam tutaj jesteś?

Dzieciak spojrział na niego, jakby pytanie było idiotyczne. - A co pan myśli? Żeby złożyć wyrazy szacunku Czerwonemu Panu.

Teraz grupa starzejących się hipisów zaczęła pękniętymi falsetami śpiewać Sympathy for the Devil. Zaleciało trawką. Harriman usiłował coś usłyszeć i myśleć wśród tumultu. - Skąd jesteś?

- Przyjechaliśmy z kumplami z Fort Lee. - Niektórzy z jego „kumpli” zaczęli się teraz tłoczyć obok, wszyscy dokładnie tak samo ubrani. - Co to za facet? - zapytał któryś.

- Reporter z „Post”.

- Bez jaj.

- Zrób mi zdjęcie, koleś!

„Złożyć wyrazy szacunku Czerwonemu Panu”. Miał już cytat. Czas

na podsumowanie. - Nazwisko? Przeliteruj.

- Shawn O'Connor.

- Wiek?

- Czternaście lat.

„Niewiarygodne”. - Okej, Shawn, ostatnie pytanie. Dlaczego diabeł? Co w nim takiego ważnego?

- Bo rządzi! - wrzasnął z podnieceniem i jego przyjaciele podchwycili okrzyk, przybijając piętki. - Diabeł rządzi!

Harriman ruszył dalej. Boże, ten świat był pełen kretynów, mnożyli się jak króliki, szczególnie w New Jersey Teraz potrzebował kontrastu, kogoś, kto brał to wszystko na poważnie. Ksiądz - potrzebował księdza. No i proszę: miał tu dwóch mężczyzn w koloratkach, cichych, stojących niedaleko.

- Przepraszam! - zawołał, przepychając się w ich kierunku przez rosnący tłum. Kiedy się do niego odwrócili, Harrimanem wstrząsnął wyraz ich twarzy. Strach, prawdziwy strach zmieszany ze smutkiem i bólem.

- Harriman z „Post”. Czy mogę zapytać, co księża tu robią?

Odezwał się starszy z dwóch mężczyzn. Miał dużo godności, naprawdę wydawał się nie na miejscu wśród tej hysterii. - Jesteśmy świadkami.

- Świadcami czego?

- Ostatnich ziemskich dni. - Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że Harriman poczuł dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

- Naprawdę uważacie, że zbliża się koniec świata?

Mężczyzna zacytował uroczyście: - „Upadł, upadł Babilon - stolica. I stała się siedliskiem demonów i kryjówką wszelkiego ducha

nieczystego".

Drugi, młodszy mężczyzna potaknął. - „I będzie ogniem spalona, bo mocny jest Pan Bóg, który ją osądził. I będą płakać i lamentować nad nią królowie ziemi, którzy nierządu z nią się dopuścili i żyli w przepychu, kiedy zobaczą dym jej pożaru".

- „Biada, biada, wielka stolico, Babilonie, stolico potężna! - ciągnął pierwszy ksiądz. - Bo w jednej godzinie sąd na ciebie przyszedł!"

Harriman wyciągnął notes i bazgrał, chcąc to zapisać, ale pierwszy ksiądz delikatnie położył rękę na jego dłoni. - Apokalipsa, rozdział osiemnasty.

- Jasne, dzięki. Z jakiego kościoła jesteście?

- Naszej Pani z Long Island City.

- Dzięki. - Harriman spisał ich nazwiska i pośpiesznie się wycofał, upychając notes do kieszeni. Ich spokój, ich pewność nastraszyły go bardziej niż cała ta histeria dookoła.

Na jednym z końców tłum zaczął się przemieszczać. Zbliżał się nieduży konwój policyjnych wozów błyskających światłami. Przepchnął się do przodu, brutalnie torując sobie drogę przez grupę dźwiękowców: nazywał się Harriman i był z „Post”, nie miał zamiaru stać z tyłu. Ale sam tłum przesunął się teraz w przód spragniony wieści.

Z nieoznaczonego wozu z tyłu konwoju wysiadła kobieta ubrana w garnitur, ale z zawieszoną na szelkach kaburą pistoletu podkreślającą niesamowite cycki - naprawdę przystojna młoda kobieta z grupką facetów, którzy zajmowali teraz swoje miejsca za nią. Młoda, ale było widać, że to ona dowodzi. Harrimanowi wydawało się, że w ogóle nie ma ochoty na rozmowę z tłumem, ale musiała przejąć



kontrolę, zanim sytuacja bardziej się zapaskudzi.

Zajęła pozycję za barykadą umundurowanych gliniarzy i podniosła rękę, żeby uciszyć wrzawę prasy.

- Pięć minut na pytania. Potem ten tłum będzie się musiał rozejść.

Dalsze chaotyczne krzyki towarzyszące przepychance w gąszczu wielkich mikrofonów.

Czekała, mierząc tłum wzrokiem, a krzyki nie ustawały. Wreszcie zerknęła na zegarek i ponownie się odezwała: - Cztery minuty.

To uciszyło szeregi prasy. Reszta - ludzie, którzy przyszli zaszaleć, czarownice i sataniści, pomyleńcy z kryształami i perfumami - zorientowała się, że coś się ma wydarzyć, i też nieco przycichła.

- Jestem kapitan Laura Hayward z wydziału zabójstw departamentu policji w Nowym Jorku. - Mówiła czystym i miękkim głosem, który zmusił tłum do uciszenia się, żeby coś słyszeć. - Zmarły to Nigel Cutforth, zgon nastąpił około jedenastej piętnaście zeszłej nocy. W tym momencie przyczyna śmierci jest nieznana, ale podejrzewamy zabójstwo.

„Powiedz mi coś, czego nie wiem”, mruknął do siebie Harriman.

- Odpowiem teraz na kilka pytań - oznajmiła. Nastąpiła eksplozja krzyków, a ona wskazała na machającego szaleńczo dziennikarza.

Padło pytanie: - Czy policja zauważyła jakiś związek między tym wydarzeniem a śmiercią Jeremy'ego Grove'a? Czy są podobieństwa? Różnice?

Na ustach pani kapitan pojawił się krzywy uśmiezek. - Zauważyliśmy Tak i tak. Następne pytanie?

- Jacyś podejrzani?

- Nie w tym momencie.

- Czy był wypalony ślad kopyta albo inny diabelski znak?  
- Żadnego śladu kopyta.  
- Słyszeliśmy, że na ścianie została wypalona twarz? Uśmiech na krótko zniknął z jej ust. - Była to nieregularna plama, która komuś skojarzyła się z twarzą.

- Jaką twarzą?  
Uśmiezek. - Ci, którzy twierdzą, że widzieli twarz, opisali ją jako brzydką.

To znów wywołało gwar.

- Czy to twarz diabła? Rogi? Czy miała rogi? - Te pytania wykrzyknęło kilka osób jednocześnie. Mikrofony podsunęły się bliżej, uderzając o siebie.

- Ponieważ nie widziałam diabła - odparła Hayward - nie umiem tego stwierdzić. Nie było tam żadnych rogów, o których istnieniu bym wiedziała.

Harriman gorączkowo notował. Stado reporterów pytało teraz, czy ona sama uważa, że to diabeł, ale ich ignorowała. O mój Boże, czy to Geraldo wykrzykiwał jakieś pytanie? Stanowczo powinien był się tu zjawić zeszłej nocy.

- Czy to był diabeł? Jakie jest pani zdanie? - zawołano jednocześnie z kilku miejsc.

Podniosła rękę. - Chciałabym odpowiedzieć na to pytanie. To naprawdę zamknęło im usta.

- Wielkie dzięki, ale mamy w tym mieście dość diabłów z krwi i kości i nie ma potrzeby wywoływania żadnych nadprzyrodzonych.

- Więc jak umarł? - zawołał jakiś reporter. - Co spowodowało obrażenia? Został ugotowany jak ten drugi?

- Autopsja właśnie się odbywa. Będziemy w stanie powiedzieć państwu więcej, kiedy zostanie zakończona. - Mówiła spokojnie i rozsądnie, ale Harriman nie dał się nabrać. Departament policji z Nowego Jorku nic kompletnie z tego nie rozumiał - i to zmierzał napisać w swoim artykule.

- Dziękuję - mówiła pani kapitan - i miłego popołudnia. A teraz proszę się rozejść.

Głośniejsza wrzawa. Pojawiło się więcej policji, usiłowano w końcu opanować tłum, odsuwając ludzi, stawiając barykady, kierując ruchem.

Harriman odwrócił się, w głowie układał już zdania do wstępu. Świetna historia. Nareszcie - i po jak długim czasie - miał przed sobą wyzwanie.



Gdy staroświecki rolls-royce podjechał pod bramę przystani jachtowej East Cove, D'Agosta poruszył się na tylnym siedzeniu, wyglądając przez okno i usiłując zapomnieć, jaki się czuje sztywny i obolały z powodu morderstwa Cutfortha i wszystkich tych spraw związanych z pobytem na miejscu zbrodni nie udało mu się przespać dłużej niż dwie godziny.

Na tę konkretną okazję Pendergast nie wziął swojego szofera Proctora, wolał sam prowadzić. Był piękny jesienny dzień i poranne słońce połyskiwało na falach zatoki, jakby ktoś rozsypał tam srebrne monety. Prom na Staten Island wyruszył ociężale z miejsca postoju z furkoczącymi flagami, tropiony przez stado krzyczących mew. Na horyzoncie wznosił się błękitny garb Staten Island, niezauważalnie przechodząc w niski zarys New Jersey. Przez otwarte okna wpadło słone morskie powietrze.

D'Agosta spojrział w stronę mariny. Mur chronił szeregi lśniących jachtów przed spojrzzeniami prostaków, ale ze szczytu Coenties Slip można je było zobaczyć, gdy tak stały wspaniałe i lśniły w jaskrawym słońcu.

- W życiu nie wejdiesz tam bez nakazu - powiedział D'Agosta. - Rozmawiałem z Bullardem. Wiem, co to za facet.

- Zobaczymy - stwierdził Pendergast. - Nieodmiennie wolę zaczynać od delikatnego podejścia.

- A jeśli delikatne podejście się nie powiedzie?
- Można zastosować bardziej zdecydowane środki.

D'Agosta zamyślił się, co Pendergast rozumie przez określenie „bardziej zdecydowane”.

Agent zwolnił i odwracając się do zrobionej na zamówienie zabudowy z czereśniowego drewna obok siedzenia kierowcy, popukał w klawisze znajdującego się tam laptopa. Zbliźali się do bramy prowadzącej na teren ogólnego parkingu mariny, ale człowiek w stróżówce, widząc nadjeżdżającego rollsa, już otwierał bramę. Pendergast zatrzymał samochód dokładnie pośrodku placu, skąd mieli dobry widok na Upper Bay. Na ekranie laptopa pojawił się obraz wspaniałego jachtu.

Niedługo w lesie masztów i bomów zlokalizowali oryginał stojący na kotwicy tuż obok.

D'Agosta gwizdnął. - Niezła łódka.

- Rzeczywiście. Jacht motorowy produkcji Feadship z 2003 roku z produkowanym na zamówienie kadłubem de Voogta. Pięćdziesiąt dwa metry długości, wyporność siedemset czterdzieści ton. Dwa dieslowskie silniki Caterpillar o mocy dwóch i pół tysiąca koni mechanicznych, prędkość podróżna trzydzieści węzłów. Ma ogromny zasięg i jest niesamowicie komfortowy.

- Ile?

- Bullard zapłacił za niego czterdzieści osiem milionów.

- Jezu. Po co mu taka łódź?

- Może nie lubi latać. A może lubi działać poza zasięgiem wścibskich uszu i oczu. W takiej łodzi łatwo trzymać się wód międzynarodowych.

- Zabawne, podczas ostatniego przesłuchania Bullarda miałem wrażenie, że zależało mu, by nic nie przeszkodziło mu w opuszczeniu kraju. Że może planuje podróż za granicę.

Pendergast spojrział na niego czujnie. - Doprawdy? - Pozwolił, by samochód potoczył się do drugiej linii ochrony, do bramy parkingu dla VIP-ów pilnowanej przez wojowniczego rudzielca z wystającym podbródkiem. D'Agosta z miejsca wiedział, jaki to typ. Taki, co to stawia sobie za punkt honoru, że nic nie zrobi na nim wrażenia, nawet rolls-royce silver wraith z pięćdziesiątego dziewiątego.

- Taa?

Pendergast wystawił przez okno swoją odznakę. - Chcemy się widzieć z panem Lockiem Bullardem.

Facet spojrział na odznakę, potem znów na Pendergasta. Twarz miał zmarszczoną podejrzliwie. - A on?

D'Agosta podał swoją odznakę.

- O co chodzi?

- Sprawa policji.

- Muszę zadzwonić.

Strażnik zabrał obie odznaki do swojego kantorka, wybrał numer, rozmawiał przez parę minut, wrócił z odznakami i bezprzewodowym telefonem.

- Chce mówić z kimś o nazwisku D'Agosta.

- To ja.

Strażnik wręczył mu telefon.

- D'Agosta przy telefonie.

Słuchawkę wypełnił głęboki głos Bullarda. - Tak myślałem, że wrócisz.

Na dźwięk tego głosu D'Agosta z miejsca poczuł, że ogarnia go złość. To ten człowiek próbował go upokorzyć w Klubie Lekkoatletycznym; być może stał za tym, że o mało nie został postrzelony Mimo wszystko usiłował zapanować nad emocjami. - Możemy to załatwić miło - powiedział najspokojniej jak potrafił - albo nieprzyjemnie. Twój wybór, Bullard.

Na drugim końcu rozległ się wybuch śmiechu. - Ten sam zatechły tekścik wypróbowałeś na mnie w klubie. Ale pozwól, że coś ci powiem. Odkąd odbyliśmy naszą miłą pogawędkę, kazałem moim ludziom cię sprawdzić. I teraz wiem o tobie wszystko. Znam każdy plugawy szczegół twojej egzystencji. Na przykład wiem wszystko o twojej żonie w Kanadzie, która za twoimi plecami od sześciu miesięcy rozkłada nogi. Facet nazywa się Chester Dominie i sprzedaje winnebagos w Edgewater - i hej, może teraz go zalicza. Pomyśl o tym, co?

D'Agosta zacisnął rękę wokół słuchawki.

- Mam też dane na temat sprzedaży twoich książek. Ostatnia została sprzedana w sześciu tysiącach dwustu piętnastu egzemplarzach. Twarda i miękka oprawa razem. I to licząc wszystkie egzemplarze, które kupiła twoja matka. Stephen King musi mieć się na baczności! - Znów chrapliwy śmiech. - No i mam twoje osobiste akta z czasów pracy w nowojorskiej policji, w tym dane na temat spraw dyscyplinarnych.

Ciekawa lektura. I akta medyczne oraz psychiatryczne, nawet te z Kanady. Paskudna sprawa, kłopoty ze wzwodem. Może dlatego twoja żona obdarza swoimi urokami starego Cheta. I depresja, rany, ciężka sprawa. Wzięłeś rano swoją porcję zolofu? Zdumiewające, co można

znaleźć, kiedy człowiek posiada firmę specjalizującą się w ubezpieczeniach zdrowotnych, prawda? Kiedy to wszystko czytam, przychodzi mi na myśl kilka określeń. Określeń takich jak złamas. Spłukany. Przegrany D'Agosta miał wrażenie, że przed oczyma ktoś opuścił mu cienką czerwoną zasłonę. - Właśnie popełniłeś największy życiowy błąd, Bullard.

Znowu śmiech i połączenie zostało przerwane.

D'Agosta oddał telefon strażnikowi. Twarz mu płonęła. Sukinsyn. Sukinsyn. To było nielegalne - prawda? Wygrzebywanie tego rodzaju osobistych informacji. Bullard mówił głośno i D'Agosta zastanawiał się, czy aż tak, by wszystko doszło do Pendergasta. Przełknął ślinę, usilnie walczył, by opanować wzbierający gniew.

- Blokujecie bramę - rzucił ochroniarz z budki. Potem, jakby po namyśle, dodał: - Panowie.

- Objedziemy kwartał dookoła - powiedział do niego Pendergast - i damy panu Bullardowi czas na zmianę zdania.

- Nie zmieni zdania.

Pendergast obdarzył ochroniarza przeciągłym przyjaznym spojrzeniem. - Będzie pan wiedział, kiedy się usnąć, mam nadzieję? Dla własnego dobra, oczywiście.

- Co pan chce powiedzieć?

Nie zatrzymując się, żeby udzielić odpowiedzi, Pendergast włączył wsteczny i wcisnął gaz, a rolls zostawił za sobą imponujące ślady spalonej gumy. Zawrócił na parkingu i wyjechał na State Street. Spojrzał na D'Agostę. - Wszystko w porządku, Vincent?

- W porządku - odparł D'Agosta przez zaciśnięte zęby. Pendergast skręcił w prawo i zaczął okrążyć kwartał. - Wygląda na to, że pan



Bullard potrzebuje bardziej zdecydowanego podejścia.

- Taa.

Pendergast sięgnął w dół i jedną ręką wystukał numer na znajdującej się na konsoli komórce.

Przez głośnik zabrzmiał sygnał, a potem ktoś odebrał i rozległ się znajomy głos. - Kapitan Hayward.

- Pani kapitan? Tu Pendergast. Będziemy potrzebowali tego wezwania do stawienia się przed sądem, w którego sprawie dzwoniłem rano.

- Na jakiej podstawie?

- Odmowa współpracy. Możliwość ucieczki.

- Proszę dać spokój. Bullard to nie jakiś kolumbijski diler narkotyków czy terrorysta ze Środkowego Wschodu. To czołowy amerykański przemysłowiec.

- Tak, posiadający za granicą konta i fabryki, który, tak się składa, znajduje się obecnie na swoim jachcie do pełna zatankowanym i całkowicie wyposażonym na podróż transatlantycką. Jest w stanie dotrzeć do Kanady, Meksyku, Ameryki Południowej albo Europy - proszę wybrać - bez dopełniania zbiorników.

Westchnienie. - To Amerykanin. Ma paszport. Wolno mu wyjechać.

- To świadek odmawiający współpracy. Nie odpowiada na pytania.

- Mnóstwo ludzi nie odpowiada na pytania.

- Obaj, Grove i Cutforth, dzwonili do niego tuż przedtem, zanim zostali zamordowani. Istnieje tu jakiś związek i musimy go znaleźć.

Kolejne pełne irytacji westchnienie. - To właśnie jest nietypowe działanie, które źle wygląda w sądzie.

- Groził sierżantowi D'Agoście.

- Tak? - Głos zabrzmiał nieco ostrzej.

- Była to domniemana groźba szantażu oparta na osobistych informacjach zebranych dzięki pomocy Northern Health Atlantic Management, firmy ubezpieczeniowej, którą posiada.

„Więc słyszał”, pomyślał D'Agosta.

- Tak? - Pauza. - W takim razie dobrze, możecie wchodzić. Papiery są gotowe i czekają tylko na podpis.

- Znakomicie. - Pendergast podał jej numer faksu.

- Agencie Pendergast?

- Tak?

- Nie róbcie zamieszania. Zależy mi na mojej karierze.

- Mnie także na niej zależy

Faks wysunął się z maleńkiej drukarki atramentowej w chwili, gdy zakręcali w Pearl Street i zawracali do przystani jachtowej. Jadąc powoli przez zewnętrzny parking, Pendergast oddał papier i wręczył ochroniarzowi przy wjeździe dla VIP-ów.

- Znowu wy? - zapytał mężczyzna, biorąc faks.

Pendergast się uśmiechnął, przyłożył palec do ust. - Ani słowa Bullardowi.

Ochroniarz przeczytał faks, oddał. Na twarzy malował mu się taki wyraz, jakby nie do końca zmartwił go przebieg wydarzeń.

- Czas się usunąć - cicho powiedział Pendergast.

- Tak jest, proszę pana.

Zatrzymali się na parkingu dla VIP-ów i Pendergast otworzył bagażnik. Ruchem ręki przywołał D'Agostę. - Dla ciebie.

D'Agosta zajrzał. W środku leżał używany przez federalnych łom,

czarny i paskudny, długi na jakieś trzy stopy, z rodzaju tych wykorzystywanych przez agentów z Biura do Spraw Broni i Narkotyków przy aresztowaniach w sprawach o narkotyki.

- Chyba żartujesz.

- Stanowczość, mój drogi Vincencie - powiedział Pendergast ze słabym uśmiechem.

D'Agosta chwycił łom za oba uchwyty i podniósł, sprawdzając jego ciężar. Ruszyli alejką do centralnego doku. Stojący przed nimi, widoczny z boku, przycumowany do prywatnego nabrzeża jacht wydawał się gigantyczny: biały, z trzema zadaszonymi pokładami, szeregiem przyciemnianych okien i wieżą mostka najeżoną elektroniką. Na rufie wypisano nazwę „Burzowa Chmura”.

- Co z załogą? - zapytał D'Agosta.

- Mam informacje, że Bullard jest sam.

Jacht miał własny dok za zamkniętą bramą. Pendergast ukląkł przy niej, unosząc ręce do zamka. D'Agostie wydawało się, że agent tylko sprawdza zamek, chcąc zobaczyć, czy nie jest otwarty. Może był, bo brama posłusznie uchyliła podwoje.

- Musimy działać energicznie - powiedział Pendergast, gdy wstał.

D'Agosta, skulony, ruszył naprzód, dźwigając łom. Chociaż od czasu strzelaniny w parku wznowił treningi w sali, wciąż był bez formy, łom ważył przynajmniej czterdzieści funtów, a jego poturbowane kości protestowały przy każdym ciężkim kroku. Trap „Burzowej Chmury” był wciągnięty, ale zamknięty luk z tyłu znajdował się dokładnie na poziomie pirsu. Pendergast zatrzymał się, wyciągnął z marynarki robionego na zamówienie Des BAERA kaliber czterdzieści pięć i odsunął się, wskazując na luk.

- Ty pierwszy, Vincent - powiedział.

D'Agosta pogrzebał w pamięci. Czego uczyli ich w Akademii? „Nie rzucaj się na drzwi, udawaj, że to huśtawka”. Wziął głęboki oddech, mocno objął uchwyty i użył łomu jako dźwigni. Drzwi wpadły do środka z satysfakcjonującym trzaskiem. Pendergast zanurkował do wewnątrz z bronią gotową do strzału, a Vincent niezgrabnie wspiął się za nim.

Stali w wąskim korytarzu z pomalowanymi grodziami z jednej strony i rzędem przyciemnianych okien z drugiej. Pendergast gwałtownie otworzył drzwi wstawione między grodziami i nagle znaleźli się w głównym salonie wyłożonym pluszową kremową wykładziną, z czarnymi lakierowanymi stołami, wokół których biegły złote relingi.

- FBI! - warknął Pendergast. - Nie ruszać się!

Bullard stał na środku pomieszczenia ubrany w bładoniebieski dres, z cygarem w ręku, z wyrazem kompletnego zdumienia i - jak się wydawało D'Agostie - trwającego tylko moment przerażenia.

- Nie ruszać się!

Bullard natychmiast doszedł do siebie, twarz mu poczerwieniała, na szyi wystąpiły pulsujące żyły. Zaskoczenie ustąpiło źle ukrywanej wściekłości. Podniósł cygaro do grubych warg, zaciągnął się głęboko, wypuścił dym. - A więc żałosny pierdziel przyprowadził wsparcie.

- Trzymaj ręce na widoku - ostrzegł Pendergast, podchodząc bliżej z wycelowaną bronią.

Bullard rozłożył ręce. - Oto scena do twojej następnej powieści, D'Agosta. Pewnie nigdy w życiu nie widziałeś takiej łodzi w tych swoich slamsach na Carmine Street, gdzie dorastałeś z ojcem gliną,

który robił tanie zakłady przy grze w bilard, i matką, która...

D'Agosta rzucił się w jego stronę, ale Pendergast był szybszy, stając mu na drodze z prędkością światła. - Sierzancie, proszę mu nie dawać tej satysfakcji.

D'Agosta z trudem złapał oddech. Prawie się dusił.

- No dalej - szydził Bullard. - Zobaczmy, czy pod tym bebechem coś ci jeszcze wisi. Mam sześćdziesiątkę i załatwiłbym twoją tłustą dupę jedną ręką.

Pendergast nie spuszczał wzroku z D'Agosty, powoli kręcąc głową. Vincent przełknął ślinę, cofnął się o krok.

Pendergast odwrócił się i utkwiał w Bullardzie srebrzyste oczy. - I patrzcie tylko, przedsiębiorca pogrzebowy, który bawi się w FBI. Biały śmieć z głębokiego Południa. Wygląda na to, że bardzo biały.

- Do usług - cicho powiedział Pendergast.

Bullard roześmiał się i wyprostował gwałtownie jak czarna mamba, naciągając materiał dresu. Wciąż miał cygaro wetknięte między łopatomate palce i teraz uciszył własny śmiech, wsuwając je między wargi i wydmuchując w kierunku gości chmurę dymu.

Pendergast rzucił faks na hebanowy stół. Potem wskazał na spory lakierowany panel w ścianie na wprost. - Sierzancie, proszę otworzyć ten panel.

- Jedna cholerna minuta, potrzebujecie nakazu, żeby... Pendergast szczupłym palcem wskazał na faks. - Czytaj.

- Żądam adwokata.

- Najpierw zabezpieczymy lokal i pozyskamy dowody wymienione w nakazie. Jeden niewłaściwy ruch będzie oznaczał kajdanki i oskarżenie o utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości. Czy na

łodzi jest ktoś oprócz pana?

- Pierdol się.

D'Agosta podszedł do panelu wskazanego przez Pendergasta, przycisnął samotny guzik. Panel odsunął się, odsłaniając ścianę zastawioną sprzętem elektronicznym, monitor i klawiaturę.

- Skonfiskuj peceta.

D'Agosta odsunął na bok monitor, sprawdził, dokąd idą kable, i znalazł pudło upchnięte we wnęce poniżej.

- Nie waż się tknąć mojego komputera.

Pendergast wskazał w stronę stołu. - Jest wymieniony w nakazie, panie Bullard.

D'Agosta z przyjemnością wyrwał kable i wyciągnął komputer. Pogrzebał w kieszeni, nakleił plomby dowodowe na stacje dysków i wejścia dla myszy oraz klawiatury, zestawiał pudło i skrzyżował ramiona.

- Jest pan uzbrojony? - zapytał Bullarda Pendergast.

- Oczywiście, że nie.

Pendergast włożył swojego les baera z powrotem do kabury. - W porządku - powiedział cichym i nagle miłym głosem, południowy akcent wypłynął jak śmietanka. - Jako dodatek do nakazu mamy wezwanie do stawienia się przed sądem, które sugerowałbym przeczytać.

- Żądam mojego adwokata.

- Oczywiście. Zamierzamy zabrać pana do One Police Plaza i przesłuchać pod przysięgą. Może pan to zrobić w obecności prawnika.

- Dzwonię do niego teraz.

- Pozostanie pan na środku tego pokoju z rękoma na widoku. Nie ma pan prawa dzwonić do adwokata tylko dlatego, że taką ma pan chęć. Kiedy przyjdzie właściwa pora, otrzyma pan pozwolenie na wykonanie telefonu.

- Gówno. To poza twoimi kompetencjami. Wyrwę ci tę odznakę i zjem cię na lunch, ty albinoski fiucie. Nie masz pojęcia, z kim zadzierasza.

- Jestem pewien, że adwokat poradziłby panu zrezygnować z pogaduszek.

- Nie jadę na komendę.

Pendergast włączył swoje policyjne radio. - Południowy Manhattan? Z kim mówię, jeśli można? Shirley? Tu agent specjalny Pendergast z Federalnego Biura Śledczego. Jestem na przystani jachtowej East Cove na jachcie pana Locke'a Bullarda...

- Natychmiast wyłącz to radio.

Spokojny głos Pendergasta płynął nieprzerwanie. - Tak jest, Locke'a Bullarda, na jego jachcie „Burzowa Chmura”. Zabieramy go na przesłuchanie w ramach śledztwa w sprawie morderstw Grove'a i Cutforth'a.

D'Agosta obserwował, jak Bullard robi się biały. Bez wątpienia wiedział, że wszystkie media w Nowym Jorku monitorowały policyjne częstotliwości.

- Nie, nie jest podejrzanym. Powtarzam: nie jest podejrzanym. Nacisk, jaki Pendergast położył na te słowa, wywołał ciekawy efekt, stwarzając dokładnie odwrotne wrażenie.

Bullard spiorunował ich spojrzeniem spod łuków brwiowych nawisłych jak u człowieka z CroMagnon i uczynił wysiłek, by

zachować się rozsądnie. - Słuchaj, Pendergast, nie ma powodów, żebyś odgrywał twardego gline.

- Shirley, będziemy potrzebowali wsparcia, ludzi do kontroli tłumu i radiowozu z eskortą, żeby zabrać pana Bullarda do centrum. Tak jest. Trzy powinny wystarczyć. Moment, niech będą cztery. Mamy do czynienia z powszechnie znaną osobistością. Może się zrobić tłoczno.

Agent wsunął radio z powrotem do kieszeni, wyjął komórkę i rzucił ją Bullardowi. - Teraz może pan zadzwonić do swojego prawnika. One Police Plaza, sekcja przesłuchań, suterena, za czterdzieści minut. Zapewniamy kawę.

- Ty fiucie. - Bullard wybrał numer, rozmawiał przyciszonym tonem. Kiedy skończył, oddał telefon Pendergastowi.

- Sądzę, że powiedział panu to, co już sam doradzałem: trzymać usta szczelnie zamknięte. - Agent się uśmiechnął.

Bullard się nie odezwał.

Pendergast zaczął myszkować po wielkim salonie, chaotycznie, zaglądając tu i tam, podziwiając wiszące na ścianach obrazy o tematyce sportowej. Zupełnie jakby zabijał czas.

- Idziemy? - wybuchnął w końcu Bullard.

- Znów gada - stwierdził D'Agosta.

Pendergast nieuważnie kiwnął głową. - Wygląda na to, że nasz pan Bullard nie słucha swoich doradców. Bullard zamilkł, trząsł się ze złości.

- Myślę, że potrzebujemy tu więcej czasu, sierzancie. Żeby wszystko posprawdzać, rozumiecie.

- Jasne. - Chociaż wciąż się gotował, D'Agosta musiał ukryć uśmiech. Teraz zrozumiał, o co chodzi Pendergastowi.



Agent kontynuował przechadzkę po salonie, tam poprawiając gazetę, ówdzie oglądając oprawioną litografię. Minęło dziesięć kolejnych minut i Bullard robił się coraz bardziej nerwowy. D'Agosta usłyszał teraz słaby dźwięk syren, daleki skrzek megafonu. Pendergast wziął do ręki egzemplarz „Fortune”, przejrzał, odłożył. Spojrzał na zegarek. - Czy widzi pan coś ważnego, co mogłem przeoczyć, sierżancie?

- Sprawdził pan ten album fotograficzny?

- Znakomity pomysł. - Pendergast otworzył album, przerzucił. Na kilku stronach zatrzymał się dłużej i na jego twarzy pojawił się wyraz skupienia. Wydawało się, że zapamiętuje twarze, tak to przynajmniej wyglądało według D'Agosty.

Zamknął album z westchnieniem. - Możemy, panie Bullard?

Mężczyzna odwrócił się i z pociemniałą twarzą wepchnął ręce w rękawy wiatrówki.

Pendergast prowadził, za nim szedł Bullard. D'Agosta zamykał pochód z łomem na ramieniu. Kiedy wyszli z luku na nabrzeże, wrzask tłumu wzmógł się dramatycznie. Słysząc było krzyki, wycie policyjnych syren, wzmocniony przez megafon głos kierującego akcją. Za bramą fotografowie usiłowali zająć jak najlepsze pozycje. Policja próbowała odblokować drogę, żeby mogły przejechać służbowe pojazdy.

Widząc to, Bullard stanął jak wryty - Ty gnoju. - Niemal wypluł te słowa w stronę Pendergasta. - Celowo to opóźniłeś, żeby się zebrali.

- Po co ukrywać światło pod korcem, panie Bullard?

- Jasne - stwierdził D'Agosta. - I będzie pan świetnie wyglądał na okładce „Daily News” w tym kapturze na głowie.





Bryce Harriman siedział za kierownicą służbowego wozu „Post” i wracał do centrum. To wydarzenie przy marinie na Dolnym Manhattanie to była katastrofa. Pojawiło się tam kilku gapiów, ale to nowojorska prasa pokazała się tam od najlepszej strony - przeklinając, przepychając się i tłocząc. Harrimanowi przypominało to gonitwę byków w Pampelunie. Co za strata czasu. Nikt nie odpowiedział na pytania, nikt nic nie wiedział, sam chaos i wrzaski. Powinien był jechać prosto do biura i opisywać miejsce morderstwa Cutfortha, zamiast marnować czas na uganianie się za tym radiowym wezwaniem.

Przed nim sznur samochodów wjeżdżających z West Street zaczął tworzyć zwartą grupę. Zaklął, nacisnął klakson. Powinien jechać metrem. W tym tempie dotrze do biura po piątej, a musiał wysłać artykuł do dziesiątej, żeby zdążyć do porannego wydania.

W głowie wciąż od nowa pisał i przerabiał wstęp. Wrócił myślami do tłumu przed domem Cutfortha, wcześniej, dziś po południu. To byli ludzie, dla których pisał: rozpaczliwie spragnieni opowieści, pożądający opowieści. Pod nieobecność Smithbacka i dzięki temu, że „Times” traktował ten temat jako coś w rodzaju wstydlivej lokalnej tajemnicy, miał wolne pole.

Morderstwo Cutfortha będzie dobre na jeden artykuł, może dwa. Ale w takim wypadku wciąż był zależny od kaprysu mordercy, a nie

dało się przewidzieć, kiedy - jeśli w ogóle - morderca znów uderzy. Musiał mieć coś nowego.

Trochę się rozluźniło i zmienił pas, pokazując palec temu, kto trąbił na niego z tyłu. Jeszcze raz zmienił pas, ryzykując życie swoje i kilkunastu innych osób, żeby posunąć się do przodu o długość samochodu. Jeszcze raz pokazał palec. Ludzie to takie dupki...

...i nagle wiedział. Inne spojrzenie. Potrzebował eksperta, który by to wyjaśnił, nadał wszystkiemu właściwą perspektywę. Ale kogo? Równie szybko zjawiała się odpowiedź, drugi przypływ geniuszu.

Chwycił komórkę, wybrał numer do biura. - Jak leci, Iris?

- Chyba z nosa - odparła jego asystentka. - Przy tym odbieraniu telefonów jestem zajęta jak jednonogi na konkursie kopania w dupę.

Harriman skrzywił się z niesmakiem, słysząc żartobliwy, familiarny ton, którym z nim rozmawiała. Miał tu być szefem, nie koleżanką sekretarką z pokoju obok.

- Przeczytać wiadomości, które dostałeś? - zapytała.

- Nie. Słuchaj, chcę, żebyś kogoś dla mnie znalazła, tego badacza zjawisk paranormalnych, jak on się nazywa, Monk albo Munch, coś niemieckiego. Miał na Discovery program o egzorcyzmach, pamiętasz? Tak, właśnie tego. Nie, nie obchodzi mnie, ile to potrwa. Po prostu go dla mnie znajdź.

Rozłączył rozmowę i rzucił telefon na siedzenie pasażera, rozsiadł się wygodnie i uśmiechnął, pozwalając, by kakofonia trąbienia, buczenia i ryków, która otaczała jego wóz, ogarnęła go jak symfonia.



D'Agosta musiał wyrazić swój podziw dla geniuszu tego, kto zajmował się sekcją przesłuchań w głównej komendzie na Manhattanie. Było to być może ostatnie w Nowym Jorku miejsce, gdzie można palić, nie narażając się na aresztowanie, i w efekcie ściany z malowanych pustaków pokrywała połyskująca, brązowosmolista warstwa. Celowo mieli tu wszystko usmarowane. Powietrze tak nieruchome i stęchłe, jakby ktoś gdzieś ukrywał zwłoki. Linoleum na podłodze wystarczająco stare, żeby je zdjąć i umieścić w szklanej gablocie w Smithsonian Institution.

D'Agosta poczuł swego rodzaju satysfakcję z powodu wyglądu otoczenia. Locke Bullard, wciąż ubrany w niebieski dres i żeglarskie buty, siedział na krześle przy zatłuszczonym metalowym stole. Z wściekłości oczy nabiegły mu krwią. Pendergast zajął miejsce po przeciwnej stronie, a D'Agosta stał z tyłu, przy drzwiach. Cywilny administrator przesłuchania - w dzisiejszych czasach obowiązkowo obecny - stał przy kamerze wideo, wciągając brzuch i starając się wyglądać oficjalnie. Wszyscy czekali na adwokata Bullarda; utknął gdzieś w korku, który sami spowodowali.

Otworzyły się drzwi i weszła kapitan Hayward. W jednej chwili D'Agosta poczuł, że temperatura w pokoju spadła o jakieś dwadzieścia stopni. Utkwiła zimne spojrzenie najpierw w Pendergaście, a potem w D'Agoście i wskazała, żeby wyszli za nią na

korytarz.

Zaprowadziła ich do nieużywanego biura, przepuściła przodem, zamknęła drzwi. - Czyim pomysłem był ten medialny cyrk? - rzuciła.

- Niestety, to był jedyny sposób - odparł Pendergast.

- Nie wciskajcie mi kitu. To było zaaranżowane, a wy dwaj jesteście reżyserem i producentem. Na zewnątrz musi być z pięćdziesięciu dziennikarzy, wszyscy, co do jednego, przyjechali za wami z mariny. To jest właśnie to, czego chciałam uniknąć, przed rozpętanem tego rodzaju sensacji ostrzegałam.

Pendergast odezwał się spokojnie: - Pani kapitan, zapewniam, że Bullard nie dał nam wyboru. Przez chwilę myślałem, że będę musiał go skuć.

- Powinien pan zaplanować spotkanie na łodzi z jego prawnikiem, żeby nie czuł się napastowany i nie musiał przyjmować pozycji obronnej.

- Istnieje poważna obawa, że kolejne ostrzeżenie spowodowałoby jego ucieczkę z kraju.

Hayward z irytacją wypuściła strumień powietrza. - Jestem kapitanem nowojorskich sił policyjnych. To moja sprawa. Bullard nie jest podejrzanym i nie będzie tak traktowany. - Płynnie odwróciła się do D'Agosty - Pan poprowadzi przesłuchanie, sierżancie. Chcę, żeby agent Pendergast trzymał się wyraźnie z tyłu i miał starannie zamknięte usta. Jak na razie narobił dość kłopotów.

- Jak pani sobie życzy - uprzejmie oznajmił jej plecom Pendergast. Kiedy ponownie weszli do pokoju przesłuchań, Bullard wstał na równe nogi, wskazując na Pendergasta. - Zapłacisz mi za to, ty i ten twój pierdolony gruby fagas.

- Czy ma to pan na taśmie? - spokojnie zapytała cywilnego pracownika Hayward.

- Tak, proszę pani. Taśma chodzi, odkąd się tu zjawił.

Skinęła głową. Nienawiść zmniejszyła źrenice Bullarda do rozmiaru czubka szpilki.

Zapadła cisza, przzerwana w końcu pukaniem do drzwi.

- Wejść - zawołała Hayward.

Drzwi się uchyliły i umundurowany policjant wprowadził mężczyznę ubranego w grafitowy garnitur. Miał krótko przystrzyżone siwe włosy, szare oczy i miłą, przyjazną twarz. Gdy policjant odwracał się i zamykał drzwi, D'Agosta zauważył błysk na wpół ukrytego pod niebieską służbową koszulą krzyżyka. „Hayward może nie wierzyć w diabła - pomyślał - ale nie wszyscy jej podwładni podzielają ten pogląd”.

- Nareszcie! - ryknął Bullard, gapiąc się na prawnika. - Jezu Chryste, George, dzwoniłem do ciebie czterdzieści minut temu. Wyciągnij mnie stąd, do cholery.

Prawnik, niezmiuszony, przywitał się z Bullardem, jakby wszyscy tutaj znajdowali się na koktajl party. Potem odwrócił się i uściskał dłoń Pendergasta. - George Marchand z kancelarii Marchand i Quisling. Reprezentuję pana Bullarda. - Był tak uprzejmy, że jego głos brzmiał niemal melodyjnie, ale wzrok zatrzymał najpierw na odznace Hayward, a potem D'Agosty.

- Mój kolega, sierżant D'Agosta.

- Miło mi.

Zapadła cisza, gdy Marchand mierzył zebranych chłodnym spojrzeniem. - Wezwanie do stawienia się przed sądem?

Pendergast wyjął kopię z kieszeni czarnego garnituru i wręczył prawnikowi. Mężczyzna obejrzał ją uważnie.

- Może pan zatrzymać ten egzemplarz - odezwała się Hayward. Głos miała pozbawiony emocji, neutralny.

- Dziękuję. Czy mogę zapytać, dlaczego to przesłuchanie nie mogło zostać przeprowadzone w dogodnym dla pana Bullarda czasie w jego biurach lub na jachcie? - Nie skierował tego pytania do nikogo konkretnego, raczej rzucił w powietrze. Hayward skinęła na D'Agostę.

- Przy wcześniejszej okazji, w klubie, pan Bullard odmówił odpowiedzi na pytania. Tym razem groził mi, posuwając się do czegoś, co rozsądnie myślący człowiek mógłby uznać za domniemany szantaż. Sprawiał też wrażenie, że zamierza opuścić kraj. Posiadane przez niego informacje mają kluczowe znaczenie dla śledztwa.

- Czy jest podejrzanym?

- Nie. Ale ważnym świadkiem.

- Rozumiem. A ta domniemana groźba szantażu... czego dotyczyła?

- To cholerne... - zaczął Bullard.

Adwokat uciął jego wypowiedź machnięciem ręki.

- Groźba została poczyniona w mojej obecności - odezwał się Pendergast. - Pan Bullard groził też po raz drugi, tuż przed pana przyjściem, co zostało zarejestrowane na taśmie wideo.

- Ty cholerny kłamco...

- Ani słowa więcej, panie Bullard. Sądzę, że powiedział pan już aż nazbyt wiele.

- Na litość boską, George, ci faceci...



- Cisza. - Prawnik odezwał się przyjemnym tonem, ale ze szczególnym naciskiem w głosie.

Bullard umilkł.

- Mój klient - powiedział adwokat - pragnie współpracować. Zatem tak to rozegramy Najpierw państwo zadacie pytanie. Potem, jeśli to będzie konieczne, naradzę się z moim klientem na osobności na korytarzu. Następnie udzieli on odpowiedzi. Zgoda?

- Zgoda - stwierdziła Hayward. - Zaprzysięż go.

Przeszli przez całą procedurę pod przewodnictwem cywilnego pracownika, Bullard mruzczał odpowiedzi pod nosem. Na końcu odwrócił się do adwokata. - Cholera, George, powinieneś być po mojej stronie!

- Mój klient i ja musimy się naradzić na osobności. Marchand zabrał Bullarda na korytarz. Minutę później byli z powrotem.

- Pierwsze pytanie - powiedział prawnik.

D'Agosta zrobił krok naprzód, zerknął do notatek, odezwał się monotonnym, flegmatycznym głosem zawodowego gliny: - Panie Bullard, szesnastego października o drugiej dwie nad ranem dzwonił do pana Jeremy Grove. Rozmawiał pan z nim przez czterdzieści dwie minuty. O czym panowie rozmawialiście? Proszę zacząć od początku i zrelacjonować przebieg rozmowy.

- Już... - Umilkł, gdy Marchand zdecydowanym ruchem położył mu rękę na ramieniu. Znów wyszli na korytarz.

- Chyba nie zamierza pani pozwalać mu na to przy każdym pytaniu? - zapytał D'Agosta.

- Owszem, zamierzam - stwierdziła Hayward. - Ma prawo do adwokata.

Dwaj mężczyźni wrócili. - Grove zadzwonił do mnie, żeby pogawędzić - powiedział Bullard. - Towarzyska rozmowa.

- Tak późno?

Bullard spojrział na swojego prawnika, a ten skinął głową.

- Tak.

- O czym panowie gawędzili?

- Tak jak powiedziałem wcześniej. Zwykłe towarzyskie uprzejmości. Jak mu leci, jak mnie leci, jak leci rodzinie, jak leci psu, tego rodzaju sprawy.

- O czym jeszcze?

- Nie przypominam sobie.

Cisza. - Panie Bullard. Przez czterdzieści dwie minuty rozmawialiście o swoich psach, a parę godzin później Grove został zamordowany.

- To nie było pytanie - zdecydowanie stwierdził prawnik. - Następne.

D'Agosta poczuł na sobie spojrzenie Hayward z rodzaju tych przenikliwych. Odwrócił stronę.

- Gdzie się pan znajdował w czasie rozmowy?

- Na moim jachcie. Płynąłem przez cieśninę.

- Ile osób załogi było z panem na pokładzie?

- Wy płynąłem bez załogi. Jacht jest skomputeryzowany, sam się wszystkim zajmuję.

Przelotna, lecz znacząca cisza.

- Jak pan poznał Grove'a?

- Nie przypominam sobie.

- Czy był pańskim bliskim przyjacielem?

- Nie.
- Czy miał pan z nim jakieś interesy?
- Nie.
- Kiedy ostatnio go pan widział?
- Nie przypominam sobie.
- Dlaczego więc do pana zadzwonił?
- Będzie pan musiał jego zapytać.

Co za bzdury. Te same wykręty co wcześniej. D'Agosta przeszedł do następnego telefonu.

- Dwudziestego drugiego października o siódmej czterdzieści pięć wieczorem Nigel Cutforth zadzwonił na pański numer domowy. Czy odebrał pan ten telefon?

Bullard zerknął na prawnika, który skinął głową.

- Tak.
- O czym rozmawialiście?
- To także była rozmowa na tematy towarzyskie. Mówiliśmy o wspólnych znajomych, rodzinie, nowinach, tego rodzaju sprawach.
- O psach? - zapytał sarkastycznie D'Agosta.
- Nie pamiętam, czy rozmawialiśmy o psach.

Nagle wtrącił się Pendergast. - Czy faktycznie ma pan psa, panie Bullard?

Krótką cisza. Hayward rzuciła Pendergastowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Mówiłem metaforycznie. Rozmawialiśmy na błahe tematy towarzyskie, to miałem na myśli.

D'Agosta kontynuował. - Cutforth został zamordowany zaledwie kilka godzin po tym, jak odłożył pan słuchawkę. Czy wydawał się

panu zdenerwowany?

- Nie przypominam sobie.
- Czy w jakikolwiek sposób dał panu odczuć, że się czegoś obawia?
- Nie przypominam sobie.
- Czy prosił pana o pomoc?
- Nie przypominam sobie.
- Jaka była pańska relacja z panem Cutforthem?
- Powierzchna.
- Kiedy ostatni raz go pan widział? Wahanie. - Nie przypominam sobie.

- Czy kiedykolwiek miał pan jakieś interesy lub innego rodzaju zobowiązania dotyczące pana Cutfortha?

- Nie.
- W jaki sposób się panowie poznali?
- Nie przypominam sobie.
- Kiedy się panowie poznali? - gładko wtrącił Pendergast.
- Nie pamiętam.

To było więcej niż bzdurne. Adwokat George Marchand wyglądał na coraz bardziej zadowolonego. D'Agosta nie zamierzał tak tego zostawić.

- Po telefonie Cutfortha resztę nocy spędził pan na jachcie?
- Tak.
- Czy ma pan motorówkę?
- Tak.
- Czy była zasztauowana?
- Nie. Dokowała obok jachtu.
- Jakiego to rodzaju motorówka?

- Picnic Boat.

Włączył się Pendergast. - Czy ma pan na myśli markę Hinckley Pienie Boat, typ z silnikiem odrzutowym?

- Zgadza się.

- Z silnikiem Yanmar o mocy trzystu pięćdziesięciu czy czterystu dwudziestu koni?

- Czterystu dwudziestu.

- O maksymalnej prędkości ponad trzydzieści węzłów, jak sądzę?

- Mniej więcej.

- I zanurzeniu osiemnaście cali.

- Tak twierdzą.

Pendergast wycofał się, ignorując wzrok Hayward. Najwyraźniej w czasie przygotowań do przesłuchania przeprowadził po cichu jakieś poszukiwania.

D'Agosta trzymał się wskazanej przez niego linii. - Więc po odebraniu tego telefonu mógł pan wsiąść na swoją motorówkę i popłynąć w kierunku miasta. Z takim zanurzeniem mógł pan zacumować w dowolnym miejscu na wybrzeżu wzdłuż Manhattanu. A silnik pozwoliłby panu na manewrowanie na boki, do tyłu, dowolnie. Czy to się zgadza?

- Mój klient powiedział już, że tamtej nocy był na swoim jachcie - wtrącił prawnik wciąż uprzejmym tonem. - Następne pytanie?

- Czy tamtej nocy był pan sam, panie Bullard? To spowodowało kolejną wyprawę na korytarz.

- Tak, byłem sam - powiedział Bullard po powrocie. - W marinie notują wejścia i wyjścia; mogą potwierdzić, że tamtej nocy nie opuszczałem jachtu ani nie zabierałem motorówki z miejsca postoju.

- Sprawdzimy - stwierdził D'Agosta. - Więc przez trzydzieści minut gawędził pan z Cutforthem o pogodzie, a parę godzin potem on został zamordowany?

- Nie sędzę, żebyśmy rozmawiali o pogodzie, sierżancie. - W oczach Bullarda błysnął triumf. Znowu wygrał.

Pendergast zapytał: - Panie Bullard, czy ma pan zamiar wyjechać z kraju?

Bullard spojrział na Marchanda. - Muszę na to odpowiadać? Kolejna wyprawa na korytarz. Kiedy Bullard wrócił, powiedział: - Tak.

- Dokąd pan jedzie?

- To pytanie wykracza poza zakres wezwania - odezwał się adwokat. - Mój klient pragnie współpracować, ale prosi też o uszanowanie jego prywatności. Państwo już oświadczyliście, że nie jest podejrzanym.

Do prawnika zwrócił się Pendergast. - Na razie nie jest podejrzanym, ale może się okazać kluczowym świadkiem, prawdopodobne więc, że pański klient zostanie poproszony o oddanie paszportu, oczywiście tymczasowo.

D'Agosta nie spuszczał wzroku z twarzy Bullarda i - mimo że spodziewał się zmiany - zaskoczyło go, jak bardzo pociemniała. Mężczyzna wydawał się bliski wybuchu.

Adwokat uśmiechnął się uprzejmie. - Stwierdzenie całkowicie absurdalne, panie Pendergast. Ruchy pana Bullarda nie zostaną w żaden sposób ograniczone. Jestem zaskoczony i uważam, że wspomnienie przez pana o takiej możliwości było wysoce niestosowne, może nawet zostać uznane za groźbę.

Hayward rzuciła Pendergastowi ponure spojrzenie. - Pan Pendergast...

Pendergast uniósł rękę. - Panie Bullard, czy wierzy pan w istnienie diabła?

Przez twarz Bullarda coś przemknęło, błyskawiczna, potężna emocja, ale trwało to zbyt krótko, żeby D'Agosta zrozumiał, w czym rzecz. Bullard niespiesznie odchylił się na krześle, skrzyżował nogi, uśmiechnął się. - Oczywiście, że nie. A pan?

Adwokat wstał. - Wygląda na to, że dotarliśmy do końca przesłuchania, panowie.

Nikt nie zaprzeczył. Prawnik rozdawał wizytówki, uśmiechy i uściski dłoni. - Następnym razem w razie potrzeby porozumienia się z panem Bullardem - powiedział - proszę korzystać z mojego pośrednictwa. Pan Bullard wyjeżdża za granicę.

Wysłał Pendergastowi znaczący uśmiech.

- To - stwierdził agent bardzo cicho - się jeszcze okaże.

Bullard i jego prawnik wyszli, przepychając się przez tłum krzyczących reporterów. Także Pendergast zniknął, zostawiając D'Agostę sam na sam z Hayward. Ociągali się teraz z wyjściem z burego holu Police Plaza. On miał jej coś do powiedzenia i podobnie, jak się wydawało, było z nią.

- Czy Bullard naprawdę panu groził, sierzancie? - zapytała. D'Agosta się zawahał.

- Pytam z ciekawości, nieoficjalnie. Nie proszę, żeby pan donosił.

- Na swój sposób, owszem. - Zaczęli iść ramię w ramię w kierunku wyjścia z budynku. Na zewnątrz niechętnie pakowały się resztki ekip dziennikarzy. Niebo na zachodzie było smugą rozmazanej czerwieni. Gdy tak szli, D'Agosta niemal czuł fale gorąca emanujące z Hayward. Najwyraźniej nadal była wkurzona.

- Co to była za groźba?

- Wolałbym o tym nie mówić. - „Wiem wszystko o twojej żonie w Kanadzie”. Obraz gładko wygolonej twarzy Chestera Dominica nieproszony pojawił się w jego pamięci. To nie mogła być prawda. Chociaż, po namyśle, jednak mogła - rozstali się dawno temu. Ich małżeństwo było skończone - kogo oszukiwał? Ale nie Chester Dominic z tym pokornym uśmiechem na pokaz i fałszywą pogodą sprzedawcy samochodów. I w poliestrowych garniturach. Jezu. Każdy, tylko nie on.



D'Agosta obejrzał się i zobaczył wpatrującą się w niego Hayward. Twarz kobiety zdradzała troskę zmieszaną ze sceptycyzmem. Nie było jej łatwo, pomyślał. Pendergast był diabelnie dobrym agentem FBI, ale nie nadawał się do pracy w zespole. Albo było tak, jak chciał, albo wcale - żadnych kompromisów.

- Może będzie pan musiał o tym mówić, jeżeli zostanie wniesione oskarżenie.

- W porządku. Ale nie teraz. - Wziął głęboki oddech. - Pani kapitan, Pendergast naprawdę musiał przycisnąć Bullarda.

- Nie wierzę. Mógł dostać wezwanie, umówić się na przesłuchanie na łodzi i pewnie uzyskałby od faceta więcej informacji. A tak guzik nam wynikło z tego przesłuchania.

- Weszliśmy na łódź zadawać pytania. Grożono mi. Nie rozumiem, czemu pani zdaniem ustalenie tego spotkania miałoby przynieść więcej pożytku.

- Okej, ma pan rację, ale wszystko zmieniło się w cholerną przepychankę, a to nigdy nie daje efektów.

Przeszli przez drzwi i zatrzymali się na szerokich marmurowych schodach. Hayward wciąż była wściekła. Nie zaszkodziłoby tego załagodzić.

- Ma pani jakieś plany? - zapytał D'Agosta. Hayward spojrzała na niego. - Zamierzałam iść do domu.

- Może pójdziemy na drinka? Służbowo. Znam - a przynajmniej znałem - miejsce niedaleko, na Church Street.

Przez chwilę mu się przyglądała, blada twarz obramowana lśniącymi czarnymi włosami, oczy błyszczące resztkami irytacji. - Dobrze. D'Agosta zszedł ze schodów z Hayward przy boku.

- Pendergast ma własne metody - stwierdził.  
- Właśnie tego się obawiam. Proszę posłuchać, sierżancie...  
- Możemy poprzestać na Vinnie?  
- W takim razie mów do mnie Laura. Oto, co mnie martwi: ile razy Pendergast musiał zeznawać przeciw sprawcy w sądzie?

- Nie wiem.  
- To ci powiem. Bardzo niewiele. Wiesz dlaczego?  
- Dlaczego?  
- Bo większość sprawców, z którymi miał do czynienia, skończyła jako zwłoki. Właśnie dlatego.  
- To nie jego wina.  
- Nie powiedziałam, że go winię. To tylko spostrzeżenie. Powiedzmy, że Bullard stanie się podejrzany. Ten szwindelek będzie wtedy źle wyglądał.

Skręcili w lewo w Park Row, potem w prawo w Vesey. D'Agosta zobaczył, że miejsce wciąż istnieje, wydawało się, że niezmienione. W oknie sutereny wisiało kilka usychających paprotek w sznurkowych koszykach, właśnie taki wystrój, jaki trzyma z daleka innych gliniarzy. I za to lubił tę knajpkę - i za guinnessa z beczki.

- Nie miałam pojęcia, że takie miejsce istnieje - powiedziała Hayward, gdy zeszli po schodkach i D'Agosta przytrzymał jej drzwi. Wszedł za nią do chłodnego, pachnącego piwem wnętrza. Wybrała stolik z tyłu i natychmiast zjawił się facet z obsługi.

- Guinnessa - poprosiła.  
- Dwa.

D'Agosta nie potrafił przestać wyobrażać sobie Dominica ze swoją żoną. Zdał sobie sprawę, że ten obraz doprowadzi go do szaleństwa,

jeśli czegoś z tym nie zrobi. Wstał. - Zaraz wracam.

Znalazł telefon we wnęce z tyłu baru. Minęło sporo czasu, odkąd korzystał z automatu telefonicznego, ale tej rozmowy nie chciał przeprowadzać z własnej komórki. Zadzwoił do informacji, dotarł do kanadyjskiego operatora, dostał numer, zadzwonił. Wymagało to dwóch wędrowek do baru i dwudziestu ćwierćdolarówek. Jezu.

- Pojazdy turystyczne Kootenay - odezwał się nosowy głos.

- Jest Chet Dominic?

- Wyszedł.

- Do licha, byłem z nim umówiony, a chyba się spóźnię. Macie jego komórkę?

- A kto mówi?

- Jack Torrance. Zainteresowany tym itasca sunflyerem, no, wie pani, tym z wysuwaną sypialnią i blatami Corian? Chet jest moim znajomym z klubu.

- A, tak, pan Torrance - głos był nagle pełen udawanej życzliwości.

- Chwileczkę. - Podała mu numer.

D'Agosta zerknął na zegarek, wziął z baru jeszcze więcej monet, wybrał numer.

- Halo?

To był Chester.

- Mówi doktor Morgan ze szpitala. Zdarzył się okropny wypadek.

- Co? Kto? - Głos z miejsca przepełniony paniką. D'Agosta był ciekaw, czy Dominic ma żonę i dzieciaki. Pewnie tak, sukinsyn.

- Muszę natychmiast mówić z panią Lydią D'Agosta.

- No, aa, zaraz... tak, tak, oczywiście. - Stłumiony dźwięk, niewyraźne głosy, a potem w słuchawce głos jego żony. - Tak? O co

chodzi? Co się stało?

D'Agosta starannie wcisnął widełki, wziął kilka głębokich oddechów i wrócił do stolika. Jeszcze zanim tam dotarł, zadzwoniła jego komórka. Odebrał.

- Vinnie? Tu Lydia. Nic ci nie jest?

- Jasne. A czemu pytasz? Mówisz, jakbyś była zdenerwowana.

- Nie, nie, wszystko w porządku. Właśnie usłyszałam... sama nie wiem, coś o szpitalu. Martwiłam się. - Była niepewna i zmieszana.

- To nie ja.

- Wiesz, jak to jest, jestem tutaj, o wszystkim dowiaduję się z drugiej ręki...

- Jesteś jeszcze w pracy?

- Na parkingu. Właśnie wyjeżdżam.

- Jasne. To na razie. - D'Agosta zatrzasnął telefon i usiadł. „Miałś na myśli, że Chester Dominic właśnie wyjeżdżał, prawda?” Czuł okropny kłujący żar pełzający po ciele. Zjawił się guinness, prawdziwe królewska porcja z dwucalową pianką na wierzchu. Podniósł go i pociągnął długi łyk, potem następny, czując, jak chłodny płyn rozluźnia ściśnięte gardło. Odstawił kufel i zobaczył, że Laura Hayward uważnie mu się przygląda.

- Byłeś spragniony - stwierdziła.

- Taa. - Żeby ukryć twarz, pociągnął jeszcze jeden łyk. Kogo chciał oszukać? W tej chwili byli w separacji od pół roku. Nie mógł jej za to winić - a przynajmniej nie za bardzo. A Vinnie junior, jego syn, też nie chciał się przeprowadzać. Lydia nie była złą osobą, ale to był cios poniżej pasa. Naprawdę poniżej pasa. Zastanawiał się, czy mały Vinnie wiedział.

- Złe wiadomości?

D'Agosta zerknął na Hayward. - Coś w tym rodzaju.

- Mogę coś zrobić?

- Nie, dzięki. - Poprawił się na krześle. - Przepraszam. Nędzny dziś ze mnie kompan.

- Nie przejmuj się. To nie randka.

Zapadła cisza, a potem Hayward powiedziała: - Czytałam twoje dwie powieści.

D'Agosta poczuł, że się czerwieni. Ostatni temat, jaki chciał poruszyć w rozmowie.

- Były wspaniałe. Chciałam ci tylko to powiedzieć...

- Dzięki.

- Genialny był ten styl bez emocji, chropawy Naprawdę oddawały, jak to jest na służbie. W przeciwieństwie do większości tych fałszywie brzmiących policyjnych powieści.

D'Agosta kiwnął głową. - Gdzie je znalazłaś? Na przecenie?

- Kupiłam, kiedy zostały wydane. Tak się składa, że w pewnym sensie śledziłam rozwój twojej kariery.

- Naprawdę? - D'Agosta był zaskoczony. Kiedy lata temu pracowali razem nad morderstwami w metrze, nie sądził, żeby zrobił na niej jakieś wrażenie. W każdym razie dobre wrażenie. Ale z drugiej strony nigdy nie była wylewna.

- Naprawdę. Ja... - Zawahała się. - Kiedy razem pracowaliśmy, kończyłam jeszcze magisterkę na Uniwersytecie Nowojorskim. To była moja pierwsza duża sprawa. Byłam cholernie ambitna i dla mnie, początkującej, byłeś właśnie takim gliniarzem, jakim chciałam zostać. Więc kiedy wyjechałeś do Kanady pisać powieści, byłam

naprawdę ciekawa. Zastanawiałam się, czemu taki dobry gliniarz miałby rezygnować.

- Miałem masę do powiedzenia - o zbrodni, przestępcach, systemie sprawiedliwości. I o ludziach w ogóle.

- I dobrze to powiedziałeś.

- Nie dość dobrze.

Jej kufel stał pusty, jego także.

- Jeszcze kolejkę? - zapytał.

- Jasne. Vinnie, muszę ci to powiedzieć, nie mogłam uwierzyć, kiedy zobaczyłam cię z belkami sierżanta i odznaką z Southampton. Myślałam, że mam może do czynienia z twoim bratem bliźniakiem.

D'Agosta usiłował zmusić się do śmiechu. - Takie życie.

- To była niezła sprawa, ta, nad którą pracowaliśmy, morderstwa w metrze.

- Bez dwóch zdań. Pamiętasz rozruchy?

Pokręciła głową. - Co za widok. Jak w filmie. Czasami jeszcze mam o tym koszmarne sny.

- Mnie większość ominęła. Byłem pół mili pod ziemią, kończyłem to, co zaczął kapitan Waxie.

- Poczciwy Waxie. Wiesz, wessało go w te tunele tak głęboko, że nigdy nie znaleźli jego ciała. Prawdopodobnie zostało zjedzone przez aligatora.

- Albo gorzej.

Zamilkła. - Służba jest teraz inna, naprawdę inna. Dzięki Bogu - kiedy byłam jeszcze całkiem zielona, mieliśmy do czynienia z niezłą obsadą.

- Pamiętasz McCarrolla z komunikacyjnego? Nazywali go Padlina

z powodu cuchnącego oddechu? - Zachichotał.

- Czy pamiętam? Musiałam pracować z tym gnojem przez pół roku. Wtedy w wydziale komunikacji ciężko było być kobietą. Przemawiały przeciw mnie dwie rzeczy: nie tylko kobieta, ale na studiach. Dodajmy jeszcze jedno: nie chciałam się przespać z Padliną.

- Przystawiał się do ciebie?

- Jego koncepcja podrywu polegała na tym, żeby podejść naprawdę blisko, nachuchać na mnie, powiedzieć, że mam ładne ciało, i zrobić dziobek do całowania.

D'Agosta się skrzywił. - O mój Boże. Zgłosiłaś to?

- Żeby pokiwać swojej karierze na pożegnanie? Zresztą był tylko nieszkodliwym kretynem, nie warto było tego zgłaszać. Teraz policja nowojorska to zupełnie inny świat - całkowicie profesjonalny. Zresztą nikt nie odważyłby się startować z czymś takim do kapitana.

Pojawiło się drugie zamówienie i D'Agosta zamoczył usta w piwie, słuchając jej wspomnień, zabawnych opowieści o McCarrollu i innym, dawno już nieżyjącym kapitanie Alu „Crisco” DuPrisco. Przywołała masę wspomnień.

Pokręcił głową. - Jezu, nie ma lepszego miejsca, żeby być gliną, niż Wielkie Jabłko.

- Święta racja.

- Muszę wrócić do roboty tutaj, Lauro. Gniję tam w Southampton. Nie odezwała się. D'Agosta podniósł oczy, napotkał jej spojrzenie i zobaczył... co? Litość? - Przepraszam. - Odwrócił wzrok. Zabawne, jak życie wszystko przewraca do góry nogami. Teraz ona była kapitanem, pewnie najmłodszym w policji. A on... Cóż, jeżeli ktoś zasługiwał na sukces, to na pewno ona...

- Słuchaj - odezwał się, nagle znów oficjalny. - Tak naprawdę zaprosiłem cię na drinka, bo chciałem się upewnić, że nie masz żalu do Pendergasta. Pracowałem z nim, i to nie przy jednej dużej sprawie, lecz dwóch. Wierz mi, jego metody mogą być nietypowe, ale są skuteczne. Nie można marzyć o lepszym federalnym do współpracy.

- Doceniam twoją lojalność. Ale prawda jest taka, że ma problem ze współpracą. Zaryzykowałam, przygotowując to wezwanie i nakaz, a on postawił mnie w kłopotliwej sytuacji. Tym razem mam zamiar założyć jego dobrą wolę, ale proszę, Vinnie, trzymaj faceta w ryzach. Widać, że cię szanuje.

- Ciebie także. Cisza.

- No więc jak to się stało, że zrezygnowałeś z pisania? - zapytała Hayward, zmieniając temat. - Myślałam, że twoja kariera nieźle się rozwija.

- Taa, w stronę ogłoszenia niewypłacalności. Po prostu nie dawałem rady. Po dwóch powieściach nie miałem złamanego grosza. Lydia - moja żona - nie mogła tego znieść.

- Jesteś żonaty? - Obrzuciła jego rękę szybkim spojrzeniem, ale obrączka przestała na nią wchodzić lata temu.

- Taa.

- Czemu tak się dziwię? Wszyscy porządni faceci są zajęci. Zdrowie Lydie.

Uniosła kufel. D'Agosta nie podniósł swojego, zamiast tego powiedział: - Jesteśmy w separacji. Ona wciąż mieszka w Kanadzie.

- Przykro mi. - Opuściła kufel, ale nie wyglądała na specjalnie zamartwioną. A może ponosiła go wyobraźnia?



- Wiesz, czym groził mi Bullard? - D'Agosta przełknął ślinę. Nie był pewien, czemu jej to mówi, ale nagle poczuł, że nie wytrzyma ani minuty dłużej, jeżeli nie zrzuci z siebie tego ciężaru. - W jakiś sposób dowiedział się, że moja żona ma romans, i powiedział mi o tym. I o masie innych kompromitujących informacji osobistych, które wygrzebał, grożąc, że je upubliczni.

- Gnojek. W takim razie cieszę się, że Pendergast utarł mu nosa. - Zawahała się. - Chcesz o tym porozmawiać?

- Właśnie o tym rozmawiamy.

- Przepraszam, Vincent. To trudne. Warto ratować to małżeństwo?

- Skończyło się pół roku temu. Po prostu nie chcieliśmy przyjąć tego do wiadomości.

- Dzieci?

- Jedno. Mieszka ze swoją mamą. W przyszłym roku idzie do college'u, ma stypendium. Świetny dzieciak.

- Jak długo byliście małżeństwem?

- Dwadzieścia pięć lat. Pobraliśmy się zaraz po liceum.

- Boże. Na pewno nie ma czegoś, co warto ocalić?

- Trochę dobrych wspomnień. Ale teraz nie ma niczego. To skończone.

- W takim razie Bullard po prostu zrobił ci przysługę. - Wyciągnęła rękę i pocieszająco położyła na jego dłoni.

D'Agosta spojrział na nią. Miała rację, w pewnym sensie Bullard wyświadczył mu przysługę. Może nawet wielką przysługę.

Północ. Łódź wciąż cumowała przy nabrzeżu z załogą na pokładzie, wszystko gotowe do wypłynięcia o pierwszym brzasku. Bullard stał na pokładzie, wdychając nocne powietrze, patrząc na zatokę w kierunku Staten Island. Przed podniesieniem kotwicy musiał załatwić jeszcze jedną, ostatnią sprawę. Popełnił dwa poważne błędy i należało je naprawić. Pierwszym było wynajęcie pod wpływem impulsu tych oprychów, żeby załatwili D'Agostę. Cholerna głupota, powinien być mądrzejszy. Jeżeli ma się zamiar zabić gliniarza, trzeba to zrobić jak należy. Ten gnój rzucił kilka gróźb bez pokrycia, a on, w całym tym napięciu, pozwolił się nastraszyć. Chryste, ostatnio zrobił się nerwowy. Nie myślał jasno. Prawda była taka, że ta tłusta dupa nie stanowiła dla niego prawdziwego zagrożenia. Zwyczajny gliniarz. Prawdziwym wrogiem był ten agent FBI, Pendergast. Facet niebezpieczny jak żmija: czujny, chłodny, sprawny, gotowy do ataku. Pendergast nie żartował i był w tej drużynie mózgiem. Zabij mózg, a ciało umrze. Pozbądź się Pendergasta, a będzie po śledztwie.

Ta sama zasada, która dotyczyła gliniarzy, była nawet ważniejsza w wypadku agentów FBI. Nie należało ich zabijać, chyba że nie było innego wyjścia. Prawie nigdy nie poprawiało to sytuacji. Ale istniały wyjątki od tej zasady i ten wypadek do nich należał. Bullard nie mógł pozwolić, by cokolwiek - cokolwiek - przeszkodziło mu w tym, co

miał do zrobienia.

Zszedł pod pokład. Wszędzie cisza. Wślizgnął się do dźwiękoszczelnego pomieszczenia, zamknął za sobą drzwi, spojrzał na zegarek. Miał jeszcze kilka minut. Nacisnął parę guzików i ekran videokonferencyjny ożył. Pendergast podprowadził jednego peceta i trochę danych, ale wszystkie pozostałe komputery były połączone w sieć, a pliki danych związanych ze sprawami zawodowymi zaszyfrowane.

Korzystał z algorytmu szyfrowania z kluczem dwatysiąc czterdziesto ośmiobitowym, nie do złamania nawet przez najpotężniejsze komputery na świecie. Nie martwił się tym, czego Pendergast mógł się dowiedzieć. Martwił się samym faktem istnienia tego człowieka.

Ponaciskał kolejne klawisze i na ekranie pojawiła się niewyraźna twarz. Gładka i napięta jak membrana bębna, tak chuda, że wyglądała, jakby mokrą skórę naciągnięto na czaszkę i zostawiono do wyschnięcia. Głowa ogolona tak idealnie, że bez najmniejszego śladu zarostu. Widok przyprawił Bullarda o dreszcze, ale facet był dobry. Więcej niż dobry: najlepszy jaki istniał. Używał nazwiska Vasquez.

Mężczyzna milczał, nie wygłosił żadnego powitania, tylko patrzył, ręce założone, twarz bez wyrazu. Bullard odchylił się w krześle i uśmiechnął, chociaż nie miało to znaczenia. Obraz, który widział na ekranie swojego komputera Vasquez, był komputerowo wygenerowaną twarzą nieistniejącej osoby.

Bullard powiedział: - Cel to Pendergast, imię nieznane. Agent specjalny FBI. Mieszka na Riverside Drive numer osiemset

dziewięćdziesiąt jeden. Chcę dwa w głowę. Dam milion za każdą kulę.

- Wymagam pełnej zapłaty z góry - powiedział Vasquez.

- A jeśli zawiedziesz?

- Nie zawiodę.

- Gównu. Każdy zawodzi.

- Dzień, w którym zawiodę, to dzień, w którym umrę. Zgadza się pan?

Bullard się zawahał. Ale jeśli już coś robić, to porządnie.

- Dobrze - powiedział krótko. - Czas ma tu kluczowe znaczenie. - Gdyby Vasquez spieprzył sprawę, byli inni chętni do zakończenia zadania i zmniejszenia konkurencji na rynku; dwa zabójstwa nie kosztowałyby wiele więcej niż jedno.

Vasquez podniósł kawałek papieru z numerem. Zaczekał moment, dając Bullardowi czas na jego przepisanie. - Kiedy dwa miliony pojawią się na tym koncie, przystąpię do zadania. Nie musimy więcej rozmawiać.

Ekran zmatowiał. Bullard zorientował się, że Vasquez musiał przerwać połączenie. Nie przywykł, żeby tak go traktowano. Poczł przelotną irytację, potem głęboko odetchnął. Już wcześniej pracował z artystami i wszyscy byli z tej samej gliny: egoistyczni, żądni poklasku, chciwi.

A Vasquez zaliczał się do prawdziwych mistrzów - należał do tych, którzy kochają swoją pracę.



D'Agosta podjechał swoim fordem taurusem pod żelazną bramę, a potem stanął, zastanawiając się, czy mógł źle zrozumieć wskazówki. Był przynajmniej o godzinę spóźniony - papierkowa robota dotycząca wczorajszego zajścia z Bullardem zajęła cały ranek. W dzisiejszych czasach gliniarz nie mógł strzelić, zadać pytania ani nawet pierdnąć bez wypełnienia po fakcie raportów.

Zardzewiała brama wisiała luźno, otwarta, zamontowana na dwóch kruszących się kamiennych filarach. Wysypany żwirem podjazd za nią zarastało bujne ziele krostawca, wysokie na dobrze ponad stopę, świeżo zgniecione przez pojazd, który po nim przejechał. Ale nie, to musiało być właściwe miejsce: na kamiennej tabliczce wmurowanej w jeden z filarów widniała wytarta przez czas i pogodę, lecz wciąż czytelna nazwa: „Kruczy Krzyk”.

D'Agosta wysiadł z samochodu i pchnął skrzypiącą bramę trochę mocniej, a potem wsiadł za kierownicę i ruszył podjazdem. Widział, dokąd pojechał ten poprzedni samochód czy samochody, które odcisnęły w zielsku dwa niewyraźne ślady. Podjazd wił się przez stary las bukowy, potężne powykrzywiane pnie wznosiły się po obu stronach. W końcu wyjechał na słońce - łąkę nakrapianą dzikimi kwiatami, która kiedyś na pewno była trawnikiem. Na dalekim końcu łąki wznosiła się opuszczona kamienna rezydencja, ocieniona gęsto posadzonymi wiązami, z dachem zwieńczonym przynajmniej

dwudziestoma kominami. To miejsce z pewnością zasługiwało na miano nawiedzonego. D'Agosta powoli pokręcił głową. Potem, zerkając na wskazówki, które dał mu Pendergast, podjazdem dla powozów okrążył wielki dom i skręcił w kolejną drogę, która przez staroświeckie ogrody prowadziła do kamiennego młyna na brzegu strumienia. Stał tam zaparkowany rolls Pendergasta. Podjechał obok. Szofer agenta Proctor układał coś w bagażniku; gdy D'Agosta wysiadł z samochodu i podszedł bliżej, ukłonił się uprzejmie, a potem kiwnął w kierunku strumienia.

D'Agosta ruszył kamienną ścieżką, która odchodziła od drogi. W oddali przed sobą zobaczył dwie postaci przechadzające się ścieżką w plamach cienia, pogrążone w rozmowie. Jedną musiał być Pendergast - zdradzał go czarny garnitur i szczupła sylwetka. Drugą, w kapeluszu słonecznym i z parasolką, mogła być wyłącznie dziewczyna mieszkająca w domu Pendergasta. Jak jej było na imię? Constance.

Gdy doszedł do strumienia, usłyszał szmer wody, ptaki urzędujące w bukowym lesie. Pendergast się odwrócił i pomachał do niego. - Vincent, dotarłeś. Bardzo dobrze, że przyjechałeś.

Odwróciła się także Constance, z poważnym uśmiechem wyciągnęła rękę. D'Agosta ujął ją, mamrocząc słowa powitania. Z jakiegoś powodu sprawiała, że zależało mu na zaprezentowaniu nienagannego zachowania, tak samo działała na niego babka, kiedy był mały. Niezwykłe oczy dziewczyny ukryte były za bardzo ciemnymi okularami.

Zerknął w dół nakrapianej cieniem ścieżki. Młyn się nie obracał, ale prąd wody został skierowany do dziwnego rzędu kamiennych

zbiorników ze śluzami. - Co to za miejsce?

- Posiadłość należy do mojej ciotecznej babki Cornellii, która, niestety, nie czuje się dobrze i nie może opuszczać domu. Zacząłem przywozić tu Constance, żeby pooddychała świeżym powietrzem.

- Aby uzupełnić moją rehabilitację - dodała Constance ze słabym uśmiechem. - Pan Pendergast uważa, że jestem delikatnego zdrowia.

- Niezły kawał terenu.

- Pod koniec dziewiętnastego wieku młyn został przebudowany na hodowlę pstrągów - odparł Pendergast. - Co roku zarybiali Dewing Brooke tysiącami pstrągów, a lasy trzymali pełne dzikich indyków, jeleni, bażantów, kuropatw, przepiórek i niedźwiedzi. W niedziele urządzano tu prawdziwe masakry, gdy moi krewni i przyjaciele, których gościli, ruszali w pole.

- Ostoja myśliwska. Założę się, że fantastycznie się tu łowi. - D'Agosta spojrział na strumień szemrzący w wybrukowanym kamieniami korycie z głębokimi basenami i zagłębieniami, bez wątplenia wciąż pełnymi pstrągów. Nawet kiedy patrzył, kilka ryb podpływających do stawidła zmarszczyło powierzchnię wody.

- Nigdy nie lubiłem wędkowania - powiedział Pendergast. - Wolę krwawy sport.

- Co jest złego w wędkowaniu?

- Uważam je za bezgranicznie pospolite.

- Pospolite. Jasne.

- Po nagłej śmierci męża i dzieci ciotki Cornellii większość służby złożyła rezygnację. Krótco potem ciotka musiała wyjechać. A teraz „Kruczy Krzyk” stoi pusty, niszczeje. W każdym razie - z większym wigorem stwierdził Pendergast - poprosiłem, żebyś przyjechał,

abyśmy mogli dokonać oceny sytuacji w warunkach sprzyjających kontemplacji. Szczerze mówiąc, Vincencie, ta sprawa wprawia w zakłopotanie. Normalnie na tym etapie znalazłbym już nic prowadzącą do kłębka. Ale tu jest inaczej.

- Ciężka sprawa - stwierdził D'Agosta. Zerknął na dziewczynę, zastanawiając się, ile powiedzieć.

- Przy Constance możemy swobodnie rozmawiać. Dziewczyna uśmiechnęła się, robiąc żartobliwie poważną minę.

Powędrowali przez cień w kierunku samochodów.

- Zróbmy przegląd tego, co wiemy. Mamy dwa morderstwa, każde z niewyjaśnionymi osobliwościami obejmującymi podgrzanie ciała i różne mefistofeliczne akcesoria. Wiemy, że obie ofiary musiały być w jakiś sposób powiązane ze sobą i z Bullardem. Ale nie byłem w stanie odnaleźć tego powiązania.

- Od tej strony pomaga mi Hayward. Wydobyliśmy ich rachunki telefoniczne, wyciągi z kart kredytowych, dane dotyczące podróży i rozrywek z ostatnich dziesięciu lat. Nic. Nie wydaje się, żeby kiedykolwiek się spotkali. Co do Bullarda, to większość plików w komputerze, który przejęliśmy, była zaszyfrowana w zbyt skomplikowany sposób, żeby to złamać. Dostałem jednak od Hayward pewien interesujący okruch informacji: w tymczasowym katalogu internetowym w komputerze znaleźli odniesienie do nazwiska Ranier Beckmann. Wygląda na to, że także Bullard usiłował go zlokalizować.

- A jednak powiedziałaś, że Bullard zaprzeczył, jakoby znał Beckmanna, kiedy przesłuchiwałaś go w Klubie Lekkoatletycznym. Bullard w ewidentny sposób wiele ukrywa. Jest zły, przyjmuje



postawę obronną. Powiedziałbym może nawet, że się obawia. Czego?

- Aresztowania. Moim zdaniem, Bullard jest podejrzanym numer jeden. Nie ma też dobrego alibi na czas morderstwa Grove'a. Twierdzi, że był na jachcie, że tamtej nocy przekraczał cieśninę. Bez załogi. Mógł zamiast tego popłynąć na Atlantyk, przemknąć na plażę w Southampton, załatwić robotę.

- Możliwe. Ale fakt, że na żadną z tych nocy nie ma alibi, z mojego punktu widzenia w rzeczywistości działa na jego korzyść. Poza tym jaki miałby motyw? Po co miałby zabijać Grove'a i Cutforth'a? I dlaczego urządzić to tak, żeby wyglądało na robotę diabła?

- Ma makabryczne poczucie humoru.

- Przeciwnie, ten człowiek wydaje się nie posiadać nawet śladu poczucia humoru, może poza gangsterską schadenfreude. Dla żartu nikt nie podejmowałby takiego ryzyka.

- W takim razie chce przekazać wiadomość.

- Tak, ale komu? W jakim celu?

- Nie wiem. Jeśli to nie Bullard, w takim razie może jakiś szaleniec fundamentalista, który uważa, że wykonuje boże dzieło.

- Druga możliwość.

Zapadła krótka cisza. Potem Pendergast dodał: - Vincencie, nie wspomniałeś o innej możliwości.

DAgosta poczuł, że ściska mu się żołądek. Pendergast nie mówił serio - prawda? Zorientował się, że nieświadomie przesuwając krzyżyk między palcami.

- Gdzie jest teraz Bullard? - zapytał agent.

- Dziś rano wypłynął jachtem, zmierzając w stronę otwartego oceanu.

- Jakieś sugestie dokąd?

- Wygląda, że do Europy W każdym razie kieruje się na wschód, z pełną szybkością. Właściwie nawet szybciej - jacht musi mieć specjalnie zmodyfikowane silniki. W każdym razie Hayward ma kogoś, kto tego pilnuje. Będziemy wiedzieli, gdzie i kiedy dobieje - o ile, oczywiście, nie ominie celników i kontroli paszportowej, co z takim jachtem wydaje się mało prawdopodobne.

- Godna podziwu Hayward. Nadal taka rozzłoszczona?

- Można to tak nazwać. Pendergast słabo się uśmiechnął.

- Więc jaką masz teorię? - zapytał D'Agosta.

- Staram się jak mogę, żeby nie mieć teorii.

D'Agosta usłyszał chrzęst żwiru, trzask drzwiczek, odległy dźwięk głosów. Spojrzał przez szerokość łąki i zauważył nowego gościa: długą, staroświecką limuzynę z opuszczonym dachem. Do tylnego siedzenia skórzanymi pasami przypięto ogromny wiklinowy kosz.

- Kto to? - zapytał D'Agosta.

- Kolejny gość - zwyczajnie powiedział Pendergast.

Teraz ktoś nadszedł z samochodu - ogromna postać pozostająca w zdecydowanej dysproporcji do otoczenia, ale poruszająca się z niezwykłą płynnością i łatwością. Fosco, który najwyraźniej jakimś sposobem ze świadka zmienił się w znajomego.

D'Agosta przyjrzał mu się. - Co on tu robi?

- Zdaje się, że posiada jakieś wielkiej wagi informacje, których przekazania nie może się doczekać. A ponieważ wyraził chęć obejrzenia czegoś, co tu, w Ameryce, uchodzi za starożytność, pomyślałem, że zaproszę go do „Kruczego Krzyku”. Jestem jego dłużnikiem z powodu interesującego wieczoru w operze.

Gość pospiesznie nadchodził ścieżką, machając na powitanie na długo przedtem, zanim do nich dotarł.

- Cudowne miejsce! - zagrzemiał hrabia, zacierając obleczone w białe rękawiczki dłonie. Ukłonił się Pendergastowi, potem zwrócił do D'Agosty. - Poczciwy sierżant. D'Agosta, czyż nie? Zawsze z przyjemnością zawieram znajomość z rodakiem Włochem. Jak się pan miewa?

- Świetnie, dzięki. - D'Agostie nie podobał się ten człowiek i jego ostentacyjne zachowanie na stypie, a teraz miał dla niego jeszcze mniej sympatii.

- A to moja podopieczna, Constance Greene - powiedział Pendergast.

- Pańska podopieczna, mówi pan? Jestem zachwycony. - Fosco skłonił się i uniósł jej rękę prawie, choć nie całkiem, do ust.

Constance w podziękowaniu schyliła głowę. - Widzę, że pan i pan Pendergast podzielacie zainteresowanie egzotycznymi samochodami.

- W rzeczy samej, to i znacznie więcej. Pan Pendergast i ja zostaliśmy przyjaciółmi. - Rozpromienił się. - Bardzo wiele nas różni. Ja jestem miłośnikiem muzyki, on nie. Ja jestem miłośnikiem starannych strojów, on ubiera się jak przedsiębiorca pogrzebowy. Ja jestem gadatliwy i towarzyski, on cichy i zamknięty. Ja jestem bezpośredni, on pełen rezerwy. Ale dzielimy miłość do sztuki, literatury, dobrego jedzenia, wina i kultury, podobnie jak fascynację tymi okropnymi i niewyjaśnionymi zbrodniami. - Badawczo spojrzął na Constance, znów się uśmiechnął.

- Przestępstwa są interesujące tylko wtedy, gdy pozostają niewyjaśnione. Niestety, takich jest niewiele.

- Niestety?

- Patrząc z estetycznego punktu widzenia.

Hrabia zwrócił się do Pendergasta. - Ta młoda dama jest wyjątkowa.

- A co pana łączy z tą sprawą, hrabio, poza czystą fascynacją? - zapytała Constance.

- Chciałbym pomóc.

- Hrabia Fosco już był pomocny - stwierdził Pendergast.

- I jak pan zobaczy, okaże się jeszcze bardziej pomocny! Ale najpierw muszę powiedzieć, jak zauroczyła mnie ta posiadłość. Pańskiej ciotecznej babki, powiedział pan? Tak malownicza! Popadająca w ruinę i zapomnienie, tajemnicza, nawiedzona. Przypomina mi grafikę Piranesiego Veduta degli Avanzi delle Terme di Tito, „Ruiny łaźni Tytusa”. Zdecydowanie preferuję budynek w zapomnieniu i ruinie - znaczna część mojego Castello w Toskanii pozostaje w rozkosznym stanie ruiny.

D'Agosta zaciekał się, jak też wygląda zamek hrabiego.

- Zgodnie z obietnicą przywiozłem lunch - oznajmił hrabia tubalnym głosem. - Pinketts! - Klasnął w ręce i jego kierowca, angielski aż do bólu, odpiął i przydźwigał wielki wiklinowy kufer, po czym przystąpił do rozkładania lnianego obrusa, butelek z winem, serów, prosciutto, salami, sreber i kieliszków na kamiennym stole w cieniu ogromnego rdzawego buka.

- To miło z pańskiej strony, hrabio - stwierdził Pendergast.

- Tak, jestem miły, szczególnie przekona pana o tym widok Villa Calcinaia Chianti Classico Riserva, rocznik dziewięćdziesiąty siódmy, które przywiozłem, produkowanego przez mojego sąsiada,

poczciwego hrabię Capponi. Ale mam dla pana coś jeszcze. Coś lepszego nawet niż wino, kawior i foie gras. Jeśli coś takiego jest oczywiście możliwe.

- Czarne oczy w gładkiej, przystojnej twarzy błyszczały radością.

- I jest to?

- We właściwym czasie, we właściwym czasie. - Hrabia z wielką uwagą zaczął rozmieszczać rzeczy na stole, odkorkowywać i przelewać do karafki czerwone wino, pozwalając, by nastrój oczekiwania narastał. W końcu odwrócił się z konspiracyjnym uśmiechem. - Przypadkiem dokonałem odkrycia pierwszorzędnej wagi. - Zwrócił się do D'Agosty.

- Czy mówi coś panu nazwisko Ranier Beckmann, sierżancie?

- Znaleźliśmy je w komputerze Bullarda. To facet, którego próbował zlokalizować.

Hrabia skinął głową, jakby o wszystkim tym wiedział. - I?

- Bullard przeprowadzał w internecie poszukiwania Raniera Beckmanna, bezskutecznie. Grove, zdaje się, też szukał Beckmanna. Ale nie wiemy dlaczego.

- Wczoraj byłem na oficjalnym obiedzie i posadzono mnie obok lady Milbanke. Powiedziała mi - między kolejnymi prezentacjami nowego naszyjnika - że na kilka dni przed tym, jak został zamordowany, Jeremy Grove spytał, czy mogłaby polecić mu prywatnego detektywa. Okazało się, że mogła - skandalizujące typy często mogą. Następnie zwróciłem się do tego dżentelmena osobiście i wkrótce wydobyłem z niego informację, iż Grove go wynajął... by odnalazł niejakiego Raniera Beckmanna.

Dramatycznie spauzował. - Grove panikował, że musi znaleźć tego

człowieka. Kiedy detektyw zapytał go o szczegóły, nie potrafił mu żadnych dostarczyć. Żadnych. Detektyw zaprzestał śledztwa, gdy usłyszał o śmierci Grove'a.

- Interesujące - stwierdził D'Agosta.

- Interesujące byłoby sprawdzić, czy nazwisko Beckmanna pojawiło się także wśród rzeczy pozostałych po Cutforcie - powiedział Pendergast.

D'Agosta wyjął komórkę, wybrał bezpośredni numer Hayward.

- Mówi Hayward - rozległ się chłodny głos.

- Tu sierżant D'Agosta. Vinnie. Czy twoi ludzie skończyli inwentaryzację mieszkania Cutforth'a?

- Tak.

- Czy przypadkiem pojawiło się tam nazwisko Ranier Beckmann?

- Prawdę mówiąc, tak. - D'Agosta usłyszał szelest papierów. - Znaleźliśmy notes z jego nazwiskiem wypisanym ręką Cutforth'a na pierwszej stronie.

- A reszta notesu?

- Pusta.

- Dzięki. - D'Agosta zamknął telefon i przekazał to, co usłyszał. Twarz Pendergasta stężała w podnieceniu. - Właśnie to jest nić, której szukaliśmy. Grove, Cutforth, Bullard. Czemu wszyscy trzej szukali Beckmanna? Może sami powinniśmy znaleźć Beckmanna i zobaczyć, co ma nam do powiedzenia.

- Ta koncepcja może się okazać trudna w realizacji, mój przyjacielu - powiedział hrabia.

Pendergast zmierzył go wzrokiem. - A to czemu?

- Ów prywatny detektyw powiedział mi coś jeszcze. Że nie udało

mu się znaleźć absolutnie żadnych informacji o tym Ranierze Beckmannie. Żadnego obecnego czy dawnego adresu, żadnej historii zatrudnienia, żadnych informacji o rodzime. Nic. Ale pozostawiam to panu. - Hrabia, promieniejąc radością ze swojego sukcesu, rozłożył białe ręce. - A teraz, gdy zakończyliśmy interesy, usiądźmy i rozkoszujmy się lunchem. - Odwrócił się i skłonił Constance. - Czy wolno mi będzie posadzić panią tu, po mojej prawej ręce? Czuję, że mamy wiele do omówienia.

Jeszcze przed wejściem Harriman stworzył sobie obraz salonu von Mencka. Wyobraził sobie, że będzie wyłożony perskimi dywanami, udekorowany astrologicznymi wykresami, starożytnymi pentagramami i może tybetańskimi figurkami z ludzkich piszczeleli. Sam pokój, taką miał nadzieję, wystarczy na świetny artykuł. Poczuli się więc zbity z tropu, kiedy w odpowiedzi na jego pukanie drzwi otworzyły się, żeby ukazać skromny, niemal spartański gabinet. Mały kominek, wygodne skórzane fotele, litografie egipskich ruin na ścianach. Prawdę mówiąc, tylko dwie rzeczy wskazywały, że nie jest to kolejny salon członka klasy średniej: ściana oszklonych szaf bibliotecznych, w których kłębiły się książki, manuskrypty i papiery, oraz statuetka nagrody Emmy dla najlepszego dokumentu, niedbale ustawiona na biurku obok telefonu i staroświeckiego stojaka na fiszki adresowe.

Harriman zajął wskazane mu miejsce, mając nadzieję, że przecucie go nie zwiodło: że von Menck nada kształt i ton historii diabelskich zabójstw. Typowy naukowiec mógłby co najwyżej ośmieszyć to wszystko, a stuknięty satanista nie byłby wiarygodny. Friedrich von Menck był idealny, ponieważ mieścił się w szarej strefie pomiędzy nimi. Z jednej strony akademickie tytuły von Mencka były bez zarzutu: doktor filozofii z Heidelbergu, doktor medycyny z Harvardu, doktor teologii z Canterbury, z drugiej -



zawsze specjalizował się w tym, co mistyczne, paranormalne, niewyjaśnione. Jego dokument o kręgach w zbożu, pokazany przez PBS, spotkał się z wielkim uznaniem i był naprawdę dobrze zrobiony, doprawiony zarówno sceptycyzmem, jak i odpowiednią porcją dreszczyku, jaki wywołuje niewyjaśnione. I oczywiście ten wcześniejszy program o egzorcyzmach w Kartagenie w Hiszpanii, zdobywca Emmy. Wówczas nawet sam Harriman zaczął się zastanawiać - choćby tylko w czasie przerwy na reklamy - czy w koncepcji opętania przez demony nie kryło się ziarno prawdy.

Von Menck dostarczyłby mu czegoś więcej niż opinii: dostarczyłby fundamentu, wyrzutni dla rakiety tekstu, silnika. Jeżeli von Menck nie potrafił wystrzelić tej historii na orbitę, nikt nie potrafił.

Doktor grzecznie powitał Harrimana i zajął miejsce w skórzanym fotelu naprzeciwko. Harrimanowi facet z miejsca się spodobał. Z zaskoczeniem zorientował się, że przyciągająca, niemal magnetyczna osobowość pokazywana przez telewizję rzeczywiście istniała. Zdecydowanie przyczyniał się do tego niski, melodyjny głos i chłodne, ascetyczne rysy twarzy z wydatnymi kośćmi policzkowymi i zgrabnie uformowanym podbródkiem. Wyglądało na to, że brakuje tylko jednego drobiazgu. W telewizji von Menck często się uśmiechał - łobuzerskim uśmiechem pełnym inteligencji i poczucia humoru, uśmiechem człowieka, który nie bierze siebie zbyt poważnie. Dzięki temu jego dochodzenia, mimo że o charakterze dość technicznym, nie stawały się nadmiernie ciężkostrawne. Teraz jednak - choć von Menck był uprzedzająco grzeczny - ten ujmujący uśmiech znikł. Po krótkiej wymianie uprzejmości doktor przeszedł do sedna.

- Pańska wiadomość informowała, że chciałby pan mówić ze mną

o ostatnich zabójstwach.

- Zgadza się. - Harriman sięgnął do kieszeni po dyktafon.

- Które pańska gazeta nazywa diabelskimi zabójstwami.

- Zgadza się. - Czy modulacja głosu doktora zdradzała ślad lekceważenia albo dezaprobaty? - Doktorze von Menck, przyjechałem sprawdzić, czy wyrobił pan sobie opinię na temat tych morderstw.

Doktor von Menck odchylił się na oparcie, zetknął czubki palców i uważnie przyjrzał się Harrimanowi. Gdy wreszcie się odezwał, mówił bardzo powoli i wyważonym tonem. Harriman miał wrażenie, że facet rozważał odpowiedź na to pytanie na długo, zanim on je zadał.

- Tak. Tak się składa, że mam zdanie na ten temat.

Harriman umieścił dyktafon na poręczy fotela. - Czy pozwoli pan, żebym nagrywał?

Von Menck ruchem ręki wyraził zgodę. - Zastanawiałem się nad sensem upublicznienia mojej opinii.

Harrimanowi zrobiło się zimno. „O nie - pomyślał. - Facet sam planuje zrobić na ten temat dokument. Zaraz mnie dobije”.

Von Menck westchnął. - W końcu uznałem, że ludzie mają prawo wiedzieć. W pewien sposób pański telefon był szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Dreszcz zastąpiła ulga. Harriman pochylił się, włączył nagrywanie. - W takim razie może mógłby mi pan powiedzieć, co pan o tym myśli. Dlaczego ci dwaj ludzie, dlaczego w taki sposób, dlaczego w tym momencie?

Von Menck ponownie westchnął. - Ci daj mężczyźni i sposób mają mniejsze znaczenie. Najistotniejsza jest kwestia czasu.

- Proszę to wyjaśnić.

Von Menck wstał, podszedł do jednej z szaf bibliotecznych, otworzył ją i coś wyjął. Umieścił to na biurku przed Harrimanem. Przecięta muszla łodzika - poczynając od środka, kolejne segmenty układały się spiralnie z piękną regularnością.

- Czy pan wie, co ta muszla ma wspólnego z budynkiem Partenonu, płatkami kwiatów i obrazami Leonarda da Vinci?

Harriman potrząsnął głową.

- Ucieleśnia najbardziej idealne naturalne proporcje, złotą proporcję.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem.

- Proporcję tę uzyskuje się przy podziale odcinka w taki sposób, że krótsza część ma do dłuższej taki stosunek jak dłuższa do całości.

Harriman zapisał wszystko z nadzieją, że później się w tym połapie.

- Dłuższa część jest 1,618054 razy dłuższa niż część krótsza. Krótsza stanowi 0,618054 procent dłuższej. Co więcej, te dwie liczby są dla siebie dokładnymi odwrotnościami, różnią się tylko pierwszą cyfrą - wyłącznie te dwie liczby mają taką właściwość.

- Słusznie. - Matematyka nigdy nie była jego mocną stroną.

- Mają też inne znaczące właściwości. Prostokąt skonstruowany z boków o tych dwóch długościach uważany jest za kształt najprzyjemniejszy dla oka, nosi nazwę złotego prostokąta. W takim kształcie zbudowano Partenon. Na tym kształcie oparte były katedry i obrazy. Prostokąty tego rodzaju także mają pewną znaczącą właściwość: jeżeli z jednego boku wytnie się kwadrat, pozostanie mniejszy złoty prostokąt o dokładnie takich samych proporcjach. Wycinanie kwadratów i tworzenie mniejszych złotych prostokątów

można kontynuować w nieskończoność.

- Rozumiem.

- A teraz, jeżeli zaczniesz się od dużego złotego prostokąta i zredukujesz go, kwadrat po kwadracie, tworząc nieskończoną serię mniejszych złotych prostokątów, a następnie połączysz ze sobą środki ich wszystkich, powstanie idealna naturalna spirala logarytmiczna. To właśnie jest spirala, którą widzi pan w muszli łodzika, w układzie nasion słonecznika, w muzycznej harmonii i faktycznie wszędzie w naturze. Złota proporcja to fundamentalna właściwość świata natury.

- Taa.

- Proporcja owa jest częścią podstawowej struktury kosmosu. Nikt nie wie dlaczego.

Harriman przyglądał się, jak doktor ostrożnie odkłada muszlę do szafy i zamyka szklane drzwi. To nie było to, o co mu chodziło. Czuł się zagubiony, a skoro on był zagubiony, wiedział, że tak będą się czuli także czytelnicy „Post”. Co za strata czasu. Będzie musiał zwać przy najbliższej sposobności.

Von Menck stanął za biurkiem i odwrócił się, żeby spojrzeć dziennikarzowi w twarz. - Czy jest pan człowiekiem religijnym, panie Harriman?

Pytanie było tak nieoczekiwane, że Harriman przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Niekoniecznie mam na myśli, że w sensie zorganizowanym, jako katolik, protestant, ktokolwiek. Ale czy wierzy pan, że istnieje jednocząca siła, która leży u podstaw naszego wszechświata?

- Tak naprawdę nigdy się nad tym nie zastanawiałem - stwierdził Harriman. - Chyba tak. - Był wychowany jako episkopalianin, ale nie

licząc ślubów i pogrzebów, jego noga nie stanęła w kościele od niemal dwudziestu lat.

- W takim razie, czy wierzy pan jak ja, że nasze życie jest celowe? Harriman wyłączył nagrywanie. Czas to zakończyć i wynieść się w cholerę. Gdyby chciał wykładu na tematy religijne, zawsze mógł zadzwonić do świadków Jehowy - Z całym szacunkiem, panie doktorze, ale nie rozumiem, co to ma wspólnego z tymi dwoma niedawnymi zgonami.

- Cierpliwości, panie Harriman. Mój dowód jest złożony, ale wniosek sprawi, że - użyję tu potocznego wyrażenia - mózg się panu zlasuje.

Harriman czekał.

- Proszę pozwolić, że wyjaśnię. Całe życie studiowałem to, co tajemnicze, niewyjaśnione. Ku własnej satysfakcji wiele z tych tajemnic rozwiązałem. Inne - częstokroć te największe - pozostają dla mnie niezrozumiałe. - Von Menck wyjął z biurka kawałek papieru, napisał coś na nim i położył przed Harrimanem:

3243

1239

- Te dwie liczby - popukał w kartkę - zawsze wskazywały na to, co stanowi dla mnie tajemnicę największą ze wszystkich. Poznaje je pan?

Harriman pokręcił głową.

- Wyznaczają dwa największe kataklizmy, jakie kiedykolwiek dotknęły cywilizację ludzką. W roku 3243 przed naszą erą wybuch

wyspa Santorini, co tworzy falę przyływu, który zmiata z Krety wielką cywilizację minojską i rujnuje cały świat śródziemnomorski. To źródło legendy zarówno o Atlantydzie, jak potopie. A rok 1239 przed naszą erą to moment, gdy bliźniacze miasta Sodoma i Gomora zostają obrócone w proch przez deszcz zniszczenia spadający z nieba.

- Atlantyda? Sodoma i Gomora? - Robiło się coraz gorzej.

Von Menck ponownie popukał w kartkę. - Platon opisał Atlantydę w dwóch swoich dialogach: Timajos i Kritias. Pewne szczegóły podał źle, na przykład datę, którą ustalił na około 9000 rok przed naszą erą. Ostatnie zakrojone na wielką skalę wykopaliska na Krecie i Sardynii dostarczyły nam dokładniejszą datę. Opowieść o zaginionym mieście Atlantydzie była prezentowana w tak sensacyjnej oprawie, że większość ludzi błędnie uznaje ją za mit. Ale prawdziwi archeolodzy są przekonani, że u jej podstawy leży prawda: wulkaniczna eksplozja na wyspie Santorini. Platon opisał Atlantydę - to znaczy minojską cywilizację na Krecie - jako potężne miasto-państwo obsesyjnie zajęte handlem, pieniędzmi, samodoskonaleniem i wiedzą, ale pozbawione wartości duchowych. Potwierdzają to odkrycia archeologiczne w pałacu Minosa w Knossos. Ludzie z Atlantydę, powiedział Platon, odwrócili się plecami do swojego boga. Pyszni się własną mądrością, otwarcie kwestionowali istnienie pierwiastka boskiego i zamiast tego czcili technikę. Platon mówi nam, że mieli kanały i tak zwane skały ogniste, które wytwarzały sztuczną siłę.

Zamilkł. - Przypomina inne miasto, które znamy, prawda, panie Harriman?

- Nowy Jork.

Von Menck skinął głową. - Właśnie. U szczytu potęgi Atlantydę

pojawiły się zwiastuny jakiegoś potwornego wydarzenia. Pogoda zrobiła się nienaturalnie zimna, a niebo było ciemne przez całe dni. We wnętrzu ziemi dało się słyszeć dziwne dudnienia. Ludzie umierali nagle, niespodziewanie, gwałtownie. Ktoś, jak twierdzono, został trafiony „błyskawicą, która wyszła z nieba i z wnętrza ziemi jednocześnie”. Inny został nieoczekiwanie rozdarty na strzępy jakby za pomocą materiału wybuchowego, „jego ciało i krew wisiały w powietrzu jak gęsta mgła, podczas gdy w pobliżu unosił się najbardziej odpychający zaduch”. W ciągu tygodnia nastąpił wybuch i potop, który na zawsze zniszczył miasto.

Gdy von Menck mówił, Harriman ponownie włączył nagrywanie. A może jednak coś z tego będzie.

- Dokładnie dwa tysiące cztery lata później okolice Morza Martwego, między obecnym Izraelem a Jordanią - największe naturalne zagłębienie w powierzchni Ziemi - były oszałamiająco bujne i urodzajne. Tam znajdowały się miasta Sodoma i Gomora. Nie wiadomo dokładnie, jak duże, chociaż ostatnie wykopaliska w dolinie odsłoniły wielkie cmentarze z tysiącami szczątków ludzkich. Najwyraźniej były to dwa najpotężniejsze miasta w zachodnim świecie tamtych czasów. Podobnie jak Atlantyda miasta te popadły w najgorszego rodzaju grzechy, odwracając się od naturalnego porządku rzeczy. Duma, gnuśność, kult dóbr ziemskich, dekadencja i rozpusta, odtrącenie Boga i destrukcja natury. Jak mówi Księga Rodzaju, w Sodomie nie znalazło się ani pięćdziesięciu, ani dwudziestu, ani nawet dziesięciu sprawiedliwych. Tak więc oba miasta zostały zniszczone zagładą z góry: „siarką i ogniem... a z nad kraju unosił się dym jak dym z pieca”. I znów wykopaliska

archeologiczne na terenach wokół Morza Martwego w zdumiewającym stopniu potwierdzają biblijną opowieść. W dniach poprzedzających wydarzenie ponownie pojawiły się znaki nadchodzącego przeznaczenia. Pewien człowiek stał się słupem żółtych płomieni. Inni zostali znaleźieni skamieniali, podobnie jak żona Lota, która zmieniła się w słup soli.

Von Menck obszedł biurko i usiadł na jego brzegu, intensywnie wpatrując się w reportera. - Czy był pan nad Morzem Martwym, panie Harriman?

- Nie mogę się tym pochwalić.

- Ja byłem. Parę razy. Pierwszy raz pojechałem tam po odkryciu pewnego naturalnego związku między czasem, w jakim Atlantyde i Gomorę spotkały katastrofy. Morze Martwe to obecnie spieczona pustkowie. Nie mogą w nim żyć ryby; woda jest wielokrotnie bardziej słona niż w oceanie. Na brzegach prawie nic nie rośnie, błyszczą od pokrywającej je soli. Ale jeśli przejdzie się przez martwe równiny w okolicy Tell es-Saidiyeh, gdzie wielu uczonych umiejscawia teraz Sodomę, napotka się wielką ilość kul czystej, pierwiastkowej siarki rozsypanej po słonej powierzchni. Siarka ta nie jest siarką rombowa, jaką znajduje się w naturalnie występujących rejonach geotermicznych. Jest to siarka jednoskośna: biała, wyjątkowo czysta, długo wystawiona na działanie bardzo wysokich temperatur. Geolodzy nie znaleźli żadnych innych gniazd występowania tego rodzaju naturalnej siarki nigdzie na świecie. A jednak w wielkiej obfitości spotyka się ją na ruinach tych dwóch miast. To, co zniszczyło Sodomę i Gomorę, nie było naturalnym procesem geologicznym. I do dziś pozostaje tajemnicą. Von Menck



sięgnął po skrawek papieru i pod dwiema pierwszymi liczbami dopisał kolejną:

3243

1239

2004

- 2004 rok naszej ery, panie Harriman. Tworzy koniec złotego podziału. Proszę policzyć. Rok 3243 przed naszą erą był dokładnie pięć tysięcy dwieście czterdzieści siedem lat temu: złota proporcja. Data 1239 przed naszą erą to dokładnie trzy tysiące dwieście czterdzieści trzy lata temu: znów złota proporcja. Następna data w serii to rok dwa tysiące czwarty, co, tak się składa, stanowi dokładnie liczbę lat oddzielających wcześniejsze katastrofy. Przypadkowa zbieżność?

Harriman gapił się na kartkę. „Czy on mówi to, co myślę, że mówi?” Wydawało się to niewiarygodne, szalone. A jednak spokojne oczy, które wpatrywały się w niego z czymś na kształt rezygnacji, nie wydawały się szalone w najmniejszym nawet stopniu.

- Latami, panie Harriman, szukałem dowodu, że się mylę. Myślałem, że może daty są niepoprawne albo mój dowód w którymś miejscu zawodzi. Ale każde kolejne czynione przeze mnie odkrycie potwierdzało wiarygodność tej teorii. - Podeszedł do innej szafy i wyciągnął arkusz białego kartonu. Była na nim wyrysowana duża spirala, taka jak podzielona na segmenty muszla łodzika. Przy punkcie najbardziej oddalonym od środka widniała obwiedziona czerwonym ołówkiem data:

3243 p.n.e. - Santorini/Atlantyda. W jednej trzeciej długości kolejny czerwony znaczek:

1239 p.n.e. - Sodomia/Gomora. W innych punktach spirali mniejsze czarne kropki oznaczały wiele innych dat i miejsc:

79 n.e. - wybuch Wezuwiusza niszczy Pompeje/Herkulanum 426 n.e. - upadek Rzymu, złupionego i zniszczonego przez barbarzyńców

1348 n.e. - zaraza spada na Wenecję, umiera dwie trzecie populacji 1666 n.e. - wielki pożar Londynu

A w samym centrum, gdzie spirala się zamykała i kończyła dużym czarnym punktem, była trzecia czerwona ramka:

2004 n.e. - ???

Ustawił wykres na biurku. - Jak pan widzi, rozrysowałem wiele innych katastrof. Wszystkie układają się dokładnie na naturalnej spirali logarytmicznej, wszystkie idealnie wpasowują się w złotą proporcję. Jakkolwiek interpretowałbym dane, ostatnia data w sekwencji to zawsze rok 2004. Zawsze. A co te katastrofy mają wspólnego? Zawsze uderzały w ważne dla świata miasta, miasta sławne z powodu bogactwa, władzy, technologii - i lekceważące duchowość.

Sięgnął przez biurko, z metalowego pojemnika wyjął czerwony ołówek. - Miałem nadzieję, że się mylę, miałem nadzieję, że chodzi o zwykły zbieg okoliczności. Czekałem na przyjscie roku 2004, spodziewając się, że dowiedzie mojej pomyłki. Ale nie sądzę już, żeby w naturze istniały zbiegi okoliczności. Istnieje porządek rzeczy, panie Harriman. Mamy na tej ziemi niszę moralną, tak jak mamy

niszę ekologiczną. Gdy gatunek wyjaławia swoją niszę ekologiczną, następuje korekta, oczyszczenie. Czasami nawet wymarcie. Tak działa natura. Ale co się dzieje, kiedy gatunek wyczerpuje swoją niszę moralną?

Odwrócił ołówek, przesunął rękę na środek diagramu i wymazał znaki zapytania:

2004 n.e. –

- W każdym wypadku pojawiały się zapowiedzi. Drobne wydarzenia, pozornie mało znaczące. Wielokrotnie w grę wchodziła śmierć osób o wątpliwej moralności, które ginęły w sposób wskazujący na rodzaj zbliżającej się katastrofy. Miało to miejsce w Pompejach przed erupcją Wezuwiusza, w Londynie przed wielkim pożarem, w Wenecji przed zarazą. Więc teraz być może pan rozumie, dlaczego mówię, że Jeremy Grove i Nigel Cutforth sami przez się nic nie znaczą. Z pewnością obaj wyróżniali się nienawiścią do religii i moralności, odrzuceniem przyzwoitości, haniebnymi ekscesami. Jako tacy byli wzorcami chciwości, lubieżności, materializmu i okrucieństwa naszych czasów - a szczególnie tego miejsca, Nowego Jorku. Ale wciąż pozostają tylko zwiastunami - pierwszymi, obawiam się, z wielu.

Von Menck pozwolił, by wykres łagodnie zsunął się na biurko.

- Czytuje pan poezję?

- Nie. Przynajmniej od czasów college'u.

- Może pamięta pan wiersz WB. Yeatsa Drugie przyjsście?

*Czysta anarchia szaleje nad światem [...]*

*Najlepsi tracą wszelką wiarę, a w najgorszych*

*Kipi żarliwa i porywcza moc.*

Von Menck się pochylił. - Żyjemy w czasach moralnego nihilizmu i ślepego uwielbienia technologii pomieszanego z odrzuceniem duchowego wymiaru życia. Telewizja, film, komputery, gry wideo, internet, sztuczna inteligencja. To bogowie naszych czasów. Nasi przywódcy są moralnymi bankrutami, bezwstydnymi hipokrytami udającymi pobożność, ale pozbawionymi prawdziwej duchowości. Żyjemy w czasach, gdy naukowcy uniwersyteccy pomniejszają duchowość, gardzą religią i w głębokim ukłonie gną się przed ołtarzem nauki. Żyjemy w czasach, gdy tak wielu wzgardliwie odtrąca Kościół i Synagogę, gdy komentatorzy radiowi to szydery, wulgarni i ziejący nienawiścią, gdy na telewizyjną rozrywkę składa się seks na żywo i „Celebrity Fear Factor”. Żyjemy w czasach samobójczych zamachów bombowych, szaleństwa terrorystów i nuklearnego szantażu.

W pokoju zapadła cisza, nie licząc słabego pikania dyktafonu. W końcu von Menck poruszył się i odezwał.

- Starożytni wierzyli, że natura składa się z czterech żywiołów: ziemi, powietrza, ognia i wody. Niektórzy mówili o potopach, inni o trzęsieniach ziemi albo potężnych wiatrach, jeszcze inni o diable. Kiedy Atlantyda sprzeniewierzyła się swojej niszy w moralnym porządku natury, została pochłonięta przez wodę. Zniszczenia Sodomy i Gomory dokonał ogień. Zaraza uderzyła w Wenecję z powietrza. Jak w wypadku złotego podziału istnieje powtarzalny

wzór. Rozrysowałem go tutaj.

Wyjął inny diagram, bardzo złożony, pokryty liniami, wykresami, cyframi. Wszystkie linie wydawały się zbiegać w centralnym pentagramie, w którym napisano:

2004 n.e. - Nowy Jork - ogień

- Więc uważa pan, że Nowy Jork spłonie?

- Nie w żaden normalny sposób. Pochłonięty przez ogień z wnętrza, jak Grove i Cutforth.

- Myśli pan, że da się tego uniknąć, jeżeli ludzie zwrócą się ku Bogu?

Von Menck potrząsnął głową. - Już na to za późno. I proszę zauważyć, że nie użyłem słowa „Bóg”. Niekoniecznie mówię o Bogu, może o sile natury: prawie moralnym wszechświata, równie niezmiennym jak prawa fizyki. Wytworzyliśmy stan nierównowagi, który musi zostać po prawiony Rok 2004. - Klepnął stos wykresów. - To jest coś na wielką skalę. To, co przepowiedzieli Nostradamus, Edgar Cayce, Apokalipsa.

Harriman skinął głową. Czuł dreszcz pełznący wzdłuż kręgosłupa. Mocny materiał. A może tylko puste słowa? - Doktorze von Menck, poświęcił pan na te badania wiele czasu.

- Stało się to moją przemożną obsesją. Od ponad piętnastu lat znałem znaczenie roku 2004. Czekałem.

- Jest pan naprawdę przekonany, czy to jedynie teoria?

- Odpowiem panu w ten sposób: jutro opuszczam Nowy Jork.

- Wyjeżdża pan?

- Na wyspy Galapagos.
- Dlaczego Galapagos?
- Jak powiedziałby panu Darwin, są znane ze swojej izolacji. - Von Menck ruchem ręki wskazał dykafon. - Tym razem nie będzie dokumentu. Historia należy do pana, Harriman.
- Nie będzie dokumentu? - powtórzył oszołomiony Harriman.
- Jeżeli moje podejrzenia są choćby zbliżone do prawdy, kiedy wszystko się skończy, film dokumentalny nie będzie mógł liczyć na specjalnie dużą publiczność, prawda? - I po raz pierwszy, odkąd Harriman wszedł do pokoju, doktor von Menck się uśmiechnął - smutnym uśmiechem całkowicie wypranym z humoru.

D'Agosta przyjrzał się żałośnie wyglądającej rzeczy na swoim talerzu - długiej, cienkiej, niezidentyfikowanej, pływającej w kałużu sosu. Pachniała mniej więcej jak ryba. Przynajmniej, pomyślał, pomoże mu zachować dietę. Od śmierci Grove'a minęło dziesięć dni, a już zrzucił pięć funtów dzięki nowemu planowi kontroli wagi i reżimowi joggingowemu, nie wspominając o godzinach spędzanych na strzelnicy, które dodawały masy mięśniowej i pewności jego przedramionom i barkom. Jeszcze dwa miesiące i wróci do kondycji z czasów służby w nowojorskiej policji.

Proctor przemykał w tyle, ustawiając i z szybkością błyskawicy zmieniając talerze, pozostając elegancko niezauważalnym. Pendergast siedział u szczytu stołu, Constance po jego lewej stronie. Wyglądała nieco mniej blado niż poprzednio, pewnie dzięki odrobinie słońca złapanej podczas wczorajszego wyjścia. Sala jadalna staroświeckiej rezydencji na Riverside Drive ze swoimi ciemnozielonymi tapetami i równie ciemnymi olejnymi obrazami pozostała jednak ponurym miejscem. Okna, które musiały kiedyś wychodzić na Hudson, zostały dawno temu zabite deskami i wyglądało na to, że Pendergast zamierza je tak zostawić. Nic dziwnego, że facet jest taki biały, skoro mieszka w ciemnościach jak jakieś jaskiniowe stworzenie. D'Agosta uznał, że zamieniłby całą tę kolację z procesją tajemniczych dań na żeberka z grilla i chłodziarkę

pełną piwa na własnym słonecznym podwórzu w Suffolk. Nawet wczorajszy egzotyczny piknikowy kosz Fosca był lepszy Zaryzykował i w ramach próby dziubnął swoje danie widelcem.

- Nie lubisz ikry dorsza? - zapytał Pendergast. - To stary włoski przepis.

- Moja babcia była z Neapolu, ale nigdy w życiu czegoś takiego nie ugotowała.

- Sądzę, że to danie pochodzi z Ligurii. Ale mniejsza z tym: ikra dorsza nie każdemu smakuje. - Dał znak Proctorowi, który zgrabnie zabrał talerz i kilka chwil później wrócił ze stekiem i niedużą sosjerką pełną sosu o cudownym zapachu. W drugiej ręce trzymał puszkę budweisera wciąż jeszcze pokrytą płatkami lodu.

D'Agosta entuzjastycznie zabrał się do jedzenia, a kiedy zerknął na Pendergasta, zobaczył, że uśmiecha się rozbawiony. - Constance przygotowuje najwyższej klasy tournedos bordelaise. Czekają na podorędziu, na wszelki wypadek. Razem z, hm, schłodzonym piwem.

- Bardzo przyzwoicie z twojej strony

- Czy stek panu smakuje? - zapytała Constance. - Przygotowałam go saignant, jak preferują Francuzi.

- Nie wiem, co znaczy saignant, ale jest krwisty, właśnie taki, jak lubię. Constance uśmiechnęła się zadowolona.

D'Agosta nabrał na widelec kolejną porcję, popił łykiem piwa. - Więc co dalej? - zapytał Pendergasta.

- Po kolacji Constance sprawi nam odrobinę radości, grając kilka partit Bacha. Jest zdolną skrzypaczką, choć ja, obawiam się, jestem tu kiepskim sędzią. Myślę, że uznasz skrzypce, na których gra, za ciekawe. Stanowiły element zbiorów mojego wujecznego dziadka, to



stare amati o całkiem przyzwoitym kształcie, choć ich ton nieco zbladł.

- Zapowiada się świetnie. - D'Agosta delikatnie odkaszlnął. - Ale miałem na myśli, co dalej ze śledztwem?

- A! Rozumiem. Będziemy teraz działać na dwa fronty. Wytropimy tego Raniera Beckmanna i przeprowadzimy kolejne badania źródłowe na temat dziwnej natury naszych dwóch zgonów. Mam kogoś, kto już pracuje nad pierwszą sprawą. A Constance zaraz uzupełni naszą wiedzę w drugiej kwestii.

Dziewczyna starannie osuszyła usta serwetką. - Aloysius poprosił, abym rozejrzała się wśród historycznych przypadków SPS.

- Spontanicznego samospalenia - stwierdził D'Agosta. - Jak w wypadku Mary Reeser, o którym wspomniałeś przy tym lekarzu z sądówki przy zabójstwie Cutfortha?

- Właśnie.

- Chyba tak naprawdę w to nie wierzysz?

- Przypadek Mary Reeser jest po prostu najślawniejszym z wielu, i do tego dobrze udokumentowanym. Czy mam rację, Constance?

- Sławny, nieskazitelnie udokumentowany i bardzo ciekawy. - Zajrzała do notatek, które miała pod ręką. - Pierwszego czerwca 1951 roku pani Reeser, wdowa, zdrzemnęła się w obszernym fotelu w swoim mieszkaniu w St. Petersburgu na Florydzie. Została znaleziona następnego ranka przez przyjaciółkę, która poczuła dym. Kiedy wyłamano drzwi, okazało się, że fotel, w którym siedziała Mary Reeser, jest tylko kupką zwęglonych, pozwijanych sprężyn. Co do samej Mary Reeser: ważąca sto siedemdziesiąt fantów kobieta została zredukowana do niespełna dziesięciu funtów prochu i kości.

Tylko jej lewa stopa pozostała nietknięta, wciąż w pantoflu, spalona powyżej kostki, ale poza tym nienaruszona. Znaleziono także wątrobę i czaszkę, popękaną i połamaną w wyniku działania wielkiej temperatury. A jednak reszta mieszkania pozostała nietknięta. Spaleniźna ograniczała się do niewielkiej przestrzeni wokół szczątków pani Reeser, jej fotela i plastikowego gniazdka elektrycznego, które się stopiło, zatrzymując zegar na godzinie czwartej dwadzieścia rano. Gdy zegar podłączono do innego gniazdka, działał idealnie.

- Chyba pani żartuje.

- Natychmiast wezwano Biuro, ich dokumentacja jest bez zarzutu - stwierdził Pendergast. - Zdjęcia, testy, analizy, nazbierało się ponad tysiąc stron. Nasi eksperci określili, że aby tak dokładnie skremować ciało, potrzeba temperatury w wysokości co najmniej trzech tysięcy stopni. Papieros, od którego mogłoby zapalić się na niej ubranie, nigdy nie zdołałby wytworzyć takiej temperatury, a poza tym Mary Reeser nie paliła. Nie było śladów użycia benzyny ani innego przyspieszacza. Żadnego spięcia elektrycznego. Wykluczono nawet błyskawicę. Sprawa nigdy nie została oficjalnie zamknięta.

D'Agosta z niedowierzaniem pokręcił głową.

- I nie jest to jakiś współczesny fenomen - dodała Constance.

- Dickens włączył przypadek spontanicznego samospalenia do powieści *Samotnia*. Był za to powszechnie ganiony przez krytyków, więc później bronił się, relacjonując autentyczny przypadek SPS w przedmowie do wydania z 1853 roku.

D'Agosta, który już miał wsunąć do ust kolejny kawałek steku, odłożył widelec.

- Wieczorem czwartego kwietnia 1731 roku, opowiada Dickens, hrabina Cornelia Zangari de' Bandi z Ceseny we Włoszech narzekała, że czuje się „oszołomiona i ocieężała”. Służąca pomogła jej się położyć i spędziły razem kilka godzin na rozmowie i modlitwie. Następnego ranka, gdy hrabina nie wstała o zwykłej porze, służąca zawołała ją przez drzwi. Nie było odpowiedzi, tylko dziwny zapach. Pokojówka otworzyła drzwi i zobaczyła potworną scenę. W powietrzu pełno było sadzy. Hrabina, a raczej to, co z niej pozostało, leżała na kamiennej podłodze jakieś cztery stopy od łóżka. Cała jej klatka piersiowa została spalona na popiół, nawet kości zmieniły się w pokruszone kopczyki. Pozostały tylko nogi, od kolan w dół, kilka fragmentów dłoni i kawałek czoła z kosmykiem blond włosów. Z reszty ciała pozostał zarys sylwetki wyznaczony przez popiół i pokruszone kości. Ten i inne wcześniejsze wypadki, takie jak historia madame Nicole z Reims, były nieodmiennie opisywane jako śmierć spowodowana „bożymi odwiedzinami”.

- Znakomicie przeprowadzone badania źródłowe, Constance - stwierdził Pendergast.

Uśmiechnęła się. - W tutejszej bibliotece jest kilka tomów poświęconych spontanicznemu samozapaleniu. Twój wujeczny dziadek był zafascynowany dziwnymi formami śmierci. Ale już oczywiście to wiesz. Niestety, nie ma tu książek nowszych niż z roku 1954, ale i tak dysponujemy wieloma wcześniejszymi opisami. Wszystkie sprawy spontanicznego samospalenia mają kilka wspólnych elementów. Tors zostaje całkowicie spopielony, ale kończyny często są całe. Krew dosłownie odparowuje; normalny ogień nie wysusza tkanek do takiego stopnia. Miejsce destrukcji jest

niezwykle wyraźnie odgraniczone: pobliskie meble czy inne przedmioty, nawet łatwopalne, pozostają nietknięte. Oficjalnie mówi się często o „kręgu śmierci” : wszystko wewnątrz niego zostaje spalone, podczas gdy na zewnątrz - nienaruszone.

D'Agosta powoli odsunął talerz z na wpół zjedzonym stekiem. Wszystko to brzmiało całkiem podobnie do tego, co spotkało Grove'a i Cutfortha, z jedną kluczową różnicą - wypalonym śladem kopyta i twarzą oraz zaduchem siarki.

Właśnie wtedy rozległo się ciche, głucho pukanie do odległych drzwi frontowych.

- Dzieciaki z sąsiedztwa, jak sądzę - stwierdził Pendergast po chwili milczenia.

Głuchy dźwięk rozległ się ponownie - celowy, uporczywy, rozbrzmiewający echem w galeriach i korytarzach starej rezydencji.

- To nie jest pukanie młodocianego przestępcy - mruknęła Constance.

Proctor rzucił pytające spojrzenie na Pendergasta. - Czy mam otworzyć?

- Z zachowaniem zwykłych środków ostrożności.

Po kilku minutach służący wprowadził do pokoju mężczyznę: wysokiego, o wąskich wargach i rzednących brązowych włosach. Mężczyzna miał na sobie szary garnitur, a węzeł krawata zsunął poniżej kołnierzyka białej koszuli. Rysy regularne, twarz poryta zmarszczkami mocniej niż zwykle w tym wieku, ale raczej z powodu zmęczenia. Nieznajomy nie był ani przystojny, ani brzydki. W oczy rzucała się jego przeciętność i brak indywidualności. Na D'Agostie zrobiło to wrażenie celowego dążenia do zachowania anonimowości.

Gość zatrzymał się w drzwiach i przyjrzał grupie, zatrzymując wzrok na Pendergaście.

- Tak? - zapytał agent.

- Proszę pójść ze mną.

- Czy mogę zapytać, kim pan jest i w jakiej sprawie przychodzi?

- Nie.

W reakcji na to stwierdzenie nastąpiła chwila ciszy.

- Skąd pan wiedział, że tu mieszkam?

Mężczyzna nie przestawał wpatrywać się w Pendergasta z twarzą pozbawioną wyrazu. To nie było normalne. D'Agosta poczuł ciarki na plecach.

- Proszę ze mną. Wolałbym nie ponawiać prośby.

- Czemu miałbym z panem wyjść, skoro odmawia pan podania swojego nazwiska lub celu wizyty?

- Moje nazwisko nie jest ważne. Mam dla pana informację. Informację delikatnej natury.

Pendergast przyglądał się mężczyźnie przez dłuższą chwilę. Potem po prostu wyjął z marynarki swojego les baera kaliber czterdzieści pięć, sprawdził, czy magazynek jest pełny, i włożył broń do kieszeni.

- Nie ma pan nic przeciw?

Wyraz twarzy gościa się nie zmienił. - Nie robi to żadnej różnicy.

- Zaraz. - D'Agosta wstał. - Nie podoba mi się to, też idę. Mężczyzna odwrócił się do niego. - To niemożliwe.

- Pieprzyć to.

Jedyną reakcją było spojrzenie. Twarz nieznanego wyglądała jak maska.

Pendergast położył Vincentowi rękę na ramieniu. - Chyba lepiej

pójdę sam.

- Do diabła z tym. Nie znasz tego faceta, nie wiesz, czego chce, nic. Nie podoba mi się to.

Obcy odwrócił się i pospiesznie wyszedł z pokoju. Chwilę później Pendergast ruszył za nim. D'Agosta przyglądał się temu z rosnącym uczuciem konsternacji.



Mężczyzna pojechał autostradą West Side w kierunku północnym, nic nie mówiąc. Pendergastowi całkowicie to odpowiadało. Zaczął padać deszcz, krople rozpryskiwały się na przedniej szybie. Samochód dotarł do mostu George'a Washingtona, którego oślepiające światła biegły przez Hudson. Tuż przed wjazdem na most skręcił w drogę dojazdową i podskakując na wybojach częściowo wybrukowanej nawierzchni, dotarł do ronda ukrytego w kępie jadowitego sumaka, u podnóża ogromnej wschodniej wieży.

Dopiero teraz kierowca się odezwał. - Podłuch?

- Nie.

- Pytam tylko dla pańskiego dobra.

- CIA?

Mężczyzna skinął głową własnemu odbiciu w przedniej szybie. - Wiem, że mógłby mnie pan zidentyfikować w jednej chwili. Chcę mieć pańskie słowo, że pan tego nie robi.

- Ma je pan.

Mężczyzna rzucił Pendergastowi na kolana niebieski skoroszyt. Na naklejce znajdowało się jedno słowo: BULLARD. Była opieczętowana „Zastrzeżone: Ściśle tajne”.

- Skąd to się wzięło? - zapytał Pendergast.

- Prowadziłem dochodzenie w sprawie Bullarda przez ostatnie osiemnaście miesięcy.

- Na jakiej podstawie?

- Wszystko jest tutaj. Ale streszczę to panu. Bullard jest założycielem, generalnym dyrektorem i większościowym udziałowcem Bullard Aerospace Industries. BAI to średniej wielkości prywatna firma zajmująca się technologią lotniczo-kosmonautyczną. Głównie projektują i testują komponenty do samolotów wojskowych, także bezzałogowych, i do pocisków. Są też jednym z podwykonawców przy budowie promu kosmicznego. Zakłady Bullarda miały udział między innymi w ulepszeniu powłoki antyradarowej dla bombowca stealth i w budowie myśliwców. BAI przynosi wielkie zyski, są bardzo dobrzy w tym, co robią. Bullard ma najlepszych inżynierów, jakich można znaleźć za pieniądze. To bardzo uzdolniony człowiek, chociaż porywczy i impulsywny. Ale należy do tych naprawdę złych. Rozumie pan, co chcę powiedzieć? Nie waha się krzywdzić czy eliminować tych, którzy stają mu na drodze. Cywilów i oficjeli.

- Rozumiem.

- Dobrze. A teraz proszę posłuchać. BAI wykonuje także badania dla obcych rządów. Niektóre nie są zbyt przyjaźnie nastawione. Tego rodzaju prace podlegają rygorystycznej kontroli eksportowej i ograniczeniom w zakresie transferu technologii. Bardzo uważnie się je obserwuje. Jak na razie BAI postępowała zgodnie z prawem - przynajmniej na terenie Stanów. Problem dotyczy małego zakładu, który BAI posiada we Włoszech, na przemysłowych przedmieściach Florencji Lastra a Signa. Kilka lat temu BAI zakupiła tam nieczynną fabrykę. Należała kiedyś do Alfreda Nobla. - Przez twarz mówiącego przemknął ironiczny uśmiech. - Niszczące, zrujnowane miejsce.



Zrobili z niego najwyższej klasy ośrodek badawczy.

Deszcz bębnił o dach. Nad rzeką zamigotała błyskawica, rozległ się słaby pomruk gromu.

- Tak naprawdę nie wiemy, czym zajmuje się BAI w tym włoskim zakładzie, ale mamy pośrednie dowody, że mogą pracować nad projektem dla Chińczyków. W zeszłym roku monitorowaliśmy serię testów balistycznych na poligonach na pustyni Lop Nur. Wygląda na to, że pocisk, o którym mowa, to nowy typ zaprojektowany specjalnie po to, by przejść przez planowaną nad Ameryką tarczą antyrakietową.

Pendergast skinął głową.

- Pocisk jest wyjątkowy dzięki nowej aerodynamicznej formie połączonej z jakąś specjalną powierzchnią czy powłoką, co w sumie sprawia, że pozostaje niewidzialny dla radaru. Nie zostawia nawet śladu ciepła czy turbulencji związanych ze strumieniem nadążającym, wykrywalnych dla radaru dopplerowskiego. Chińczycy mają jednak pewien kłopot: to, co zrobili, nie działa. Jak do tej pory wszystkie ich pociski zostały zniszczone przy próbie ponownego wejścia w atmosferę. I tu wkracza BAI. To właśnie ich działka. Uważamy, że Chińczycy wynajęli BAI do rozwiązania tego problemu. I uważamy, że pracują nad tym w zakładzie we Florencji.

- Jak?

- Nie wiemy. Zniszczenia miały, zdaje się, coś wspólnego ze skokiem amplitudy krzywych rezonansowych układów drganiowych, który występuje przy wchodzeniu w atmosferę. Kształt pocisku, wymagany, żeby pozostał on niewidzialny, ograniczał jego zasięg niemal do zera. Podobny problem istniał w wypadku bombowca

stealth, ale został rozwiązany przy użyciu komputerów o wielkiej mocy i prób w tunelu aerodynamicznym. Pocisk jednak porusza się znacznie szybciej, podlega zasadom balistyki i ma do pokonania dużo bardziej wyrafinowany radar. Odpowiedź można znaleźć, prowadząc rozważania matematyczne na temat wartości własnych, przekształceń Fouriera, tego rodzaju rzeczy. Wie pan, o czym mówię?

- W podstawowym zakresie.

- Obliczenia z dziedziny wibracji, rezonansu i tłumienia. Pocisk musi być idealnie aerodynamiczny i jednocześnie mieć powierzchnię niewidoczną dla radaru. Taki pocisk nie może mieć żadnych krzywizn, twardości ani gładkości - te wywołałyby odbicia lub turbulencje widoczne dla radaru dopplerowskiego - a jednak ma być aerodynamiczny. Jeżeli ktokolwiek potrafi sprostać temu wyzwaniu, to BAI.

- Czy te akta są dla mnie?

- Tak.

- Dlaczego?

Agent pierwszy raz spojrział na Pendergasta, spadła z niego maska obojętności. Pendergast zobaczył twarz bardzo, bardzo zmęczonego człowieka. - Ta sama stara historia. CIA podlega naciskom politycznym różnych grup. Bullard ma przyjaciół w Waszyngtonie. Kazano mi schować wyniki śledztwa w sprawie Bullarda do szuflady. W końcu z pół tuzina kluczowych senatorów i kongresmenów, także prezydent, dostało zebrane przez niego miliony dolarów na kampanie reelekcyjne. Dlaczego, pytano nas, CIA nęka porządnego, uczciwego obywatela, kiedy na wolności jest tylu zagranicznych terrorystów? Zna pan tę śpiewkę.

Pendergast po prostu skinął głową. - Ale pieprzyć to, ten gnój zdradza Amerykę. To zwykły sprzedawczyk, jak te stare dobre amerykańskie firmy, które sprzedają technologie wojskowe Iranowi i Syrii. Jeżeli Bullardowi ujdzie to na sucho, okaże się, że Stany wyłożą setki miliardów dolarów na stworzenie systemu antyrakietowego, który będzie przestarzały już na etapie budowy. A jeśli tak się stanie, to CIA dostanie po głowie. Administracja dozna nagłej i całkowitej amnezji, jeśli chodzi o celowe zamknięcie naszego śledztwa. Kongres zażąda przeprowadzenia oficjalnego dochodzenia na temat tak zwanego „niepowodzenia wywiadowczego”. Dla wszystkich będziemy chłopcem do bicia.

- W FBI też co nieco o tym wiemy.

- Przez osiemnaście miesięcy prowadziłem śledztwo w sprawie Bullarda i niech mnie cholera, jeżeli tak to zostawię. Jestem amerykańskim patriotą. Chcę, żeby pan przyskrzypił Bullarda. Nie chcę, żeby pocisk jądrowy zmiotł Nowy Jork, bo jakiś amerykański biznesmen podkupił paru kongresmenów.

Pendergast odłożył skoroszyt. - Dlaczego ja?

- Słyszałem, że jest pan niezły, nawet jeśli z FBI. - Mężczyzna pozwolił sobie na cyniczny uśmiech. - I podobało mi się, że zawlókł pan Bullarda na policję jak zwykłego przestępcę. Do tego trzeba mieć jaja. Parę osób naprawdę się wkurzyło. Nieźle wkurzyło.

- Jakże mi przykro. Ale obawiam się, że to nie pierwszy raz.

- Proszę się pilnować.

- Nie omieszkam.

- W aktach nie będzie żadnych niepodważalnych dowodów, Bullard starannie zatarł ślady. Będzie pan miał co robić.

Uruchomił silnik, pstryknięciem włączył światła, zakręcił na rondzie i z powrotem włączył się w sznur samochodów, które z monotonnym warkotem jechały na południe, w kierunku Dolnego Manhattanu. Nie odezwał się aż do chwili, gdy skręcał z autostrady przy Sto Czterdziestej Piątej Ulicy. W oddali drapacze chmur w śródmieściu jarzyły się jak kryształy.

- Nigdy pan o mnie nie słyszał, ja nigdy nie słyszałem o panu i ta rozmowa nigdy się nie odbyła. Akta zostały wyczyszczone z oznaczeń wywiadu, więc nawet jeśli z powrotem trafią do CIA, nikt nie będzie wiedział, skąd pochodzą.

- Nie będą pana podejrzewać? To była pańska sprawa.

- Proszę się martwić o własną dupę, ja się pomartwię o swoją. Zostawił Pendergasta kilka przecznic na północ od domu. Gdy ten wysiadał, mężczyzna pochylił się w jego stronę i jeszcze raz odezwał:

- Agencie Pendergast? Pendergast się odwrócił.

- Jeżeli nie da pan rady dorwać tego gnoja, proszę go zabić.



Mężczyzna używający nazwiska Vasquez rozejrzał się uważnie po małym pomieszczeniu, w którym miał spędzić kilka następnych dni. Parę minut wcześniej przeżył moment napięcia, kiedy trafiła mu się niespodziewana szansa: drzwi schowane w sklepionej bramie po drugiej stronie ulicy nagle się otworzyły. Szybkie spojrzenie przez celownik optyczny potwierdziło, że cel wychodzi. Niestety, był z nim inny człowiek. Vasquez odłożył karabin i zapisał czas w notatniku: godzina 22.31,04. Dwaj mężczyźni podeszli do samochodu zaparkowanego kilka metrów dalej - policyjnego chevroleta, nieoznakowanego, ale na pierwszy rzut oka rozpoznawalnego jako model używany przez służby państwowe. Gdy wóz odjechał, od strony podjazdu mignęła biała plama. Vasquez zdążył zobaczyć znikającą postać mężczyzny w smokingu, który zamykał drzwi. Na oko kamerdyner. Tylko kto słyszał o kamerdynerach w tej części miasta?

Vasquez nie pozwolił sobie na uczucie zawodu. Tak przedwczesne zakończenie zadania po prostu się nie zdarzało. Poza tym zawsze opłacało się zachować najdalej posuniętą ostrożność. Odłożył notes i zabrał się do przygotowywania stanowiska. Opuszczony pokój w starym hotelu opieki społecznej był zdewastowany. W kącie stos zużytych kondomów i igieł. Na podłodze podarty materac z ciemną plamą na środku, jakby ktoś na nim umarł. W wędrującym kręgu

światła jego latarki w panice uciekały karaluchy; brązowe pancerzyki połyskiwały lekko, niezliczone odnóża szeleściły jak liście. Vasquez był jednak przyzwyczajony do takich rzeczy i całkiem zadowolony z kwatery. Zadowolony to mało powiedziane; rzadko trafiał na tak idealne warunki. Włożył na miejsce niewielki kawałek sklejki z zabitego na głucho okna, jedyne w pomieszczeniu, i wrócił do przygotowań.

Tak, miejsce nadawało się doskonale. Okno wychodziło na północ, dając widok na masywny ciemny kształt walącej się rezydencji przy Riverside Drive osiemset dziewięćdziesiąt jeden. Cel musiał być stuknięty, żeby tu mieszkać, ale o gustach się nie dyskutuje. Trzy piętra niżej, po przeciwnej stronie Sto Trzydziestej Siódmej Ulicy, widać było półkolisty podjazd znikający pod łukiem z cegły i marmuru. Mógł stąd dostrzec tylko dolną krawędź drzwi, którymi cel wchodził i wychodził z budynku. Jak dotąd nie użył żadnego innego wyjścia - ale Vasquez prowadził obserwację dopiero od dwunastu godzin.

Tak, miejscu nie można było niczego zarzucić. W tej części Harlemu nie było ciekawskich odźwiernych wystających na progach budynków, ukrytych kamer ani wścibskich staruszek, które dzwonią po policję przy każdym miauknięciu ulicznego kocura. Tutaj nawet odgłos strażów niekoniecznie skłaniał do kontaktu z władzami. Co więcej, Vasquez znalazł ten opuszczony budynek dokładnie na wprost domu celu, z wejściem przez piwnicę od przeciwnej strony, z uliczki wychodzącej na Sto Trzydziestą Szóstą.

Lepiej być nie mogło.

Cel, agent FBI, wydawał się człowiekiem o ustalonych zwyczajach. Przez najbliższe dni Vasquez miał sprawdzić, jak bardzo się ich trzymał. Podczas każdego polowania sukces myśliwego zależy od poznania wzorców zachowań zwierzyny. Vasquez zamierzał stać się ekspertem od tego konkretnego zwierza. Dowie się, którądy i o jakich porach wchodzi i wychodzi, kto mieszka z nim w starej rezydencji, kto odwiedza, jakie zastosowano zabezpieczenia. Poznając jego ruchy, zyska wgląd w psychikę tego człowieka. Nawet ludzie, którzy zmieniają zwyczaje w obawie przed zamachem, robią to według pewnego wzorca. Na podstawie tego, co zdążył zauważyć w tym krótkim czasie, wiedział już, że ma do czynienia ze szczególnie ostrożnym i inteligentnym celem. Z drugiej strony Vasquez zawsze zakładał na początku, że cel był sprytniejszy, bardziej przebiegły i mądrzejszy od niego. Vasquez śledził i zabijał wszystkich: agentów federalnych, dyplomatów, gangsterów, pomniejszych dyrektorów, nawet fizyków. Parał się tym zawodem od dwudziestu dwóch lat w tyluż krajach i zdążył się tego i owego nauczyć. Mądrze jednak było zachować pokorę.

Nie ruszając z miejsca niczego, co tu zastał, zaczął rozwijać grube brezentowe płachty, zakrywając podłogę i niższe partie ścian. Brzegi mocował taśmą. Pokój szybko wypełnił się silnym przyjemnym zapachem wodoodpornego płótna. Następnie Vasquez rozłożył narzędzia, sprawdzając je według spisu wyrytego w pamięci. Miał wszystko, co potrzebne, i dobrze o tym wiedział, ale robił ten szybki remanent dla pewności. Wziął do ręki powtarzalnego remingtona M21, wyjął magazynek, upewnił się, że jest naładowany poddźwiękowymi wojskowymi nabojami kalibru 7,62 na 51 mm,

które lubił. Broń była starego typu, ale Vasquez za nic miał najnowsze bajery i gadżety; dla niego liczyła się prostota, dokładność i niezawodność. Wsunął magazynek na miejsce, przeładował karabin i obejrzał zamontowany na stałe celownik optyczny Zadovolony z oględzin odłożył broń, po czym starannie rozłożył paczki suszonej wołowiny i pojemniki z wodą w ilości wystarczającej na pięć dni. Potem ustawił laptopa, a przy nim dwanaście świeżo naładowanych baterii. Sprawdził noktowizyjne gogle, stwierdzając, że wszystko z nimi w porządku. Następnie przeszedł w róg pokoju i w mdłym świetle latarki rozstawił przenośną umywalkę i toaletę. Nikt nie mógł mu przeszkodzić; już wcześniej zamknął drzwi na klucz, za pomocą akumulatorowego śrubokrętu skręcił z futryną, a szpary zalepił taśmą, żeby światło nie wydostawało się na zewnątrz. Dopływ świeżego powietrza zapewniało malutkie okienko w łazience.

Wrócił teraz do okna, zgasił światło i zdjął kawałek sklejki zakrywającej otwór strzelniczy, w którym zmieściła się tylko lufa i luneta celownika. Rozłożył dwunożną podstawę i zamontował w przedniej części obudowy karabinu. Starannie wycelował w sklepione wejście do rezydencji na wysokości głowy człowieka, sięgnął po ręczny odległościomierz laserowy i skierował go na drzwi. Odczytał wynik: 30,66 metra. Przy karabinie o zasięgu pięciuset jardów trzydzieści metrów to tyle, co nic. Będzie strzelał w dół w chłodnym powietrzu do celu znajdującego się na zewnątrz budynku: warunki, jakie lubił najbardziej. Jeszcze kilka ostatnich poprawek i broń była gotowa.

Kryjówka zabójcy też.

Vasquez raz jeszcze zerknął przez celownik. Rezydencja była



ciemna, okna zabito deskami, nie dostrzegał też żadnego ruchu. To nie był zwykły dom. Musiało się tam odbywać coś sprzecznego z prawem. Ponieważ jednak cel nie zachowywał się z tego powodu nieprzewidywalnie, Vasqueza to nie obchodziło. Miał do wykonania zadanie, określone i ograniczone w czasie. Nie obchodziło go, kto i dlaczego go wynajął. Ważne było jedno: dwa miliony dolarów, które wpłynęły na jego konto bankowe. Nic więcej nie musiał wiedzieć.

Wrócił do spokojnej obserwacji. Czasami lubił myśleć o sobie jako przyrodniku studiującym zwyczajnie płochliwych leśnych stworzeń. Stanowił idealne połączenie inteligencji, dyscypliny i cierpliwości, pozwalające przesiadywać w punkcie obserwacyjnym w dżungli całymi tygodniami, przyglądać się, notować, szukać prawidłowości.

Szkopuł w tym, że badanie natury nie przynosiło pieniędzy. A poza tym nic nie mogło się równać z dreszczem, jaki dawało zabijanie.



D'Agosta sprawdził na zegarku, że dochodziła północ, a Hayward wciąż tkwiła za biurkiem. Reszta wydziału zabójstw była cicha jak grób; tylko nocna zmiana pracowała w swoich pokojach piętro niżej. Hayward została sama. Jedyne światło, jedyny dźwięk dochodziły z jej biura. Zabawne, biorąc pod uwagę, że większość nowojorskich morderstw zdarzała się w nocy. „Jak w każdej innej pracy - pomyślał D'Agosta. - Zwykły pracownik nie chce tu siedzieć dłużej, niż musi”.

Podkraść się do drzwi Hayward i nasłuchiwał. Dotarł do niego stukot klawiatury komputera. Chyba nigdy nie spotkał bardziej ambitnego gliny Trochę to było przerażające.

Zapukał.

- Proszę.

Biuro wyglądało jak po klęsce żywiołowej: papiery spiętrzone na każdym krześle, piski z nastawionego na policyjną częstotliwość radia, w kącie drukarka laserowa jęcząca przy jakimś zadaniu. Wyraźnie różniło się od biur większości kapitanów, które utrzymywano w nieskazitelnej czystości i z dala od jakiegokolwiek prawdziwej pracy.

Podniosła wzrok. - Co cię sprowadza o tak później porze?

D'Agosta odchrząknął. To będzie trudne. Pendergast - który najpierw na ponad godzinę jakby zapadł się pod ziemię - zjawił się w jego hotelowym pokoju jakieś trzydzieści minut temu. Chociaż

bardzo oszczędnie mówił o tym, co się stało, wydawał się niemal ożywiony, jeżeli coś takiego w ogóle było możliwe. A potem z miejsca wysłał D'Agostę z zadaniem do wykonania - tym zadaniem - ponieważ wiedział, że sam nie ma żadnych szans na pozytywne załatwienie sprawy.

- Znowu chodzi o Bullarda - stwierdził. Hayward westchnęła. - Zabierz te papiery i usiądź.

D'Agosta zdjął stos z jednego z krzeseł i zajął miejsce. Hayward miała rozpięty kołnierzyk koszuli, zdjęła też czapkę i rozpuściła włosy. Zaskakująco długie, wielkimi połyskliwymi falami opadały poniżej ramion. Biuro było zaśmiecone, ale ona wyglądała świetnie, świeżo. Przyglądała się D'Agoscie z mieszaniną rozbawienia i - czego? Uczucia? Ale nie: w nocy ponosiła go wyobraźnia.

D'Agosta wyjął skoroszyt i położył na biurku. - Pendergast to dostał, nie wiem skąd.

Hayward wzięła teczkę do ręki, zerknęła na nią, upuściła, jakby to było rozpalone do czerwoności żelazo. - Jezu, Vinnie. To tajne!

- Nie żartuj.

- Nie ma mowy, żebym to przeczytała. Nigdy tego nie widziałam. Odnieś to.

- Pozwól, że ci streszczę, co tam mamy...

- Boże, nie.

D'Agosta siedział, zastanawiając się, jak to przeprowadzić. Może po prostu.

- Pendergast chce, żebyś załatwiła podsłuch telefonów Bullarda. Hayward wpatrywała się w niego przez co najmniej dziesięć sekund. - Czemu nie załatwi tego przez FBI?

- Nie może.
- Czy Pendergast niczego nie może zrobić w zgodzie z regulaminem?
  - Bullard jest zbyt wpływowy. FBI to twór polityczny i nawet Pendergast tego nie zmieni. Ale ty bez trudu mogłabyś uzyskać zgodę z prokuratury na kontrolę przekazów informacji.
  - Nie mogę skorzystać z zastrzeżonych akt, żeby dostać zgodę na podsłuch! - Wstała zza biurka z błyskiem w oku.
  - Nie. Ale mogłabyś wykorzystać jako haczyk śledztwo w sprawie o morderstwo.
  - Vincent, oszalałeś? Przeciw Bullardowi nie ma dowodów. Żadnego świadka, żeby skojarzyć go z miejscem zbrodni. Nie ma motywu, niczego, co by go wiązało z morderstwami albo ofiarami.
  - Telefony.
  - Telefony! - Nerwowo chodziła za biurkiem tam i z powrotem. - Masa ludzi rozmawia przez telefon.
  - Miał komputer zapchany zaszyfrowanymi plikami. Zaszyfrowanymi serio, dosłownie nie do złamania.
  - Ja szyfruję e-maile do swojej matki. Vincent, to nie jest dowód. To właśnie jedna z tych rzeczy, które trafiają na okładkę „Timesa” i potem wychodzi, że mamy gdzieś konstytucyjne prawa obywateli. Poza tym wiesz, że staranie się o zgodę na podsłuch to wrzód na dupie. Trzeba udowodnić, że to ostatnia deska ratunku.
  - Powinnaś przeczytać te akta. Wygląda na to, że Bullard przekazuje Chińczykom technologie wojskowe.
  - Mówiłam ci, że nie masz mi mówić, co jest w tym skoroszycie.
  - Ma we Włoszech firmę, która pomaga Chińczykom skonstruować

pocisk zdolny pokonać planowaną przez nas tarczę antyrakietową.

- Co należy do moich kompetencji tak samo jak kieszonkowcy w Mongolii.

- Bullard ma w Waszyngtonie potężnych przyjaciół. Finansuje kampanie na prawo i lewo. Więc ani FBI, ani CIA nie chcą tego ruszać.

Chodziła po pokoju wielkimi krokami, zarumieniona, czarne włosy przesuwały się po plecach.

- Słuchaj Lauro, oboje jesteśmy Amerykanami. Bullard to zły człowiek. Sprzedaje nasz kraj i nikt, cholera, nic z tym nie robi. Musisz tylko wystąpić do sędziego z dobrą historyjką. I trudno, może to nie jest całkowicie zgodne z regulaminem.

- Ten regulamin nie istnieje bez powodu, Vincent.

- Tak, ale nadszedł czas, kiedy trzeba zrobić to, co jest słuszne.

- Słuszne jest postępowanie zgodne z regulaminem.

- Nie w takim wypadku. Nowy Jork to dla terrorystów wciąż cel numer jeden. Bóg jeden wie, komu Bullard może sprzedać swoje usługi. Kiedy ta technologia trafi już na czarny rynek, nie uda nam się przewidzieć, czym to się skończy.

Hayward westchnęła. - Jestem detektywem w stopniu kapitana w nowojorskim wydziale zabójstw. W Stanach Zjednoczonych są setki tysięcy zdolnych ludzi - tajnych agentów, naukowców, dyplomatów - zatrudnionych po to, żeby zajmować się takimi typami jak Bullard.

- Owszem. Ale teraz wypadło na ciebie. Akta wskazują, że dzieje się coś dużego. Lauro, posłuchaj, nie ma prostszej rzeczy niż ten podsłuch. Bullard jest na środku Atlantyku. Mamy numer jego telefonu satelitarnego, mamy spis numerów, pod które dzwoni. To

wszystko jest w tej teczce.

- Na telefon satelitarny nie da się założyć podsłuchu.

- Wiem. Ale możemy to zrobić ze stacjonarnymi numerami jego kumpli, możemy monitorować rozmowy od ich strony.

- To nam nie pomoże, jeżeli zadzwoni pod numer spoza rejestru.

- Lepsze to niż nic.

Hayward jeszcze kilka razy okrążyła pokój, potem stanęła przed D'Agostą. - To nie nasz problem. Odpowiedź brzmi: nie.

D'Agosta usiłował się uśmiechnąć, ale nie mógł. W takim razie to by było na tyle. Awansu na najmłodszego kapitana w historii miasta nie dawali za łamanie zasad i szarżowanie. Powinien przewidzieć odpowiedź, zanim w ogóle zadał pytanie.

Podniósł wzrok i zobaczył Hayward wpatrującą się w niego uważnie. - Nie podoba mi się wyraz twojej twarzy, Vincent.

Wzruszył ramionami. - Muszę iść.

- Wiem, co sobie myślisz.

- W takim razie nie muszę ci mówić.

Gniew zabarwił jej twarz rumieńcem. - Uważasz, że jestem karierowiczką, prawda?

- Sama to powiedziałaś.

Wyszła zza biurka na jego stronę. - Ty sukinsynu! Kiedy pracowałam w wydziale komunikacji, musiałam znieść masę gównianych sytuacji, masę docinków ze strony facetów, którzy uważali, że za ciężko pracuję. Nie muszę więcej tego znosić. Kiedy mężczyzna jest ambitny, mówi się, że ma jazdę. Kiedy kobieta jest ambitna, mówi się, że to suka i karierowiczka.

Teraz także D'Agosta poczuł złość. Kobiety zawsze włączają w

kłótnie kwestię rywalizacji damsko-męskiej. - Zwykle mydlenie oczu. Słuchaj, możesz albo zrobić to, co należy, albo to, co jest bezpieczne. I w oczywisty sposób wybierasz bezpieczeństwo. Świetnie. Nie będę ci przeszkadzał w awansie na komisarza. - D'Agosta wstał, podniósł stos papierów, które położył na podłodze, umieścił je z powrotem na krześle. Potem zabrał z biurka skoroszyt oznaczony jako tajny. Kiedy się odwrócił, zorientował się, że Hayward blokuje drzwi.

Stał spokojnie, czekając, żeby się odsunęła. Nie ruszyła się.

Nadal stał.

- Wychodzę. - Zrobił krok w przód, ale ona wciąż tkwiła w przejściu, nieruchoma. Była tak blisko, że czuł jej ciepło, zapach szamponu we włosach.

- To było strasznie gówniarskie stwierdzenie. - Twarz wciąż miała zaczerwienioną.

Próbował ją obejść, ale się przesunęła i niemal na siebie wpadli.

- Słuchaj - powiedziała. - Kocham ten kraj. Wiem też, że odwaliałam w tym departamencie sporo dobrej roboty, rozwiązałam masę spraw, wsadziłam za kratki kupę złych ludzi. Jestem skuteczna, ponieważ postępuję zgodnie z zasadami. Więc daruj sobie tę gównianą gadkę.

D'Agosta się nie odezwał. Stał bez ruchu zaledwie kilka cali od niej, ciężko dysząc, wdychając jej gniew, perfumy, zapach. Był świadomy błękitu jej oczu, bieli skóry. Zrobił krok naprzód i ich ciała się zetknęły. To było coś jak wyładowanie elektryczne. Przez chwilę stali w ten sposób, oboje ciężko dysząc, gniew zmieniał się w coś innego. Vincent pochylił się i napotkał jej wargi, czuł napór jej piersi, kiedy powoli się całowali.

Dotknęła jego szyi od tyłu i przysunęła się bliżej, ich ciała przylgnęły do siebie, a potem, niemal nieświadomie, D'Agosta otoczył ją ramionami, przesunął dłońmi po ciele i gwałtownie przyciągnął. Ledwie zdołał przetrwać falę podniecenia, która go ogarnęła; usiłował nabrać tchu, jednocześnie przesuwając wargami po jej podbródku, całując, zsuwając się w dół szyi, wzdłuż ramion. Poruszyła się w jego uścisku z westchnieniem, czuł gorący oddech przemykający po policzku, kiedy chwyciła go zębami za płatek ucha, najpierw delikatnie, potem ostrzej. Pociągnęła Vincenta z powrotem w kierunku biurka, odchyliła się do tyłu, a on opadł na nią, nie odrywając bioder od jej bioder. Teraz plątał się w guzikach jej koszuli, zapięciu stanika, a kiedy zobaczył miękki ruch oswobodzonych piersi, stwardniał jeszcze bardziej. Zdjęła ręce z jego ramion, przesunęła nimi przez jego pierś, brzuch, do zapięcia spodni, odpinała pasek, rozsuwała zamek i powoli go uwalniała. Teraz kobieca dłoń zaczęła go pieścić, powoli. Na chwilę zabrakło mu tchu, kiedy sięgnął pod brzeg jej spódnicy, wsunął tam rękę i rozdarł majtki. Zadrzała, kiedy w nią wchodził, wyrzucając biodra w przód, wyginając w łuk plecy, biorąc go głębiej. Przez chwilę tak trwali, patrząc sobie w oczy. Usta Hayward drgnęły, potem jej głowa opadła w tył, odsłaniając szyję. Jęknęła z pożądania. Otoczył ramionami jej uda i zaczął się poruszać, jeszcze, i jeszcze, i jeszcze, delikatnie, z namysłem. Papiery sypały się na podłogę...

...a potem, w nagłym zalewie przyjemności, było po wszystkim. Obejmowała go, z włosami w nieładzie, ciężko dysząc, oplatając nogami i rękoma, drząc w fali słabnących skurczów, chłonąc. Tulili się tak przez czas, który wydawał się bardzo długi. A jednak kiedy go



pocałowała i lekko odepchnęła, poczuł, że to za szybko. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że nie rozumie, co się właśnie stało. Ukrył zmieszanie, odwracając się do niej plecami, doprowadzając ubranie do względnego porządku. Myślał o tym, że nawet nie pamięta, co doprowadziło do ich nagłego uścisku. Przyciągnęli się jak magnesy. Nigdy wcześniej nic takiego mu się nie przytrafiło. Nie był pewien, czy powinien czuć uniesienie, zakłopotanie czy niepokój.

Za sobą usłyszał leniwy śmiech. - Nieźle - powiedziała nieco schrypniętym głosem. - Przynajmniej jak na załamane, splukanego oferme. Tylko następnym razem powinniśmy chyba zamknąć drzwi. - Uśmiechnęła się spod szopy czarnych włosów, plamy rumieńca na jej szyi bladły piersi ciężko wznosiły się i opadały, gdy wygładzała spódnice. - Wiesz, co mi się w tobie podoba, Vinnie?

- Nie.

- Naprawdę ci zależy. Na pracy, na sprawie, a przede wszystkim na tym, żeby wygrała sprawiedliwość.

D'Agosta wciąż nie mógł nic zrozumieć, z powodu tego, co się stało, lekko kręciło mu się w głowie. Przejechał ręką po włosach, poprawił spodnie. Nie był pewien, o co jej chodzi.

- Chyba zasłużyłeś sobie na tę kontrolę przekazów informacji. Przy drobnym wysiłku zdołam coś wymyślić.

Zawahał się. - To nie dlatego...

Usiadła, położyła mu palec na ustach. - Jesteś prawym człowiekiem i stąd ta decyzja, nie z powodu tego... - Znów się uśmiechnęła. - Coś ci powiem. Zaczęliśmy jakby od końca. Załatw, co masz do załatwienia, a potem możesz mnie zaprosić na uroczą, długą i romantyczną kolację przy świecach.





Pomieszczenie, w którym zajmowano się podsłuchem w budynku federalnym na Manhattanie, na czternastym piętrze, niczym się nie wyróżniało. W oczach D'Agosty wyglądało jak zwykłe biuro: świetlówki na suficie, neutralna wykładzina, niezliczone identyczne boksy składające się na ludzkie mrowisko. Cholernie przygnębiające.

Rozejrzył się ostrożnie, na wpeł z nadzieją, na wpeł przestraszony, że może tu zastać czekającą Laurę Hayward. Ale był tylko jeden z jej detektywów, Mandreli, ten sam facet, który w porze lunchu zadzwonił z wiadomością, że dostali z prokuratury zgodę na kontrolę przekazów informacji. Realizacją zadania miało się zająć FBI ze swoim znakomitym sprzętem, przy współpracy nowojorskiej policji. Fakt, że sprawa wyszła właśnie od policji, jakimś sposobem uczynił ją możliwą do zaakceptowania z politycznego punktu widzenia.

- Sierzancie - odezwał się Mandreli, potrząsając ręką D'Agosty - Wszystko gotowe. Czy agent, ee, Pendergast...

- Jestem - Pendergast wielkimi krokami wszedł do pomieszczenia. Jego pięknie skrojony czarny garnitur, idealnie odprasowany, połyskiwał w sztucznym świetle. D'Agosta zastanowił się, ile identycznych czarnych garniturów ma ten facet. Pewnie w Dakota i rezydencji przy Riverside Drive miał całe pokoje przeznaczone tylko na nie.

- Agencie Pendergast - powiedział D'Agosta - to detektyw sierżant

Mandreli z dwudziestego pierwszego posterunku.

- Miło mi. - Pendergast przelotnie uścisnął wyciągniętą rękę. - Proszę wybaczyć, że nie zjawiłem się wcześniej. Chyba źle skręciłem. W tym budynku ciężko się zorientować.

Ciężko się zorientować? W budynku federalnym? Pendergast sam był federalnym, musiał gdzieś tu mieć biuro. Chyba. D'Agosta uświadomił sobie, że nigdy nie widział biura Pendergasta ani nie został tam zaproszony.

- Tędy. - Mandreli poprowadził ich przez labirynt boksów

- Znakomicie - zamruczał Pendergast do D'Agosty, gdy ruszyli za detektywem. - Będę musiał osobiście podziękować kapitan Hayward. Naprawdę się spisała.

„O tak, naprawdę się spisała”, pomyślał D'Agosta, kryjąc uśmiech. Cała poprzednia noc - Pendergast wywabiony przez tajemniczego gościa, kompletnie nieoczekiwane spotkanie z Laurą Hayward - wydawała mu się nierealna jak sen. Przez cały ranek walczył z pokusą, żeby do niej zadzwonić. Miał nadzieję, że nadal chce z nim zjeść tę długą kolację przy świecach. Zastanowił się, czy to może skomplikować ich relacje zawodowe, uznał, że owszem, i zdał sobie sprawę, że nic go to nie obchodzi.

- To tutaj. - Mandreli wszedł do jednego z boksów. Niczym się nie wyróżniał: biurko z wiszącą nad nim szafką, komputer z głośnikami, kilka krzeseł. Przy komputerze siedziała młoda kobieta o krótkich blond włosach i coś pisała.

- Agentka Sanborne - oznajmił Mandreli. - Monitoruje linie Jimmy'ego Chaita, prawej ręki Bullarda tu, w Stanach. W sąsiednich boksach mamy agentów kontrolujących telefony kilku dalszych

współpracowników Bullarda. Agentko Sanborne, to sierżant D'Agosta z policji w Southampton i agent specjalny Pendergast.

Sanborne kiwnęła im głową w półobrocie, jej oczy rozszerzyły się na dźwięk nazwiska Pendergast.

- Jest coś? - zapytał Manderell.

- Nic ważnego - odparła. - Kilka minut temu było pewne ożywienie między Chaitem a innym pracownikiem. Wygląda na to, że w każdej chwili spodziewają się telefonu od Bullarda.

Mandreli kiwnął głową, odwrócił się do D'Agosty - Kiedy ostatnio uczestniczył pan w podsłuchu, sierżancie?

- Minęło sporo czasu.

- W takim razie proszę pozwolić, że uzupełnię pana wiadomości. Teraz wszystkim zajmują się komputery, jeden na każdy monitorowany numer telefonu. Linia telefoniczna przechodzi właśnie przez ten interfejs i rozmowy są nagrywane cyfrowo. Żadnych taśm. Agentka Sanborne, która zajmie się transkrypcją rozmów, może obsługiwać protokoły TCP z klawiatury albo za pomocą nożnego pedału.

D'Agosta pokręcił głową. Daleka droga od prymitywnych urządzeń, z którymi miał do czynienia jako szeregowy glina w połowie lat osiemdziesiątych.

- Mówił pan coś o chińskim? - zapytał Mandreli. - Będziemy potrzebować tłumacza?

- Mało prawdopodobne - odparł Pendergast.

- W każdym razie mamy kogoś pod ręką, na wszelki wypadek. W boksie zapadła cisza, Mandreli i Sanborne nachylali się nad komputerem.

- Vincent - mruknął Pendergast, biorąc go na bok. - Chciałem ci coś powiedzieć. Dokonailiśmy ważnego odkrycia.

- Co takiego?

- Beckmann.

D'Agosta spojrzał na niego uważnie. - Beckmann?

- Jego obecne miejsce pobytu.

- Nie żartuj. Kiedy się dowiedziałeś?

- Wczoraj w nocy, późno. Po tym, jak prosiłem cię o ten podsłuch.

- Czemu mi wcześniej nie powiedziałeś?

- Od razu próbowałem się dodzwonić, ale w hotelu nikt nie odbierał, a komórkę miałeś chyba wyłączoną.

- Och. Tak, faktycznie. Przepraszam. - D'Agosta się odwrócił, czując, że na twarz zaczyna mu wypełzać rumieniec.

Uniknął dalszego wypytywania, bo komputer nagle zapiszczał.

- Zaraz będzie rozmowa - powiedziała agentka Sanborne.

Na ekranie otworzyło się okienko wypełnione liniami danych. - Chait ma rozmowę przychodzącą - wskazała na okno. - Widzicie?

- Od kogo? - zapytał D'Agosta.

- Numer już się pojawia. Przełączę na głośnik.

- Jimmy? - rozległ się wysoki głos. - Jimmy, jesteś tam?

Sanborne zaczęła szybko stukać w klawiaturę, zapisując treść rozmowy. - To jego numer domowy - stwierdziła. - Pewnie żona.

- Taa - odparł głęboki głos z ciężkim akcentem z New Jersey - Czego chcesz?

- Kiedy wracasz do domu?

- Coś mi wypadła - W tyle rozległ się słaby odgłos, jakby podmuch wiatru.

- Nie, Jimmy, nie dzisiaj. Po południu przychodzą Fingermanowie, pamiętasz? W związku z wynajęciem w zimie czegoś w Kissimmee?

- Pieprzę to. Nie potrzebujesz mnie do tego gówna.

- Ależ proszę, nie mów do mnie tym tonem. Masz rację, nie potrzebuję cię do tego gówna. Potrzebuję, żebyś się zatrzymał przy DePasquale i kupił kilka półmisek kiełbasek i papryki. Nie mam co podać.

- To rusz dupę do kuchni i coś ugotuj.

- Słuchaj, ty...

- Będę, kiedy będę. A teraz spierdalaj, czekam na telefon. - Linia była wolna.

Zapadła przelotna cisza, przerywana tylko stukaniem klawiszy, gdy Sanborne kończyła zapisywanie.

- Uroczą parą - stwierdził D'Agosta. Zabrał Pendergasta na bok. - A jak w ogóle znalazłeś Beckmanna?

- Dzięki pomocy znajomego, prawdę mówiąc, inwalidy, który przypadkiem znakomicie sobie radzi z wyszukiwaniem trudnych do uzyskania informacji.

- „Znakomicie sobie radzi” - to brzmi dość oględnie. Nikt nie był w stanie faceta zlokalizować. Więc gdzie ten Beckmann?

Ale znów przerwało im piszczenie komputera. - Mamy następną - powiedziała Sanborne.

- Przychodząca czy wychodząca? - zapytał Mandreli.

- Przychodząca. Ale numer musi być zastrzeżony, nie mam żadnych danych.

W głośnikach odezwał się krótki sygnał. - Taa? - zgłosił się Chait.

- Chait - rozległ się jakiś głos.

D'Agosta z miejsca rozpoznał ten ostry ton: poczuł dreszcz nienawiści. Chait też go rozpoznał. - Tak, panie Bullard - głos miał od razu usłużny.

- Bullard korzysta z telefonu satelitarnego - stwierdził D'Agosta.

- Dlatego nie możecie go namierzyć.

- To bez znaczenia. - Mandreli wskazał na szereg cyfr na ekranie.

- Widzi pan? To miejsce, w którym znajduje się przekaźnik sieciowy dla telefonu Chaita. Węzeł komórkowy, z którego dociera jego sygnał, pozwala określić, gdzie się obecnie znajduje. - Sięgnął do szafki, wyjął grube tomiszczce, zaczął je kartkować.

- Wszystko gotowe? - zapytał Bullard.

- Tak, proszę pana. Ludzie dostali instrukcje.

- Pamiętaj, co powiedziałem. Nie chcę słyszeć żadnych usprawiedliwień. Masz po prostu zrobić to, co każe. Załatw to według instrukcji.

- Oczywiście, proszę pana.

Mandreli podniósł wzrok znad książki. - Chait jest w Hoboken, na New Jersey

- Wszystko ustalone - stwierdził Bullard. - Chińczycy będą o czasie.

- Lokalizacja?

- Pierwotna, tak jak mówiliśmy. Park.

Mandreli chwycił D'Agostę za ramię. - Chait właśnie zmienił przekaźnik.

- Co to znaczy?

- Przemieszcza się. - Mandreli przerzucił instrukcję, szukając nowego miejsca. - Teraz jest na środku Union City.

- Transport publiczny nie działa tak szybko - powiedział



Pendergast. - Musi być w samochodzie.

Znów odezwał się Bullard. - Pamiętaj. W zamian za zapłatę będą oczekiwali raportu o postępach. Wiesz, co masz im dać, zgadza się?

- Tak jest.

Pendergast wyciągnął teraz własną komórkę, szybko wybrał numer.

- Chait jest w drodze na spotkanie. Musimy wysłać tam zespół, niech się ustawią z trzech stron.

- Będę oczekiwał raportu natychmiast po spotkaniu - powiedział Bullard.

- Oddzwonię do pana za pięćdziesiąt minut.

- Chait? Żadnych wpadek, słyszysz?

- Tak jest.

Kliknięcie, szum na linii, komputer zapiszczał jeszcze raz, żeby zasygnalizować przerwanie połączenia.

- Znowu zmiana przełącznika - powiedział Mandreli, patrząc na ekran.

D'Agosta odwrócił się do Pendergasta. - Za pięćdziesiąt minut, powiedział? Co to znaczy, do cholery?

Pendergast zamknął telefon, wsunął do kieszeni. - Że przedtem odbędzie się to spotkanie. Chodźmy, Vincencie, nie mamy chwili do stracenia.



D'Agosta z szaloną prędkością zjechał z mostu Washingtona i włączył się do ruchu na autostradzie. Kiedy New Jersey Turnpike się rozdzielił i samochodów zrobiło się trochę mniej, umieścił na dachu syrenę, uruchomił ją, włączył migające światło. Skręcając na zachód w I-80, wciskał gaz do oporu. Wielki silnik sedana zareagował i wkrótce gnali z prędkością stu mil na godzinę.

- Odświeżające - mruknął Pendergast.

Zatrzeszczało radio ustawione na częstotliwość bezpiecznego połączenia. - Tu sześćset dwa. Nawiązaliśmy kontakt wzrokowy z celem. To telewizyjna furgonetka z anteną satelitarną, z napisem WPMR Hackensack, jedzie na zachód osiemdziesiątką, jest w pobliżu zjazdu sześćdziesiąt pięć.

D'Agosta przyspieszył do stu dwudziestu mil.

Pendergast zdjął z zaczepu mikrofon. - Jesteśmy parę mil za wami. Trzymajcie się innego pasa i nie dajcie zauważyć. Odbiór.

Wszystko zostało zorganizowane z oszałamiającą szybkością. Pendergast załatwił, że federalni wysłali kogoś śladem komórki Chaita, zarekwirował rządowy pojazd i wsadził D'Agostę za kierownicę. Autostrada West Side była na szczęście wolna i wyjazd z Manhattanu zajął im zaledwie dziesięć minut.

- Jak myślisz, dokąd jedziemy? - zapytał D'Agosta.

- Bullard wspomniał o parku. Na razie to wszystko, co wiemy.

Kątem oka zauważył, że mimo prędkości Pendergast rozpiął pas i pochylił się do przodu. Teraz skrobał paznokciami dywanik, gwałtownie pocierał o niego dłońmi. D'Agosta widywał już wcześniej ludzi, którzy wyczyniają dziwactwa, ale to dopiero było coś. Zastanowił się, czy powinien o to spytać, i uznał, że nie.

- Cel opuszcza drogę zjazdem sześćdziesiąt - zgrzytnęło radio. -  
Jadę za nim.

D'Agosta zwolnił. Jeszcze minuta i zjechał w tym samym miejscu.

- Cel posuwa się na północ po McLean.

- Jadą do Paterson - stwierdził D'Agosta. Tak naprawdę nigdy tam nie był, ale niezliczone razy mijał to miejsce, jadąc autostradą; robotnicze miasteczko z czerwonej cegły, które najlepsze czasy miało za sobą od jakichś stu lat. Dostyc dziwny cel podróży.

- Paterson - z namysłem powtórzył Pendergast, pocierając brudnymi rękoma twarz i szyję. - Miejsce narodzin amerykańskiej rewolucji przemysłowej.

- Miejsce narodzin? Mnie tam wygląda raczej na miejsce pochówku.

- To miasto o bogatej historii, Vincencie. Niektóre historyczne dzielnice wciąż są piękne. Spodziewam się jednakże, że nie te, do których zmierzamy.

- Cel opuszcza McLean - powiedział głos z radia. - Kieruje się na lewo, na Broadway.

D'Agosta przepchnął się przez autostradę McLean, korzystając z syreny, żeby przeskoczyć dwa kolejne czerwone światła. Po prawej mieli rzekę Passaic, brązową i ponurą w jesiennym słońcu. Kiedy skręcił w Broadway, w tym miejscu nędzny i zniszczony, wyłączył

syrenę i migające światło. Byli teraz blisko, bardzo blisko.

- Sierzancie - szorstko powiedział Pendergast - proszę podjechać do tego ciągu sklepów po naszej prawej stronie. Musimy zrobić krótki przystanek.

D'Agosta zerknął na niego zaskoczony. - Nie mamy czasu.

- Zaufaj mi, mamy.

D'Agosta wzruszył ramionami. Operacji nominalnie przewodziło FBI i Pendergast dowodził - Hayward tego dopilnowała. Samochód śledzący cel należał do FBI, a on pracował dla komendy w Southampton, co nie mogło zranić niczyich uczuć. Rywalizacja między policją z różnych stanów w tym wypadku prawie nie istniała. W stosownej chwili - kiedy będzie za późno, żeby banda miejskich gliniarzy nieznaną sytuacji coś spieprzyła - Pendergast wezwie miejscowych.

Na ciąg handlowy składały się nędzne sklepy dostępne zza parkingu o nierównej, spękanej ze starości nawierzchni. Miejsce wyglądało na opuszczone i D'Agosta był naprawdę ciekaw, o co, do cholery, chodzi Pendergastowi. Do tej pory miał dobry czas, a teraz agent go marnotrawił.

- Tam - powiedział Pendergast. - Na końcu.

D'Agosta podjechał do ostatniego sklepu. Przed frontem stał żółty pojemnik na surowce wtórne, łuszczący się i poznaczony bliznami wieku. Zanim samochód stanął, Pendergast już był na zewnątrz i wbiegał od sklepu. D'Agosta zaklął, walnął w kierownicę. Stracą co najmniej pięć minut. Przyzwyczał się do niewytłumaczalnych zachowań Pendergasta, ale to była przesada.

- Cel zmierza do parku East Side - oznajmił spokojny głos z

samochodu obserwacyjnego. - Trwa tam jakaś impreza. Wygląda na pokaz modeli rakiet czy coś w tym rodzaju.

D'Agosta usłyszał krzyki i zobaczył Pendergasta wybiegającego ze sklepu z kupą ciuchów przewieszonych przez ramię i kilkoma parami butów trzymanymi w garści. Parę chwil później ze środka wypadła gruba kobieta.

- Ratunku! - wrzasnęła. - Policja! Mam nadzieję, że jesteś z siebie dumny, okradając Armię Zbawienia. Dupek!

- Z podziękowaniem, proszę pani - powiedział Pendergast, mnąc w palcach banknot studolarowy i rzucając go przez ramię, gdy wskakiwał na tyle siedzenie. D'Agosta wcisnął gaz, zostawiając za sobą ślad spalonej gumy i chmurę dymu.

- Było to, jak sędzę, opóźnienie najwyżej dwuminutowe - oznajmił Pendergast z tyłu. Patrząc w lusterko, D'Agosta zauważył, że zdejmuje z siebie marynarkę i krawat.

- W takich sytuacjach dwie minuty to kupa czasu.

- Będę musiał podesłać coś do Armii Zbawienia, żeby wynagrodzić im mój brak manier.

- Jadą do parku East Side.

- Bardzo dobrze. Gdybyś mógł okrążyć park i wjechać od południa. Potrzebuję jeszcze paru chwil.

D'Agosta przejechał obok parku - ściana zieleni po lewej wznosiła się za betonową ścianą oporową - i skręcił w lewo, w Derrom Avenue. Mimo bliskości nędznego, żałosnego Broadwayu stały tu domy spore i dobrze utrzymane, relikty z czasów, kiedy Paterson było modelowym miastem przemysłowym.

Pendergast zaintonował z tylnego siedzenia: - „Zmożony snem na

wieki, śni o wędrówkach po mieście, w którym trwa incognito".

D'Agosta ponownie spojrzął we wsteczne lusterko i o mało nie nacisnął na hamulec z zaskoczenia na widok obcego człowieka z tyłu. Ale oczywiście nie było tam nikogo obcego: to Pendergast w jakiś niemal cudowny sposób uległ przemianie.

- Czytałeś Patersona Williama Carlosa Williamsa? - zapytał włączęga z tylnego siedzenia.

- Nawet o nim nie słyszałem.

- Szkoda: „Nieśmiertelny ani się nie porusza, ani nie budzi i rzadko jest widywany, choć oddycha, a subtelności jego machinacji, czerpiące siłę z odgłosów płynącej rzeki, ożywiają tysiące automatów".

D'Agosta pokręcił głową i mruknął coś pod nosem. Minął kilka przecznic, znowu skręcił w lewo i wjechał na teren obok pomnika Krzysztofa Kolumba.

Park East Side składał się z pagórka zarośniętego wysoką trawą i posadzonych z rzadka drzew, które miały zapewniać cień; ze wszystkich czterech stron ściśle otaczały go domy. Droga biegła obrzeżami i D'Agosta wjechał w nią, mijając szereg kamiennych przybudówek w różnych stadiach rozpadu. Wzdłuż drogi stały betonowe ławki z pomalowanymi na zielono drewnianymi siedzeniami ze szczebli. Dalej droga skręcała w kierunku szczytu wzniesienia ozdobionego fontanną za czarnym płotem ze zgrzewanego żelaza. Przy krawężniku parkowało tam kilka samochodów, także ich wóz obserwacyjny, przez co i tak już wąska droga stała się niemal nieprzejezdna. Z przodu D'Agosta zobaczył telewizyjnego vana; wjechał na trawę między tory tenisowe a boisko

do bejsbolu. Na tymże boisku nieduża grupka dzieci nadzorowanych przez rodziców odpalała modele rakiet. Obok vana stał mężczyzna z kamerą telewizyjną, który filmował imprezę.

- Niezwykle starannie zaplanowane spotkanie, Vincencie - powiedział Pendergast, kiedy wolno przejechali obok. - Spotykają się w środku parku. Nie ma szans, żeby ktoś zrobił zasadzkę. Są w otoczeniu hałaśliwych dzieci i ryku rakiet, co wyklucza każdy elektroniczny podsłuch na odległość. Człowiek z kamerą to strażnik, który ma idealny powód, żeby przyglądać się wszystkiemu przez teleobiektyw. Bullard najwyraźniej dobrze wyszkolił swoich ludzi. A, zjedź na chwilę: są Chińczycy.

We wstecznym lusterku D'Agosta zauważył długiego czarnego mercedesa, który wydawał się tu absurdalnie nie na miejscu, nadjeżdżającego powoli drogą przez park. Samochód zjechał na trawę przy korcie tenisowym po przekątnej od vana. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn w ciemnych okularach i z ogolonymi głowami. Rozejrzeli się uważnie. Następnie pojawił się trzeci, niższy człowiek, który ruszył przez trawę w kierunku vana.

- Okropny brak subtelności - stwierdził Pendergast. - Wygląda na to, że ci panowie naoglądali się za dużo telewizji.

D'Agosta podjechał do przodu, zatrzymał się w pobliżu wyjazdu prowadzącego na Broadway. Zbocze wzgórza zaczynało tu opadać, a drzewa rosły gęściej, osłaniając ich samochód.

- Szkoda, że jestem w mundurze - powiedział.

- Przeciwnie: ponieważ jesteś w mundurze, nie będą cię podejrzewać. Mam zamiar dostać się tam jak najbliżej, spróbuję poznać więcej szczegółów na temat tego spotkania. Ty kup kawę i

pączka, tam - kiwnął głową w kierunku nędznej kawiarenki po przeciwnej stronie Broadwayu - a potem zaczął się wałęsać po parku. Usiadł na jednej z ławek przy boisku do bejsbolu, skąd będziesz miał wolne pole do strzału, w razie gdyby wydarzyło się coś kłopotliwego. Miejmy nadzieję, że nic takiego się nie wydarzy, nie z tymi wszystkimi dziećmi dookoła, ale tak czy owak bądź gotów do działania.

D'Agosta skinął głową.

Pendergast energicznie potarł oczy. Kiedy odsunął brudne ręce od twarzy, jego oczy nie były już czyste i srebrne. Należały teraz do pijaczka: niepewne, zażawione, zaczerwienione.

D'Agosta obserwował, jak Pendergast wysiada z samochodu i niespiesznie wraca podjazdem. Agent miał na sobie brązowy sportowy płaszcz z kiepskiego materiału, z wyblakłą plamą między ramionami, dżersejowe spodnie o numer za duże, znoszone mokasyny. Włosy o kilka odcieni ciemniejsze niż zwykle - cholera, jakim cudem tego dokonał? - a twarz przydałoby się umyć. Wyglądał dokładnie jak człowiek, który tonie, ale jeszcze nie poszedł na dno, z całej siły starając się ocalić resztki godności. I nie chodziło tylko o ubranie; siedł z lekkim szuraniem, język jego ciała sugerował niepewność, oczy miał rozbiegane, jakby szykował się do oddania niespodziewanego ciosu.

D'Agosta przyglądał mu się przez chwilę z podziwem. Potem wysiadł z samochodu, kupił kawę i pączka z lukrem w sklepiku po przeciwnej stronie ulicy i poszedł z powrotem do parku. Gdy dotarł na szczyt niewielkiego wzniesienia i znalazł się bliżej boiska, zobaczył, że niski Chińczyk wchodzi do telewizyjnego vana od tyłu.



Jego więksi towarzysze czekali jakieś czterdzieści kroków dalej ze skrzyżowanymi ramionami.

Rozległ się szum startującej rakiety, któremu towarzyszyły okrzyki i oklaski. Wszystkie oczy spojrzały w niebo: puknięcie i rakietka opadała powoli, płynąc pod miniaturowym spadochronem w białoczerwone paski.

D'Agosta rozsiadł się na ławce, mając vana po przekątnej. Zsunął pokrywkę z kubka z kawą, udając, że obserwuje startujące rakiety. Dziwne, domniemany kamerzysta zbierał teraz dzieciaki w grupę, najwyraźniej, żeby je sfilmować. D'Agosta zastanowił się, czy to właśnie Chait, prawa ręka Bullarda w Nowym Jorku. Uznał, że nie, Chait bez wątplenia siedział w vanie z chińskim waźniakiem.

Wrócił do obserwacji Pendergasta. Agent szedł powoli ścieżką w pobliżu vana. Zatrzymał się, wyłowił z kosza na śmieci blankiet zakładów, otrzepał go z jakichś resztek, a potem przystanął, żeby zagadnąć kamerzystę. Wyglądało, jakby go prosił o pieniądze. Mężczyzna zmarszczył się i potrząsnął głową, gestem nakazując Pendergastowi, by odszedł. Potem odwrócił się w kierunku dzieci, pokazywał, żeby maluchy z modelami ustawily się w rzędzie.

D'Agosta poczuł, jak ściska mu się żołądek. Czemu, cholera, facet tak ustawia te dzieciaki? Coś tu było bardzo nie w porządku.

W tym czasie Pendergast usadowił się na ławce obok vana, tak blisko, że mógłby go dotknąć, i wypełniał formularz ogryzkiem ołówka, zakreślając konie i robiąc notatki.

Potem - nieoczekiwanie - Pendergast wstał, podszedł do tylnych drzwi samochodu i zapukał.

Kamerzysta nadszedł wielkimi krokami, gestykulował

rozwścieczony, odpychając Pendergasta na bok. D'Agosta opanował impuls nakazujący mu sięgnąć po broń. Drzwi vana się otworzyły, trwała tam głośna rozmowa, potem z trzaskiem je zamknięto. Kamerzysta ze złością nakazywał Pendergastowi, by odszedł, ale agent tylko wzruszył ramionami i usiadł na tej samej ławce, wracając do studiowania formularza zakładów powoli i na luzie, jakby miał wszystkie pieniądze świata, żeby przepuścić je na koniach.

D'Agosta się rozejrzył. Dwaj ubrani po cywilnemu agenci FBI, rozmawiając, nadchodzili wzdłuż dłuższego boku boiska. Chińskie zbiry chyba tego nie zauważyły. Ich uwagę przykuł van i to, co się działo w środku. Wyglądało, jakby czekali w pełnej gotowości. Z przesadnym skupieniem. I ten kamerzysta, który wciąż ustawiał dzieciaki w rząd, jakby on też się spodziewał, że lada chwila coś się wydarzy.

D'Agosta poczuł niemal nieznośne napięcie. Zadał sobie pytanie, czemu ludzie Bullarda tak się natrudzili, żeby ustawić się wśród dzieciaków. Nie mogli nawet podejrzewać, że są śledzeni. Napięcie panowało między nimi a chińskimi klientami. Wywnioskował to z podsłuchanej rozmowy, a teraz widział tutaj.

Zaczął się zastanawiać, co by się stało, gdyby chińskie zbiry wyciągnęły broń i otworzyły ogień do vana. Dzieci znalazłyby się pod ostrzałem. A więc o to chodziło: dzieci stanowiły ochronę. Ludzie Bullarda spodziewali się strzelaniny, kamerzysta ustawiał dzieci jako żywą tarczę.

D'Agosta upuścił kawę i pączka, wstał z ławki z ręką na pistolecie. Właśnie w tym momencie tylne drzwi vana otworzyły się z rozmachem i mały Chińczyk wyskoczył ze środka szybko i lekko jak

ptak. Długimi krokami sadył przez boisko. Machnął ręką w stronę zbirów - niemal niedostrzegalny gest - i ruszył biegiem.

D'Agosta zobaczył, że ci dwaj sięgają po broń.

Z miejsca przykląkł na jedno kolano, chwycił mocniej pistolet i wycelował. Gdy tylko broń znalazła się na wierzchu - uzi, sądząc na oko - strzelił i minimalnie chybił.

Nagle rozpętało się piekło. Rozległ się szcęk pocisków z broni półautomatycznej. Maluchy rozbiegły się w różne strony, dorośli wrzeszczeli, chwytając swoje dzieciaki i uciekając w panice albo rzucając się na ziemię. W rękach kamerzysty także pojawiło się uzi, ale zanim mężczyzna zdążył wystrzelić, dostał serię w pierś i poleciał do tyłu, uderzając plecami w bok vana.

D'Agosta ponownie strzelił do Chińczyka, którego nie trafił, zatrzymując go celnym trafieniem w kolano. Drugi zbir odwrócił się w stronę niespodziewanego ataku, płynnym ruchem posyłając serię przez boisko. Pendergast, ochraniający własnym ciałem dwójkę dzieci, spokojnie zdjął go strzałem w głowę. Kiedy mężczyzna padał, jego uzi zahuściło się gwałtownie, wciąż strzelając. Wśród trawy przed Pendergastem wybuchły chmurki kurzu, a potem agent nagle upadł, odpychając dzieci na bok, z dala od niebezpieczeństwa. Jego ramię eksplodowało chmurą kropel krwi.

- Pendergast! - krzyknął D'Agosta.

Typ, którego sierżant trafił, nie chciał odpuścić. Przeturlał się na bok i strzelał do vana, kule uderzały w bok samochodu i posyłały w powietrze drobiny farby. Z przedniego siedzenia ktoś odpowiedział ogniem, Chińczyk ponownie upadł, a van odjechał z piskiem opon.

- Zatrzymać ich! - wrzasnął D'Agosta do dwóch agentów. Ci już

poderwali się do biegu i strzelali, bez rezultatu. Ich strzały z brzękiem odbijały się od opancerzonych boków pojazdu.

Teraz główny Chińczyk dotarł do czarnego mercedesa. Kiedy ryknął silnik, obaj agenci skierowali ogień w tamtą stronę, rozwalając tylne opony, gdy samochód skręcał na drogę. Któryś strzał trafił w bak i pojazd podskoczył ze stłumionym hukiem, kula ognia poszybowała w niebo, a mercedes łagodnie potoczył się w kierunku kępy drzew. Drzwi otworzyły się gwałtownie i wypadł płonący człowiek, zrobił kilka niepewnych kroków, stanął, a potem powoli przewrócił się w przód. W oddali telewizyjny van z pełną prędkością wyjeżdżał z parku i znikał w labiryncie ulic na zachodzie.

Park przypominał dom wariatów: dzieci i dorośli, rozproszeni gdzie popadło, usiłowali się ukryć, krzyczeli. D'Agosta pognał tam, gdzie upadł Pendergast, i z niewiarygodną ulgą zobaczył, że agent siada. Obaj Chińczycy nie żyli, a kamerzystę, dosłownie rozerwanego na dwie części, najwyraźniej też można było skreślić. Żaden z cywilów nie został nawet drażniony. Zakrawało to na cud.

D'Agosta ukląkł w trawie. - Pendergast, w porządku?

Agent machnął ręką, twarz miał poszarzałą, chwilowo nie był w stanie mówić.

Nadbiegł jeden z agentów FBI. - Ranni? Mamy rannych?

- Agent Pendergast. Kamerzyście nie da się pomóc.

- Wsparcie i pomoc medyczna są w drodze. - I rzeczywiście, D'Agosta słyszał dźwięk syreny zbliżający się do parku.

Pendergast pomógł wstać jednemu z dzieci, które ochronił - mniej więcej ośmioletniemu chłopcu. Podbiegł jego ojciec i chwycił małego w ramiona. - Uratował mu pan życie - powiedział. - Uratował mu pan

życie.

D'Agosta pomógł agentowi stanąć na nogi. Jedna strona jego brudnej koszuli przesiąknięta była krwią.

- Trafiał mnie powierzchownie - powiedział Pendergast. - To nic, ominęło kość. Tylko ciężko mi oddychać.

Powoli, z ociąganiem, do parku zaczęli się schodzić ludzie z okolicznych domów, tłocząc się wokół płonącego mercedesa i leżącego w pobliżu ciała. Świeżo przybyli gliniarze krzyczeli, starali się zabezpieczyć teren, ustawiali kordon, głośno nakazywali tłumowi się cofnąć.

- Cholera - odezwał się D'Agosta. - Te gnoje z BAI spodziewały się strzelaniny

- W rzeczy samej. I nic dziwnego.

- Co to ma znaczyć?

- Podśluchałem wystarczająco dużo, żeby się zorientować, że ludzie Bullarda chcieli się wycofać z umowy.

- Wycofać?

- Najwyraźniej w przededniu sukcesu. Teraz rozumiesz powód tak starannego wyboru miejsca akcji - park, dzieci. Wiedzieli, że Chińczycy nie będą zadowoleni. Usiłowali w ten sposób uniknąć posiekania na kawałki.

D'Agosta się rozejrzył. Jatka. - Hayward będzie zachwycona.

- Powinna. Boję się myśleć, czym by się to skończyło, gdybyśmy nie zorganizowali podsłuchu i nie byłoby nas tutaj, żeby zdjąć tych strzelców.

D'Agosta pokręcił głową i spojrzał na palącego się mercedesa, którego gasiła straż pożarna. - Wiesz co? Ta sprawa robi się coraz

dziwniejsza.



Wielebny Wayne E Buck junior siedział przy barze w zajęździe dla ciężarówek „Ostatni Oddech” w Yumie, w stanie Arizona, dolewając sobie do kawy odtłuszczonego mleka. Przed nim leżały resztki po codziennym śniadaniu: pszenna grzanka z odrobiną marmolady, owsianka na wodzie bez cukru. Z zewnątrz dobiegał zgrzyt skrzyni biegów: wielki ciągnik siodłowy z lśniącą w jaskrawym słońcu stalową cysterną wytaczał się z parkingu na szosę, kierując się na zachód, ku Barstow.

Wielebny Buck - tytuł był honorowy - wypił łyk kawy, po czym, metodyczny we wszystkim, co robił, dokończył posiłek, starannie wyskrobując miskę krawędzią łyżki, zanim odłożył ją na bok. Jeszcze jeden łyk kawy i odstawił kubek na spodek. A potem w końcu zabrał się do porannej lektury: związanego grubym sznurkiem dziesięciocalowego stosu czasopism, który leżał na końcu lady

Przecinając sznurek scyzorykiem, Buck czuł lekkie podniecenie. Poranna lektura była zawsze ważnym elementem dnia. Kierowca ciężarówki, którego kilka miesięcy temu na zlocie religijnym wyleczył z ataków epilepsji, zawsze zostawiał dla niego przed zajazdem paczkę starych gazet. Zestaw różnił się co dnia i Buck nigdy nie wiedział, co w nim znajdzie. Wczoraj na przykład wśród bardziej pospolitych „Phoenix Sun” i „Los Angeles Times” trafił się „New Orleans Times-Picayune”. Dreszczyk oczekiwania wykraczał

jednak poza kwestię wyboru tytułów gazet.

Wielebny Buck przebywał w okolicach Yumy już prawie rok, pełniąc posługę duszpasterską dla kierowców, kelnerów i pomocy kuchennych, wędrownych robotników, złamanych, błądzących i niepewnych dusz, które przejeżdżały tędy w drodze do różnych miejsc i rzadko zostawały na dłużej. Praca stanowiła dla niego nagrodę samą w sobie i Buck nigdy nie narzekał. Wyznawał pogląd, że na świecie dlatego jest tylu grzeszników, że nikomu nigdy nie przyszło do głowy usiąść i z nimi porozmawiać. Buck robił właśnie to: rozmawiał. Czytał ludziom Biblię, tłumaczył, jak się przygotować na to, co nadejdzie, i to niedługo. Gawędził z kierowcami - zawsze z jednym na raz, przy ladzie - którzy zatrzymywali się tu w długich trasach, żeby się odsikać i zjeść kanapkę. Wieczorami rozmawiał z grupkami dwóch czy trzech stałych gości, siadając z nimi na zewnątrz przy stołach piknikowych. W niedzielne poranki zbierało się przy nim piętnaście do dwudziestu osób; spotykali się w starym hoteliku „Pod Łosiami”. Kiedy czasem ktoś go podrzucił do rezerwatu, nauczał i tam. Większość ludzi słuchała go chętnie; nikt im wcześniej nie wyjaśnił natury grzechu ani nie opowiadał o przerażającej, nieuniknionej zapowiedzi końca świata. Kiedy ktoś chorował, wielebny Buck się za niego modlił, kiedy ktoś był w żałobie, wysłuchiwał jego problemów, cytował jakąś biblijną przypowieść albo słowa Jezusa. Płacili mu drobniakami, gorącym posiłkiem, czasem noclegiem. To wystarczało.

Jednak spędził już w Yumie spory kawał czasu. Było jeszcze tyle miejsc, tylu ludzi, którzy powinni go usłyszeć. Każdy mijający dzień oznaczał, że czasu jest coraz mniej. „Albowiem powiadam wam: nie



zdążycie przejść przez wszystkie miasta Izraela, zanim nadejdzie Syn Człowieczy".

Buck mocno wierzył w znaki. Nic, co się działo na ziemi, nie było przypadkowe. To znak zaprowadził go w zeszłym roku z Broken Arrow w Oklahomie do Borrego Springs w Kalifornii. Inny znak kazał mu kilka miesięcy później opuścić Borrego i przybyć tutaj, do Yumy. Któregoś dnia - może za tydzień, może za miesiąc - znów pojawi się znak. Może znajdzie go w kolejnej paczce starych gazet. Albo w opowieści przejeżdżającego kierowcy. Ale na pewno się pojawi i Buck ruszy w drogę do jakiegoś innego odległego zakątka, pełnego dusz potrzebujących balsamu zbawienia.

Wielebny wyciągnął z paczki pierwszą gazetę: „Sacramento Bee” z poprzedniej niedzieli. Szybko przejrzał kolumny z wiadomościami ogólnokrajowymi i lokalnymi - w dużych miastach, jak Sacramento, zawsze można było liczyć na obfitość historii o morderstwach, gwałtach, korupcji, występkach i chciwych korporacjach. Buck przeczytał dość tego rodzaju artykułów, by starczyło na tysiąc kazań pełnych przestróg. Bardziej interesowały go wypełniacze i ramki dodawane do głównych artykułów, skrawki wiadomości agencyjnych poupychane w najróżniejszych kątach gazety dla uciechy czytelników. O malutkiej mieścinie, gdzie dwaj bracia nie odzywali się do siebie od czterdziestu lat, o parkingu dla przyczep mieszkalnych, skąd uciekły wszystkie dzieci co do jednego - takie informacje do niego przemawiały. To były znaki nakazujące mu iść i głosić dobrą nowinę.

Po przejrzeniu „Sacramento Bee” do końca wielebny sięgnął po następną gazetę, „USA Today”. Laverne, kelnerka, podeszła z

dzbankiem kawy.

- Jeszcze filiżankę, wolebnym?

- Może ostatnią, dziękuję ci uprzejmie. - Buck praktykował umiarkowanie we wszystkim. Jeden kubek kawy był błogosławieństwem, drugi nadmiarem, trzeci byłby grzechem. Przerzucił gazetę i wziął do ręki kolejną: wczorajsze wydanie „New York Post”. Buck rzadko trafiał na tego brukowca i miał dla niego tylko pogardę; ta tuba najbardziej rozwiązłego i grzesznego miasta na świecie nie mogła go niczym zainteresować. Już miał ją odłożyć z niesmakiem, kiedy w oko wpadł mu tytuł:

## DESTRUKCJA

### **Słynny naukowiec twierdzi, że niedawne zgony zapowiadają koniec świata** **Tekst: Bryce Harriman**

Nieco wolniej Buck odwrócił stronę i zaczął czytać.

„25 października 2004

Szanowany naukowiec przepowiedział wczoraj rychłą zagładę Nowego Jorku, a może i sporej części świata. Doktor Friedrich von Menck - pracownik naukowy Harvardu i twórca filmu dokumentalnego wyróżnionego nagrodą Emmy - twierdzi, że niedawne zgony Jeremy'ego Grove'a i Nigela Cutfortha są tylko zwiastunami nadchodzącego kataklizmu.

Doktor von Menck od piętnastu lat badał matematyczne prawidłowości występowania w przeszłości słynnych katastrof. Przeliczał dane na najróżniejsze sposoby i zawsze uzyskiwał tę samą

datę: rok 2004.

Teoria von Mencka oparta jest na fundamentalnej proporcji, znanej pod nazwą «złotego podziału», powtarzającej się w przyrodzie, a także w klasycznych budowlach, takich jak Partenon, oraz w obrazach Leonarda da Vinci. Doktor von Menck jako pierwszy zastosował ją w odniesieniu do historii - i uzyskał złowrogie wyniki.

Badania von Mencka pokazały, że wiele z najstraszliwszych katastrof, które przez wieki spadały na ludzkość, mieści się w schemacie wyznaczonym przez złotą proporcję:

Rok 79 - Pompeje

Rok 426 - upadek Rzymu

Rok 877 - zniszczenie Pekinu przez Mongołów

Rok 1348 - czarna śmierć

Rok 1666 - wielki pożar Londynu

Rok 1906 - trzęsienie ziemi w San Francisco

Te i wiele innych dat układa się w ten schemat z niebywałą dokładnością.

Co łączy wywołane siłami natury katastrofy? Zawsze uderzały w wielkie i znaczące miasta znane z bogactwa, potęgi i zaawansowanej technologii, a także, zauważa doktor von Menck, lekceważenia życia duchowego. Każda z katastrof poprzedzona była drobnymi, ale wyrazistymi znakami. Von Menck w tajemniczych zgonach Grove'a i Cutforth'a widzi właśnie takie znaki, jakich można by oczekiwać przed zniszczeniem Nowego Jorku przez ogień.

Jakiego rodzaju ogień?

- Nie chodzi o żaden zwykły pożar - zapowiada uczoney. - Będzie to coś nagłego i destrukcyjnego. To będzie ogień z wnętrza.

Jako dalsze dowody swojego twierdzenia przytacza urywki z Apokalipsy świętego Jana, przepowiedni Nostradamusa i prorocत्व jasnowidzów bliższych nam czasów, jak Edgar Cayce i madame Bławatska.

Doktor von Menck wyjechał dzisiaj na wyspy Galapagos, zabierając ze sobą, jak powiedział, tylko własne rękopisy i kilka książek".

Wielebny opuścił gazetę. Reszta paczki leżała przy jego łokciu zapomniana. Czuł, jak wzdłuż kręgosłupa wędruje mu dziwny dreszcz, stopniowo obejmując nogi i ramiona. Jeżeli von Menck ma rację, to jest głupcem, sądząc, że uda mu się schronić na jakiejś dalekiej wyspie. Przez myśl przemknął mu fragment Apokalipsy, jego ulubionej księgi Pisma świętego, z której często cytował podczas kazań: „I wszyscy królowie ziemi i możnowładcy, i wodzowie, i bogacze, i mocarze, i wszyscy niewolnicy i wolni ukryli się w jaskiniach i w skałach górskich... albowiem nastał ów wielki dzień Jego gniewu; i któż się może ostać?"

Buck podniósł kubek do ust, ale kawa jakby straciła smak, odstawił go więc z powrotem. Od dawna wierzył, że ujrzy koniec świata jeszcze za swego życia. I zawsze wierzył w znaki. Być może ten był po prostu bardziej wyraźny od innych.

Może był rzeczywiście dobitny.

Apokalipsa, rozdział dwudziesty drugi: „I oto przyjdę wkrótce.

Czyżby to było to, na co czekał przez te wszystkie lata? Czyż nie

jest powiedziane w Apokalipsie, że ludzie źli, ci ze znakiem bestii na czołach, będą zabrani pierwsi, zginą w kolejnych falach rzezi? Zaledwie kilku, tu i ówdzie. Tak się to zacznie.

Przeczytał artykuł po raz drugi. Nowy Jork. Więc tam się zacznie. Oczywiście, że tam. Dwóch zostało zabranych. Tylko dwóch. Bóg w ten sposób przesyła wieść swoim wybrańcom, aby oni z kolei mogli głosić konieczność pokuty i żalu za grzechy, dopóki jeszcze czas. Gniew Pana nigdy nie spadnie na ziemię bez ostrzeżenia. „Niech ci, co mają uszy, słyszą...”

„I oto przyjdę wkrótce.

Ale Nowy Jork? Buck nigdy nie wytknął nosa za Missisipi, nigdy nie był w mieście większym od Tucson. Dla niego Wschodnie Wybrzeże, a już zwłaszcza Nowy Jork, było Babilonem, obcym, niebezpiecznym, bezdusznym krajem, od którego za wszelką cenę należy się trzymać z daleka. Czy tak miało być? Czy to naprawdę znak? I co jeszcze ważniejsze, czy on sam był powołany? Czy to było wielkie wezwanie od Boga, na które czekał? No i czy ma w sobie dość odwagi, by na nie odpowiedzieć?

Przed zajazdem rozległ się syk pneumatycznych hamulców. Buck podniósł wzrok i ujrzał zatrzymujący się poranny autobus Greyhounda, ekspres krajowy jadący autostradą I-10. Tablica nad przednią szybą oznajmiała cel podróży.

Nowy Jork.

Buck wyszedł z baru i podszedł do autobusu akurat w chwili, kiedy kierowca już chciał zamykać drzwi.

- Przepraszam! - powiedział. Kierowca spojrzał pytająco. - O co chodzi?

- Ile kosztuje bilet w jedną stronę do Nowego Jorku?

- Trzysta dwadzieścia dolarów. Gotówką.

Buck zaczął szperać w portfelu, wyciągając wszystkie pieniądze, cały doczesny majątek. Liczył je uważnie, podczas gdy kierowca ze zmarszczonym czołem, niecierpliwie stukał palcami o kierownicę.

Miał dokładnie trzysta dwadzieścia dolarów.

Kiedy autobus ruszał z Yumy w dalszą drogę, wielebny Buck siedział na tylnej kanapie, za jedyny bagaż mając wczorajszy egzemplarz „New York Post”.

Vasquez odsunął się od okna, włożył sklejkę na miejsce, włączył osłoniętą lampkę, po czym przeciągnął się na stojąco. Właśnie minęła północ. Zakręcił głową w jedną stronę, potem w drugą, by pozbyć się nieprzyjemnego skurczu mięśni szyi. Pociągnął solidny łyk wody, ocierając usta wierzchem dłoni. Mimo kilku niespodzianek operacja przebiegała pomyślnie. Cel, jak się okazało, miał wyjątkowo nieregularny rozkład dnia, wychodził z domu i wracał o nieprzewidywalnych porach - z jednym wyjątkiem. Każdej nocy około pierwszej wychodził, szedł na drugą stronę Riverside Drive na wysokości Sto Trzydziestej Siódmej Ulicy i spacerował po parku Riverside. Wracał zawsze po mniej więcej dwudziestu minutach. Wyglądało to na żelazny punkt wieczoru; rundka wokół domu, przechadzka na dobry sen.

Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin Vasquez zorientował się, że ma do czynienia z człowiekiem zdolnym i inteligentnym, ale też wyjątkowo dziwnym. Jak zwykle nie bardzo wiedział, jakim sposobem doszedł do takich wniosków, ale rzadko się mylił w ocenie ludzi i ufał instynktowi. Ten człowiek nie był przeciętny. Wyróżniał się już samym wyglądem: czarny garnitur, alabastrowa cera, szybki, bezszelestny chód, bardziej koci niż ludzki. Coś w jego ruchach zdradzało absolutną pewność siebie. Poza tym każdy, kto w samym środku nocy urządza sobie spacerki po parku Riverside, musi być

albo stuknięty, albo uzbrojony, więc człowiek ten bez wątplenia dysponował doskonałą bronią i wiedział, jak jej używać. Dwa razy zauważył, że ludzie z ulicznego gangu, którzy wystawali po bramach, cichutko znikali, kiedy cel pojawiał się na podjeździe. Wiedzieli, kiedy lepiej się nie wychylać.

Vasquez oderwał kawałek suszonego teriyaki i zaczął wolno żuć, przeglądając notatki. Wyglądało na to, że dom ma czworo mieszkańców: Pendergasta, kamerdynera, starszą gospozię, którą widział tylko raz, i młodą kobietę lubiącą długie, staroświeckie suknie. Nie córkę ani kochankę Pendergasta - na to zachowywali się wobec siebie zbyt oficjalnie. Być może była kimś w rodzaju asystentki. Dom odwiedzał regularnie tylko jeden gość: łysiejący policjant z lekką nadwagą, z naszywką komisariatu w Southampton na ramieniu. Za pomocą laptopa i bezprzewodowego modemu Vasquez z łatwością odkrył, że to niejaki sierżant Vincent D'Agosta. Wyglądał na prostolinijnego, konkretnego i solidnego, na kogoś, na kim można polegać i kto rzadko może czymś zaskoczyć.

Dogodną porą na wykonanie zadania był oczywiście czas wieczornego spaceru. Cel należało załatwić w chwili, kiedy pojawi się na półkolistym podjeździe. Vasquez wielokrotnie to rozważał, rozpracowując geometrię śmierci. Jeżeli pierwsza kula wejdzie w głowę skośnie, jej tor zostanie lekko odchylony przez wewnętrzną krzywiznę czaszki, więc wyjdzie pod innym kątem. Moment obrotowy wywołany przez niecentralne trafienie spowoduje, że cel okręci się wokół własnej osi. W efekcie kąt rozprysku krwi i mózgu z rany wyjściowej zasugerują, że zabójca strzelał z okna położonego gdzieś dalej wzdłuż ulicy. Druga kula uderzy w cel już podczas



upadku, wywołując dodatkowy obrót. Pozycja ciała będzie myląca, zasugeruje atak z innej strony, z dołu ulicy. On w każdym razie znajdzie się poza budynkiem, na Sto Trzydziestej Szóstej, praktycznie zanim ciało dotknie ziemi. Pięć minut drogi do kolejki na Broadway, i tyle go widzieli. Nikt go nie zauważył - ot, jeszcze jeden licho ubrany portorykański cwaniaczek wracający do domu po kolejnym dniu podejrzanych zajęć.

Vasquez odgryzł następny kawałek suszonego mięsa. Nie był pewien, skąd się brało uczucie, że jest gotowy, ale zawsze wiedział, kiedy nadchodził czas zabijania. Do pierwszej pozostało czterdzieści minut i czuł, że to się stanie dzisiaj. Przez dwie kolejne noce Pendergast wychodził dokładnie o pierwszej. Vasquez był pewien, że wyjdzie i tym razem. To właśnie ta noc.

Zdjął ubranie i włożył kostium do ucieczki - góra od dresu rozpięta do połowy, złoty łańcuch, szpanerskie tenisówki, cienki wąsik, telefon komórkowy - zmieniając się w typowego drobnego kanciarza z hiszpańskiego Harlemu.

Zgasił lampkę, odsłonił otwór strzelniczy i ustawił się na pozycji. Przytulił policzek do kompozytowej kolby - nie namakała i nie paczyła się w żadnych warunkach atmosferycznych - i uważnie ustawił lufę w miejscu, gdzie pojawi się głowa celu, tuż za ceglano-marmurową ścianą wspierającą łuk bramy. Cel zawsze tam przystawał, by zamienić parę słów z kamerdynerem i upewnić się, że porządnie zamknie drzwi. Trwało to dziesięć do dwudziestu sekund; cała wieczność dla takiego strzelca jak Vasquez.

Przygotowując sprzęt, poczuł słabe ukłucie niepokoju. Już wcześniej się zastanawiał, czy wszystko nie jest przypadkiem

odrobinę za łatwe. Spacer o pierwszej w nocy, krótki przystanek - wydawało się to aż nazbyt doskonałą okazją. Czy ktoś go wrabiał? Może cel wiedział o jego istnieniu? Vasquez potrząsnął głową, uśmiechając się ponuro. Zawsze miewał takie napady paranoi przed zabójstwem. Obiekt w żaden sposób nie mógł wykryć jego obecności. Co więcej, już wiele razy się wystawiał. A gdyby wiedział, że obserwuje go snajper, to takie celowe wystawianie się na atak wymagałoby zimnej krwi, jaką ma niewiele istot ludzkich. Vasquez miał już sporo okazji, żeby go czysto zdjąć. Po prostu nie czuł się jeszcze gotowy.

Teraz - owszem.

Wolno i starannie przyłożył oko do okularu lunety. Miała wbudowany osłabiacz odrzutu i była już ustawiona odpowiednio do aktualnej siły wiatru. Wszystko gotowe. Spojrzał przez celownik. Krzyż znajdował się tam, gdzie cel zwykle zatrzymywał się po wyjściu zza drzwi. Robota będzie szybka i czysta, jak zawsze. Kamerdyner, świadek, wezwie policję, ale Vasquez zdąży zniknąć. Oczywiście, znajdą jego kryjówkę, ale nie na wiele im się to przyda. Mieli już jego DNA - i też na nic się to nie zdało. Vasquez będzie wtedy sącył u siebie lemoniadę na plaży.

Czekał, wpatrując się w wyjście z budynku przez lunetę. Minuty mijały. Za pięć pierwsza. Za trzy Pierwsza.

Drzwi się otworzyły i cel wyszedł na zewnątrz, punktualnie o czasie. Zrobił kilka kroków, odwrócił się, zaczął rozmawiać z kamerdynerem.

Karabin był już wycelowany. Delikatnie i równo palec Vasqueza zaczął zwiększać nacisk na spust.

W nocnej ciszy rozległ się słaby trzask i w głębi ulicy błysnęło białe światło, a potem nastąpił brzęk tłuczonego szkła. Vasquez się zawahał, odwracając wzrok od celu, ale to po prostu przepaliła się żarówka w jednej z latarni, często się tak zdarzało - a może jakiś początkujący chuligan trenował z wiatrówką.

Jednak chwila minęła i cel szedł już przez jezdnię w stronę parku.

Vasquez odsunął się od karabinu, czując, jak z wolna opada w nim napięcie. Zmarnował szansę.

Może powinien go zdjąć w czasie powrotu? Nie, zawsze tak szybko wchodził w bramę, że trudno było liczyć na ten idealny, niecentralny strzał. Nieważne. Po prostu jeszcze nie było mu pisane. Tyle, jeśli chodzi o obawę, że wszystko idzie zbyt gładko.

Spędzi więc w kryjówce kolejne dwadzieścia cztery godziny. Nie zamierzał narzekać. Dwa miliony dolarów stanowiły równie dobrą zapłatę za trzy dni roboty jak za dwa.



D'Agosta jechał na tylnym siedzeniu rollsa w milczeniu. Prowadził Proctor, Pendergast siedział obok niego, z przodu, gawędząc o Boston Red Sox, co było najwyraźniej jedynym tematem interesującym Proctora, przy czym Pendergast, jak się zdawało, miał w nim jakimś cudem pełne rozeznanie. Rozważali jakiś niuans z zakresu statystyki mistrzostw ligowych z 1916 roku, co ogłupiło nawet D'Agostę, który uważał się za fana bejsbolu.

- Powiedz mi jeszcze raz, gdzie spotykamy się z tym Beckmannem? - przerwał im D'Agosta.

Pendergast spojrział do tyłu. - Jest w Yonkers.

- Myślisz, że będzie z nami rozmawiał? Bo rozumiesz, Cutforth i Bullard nie byli chętni do współpracy.

- Ufam, że będzie najbardziej wymowny.

Pendergast podjął przerwana dyskusję, a D'Agosta skupił się na widoku za oknem, zastanawiając się, czy wypełnił już wszystkie niezbędne papiery dotyczące wczorajszej rozróby z Chińczykami. Ta sprawa przyczyniała mu więcej papierkowej roboty niż jakakolwiek inna. A może to tylko te nowe bzdurne przepisy, które ograniczały swobodę? Wydawało się, że Pendergast nigdy nie zajmuje się papierami; D'Agosta był ciekaw, czy agent potrafił jakimś sposobem wznieść się ponad tak ziemskie szczegóły, czy po prostu całą noc spędził na wypisywaniu formularzy.

Rolls opuścił Manhattan przez most Willis Avenue i wśród porannego sobotniego ruchu na drodze Majora Deegana zmierzał teraz na północ. Wkrótce zjechali na Mosholu Parkway i dotarli do wewnętrznego pierścienia przedmieść, które składały się na dolny pas hrabstwa Westchester. Pendergast jak zwykle był powściągliwy w kwestii wyjaśnień, dokąd jadą. Piaskowe domy komunalne, starzejące się zabudowania przemysłowe i ciąg stacji benzynowych mignęły za oknem rozmazane. Po mili czy dwóch wjechali w Yonkers Avenue. D'Agosta rozsiadł się z westchnieniem. Yonkers, miasto o najbrzydszej nazwie w Ameryce. Co Beckmann tu robił? Może miał jakiś ładny dom z widokiem na Hudson; sam słyszał gadanie o rekultywacji terenów nad rzeką.

Ale nie kierowali się w stronę rzeki. Zamiast tego rolls skręcił na wschód, w kierunku Nodine Hill. D'Agosta bez zainteresowania przyglądał się mijanym znakom. Ulica Prescott. Ulica Wiązowa. Nie było tam, zdaje się, ani jednego wiązu, tylko usychające miłorzęby, które nieznacznie łagodziły widok nędznych domów. Im dalej jechali, tym nędzniejsza robiła się okolica. Teraz na gankach zalegali pijacy i ćpuny, z przelotnym zainteresowaniem odprowadzający wzrokiem rollsa. Każdy cal przestrzeni pokrywały nieczytelne graffiti - nawet pnie drzew. Niebo miało kolor ołowiu, dzień zaczynał się robić chłodny. Tu i tam mijali puste parcele zarośnięte chwastami albo sumakiem, skrawki dżungli w środku miasta.

- Tu na lewo, proszę.

Proctor skręcił w ślepią ulicę i spokojnie stanął przed ostatnim budynkiem. D'Agosta wysiadł, Proctor został w samochodzie.

Zamiast wejść do kamienicy, Pendergast poszedł na koniec uliczki,

do wysokiego na dwanaście stóp muru z pustaków, oczywiście zabazgranego graffiti. W ścianę wmontowano żelazne drzwi nabijane starymi ćwiekami, pokryte zaciekami i łuską rdzy.

Pendergast nacisnął klamkę, potem nachylił się, żeby zbadać zamek. Wydobył z kieszeni latarkę wielkości ołówka i zaświecił w dziurkę od klucza, wpychając tam nieduże metalowe narzędzie.

- Chcesz otworzyć? - zapytał D'Agosta.

Pendergast się wyprostował. - Oczywiście. - Wyjął pistolet i strzelił w zamek raz, drugi, ogłuszający huk przetoczył się ulicą jak grzmot.

- Jezu, myślałem, że miałeś to otworzyć!

- Otworzyłem. Wytrychem ostatniej szansy - Pendergast schował swoją czterdziestkę piątkę. - To jedyny sposób, żeby otworzyć twardą bryłę rdzy. Te drzwi nie były ruszane przez całe lata. - Uniósł stopę i pchnął. Drzwi uchyliły się z jękiem zardzewiałego metalu.

D'Agosta zajrzał do środka zdumiony. Zamiast na małe zachwaszczone podwórko drzwi prowadziły na ogromną łąkę zarośniętą wysoką trawą, ciągnącą się aż na wzgórze. Co najmniej dziesięć akrów otoczonych rozpadającymi się budynkami. Na pagórku grupa uschłych drzew tworzyła krąg wokół ruin czegoś, co przypominało grecką świątynię; wciąż jeszcze stały cztery doryckie kolumny, dach się zapadł, całość porósł bluszcz. Dokładnie przed sobą mieli coś, co kiedyś było niezbyt szeroką drogą. Teraz zarosła chwastami i sumakiem jadowitym. Rzędy uschłych drzew stały po obu jej stronach, ich pazurzaste gałęzie sięgały prosto w szare niebo.

D'Agosta zadrżał. - Co to jest, jakiś park?

- W pewnym sensie.

Pendergast zaczął wchodzić na wzgórze, ostrożnie wybierając

drogę między kawałami spękanego od mrozu asfaltu, obchodząc wysokie na cztery stopy zielsko, unikając dotknięcia słupków w kwiatach sumaka. Jeśli odczuwał ból z powodu wczorajszego draśnięcia, nie było tego po nim widać. Po obu stronach za szpalerem drzew zielsko tworzyło istną płataninę: zwały bluszczu, jeżyny, krzaki. Wszystko było żywo zielone, rosło z nienaturalną energią i siłą.

Po przejściu kilkuset stóp Pendergast się zatrzymał, wyjął z kieszeni kawałek papieru, coś sprawdził.

- Tędy.

Poszedł ścieżką odchodzącą od drogi pod kątem prostym. D'Agosta gramolił się za nim, przedzierając się przez sięgające mu do piersi zarośla, jego mundur zaczął się pokrywać pyłkiem. Pendergast szedł powoli, zerkając na prawo i lewo, raz na jakiś czas porównując kierunek z trzymanym w rękę rysunkiem. Wydawało się, że coś liczy D'Agosta po chwili zorientował się, co takiego: niemal niewidzialne pod zielskiem znajdowały się tu rzędy płaskich, szarych płyt z granitu ustawionych na ziemi, każda z nazwiskiem i dwiema datami.

- Cholera, jesteśmy na cmentarzu! - stwierdził D'Agosta.

- Dokładnie mówiąc, w miejscu pochówku ubogich, zapomnianych i szaleńców. Sosnowa trumna, dziura na sześć stóp, granitowy nagrobek i dwuminutowa mowa pogrzebowa, wszystko dzięki uprzejmości stanu Nowy Jork. Zamknięto go dziesięć lat temu.

D'Agosta gwizdnął. - A Ranier Beckmann?

Pendergast nie odpowiedział. Szedł przez bujne krostawce, wciąż licząc. Nagle zatrzymał się przed kawałkiem granitu nieróżniącym się niczym od pozostałych. Wsunął stopę i odgarnął zielsko.

# RANIER BECKMANN

## 1952-1995

Ze wzgórza powiał chłodny wiatr, kołysząc chwastami jak łańcem zboża. Rozległ się odległy grzmot.

- Nie żyje! - wykrzyknął D'Agosta.

- Właśnie. - Pendergast wyjął komórkę i wybrał numer. - Sierżant Baskin? Zlokalizowaliśmy grób, o który chodzi, i jesteśmy gotowi do ekshumacji. Mam tu wszystkie papiery z sądówki. Będziemy na pana czekać.

D'Agosta się roześmiał. - Wiesz, Pendergast, potrafisz urządzać spektakl.

Agent z trzaskiem zamknął telefon. - Nie chciałem ci mówić, dopóki sam się nie upewnię, a do tego musiałem znaleźć grób. Ilość danych na temat pana Beckmanna była żałośnie skromna. A ta odrobina, którą zdołałem odkryć, podejrzana. Jak widzisz, nawet na nagrobku zrobili błąd w nazwisku.

- Ale twierdziłeś, że Beckmann będzie „najbardziej wymowny”.

- I będzie. Martwi nie mówią, ale ich ciała często potrafią opowiedzieć całe historie. I sądzę, że ciało Raniera Beckmanna ma nam sporo do powiedzenia.



Locke Bullard stał na pomoście nawigacyjnym „Burzowej Chmury”. Powietrze było świeże i ostre, ocean gładki jak lustro. Świat ograniczony do elementów podstawowych. Statek drżał mu pod stopami, owiewała go chłodna bryza, pruli na wschód, w stronę Europy, z największą szybkością.

Bullard opuścił cygaro i zapatrzył się przed siebie, w punkt, gdzie niebo spotykało się z oceanem; kostki dłoni zaciśniętej na relingu miał białe. Tego czystego jesiennego dnia naprawdę wydawało się, że to brzeg świata, za którym statek pożegluje w bezkresną przestrzeń zapomnienia. Coś w nim chciało takiego końca, chciało po prostu porzucić świat i mieć to z głowy.

Właściwie mógł to teraz zrobić; mógł pójść na rufę i ześlizgnąć się do wody. Tylko steward zauważyłby jego nieobecność, a i to pewnie dopiero po pewnym czasie; większą część podróży Bullard spędził zamknięty w kabinie, posiłki mu przynoszono, nikogo nie widywał.

Bullard czuł, że się trzęsie, wszystkie mięśnie napięte, całe ciało reagowało na potężne emocje, okropną mieszankę wściekłości, żalu, przerażenia i zdumienia. Ledwie mógł uwierzyć w to, co się stało, co doprowadziło go do tego punktu - tu, na środek Atlantyku, gdy podążał na wschód w tak fatalnej sprawie. Nawet milion lat planowania strategii biznesowych - całe to snucie intryg, przygotowania na każdą ewentualność - nie byłby w stanie

przygotować go na coś takiego. Przynajmniej zdołał się pozbyć tego asa w rękawie FBI - jeżeli Vasquez jeszcze nie skończył roboty, niedługo zakończy.

A jednak to słaba pociecha.

Kątem oka wychwycił ślad ruchu. Szczupła sylwetka stewarda z szacunkiem czekającego przy luku, kołysząca się w rytm ruchu statku. - Proszę pana? Wideokonferencja zacznie się za trzy minuty.

Bullard skinął głową, ponownie spojrzął w stronę horyzontu, charknął, zbierając porcję flegmy, i posłał ją w błękitną dal. Za nią poleciało cygaro. Potem odwrócił się i zszedł na dół.

Sala wideokonferencyjna była mała, zaprojektowana tylko dla niego. Technik - czemu to zawsze musiał być typek o szczurzej urodzie, z kozią bródką? - garbił się nad klawiaturą. Kiedy Bullard wszedł, wstał, z pośpiechu uderzając głową w gródź. - Wszystko gotowe, proszę pana. Trzeba nacisnąć...

- Wynocha.

Pracownik wyszedł, zostawiając Bullarda samego. Zamknął za nim drzwi, Wklepał hasło, zaczekał na zarejestrowanie, wstukał następne. Ekran zamigotał i ożył; podzielony pośrodku, mieścił dwa obrazy: szefa Bullard Aerospace Industries we Włoszech, Martinettiego, i Chaita, jego człowieka w Stanach.

- Jak poszło wczoraj? - zapytał Bullard.

Po przelotnym wahaniu zorientował się, że coś się spieprzyło.

- Goście przynieśli fajerwerki. Była impreza. Bullard skinął głową. Trochę się tego spodziewał.

- Kiedy się zorientowali, że nie będzie tortu, zaczęły się tańce. Williams musiał nas nagle opuścić. Wszyscy goście wyszli razem z

nim.

Więc Chińczycy zabili Williamsa i w zamian odstrzelono im tyłki.

- Jeszcze jedno. Mieliśmy nieproszonych gości.

Bullard poczuł nagły ucisk. A to kto, do cholery, zorganizował? Pendergast? Chryste, Vasquez się nie spieszył, a czas był cenny. Bullard nigdy do tej pory nie spotkał tak niebezpiecznego człowieka. Ale jeśli to Pendergast, skąd się dowiedział? Pliki w zajętych komputerze były znakomicie zaszyfrowane, nie ma mowy, żeby zdołali złamać szyfr.

- Wszyscy pozostali bezpiecznie dotarli do domu.

Bullard ledwie go słyszał. Wciąż się zastanawiał. Albo mieli telefony na podsłuchu, albo federalni znaleźli informatora wśród piątki jego najwyżej postawionych ludzi. Raczej to pierwsze. - Być może na drzewie jest ptaszek - powiedział, używając wcześniej ustalonego szyfru, który oznaczał podsłuch.

Po tym stwierdzeniu zapadła cisza. Cholera, prawie go to nie obchodziło. Zwrócił się do włoskiego dyrektora. - Obiekt jest gotowy i spakowany do drogi?

- Tak jest. - Mężczyzna mówił z wysiłkiem. - Czy mogę zapytać dlaczego?

- Nie, do ciężkiej cholery, nie możesz! - Bullard poczuł, że gwałtownie ogarnia go gniew, to było jak atak, coś poza kontrolą. Zerknął na Chaita. Ten słuchał z twarzą pozbawioną wyrazu.

- Ależ...

- Nie zadawaj mi żadnych pytań. Zabiorę obiekt, kiedy przyjadę, i to wszystko. Nigdy więcej nie będziesz rozmawiał na ten temat ani ze mną, ani z nikim innym.

Mężczyzna zbladł i przełknął ślinę, jabłko Adama skoczyło w górę i w dół. - Po wykonaniu takiego ogromu pracy i podjęciu takiego ryzyka mam prawo wiedzieć, dlaczego ucina pan projekt. Pytam z całym szacunkiem, jako szef operacji. Mam na celu tylko dobro firmy...

Bullard czuł, że wściekłość wzbiera w nim jak płomień, tak gwałtowna, że mogłaby wysuszyć szpik w kościach. - Ty sukinsynu, co ci właśnie powiedziałem?

Martinetti umilkł. Chait nerwowo strzelał oczyma na boki. Zastanawiał się, czy może szefowi odbija. Pytanie wydawało się całkiem uzasadnione.

- Firma to ja - ciągnął Bullard. - Ja wiem, co jest dla firmy dobre, a co nie. Wspomnij o tym jeszcze raz i ti facdo fuori, bastardo. Zabiję cię, bękarcie.

Wiedział, że żaden szanujący się Włoch nie zniesie takiej obelgi. Miał rację. - Proszę niniejszym przyjąć moją rezygnację...

- Rezygnuj, skurwysynu, rezygnuj! Jeden kłopot mniej! - Bullard walnął pięścią w klawiaturę, a potem jeszcze raz i jeszcze raz. Przy piątym razie ekran się w końcu wyłączył.

Bullard długo siedział w ciemnym pokoju. Więc federalni spodziewali się ich w Paterson. Co oznaczało, że wiedzieli o planowanym transferze technologii raketowej. Kiedyś byłaby to, katastrofa, teraz fakt niemal bez znaczenia. W ostatniej chwili wycofali się z przestępstwa. Federalni głównie mieli i tak miało zostać. BAI była czysta. Nie żeby go to obchodziło, miał teraz ważniejsze sprawy na głowie.

Prawda była taka, że federalni nie wiedzieli, co się działo

naprawdę. Wymknął się w samą porę. Grove i Cutforth - Grove i Cutforth, a może i Beckmann. Musieli umrzeć, to było nieuniknione. Ale on nadal żył i to się liczyło.

Zorientował się, że za szybko oddycha. Chryste, potrzebował powietrza. Potykając się, wstał z za konsoli, otworzył drzwi, wspiął się po schodach. W jednej chwili znów stał na pomoście nawigacyjnym, wpatrując się w błękitną pustkę na wschodzie.

Gdyby tylko mógł po prostu pożegłować poza krawędź świata.



D'Agosta usłyszał odległy skrzek radia i wbił wzrok w gęste zarośla. Z początku przez bujne zielsko niczego nie widział, ale kilka minut później zobaczył mignięcie srebra, przebłyski błękitu. W końcu w polu widzenia zjawił się gliniarz - tylko głowa i ramiona widoczne znad zarośli - przedzierający się przez paprocie. Nadchodzący zobaczył go, odwrócił się. Za nim szło dwóch medyków niosących plastikowy niebieski pojemnik na zwłoki. Dalej dwóch ludzi w kombinezonach taszczących, rozmaite ciężkie narzędzia. Na końcu fotograf.

Gliniarz przeszedł bokiem przez ostatnie zarośla - miejscowy, sierżant z Yonkers, niski i rzeczowy - i stanął przed nimi.

- Pendergast?

- Tak. Miło mi pana poznać, sierżancie Baskin.

- Jasne. To grób?

- Tak. - Pendergast wyjął z marynarki jakieś papiery. Gliniarz przejrzał je uważnie, zaparafował, oderwał kopie i oddał oryginały. - Przepraszam, muszę sprawdzić wasze dokumenty.

Pendergast i D'Agosta pokazali odznaki.

- W porządku. - Policjant odwrócił się do pracowników w kombinezonach, którzy zajęci byli odkładaniem sprzętu. - Wasza kolej, chłopaki.

Energicznie zabrali się do groby, podważając łomami płytę i

odsuwając na bok. Oczyszczili teren zakrzywionymi motykami, a potem rozłożyli kilka dużych brudnych płacht. Następnie zaczęli wycinać darń i układać ją w stertach jak cegły.

D'Agosta odwrócił się do Pendergasta. - Więc jak go znalazłeś?

- Od razu wiedziałem, że musi być martwy, i założyłem, że przed śmiercią był albo bezdomny, albo psychicznie chory - jedyne wytłumaczenie, dlaczego pozostał tak nieuchwytny w dobie internetu. Ale znalezienie czegoś więcej okazało się bardzo trudnym zadaniem nawet dla mojego współpracownika Mime'a, który - jak wspominałem - posiada rzadki talent do zdobywania ukrytych informacji. W końcu dowiedzieliśmy się, że Beckmann ostatnie lata spędził na ulicy, czasem pod fałszywymi nazwiskami, krążąc między tanimi noclegowniami a przytułkami dla bezdomnych w okolicach Yonkers.

Darń została usunięta i robotnicy zaczęli kopać, szpadle kolejno wgryzały się w ziemię. Medycy stali z boku, rozmawiali i palili. W oddali zagrzmiało i zaczął padać słaby deszcz, krople spadały na bujną zieloność dookoła.

- Wygląda na to, że pan Beckmann zapowiadał się obiecująco - ciągnął Pendergast. - Ojciec dentysta, matka gospodyni domowa. Najwyraźniej błyskotliwy w college'u. Oboje jego rodzice zmarli, kiedy był na trzecim roku. Po skończeniu szkoły Beckmann chyba nie umiał się zdecydować, czego chce od życia. Przez jakiś czas włóczył się po Europie, potem wrócił do Stanów i sprzedawał jakieś drobiazgi na pchlich targach. Był pijakiem, który wpadł w alkoholizm, ale jego problemy należały raczej do psychicznych niż fizycznych - zagubiona dusza, która nie umiała znaleźć dla siebie drogi. Ten budynek był

jego ostatnim miejscem zamieszkania. - Pendergast wskazał na jeden z niszczących domów wokół cmentarza.

Ciach, ciach, pracowały szpadle. Kopiający świetnie wiedzieli, co robią. Każdy ruch był oszczędny, niemal maszynowy w swej precyzji. Brązowa dziura stawała się coraz większa.

- Jak umarł?

- Świadectwo zgonu stwierdza raka płuc z przerzutami. Nieleczzonego. Niedługo dowiemy się prawdy

- Nie wierzysz, żeby to był rak płuc?

Pendergast uśmiechnął się sucho. - Jestem sceptycznie nastawiony.

Szpadel zadudnił o przegniłe drewno. Mężczyźni uklękli i za pomocą murarskich pacek zaczęli czyścić z ziemi wieko zwykłej trumny, odsłaniając jej narożniki i wyrównując brzegi dziury D'Agosta miał wrażenie, że trumna mogła być zakopana na głębokości najwyżej trzech stóp. To tyle, jeśli chodzi o przepisowe sześć stóp - typowe rządowe zagranie, narznąć wszystkich, nawet nieboszczyka.

- Zdjęcie poproszę - odezwał się sierżant z Yonkers.

Grabarze wyszli na górę, czekając, aż fotograf przykucnie na brzegu i strzeli kilka fotek pod różnymi kątami. Potem weszli z powrotem do grobu, rozwinęli nylonowe pasy, wsunęli pod trumnę i końce wyrzucili na górę.

- Okej. Podnosić.

Przyłączyli się do nich medycy. Wkrótce cała czwórka wyciągnęła trumnę z grobu i ustawiła na wolnej płachcie. Intensywnie pachniało ziemią.



- Otworzyć - powiedział sierżant, człowiek małomówny.
- Tutaj? - zapytał D'Agosta.
- Takie są przepisy. Trzeba sprawdzić i się upewnić.
- O czym upewnić?
- Wiek, płeć, ogólny stan... I, co najważniejsze, czy w ogóle jest ciało.
- Jasne.

Jeden z pracowników odwrócił się do D'Agosty. - To się zdarza. W zeszłym roku wyciągaliśmy sztywnego w Pelham i wie pan, co znaleźliśmy?

- Co? - D'Agosta był całkiem pewien, że nie chce tego wiedzieć.
- Dwóch sztywnych - i martwą małpę! Pewnie jakiś kataryniarz zadarł z mafią. - Parsknął śmiechem i trącił łokciem kumpla, który też się roześmiał.

Ludzie od ekshumacji zabrali się teraz do wieka, podważając je dłutami. Drewno było tak przegniłe, że szybko ustąpiło. Gdy odstawili wieko, uniósł się zaduch zgnilizny, pleśni i formaliny. D'Agosta zajrzał, niezdrowa ciekawość walczyła w nim z mdłościami, których nigdy nie zdołał w pełni opanować.

Zwłoki leżały z rękoma złożonymi na piersi na wyściółce z gnijącej tkaniny, spod której wyłaziło wypełnienie. Dno pokrywała wielka plama zaschniętych płynów, jak po rozlanej kawie. Ciało zapadło się pod wpływem procesu rozkładu i wydawało się spłaszczone, jakby całe powietrze uciekło wraz z życiem, zostawiając tylko skórę zakrywającą kości. Przez czarne rozpadające się sukno wystawały różne kościste wypukłości: kolana, łokcie, miednica. Ręce były brązowe i wąskie, paznokcie się łuszczyły, końce kości palców

wystawały przez skórę. Po oczach zostały zapadnięte dziury, usta się wykrzywiły, a wargi uniosły w czymś w rodzaju warknięcia. Beckmannowi daleko było do etapu szkieletu.

Gliniarz nachylił się, badając ciało. - Mężczyzna rasy białej, jakieś pięć... - Wyjął taśmę mierniczą. - Równych sześć stóp, włosy brązowe. - Wyprostował się. - Z grubsza w porządku.

„Z grubsza, dobrze powiedziane”, pomyślał D'Agosta, spoglądając na Pendergasta. Mimo odrażającego rozkładu jedno było jasne: Beckmann nie doświadczył przerażającego, brutalnego losu, jaki spotkał Grove'a i Cutforth'a.

- Zabierzcie go do kostnicy - mruknął Pendergast. Gliniarz podniósł na niego wzrok.

- Chcę mieć kompletną sekcję - stwierdził agent. - Chcę wiedzieć, jak ten człowiek naprawdę umarł.



Bryce Harriman wszedł do biura Ruperta Rittsa, redaktora naczelnego „Post”, i zastał szefa, paskudnego typka o rysach gryzonia, stojącego za wielkim biurkiem z uśmiechem, który jakże rzadko gościł na tej chudej twarzy.

- Bryce, stary! Siadaj, siadaj!

Ritts nigdy nie mówił cicho. Miał wysoki głos, który zdawał się przeszywać rozmówcę na wylot. Można by pomyśleć, że był przygłuchy, gdyby nie to, że jego czujne uszka zdawały się wychwytywać najlżejszy szept z najdalszego końca sali, zwłaszcza gdy dotyczył jego osoby. Niejeden redaktor wyleciał z pracy, gdy szef usłyszał - z odległości dwustu jardów, i to przez hałaśliwą salę redakcyjną - wyszeptane przez niego przezwisko Szczurek. Ksywka była oczywista, ale wkurzała Rittsa do białości. Harriman przypuszczał, że w dzieciństwie dzieciaki musiały nazywać go tak jak dzień długi i nigdy tego nie zapomniał. Nie lubił Rittsa, jak zresztą niemal wszystkiego w „New York Post”. Praca tutaj sprawiała, że czuł wstyd, zwyczajny wstyd.

Poprawił krawat, usiłując w miarę wygodnie usiąść na twardym drewnianym krześle, którym Ritts torturował swoich reporterów. Naczelnny obszedł biurko i przysiadł na krawędzi, zapalając lucky strike'a. Bez wątpienia miał się za twardziela ze starej szkoły: mocne drinki, mocne słowa, papieros w kąciku ust. Fakt, że palenie w pracy

było teraz nielegalne, chyba jeszcze bardziej go kręcił. Harriman podejrzewał, że trzyma w szufladzie flaszkę taniej whisky i kieliszek do wódki. Czarne poliestrowe spodnie, znoszone brązowe buty, niebieskie skarpetki, akcent z Flatbush. Ritts uosabiał wszystko, przed czym rodzina usiłowała uchronić Harrimana, posyłając go do prywatnej szkoły, dając szansę na studia na jednej z uczelni Ivy League.

No i proszę. Właśnie Ritts był szefem.

- Ta historia z Menckiem jest cudowna, Harriman. Pieprzona perełka!

- Dziękuję panu.

- To był prawdziwy przebłysk geniuszu, stary, dopaść tego faceta na dzień przed wyjazdem na Wyspy Dziewicze.

- Galapagos.

- Nieważne. Muszę ci powiedzieć, że kiedy pierwszy raz czytałem ten artykuł, miałem pewne wątpliwości. Uznałem, że to kupa gówna w stylu New Age. Tymczasem rzeczywiście trafił w gust naszych czytelników. Sprzedaż wzrosła o osiem procent.

- To świetnie. - W „Post” wszystko kręciło się wokół nakładu. W sali redakcyjnej „Timesa”, gdzie kiedyś pracował, słowo „nakład” należało do wulgarnych.

- Świetnie? Cudownie, kurwa! O to właśnie chodzi w dziennikarstwie: czytelnicy! Chciałbym, żeby paru innych baranów też wreszcie to pojęło.

Przenikliwy głos ciął powietrze w sali za plecami Harrimana, który poruszył się niespokojnie na krześle.

- Akurat kiedy historia z diabelskimi morderstwami zaczynała

przygasać, wygrzebałeś tego całego Mencka. Muszę ci to przyznać. Wszystkie inne gazety w mieście siedziały, grzebiąc palcem w tyłku, czekając na następne zabójstwo, ale nie ty Ty poszedłeś w miasto i zrobiłeś historię.

- Dziękuję panu.

Ritts wchłonął parę kwart dymu i rzucił niedopałek na podłogę, miażdżąc go czubkiem buta. Leżało tam już ze dwadzieścia innych, dokładnie spłaszczonych. Wypuścił powietrze z głośnym świstem, jakby cierpiał na rozedmę płuc. Zapalił następnego papierosa i spojrzął na Harrimana, mierząc go od stóp do głów.

Harriman znów się poruszył niespokojnie. Coś nie tak z jego ubraniem? Oczywiście, że nie. Była to jedna z rzeczy, w których szkolono go niemal od urodzenia. Wiedział, kiedy co nosić, jaki odcień kurdy-banu jest odpowiedni dla mokasynów. Poza tym Ritts był ostatnim człowiekiem, który mógłby krytykować czyjkolwiek gust pod tym względem.

- „National Enquirer” przedrukował ten artykuł, podobnie „USA Today”, „Regis”, „Good Day New York”. To mi się podoba. Dobrze się spisałeś, Harriman. Na tyle dobrze, żeby dostać stanowisko specjalnego korespondenta w dziale kryminalnym.

Harriman był zdumiony. Nie spodziewał się czegoś takiego. Starał się panować nad mimiką; nie chciał, żeby ktokolwiek widział go z idiotycznym uśmiechem od ucha do ucha, a już na pewno nie Ritts. Skinął głową.

- Bardzo panu dziękuję, panie Ritts. Naprawdę to doceniam.

- Każdy reporter, który podnosi sprzedaż o osiem procent w jednym tygodniu, zostanie doceniony. Do tego podwyżka o dziesięć

tysięcy dolców rocznie, licząc od dzisiaj.

- Jeszcze raz dziękuję.

Redaktor naczelny wydawał się obserwować Harrimana ze źle skrywanym rozbawieniem. Wodził spojrzeniem w górę i w dół, zatrzymując wzrok to na jego krawacie, to na prążkowanej koszuli, to na butach.

- Słuchaj, Harriman, jak powiedziałem, trafiłeś w gust czytelników. Dzięki tobie zgraja wyznawców filozofii New Age i świrów, którzy wierzą w dzień sądu, zaczęła się gromadzić w parku przed domem Cutfortha.

Harriman znów skinął głową.

- To nic wielkiego. Na razie. Zbierają się spontanicznie, palą świece, śpiewają. Nam potrzeba dalszego ciągu. Na początek coś o tych ludziach. Poważna historia, z całym szacunkiem. Artykuł, który da znać wszystkim innym świram, że co dzień odbywa się zlot, na którym ich nie ma. Jeśli dobrze zagramy, możemy przyciągnąć tam niezły tłum. Możemy ściągnąć telewizję. Kto wie, może nawet dojdzie do demonstracji. Rozumiesz, do czego zmierzam? Jak powiedziałem: tu, w „Post”, nie siedzimy na tyłku w oczekiwaniu na wydarzenia, tylko idziemy i je robimy

- Tak, proszę pana.

Redaktor przyjrzał się Harrimanowi zza nowej zasłony dymu.

- Mogę ci dać przyjacielską radę? Tak między nami.

- Pewnie.

- Wyrzucić te rypsowe krawaty i mokasyny. Wyglądasz na cholernego reportera z „Timesa”. Tu jest „Post”. To u nas jest zabawa. Nie chciałbyś chyba wrócić między tych nadętych dupków, co?

Dobra. Teraz zasuwasz pogadać z każdym wymachującym Biblią wariatem. Trafiłeś w sedno, teraz musisz utrzymać ciśnienie, rozbudowywać historię. I wprowadź kilka barwnych postaci. Odszukaj przywódcę tego motłochu.

- A jeśli nie ma żadnego przywódcy?

- To go wymyśl. Postaw go na piedestale, przypnij mu pieprzony medal. Czuję tu coś dużego. I wiesz co? Przez trzydzieści lat się nie pomyliłem.

- Tak, proszę pana. Dziękuję. - Harriman starał się ukryć nutę pogardy w głosie. Zrobi to, czego chce Ritts, ale po swojemu.

Redaktor zaciągnął się mocno papierosem, aż zasyczał tytoń, a potem cisnął niedopałek na podłogę i przydeptał z impetem. Zakaszlał i uśmiechnął się, odsłaniając rząd nierównych zębów, poźółkłych jak ustnik fajki z kukurydzianego kaczana.

- Bierz ich, Harriman! - zachichotał.



Vasquez oderwał kawałek suszonego mięsa z zielonym chili, zżuł go w zamyśleniu i popił wodą z butelki. Wrócił do krzyżówki w londyńskim „Timesie”; zastanowił się nad hasłem, wpisał jakiś wyraz, wymazał jeden z poprzednich, po czym odłożył gazetę.

Westchnął. Zawsze odczuwał lekki smutek pod koniec operacji, kiedy wiedział, że trzeba będzie odejść, że wszystkie przygotowania, plany i cały przytulny świątek, który sobie stworzył, szybko staną się zamierzchną przeszłością, a po jego kryjówce będą deptać i szperać policjanci z fotografami. Z drugiej strony marzyło mu się już słońce, świeże powietrze i szum przyboju na plaży Zabawne, nigdy nie czuł się tak wolny i żywy na otwartej przestrzeni jak w ciasnych kryjówkach, tuż przed zadaniem śmierci.

Ponownie sprawdził cały sprzęt. Popatrzył przez lunetę, minimalnie zrobił poprawkę na wiatr, obejrzał tłumik płomienia. Pozostało już tylko parę minut. Magazynek remingtona mieścił cztery naboje, piąty tkwił w komorze. Vasquez potrzebował tylko dwóch. Znów, jak poprzedniej nocy, rozebrał się i włożył przebranie.

Za pięć pierwsza. Popatrzył z żalem na pokój i wszystko, co będzie musiał w nim zostawić. Ile razy miał okazję dokończyć krzyżówkę z „Timesa”? Przyłożył oko do lunety Minuty płynęły.

Po raz kolejny drzwi do budynku się otworzyły. Vasquez zwolnił rytm oddechu, serce zaczęło mu bić spokojniej. W siatce celownika



pojawiła się głowa i ramiona Pendergasta. Tym razem nie widział kamerdynera, który musiał schować się głębiej w drzwiach, ale najwyraźniej tam był, bo Pendergast stał zwrócony twarzą w tamtą stronę, rozmawiał. Tym lepiej: niecentralny strzał w tył głowy będzie jeszcze trudniejszy do późniejszego analizowania.

Vasquez wstrzymał oddech. Przycisnął policzek do chropowatej kolby i powoli nacisnął spust, wybierając moment między dwoma kolejnymi uderzeniami serca. Karabin podskoczył mu w rękach. W okamgnieniu przeładował broń i strzelił drugi raz.

Pierwsza kula trafiła idealnie. Cel obrócił się dokładnie w przewidziany sposób. Druga nadleciała ułamek sekundy później, wchodząc w czaszkę tuż nad uchem. Głowa rozprysła się na wszystkie strony. Pendergast upadł w cień bramy, znikając z pola widzenia.

Vasquez poruszał się teraz z szybkością nabytą przez lata praktyki. Nie zapalając światła, wrzucił karabin i laptop do torby, przerzucił jej pas przez ramię i nałożył gogle noktowizyjne, które miały mu ułatwić szybkie opuszczenie ciemnego budynku. Zasłonił otwór strzelniczy, podszedł do drzwi i elektrycznym śrubokrętem wykręcił cztery śruby, którymi przymocował skrzydło do futryny. Potem zerwał maskującą taśmę i cicho otworzył drzwi, wysuwając się na korytarz.

Oślepił go błysk światła wzmocniony przez gogle. Zerwał je, drugą ręką sięgając po pistolet, ale napastnik był zbyt szybki. Silne pchnięcie rzuciło Vasqueza plecami na ścianę. Pistolet wypadł mu z ręki i pojechał po podłodze w głąb korytarza.

Vasquez uderzył na oślep, muskając tylko przeciwnika;

natychmiast zainkasował kolejny potężny cios w żebra. Zamachnął się znowu i tym razem trafił dobrze, powalając atakującego. To był ten gliniarz z Southampton. Vasquez z furią wyrwał nóż z pochwy i rzucił się na niego, celując w serce. Z boku wystrzeliła czyjaś stopa; poczuł, jak wbija mu się w przedramię, usłyszał chrupnięcie łamanej kości. Upadł i natychmiast został unieruchomiony.

Gliniarz znalazł się na nim. W korytarzu, ledwo widoczny za snopem jaskrawego światła latarki, stał on. Pendergast. Człowiek, którego przed chwilą zabił.

Snajper wpatrywał się w niego, błyskawicznie porządkując w myśli fakty.

To była pułapka. Musieli od samego początku wiedzieć, co się dzieje. Pendergast odegrał swoją rolę perfekcyjnie. Vasquez strzelał do manekina, filmowego manekina. Matko Boska.

Zawiódł. Zawiódł.

Nie mógł w to uwierzyć.

Pendergast wpatrywał się w leżącego z bliska, marszcząc brwi. Nagle oczy mu się rozszerzyły, jakby zrozumiał.

- Usta! - rzucił ostro.

D'Agosta wepchnął mu między zęby coś drewnianego, jak psu czy epileptykowi. Nic wam to nie da, pomyślał Vasquez. Ból w złamanej ręce zaczynał być dotkliwy. Cyjanek był gdzie indziej. Igła znajdowała się w czubku małego palca, odstrzelonym dawno temu, który został odtworzony, by spełniać nową funkcję. Vasquez zacisnął pięść. Poczuł, jak pęka ampułka. Wbił igłę w skórę. Ból odpłynął, ustępując miejsca odrętwieniu.

„Dzień, w którym zawiodę, będzie dniem, w którym umrę...”





Taksówka stanęła na wielkim dziedzińcu Helmsley Palace. D'Agosta pospiesznie obszedł samochód i otworzył drzwi Hayward, która wysiadła, przyglądając się przystrojonym światełkami drzewom, barokowej fasadzie wznoszącego się dookoła budynku.

- Tu jemy kolację?

D'Agosta skinął głową. - W „Le Cirque 2000”.

- O mój Boże. Kiedy mówiłam o miłej kolacji, nie to miałam na myśli.

D'Agosta ujął ją pod ramię i poprowadził do drzwi. - Czemu nie? Jeżeli mamy coś zacząć, zacznijmy jak należy.

Hayward wiedziała, że „Le Cirque 2000” była chyba najdroższą restauracją w Nowym Jorku. Zawsze czuła się zakłopotana, kiedy mężczyźni wyrzucali góry pieniędzy, jakby to mogło otworzyć drogę do jej serca. Ale tym razem odbierała to inaczej. To mówiło coś o Vinniem D'Agoście, o tym, jak patrzył na ich związek, dobrze wróżyło na przyszłość.

Przyszłość? Zamyśliła się, czemu to słowo w ogóle przyszło jej do głowy. Chodziło o pierwszą randkę - w pewnym sensie. D'Agosta nie był nawet rozwiedziony, miał żonę i dziecko w Kanadzie. To prawda, interesujący, i do tego cholernie dobry glina. „Zachowaj spokój i zobacz, co z tego wyjdzie - i tyle”.

Weszli do restauracji, zatłoczonej mimo niedzieli, i zostali

powitani przez jednego z tych maitre d'hotel, którzy jednocześnie emanują unizoną służalczością i wzgardą. Z żalem musiał ich poinformować, że mimo rezerwacji stolik nie był jeszcze gotowy; gdyby zechcieli rozgościć się w barze, nie powinno to potrwać dłużej niż trzydzieści minut, najwyżej czterdzieści.

- Przepraszam. Powiedział pan czterdzieści minut? - D'Agosta odezwał się cichym, ale groźnym tonem.

- Trwa duże przyjęcie... zobaczę, co uda mi się zrobić.

- Zobaczy pan, co uda się zrobić? - D'Agosta uśmiechnął się i zrobił krok w jego stronę. - Czy pan to robi?

- Zrobię, co w mojej mocy, proszę pana.

- Nie wątpię, że może pan przygotować dla nas stolik w ciągu piętnastu minut i że to właśnie pan zrobi.

- Oczywiście. Naturalnie, proszę pana. - Maitre d'hotel przeszedł do defensywy. - A w tym czasie - ciągnął sztucznie radosnym i pogodnym głosem - każę przysłać państwu butelkę szampana z ukłonami od firmy.

D'Agosta wziął Laurę za rękę i poszli do baru udekorowanego oszłamiającą liczbą neonów, które, jak się domyślała, musiały się tam znajdować, by nadać restauracji „cyrkowy” charakter. Zabawne - jeżeli nie trzeba w takim miejscu spędzić za dużo czasu.

Usiedli, a wkrótce bez dodatkowych próśb pojawił się kelner niosący dwa egzemplarze menu, dwa kieliszki i schłodzoną butelkę Veuve Clicquot.

Roześmiała się. - Niezła skuteczność, poradziłeś sobie z maitre d'hotel.

- Jaki byłby ze mnie glina, gdybym nie potrafił ustawić kelnera?

- Myślę, że spodziewał się napiwku. D'Agosta zerknął na nią. -  
Tak?

- Ale świetnie to rozegrałeś i zaoszczędziłeś trochę pieniędzy  
D'Agosta chrząknął. - Następnym razem dam mu piątkę.

- To byłoby jeszcze gorsze. Obowiązująca stawka wynosi co  
najmniej dwadzieścia.

- Jezu. Skomplikowane to luksusowe życie. - Uniósł kieliszek. -  
Toast?

Podniosła swój.

- Za... - zawahał się. - Za nowojorską policję.

Poczuła ulgę, że nie usłyszała tego, co spodziewała się usłyszeć.  
Stuknęli się. Pociągnęła łyk, obserwując D'Agostę, gdy studiował  
przyniesione przez kelnera menu. Chyba trochę zeszczupłał, odkąd  
wpadła na niego w mieszkaniu Cutfortha. Wspominał coś o  
codziennych ćwiczeniach i widać, nie żartował. Ćwiczył i strzelał na  
strzelnicy dwudziestego siódmego posterunku. Przyglądała się  
zdecydowanej, czystej linii szczęki, czarnym włosom, łagodnym  
brązowym oczom. Miał miłą twarz, naprawdę miłą. Wydawał się  
należać do najrzadszego w Nowym Jorku gatunku rzeczywiście  
porządnych facetów. O ugruntowanych, staroświeckich zasadach,  
pewnego, uprzejmego, stałego - i nie żadnego mięczaka, czego  
dowodziło zaskakujące zachowanie w biurze trzy noce wcześniej...

Poczuła, że jednocześnie się rumieni i czuje mrowienie. Ukryła  
zmieszanie, biorąc do ręki własny egzemplarz menu. Zerknęła na  
listę głównych dań i z przerażeniem zobaczyła, że najtańsze, zraziki z  
okonia morskiego, kosztuje trzydzieści dziewięć dolarów. Najtańsza  
przystawka za dwadzieścia trzy dolary, duszona głowizna i nóżki

wieprzowe (nie, dziękuję). Bez efektu usiłowała znaleźć coś poniżej dwudziestu dolarów, by w końcu dotrzeć do deserów, gdzie wpadła jej w oko pierwsza rzecz - pączek! - za dziesięć dolarów. Cóż, trudno. Przełknęła ślinę i zaczęła wybierać dania, starając się powstrzymać od dodawania kwot w pamięci.

Vincent przeglądał listę win i musiała przyznać, że nie stracił pewności siebie, przynajmniej jeszcze nie. Prawdę mówiąc, wydawał się autentycznie zadowolony.

- Czerwone czy białe? - zapytał.

- Chyba zjem rybę.

- W takim razie białe. Chardonnay Cakebread. - Zamknął menu i uśmiechnął się do niej. - Niezła zabawa, nie uważasz?

- Nigdy w życiu nie byłam w takiej restauracji.

- Prawdę mówiąc, ja też nie.

Gdy piętnaście minut później przygotowano dla nich stół, butelka szampana została w połowie opróżniona i Hayward była kompletnie rozluźniona. Maitre d'hotel usadził ich w pierwszej sali, przestronnej, urządzonej z przepychem w stylu wiktoriańskim, z połączanymi gzymsami, wysokimi oknami z draperiami z jedwabnego brokatu, z kryształowymi żyrandolami. Efekt w ciekawy sposób wzmacniały podwieszane neonowe światła i kilka dekoracji kwiatowych wielkości młodego słonia. Jediną niedogodność stanowiło odbywające się obok przyjęcie, stół zajęty przez głośnych ludzi z jednej z dalszych dzielnic miasta - sądząc po akcencie, z Queens. „Cóż, nie można odprawiać spod drzwi z powodu niewłaściwego akcentu”, pomyślała.

D'Agosta złożył zamówienie i Laurze Hayward ponownie

zaimponowała jego pewność siebie, której się nie spodziewała, a już szczególnie nie w takim miejscu.

- Skąd tyle wiesz o kuchni francuskiej?

- Żartujesz? - uśmiechnął się szeroko. - Zrozumiałem może połowę słów w menu. Improvizowałem.

- Cóż, mnie byś nabrał.

- Może to czas spędzany z Pendergastem. Nabieram ogłady.

Trąciła go lekko. - Czy tam w rogu to nie Michael Douglas?

Odwrócił się. - Aha. - Nie zrobiło to na nim wrażenia.

Kiwnęła głową. - I zobacz, kogo tam mamy. - W cichym kącie samotna kobieta jadła frytki, maczając każdą w sporym naczyniu z ketchupem i wpychając je do ust z nieukrywanym zadowoleniem.

D'Agosta przyjrzał się jej uważnie. - Wygląda jakby znajomo. Kto to?

- Gdzieś ty się podziewał? Madonna.

- Serio? Chyba ufarbowała włosy czy co.

- Byłaby z tego piękna scena w powieści. Może w twojej następnej.

- Nie będzie następnej.

- Czemu nie? Twoje dwie książki były świetne. Masz prawdziwy talent.

Pokręcił głową. - Talent - może. Kłopot w tym, że nie mam szczęścia.

- Szczęścia?

Potarł palcami o siebie. - Do pieniędzy.

- Masa ludzi nie publikuje nawet jednej powieści. Ty wydałeś dwie. I były dobre. Nie możesz tak zupełnie z tego zrezygnować, Vinnie.



Pokręcił głową. - Mówiłem ci kiedyś, że to nie jest mój ulubiony temat?

- Jeśli chcesz, już przestaję. Na razie. Właściwie to chciałam cię o coś zapytać. Wiem, że nie powinniśmy rozmawiać o pracy, ale skąd, do licha, Pendergast wiedział, że ten facet - jak on się nazywał, Vasquez - na niego poluje? Interpol ścigał tego zabójcę od dziesięciu lat i jeśli kogoś można nazwać zawodowcem, to właśnie jego.

- Sam ledwie mogłem uwierzyć, ale kiedy wszystko wyjaśnił, wyszło logicznie. Bullard - bo bez wątpienia on za tym stoi - poczuł się zagrożony do tego stopnia, że wysłał za mną dwóch zbirów po naszym pierwszym przesłuchaniu. Pendergast wywnioskował, że Bullard rozpaczliwie chce wyjechać z kraju i nie pozwoli, żeby cokolwiek mu przeszkodziło. Domyślił się też, że Bullard znowu spróbuje, tym razem za cel biorąc jego. Więc zadał sobie pytanie, jak zrobiłby to zawodowy zabójca. Odpowiedź była oczywista: ustawiliby się w pustym budynku naprzeciwko jego domu, po drugiej stronie ulicy. Więc zaraz po tym, jak zabraliśmy Bullarda do centrum na przesłuchanie, zaczął się przyglądać zabitym oknom w tym budynku przez teleskop. Wkrótce wykrył dziurę świeżo wyciętą w dykcie. Bingo! Wtedy mnie wtajemniczył, powiedział, co planuje. Następnie ustalił pewien schemat zachowań, żeby kontrolować moment ataku.

- A nie bał się wchodzić i wychodzić z domu? Przecież się wystawiał?

- Za każdym razem, kiedy wychodził, Proctor obserwował ten otwór przez teleskop. W krytycznym momencie kazał mi strzelić w latarnię na ulicy. Wtedy rozpoznał broń tego człowieka, no i Pendergast wiedział, że zabójca stracił w tym dniu okazję. Uznał, że

w takim razie spróbuje następnego dnia. Ostatniej nocy przygotował więc manekina. Proctor rozegrał to idealnie, podjechał z nim w taki sposób, że widoczna była tylko górna część.

- Ale czemu nie poszliście i nie zdjęliście faceta przedtem? Po co takie ryzyko?

- Po pierwsze, brak dowodów. Po drugie, facet się tam zabarykadował - mógł się nam wymknąć... Sama powiedziałaś, że był prawdziwym zawodowcem. I na pewno stawiałby opór. Słaby punkt stanowił moment jego ucieczki. Po prostu zaczekaliśmy, żeby wpadł w naszą pułapkę.

Hayward skinęła głową... - To wiele wyjaśnia.

- Szkoda, że wybrał samobójstwo.

Zjawiły się pierwsze zamówione dania, podane z rewerencją przez aż trzech kelnerów, którym deptał po piętach sommelier, gotów napełnić kieliszki, oraz jeszcze jeden człowiek od dolewania wody.

- A teraz ja mam pytanie - powiedział D'Agosta. - Jak awansowałaś na kapitana? To znaczy, tak szybko?

- Nie ma tu żadnej wielkiej tajemnicy. Widziałam, jak sprawy wyglądają, więc postarałam się o magisterkę z psychologii na Uniwersytecie Nowojorskim. W dzisiejszych czasach tytuł magistra naprawdę pomaga. I oczywiście, przydało się, że jestem kobietą.

- Polityka równych szans?

- Raczej spóźniony żal. Kiedy dzięki komisarzowi Rokerowi skończyła się dyskryminacja, niektóre z nas wypłynęły w naturalny sposób. Tamci rozejrzeli się dookoła z przerażeniem i zorientowali, że w firmie nie ma kobiet na wysokich stanowiskach - dyskryminacja trwała całe wieki - i zaczęły się awanse. Znalazłam się we właściwym

miejscu we właściwym czasie, z właściwymi wynikami testów i papierami.

- Ambicja i talent nie miały z tym nic wspólnego?

- Tego bym nie powiedziała. - Uśmiechnęła się.

- Ja też nie. - Vincent pociągnął wina. - Gdzie się wychowałaś?

- W Macon, w Georgii. Tata był spawaczem, mama zajmowała się domem. Miałam starszego brata, zginął w Wietnamie. Ogień własnej artylerii. Miałam osiem lat.

- Przykro mi.

Hayward potrząsnęła głową. - Rodzice nigdy nie doszli do siebie. Tata umarł rok później, mama rok po nim. Rak, oboje, ale myślę, że to była raczej żałoba. Był ich dumą i radością.

- To naprawdę trudne.

- Minęło wiele czasu, a ja miałam w Islip wspaniałą babcię, która mnie wychowała. Poza tym dzięki temu zrozumiałam, że jestem na tym świecie właściwie sama i nikt nie będzie za mnie nadstawiał karku. Tym musiałam się zająć sama.

- Zrobiłaś dobrą robotę.

- To gra.

Zamilkł na moment. - Naprawdę startujesz na komisarza? Uśmiechnęła się, nic nie powiedziała, uniosła kieliszek. - Miło mieć cię z powrotem w Wielkim Jabłku, gdzie twoje miejsce, Vinnie.

- Wypiję za to. Nie masz pojęcia, jak tęskniłem za tym miastem.

- Najlepsze miejsce na świecie, żeby być gliną.

- Jako porucznik, w czasach morderstw w muzeum, nie umiałem tego docenić. Myślałem, że wspianie będzie wydostać się z miasta, mieszkać na wsi, oddychać dla odmiany świeżym powietrzem,

słuchać ćwierkania ptaków, obserwować zmieniające kolor liście. Chciałem co niedzielę chodzić na ryby. Ale wiesz co? Wędkowanie jest nudne, ptaki budzą człowieka o świcie, a zamiast „Le Cirque” masz w Radium Hot Springs „Restaurację Betty Daye w Stylu Rodzinnym”.

- Gdzie możesz nakarmić czteroosobową rodzinę za cenę pączka tutaj.

- Taa, ale kto chce stek z kurczaka za cztery dziewięćdziesiąt dziewięć, kiedy może mieć pierś z kaczki ze słodką czerwoną papryką za jedyne czterdzieści jeden dolców?

Hayward się roześmiała. - To właśnie uwielbiam w Nowym Jorku - nic nie jest normalne. Wszystko musi być kompletnie przesadzone. No i jemy kolację w jednej sali z Madonną i Michaeliem Douglasem.

- Nowy Jork może doprowadzić do szału, ale nie bywa nudny Pociągnęła łyk wina i kelner pospieszył dopełnić jej kieliszek.

- Naprawdę jest tam miasto o nazwie Radium Hot Springs? Zabrzmiało jak żart.

- Byłem tam. Jestem całkiem pewien, że istnieje.

- Jak było?

- Żartuję na ten temat, ale to nie było złe miejsce. Małe miasteczko, przyzwoite. Kanadyjczycy są przyjacielscy. Ale to nie był dom. Zawsze czułem się jak na wygnaniu, rozumiesz? I było o wiele za cicho, cholera. Myślałem, że zwariuję, nie mogłem się skupić przy tym ptasim ćwierkaniu. Dajcie mi nieruchomy jak skała piątkowy korek w śródmieściu, od rzeki do rzeki. To jest głos samego życia.

Hayward się roześmiała, gdy w orszaku urękawiczonych kelnerów zjawily się główne dania.

- Niewątpliwie mógłbym do tego przywyknąć - stwierdził D'Agosta, odchylając się w krześle i wkładając do ust kęs swojej piersi z kaczki, po którym pociągnął łyk chardonnay.

Hayward skosztowała eskalopki rybne etuvee i rozkoszowała się ich smakiem. Chyba nigdy w życiu nie jadła niczego równie dobrego.

- Świetnie się spisałeś, Vinnie - powiedziała z uśmiechem. - Naprawdę świetnie.



D'Agosta nigdy wcześniej tu nie był, ale wszystko budziło w nim niejasne wspomnienia. Przynajmniej ostry zapach alkoholu, formaliny i Bóg jeden wie jakich jeszcze chemikaliów pomógł mu przepłoszyć uporczywego kaca. Poprzedniej nocy wyszli z Laurą Hayward z restauracji o wpół do dwunastej. Idąc za radą sommeliera, szarpnął się na małą butelkę deserowego wina - Chateau d'Yquem, rocznik dziewięćdziesiąty, za równowartość co najmniej tygodniowej pensji - które okazało się najcudowniejszym winem, jakiego kiedykolwiek próbował. Prawdę mówiąc, cały wieczór był cudowny.

Co za rozpacz, że musiało po nim nastąpić właśnie to.

Zmieszane zapachy formaliny, płynów cielesnych i rozkładu; wyczyszczone do błysku powierzchnie z nierdzewnej stali, ciąg lodówek, pomocnik sekcyjny o złowrogim wyglądzie czający się na zapleczu, wreszcie przeprowadzający sekcję patolog - i oczywiście trup, gwiazda programu, leżący na środku sali na starym marmurowym stole sekcyjnym oświetlonym oddzielnym reflektorem. Sekcja została już zakończona - bardziej wyglądało to na demontaż - i zbiór wyschniętych, pokrojonych na kawałki organów leżał rozłożony wokół ciała, każdy we własnym plastikowym pojemniku: mózg, serce, płuca, wątroba, nerki i szereg nieregularnych, ciemnych kawałków, o których D'Agosta wolał nie myśleć.

Zresztą nie było tak źle. Może dlatego, że procesja owadów już

przeszła, a zwłoki rozłożyły się do takiego stopnia, że były tyleż szkieletem, co ciałem. A może dlatego, że smród gnicia został prawie zastąpiony zapachem ziemi. Albo - miał taką nadzieję - może w końcu zaczął się przyzwyczajać. Czy rzeczywiście? Poczł znajomy ucisk w gardle. Przynajmniej miał dość rozumu, żeby podarować sobie śniadanie.

Przyglądał się lekarzowi stojącemu za głową zwłok: miał ciemne okrągłe okulary nisko zsunięte na nos, przerzucał kartki przymocowane do podkładki. Lakoniczny facet o włosach w kolorze pieprzu z solą i powolnym, oszczędnym sposobie mówienia. Wydawał się zirytowany. - No, no - powiedział, przerzucając papiery. - No, no.

Pendergast niezmiernie krążył wokół zwłok. - Świadczenie zgonu wymieniało jako przyczynę śmierci raka płuc - stwierdził.

- Jestem tego świadom - odparł doktor. - Byłem wówczas lekarzem prowadzącym, a teraz na pańską prośbę zostałem tu przywleczony, żeby przeprowadzić sekcję. - W głosie mężczyzny pobrzmiwało rozżalenie.

- Dziękuję panu.

Lekarz lekko skinął głową, a potem wrócił do papierów. - Przeprowadziłem kompletną autopsję i mam już wyniki testów laboratoryjnych. A zatem, co dokładnie chciałby pan wiedzieć?

- Wszystko po kolei. Zakładam, że potwierdził pan, iż to rzeczywiście ciało Raniera Beckmanna?

- Bez wątplenia. Sprawdziłem kartę dentystyczną.

- Znakomicie. Proszę mówić dalej.

- Streszczę panu swoje pierwotne dane i diagnozę. - Doktor

przerzucił kilka kartek. - Czwartego marca 1995 roku pacjent, Ranier Beckmann, został przywieziony karetką na ostry dyżur. Symptomy wskazywały na zaawansowanego raka. Badania potwierdziły zaawansowane stadium drobnokomórkowego raka płuc z rozległymi przerzutami. Zasadniczo przypadek beznadziejny. Rak rozprzestrzenił się w ciele i niewydolność wielonarządowa była nieunikniona. Pan Beckmann nie opuścił już szpitala i zmarł dwa tygodnie później.

- Jest pan pewien, że zmarł w szpitalu?

- Tak. Dopóki nie umarł, widywałem go codziennie przy obchodzie.

- To było dziesięć lat temu, pamięć pana nie zawodzi?

- Na pewno nie. - Lekarz wpatrywał się w Pendergasta znad okularów.

- Proszę mówić dalej.

- Przeprowadziłem autopsję dwuetapowo. Etap pierwszy polegał na potwierdzeniu pierwotnie wskazanej przeze mnie przyczyny zgonu. Wówczas nie było sekcji. Standardowo się jej nie przeprowadza. Przyczyna zgonu ewidentna, brak prośby ze strony rodziny, żadnych podejrzeń o działania pozaprawne. Władze stanowe oczywiście nie płacą za autopsję dla autopsji.

Pendergast skinął głową.

- W drugim etapie, zgodnie z pańską prośbą, starałem się zidentyfikować nietypowe patologie, stany, rany, toksyny lub inne nieprawidłowości związane z ciałem.

- A wyniki?

- Potwierdziłem, że Beckmann zmarł na skutek niewydolności wielonarządowej spowodowanej rakiem.



Pendergast utkwiał srebrne oczy w doktorze. Nic nie powiedział: sceptycyzm miał wypisany na twarzy

Lekarz spokojnie wytrzymał to spojrzenie. Opanowanym głosem mówił dalej. - Pierwotny był guz wielkości grejpfruta w lewym płucu. Wiele guzów przerzutowych znajdowało się w nerkach, wątrobie i mózgu. Ze śmiercią tego człowieka wiąże się tylko jedna zaskakująca rzecz, to, że nie zjawił się w szpitalu wcześniej. Musiał cierpieć potworny ból, ledwie umożliwiający funkcjonowanie.

- Proszę mówić - Pendergast odezwał się cichym głosem.

- Oprócz raka pacjent miał zaawansowaną marskość wątroby, chorobę serca i wiele innych przewlekłych, choć jeszcze nie ostrych dolegliwości związanych z alkoholizmem i złym odżywianiem.

- I?

- To wszystko. Żadnych toksyn ani narkotyków obecnych w krwi lub w tkankach. Żadnych niezwykłych ran ani patologii, przynajmniej żadnych możliwych do wykrycia po balsamowaniu i prawie dziesięciu latach pod ziemią.

- Żadnych śladów wysokiej temperatury?

- Temperatury? Co pan ma na myśli?

- Nic nie wskazuje, że ciało było przed śmiercią narażone na wysoką temperaturę?

- Absolutnie nic. Coś takiego spowodowałoby mnóstwo wyraźnych zmian komórkowych. Obejrzałem czterdzieści, a może pięćdziesiąt wycinków tkanek z tych zwłok i żaden nie wykazywał zmian związanych z wysoką temperaturą. Cóż za niezwykle pytanie, panie Pendergast.

Pendergast znów odezwał się cichym głosem: - Rak

drobnokomórkowy jest związany niemal wyłącznie z paleniem, czy mam rację, doktorze?

- Ma pan rację.

- Więc nie ma żadnych uzasadnionych wątpliwości, że zmarł z powodu raka, doktorze? - Pendergast pozwolił, by ślad sceptycyzmu zabrzmiał w jego głosie.

Wyprowadzony z równowagi patolog sięgnął do pojemnika, chwycił dwie części wyschłej, brązowej masy i podsunął Pendergastowi pod oczy. - Proszę, panie Pendergast. Jeżeli mi pan nie wierzy, proszę uwierzyć temu. Niech pan to weźmie. Proszę poczuć złośliwość tego guza. Jak tu stoję, tak jestem pewien, że to zabiło Beckmanna.

Był to długi, milczący powrót do samochodu. Pendergast wślizgnął się za kierownicę - dziś przyjechał do Yonkers sam - i opuścili parking. Kiedy zostawili za sobą szarą ciasnotę śródmieścia, agent wreszcie się odezwał.

- Beckmann był rzeczywiście dość wymowny, nie sądzisz, Vincencie?

- Taa. A jak cuchnął.

- A jednak to, co powiedział, było - muszę wyznać - do pewnego stopnia zaskakujące. Będę musiał wysłać do pocztowego doktora list z podziękowaniem. - Gwałtownie obrócił kierownicę i rolls skręcił w Executive Boulevard, mijając zjazd na Saw Mill River Parkway.

D'Agosta spojrzał na niego zaskoczony. - Nie wracamy do Nowego Jorku?

Pendergast pokręcił głową. - Jeremy Grove umarł dokładnie dwa tygodnie temu. Cutforth tydzień. Przyjechaliśmy do Yonkers po

odpowiedzi i nie wyjadę, dopóki ich nie uzyskam.



Autobus cal za całem włókł się w korku przez długi, wyłożony białymi kaflami tunel, aż wreszcie wynurzył się w półmroku na długiej rampie otoczonej stalowymi dźwigarami. „Nowy Jork”, pomyślał wielebny Wayne E Buck.

Za pajęczyną stali widział wyblakłe słońce, brudne kamienice, mignęły mu odległe drapacze chmur, Autobus znów zanurzył się w ciemność, sycząc pneumatycznymi hamulcami, gdy kolumna samochodów ponownie stanęła.

Buck doświadczał trudnej do opisanie mieszanki emocji: podniecenia, strachu, świadomości przeznaczenia, konfrontacji z nieznanym. To samo czuł przed paru laty, w dniu, kiedy wyszedł z więzienia, gdy odsiedział dziewięć lat za morderstwo drugiego stopnia. Wayne E Buck długo staczał się po równi pochyłej: drobne wykroczenia, nieudane próby podjęcia pracy, wódka, kradzieże samochodów, napad na bank - a potem ten fatalny dzień, kiedy wszystko się popieprzyło i zastrzelił sprzedawcę z małego samu. Zabił biednego, niewinnego człowieka. Autobus sunął powoli naprzód, a Buck wrócił myślą do aresztowania, procesu, wyroku - dwadzieścia pięć lat - marszu w kajdankach w czeluście więzienia. Czasu ciemności, o którym najlepiej zapomnieć.

A potem nawrócenie. W więzieniu narodził się na nowo. Tak jak Jezus podniósł z upadku ładacznicę Marię Magdalenę, uratował też

alkoholika, mordercę, człowieka odtrąconego przez wszystkich, nawet własną rodzinę.

Po zbawieniu Buck zaczął czytać Biblię. Raz, potem drugi, i znowu. Od deski do deski. Stary i Nowy Testament. Zaczął też trochę nauczać. Nic wielkiego: parę słów tu, pomocna dłoń tam. Założył grupę zajmującą się badaniem Pisma świętego. Stopniowo zaskarbił sobie szacunek i zaufanie tych więźniów, którzy mieli ucho otwarte na dobrą nowinę. Wkrótce większość czasu poświęcał, pomagając innym w drodze do zbawienia. Grał też w szachy. Nie było nic innego do roboty - czasopisma przedstawiały tylko materialistyczne podejście do życia, telewizja była jeszcze gorsza, a poza Biblią wszystkie książki wydawały się pełne wulgarności, przemocy i seksu.

W miarę jak zbliżał się termin zwolnienia warunkowego, Buck zaczynał nabierać przekonania, że jego posługa religijna w więzieniu jest tylko przygotowaniem do czegoś innego, że Bóg ma dla niego większe zadanie, które mu objawi we właściwym czasie. Po wyjściu na wolność dryfował od jednego miasteczka do drugiego, przeważnie wzdłuż granicy Kalifornii i Arizony, głosząc słowo boże i zdając się na Pana w kwestii strawy i przyodziewku. Zaczął poszerzać listę lektur: najpierw o Bunyana, potem świętego Augustyna, a nawet Dantego w przekładzie. I zawsze, nieodmiennie, czekał na wezwanie.

Teraz, kiedy wcale się tego nie spodziewał, wezwanie nadeszło. Boskie zadanie zostało mu objawione. Kto by pomyślał, że zaprowadzi go do Nowego Jorku, największego siedliska moralnego zepsucia i zła w całej Ameryce? Vegas, Los Angeles i inne takie miejsca przy Nowym Jorku schodziły na drugi plan. W tym jednak tkwiło całe piękno wypełniania boskiej woli. Tak jak Bóg posłał

świętego Pawła do Rzymu, czarnego serca pogaństwa, tak teraz posyła jego, Wayne'a P Bucka, do Nowego Jorku.

Autobus zatrzymał się, potem wykonał skok w przód. Głowy wszystkich pasażerów kiwały się zgodnie, reagując na każdy ruch pojazdu. Jechali teraz jakąś betonową rampą wspinającą się spiralnie pomiędzy stalowymi słupami. Buckowi skojarzyło się to z kręgami piekieł Dantego. Chwilę później autobus znów pochłonęły ciemności przesycone smrodem spalin. Hamulce zasyczały demonicznie. Wyglądało na to, że dojechali do dworca - ale takiego dworca autobusowego Buck, jak żyje, nie widział ani nawet sobie nie wyobrażał.

Pojazd wreszcie znieruchomiał. Kierowca powiedział coś niezrozumiale przez głośniki, syknęły otwierane drzwi. Buck wysiadł. Pozostali pasażerowie musieli czekać na swój bagaż, lecz on był wolny, bez dobytku i pieniędzy, jak sześć lat temu, kiedy wychodził w Joliet na jaskrawe słońce dnia.

Nie wiedząc, dokąd zmierza, szedł z prądem ludzkiej rzeki, zjeżdżał w dół kolejnymi ruchomymi schodami, aż znalazł się w ogromnym terminalu. Po chwili był już na zewnątrz, na chodniku wielkiej ulicy Przystanął i rozejrzał się wokoło, czując przyływ lęku pomieszanego z duchowym zapachem.

„I gdy szedłem przez pustynię...” Jezus spędził na pustkowiu czterdzieści dni i nocy, kuszony przez szatana; to zaś zaprawdę była pustynia dwudziestego pierwszego wieku: pustynia ludzkich dusz.

Ruszył przed siebie, pozwalając Jezusowi prowadzić się tam, gdzie on chce. Chociaż chodniki były zatłoczone, nikt nie zwracał na Bucka uwagi. Żywy nurt rozdzielał się przed nim i zaraz potem łączył z

powrotem jak rzeka opływająca skałę. Przeszedł na drugą stronę szerokiej arterii, zanurzył się w kanion jakiejś ulicy pograżonej w głębokim cieniu wysokich budynków, które strzelały w niebo po obu stronach. Po kilku minutach znalazł się na kolejnym skrzyżowaniu, jeszcze szerszym niż poprzednie, z ulicami rozchodzącymi się na wszystkie strony. Wielkie billboardy i krzykliwe kilkunastometrowe neony powiedziały mu, że stoi na Times Square. Buck spojrzął ku niebu. To mogło przyprawić o zawrót głowy; zewsząd otaczały go potężne dzieła ludzkich rąk, nowoczesne wieże Babel ze stali i szkła. Aż nazbyt łatwo można było zrozumieć, jak to miejsce potrafi uwieść człowieka; jak szybko można utracić najpierw przekonania, a potem i duszę. Opuścił głowę i popatrzył znów na ulicę. Oszłamiający ruch, hałas, pośpiech i napór ludzkich ciał. Przypomniały mu się znowu słowa Johna Bunyana: „Żyjecie w Mieście Zniszczenia: widzę, że tak jest; i umierając tutaj, prędzej czy później zapadniecie się głębiej niż wasze groby, w miejsce, gdzie palą ogień i siarka. Bądźcie zadowoleni, dobrzy ludzie, i chodźcie za mną”.

Stracone. Wszystko stracone.

Ale może nie wszystko. Tu i ówdzie, Buck dobrze wiedział, żyją ci, których można jeszcze uratować, sprawiedliwi, w których duszach mieszka łaska boska. Nie wiedział na razie, kim są; jest wielce prawdopodobne, że i oni sami tego nie wiedzieli. „Bądźcie zadowoleni, dobrzy ludzie, i chodźcie za mną”. To dla nich przybył do Nowego Jorku, to ich odciągnie znad brzegu przepaści. Reszta zostanie zmieciona w mgnieniu oka.

Szedł przed siebie długie godziny. Wyczuwał, jak syreni głos miasta stara się go przyciągnąć eleganckimi wystawami,

niewiarygodnym bogactwem, wielkimi limuzynami. Jego nozdrza w jednej chwili wypełniał smród gnijących odpadków, w następnej - woń drogich perfum jakiejś kociookiej kusicielki w obcistej sukience. Był w brzuchu bestii, to pewne. Bóg powierzył mu misję, dał mu jego własne czterdzieści dni na pustyni - i on go nie zawiedzie.

Ostatnie centy wydał na bilet autobusowy i potem przez całą drogę nic nie jadł. Jakimś cudem głód - post - wyostrzył mu umysł. Ale jeśli ma wypełnić bożą wolę, musi zadbać o strawę dla ciała.

Wędrując ulicami miasta, natrafił na stołówkę Armii Zbawienia. Wszedł, stanął w kolejce, potem w milczeniu usiadł między ludzkimi wrakami i zjadł miskę makaronu z serem oraz parę kromek suchego chleba, popijając to kubkiem kawy Jedząc, wyciągnął z kieszeni wygniecioną stronę gazety i jeszcze raz przeczytał artykuł. To było boże przesłanie dla niego; za każdym razem, gdy je czytał, czuł się wzmocniony, odświeżony, zdeterminowany. Po prostym posiłku opuścił stołówkę i z nowym zapałem ruszył w dalszą wędrówkę. Mijając kiosk z gazetami, przystanął, bo wpadł mu w oko tytuł na pierwszej stronie „New York Post”.

## KONIEC JEST BLISKI

Sataniści, zielonoświątkowcy i prorocy zagłady nadal zbierają się w miejscu diabelskiej zbrodni.

Instynktownie sięgnął do kieszeni, a potem przypomniał sobie, że nie ma pieniędzy Zawahał się. Co robić? Ten tytuł bez wątpienia był kolejną wiadomością od Pana. Nic na tym świecie nie działo się bez powodu. Nawet najmniejsze źdźbło...



Potrzebował pieniędzy. Potrzebował łóżka na noc, zmiany odzieży Bóg przyodziewał lilie polne - czyż i jego nie wspomóżę? Taką filozofię zawsze wyznawał.

Ale czasami Bóg lubił, żeby wykazać się odrobiną inicjatywy.

Buck rozejrzał się. Stał przed jakimś wielkim budynkiem, którego wejścia strzegły dwa kamienne lwy Napis nad drzwiami głosił: „Nowojorska Biblioteka Publiczna”. Świątynia Mamony, bez wątplenia wypełniona pornografią i niemoralnymi książkami. Ruszył spiesznie za róg. W małym, ale schludnie utrzymanym parku siedziało kilka osób z rozłożonymi szachownicami. Figury były ustawione, ale nie grali ze sobą. Wyglądali, jakby czekali na przechodniów Zaciekawiony podszedł bliżej.

- Zagramy? - zapytał jeden z nieznajomych. Buck przystanął.

- Pięć dolców - dodał mężczyzna.

- Za co?

- Za wygraną. Dziesięć sekund na ruch. Pięć dolców.

Buck już chciał odejść. Można by uznać, że to hazard. Zatrzymał się jednak. Może i to była drobna pomoc od Boga? Czuł, że ci ludzie są dobrymi szachistami. Musieli być. Ale co miał do stracenia?

Usiadł. Mężczyzna natychmiast ruszył królową, Buck zrobił swój ruch i gra się potoczyła.

Dziesięć minut później siedział na parkowej ławce na tyłach biblioteki, czytając „Post”. Artykuł opowiadał o niewielkich grupach zbierających się przed budynkiem, z którego diabeł zabrał człowieka nazwiskiem Cutforth. Podawał nawet adres: Piąta Aleja 842.

Piąta Aleja. Legendarna Piąta Aleja. Mefistofeliczne serce Nowego Jorku. Wszystko pasowało. Buck wyrwał artykuł z gazety i złożył

razem z tamtym pierwszym, starannie chowając do kieszeni koszuli. Nie pójdzie tam teraz, to może poczekać. Teraz - jak Dawid - musiał przepasać lędźwie, przygotować się duchowo. Nie przybył tu nauczać; zjawiał się w tym mieście, aby stoczyć walkę za świat.

Sprawdził zawartość kieszeni. Cztery dolary i pięćdziesiąt centów. O wiele za mało na jakikolwiek nocleg. Zastanowił się, jak też Bóg pomoże mu rozmnożyć te pieniądze, jak Jezus rozmnożył chleb i ryby.

Do zachodu słońca zostało jeszcze kilka godzin. Jezus mu dopomoże, Buck był tego pewien. Jezus na pewno mu dopomoże.



Ostatnie znane miejsce zamieszkania Beckmanna, wymienione na świadectwie zgonu, znajdowało się w pobliżu cmentarza, na którym został pochowany. Pendergast wolno przejechał wzdłuż walącego się budynku i zaparkował przed sklepem monopolowym kawałek dalej. Na ganku siedziało trzech alkoholików obserwujących ich, gdy wysiadali.

- Ładna okolica - stwierdził D'Agosta, rozglądając się po pięciopiętrowych ceglanych domach obwieszonych rdzewiejącymi schodami przeciwpożarowymi. Na sznurkach rozciągniętych między nimi wisiało wytarte pranie.

- Rzeczywiście.

D'Agosta kiwnął głową w stronę trzech pijaczków, którzy znów puścili w obieg butelkę „Night Train”. - Ciekawe, czy ci trzej coś wiedzą.

Pendergast ruchem ręki pokazał mu, żeby podszedł.

- Co? Ja?

- Oczywiście. Jesteś człowiekiem ulicy, mówisz ich językiem.

- Skoro tak twierdzisz. - D'Agosta jeszcze raz się rozejrzył, a potem poszedł do monopolowego. Wrócił po kilku minutach z butelką w brązowej papierowej torbie.

- Podarek dla tubylców, jak widzę.

- Po prostu biorę z ciebie przykład. Pendergast uniósł brwi.

- Pamiętasz naszą małą wyprawę pod ziemię przy okazji masakry w metrze? Zabrałeś ze sobą butelkę jako środek płatniczy

- A, tak. Nasza herbatka z Mefistem. Z butelką w ręce D'Agosta powoli wszedł na ganek, zatrzymał się przy mężczyznach. - Jak się macie, chłopaki? Cisza.

- Jestem sierżant D'Agosta, a to mój kolega, agent specjalny Pendergast z FBI.

Cisza.

- Nie mamy zamiaru deptać tu nikomu po odciskach, panowie. Nawet nie zapytam o wasze nazwiska. Szukamy tylko informacji o niejakim Ranierze Beckmannie, który mieszkał tu kilka lat temu.

Trzy pary zapijaczonych oczu nadal się w niego wpatrywały. Jeden z mężczyzn charknął i starannie splunął między własne mocno znoszone buty.

Z szelestem D'Agosta wyjął butelkę z papierowej torby Podniósł ją do góry. Światło przeszło przez szkło, rozświetlając kawałki owoców unoszące się w płynie bursztynowego koloru.

Najstarszy pijak zwrócił się do pozostałych: - „Rock'n'Rye”. Glina ma klasę.

- Strzeż się gliniarzy przynoszących prezenty.

D'Agosta zerknął na Pendergasta, który przyglądał się scenie z odległości kilku kroków z rękoma w kieszeniach. Odwrócił się. - Słuchajcie, panowie, nie róbcie ze mnie durnia przy federalnych, okej? Proszę.

Najstarszy mężczyzna się posunął. - Teraz, kiedy powiedziałeś magiczne słowo, możesz siadać.

D'Agosta ostrożnie przysiadł na klejących się z brudu stopniach.

Pijak wyciągnął rękę po butelkę, upił łyk, wypluł kawałek owocu, podał dalej. - Ty też, przyjacielu. - Powiedział do Pendergasta.

- Wolałbym postać, dziękuję. Mężczyźni zachichotali.

- Nazywam się Jedediah - oznajmił najstarszy pijak. - Mów mi Jed. To kogo szukasz?

- Raniera Beckmanna - powiedział Pendergast.

Dwaj pozostali wzruszyli ramionami, ale Jed po chwili powoli skinął głową. - Beckmann. Nazwisko coś mi mówi.

- Mieszkał w pokoju cztery C. Umarł na raka prawie dziesięć lat temu.

Jed myślał przez chwilę, pociągnął łyk z butelki, żeby naoliwić szare komórki. - Już pamiętam. To ten facet, co grywał z Williem w remika. Williego też już nie ma. Człowieku, ale się kłócili. Rak, mówisz pan? - Pokręcił głową.

- Wie pan coś o jego życiu? Małżeństwo, dawny adres, tego rodzaju sprawy?

- To był facet po college'u. Mądrała. Nikt nigdy go nie odwiedzał, wyglądało, że nie ma dzieciaków ani rodziny. Może i był żonaty Tak myślałem, że miał dziewczynę, która się nazywała Kay.

- Kay?

- Taa. Wciąż powtarzał jej imię, zwykle kiedy był na siebie wściekły Na ten przykład, jak przegrał w remika. Mówił: „Kay Biskerow!” Jakby nie musiał być w takiej biedzie, gdyby była tu, żeby się nim zająć.

Pendergast kiwnął głową. - Są tu jeszcze jacyś jego przyjaciele, żebyśmy mogli z nimi porozmawiać?

- Nikt mi nie przychodzi do głowy. Beckmann raczej trzymał się na

boku. Miał jakby doła.

- Rozumiem.

D'Agosta podniósł się z niewygodnego siedziska. - Kiedy ktoś tu umiera, co się zwykle dzieje z jego rzeczami?

- Sprzątają pokój i wszystko wyrzucają. Chyba że John czasem zachowa parę drobiazgów.

- John?

- Taa. Przechowuje to gównno, co zostało po zmarłych. Trochę jest dziwny.

- Czy John zachował coś z rzeczy należących do Beckmanna? - zapytał Pendergast.

- Może. Cały pokój ma pełen szmelcu. Czemu nie wejdziecie na górę i nie zapytacie? Jest w sześć A. Najwyższe piętro, na górze schodów.

Pendergast podziękował mężczyźnie, a potem jako pierwszy wszedł do mrocznego przedsionka i na drewniane schody. Stopnie alarmująco trzeszczały im pod stopami. Gdy dotarli na piąte piętro, Pendergast położył rękę na ramieniu D'Agosty.

- Gratuluję pomysłowości - powiedział. - Sprytne posunięcie, że pomyślałeś o należących do niego rzeczach. Zechcesz się zająć także Johnem?

- Jasne.

D'Agosta zastukał mocno w drzwi oznaczone 6A, ale stały otworem i pod wpływem jego pukania ze skrzypnięciem się uchyliły. Otworzyły się nieco, a potem stanęły zablokowane przez górę kartonów. Pokój był niemal szczelnie wypełniony ponadgryzanyymi przez robactwo pudłami, stosami książek, wszelkiego rodzaju

pamiątkami. D'Agosta wszedł, ruszył wąską ścieżką między ścianami najrozmaitszych śmieci: starych zdjęć, albumów fotograficznych, trójkołowego rowerka, kija do bejsbolu z autografem.

W odległym kącie pod zapaskudzonym oknem zostawiono przestrzeń wystarczającą na ustawienie łóżka. Na ohydnie brudnym pościeliu leżał siwowłosa mężczyzna w ubraniu. Spojrzał na nich, ale się nie podniósł ani nie poruszył.

- John? - zapytał D'Agosta. Słabo kiwnął głową.

D'Agosta podszedł do łóżka, pokazał odznakę. Twarz leżącego była pocięta zmarszczkami i zapadnięta, oczy żółte. - Chcemy tylko drobnej informacji, a potem sobie pójdziemy.

- Tak - powiedział mężczyzna. Głos miał cichy, powolny i smutny.

- Jed z dołu mówił, że może zachowałeś jakieś rzeczy osobiste należące do Raniera Beckmanna, który mieszkał tu kilka lat temu.

Nastąpiła długa pauza. Żółte oczy zwróciły się w stronę jednego ze stosów - W rogu. Drugi karton od dołu. Z napisem „Beck” na wierzchu.

D'Agosta mozolnie przepchnął się do chwiejnego stosu i znalazł wspomniany karton: zaplamiony, zapleśniały, na wpół spłaszczony pod ciężarem pudeł z wierzchu.

- Mogę zerknąć? Mężczyzna skinął głową.

D'Agosta przesunął kartony i wyjął ten Beckmanna. Był mały, w środku kilka książek i stare pudełko po cygarach owinięte gumkami. Pendergast podszedł i zajrzał mu przez ramię.

- James, Listy z Florencji - zamruczał, zerkając na grzbiety książek.

- Berenson, Włoscy malarze renesansu. Vasari, Żywoty malarzy. Cellini, Żywot własny. Widzę, że nasz pan Beckmann interesował się

historią sztuki renesansu.

D'Agosta wyjął pudełko po cygarach i zaczął zdejmować gumki, tak stare i sparciałe, że strzeliły przy dotknięciu. Podniósł wieczko. Pudełko wydzielalo woń kurzu, starych cygar i papieru. W środku zobaczył zjedzoną przez mole króliczą łapkę, złoty krzyżyk, zdjęcie ojca Pio i starą pocztówkę z Moosehead Lake w stanie Maine, zatłuszczoną talię kart, samochodzik-zabawkę, trochę monet, parę paczek zapalek i kilka innych pamiątek. - Wygląda na to, że znaleźliśmy skrzynię skarbów Beckmanna - powiedział.

Pendergast skinął głową. Wyjął karnecik zapalek. - „Trattoria del Carmine” - przeczytał głośno. Jego szczupłe białe palce błędziły wśród monet i innych drobiazgów. Potem sięgnął po książki, wyciągnął z kartonu Vasarięgo i przekartkował. - Lektura obowiązkowa dla każdego, kto chce zrozumieć renesans - stwierdził. - I spójrz na to.

Wręczył książkę D'Agostie. Na pierwszej stronie widniała napisana pośpiesznie dedykacja:

Ranierowi, mojemu ulubionemu studentowi, Charles F. Ponsonby Jr.

D'Agosta też wyjął książkę. W tej nie było napisu, ale kiedy ją przeglądał, pomiędzy stron wypadła fotografia. Zblakłe kolorowe zdjęcie czterech młodych chłopaków objętych ramionami przed czymś, co wyglądało na rozmazaną marmurową fontannę.

D'Agosta usłyszał, że Pendergast gwałtownie wciągnął powietrze.

- Mogę? - zapytał agent.

Vincent wręczył mu zdjęcie. Pendergast obejrzał je ze skupieniem, potem oddał.



- Ten na końcu z prawej to, jak sądzę, Beckmann. A poznajesz jego przyjaciół?

D'Agosta spojrział. Niemal od razu rozpoznał potężną głowę i wystające łuki brwiowe Locke'a Bullarda. Z pozostałymi trwało to chwilę dłużej, ale kiedy się przyjrzał, nie mogło być mowy o pomyłce: Nigel Cutforth i Jeremy Grove.

Zerknął na Pendergasta. Srebrne oczy dosłownie lśniły. - Oto jest, Vincencie, powiązanie, którego szukaliśmy

Odwrócił się do leżącego na łóżku mężczyzny D'Agosta niemal o nim zapomniał, taki był cichy. - John, możemy zabrać te przedmioty?

- Po to je zachowałem.

- Jak to? - zapytał D'Agosta.

- To właśnie robię. Przechowuję rzeczy, które były dla nich cenne, jako depozyt dla rodzin.

- Jakich ich?

- Tych, którzy umierają.

- Czy rodziny kiedykolwiek przychodzą?

Pytanie zawisło w powietrzu. - Każdy ma rodzinę - powiedział w końcu John.

D'Agosta miał wrażenie, że niektóre pudła, przegniłe i wyblakłe, leżały tu od jakichś dwudziestu lat. Długo jak na czekanie, by pojawił się ktoś z rodziny.

- Dobrze znałeś Beckmanna?

Mężczyzna potrząsnął głową. - Trzymał się na uboczu.

- Miewał jakichś gości?

- Nie. - Leżący westchnął. Włosy miał łamliwe, oczy załamane.

D'Agosta pomyślał, że ten człowiek umiera, wie o tym i się z tego cieszy

Pendergast podniósł nieduże pudełko z pamiątkami i wetknął pod pachę. - Czy jest coś, co możemy dla ciebie zrobić, John? - zapytał cicho.

Mężczyzna pokręcił głową i odwrócił się do ściany.

Wyszli z pokoju, nic nie mówiąc. Na ganku znów minęli trzech pijaków.

- Macie to, czego szukaliście? - zapytał Jed.

- Tak - odparł D'Agosta. - Dzięki.

Mężczyzna dotknął palcem brwi. D'Agosta zawrócił. - Co się stanie z tym wszystkim z pokoju Johna, kiedy on umrze? Pijak wzruszył ramionami. - Wyrzucą to.

- Niezwykle przydatna wizyta - stwierdził Pendergast, gdy wsiadali do samochodu. - Wiemy teraz, że Rainier Beckmann mieszkał we Włoszech, prawdopodobnie w siedemdziesiątym czwartym, i że przyzwocie, może nawet płynnie, mówił po włosku.

D'Agosta spojrział na niego ze zdumieniem. - A jak na to wpadłeś?

- To, co mówił, kiedy przegrywał w remika. „Kay Biskerow”. To nie imię, ale wyrażenie. Che bischero! To po włosku, w dialekcie florenckim, powiedzenie oznaczające „Co za dureń!”. Tylko ktoś, kto mieszkał we Florencji, mógł je znać. Monety w pudełku po cygarach to same włoskie liry, datowane na 1974 i wcześniej. Fontanna za czwórką przyjaciół jest z pewnością włoska, choć jej nie rozpoznaję.

D'Agosta pokręcił głową. - To wszystko wywnioskowałeś z tego pudełeczka z drobiazgami?

- Czasami drobiazgi mówią najgłośniej. - Gdy rolls wystartował z

miejsca przy krawężniku, Pendergast zerknął w bok. - Mógłbyś wysunąć spod tablicy mojego laptopa, Vincencie? Sprawdźmy, czy profesor Charles E Ponsonby junior może rzucić światło na sprawę.



Jechali na południe. Pendergast prowadził, a D'Agosta uruchomił laptopa, skorzystał z bezprzewodowego łącza komórkowego, żeby uzyskać dostęp do Internetu, i zainicjował poszukiwania Charlesa E Ponsonby'ego juniora. W kilka minut miał tyle informacji, że nie wiedział, co z nimi zrobić, poczynając od wiadomości, że Ponsonby jest profesorem historii sztuki na Uniwersytecie Princeton, który finansuje badania ze stypendium Lymana.

- Tak myślałem, że skądś znam to nazwisko - stwierdził Pendergast. - Specjalista od włoskiego renesansu, jak sądzę. Mamy szczęście, że jeszcze uczy - teraz już na pewno jako profesor emerytowany. Bądź tak dobry, Vincencie, i odzyskaj jego CV.

Gdy Pendergast wjechał na New Jersey Turnpike i płynnie przyspieszył, żeby włączyć się do popołudniowego ruchu, D'Agosta czytał o posadach profesora, nagrodach i publikacjach. Trwało to długo, tym bardziej że Pendergast domagał się odczytania wielu streszczeń.

Wreszcie skończył. Pendergast podziękował, a potem wyjął komórkę, wybrał numer, porozmawiał z biurem numerów, jeszcze raz wystukał numer, znów odbył krótką rozmowę. - Ponsonby się z nami zobaczy - powiedział, gdy odłożył telefon. - Niechętnie. Jesteśmy bardzo blisko, Vincencie. Zdjęcie dowodzi, że cała czwórka przynajmniej raz się spotkała. Teraz musimy się dowiedzieć, gdzie

dokładnie i - jeszcze ważniejsze - co takiego stało się podczas tego fatalnego spotkania, że w jakiś sposób związało ich na resztę życia.

Pendergast przyspieszył. D'Agosta spojrział na niego ukradkiem. Agent sprawiał wrażenie dosłownie rozentuzjasmowanego jak ogar na tropie.

Dziewięćdziesiąt minut później rolls sunął ulicą Nassau, po lewej stronie mając staroświeckie sklepy, po prawej kampus Princeton z gotyckimi budynkami wyrastającymi ze starannie przystrzyżonych trawników. Pendergast ustawił samochód na parkingu i wrzucił monety do parkometru, kiwając głową studentom, którzy stanęli, żeby się pogapić. Potem obaj przeszli na drugą stronę, minęli wielką żelazną bramę i dotarli przed ogromną fasadę biblioteki Firestone, największej samoobsługowej biblioteki świata.

Przed szklanymi drzwiami stał nieduży człowieczek z nieporządną strzechą siwych włosów. Wyglądał dokładnie tak, jak D'Agosta go sobie wyobraził: zrzędlawy, ubrany w tweed i pedantyczny. Brakowało mu tylko fajki z korzenia wrzośca.

- Profesor Ponsonby? - zapytał Pendergast.

- Pan jest tym agentem FBI? - odpowiedział piskliwym głosem mężczyzna, ostentacyjnie sprawdzając na zegarku godzinę.

„Trzy minuty spóźnienia”, pomyślał D'Agosta. Pendergast uściśnął podaną dłoń. - W rzeczy samej.

- Nie wspomniał pan, że przyprowadzi policjanta. D'Agosta zjeżył się w duchu, słysząc, jak wymówił to słowo.

- Czy mogę przedstawić mojego współpracownika, sierżanta Vincenta D'Agostę?

Profesor potrzęsnał jego ręką z widoczną niechęcią. - Muszę panu

powiedzieć, agencie Pendergast, że nie bardzo podoba mi się przesłuchiwanie przez FBI. Nie dam się zastraszyć i nie podam żadnych informacji na temat byłych studentów.

- Oczywiście. A teraz, profesorze, gdzie możemy pogawędzić?

- Właśnie tu, na tej ławce. Wolałbym nie wprowadzać agenta FBI i policjanta do swojego biura, jeśli mi pan wybaczy.

- Oczywiście.

Profesor sztywno pomaszerował do ławki pod wiekowym jaworem i usiadł, nerwowo zakładając nogę na nogę. Pendergast podszedł do niego powoli i zajął miejsce obok. D'Agosta już by się nie zmieścił, więc stanął z boku z założonymi rękami.

Ponsonby wyjął z kieszeni fajkę z korzenia wrzośca, stukając, usunął resztkę starego tytoniu, zaczął ją nabijać nowym.

„Teraz jest idealnie”, pomyślał D'Agosta.

- Czy to nie pan przypadkiem jest tym Charlesem Ponsonbym, który niedawno uzyskał Medal Berensona w dziedzinie historii sztuki? - zagadnął Pendergast.

- To ja. - Wyjął z kieszeni pudełko zapalek, wyłowił jedną i zapalił fajkę, zasysając płomień z cichym bulgotem.

- A! W takim razie to pan jest autorem nowej bibliografii krytycznej Pontorma.

- Zgadza się.

- Znakomita książka.

- Dziękuję.

- Nigdy nie zapomnę, kiedy zobaczyłem Nawiedzenie w tym kościółku w Carmignano. Najdoskonalszy pomarańcz w całej historii sztuki. W pańskiej książce...

- Czy możemy przejść do rzeczy, panie Pendergast?

Zapadła cisza. Ponsonby najwyraźniej nie był zainteresowany prowadzeniem akademickiej dyskusji z gliniarzami, choćby najlepiej wykształconymi. Tym razem urok Pendergasta nie zadziałał.

- Miał pan, zdaje się, studenta nazwiskiem Ranier Beckmann - odezwał się agent.

- Wspomniał pan o tym przez telefon. Byłem jego promotorem.

- Zastanawiam się, czy mógłbym zadać panu kilka pytań.

- Czemu nie porozmawia pan bezpośrednio z nim? Nie mam zamiaru zostać informatorem FBI, dziękuję.

D'Agosta już wcześniej miał do czynienia z takim typem człowieka. Głęboko podejrzliwy w stosunku do przedstawicieli prawa, traktujący każde pytanie jak osobiste wyzwanie. Tacy jak on nie dawali się skłonić do współpracy pochlebstwem i walczyli o każde słowo, wygłaszając legalistyczne bzdury o prawie do prywatności, piątej poprawce i tak dalej.

- O, więc pan nie wiedział? - odezwał się Pendergast głosem słodkim jak miód. - Pan Beckmann zmarł. Tragicznie.

Cisza. - Nie, nie wiedziałem. - Znów cisza. - Jak?

Teraz z kolei Pendergast miał okazję, by zachować rezerwę. Zamiast tego podsycił ciekawość, uchylając rąbka tajemnicy. - Właśnie wracam z ekshumacji ciała... Ale być może nie jest to właściwy temat do rozmowy, skoro nie byliście panowie blisko związani.

- Ktokolwiek tak stwierdził, był w błędzie. Ranier był jednym z moich najlepszych studentów.

- W takim razie jak to możliwe, że nie słyszał pan o jego śmierci?

Profesor zakręcił się nerwowo. - Straciliśmy kontakt, kiedy skończył studia.

- Rozumiem. W takim razie raczej nie będzie nam pan w stanie pomóc. - I Pendergast odegrał scenę przygotowań do wstania z miejsca.

- Był błyskotliwym studentem, jednym z najlepszych, jakich miałem. Byłem... byłem bardzo rozczarowany, że nie chciał robić doktoratu. Chciał jechać do Europy, zrobić wielki objazd, coś w rodzaju włóczęgi bez żadnej akademickiej podbudowy. Nie pochwalałem tego. - Ponsonby zrobił pauzę. - Czy mogę zapytać, jak umarł i dlaczego ekshumowano ciało?

- Przykro mi, ale tę informację mogę ujawnić tylko rodzinie i przyjaciółom pana Beckmanna.

- Mówię panu, byliśmy sobie bardzo bliscy. Przy rozstaniu dałem mu książkę. W ciągu czterdziestu lat nauczania postąpiłem tak zaledwie parę razy.

- I miało to miejsce w roku 1976?

- Nie, w siedemdziesiątym czwartym. - Profesor był bardzo zadowolony, że może wnieść poprawkę. A potem najwyraźniej przyszła mu do głowy nowa myśl. Jeszcze raz spojrzął na Pendergasta. - To chyba nie było morderstwo... prawda?

- Naprawdę, profesorze, dopóki nie uzyska pan zgody członka rodziny na udzielenie panu tej informacji... bo oczywiście zna pan jego rodzinę?

Twarz Ponsonby'ego spochmurniała. - Nie. Nikogo. Pendergast uniósł brwi, demonstrując zdumienie.

- Nie był związany z rodziną. Nie przypominam sobie, by



kiedykolwiek o kimś wspominał.

- Szkoda. Tak więc mówi pan, że Beckmann w siedemdziesiątym czwartym wyjechał do Europy, zaraz po dyplomie, i wówczas słyszał pan o nim po raz ostatni?

- Nie. Pod koniec sierpnia tamtego roku dostałem liścik ze Szkocji. Szykował się do opuszczenia jakieś rolniczej komuny, do której się przyłączył, i zmierzał do Włoch. Miałem wrażenie, że to pewien etap, przez który musi przejść. Prawdę mówiąc, przez te kilkadziesiąt lat spodziewałem się, że zobaczę jego nazwisko w którymś z czasopism albo usłyszę o otwarciu jego wystawy. Przez te lata często o nim myślałem. Panie Pendergast, naprawdę byłbym wdzięczny, mogąc dowiedzieć się tego, co może mi pan o nim powiedzieć.

Pendergast zrobił pauzę. - Byłoby to w wysokim stopniu sprzeczne z przepisami... - zawiesił głos.

D'Agosta musiał się uśmiechnąć. Pochlebstwo nie zadziałało, więc Pendergast wybrał inną taktykę. I teraz profesor błagał go o informacje.

- Z pewnością może mi pan przynajmniej powiedzieć, jak umarł. Fajka zgasła i Pendergast zaczekał, by profesor wyciągnął kolejną zapalną. Gdy ją zapalił, Pendergast przemówił. - Zmarł jako alkoholik w podrzędny hotelu w Yonkers i został pochowany na koszt państwa. Profesor upuścił płonąca zapalną, na jego twarzy odmalowało się przerażenie. - Dobry Boże, nie miałem pojęcia.

- Bardzo to tragiczne.

Profesor próbował ukryć wstrząs, otwierając pudełko zapalek, ale wypadło mu z drżących rąk i rozsypało się na ławce.

Pendergast pomógł pozbierać zapalną. Profesor jedną po drugiej

chował do trzęsącego się w jego dłoni pudełka. Odłożył fajkę na bok, niezapaloną. D'Agosta był zaskoczony, widząc, że stary człowiek ma mokre oczy - Taki znakomity student - powiedział właściwie do siebie.

Pendergast nie przerywał ciszy. Potem wyjął z kieszeni płaszcza należący do Beckmanna egzemplarz Żywotów malarzy i wręczył Ponsonby'emu.

Przez chwilę straszy pan chyba go nie rozpoznawał. Potem gwałtownie się poruszył. - Skąd pan to ma? - zapytał, pospiesznie chwytając książkę.

- Było wśród ruchomości należących do pana Beckmanna.

- To książka, którą mu dałem. - Kiedy otworzył ją na stronie z dedykacją, wypadła fotografia. - A to co? - zapytał, podnosząc zdjęcie.

Pendergast się nie odezwał, nie zadawał żadnych pytań.

- To on - powiedział Ponsonby, wskazując. - Właśnie takiego go pamiętam. Musiało zostać zrobione we Florencji jesienią.

- Florencja? - zapytał agent. - Mogło być zrobione w dowolnym miejscu we Włoszech.

- Nie, poznaję tę fontannę za nimi. To ta na Piazza Santo Spirito. Zawsze okupowana przez studentów. A tam, z tyłu, widać portone Palazzo Guadagni, nędznego studenckiego pensione. Powiedziałem „jesień”, bo tak są ubrani, ale sądzę, że mogło to być również wiosną.

Pendergast odebrał zdjęcie, a potem, bez dalszych wstępów, zapytał: - Pozostali studenci na zdjęciu też byli z Princeton?

- Nigdy wcześniej żadnego z nich nie widziałem. Musiał ich poznać we Florencji. Jak powiedziałem, Piazza Santo Spirito była

miejszem spotkań zagranicznych studentów. Nadal jest. - Zamknął książkę. Wyglądał na bardzo zmęczonego, głos mu się łamał. - Ranier... Ranier miał przed sobą tyle możliwości.

- Wszyscy się rodzimy, mając możliwości, profesorze. - Pendergast wstał, zawahał się. - Jeśli pan chce, proszę zatrzymać książkę.

Ale Ponsonby chyba go nie słyszał. Ramiona miał opuszczone i drżącą ręką masował sobie kręgosłup.

Gdy w gęstniejącym mroku wracali do Nowego Jorku, D'Agosta wiercił się na przednim siedzeniu. - Niesamowite, jak wydobyłeś z profesora wszystkie te informacje, a on się nawet nie zorientował. - I rzeczywiście, było to zdumiewające, ale też nieco smutne: mimo całej arogancji i pozy profesor wydał się bardzo poruszony śmiercią ulubionego studenta, nawet niewidzianego od trzydziestu lat.

Pendergast skinął głową. - Istnieje pewna zasada: im bardziej obiekt nie chce udzielić informacji, tym cenniejsze się okażą, gdy ich wreszcie udzieli. A informacje doktora Ponsonby'ego to czysty skarb. - Oczy błyszczały mu w ciemności.

- Wygląda na to, że spotkali się we Florencji jesienią siedemdziesiątego czwartego.

- Tak. I tam coś się stało, coś tak niezwykłego, że trzydzieści lat później zaowocowało przynajmniej dwoma morderstwami. - Odwrócił się do D'Agosty - Znasz powiedzenie „wszystkie drogi prowadzą do Rzymu”, Vincencie?

- Szekspir?

- Bardzo dobrze. W tym wypadku jednak wygląda na to, że wszystkie drogi prowadzą do Florencji. I właśnie tam powinna poprowadzić nasza droga.

- Do Florencji?

- Owszem. Bullard bez wątpienia też tam zmierza, jeśli już nie dotarł na miejsce.

- Cieszę się, że nie będzie żadnych dyskusji na temat mojego wyjazdu - stwierdził D'Agosta.

- Sam lepiej bym tego nie wyraził, Vincencie. Twoja policyjna intuicja jest znakomita. Sprawność strzelecka zdumiewająca. Wiem, że mogę ci ufać w trudnej sytuacji. A szanse, że się w takowej znajdziemy, są, obawiam się, dość spore. Więc jeśli nie masz nic przeciwko ponownemu wyjęciu laptopa, zarezerwujemy sobie teraz bilety Pierwsza klasa, jeśli pozwolisz, powrót otwarty.

- Kiedy wyjazd?

- Jutro rano.



D'Agosta podjechał taksówką do rogu Sto Trzydziestej Szóstej i Riverside. Po tym, co się wydarzyło przy okazji jego pierwszej wizyty w walącej się rezydencji Pendergasta, za cholerę nie zamierzał zdawać się na transport publiczny. A jednak ostrożność nakazała mu wysiąść kwartał wcześniej. Jakoś czuł, że Pendergast tak by wolał.

Wyciągnął z tylnego siedzenia walizkę, wręczył kierowcy piętnaście dolarów. - Reszta dla pana - powiedział.

- Obojętne. - I taksjusz ruszył. Przed hotelem, widząc D'Agostę z bagażem, najwyraźniej miał nadzieję na kurs na lotnisko - i nie był zachwycony, kiedy się dowiedział, że prawdziwym celem podróży jest Harlem.

D'Agosta odprowadził wzrokiem taksówkę, która pełnym gazem skręciła na najbliższym rogu i zniknęła mu z oczu. Potem uważnie przyjrzał się Riverside Drive, góra, dół, sprawdził okna, ganki, ciemne przestrzenie między słupami latarni. Wyglądało na to, że wszędzie spokój. Chwycił walizkę i rażnym krokiem ruszył na północ.

Przygotowania do podróży zajęły mu jakieś pół godziny. Nie zawracał sobie głowy telefonem do żony - w obecnej sytuacji następnym razem pewnie skontaktuje się z nim przez prawnika. Komendant MacCready z Southampton był zachwycony, słysząc o nieplanowanej podróży w ramach zmodyfikowanych obowiązków

oficera łącznikowego z FBI. Szef aż się gotował z powodu powolnych postępów w śledztwie, a to było coś, co mógł rzucić miejscowej prasie: „Oficer policji z Southampton wysłany do Włoch, by zbadać świeży trop”. Ponieważ mieli wyjechać o świcie, Pendergast zaproponował, żeby obaj spędzili tę noc w Nowym Jorku, u niego na Riverside Drive. No więc oto był, z bagażem w rękę. Zaledwie za parę godzin stanie na ziemi swoich przodków. Myśl jednocześnie radosna i wymagająca ostrożnego namysłu.

Zbliżając się do końca kwartału, pomyślał, że żałuje tylko jednego, rozkwitającej znajomości z Laurą Hayward. Chociaż w ostatnich dniach gwałtowne tempo rozwoju wydarzeń nie pozwalało im się spotkać, D'Agosta zdał sobie sprawę, że pierwszy raz od prawie dwudziestu lat zaczął odczuwać to stałe podskórne mrowienie związane z etapem zalotów. Kiedy zadzwonił do niej z hotelu, chcąc powiedzieć, że rano będzie towarzyszył Pendergastowi do Włoch, w słuchawce na kilka sekund zapadła cisza. A potem Laura stwierdziła po prostu: - Uważaj na siebie, Vinnie.

- Miał cholerną nadzieję, że ten krótki wyjazd niczego nie popsuje.

Przed nim wznosiła się rezydencja przy Riverside pod numerem osiemset dziewięćdziesiąt jeden, ostre zarysy barierki tarasu na dachu kłuły wieczorne niebo. Przeciął ulicę, a potem prześlizgnął się przez żelazną bramę i poszedł podjazdem do sklepionej bramy. Na pukanie odpowiedział Proctor, który bez słowa odprowadził go przez rozbrzmiewające echem galerie i obwieszane gobelinami pokoje do biblioteki. Wydawało się, że oświetla ją tylko żywy ogień, który płonął w kominku. Zaglądając do wielkiego, obstawionego książkami pomieszczenia, wypatrzył Pendergasta pod ścianą w głębi. Agent stał

plecami do drzwi przed długim stołem, pisząc coś na kartce kremowego papieru. D'Agosta słyszał trzaskanie ognia, skrzypienie pióra. Constance nigdzie nie zauważył, ale zdawało mu się, że dotarł do niego - na granicy słyszalności - odległy, żałobny dźwięk skrzypiec.

D'Agosta odchrząknął i zapukał w futrynę.

Na ten dźwięk Pendergast szybko się odwrócił. - A, Vincent. Wchodź. - Wsunął kartkę do drewnianego pudełka wyłożonego macią perłową, które stało na stole. Potem uważnie zamknął pudełko i odsunął na bok. D'Agosta odniósł wrażenie, że Pendergast starał się ochronić jego zawartość przed przypadkowym spojrzeniem.

- Miałbyś ochotę na coś na pokrzepienie? - zapytał, idąc przez pokój. - Koniak, calvados, armaniak, budweiser? - Chociaż głos Pendergasta brzmiał zwyczajnie, ze spokojnym, charakterystycznym dla południowego akcentu przeciąganiem, agent miał w oczach dziwny błysk, jakiego D'Agosta nigdy wcześniej nie widział.

- Nie, dziękuję.

- Ja w każdym razie się poczęstuję, jeśli pozwolisz. Siadaj, proszę.

- I podszedł do kredensu, po czym nalał do sporej koniakówki bursztynowego płynu na dwa palce.

D'Agosta uważnie go obserwował. W ruchach Pendergasta było coś nietypowego, dziwna niepewność, która - w połączeniu z wyrazem twarzy - niepokoiła w trudny do sprecyzowania sposób.

- Co się stało? - zapytał D'Agosta bezceremonialnie. Pendergast nie odpowiedział od razu. Odstawił karafkę, podniósł koniakówkę i usiadł na skórzanej sofie naprzeciw sierżanta. Z namysłem pociągnął łyk, potem drugi.

- Być może mogę ci powiedzieć - odezwał się w końcu cicho, jakby podejmując decyzję. - Prawdę mówiąc, jeżeli ktokolwiek ma wiedzieć, sądzę, że tą osobą powinienesz być ty.

- Co wiedzieć? - zapytał D'Agosta.

- Przyniesiono to pół godziny temu - powiedział Pendergast. - Nie mogło się zjawić w gorszym momencie. W każdym razie nic się na to nie da poradzić; za daleko zaszliśmy ze sprawą, żeby teraz zmieniać kierunek.

- Co przyniesiono?

- To. - Pendergast ruchem głowy wskazał złożony list na stole pomiędzy nimi. - Proszę, weź go, podjąłem już odpowiednie środki ostrożności.

D'Agosta niedokładnie rozumiał, co to miało znaczyć, ale pochylił się, podniósł list i ostrożnie go rozłożył. Piękny papier, najwyraźniej ręcznie czerpany. Na górze kartki znajdowała się tłoczona tarcza herbowa: otwarte oko ponad dwoma księżycami i szykującym się do skoku lwem pod spodem. W pierwszej chwili miał wrażenie, że kartka jest pusta, ale potem zobaczył. Pięknym, staroświeckim charakterem pisma na środku strony małymi cyframi wypisano datę: „28 stycznia”. Jakby gęsim piórem.

D'Agosta odłożył list. - Nie rozumiem.

- To od mojego brata Diogenesa.

- Brata? - zapytał zaskoczony - Myślałem, że nie żyje.

- Dla mnie jest martwy. A przynajmniej był, do niedawna. D'Agosta czekał. Wiedział, że lepiej się nie odzywać. Pendergast mówił z wahaniem, zdania niemal się rwały, jakby uważał poruszany temat za nieznośnie odpychający.



Agent pociągnął następny łyk armaniaku. - Vincencie, przez moją rodzinę od wielu pokoleń biegnie linia szaleństwa. Czasami przybierało ono formę łagodną, czasami wręcz korzystną. Częściej jednak, obawiam się, objawiało się poprzez zdumiewające okrucieństwo i zło. Niestety, ta ciemna strona w pełni rozkwitła w obecnym pokoleniu. Widzisz, brat mój, Diogenes, jest jednocześnie najbardziej szalonym, najbardziej złym i najbardziej błyskotliwym członkiem naszej rodziny, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi. Było to dla mnie jasne już w bardzo młodym wieku. W tej sytuacji to błogosławieństwo, że jesteśmy dwoma ostatnimi z rodu.

D'Agosta czekał.

- Jako dziecko Diogenes zabawiał się pewnymi... eksperymentami. Zaprojektował wysoce skomplikowane maszyny do przywabiania, chwytania i torturowania małych zwierząt. Myszy, królików, oposów. Urządzenia te były w potworny sposób genialne. Fabryki bólu, jak z dumą je nazwał, kiedy w końcu zostały odkryte. - Pendergast przerwał. - Jego zainteresowania stały się wkrótce bardziej egzotyczne. Zaczęły ginąć domowe zwierzęta - najpierw koty, potem psy - nigdy ich nie odnaleziono. Całe dni spędzał w galerii portretów, wpatrując się w obrazy naszych przodków... szczególnie tych, których spotkał przedwczesny koniec. Gdy podrósł - i zdał sobie sprawę, że jest obserwowany z coraz większą czujnością - porzucił te zajęcia i zamknął się w sobie. Swoje czarne marzenia i potworną kreatywność przelewał na papier, pisząc w ukryciu dzienniki. Trzymał je dobrze schowane. Właściwie nawet bardzo dobrze - jako nastolatek potrzebowałem dwóch lat potajemnych poszukiwań, żeby je odkryć. Przeczytałem tylko jedną stronę, ale to wystarczyło. Nigdy

tego nie zapomnę, jak długo będę żył. Po tym świat nigdy nie był dla mnie taki sam. Nie muszę mówić, że natychmiast spaliłem te dzienniki. Przedtem mnie nienawidził, ale mój postępek wzbudził jego dozgonną wściekłość.

Pendergast pociągnął kolejny łyk, a następnie odsunął nieopróznioną do końca koniakówkę.

- Ostatni raz widziałem Diogenesa w dniu, gdy skończył dwadzieścia jeden lat. Właśnie uzyskał dostęp do swojego majątku. Powiedział, że planuje potworną zbrodnię.

- Jedną zbrodnię? - powtórzył D'Agosta.

- Nie zdradził żadnych szczegółów. Jedyne, na czym mogę się oprzeć, to użycie przez niego słowa „potworna”. Aby coś było potworne dla niego... - głos Pendergasta zamarł, po czym agent podjął energicznie. - Wystarczy powiedzieć, że będzie to przekleństwem dla racjonalnego umysłu. Tylko on, w swoim niezmiernym szaleństwie, będzie w stanie zrozumieć uczynione zło. Jak, kiedy, gdzie, przeciw komu - nie mam pojęcia. Zniknął właśnie tamtego dnia, zabierając ze sobą odziedziczony majątek, i od tamtej chwili nie widziałem go ani o nim nie słyszałem. Do tej pory. To jego druga wiadomość dla mnie. Pierwsza zawierała tę samą datę. Nie byłem pewien, co znaczy. Zjawiła się dokładnie sześć miesięcy temu - a teraz to. Teraz znaczenie jest już oczywiste.

- Nie dla mnie.

- Ostrzega mnie. Zbrodnia będzie miała miejsce za dziewięćdziesiąt jeden dni. To wyzwanie dla mnie, znenawidzonego brata. Podejrzewam, że jego plany są teraz gotowe. Ten list stanowi odpowiednik rzucenia mi do stóp rękawicy, żebym spróbował go

powstrzymać.

D'Agosta wpatrywał się w złożony list z przerażeniem. - I co masz zamiar zrobić?

- Jedyne, co mogę. Rozwiążę naszą obecną sprawę najszybciej, jak się da. Dopiero potem mogę zmierzyć się ze swoim bratem.

- A jeśli go znajdziesz? Co wtedy?

- Muszę go znaleźć - stwierdził Pendergast z cichą zawziętością. - A kiedy znajde... - Zamilkł. - Uporam się z sytuacją w stosownie ostateczny sposób.

Wyraz twarzy agenta był tak okropny, że D'Agosta odwrócił wzrok.

Przez długą chwilę w bibliotece panowała cisza. Wreszcie Pendergast się otrząsnął. Rzut oka wystarczył; D'Agosta zrozumiał, że temat był zamknięty.

Agent odezwał się swoim zwykłym, profesjonalnym, pozbawionym emocji tonem. - Ponieważ jesteś oficerem łącznikowym z policją w Southampton, wydawało się logiczne zaproponować właśnie ciebie jako łącznika FBI z nowojorską policją. Sprawa zaczęła się w Stanach, więc tu może się też zakończyć. Przy współpracy kapitan Hayward tak wszystko zorganizowałem, że będziesz naszym łącznikiem, co wymaga, abyś regularnie kontaktował się z nią przez telefon i mailem.

D'Agosta kiwnął głową.

Pendergast mu się przyglądał. - Sądzę, że uznasz taki układ za satysfakcjonujący?

- Jak najbardziej. - D'Agosta miał nadzieję, że się nie rumieni. „Czy jest coś, o czym ten facet nie wie?”

- Bardzo dobrze. - Pendergast się podniósł. - A teraz muszę się spakować przed drogą i krótko pomówić z Constance. Ona oczywiście zostaje, aby zarządzać zbiorami i w razie potrzeby przeprowadzić dla nas dodatkowe badania. Proctor zadba o twoją wygodę. Gdybyś czegoś potrzebował, dzwoń bez skrupowania.

Wstał, podał D'Agoście rękę. - Buona notte. I przyjemnych snów.

Pokój, do którego zaprowadzono D'Agostę, znajdował się na drugim piętrze, okna wychodziły na tył domu. Dokładnie taki, jakich nie znosił: słabo oświetlony, z wysokim sufitem, ciemnymi tapetami z gnieczonego aksamitu i ciężkimi mahoniowymi meblami. Pachniał starymi tkaninami i drewnem. Ściany zawieszono obrazami w ciężkich złotonych ramach, pejzażami i martwymi naturami, było także kilka studiów w oleju, które przy bliższych oględzinach okazały się dziwnie niepokojące. Drewniane okiennice w wielodzielnych oknach szczelnie zamknięto i przez grube kamienne ściany nie przedostawały się żadne hałasy z zewnątrz. Poza tym jednak pokój, podobnie jak reszta domu, był nieskazitelnie czysty, wyposażenie nowoczesne, a wielkie wiktoriańskie łóżko, kiedy się wreszcie położył, wyjątkowo wygodne i ze świeżymi, czystymi prześcieradłami. Poduszki zostały przewietrzone i wytrzepane przez jakąś niewidzialną gospodynię, kołdra, kiedy ją na siebie naciągnął, okazała się luksusowa, gruba i puchowa. Wszystko w pokoju wydawało się gwarantować idealny nocny odpoczynek.

A jednak sen nie nadchodził. D'Agosta leżał w łóżku z oczami utkwionymi w sufit i długo, długo myślał o Diogenesie Pendergaście.

Locke Bullard siedział na tylnym siedzeniu mercedesa, który sunął wzdłuż Viale Michelangelo ponad Florencją, mijając wspaniałe osiemnastowieczne wille najzamożniejszych florentczyków, ukryte za wysokimi murami i potężnymi żelaznymi bramami. Kiedy limuzyna mijiała Piazzale, Bullard ledwie spojrział na olśniewający widok na Duomo, Palazzo Vecchio i rzekę Arno. Samochód zjechał w kierunku starożytnego łuku Porta Romana.

- Jedź przez starówkę - powiedział Bullard.

Kierowca pokazał swoje permesso policjantowi pełniącemu służbę przy bramie i limuzyna potoczyła się krętymi uliczkami na północ, potem na zachód, wyjeżdżając przez inną bramę w starożytnych murach otaczających miasto. Renesansowe palazzi ustąpiły miejsca skromnym dziewiętnastowiecznym kamieniczkom, te z kolei zostały wyparte przez anonimowe budynki mieszkalne postawione w połowie wieku, a dalej przez ohydne konstrukcje i wieżowce z szarego betonu. Żadnych dróg szybkiego ruchu, tylko labirynt zakorkowanych uliczek i niszczejących fabryk, tu i ówdzie ogródek warzywny albo winnica o powierzchni kilkuset stóp kwadratowych.

Po pół godzinie limuzyna wlokła się przez odrapane ulice Signy, jednego z najbrzydszych przedmieść przemysłowych, szarego ciągu budynków leżącego na terenie zalewowym Arno. Na betonowych balkonach w nieruchomym, martwym powietrzu wisiało pranie.

Jedyny akcent przypominający, że to piękna Toskania, stanowiły odległe, zielone wzgórza Carmignano, z których jedno wieńczyła ledwo widoczna sylwetka zamku.

Bullard nic nie widział przez przyciemnione szyby, nie odzywał się do szofera. Jego poznaczona dziobami twarz była całkiem bez wyrazu, głęboko osadzone oczy zimne pod wydatnymi łukami brwiowymi.

Jedynie, co zdradzało wielkie napięcie, to powoli pulsujące mięśnie zuchwy, raz za razem napinające się i rozluźniające.

Na koniec limuzyna skręciła w ślepią uliczkę i podjechała do lichego płotu z siatki z bramą i budką strażnika. Dalej nieskończone przedmieście się urywało i zaczynał się nowy, zaskakujący świat. Świat ciemnych drzew, winorośli z mnóstwem porośniętych bluszczem kopców i pagórków.

Limuzyna została sprawdzona, a następnie wpuszczona w ten mroczny, fantastyczny krajobraz. Z bliska zielone kształty można było opisać jako zrujnowane budynki, tak zatopione w pnączach, że wyglądały na naturalne urwiska. Nie były to jednak starożytne ruiny, jakich wiele widuje się we Włoszech. Turyści nigdy nie zwiedzali tych rozpadających się murów. Ruiny pochodziły zaledwie z pierwszych dziesięcioleci dwudziestego wieku. Limuzyna sunęła pośród nich jak rekin, mijając stare budynki mieszkalne, wysadzone drzewami bulwary, rzędy niegdyś ładnych domów, zarośnięte bocznicę kolejowe i zniszczone laboratoria oraz dominujący nad wszystkim ogromny komin, który strzelał na wysokość trzydziestu pięter w błękitne tokańskie niebo. Jediną wskazówkę, czym to wszystko kiedyś było, stanowiły wyblakłe resztki znaku firmowego

wymalowanego na kominie, z nadal czytelnym napisem „NOBEL S.G.E.M.”

Zabezpieczenia wydawały się na pozór kiepskie. Ogrodzenie z siatki, które ciągnęło się wzdłuż granicy terenu, było stare i zniszczone. Grupa energicznych nastolatków mogłaby je z łatwością sforsować. A jednak ruiny nie zdradzały żadnego śladu obecności intruzów. Żadnych śmieci, graffiti, żadnych pozostałości po ogniskach ani potłuczonych butelek po winie.

Limuzyna powoli kluczyła w labiryncie zachwaszczonych dróg, mijając łukiem szereg ogromnych magazynów, teraz pustych, z oknami jak martwe oczy, z kępkami poziomek wokół spękanych ścian. Samochód przejechał przez łuk w starej ceglanej ścianie, mijając kolejne ruiny, sterty cegieł i pokruszonego betonu, i dotarł do drugiej bramy. Ta była znacznie bardziej nowoczesna niż pierwsza – wmontowana w nowoczesny podwójny płot z odpornej na eksplozję siatki, zwieńczona lśniącoymi zwojami drutu kolczastego i otoczona szerokim polem czujników ruchu.

I znów limuzyna została skontrolowana, tym razem znacznie dokładniej, zanim brama automatycznie obróciła się na dobrze naoliwionych zawiasach.

W oczy uderzał teraz szokujący kontrast. Zza ostatniej rozpadającej się, tonącej w zieleni fasady wyłaniał się starannie przystrzyżony trawnik, który ciągnął się aż do lśniącego budynku ozdobionego tytanem i szkłem, arcydzieła architektury schowanego wśród ruin. Wokół rosły perfekcyjnie przycięte i ukształtowane krzewy. Automatyczny zraszacz wyrzucał łuk wody lśniącej tęczowo w silnym florenckim słońcu.

Przed budynkiem stało trzech mężczyzn. Gdy czarny samochód się zatrzymał, jeden z nich, wyraźnie podekscytowany, ale usilnie starający się to ukryć, podszedł i otworzył drzwi.

- Bentornato, signor Bullard - powiedział.

Bullard wysiadł, jego ogromna twarz nadeła się, kiedy się prostował. Nie zwracając uwagi na wyciągnięte do uścisku dłonie, wygiął plecy w łuk, przeciągnął się. Wydawało się, że patrzy ponad głowami mężczyzn, jakby w ogóle nie istnieli. Jego wielka, brzydka, poznaczona nierównościami twarz stanowiła nieprzeniknioną maskę.

- Byłoby nam miło, gdyby zjadł pan z nami obiad, zanim...

- Gdzie to jest? - przerwał Bullard. Nastąpiła pełna konsternacji cisza. - Proszę tędy.

Grupka zawróciła, a Bullard podążył za nimi wyłożoną wapieniem alejką do chłodnego wnętrza budynku. Przeszli korytarzem przez dwoje automatycznych drzwi. Przy każdym z nich prowadzący grupę musiał poddać się skanowaniu siatkówki.

W pewnym momencie Bullard zatrzymał się i zajrzał do pomieszczenia, do którego wchodziło się z korytarza. Pozostali przystanęli w oczekiwaniu. W środku znajdowało się laboratorium wypełnione sprzętem, z tablicami zapisanymi wzorami.

Wkroczył do pomieszczenia, spojrzął na pobliski stół zastawiony czymś, co wyglądało jak stożki ochronne rakiet. Każdy z nich był pomalowany na inny kolor, w każdy wbita była plakietka na szpilce z zapisanymi wzorami chemicznymi. W nagłym wybuchu wściekłości Bullard podniósł rękę i zmiotł stożki ze stołu. Następnie odwrócił się i bez słowa poszedł dalej korytarzem.

Doszli do trzecich drzwi, grubszych i mniejszych niż pozostałe,



wykonanych z nierdzewnej stali i mosiądzu.

Z tyłu dobiegło wołanie. Wszyscy się odwrócili.

Wielkimi krokami zbliżał się do nich elegancko ubrany mężczyzna, blady ze złości. - Stop - powiedział. - Io domando una spiegazione, signor Bullard, anche da Lei. Domagam się wyjaśnień, nawet od pana. - Zagroził im drogę, o połowę niższy od Bullarda, niemal szlachetny w swoim dostojnym oburzeniu.

Błyskawiczny ruch, po nim stęknienie i mężczyzna osunął się na ziemię uderzony w brzuch. Jęczał, trzymał się za przepoń. Bullard wymierzył mu czubkiem buta potężnego kopniaka, tak silnego, że wszyscy usłyszeli pęknięcie żeber. Mężczyzna z trudem chwycił powietrze i zwinął się z bólu.

Bullard odwrócił się do jednego z mężczyzn. - Zwolniłem tego człowieka. Martinetti wtargnął tu nielegalnie. Z przykrością stwierdzam, że stawiał opór, rzucił się na pracownika ochrony, który musiał go obezwładnić.

Odwrócił się do jednego z eskortujących ich ochroniarzy. - Słyszałeś, co powiedziałem?

- Tak, proszę pana - odpowiedział ochroniarz z amerykańskim akcentem.

- Proszę wykonać.

- Tak jest.

- Proszę zadzwonić do funkcyjnego, żeby usunął tego człowieka i przygotował przeciwko niemu oskarżenie o wtargnięcie. - Bullard przekroczył leżącą twarzą do podłogi postać i sam spojrzął w skaner siatkówki. Szczęknął ustępujący metal, po czym drzwi skarbca się otworzyły, ukazując wypolerowaną stal i mosiądz. Za nimi

znajdowało się niewielkie pomieszczenie. Z jednej strony leżały twarde dyski, zamknięte w przezroczystych plastikowych pudłach i starannie ułożone w plastikowych szafach na akta. Po drugiej stronie miała prostokątna skrzynka z polerowanego orzecha, otoczona skomplikowanymi urządzeniami elektronicznymi. Były tam czujniki klimatyzatora, czytniki wilgotności, sejsmograf, analizator gazu, barometry i termometry. Bullard podszedł do skrzynki, podniósł ją delikatnie za uchwyt. Była tak lekka, że w potężnym uścisku Bullarda zdawała się nic nie ważyć. Odwrócił się.

- Chodźmy.

- Panie Bullard, może zechciałby pan sprawdzić zawartość?

Bullard odwrócił się do mężczyzny, który to powiedział. - Sprawdzę już niedługo. Jeżeli ich tam nie ma, utrata pracy będzie panów najmnijszym zmartwieniem.

- Tak jest.

W pokoju panowało wyczuwalne napięcie. Mężczyźni niespokojnie przestępowali z nogi na nogę, najwyraźniej nie mając ochoty wyjść. Bullard przepchnął się obok nich, zaczął schylać się, aby przejść przez drzwi sejfów, odwrócił się. - Idą panowie?

Mężczyźni wyszli. Drzwi zamknęły się za nimi z sykiem. Bullard ponownie przestąpił nad leżącym Martinettim i minął troje drzwi, mężczyźni tuż za nim, słychać było tylko stukanie obcasów o lśniącą podłogę korytarza. Kilka minut później był z powrotem przy krawężniku, gdzie beczynnie stała limuzyna. Mężczyźni niepewnie przystanęli na chodniku, patrząc na Bullarda. Nikt już nie wspominał o obiedzie.

Nie oglądając się, Bullard wszedł do samochodu i zatrzasnął drzwi.

- Do willi - powiedział, ostrożnie kładąc drewnianą skrzynkę na kolanach.

D'Agosta stał w oknie swojego apartamentu w hotelu „Lungarno”, wpatrując się w ziemną zieleń Arno, bladą żółć pałaców Florencji stojących wzdłuż jej obu brzegów, w Ponte Vecchio z jego krzywymi budynkami usadowionymi nad wodą. Czuł się dziwnie, jakby na coś czekał, trochę też kręciło mu się w głowie. Nie był pewien, czy to zmiana czasu, przepych otoczenia, czy fakt, że pierwszy raz w życiu znalazł się w kraju swego pochodzenia.

Ojciec D'Agosty opuścił Neapol ze swoimi rodzicami jako chłopiec, zaraz po wojnie, uciekając przed potwornym głodem roku czterdziestego czwartego. Osiedlili się na ulicy Carmine w Nowym Jorku. Jego ojciec Vito, rozwścieczony rosnącą siłą mafii, zareagował na to, zostając nowojorskim gliną, i to cholernie dobrym. Jego odznaka i nagrody nadal stały za szkłem na kominku jak święte relikwie: policyjny krzyż za odwagę, medal honorowy D'Agosta dorastał na ulicy Carmine otoczony włoskimi imigrantami z Neapolu i Sycylii, zanurzony w języku, religii, cyklicznych obchodach dni różnych świętych, uroczystościach. Od czasów dzieciństwa Włochy miały dla niego charakter miejsca mistycznego.

A teraz tu był.

Poczuł narastający ścisk w gardle. Nie spodziewał się, że może to być tak poruszające doświadczenie. Ziemia jego przodków sprzed tysiącleci. Włochy stanowiły kolebkę tak wielu rzeczy: sztuki,

architektury, rzeźby, muzyki, nauki i astronomii. Przez głowę przewijały mu się wielkie nazwiska z przeszłości: Oktawian August, Cycero, Owidiusz, Dante, Krzysztof Kolumb, Leonardo da Vinci, Michał Anioł, Galileusz... Lista ciągnęła się przez ponad dwa tysiące lat. D'Agosta miał pewność, że żaden inny naród na ziemi nie dał światu takich geniuszy.

Otworzył okno i nabrał powietrza. Jego żona nigdy nie rozumiała ogromnej dumy z własnego dziedzictwa. Zawsze uważała to uczucie za trochę niemądre. Cóż, nic dziwnego. Była Angielką. A co takiego zrobili Anglicy poza nagryzmoleniem paru sztuk i wierszy? Włochy były miejscem narodzin zachodniej cywilizacji. Ziemią jego przodków. Któregoś dnia zabierze tu swojego syna Vinniego...

Rozkoszną zadumę przerwało mu pukanie do drzwi. Człowiek z obsługi z jego bagażem.

- Gdzie mam to położyć, proszę pana? - zapytał po angielsku. D'Agosta wykonał szeroki gest dłonią i nonszalancko przeszedł na włoski. - *Boun giorno guaglione. Pe' piacere' lassate i valige abbecino o liett', grazie.*

Mężczyzna dziwnie na niego spojrział, D'Agostie wydało się, że zauważył coś jakby pogardę. - Przepraszam? - zapytał po angielsku.

D'Agosta poczuł lekką falę irytacji. - *I valige, aggia ritt', mettitele' alla.* - Wskazał na łóżko.

Służący umieścił bagaż przy łóżku. D'Agosta przeszukał kieszenie, ale nie mógł znaleźć nic mniejszego niż banknot o nominale pięciu euro. Wręczył go mężczyźnie.

- *Grazie, signore, Lei e molto gentile. Se Lei ha bisogno di qualsiasi cosa, mi dica* - odparł ten i wyszedł.

D'Agosta nie zrozumiał ani słowa z tego, co powiedział po „Grazie, signore”. Zupełnie nie brzmiało to jak język, którym mówiła jego babka. Pokręcił głową. Pewnie florencki akcent wprowadzał go w błąd, wiedział, że aż tyle nie zapomniał. Włoski był w końcu jego pierwszym językiem.

Rozejrzał się. Pokój nie przypominał żadnego, w jakim wcześniej się zatrzymywał. Szczyt czystego, dyskretnego smaku i elegancji. Do tego olbrzymi, prawie apartament, poważnie, z sypialnią, salonem, marmurową łazienką, kuchnią i dobrze zaopatrzonym barem, z oknami wychodzącymi na Arno, Ponte Vecchio, Galerię Uffizi, wielką kopułę Duomo. Musiał kosztować majątek, ale D'Agosta już dawno przestał się martwić tym, jak Pendergast wydawał swoje pieniądze, jeśli faktycznie to on opłacił. Facet pozostał jak zawsze tajemniczy.

Kolejny raz rozległo się delikatne pukanie do drzwi i D'Agosta otworzył. Pendergast. Detektyw wciąż ubrany w swoją zwykłą czerń - która z jakiegoś powodu tu, we Florencji, wydawała się bardziej na miejscu niż w Nowym Jorku - wślizgnął się do środka. W ręku niósł plik papierów.

- Czy kwatery jest zadowolająca, Vincencie?

- Trochę ograniczony widok na jakiś parszywy stary most, ale przywyknę.

Pendergast usiał na sofie i wręczył D'Agostie papiery. - Znajdziesz tu permesso di soggiorno, pozwolenie na broń, zgodę na prowadzenie dochodzenia z Questury, swój codice fiscale i kilka różnych rzeczy do podpisu - wszystko dzięki uprzejmości hrabiego.

D'Agosta wziął papiery. - Fosco?

Pendergast skinął głową. - Włoska biurokracja działa powoli, a

pocziwy hrabia w naszej sprawie delikatnie pchnął ją do przodu.

- Jest tutaj? - zapytał bez entuzjazmu D'Agosta.

- Nie. Może przyjechać później. - Pendergast wstał i podszedł do okna. - Tam jest palazzo jego rodziny, za rzeką, obok pałacu Corsini.

D'Agosta zerknął na średniowieczny budynek z murem zwieńczonym blankami. - Niezła chałupa.

- Rzeczywiście. Należy do jego rodziny od końca trzynastego wieku.

Znów pukanie do drzwi.

- 'Trasite' - zawołał D'Agosta, dumny, że może użyć włoskiego w obecności Pendergasta.

Ponownie wszedł człowiek z obsługi, niosąc kosz owoców. - Signori?

- *Faciteme stu paicere' lassatele 'ngoppa' o' tavule.*

Służący nie wykonał ruchu w stronę stołu, zamiast tego zapytał po angielsku: - Gdzie mam to postawić?

D'Agosta zerknął na Pendergasta i zobaczył w jego oczach błysk rozbawienia.

- *O' tavule* - odparł ostrzejszym tonem.

Mężczyzna stał z owocami w ręku, przenosząc spojrzenie ze stołu na biurko, wreszcie ustawił kosz na biurku. D'Agosta poczuł gwałtowną złość z powodu tego celowego braku zrozumienia. Czy nie dał wystarczająco wysokiego napiwku? Mimowolnie popłynęły mu z ust słowa, które tak często słyszał od własnego ojca. - *Allora qual'e o problema', si surdo? Nun mi capisci'i? Ma che e parl' o francese? Mannaggi' 'a miseria'.*

Mężczyzna wycofał się z pokoju zmieszany. D'Agosta odwrócił się

do Pendergasta i znalazł agenta bez powodzenia zmuszającego się do jakże niecodziennego wysiłku ukrycia wybuchu wesołości.

- Co cię tak bawi? - zapytał D'Agosta.

Pendergast zdołał zapanować nad twarzą. - Vincencie, nie wiedziałem, że taki z ciebie talent językowy.

- Włoski był moim pierwszym językiem.

- Włoski? Więc mówisz też po włosku?

- Jak to też? A myślisz, że teraz mówiłem po jakimś, do cholery?

- Na moje ucho brzmiało to wybitnie jak neapolitański, który często bywa nazywany włoskim dialektem, ale w rzeczywistości stanowi odrębny język. Fascynujący język, owszem, ale oczywiście niezrozumiały dla florentczyka.

D'Agosta zamarł. Neapolitański dialekt? Taka myśl nigdy nie przyszła mu do głowy. Jasne, w Nowym Jorku, tam, gdzie dorastał, były oczywiście rodziny, które mówiły w dialekcie sycylijskim, ale przyjął za pewnik, że jego własny język to prawdziwy włoski. Neapolitański? Nie ma mowy. On mówił po włosku.

Pendergast, widząc wyraz jego twarzy, mówił dalej. - Kiedy w 1871 Włochy zostały zjednoczone, istniało sześćset dialektów. Rozpętała się debata, jakim językiem powinien mówić nowy kraj. Rzymianie uważali, że ich dialekt jest najlepszy, byli w końcu Rzymem. Mieszkańcy Perugii, że ich jest najczystszy, ponieważ tam mieścił się najstarszy w Europie uniwersytet. Florentczycy sądzili, że najbardziej poprawny jest dialekt florencki, ponieważ to język Dantego. - Znow się uśmiechnął. - Dante wygrał.

- Nie wiedziałem.

- Ale ludzie dalej mówili swoimi dialektami. Nawet w czasach,



kiedy twoi rodzice wyemigrowali, tylko niewielka część obywateli używała oficjalnego włoskiego. Dopiero pojawienie się telewizji sprawiło, że Włosi zaczęli porzucać dialekty i mówić jednym językiem. To, co uważasz za włoski, jest w rzeczywistości dialektem z Neapolu, bogatym, lecz niestety, ginącym językiem z domieszkami hiszpańskiego i francuskiego.

D'Agosta był oszołomiony.

- Kto wie? Może nasze badania poprowadzą na południe, gdzie będziesz mógł zabłysnąć. Ale na razie, ponieważ zbliża się czas kolacji, pójdziemy coś przekąsić? Znam cudowną małą osteria na Piazza Santo Spirito, gdzie znajduje się też ciekawa fontanna, która, jak sądzę, może być interesująca dla naszego śledztwa.

Pięć minut później szli krętymi średniowiecznymi ulicami Florencji, które doprowadziły ich do sporego, przestronnego placu ocienionego kasztanowcami i z trzech stron zamkniętego uroczymi renesansowymi budynkami, ozdobionymi stiukami w odcieniach kości słoniowej, żółci i ochry. Od strony najbliższej rzece dominowała prosta fasada Chiesa di Santo Spirito, surowa w swej prostocie. W centrum placu radośnie pluskała stara marmurowa fontanna. Dookoła gromadzili się studenci z plecakami, palili i rozmawiali.

Pendergast niedbałym ruchem wyjął z kieszeni zdjęcie Beckmanna, podniósł, patrząc na fontannę, a potem powoli okrążył plac, dopóki nie dopasował widoku tła. Przyglądał się przez długą chwilę. Następnie schował zdjęcie.

- Tu stała ta czwórka, Vincencie - wskazał. - A tam z tyłu znajduje się Palazzo Guadagni, obecnie służący jako pensione dla studentów. Udamy się tam jutro, żeby sprawdzić, czy zapamiętano któregoś z

naszych przyjaciół, chociaż nie robię sobie zbyt wielkich nadziei. Ale zajmijmy się kolacją. Czuję apetyt na linguini z białymi truflami.

- Naprawdę wystarczyłby cheeseburger z frytkami. Pendergast odwrócił się do niego z nieszczęśliwą miną. Dagosta uśmiechnął się nieszczercze. - Tylko żartowałem.

Powoli przeszli przez plac do małej restauracji „Osteria Santo Spirito”. Stoły wystawiono na zewnątrz, ludzie jedli i pili wino, w powietrzu unosiły się ożywione rozmowy.

Pendergast zaczekał, aż wskazano im stolik, potem gestem nakazał D'Agostie siadać. - Muszę stwierdzić, Vincencie, że ostatnio wyglądasz zdrowiej.

- Ćwiczę. A po wycieczce do parku Riverside zająłem się też odświeżeniem umiejętności strzeleckich.

- Twoja umiejętność obchodzenia się z bronią jest legendarna. Może się przydać podczas drobnej przygody, którą przeżyjemy jutro wieczorem.

- Przygody? - D'Agosta był zmęczony, ale na Pendergasta zmiana czasu najwyraźniej podziałała energetyzująco.

- Jedziemy do Signy odwiedzić tajne laboratorium Bullarda. Po południu, kiedy odpoczywałeś w hotelowym pokoju, rozmawiałem z przedstawicielami różnych florenckich władz, próbując wystarać się o dane na temat poczynań Bullarda i BAL. Ale nawet wpływy Fosca na nic mi się nie przydały. Wygląda na to, że Bullard ma dobre układy z właściwymi ludźmi - albo przynajmniej wie, na co wydawać pieniądze. Jedyne, co udało mi się uzyskać, to dawno nieaktualny plan jego zakładu. W każdym razie jasne jest, że oficjalną drogą do niczego nie dojdziemy.

- Zakładam, że nie wie o naszym przybyciu.

- Nasza wizyta będzie miała charakter nieoficjalny. Potrzebny sprzęt dostaniemy jutro rano.

D'Agosta powoli skinął głową. - Może być podniecająco.

- Miejmy nadzieję, że nie nazbyt podniecająco. Z wiekiem, Vincencie, doszedłem do tego, że wolę spokojny wieczór w domu niż orzeźwiająca wymianę ognia w ciemności.



Bryce Harriman szedł Piątą Aleją na północ, z wprawą przedzierając się przez tłum i rozmyślając o „diabelskich morderstwach”. Ritts miał rację. Kawałek o von Mencku naprawdę trafił miasto w czuły punkt. Czytelnicy dzwonili bez końca. Oczywiście w większości świry - w końcu chodziło o „New York Post” - ale i tak nie przypominał sobie równie żywej reakcji na jakikolwiek inny artykuł. Ten cały wic ze złotym podziałem, zagadkowe dopasowanie dat wydarzeń historycznych, matematyczna aura - dla kogoś niewtajemniczonego wszystko to wyglądało na solidny naukowy fakt. Harriman musiał przyznać, że daty faktycznie dziwnie do siebie pasowały.

Minął klub Metropolitan, przybytek starych nowojorskich fortun. Tam był jego świat, a raczej świat jego dziadków. Dobiegał właśnie wieku, w którym mógł się zacząć spodziewać pierwszych zaproszeń do prestiżowych klubów (załatwionych przez ojca), ale martwił się, że obecna posada w „Post” może tu stanowić przeszkodę. Musi wrócić do „Timesa”, i to szybko.

Ta sprawa mogłaby mu pomóc.

Ritts go uwielbiał - przynajmniej na tyle, na ile ten gad mógł kogoś lubić - ale dobra historia jest jak ogień. Wymaga podsycania. Ta zaś już się wypalała. Czuł, że łaskawość szefa może zniknąć równie szybko, jak się pojawiła, zostawiając go wraz ze świeżutką

wysoką podwyżką w wyjątkowo niewygodnej sytuacji. Potrzebował rozwoju wydarzeń - nawet sfabrykowanego. Liczył, że powrót pod dom Cutfortha mógłby jakoś popchnąć sprawę do przodu. Dzięki jego artykułom szeregi biblijnych maniaków, czcicieli diabła, gothpunków, świrów, satanistów i wyznawców filozofii New Age, którzy teraz dzień w dzień zbierali się na skraju Central Parku, naprzeciwko budynku, wyraźnie urosły w siłę. Miało już miejsce kilka bójek, pojedynków na wyzwiska, parę razy policja musiała przywracać porządek, ale wszystko to było bezładne. Każda reakcja wymaga katalizatora; ta sytuacja nie stanowiła wyjątku.

Zbliżał się do Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy. Po stronie parku wzdłuż Piątej Alei widział już grupki świrów, każda tworzyła odrębny mały światek. Powoli przedarł się do nich przez krąg gapiów. Od ostatniego razu niewiele się tu zmieniło, tyle że ludzi było dzisiaj więcej. Satanista w czarnej skórze, z puszką budweisera, obrzucał obelgami zwolennika New Age w konopnych szatach. Wokoło unosił się odór piwa i marychy, prawie jak na rockowym koncercie. W głębi facet w spranych džinsach i koszuli w kratę z krótkimi rękawami przemawiał do sporego tłumu. Harriman nie słyszał, co mówił, ale ze wszystkich cyrkowych numerów, które tu uskuteczniiano, ten zgromadził największe grono widzów.

Bryce ominął krąg słuchaczy i ponownie wmieszał się w tłum znacznie bliżej mówcy. Facet ewidentnie wygłaszał jakieś kazanie. Wyglądał całkiem normalnie, głos bynajmniej nie załamywał mu się histerycznie, brzmiał spokojnie, rozsądnie, mówił jak człowiek wykształcony. Spora liczba słuchaczy wyraźnie się wciągnęła w to, co mówił; nawet kilku satanistów i punków nadstawiało uszu.

- To miasto jest zadziwiające. Jestem tu zaledwie dobe, ale spokojnie moge powiedziec, ze nie ma na ziemi drugiego podobnego miejsca. Wysokie budynki, limuzyny, piekni ludzie... To oslepia, bez dwuch zdań! Pierwszy raz jestem w Nowym Jorku i wiecie, co mnie w nim uderzyło bardziej niż blichtr i przepych? Pośpiech. Rozejrzyjcie się dookoła, przyjaciele. Popatrzcie na przechodniów. Zobaczcie, jak szybko idą, rozmawiając przez telefon albo patrząc prosto przed siebie. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Przyjrzyjcie się tym w autobusach i taksówkach, które was mijają. Nawet kiedy stoją, wydają się dokądś spieszyć. I ja wiem, czym oni wszyscy są tak bardzo zajęci. Od przyjazdu sporo się nasłuchałem. Słyszałem już chyba z tysiąc rozmów, większość z nich tylko jednostronnych, ponieważ tu, na Manhattanie, ludzie najwyraźniej wolą mówić do telefonów komórkowych niż rozmawiać z żywymi twarzą w twarz. Co ich tak absorbuje? Oni sami. Jutrzejsze ważne spotkanie. Rezerwacja stolika w restauracji. Zdradzanie małżonków. Wbijanie noża w plecy współpracownikom. Rozmaite plany, knowania i strategiczne posunięcia, a żadne z nich nie wybiega w przyszłość dalej niż, powiedzmy, wczasy w Club Medzie za miesiąc. Ilu z tych zajętych ludzi myśli o tym, co będzie za trzydzieści, czterdzieści lat? O własnej śmiertelności? Ilu z nich dba o to, żeby pogodzić się z Bogiem? Kto myśli o słowach Jezusa w Ewangelii według świętego Łukasza: „Zaprawdę powiadam wam, nie przeminie to pokolenie, aż wszystko się wypełni”? Stawiam, że bardzo niewielu. Jeśli w ogóle ktokolwiek.

Harriman przyjrzał się kanzodziei uważniej. Miał starannie przystrzyżone jasne włosy, twarz miłego amerykańskiego chłopaka,

umięśnione ramiona, był czysty, schludny, gładko ogolony. Żadnych tatuaży, kolczyków ani nabijanych ćwiekami ochraniaczy na jądra. Nie miał Biblii, a w każdym razie nie na widoku. Wyglądało to tak, jakby mówił do grupy przyjaciół - ludzi, których szanuje.

- Zrobiłem w Nowym Jorku jeszcze coś - kontynuował mówca. - Odwiedziłem kościoły. Wiele kościołów. Nie znałem dotąd żadnego miasta, nawet największego, które mogłoby się pochwalić tyloma świątyniami. Ale widzicie, przyjaciele... i to jest właśnie najsmutniejsze... choć na zewnątrz kłębiły się tłumy, każdy z tych kościołów był pusty. Kościoły cierpią z powodu tej pustki, giną z powodu obojętności. Nawet w katedrze Świętego Patryka, najpiękniejszej świątyni chrześcijańskiej, jaką kiedykolwiek widziałem, była tylko garstka wiernych. Turyści? Owszem, tych były setki. Ale modlących się mógłbym policzyć na palcach obu rąk. To jest najsmutniejsze, powiadam wam. Pomyśleć tylko, że w miejscu takiej kultury, edukacji i wyrafinowania może istnieć tak straszna duchowa pustka. Czuję ją wokół siebie jak pustynię, na której wysycham na wiór. Nie chciałem wierzyć w to wszystko, co czytałem w gazetach, w okropne historie, które przywiodły mnie tutaj niemal wbrew mej woli, ale to prawda, bracia i siostry. Prawda co do słowa. Nowy Jork jest miastem, które czci Mamonę, nie Boga. Spójrzcie na niego. - Wskazał na dobrze ubranego mężczyznę przed trzydziestką w garniturze w prążek, który szedł ulicą, gadając przez telefon. - Jak sądzicie, kiedy ostatnio pomyślał o tym, że jest śmiertelny? Albo ona? - Wycelował palec w kobietę z torbami od Henriego Bendela i Tiffany'ego wysiadającą z taksówki. - Albo oni?

- Oskarżycielski palec wskazał parę studentów trzymających się za

ręce. - Albo... wy? - Teraz płynnym gestem wskazał na słuchającego tłum.

- Kiedy ostatnio myśleliście o śmierci? Może przyjąć za tydzień, za dziesięć lat, za pięćdziesiąt... Ale przyjdzie, jestem tego równie pewien jak tego, że nazywam się Wayne P Buck. Jesteście gotowi?

Harriman mimo woli się wzdrygnął. Facet był dobry.

- Nieważne, czy jesteś bankowcem z Wall Street, czy sezonowym robotnikiem z Amarillo. Śmierć nie jest wybredna. Wielki czy mały, bogaty czy biedny, każdy z nas umrze. Wiedzieli o tym ludzie w średniowieczu. Wiedzieli nasi przodkowie. Popatrzcie na stare nagrobki. Co zobaczycie? Wizerunki uskrzydłonej śmierci i najprawdopodobniej słowa „Memento mori”. Pamiętaj, że umrzesz. Myślicie, że tamten młody człowiek kiedykolwiek się nad tym zastanawia? Zdumiewające... Tyle wieków postępu, a jednak straciliśmy z oczu tę jedną, fundamentalną prawdę, którą nasi przodkowie stale mieli w pamięci. Dawny poeta Robert Herrick zapisał tak: „Nasze życie jest krótkie, a dni mkną tak szybko jak słońce po nieboskłonie. I jak obłok pary lub kropla deszczu, raz zgubione, już nigdy się nie odnajdą”.

Harriman przełknął ślinę. Szczęście mu nadal dopisywało. Ten Buck był dla niego darem niebios. Tłum szybko gęstniał, ludzie uciszali sąsiadów, chcąc dobrze słyszeć jego cichy, przekonujący głos. Biblia nie była mu potrzebna; Jezu, znał pewnie całą na pamięć! I nie tylko Biblię; facet cytował poezję metafizyczną! Bryce ostrożnie sięgnął do kieszeni koszuli i nacisnął przycisk nagrywania w dyktafonie. Nie chciał uronić ani jednego słowa. Pat Robertson ze swoim makijażem nie umywał się do tego gościa.



- Ten młody człowiek nie zastanawia się nad tym, że każdy dzień bez Boga jest bezpowrotnie stracony. Tamtych dwojga zakochanych nie niepokoi pytanie, jak ich uczynki zostaną ocenione w przyszłym życiu. Ta kobieta z wypchanymi torbami najpewniej nigdy się nie zastanawiała, jaka jest prawdziwa wartość życia. Być może nawet nie wierzą w życie przyszłe. Są jak Rzymianie, którzy stali ślepi na uboczu, kiedy naszego Pana przybijano do krzyża. Jeśli kiedykolwiek pomyśleli o śmierci, zapewne powiedzieli sobie, że umrą, zostaną złożeni w trumnie, pochowani i na tym koniec. Tylko, moi bracia i siostry, jest inaczej. Wykonywałem w życiu wiele prac, a jedną z nich była posada pomocnika w kostnicy Wiem zatem, co mówię. Kiedy człowiek umiera, to wcale nie koniec. To dopiero początek. Widziałem na własne oczy, co się dzieje ze zmarłymi.

Harriman zauważył, że w tłumie zapanowała grobowa cisza, mimo że ludzi wciąż przybywało. Wszyscy jakby zamarli. On sam złapał się na tym, że prawie wstrzymał oddech w oczekiwaniu na dalsze słowa kaznodziei.

- Być może nasz ważny młodzieniec z telefonem będzie miał dość szczęścia, by go pochowano zimą. To trochę spowalnia bieg rzeczy. Ale prędzej czy później - zazwyczaj prędzej - zjawiają się goście biesiadni. Pierwsze przylatują muchy mięsne, *Phormia regina*, aby złożyć jaja. W świeżych zwłokach następuje coś w rodzaju eksplozji demograficznej. Mówię o kilku pokoleniach, na które składają się dziesiątki tysięcy robaków, nieustannie się poruszających i wiecznie głodnych. Same larwy wytwarzają tak wiele ciepła, że te znajdujące się w środku muszą przedzierać się na zewnątrz, aby ochłonać, zanim wrócą na stanowiska pracy. Na fotografii poklatkowej wygląda to jak

wrząca, kłębiąca się masa. Larwy much są oczywiście tylko pierwszymi gośćmi. Z czasem zapach rozkładu przyciąga wielu innych. Nie widzę jednak powodu, by niepokoić was wszystkimi szczegółami. Tak wygląda, moi drodzy, spoczywanie w pokoju. Ale być może nasz młodzieniec uzna, że lepsza jest kremacja. Nie pozostają po niej zwłoki, które przez lata bezcześciłyby robaki. Kremacja to przecież szybki, godny koniec naszej ludzkiej powłoki. Czyż nie tak nam mówią? Niech będzie mi zatem wolno powiedzieć wam, bracia i siostry, że żadna śmierć nie jest godna, jeśli jesteśmy w jej chwili oddaleni od Boga. Widziałem więcej kremacji, niż zdołałbym wyliczyć. Macie pojęcie, jak trudno jest spalić ludzkie zwłoki? Jakiej to wymaga temperatury? Albo co się dzieje z ciałem wystawionym na działanie płomienia o temperaturze kilkuset stopni? Powiem wam, przyjaciele, i wybaczcie, że was nie oszczędzę. Zrozumiecie, że jest powód, żeby tak postąpić.

Najpierw włosy, od stóp do głowy, znikają w obłoku niebieskiego dymu. Potem ciało pręży się na baczność jak żołnierz na defiladzie. Później usiłuje usiąść. Tak, usiąść; wieko trumny na to nie pozwala, ale ono i tak próbuje. Temperatura rośnie, może do ośmiuset stopni. Teraz szpik zaczyna wrzeć i pękają kości. Kręgosłup eksploduje jak pasek kapiszonów. A temperatura stale rośnie. Tysiąc stopni, półtora tysiąca, dwa... Eksplozje trwają dalej, trzęsąc piecem krematoryjnym niczym strzały z karabinu... ale powstrzymam się od opisu, co teraz pęka. Powiem tylko, że trwa to nawet do trzech godzin, zanim doczesne szczątki zamienią się w popiół i drobne, zwęglone kawałki kości. Dlaczego wam o tym mówię, bracia i siostry? Czemu nie oszczędziłem wam tych drastycznych szczegółów? Powiem wam:

dlatego, że Lucyfer, książę ciemności, który nigdy nie zasypia w nieustannym poszukiwaniu zepsucia, też was nie oszczędzi! A ogień krematorium płonie o wiele krócej i jest o wiele chłodniejszy od ognia, jaki z pewnością czeka duszę tego młodego waśniaka. Dwa tysiące stopni czy dziesięć tysięcy, trzy godziny czy trzy stulecia - dla Lucyfera to błahostka. Są jak ciepły wiosenny powiew, który trwa mgnienie oka. A kiedy spróbujecie usiąść w tym jeziorze płonącej siarki... kiedy rąbniecie głowami w strop piekła i opadniecie z powrotem w ten płomień nie do ugaszenia, tak gorący, że mój ubogi język nie potrafi go opisać... kto wtedy usłyszy wasze modlitwy? Nikt. Na modlitwy mieliście całe życie, tragicznie roztrwonione. I właśnie dlatego tu jestem, przyjaciele. Tam, w tym pięknym budynku górującym tak wysoko nad naszymi marnymi głowami, Lucyfer ukazał temu miastu swe oblicze i porwał duszę człowieka o nazwisku Cutforth. Apokalipsa świętego Jana mówi nam, że kiedy nadejdzie koniec świata, Lucyfer będzie jawnie chodził po ziemi. On już przybył. Śmierć na Long Island, śmierć tutaj - to zaledwie początek. Otrzymaliśmy znak i musimy działać. I to natychmiast. Jeszcze nie jest za późno. Grób czy piec krematoryjny, ogień czy robaki - musicie wszyscy zrozumieć, że nie ma żadnej różnicy. Kiedy wasze dusze staną nagie przed sędzią wszystkiego, co mu powiedzą? Proszę, abyscie teraz, w milczeniu zajrzeli w siebie i się osądzili. A potem, za chwilę, pomodlimy się wspólnie. Będziemy się modlić o przebaczenie i o czas na tej ziemi i w tym przeklętym mieście, abyśmy mogli znaleźć odkupienie.

Prawie bezwiednie, nie spuszczać oczu z Bucka, Harriman wyłowił z kieszeni telefon, zadzwonił do działu fotograficznego i

cicho rzucił kilka zdań. Dyżurował Klein; zrozumiał doskonale, czego Harriman od niego chce. Żadnych karykatur wymachującego Biblią kaznodziei, wprost przeciwnie - Harriman przedstawi wielbnego Bucka jako człowieka, którego czytelnicy „New York Post” obdarzą szacunkiem, i który wyda się najrozsądniej myślącym facetem na świecie.

Kiedy się słyszało, jak mówił, prawie można mu było uwierzyć.

Harriman wsunął telefon do kieszeni. Wielbny Buck może jeszcze o tym nie wie, ale wkrótce - już wkrótce - trafi na pierwsze strony gazet.



Noc była wilgotna i pachnąca. Gdzieś blisko w ciemności grały świerszcze. D'Agosta szedł za Pendergastem wzdłuż opuszczonego toru kolejowego, między nędznie wyglądającymi betonowymi blokami mieszkalnymi. Była północ i księżyc właśnie zaszedł, opuszczając na miasto aksamitną zasłonę.

Tory się skończyły, został tylko nasyp przecięty pochyłonym ogrodzeniem z siatki ginącym w ciemności. Po drugiej stronie ogrodzenia była tylko czerń, majaczyły w niej niewyraźne sylwetki dużych drzew.

Idąc za Pendergastem, D'Agosta skręcił; po kilkuset jardach przebytych wzdłuż ogrodzenia doszli do kępy drzew. W środku znajdowała się polanka usłana zeschniętymi liśćmi i łupinami kasztanów.

- Tu się przygotujemy - powiedział Pendergast, odkładając torbę. D'Agosta położył swoją i kilka razy głęboko odetchnął. Dobrze, że po pościgu w parku Riverside zaczął ćwiczyć, ale szkoda, że nie pomyślał o tym wcześniej. Pendergast nie był nawet zadyszany.

Agent zdjął garnitur, porządnie złożył go w kostkę i upchnął w torbie. Pod spodem miał czarne spodnie i koszulę.

D'Agosta też się rozebrał, był w podobnym stroju.

- Trzymaj. - Pendergast rzucił D'Agoscie słoik z farbą do twarzy. Sam wziął drugi i zaczął opuszkami palców czernić sobie twarz.

D'Agosta nakładał farbę, jednocześnie przyglądając się ogrodzeniu. Na oko najsłabsze zabezpieczenie, jakie można sobie wyobrazić, zardzewiałe i pochylone, z licznymi dziurami i pęknięciami. Zdjął buty i założył inne, w które zaopatrzył go Pendergast; czarne, dopasowane, z gładkimi podeszwami.

Agent wydobył swojego les baera i zaczął nakładać czernidło na pistolet. D'Agosta się wzdrygnął; paskudna rzecz tak postąpić z tą piękną bronią.

- Musisz zrobić to samo, Vincent. Obserwatorom wystarczy jeden błysk, nawet najmniejszy.

D'Agosta niechętnie wyciągnął swój pistolet i zaczął go smarować.

- Z pewnością się zastanawiasz, czy to naprawdę konieczne.

- Taka myśl przemknęła mi przez głowę.

Pendergast nałożył czarne rękawiczki. - Płot, jak się zapewne domyśliłeś, jest zwykłą zmyłką. Istnieje kilka stref zabezpieczeń. Pierwsza - czysto psychologiczna, z tej niewątpliwie przyczyny Bullard wybrał to właśnie miejsce.

- Psychologiczna?

- Ten teren należał kiedyś do Il Dinamificio Nobel, jednej z fabryk dynamitu Alfreda Nobla. - Pendergast spojrział na zegarek. - Ironia historii polega na tym, że Nobel, który ustanowił Pokojową Nagrodę Nobla, zbił majątek na czymś, co w owych czasach było najokrutniejszym wynalazkiem w historii ludzkości.

- Dynamit?

- Właśnie. Siedemnaście razy mocniejszy niż proch strzelniczy. Zrewolucjonizował sposób prowadzenia wojny. Jesteśmy tak przyzwyczajeni do masowego zabijania, Vincencie, że

zapomnieliśmy, jak wyglądała wojna przy użyciu jedynie czarnego prochu, armat i kul. Była straszna, z pewnością, ale w niczym nie przypominała tego, co miało nastąpić później. Teraz jedna bomba, zamiast zabić dwie lub trzy osoby, może zabić setki. Pociski artyleryjskie i bomby niszczą całe budynki, mosty i fabryki. Wraz z wynalezieniem samolotu bomby mogły zacząć równać z ziemią całe kwartały w miastach, wypalać je do gołej ziemi, mordować tysiące. Z reguły myśleliśmy o potworności broni nuklearnej, ale prawda jest taka, że dynamit i jego pochodne zabiły i okaleczyły miliony ludzi więcej niż jakakolwiek bomba atomowa kiedykolwiek, pewnie także w przyszłości. - Włożył magazynkę do pistoletu i cicho przeładował.

- Racja.

- Alfred Nobel miał patent na nowoczesną wojnę. W szczytowej fazie sukcesu posiadał w całej Europie setki fabryk wytwarzających dynamit. Trzeba je było budować na dużych obszarach, takich jak ten, ponieważ niezależnie od tego, jak ostrożnie obchodzono się z materiałami, od czasu do czasu wybuchały, zabijając setki ludzi. Budował swoje fabryki na terenach zamieszkałych przez biedotę, zapewniających nieograniczone źródło pracowników w rozpaczliwym położeniu, łatwych do zastąpienia. Ta fabryka należała do największych. - Pendergast wskazał ciemność za płotem.

- Nobel mógłby przejść do historii jako człowiek z gruntu zły, gdyby nie pewne dziwne wydarzenie. W roku 1888 zmarł jego brat, a europejskie gazety omyłkowo poinformowały o śmierci brata jako jego własnej. „Handlarz śmiercią nie żyje”, krzyczały nagłówki. Lektura własnego nekrologu głęboko wstrząsnęła Noblem. Zdał sobie sprawę, jak będą go postrzegać potomni. W odpowiedzi ustanowił

Nagrodę Nobla, w tym także słynną nagrodę pokojową - chciał w ten sposób zmienić ocenę własnego życia, niechybnie fatalną, jaką w innym razie wystawiłaby mu historia.

- Najwyraźniej pomogło - mruknął D'Agosta.

- I tu wracamy do tematu. Zanim fabrykę zamknięto, setki ludzi zginęły tu w wybuchach. Do tego wiele tysięcy ucierpiało z powodu chemikaliów wykorzystywanych przy produkcji dynamitu, substancji, które powodowały zmiany w mózgu. W rezultacie to miejsce przekłete. Miejscowi je omijają. Do czasu, kiedy Bullard wykupił cały teren siedem lat temu, nie bywał tu żaden człowiek oprócz dozorca.

- Więc Bullard wykorzystuje złą sławę miejsca jako zabezpieczenie - stwierdził D'Agosta. - Sprytnie.

- Pomysłowy straszak, przynajmniej na miejscowych. Niezależnie od tego będzie tu jednak ochrona, i to pewnie bardzo wyrafinowana. Mogę się tylko domyślać, jakiego rodzaju - moje poszukiwania, jak wiesz, nie były owocne. Ale mam trochę narzędzi, które powinny nam pomóc.

Pendergast wyjął z torby chlebak i zarzucił go na ramię. Wyjął też kilka aluminiowych rurek, które ze sobą połączył, zakładając na jeden koniec mały krążek. Podeszedł do płotu, powoli przesuując przyrząd w przód i w tył. Doszedł do ogrodzenia, schylił się, ostrożnie badając urządzeniem teren przed sobą. Na małym krążku zajarzyło się słabe czerwone światełko.

Pendergast wstał, cofnął się. - Tak jak podejrzewałem. Mamy tu sześćdziesięciohercowe zmienne pole magnetyczne, co oznacza przepływ prądu.



- Chcesz powiedzieć, że płot jest pod napięciem? - zapytał D'Agosta. - Ten stary płot?

- Sam płot nie. Dwa przewody działające jak czujnik, zakopane za ogrodzeniem, żeby informować ochronę, jeżeli ktokolwiek nad nimi przejdzie.

- Jak je wyłączymy?

- Wcale. Chodź za mną.

Schowali torby w krzakach, po czym przeczołgali się wzdłuż płotu do miejsca, gdzie kilka większych dziur z grubsza naprawiono drutem. Pendergast ukląkł i kilkoma zręcznymi ruchami rozplątał drut z największego otworu. Potem, ostrożnie wsuwając detektor przez dziurę, zbadał ziemię za ogrodzeniem. Na małym wyświetlaczu na krążku pojawiły się liczby.

Pendergast wycofał przyrząd i za pomocą patyka ostrożnie rozsunał liście oraz ziemię, odsłaniając dwa przewody. Następnie powtórzył tę czynność w innym miejscu, kilka stóp dalej, odsłaniając więcej przewodów. Sięgnął do chlebaka i wyjął dwa zaciski połączone z małymi elektronicznymi przyrządami. Założył zaciski na obu końcach przewodu.

- Co robisz?

- Wykorzystuję te zestawy zacisków z kondensatorami, by zmniejszyć naszą charakterystykę elektromagnetyczną do poziomu siedemdziesięciokilogramowego dzika i jego samicy. Powszechnie występują w okolicy i nocna zmiana ochroniarzy Bullarda na pewno ma nieustanne problemy z dzikami przekraczającymi linię ogrodzenia. Teraz, szybko.

Przczołgali się przez dziurę, Pendergast szybko ją zadrutował i

usunął zaciski. Następnie innym patykiem zakopał dołki i zasłonił je zeschniętymi liśćmi. Na koniec wyciągnął małą butelkę z rozpylaczem i spryskał ziemię. D'Agosta poczuł ostry zapach.

- Rozcieńczony mocz dzika. Za mną.

Kilkaset jardów biegli wzdłuż płotu nisko pochyleni, aż dotarli do gęstych krzaków. Wpełzli w nie możliwie jak najciszej.

- Teraz czekamy, aż ochroniarze przyjdą sprawdzić. To chwilę potrwa. Oddychaj równomiernie i zachowaj spokój. Na pewno będą mieć noktowizory, więc nie wstawaj i się nie ruszaj. Nie będą długo szukać, bo z góry zakładają, że to dziki.

Zapadła cisza. W gęstwinie panowała całkowita ciemność. D'Agosta czekał. Po jego lewej stronie Pendergast tkwił w bezruchu i tak cicho, że wydawało się, jakby całkiem zniknął. Jedynym dźwiękiem był słaby szmer wiatru i od czasu do czasu głos nocnego ptaka. Minęły trzy minuty, potem pięć.

D'Agosta poczuł na kostce mrówkę. Sięgnął, żeby ją strzepnąć.

- Nie - szepnął Pendergast.

D'Agosta zostawił mrówkę w spokoju.

Zaraz potem wyczuł, jak idzie po łydce, badając teren krótkimi, szybkimi ruchami. Zawędrowała do buta, gdzie próbowała wejść do wnętrza skarpetki. Kiedy starał się myśleć o czymś innym, zorientował się, że swędzi go nos. Jak długo leżeli bez ruchu? Dziesięć minut? Jezu, takie leżenie bez ruchu było trudniejsze niż bieg maratoński. Nic absolutnie nie widział. Poczuł skurcz w nodze. Powinien był wygodniej się usadowić. Marzył o ruchu. Nos gwałtownie swędział, tym bardziej że nie mógł się podrapać. Kolejne mrówki, zachęczone przykładem swojego zwiadowcy, zaczęły

wędrować mu po skórze. Skurcz w nodze stał się bardziej dotkliwy, czuł, że mięsień łydki mimowolnie drga.

Wtedy dobiegły ich ledwo słyszalne głosy. D'Agosta wstrzymał oddech. Widział w oddali błysk światła, ledwie widoczny przez liście. Więcej głosów, szum krótkofalówki, jakaś zdawkowa wymiana zdań po angielsku. Potem znowu cisza.

D'Agosta spodziewał się, że Pendergast da sygnał, że alarm odwołany, ale agent FBI milczał. Teraz już wszystkie mięśnie krzyczały mu z bólu. Jedna noga zdrętwiała, mrówki były wszędzie.

- W porządku. - Pendergast wstał i D'Agosta zrobił to samo z wielką ulgą, potrząsając nogami, trąc nos i strzepując mrówki.

Agent spojrział na niego. - Któregoś dnia, Vincencie, nauczę cię pewnej użytecznej techniki medytacyjnej, idealnej w takich sytuacjach.

- Przydałoby się. To była męczarnia.

- Teraz, kiedy ominęliśmy pierwszą strefę zabezpieczeń, pora na drugą. Idź bezpośrednio za mną, na ile to możliwe, po moich śladach.

Szli przez las, Pendergast nadal badał teren swoim przyrządem. Drzewa zaczęły się przerzedzać i wyszli na zarośnięte pole. Dalej stał rząd rozpadających się budynków, wielkich ceglanych magazynów ze spiczastymi dachami, bez drzwi. Dzikie wino pięło się po ścianach, tworząc ciemne kępy, które kiwały się w ciężkim powietrzu.

Pendergast spojrział na niewielką mapę, po czym ruszyli w stronę pierwszego magazynu. W środku pachniało pleśnią i próchnem, ich kroki wydawały się pobrzmiwać echem mimo specjalnych butów. Drugimi drzwiami wyszli na gigantyczny plac otoczony budynkami.

Cementową nawierzchnię pokrywała sieć pęknięć, przez które przeciskała się roślinność.

- A jeśli mają psy? - wyszeptał D'Agosta.

- Biegające luzem psy należą do przeszłości. Są nieprzewidywalne, hałaśliwe i często atakują nie tego, kogo trzeba. Psów używa się teraz tylko do tropienia. To, na co musimy uważać, jest znacznie bardziej przemyślnie.

Przeszli na drugą stronę betonowego placu. Nocne zwierzęta szeleściły w listowiu, kiedy przechodzili obok. Po drugiej stronie trawiasta alejka prowadziła między dwoma rzędami niszczących budynków i stertami cegieł pokrytych bluszczem, który w ciemności wyglądał jak rozlewające się plamy Pendergast szedł teraz ostrożniej, oświetlając sobie drogę małą latarką z przysłoną. W połowie alejki przystanął, ukląkł i przyjrzał się ziemi. Następnie podniósł gałązkę i nakłuł nią trawę przed sobą. Dźgnął nieco mocniej i nagle patyk trafił na pustą przestrzeń.

- Dół - powiedział. - Zwróć uwagę, że z tymi ruinami po obu stronach alejka jest jedynym możliwym przejściem.

- Pułapka?

- Bez wątplenia. Ale przygotowana tak, żeby wyglądała na część starej fabryki, więc jeśli jakiś intruz wpadnie i zginie, nikt nie będzie winny.

- Jak to zauważyłeś?

- Brak śladów dzików. - Pendergast ostrożnie wyciągnął patyk i odwrócił się. - Pójdziemy przez jedno z tych opuszczonych laboratoriów. Uważaj: może się tu nadal trafić butelka nitrogliceryny, strategicznie umieszczona na drodze, żeby ktoś

nieświadomy ją potrącił. Potraktujemy to jako następny pierścień zabezpieczeń, Vincencie, musimy obaj zachować ciszę i czujność.

Weszli przez ciemny otwór drzwiowy i Pendergast poświecił wokół swoją latarką z osłoną. Podłoga zasłana była potłuczonym szkłem, kawałkami zardzewiałego metalu, popękаныmi kafelkami i cegłami. Pendergast przystanął, potem dał D'Agoście znak, żeby się wycofał.

Dwie minuty później znowu byli na betonowym placu.

- Coś było nie tak? - zapytał D'Agosta.

- Za dużo potłuczonego szkła, zbyt równo rozłożonego, i to szkła zbyt współczesnego, żeby mogło pochodzić ze starej fabryki. Pułapka akustyczna z czujnikami wychwytyjącymi typowe chrupanie ludzkich stóp po szkło. Myślę, że także czujniki ruchu.

W zielonkawym świetle latarki twarz Pendergasta wydawała się blada, upiorna - i nieco zatroskana.

- Co teraz?

- Z powrotem w kierunku dołu.

Okrażając budynek, wrócili na alejkę i Pendergast poczołgał się nią sam, próbując patykiem, aż zlokalizował dół. Następnie położył się na brzuchu i ostrożnie rozchylił trawę i roślinność, po czym zaświecił latarką w głąb ciemnej dziury. Chwilę później wycofał się, wyłączając latarkę.

- Poczekaj tu.

I zniknął, rozplywając się w mroku nocy.

D'Agosta czekał. Pendergast nie kazał mu siedzieć cicho i bez ruchu; nie musiał. Przykucnął w atramentowej ciemności, ledwo wążąc się oddychać. Minęło pięć minut. Teraz, kiedy został sam,

zaczął ulegać napięciu. Czuł serce bijące w piersi.

„Spokojnie”.

I wtedy, tak samo nagle jak zniknął, Pendergast zjawił się z powrotem z długą deską w rękach. Położył ją w poprzek zarośniętej polaci i odwrócił się do D'Agosty - Od tego miejsca nie rozmawiamy, chyba że to absolutnie konieczne. Idź za mną.

D'Agosta skinął głową.

Kolejno przeszli po chybotałej desce. Dalej zarośla były gęstsze, stanowiły ciemną ścianę. Pendergast ruszył naprzód, zasondował swoim czujnikiem, pociągnął nosem. Na chwilę włączył światło, potem znowu je wyłączył. Poruszali się równolegle do zarośli, potem weszli na coś, co wyglądało jak ścieżka wydeptana przez zwierzęta.

„Ratują nas dziki”, pomyślał D'Agosta.

Skradali się z wolna przez gęste krzaki. Z prawej widniała ceglana ściana. Ściana przeciwwybuchowa, sądząc z grubości. W jednym miejscu rozbita, jak domyślił się D'Agosta, przez dawną eksplozję. Przeszli przez tę wyrwę, nadal trzymając się ścieżki wydeptanej przez dziki. D'Agosta ledwo widział Pendergasta, jeszcze słabiej go słyszał. Facet ruszał się cicho jak pantera.

Ścieżka kończyła się na sporej łące, mniej zarośniętej niż te, którymi szli do tej pory. Pendergast zatrzymał się, żeby przeprowadzić rozpoznanie, dając D'Agostie znak, by został z tyłu. Po drugiej stronie widniała ciemna sylwetka kolejnych zrujnowanych budynków, za nimi słaby blask światła.

Pendergast wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Odwracając się do D'Agosty, zapalił, bardzo ostrożnie osłaniając papieros dłońmi. Sierżant był zaskoczony. Pendergast zaciągnął się leniwie, odwrócił i

wypuścił strumień dymu.

Mniej niż trzy stopy przed nimi snujący się dym ujawnił jaskrawy promień niebieskiego światła: laser. Był ustawiony na takiej wysokości, żeby zmieścił się pod nim dzik.

Pendergast położył się na brzuchu i zaczął pełznąć przez wysoką trawę, ruchem ręki nakazując D'Agoście zrobić to samo.

Powoli, mozolnie posuwali się naprzód przez pole. Co jakiś czas Pendergast zaciągał się ukrytym papierosem i wypuszczał smugę dymu nad głowę, ujawniając krzyżujące się nad polem promienie lasera. Ciemne drzewa i ruiny otaczały łąkę i nie było widać, skąd wychodzą promienie. Kiedy papieros zgasł, agent zapalił następnego.

Po pięciu minutach byli po drugiej stronie. Pendergast rozgniół niedopałek, wstał i schylony ruszył w stronę pustej framugi, wyjął latarkę i skierował jej światło do środka. Promień przez chwilę oświetlał długi korytarz, pomieszczenia zamknięte metalowymi kratami, jedno naprzeciw drugiego, po obu stronach korytarza. Dla D'Agosty wyglądało to niemal jak więzienie. Sufity się pozpadały, podobnie część ścian, tworząc labirynt gruzu, belek i kafelków.

Pendergast przystanął na progu, żeby poruszać jakimś rodzajem ręcznego miernika, po czym ostrożnie poszedł naprzód. To, co zostało z tego gmachu, wyglądało, jakby miało się zaraz zawalić, od czasu do czasu D'Agosta słyszał skrzypienie i trzeszczenie belek albo stukot odpadającego tynku. W miarę jak posuwali się przez ogromną zrujnowaną przestrzeń, słabe światelko przed nimi stawało się coraz mocniejsze, przenikając przez rząd strzaskanych frontowych okien. Kiedy dotarli do okien, zaciekawieni wyjrzel na zewnątrz.

Oczom D'Agosty ukazał się zaskakujący widok. Za zrujnowanym

budynkiem znajdowało się podwójne ogrodzenie z siatki zwieńczone zwojami drutu kolczastego, otaczające rozległy, skąpany w świetle trawnik. Nowy budynek stał za przystrzyżonymi krzewami i kwiatami; postmodernistyczna konstrukcja ze szkła, tytanu i białych płyt jarząca się wśród nocy niczym kryształ. Z prawej strony, w oddali, D'Agosta zobaczył wartownię i bramę w ogrodzeniu.

Odsunęli się od okna i Pendergast usiadł, opierając się o ścianę. Wyglądało na to, że się zastanawia. Minęło kilka minut, zanim wstał i dał D'Agoście znak, żeby szedł za nim. Nisko schyleni poszli wzdłuż ściany i wyszli bocznymi drzwiami. Gęste zarośla i krzaki agrestu zbliżały się do podwójnego ogrodzenia na odległość około dziesięciu jardów, po czym przechodziły w krótko przystrzyżony trawnik.

Wślizgnęli się w krzaki i zaczęli czołgać. Nagle D'Agosta poczuł, że Pendergast znieruchomiał. Szybko zbliżały się do nich głosy i jasne światło reflektora. D'Agosta rozpląszczył się w krzakach, modląc się, żeby czarny strój i farba do twarzy uczyniły go niewidzialnym. Ale głosy było słyhać coraz bliżej, zbyt blisko, głośnie, z coraz bardziej bliższym światłem.





D'Agosta leżał bez ruchu, ledwie ośmielając się oddychać, podczas gdy promień reflektora punktowego przebijał się przez liście i pnącza. Teraz głosy jeszcze bardziej się przybliżyły, rozumiał, co ci ludzie mówią. To byli Amerykanie. Chyba dwaj. Wolno szli wzdłuż obwodu płotu po wewnętrznej stronie. Poczował nagłą, niemal nieodpartą chęć, żeby spojrzeć w górę. Ale potem jaskrawy promień wyładował mu dokładnie na plecach i zamarł jak trup. Światło się zatrzymało, trwało w miejscu. Mężczyźni stanęli. Rozległo się szuranie, błysk zapalniczki, po nim słaby zapach papierosowego dymu.

- ...prawdziwy gnój - powiedział jeden z głosów. - Gdyby nie pieniądze, wróciłbym na Brooklyn.

- Jak tak dalej pójdzie, może wszyscy będziemy wracać - odparł drugi.

- Skurwielowi odwaliło. Potwierdzający pomruk.

- Mówią, że mieszka w willi, która należała kiedyś do Machiavellego.

- Kogo?

- Machiavellego.

- To ten nowy obrońca Ramsów, tak?

- Nieważne. - Światło gwałtownie odpłynęło, pozostawiając za sobą nagłą ciemność. D'Agosta zorientował się, że to ręczna latarka niesiona przez jednego z mężczyzn.

Papieros łukiem poszybował przez ciemność, lądując w pobliżu lewego uda sierżanta, a mężczyźni ruszyli dalej.

Minęło kilka minut. Potem nagle Pendergast był tuż obok.

- Vincent - wyszeptał - zabezpieczenia są znacznie bardziej wyrafinowane, niż się spodziewałem. Ten system został zaprojektowany nie tylko po to, żeby zapobiegać szpiegostwu przemysłowemu, ale żeby nie dopuścić CIA. Nie możemy liczyć, że dostaniemy się do środka z tymi narzędziami, które mamy. Musimy się wycofać i zaplanować inną drogę ataku.

- Na przykład?

- Nagle zainteresował mnie Machiavelli.

- Rozumiem.

Przekradli się z powrotem drogą, którą przyszli, przez stękający, zrujnowany budynek. Droga wydawała się dłuższa niż przedtem. Kiedy dotarli do połowy, Pendergast się zatrzymał. - Paskudny odór - zamruczał.

D'Agosta też to poczuł. Zmienił się wiatr i z odległego pomieszczenia dotarł do nich zapach rozkładu. Pendergast zdjął osłonę z latarki, co pozwoliło trochę rozjaśnić teren. Zielonkawe światło ujawniło coś, co było kiedyś małym laboratorium z zapadniętym dachem. Poniżej, na ziemi, krzyżowało się kilka ciężkich belek, pomiędzy których wystawał gnijący, częściowo zmieniony w szkielet łeb dzika z połamanymi kłami.

- Pułapka? - wyszeptał D'Agosta.

Pendergast skinął głową. - Zaprojektowana jako walący się, rozpadający budynek. - Pozwolił, by snop zielonego światła powędrował tu i ówdzie, wreszcie zatrzymał go na progu. - Tu jest

mechanizm spustowy. Staniesz na tym i wszystko się zawali.

D'Agosta zadrżał, myśląc o tym, jak beztrosko minął ten sam próg niespełna dziesięć minut wcześniej.

Ostrożnie przeszli przez pozostałą część budynku, od czasu do czasu słysząc ostrzegawcze skrzypnięcia drewna nad głowami. Przed nimi leżało rozległe pole. W oczach D'Agosty wyglądało jak morze ciemności. Pendergast zapalił kolejnego papierosa, potem ukląkł i ostrożnie ruszył do przodu, znów wydmuchując dym, dopóki nie ujawnił się pierwszy promień lasera, cienki jak ołówek i słabo połyskujący. Pendergast pokazał głową kierunek i ponownie podjęli żmudne zadanie, pełznąć przez pole pod promieniami lasera.

Cały proces ciągnął się tym razem bez końca. Kiedy D'Agosta pozwolił sobie wreszcie rzucić okiem w przód, z przerażeniem stwierdził, że dotarli zaledwie do połowy pola.

Dokładnie wtedy w trawie przed nimi się zakotłowało. Rodzina zajęcy wyprysnęła przerażona, skacząc w kilka stron i oddalając się w ciemność.

Pendergast znieruchomiał, pociągnął kolejny haust dymu i dmuchnął nim w miejsce, w którym były króliki. Pojawiły się skrzyżowane laserowe promienie.

- Paskudny pech - powiedział.
- Przecięły promień?
- Obawiam się.
- Co teraz robimy?
- Biegniemy.

Pendergast zerwał się i pomknął przez pole jak sarna. D'Agosta wstał i ruszył za nim, robił, co mógł, żeby dotrzymać agentowi

kroku.

Zamiast wracać drogą, którą przybyli, Pendergast kierował się do lasów po lewej stronie. Gdy dotarli do drzew, D'Agosta usłyszał odległe krzyki i zapalane silniki aut. Chwilę później łąkę oświetliło kilka par reflektorów samochodowych, a w ślad za nimi znacznie ostrzejszy promień wysoko umieszczonego reflektora punktowego, gdy para wojskowych jeepów wypadła zza zrujnowanych budynków.

Pendergast i D'Agosta z trzaskiem wpadli w gęste leśne poszycie, przedzierając się przez jeżyny i zwarte zarośla. Po stu jardach Pendergast ostro skręcił i ruszył pod kątem prostym do poprzedniego kierunku, torba gwałtownie obijała mu się o ramię. D'Agosta podążył za nim, słysząc w uszach łomotanie pulsu.

Pendergast zrobił kolejny ostry zakręt i zagłębili się w las: Nagle wynurzyli się z gąszczu na starej drodze zarośniętej wysoką do pasa trawą. Przedarli się przez nią, D'Agosta usilnie starał się nie stracić Pendergasta z oczu. Był już zasapany, ale napędzał go strach i adrenalina.

Potężny snop światła przeciął drogę i obaj padli na ziemię. Kiedy przesunął się dalej, Pendergast już był na nogach i znów biegł, tym razem w stronę zagajnika na dalekim końcu zapomnianej drogi. Między drzewami zamigotało więcej świateł, dość daleko, a przez mrok doleciały do nich głosy.

W zagajniku Pendergast stanął, żeby wyjąć mapę i zbadać ją w zielonym świetle latarki, gdy D'Agosta nadrabiał dzielący ich dystans. Ruszyli dalej, tym razem wzdłuż łagodnego wzniesienia. Drzewa rosły gęściej i wydawało się, że zdołali zwiększyć odległość od prześladowców. Pierwszy raz D'Agosta pozwolił sobie na nadzieję, że

może jednak uciekną.

Las się przerzedził i D'Agosta zobaczył mrugające gwiazdy. A potem nagle wyrósł przed nimi ogrom czerni - mur, dwadzieścia stóp wysokości, sypiące się cegły, zwisające pnącza i bluszcze.

- Tego nie ma na mapie - stwierdził Pendergast. - Kolejna ściana przeciwwybuchowa, późniejszy dodatek, zdaje się.

Zerknął w obie strony. Pomiedzy drzewami poniżej D'Agosta dostrzegł błyski latarek. Pendergast odwrócił się i pobiegł wzdłuż muru. Ściana zakręcała na grzbiet lekkiego wzniesienia. Kontur zarośniętego obrzeża rysował się na tle nocnego nieba.

Przed nimi, tam, gdzie mur opadał, D'Agosta zobaczył przez zarośla tańczące światła.

- Wspinamy się - powiedział Pendergast.

Zrobił zwrot, chwycił korzeń, podciągnął się. D'Agosta postąpił tak samo. Złapał jakąś łodygę, następną, znalazł oparcie dla stopy. Jedna z roślin chwyconych w pośpiechu oderwała się od muru, posyłając w dół deszcz ceglanych odłamków. D'Agosta obsunął się, odzyskał równowagę. Widział Pendergasta nad sobą, znacznie wyżej, wspinającego się jak kot. Światła zaczynały piąć się pod górę, druga grupa, po prawej, też się zbliżała.

- Szybciej! - syknął Pendergast.

D'Agosta chwycił pnącze, potem następne, poślizgnął się, wygramolił, jedną nogą balansując w powietrzu.

Teraz słyszał za sobą kakofonię głosów. Pendergast docierał właśnie do szczytu ściany. Rozległ się strzał i łomot pocisku o mur po jego prawej stronie. Jeszcze jeden rzut ciała w górę, kolejne oparcie dla stopy.

Dwa następne strzały. Pendergast sięgał w dół, chwycił go za ramiona, wciągał na górę. Światła dotarły teraz do otwartej przestrzeni tuż pod murem, skakały szaleńczo, błyskając w górę ściany i trafiając prosto w nich.

- Padnij!

D'Agosta już rzucał się twarzą w kierunku kruszącej się, zarośniętej powierzchni potężnego muru. Był szeroki przynajmniej na dziesięć stóp.

- Pełznij.

Odpychając się łokciami i kolanami, zaczął posuwać się wzdłuż muru, kryjąc się wśród roślinności. Rozległ się grzmot strzałów z broni automatycznej, pociski ciężły krzaki nad nim, zasypując go gałązkami i liśćmi.

Dotarli na drugą stronę - tylko po to, żeby zobaczyć tam kolejną grupę ludzi nadchodzących z psami - cichymi psami trzymanymi na smyczach. D'Agosta ponownie padł i przeturlał się z dala od brzegu ściany, gdy kolejne strzały przetrzepały krzaki obok.

- Jezu! - Przez chwilę leżał na plecach, patrząc w nieruchome gwiazdy.

Nagle dotarło do niego ujadanie psów. Psy zostały spuszczone.

Głosy były teraz po obu stronach, bezładna mieszanka włoskiego i angielskiego. Światła potężnej mocy przeszły im nad głowami, świeciły z dołu. D'Agosta słyszał szelesty i skrobanie towarzyszące wspinaczce.

Nagle tuż przy uchu miał Pendergasta. - Wstajemy i biegniemy. Trzymaj się środka muru i biegnij skulony.

- Zastrzelą nas.

- I tak nas zabijają.

D'Agosta wstał, zaczął biec - niezupełnie, raczej przepychać się i przebijać przez gęste zarośla rosnące na szczycie, który musiał kiedyś mieć na zwieńczeniu chodnik.

Światła przeczesywały szczyt muru, zabrzmiała salwa strzałów. I głos: - Non sparate!

- Biegnij! - zawołał Pendergast.

Ale już było za późno. Przed nimi na mur wspinały się ciemne sylwetki, blokując drogę, kierując na nich światła. D'Agosta i Pendergast padli płasko między odłamki gruzu.

Ktoś znowu zawołał: - Non sparate! Nie strzelać!

Za sobą D'Agosta zobaczył drugą grupę, która wspięła się na górę. Byli otoczeni. Sierżant leżał skulony w kałuży jaskrawego światła, czuł się wystawiony na pokaz, nagi.

- Eccoli! Tam są!

- Wstrzymać ogień!

A potem odezwał się głos, cichy i rozsądny:

- Możecie obaj wstać i się poddać. Albo was zabijemy. Wybór należy do was.



Locke Bullard zza stołu wpatrywał się w dwóch mężczyzn przykutych do ściany. Dwóch sukinsynów ubranych w czarne stroje sił specjalnych. Amerykanie, to było jasne, prawdopodobnie CIA.

Odwrócił się do swojego szefa do spraw bezpieczeństwa: - Zetrzyj im z twarzy farbę. Zobaczmy, kogo tu mamy.

Ten wyciągnął chusteczkę i szorstko startł kamuflujący makijaż.

Bullard ledwie mógł uwierzyć własnym oczom. Dwaj ludzie, których najmniej się spodziewał: sierżant policji z Long Island i Pendergast, agent specjalny FBI. Z miejsca zrozumiał, że Vasquez nawalił. Lub, co bardziej prawdopodobne, uciekł z pieniędzmi. Niewiarygodne. Zresztą nawet pomijając Vasqueza, Bullard był zdumiony, kiedy zdał sobie sprawę, że ci dwaj jakimś sposobem śledzili go do Włoch i zdołali przejść przez kilkupoziomowe zabezpieczenia laboratorium. Nie docenił ich, znowu ich nie docenił. Musiał się wyzbyć tego nawyku. Ci dwaj byli godni podziwu. Właśnie taki kłopot, jakiego nie potrzebował. Miał do załatwienia coś znacznie ważniejszego niż zajmowanie się tymi dwoma.

Zwrócił się do szefa do spraw bezpieczeństwa. - Co się stało?

- Przeszli przez zewnętrzne zabezpieczenia przy przejeździe kolejowym, dotarli aż do drugiego sektora. Przerwali siatkę laserową na polu wewnętrznym.

- Dowiedziałeś się, o co im chodziło? Co słyszeli?



- Niczego nie słyszeli, sir. Niczego nie mają.
- Jesteś pewien, że nie wyszli poza sektor drugi?
- Całkowicie, sir.
- Mieli coś, co służy do komunikacji?

- Nie, sir. I niczego nie porzucili. Weszli bez kontaktu na zewnątrz. Bullard skinął głową, zaskoczenie powoli ustępowało miejsca wściekłości. Ci dwaj go obrazili. Poczytał to sobie za ujmę.

Rzucił okiem na tłustego, który wydawał się teraz szczuplejszy. - Hej, D'Agosta, rzuciłeś parę funtów? A jak problemy ze wzwodem?

Brak odpowiedzi. Skurwysyn przyglądał mu się z nienawiścią. Dobrze. Niech sobie nienawidzi.

- I nasz niespecjalny agent. Jeżeli w ogóle jesteś agentem. Chcesz mi powiedzieć, co tu robicie?

Żadnej reakcji.

- Gówno znaleźliście, co?

Tracił czas. Nie przeniknęli drugiego, a co dopiero trzeciego poziomu zabezpieczeń, co oznaczało, że nie mogli się dowiedzieć niczego, co miałyby znaczenie. Najlepiej teraz się ich pozbyć. Jasne, jutro będzie się tu roić od federalnych, ale byli we Włoszech, a on miał przyjaciół w Questurze. Dysponował pięciuset akrami terenu do ukrycia ciał. Gówno znajdują.

Jedną rękę trzymał w kieszeni spodni, przerzucając drobne euro. Wymacał dłonią scyzoryk. Wyjął go, otworzył pilniczek, zaczął leniwie czyścić paznokcie. Nie podnosząc wzroku, spytał: - Żona wciąż obciąża temu sprzedawcy,

D'Agosta?

- Ciągłe ta sama śpiewka, co Bullard? Coś mi się zdaje, że sam

musisz mieć problemy w tych kwestiach.

Bullard poczuł falę wściekłości, ale szybko ją opanował. Zamierzał ich zabić, ale najpierw D'Agosta był mu coś winien. Nie przerywał czyszczenia paznokci.

- Twój najemnik spieprzył sprawę - ciągnął D'Agosta. - Szkoda, że pojechał na cyjanku, zanim zdążył cię wrobić. W każdym razie i tak się postaramy, żeby ci dowalili oskarżenie o spisek. Nieźle posiedzisz. Słyszysz mnie, Bullard? A kiedy bezpiecznie trafisz do pudła, osobiście dopilnuję, żeby ktoś zrobił z ciebie cizję numer jeden. O tak, będzie z ciebie niezła dupa dla jakiegoś skinheada, Bullard.

Tylko dzięki wielkiej wprawie Bullard zdołał zachować spokój. Więc Vasquez nie zwiął z pieniędzmi. Przyjął robotę i zawiódł. Jakimś cudem nawalił.

Przypomniał sobie, że teraz było to niemal bez znaczenia.

Obejrzał efekty swoich starań, zamknął pilniczek, otworzył długie ostrze. Trzymał je wyostrzone jak brzytwa na takie właśnie okazje. Kto wie: może nawet uzyskać jakieś informacje.

Odwrócił się do jednego ze swoich asystentów: - Połóż jego prawą rękę na stole.

Podczas gdy jeden strażnik chwycił wielkimi łapami twarz D'Agosty i wcisnął w ścianę, drugi uwolnił mu rękę z kajdanek, pociągnął, przyspilił do stołu. Gliniarz szarpnął gwałtownie.

Bullard przyjrzał się pamiątkowemu szkolnemu pierścieniowi. Pewnie z jakiejś gównianej szkoły publicznej w Queens. - Grywasz na pianinie, D'Agosta?

Brak odpowiedzi.

Przejechał ostrzem wzdłuż paznokcia środkowego palca prawej

ręki, rozcinając opuszkę palca.

D'Agosta szarpnął się, gwałtownie nabrał powietrza, wrywając palec. Z rany wypłynęła krew, z początku powoli, potem szybciej. Mężczyzna rzucał się szaleńczo, ale strażnicy utrzymali go w uścisku. Powoli przydusili rękę do stołu w poprzedniej pozycji.

Bullard poczuł falę podniecenia.

- Ty sukinsynu! - stęknął D'Agosta.

- Wiesz co? - odezwał się Bullard. - Podoba mi się to. Mógłbym się tak zabawiać całą noc.

D'Agosta szarpał się w objęciach strażników.

- Jesteś z CIA, tak? D'Agosta znów stęknął.

- Odpowiedz.

- Nie, na litość boską.

- Ty. - Zwrócił się do Pendergasta. - Jesteś z CIA? Odpowiedz mi. Tak czy nie?

- Nie. I popełnia pan błąd jeszcze większy niż poprzednio.

- Jasne. - Po co miał się pieprzyć? I co za różnica? Te gnoje upokorzyły go na oczach całego miasta. Poczuł, że na nowo ogarnia go wściekłość, i - tym razem z większą starannością - wziął nóż i pewnym ruchem przeciągnął aż do powierzchni stołu, odcinając czubek wcześniej zranionego palca.

- Kurwa! - wrzasnął D'Agosta. - Ty gnoju!

Bullard cofnął się o krok, ciężko dysząc. Pociły mu się ręce; wytarł je o rękaw marynarki, mocniej uchwycił nóż. Potem wpadł mu w oko zegar na ścianie. Już dochodziła druga. Nie mógł sobie pozwolić na zajmowanie się głupstwami. Miał przed świtem do załatwienia coś ważniejszego. Coś o wiele, wiele ważniejszego.

Odwrócił się do szefa do spraw bezpieczeństwa. - Zabij ich. Potem pozbądź się ciała. Broń wyrzuć razem z nimi. Załatw to w starych szybach. Nie chcę, żeby na terenie zostało cokolwiek dla sądówki, a już zwłaszcza w pobliżu laboratorium. Wiesz, co mam na myśli: włosy, krew, cokolwiek z DNA. Nie pozwól im nawet splunąć.

- Tak jest.

- Ty... - zaczął Pendergast, ale Bullard obrócił się z rozmachem i wymierzył mu potężny cios w żołądek. Pendergast zgiął się w pół.

- Zakneblować ich. Obu zakneblować.

Ochroniarze upchnęli im w ustach zwinięte w kulę kawałki tkaniny, a potem zabezpieczyli je taśmą samoprzylepną.

- Zawiąż im też oczy.

- Tak jest, proszę pana.

Bullard spojrział na D'Agostę. - Pamiętasz, jak obiecałem, że mi zapłacisz? Teraz masz palec równie krótki jak fiut.

Wydając nieartykułowane dźwięki, D'Agosta usiłował się wyrwać, gdy zawiązywano mu oczy

Bullard odwrócił się do asystenta, ruchem głowy wskazał na stół. - Sprzątnij ten bałagan. A potem wynocha stąd w cholere.



Zakneblowany, z zawiązanymi oczyma, z rękoma skutymi na plecach, D'Agosta był prowadzony przez jednego z dwóch ochroniarzy. Obok słyszał brzęczenie kajdanek Pendergasta. Szli przez coś, co wydawało się długim wilgotnym przejściem podziemnym: powietrze cuchnęło grzybem i czuł chłodną wilgoć przenikającą przez ubranie. A może to był jego własny pot. Środkowy palec wydawał się jakby zanurzony w płynnym ołowiu, pulsował w rytm uderzeń serca, krew swobodnie spływała po dolnej części pleców.

W całej sytuacji było coś nierzeczywistego. W każdym innym momencie myślał, że stracił właśnie koniec palca, wyparłaby wszystkie inne. A teraz rejestrował tylko sam ból. Wszystko stało się tak szybko. Zaledwie kilka godzin wcześniej wypoczywał w luksusowym apartamencie. Zaledwie kilka godzin wcześniej miał niemal łzy w oczach, widząc wreszcie rodzinną ziemię. A teraz znalazł się tutaj - z brudną szmatą wepchniętą w usta, zasłoniętymi oczyma i związanymi rękoma, prowadzony na śmierć, na egzekucję.

Nie mógł uwierzyć, że zaraz umrze. A jednak właśnie to miało się wydarzyć, o ile albo on sam albo Pendergast czegoś nie wymyślą. Ale zostali starannie przeszukani, a najpotężniejsza broń Pendergasta - jego wymowność - uciszona. Wydawało się to niemożliwe, nie do pomyślenia. A jednak taka była wymowa faktów, miał przed sobą

zaledwie minuty życia.

Próbował odsunąć od siebie wrażenie nierealności, usiłował zapomnieć o palącym bólu, starał się wymyślić jakąś ucieczkę w ostatniej chwili, jakiś sposób, żeby odwrócić na swoją korzyść sytuację, w której ci dwaj mężczyźni tak bez emocji prowadzili ich na śmierć. Ale ani odebrane przeszkolenie, ani książki detektywistyczne, które przeczytał i które napisał, nie dostarczyły mu żadnej podpowiedzi.

Zatrzymali się i D'Agosta usłyszał jęk otwieranego z trudem zardzewiałego metalu. Potem został wypchnięty i doleciało do niego granie świerszczy, poczuł wilgotne nocne powietrze. Wyszli na zewnątrz.

Dźgnęło go coś, co bez wątpienia było lufą pistoletu. Szli teraz po podłożu, które przez miękkie podeszwy wydawało się trawiastą ścieżką. Słyszał szelest liści nad głową. Drobne, nieważne wrażenia - a jednak stały się nagle nieznośnie cenne.

- Chryste - odezwał się jeden z mężczyzn. - Ta rosa zniszczy mi buty. Dopiero co dałem za nie dwieście euro, to ręczna robota z Panzano.

Drugi zachichotał. - No, to powodzenia przy kupowaniu nowej pary. Ten stary dziwak robi gdzieś tak parę na miesiąc.

- Zawsze nam przypada gówniana robota. - Jakby chcąc to podkreślić, mężczyzna pchnął D'Agostę. - Już przemokły, jasna cholera.

D'Agosta zorientował się, że myśli uciekają mu w stronę Laury Hayward. Czy uroni nad nim łzę? Dziwne, ale jedną z rzeczy, których teraz pragnął najbardziej, było móc jej powiedzieć, jak zginął.

Pomyślał, że tak łatwiej byłoby to znieść, łatwiej, niż po prostu zniknąć, łatwiej, niż nigdy się nie dowiedzieć...

- Trochę pasty i będą jak nowe.
- Skóra jak już raz przemoknie, nigdy nie będzie taka sama.
- Ty i twoje pieprzone buty.
- Jakbyś zapłacił dwieście euro, też byłbyś wkurzony

Uczucie nierealności wzrosło. Próbował skupić się na pulsującym bólu palca; dopóki go czuł, wiedział, że jeszcze żyje. Jeśli czegoś się bał, to chwili, kiedy ból się skończy.

Teraz to już kwestia minut. Zrobił krok, jeszcze jeden, potem potknął się o coś w trawie.

Uderzenie w bok głowy. - Uważaj, jak idziesz, dupku.

Powietrze się ochłodziło, pachniało ziemią i gnijącymi liśćmi. Czuł bezradność. Knebel i opaska pozbawiły go możliwości nawiązania kontaktu wzrokowego z Pendergastem, dania znaku, zrobienia czegoś.

- Ścieżka do starych kamieniołomów idzie tędy Szelest, potem mruknięcie. - Jezu, ale tu zarośnięte.

- Taa, uważaj, gdzie stawiasz nogi.

D'Agosta znów poczuł pchnięcie. Przeciskali się przez mokre liście.

- Jest dokładnie przed nami. Przy brzegu masa kamieni, nie potknij się. - Wybuch śmiechu. - W dół długa droga.

Kolejna chwila przepychania się przez krzaki i mokrą trawę. D'Agosta został zatrzymany szarpnięciem.

- Jeszcze dwadzieścia stóp - powiedział mężczyzna.

Cisza. D'Agosta wciągnął zapach czegoś mokrego i zimnego - wyziew stęchłego powietrza z głębokiego kopalnianego szybu.

- Pojedynczo. Nie chcemy tego spieprzyć. Idź pierwszy. Zaczekam tu z tym drugim. I pospiesz się, już mnie coś pogryzło.

D'Agosta usłyszał, że Pendergast zostaje pchnięty w przód, słyszał szelest kroków w poszyciu. Pierwszy mężczyzna mocno trzymał go za kajdanki, lufa pistoletu wciskała mu się w ucho. Powinien coś zrobić, musiał coś zrobić. Ale co? Najłżejszy ruch i będzie martwy. Nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. Jego umysł odmawiał przyjęcia tego do wiadomości. Zdał sobie sprawę, że gdzieś w głębi ducha był pewien, że Pendergast zdoła jakimś cudem coś zrobić, że wyciągnie kolejnego królika z kapelusza. Ale czas na to minął. Co mógł zrobić Pendergast - zakneblowany, z zawiązanymi oczami, z pistoletem przyłożonym do głowy, stojąc na skraju przepaści? Wyszła ostatnia kropla nadziei.

- Tak wystarczy - Głos dotarł do niego z odległości mniej więcej trzydziestu stóp, trochę stłumiony przez liście. To ten drugi mówił do Pendergasta. D'Agosta znów wciągnął nosem zimne powietrze z szybu. Insekty brzęczały mu koło uszu. Palec pulsował.

To naprawdę był koniec.

Usłyszał dźwięk wprowadzania kuli do komory pistoletu.

- Pojednaj się z Bogiem, kutasie.

Pauza. A potem odgłos strzału, niewiarygodnie głośny. Kolejna pauza - i z daleka, zniekształcony, odbijający się echem w szybie, dźwięk ciężkiego przedmiotu wpadającego do wody.

Dłuższe milczenie, a potem męski głos, trochę zadyszany. - Dobra. Dawaj tego drugiego.





Trzecia nad ranem.

Locke Bullard stał w ogromnym, łukowato sklepionym salone swojej willi odizolowanej na wzgórzu, na południe od Florencji. Jego uczucia zdradzały tylko poruszające się wolno mięśnie nad masywnym podbródkiem. Podeszedł do okna z oprawnych w ołów szybek i spojrział na otoczone murem ogrody, otworzył jedno skrzydło drżącą węzlastą dłonią. Gwiazdy zostały przysłonięte chmurami, nocne niebo było idealnie czarne. Idealna noc dla tego rodzaju zadania; równie idealna jak tamta inna noc, łąta temu. Boże, co by dał, żeby cofnąć tamtą noc... Zadrżał na to wspomnienie, a może tylko z powodu chłodnego powiewu wiatru, z westchnieniem mijającego stare drzewa w pineta za ogrodem.

Przez jakiś czas stał przy oknie, starając się uspokoić, pozbyć rosnącego uczucia przerażenia. Poniżej, na tarasie, słabo lśniły niewyraźne białe kształty marmurowych rzeźb. Niedługo będzie po wszystkim, powtórzył sobie. I będzie wolny Wolny Ale teraz musiał zachować spokój. Odłożyć na bok stare, racjonalne spojrzenie na świat, choćby na tę jedną noc. Jutro będzie mógł sobie powiedzieć, że to był tylko zły sen.

Z wielkim wysiłkiem oczyścił umysł, spróbował choć przez chwilę skupić się na czymś innym. Za kołyszącymi się czubkami sosen dostrzegał linię cyprysów na dalekich wzgórzach, a dalej odległą,

jasno oświetloną kopułę Duomo obok wieży Giotto. Kto to powiedział, że tylko mieszkając w miejscu z widokiem na Duomo, jest się prawdziwym florentczykiem? Na ten sam widok patrzył Machiavelli, dokładnie ten: wzgórze, słynna kopuła, odległa wieża. Może pięćset lat temu Machiavelli stał właśnie w tym samym miejscu, opracowując szczegóły Księcia. Bullard przeczytał tę książkę, kiedy miał dwadzieścia lat. Był to jeden z powodów, dla których skorzystał z okazji nabycia willi, gdzie Machiavelli się urodził i wychował.

Bullard był ciekaw, jak też Machiavelli zareagowałby na ten kłopot. Wielki dworzanin bez wątpienia czułby to samo co on: przerażenie i rezygnację. Jak dokonać wyboru, kiedy staje się przed problemem mającym dwa rozwiązania, oba nie do przyjęcia? Jedno nie do przyjęcia, drugie nie do pomyślenia, poprawił się.

Akceptuje się to nie do przyjęcia.

Odwrócił się od okna i przez mroczny pokój spojrział na zegar na kominku. Dziesięć minut po trzeciej. Musiał dokonać ostatnich przygotowań.

Podszedł do stołu i zapalił ogromną starą świecę, której blask oświetlił kawałek starego pergaminu: stronę z pewnego trzynastowiecznego grimoiru. Potem, biorąc do ręki starożytny nóż arthame, który leżał obok, Bullard zaczął ostrożnie żłobić okrąg na wyłożonej terakotą podłodze salonu. Pracował powoli, z najwyższą uwagą sprawdzał, czy krąg nie został przerwany. Kiedy się z tym uporał, wziął kawałek węgla, specjalnie przygotowany, i zaczął wypisywać na obrzeżu okręgu litery greckie i aramejskie, coraz przerywając, by skonsultować się z grimoirem. Następnie narysował

dookoła tego wszystkiego dwa pentagramy. Potem mniejszy okrąg - ten przerwany - obok większego. Nie martwił się, że ktoś może mu przeszkodzić: odprawił całą ochronę i służbę. Nie chciał ryzykować obecności świadków i - przede wszystkim - zakłócenia biegu wydarzeń. Kiedy się robi to, co miał zamiar zrobić, przywołuje, co miał nadzieję przywołać, nie mogło być żadnych przeszkód, żadnych pomyłek, żadnego ryzyka. Na szali leżało coś większego niż jego życie - ponieważ, jak się wydawało, konsekwencje tych poczynań nie miały się zakończyć wraz z jego śmiercią.

Przerwał na chwilę, przygotowania były niemal ukończone. Teraz to już nie potrwa długo. Będzie po wszystkim i zacznie od nowa. Zostaną, oczywiście, pomniejsze drobiazgi wymagające zakończenia: na przykład zniknięcie Pendergasta i D'Agosty, Chińczycy i to, co zaszło w Paterson. Ale z ulgą wróci do zwykłych spraw. Te problemy, choćby nie wiadomo jak skomplikowane, należały do realnego świata i potrafił się z nimi uporać. Betka w porównaniu z tym.

Jeszcze raz przejrzał stronę manuskryptu, a potem jeszcze raz, upewniając się, że o niczym nie zapomniał. Potem, niemal wbrew woli, przeniósł spojrzenie na stare prostokątne pudło stojące na stole. Teraz czas na to.

Wyciągnął rękę, otworzył mosiężne zamknięcie. Pogładził wypolerowaną powierzchnię pudełka, a następnie - z potwornym wewnętrznym oporem - otworzył je. Z wnętrza uniósł się słaby zapach starego drewna i końskiego włosia. Wciągnął go w płuca: starożytna perfuma, bezcenny zapach. Drżącą ręką sięgnął w głąb skrzynki, popieścił gładki przedmiot w jej wnętrzu. Nie ośmielił się go wyjąć - trzymanie tego w rękach zawsze go trochę niepokoiło. Ta

rzecz nie została zrobiona dla niego. Została zrobiona dla innych. Innych, którzy, jeśli mu się powiedzie, nigdy więcej jej nie zobaczą...

Ogarnęła go nagła fala żalu, złości, strachu i bezradności. Niemal poddał się tak czystej sile. Niesamowicie, że myśl mogła dosłownie rzucić na kolana. Gwałtownie zaczerpnął powietrza, ciężko oddychał, mocno chwycił się ciężkiego stołu. Trzeba zrobić to, co musi być zrobione.

Ostrożnie zamknął pudło, zabezpieczył zameczkiem i umieścił na podłodze, wewnątrz mniejszego, przerwanego kręgu. Więcej tam nie spojrzy, nie będzie się dłużej torturował. Z ciężkim sercem rzucił okiem na zegar. Ten odpowiedział, wybijając kwadrans, dźwięk dzwonek stanowił dziwny kontrapunkt dla ciemności w salonie. Bullard przełknął ślinę, zgrzytnął zębami i wreszcie z najwyższym wysiłkiem wypowiedział słowa, które tak starannie wbił sobie w pamięć.

Wystarczyło dziewięćdziesiąt sekund, żeby zakończyć zaklęcie.

Z początku nic się nie stało. Wyteżył uwagę, nasłuchiwał, ale nie rozległ się żaden dźwięk, nawet westchnienie, nic. Czy powiedział coś niepoprawnie? Opuszczony przez służbę dom zdawał się cichy jak grób.

Powędrował wzrokiem w stronę manuskryptu. Czy powinien wyrecytować to jeszcze raz? Ale nie - ceremonia musiała być przeprowadzona dokładnie, bez żadnych odstępstw. Powtórzenie mogłoby mieć katastrofalne, niewyobrażalne konsekwencje.

Gdy tak czekał w słabym świetle, zastanawiał się, że może to jednak nieprawda, zwykłe przesady. Przy tej myśli poczuł tak rozpaczliwą mieszaninę nadziei i niepewności, że zmusił się do

odsunięcia jej na bok. Nie mylił się. Nie mogło być innej odpowiedzi...

A potem to poczuł albo pomyślał, że czuje, dziwny ruch powietrza. Doleciał go słaby zapach płynący przez salone. Ostry odór siarki.

Podmuch wiatru poruszył zasłonami. Pokój jakby pociemniał, jak gdyby ze wszystkich stron wdzierła się do niego wielka ciemność. Czuł, że spina się ze strachu i oczekiwania. Tb się działo. Zakłęcie działo, zgodnie z obietnicą.

Czekał, niemal bojąc się oddychać. Zapach się wzmógł i teraz wydawało się, że w nieruchomym powietrzu salonu unoszą się smużki dymu, smużki podpływające do okien i zwijające się w kątach. Doświadczał dziwnej obawy, fizycznie odczuwanego przerażenia. Tak, to było odczucie fizyczne, zwiastun tego, co się zbliżało, i powietrze wydawało się krzepnąć w narastającym cieple.

Bullard z walącym sercem stał w większym okręgu, wyteżał wzrok, żeby przebić ciemność przy drzwiach. Niewyraźny zarys... ociężały, wolno poruszający się kształt...

Dokonał tego! Udało mu się! On nadchodził! Naprawdę nadchodził...!



D'Agosta był odrętwiały Strzał, cisza i finalny plusk - to naprawdę to.

- Chodź - powiedział strażnik, popychając go.

D'Agosta nie mógł się ruszyć, nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje.

- Rusz się! - Mężczyzna dźgnął Vincenta w tył głowy lufą pistoletu.

Potyając się, poszedł do przodu, automatycznie starał się znajdować miejsce dla stóp pomiędzy rozrzuconymi kawałkami kamieni. Ogarnął go pleśniowy oddech otwartego szybu. Sześć kroków, osiem, dwanaście.

- Stój.

Teraz czuł, że od wyziewów kręci go w nosie, prąd powietrza mierzwił mu włosy. Wszystko zdawało się niezwykle czyste, a czas zwolnił, pełzał. „Jezu, co za śmierć”.

Lufa twardo wgniatała mu się w czaszkę. D'Agosta mocno zacisnął powieki pod opaską, modlił się o szybki koniec.

Wziął płytki oddech, potem następny. Rozległ się ogłuszający huk strzału. Poleciał twarzą w pustkę...

...słabo, jakby z wielkiej odległości, poczuł stalowe ramię, które wystrzeliło zza jego pleców i odciągało go od ostatecznej krawędzi. Ręka rozluźniła chwyt i D'Agosta natychmiast upadł na usianą kamieniami trawę. Chwilę później usłyszał, jak ciało - nie jego -

uderza o powierzchnię wody w dole.

- Vincent?

To był Pendergast.

Szarpnięcie - i usunięta została opaska, kolejne - i Pendergast przeciął mu knebel. D'Agosta leżał tam, gdzie upadł, oszołomiony

- Vincent, ocknij się.

Powoli doszedł do siebie. Pendergast stał z boku z pistoletem wymierzonym we własnego strażnika - przywiązywał go do drzewa. Człowieka D'Agosty nigdzie nie było widać.

Potykając się, niezdarnie wstał. Na twarzy czuł dziwną wilgoć. Łzy? Rosa z trawy? Wydawało się, że to cud. Przełknął ślinę, zdołał wychrypieć: - Jak...?

Ale Pendergast po prostu potrząsnął głową i zerknął na rozdziawioną paszczę szybu. - To chyba koniec jego kłopotów z butami. - Potem spojrział na pozostałego przy życiu strażnika i obdarzył go przelotnym zimnym uśmiechem.

Mężczyzna zbladł i wymamrotał coś przez knebel.

Pendergast odwrócił się do D'Agosty. - Pokaż mi palec.

Vincent kompletnie o nim zapomniał. Pendergast ujął jego rękę, zbadał. - Zrobione ostrym nożem. Masz szczęście: ani kość, ani nasada paznokcia nie są uszkodzone. - Oderwał pasek materiału od brzegu własnej czarnej koszuli i zabandażował ranę. - Byłoby mądrze odstawić cię do szpitala.

- Do diabła z tym. Ruszamy za Bullardem.

Pendergast uniósł brwi. - Z przyjemnością słyszę, że jesteśmy tego samego zdania. Tak, teraz mamy dobrą sposobność. A jeśli chodzi o twój palec...

- Daj spokój z palcem.

- Jak sobie życzysz. Masz tu swoją służbową broń.

Pendergast wręczył sierżantowi glocka dziewięć milimetrów, a potem odwrócił się do strażnika i wycelował mu w skroń własnego les baera. - Masz jedną szansę, tylko jedną, powiedzcie nam, jaka jest najlepsza droga wyjścia. Wiem już sporo o układzie trenu, więc każda próba oszustwa zostanie odkryta i natychmiast odpowiem na nią strzałem w płat skroniowy. Zrozumiano?

Mężczyzna nie mógł powstrzymać potoku słów.

Godzinę później Pendergast i D'Agosta jechali na południe Florencji przez Via Volterrana, ciemną, otoczoną kamiennymi ścianami drogą, która wiała się wzdłuż szczytów wzgórz miasta. Z pobliskich wzniesień słabo mrugały rzadko rozrzucone światełka.

- Jak to zrobiłeś? - zapytał D'Agosta. Wciąż nie mógł uwierzyć. - Myślałem, że już po nas.

Wciąż mieli na sobie czarne kamuflujące stroje i widział tylko ręce oraz twarz Pendergasta. W słabym świetle z tablicy rozdzielczej rysy agenta wydawały się twarde i spłaszczone. - Muszę przyznać, że sam przeżyłem wówczas chwilę dyskomfortu. Mieliśmy szczęście, że postanowili się rozdzielić, zabijać nas po kolei. To był ich pierwszy błąd. Drugi to przesadna pewność siebie i brak uwagi. Trzeci to fakt, że mój człowiek cały czas wciskał we mnie broń - co, oczywiście, cały czas zdradzało, gdzie się ta broń znajduje. Zawsze noszę w mankietach koszuli kilka małych narzędzi, także w obszyciu spodni, w innych miejscach. Stary trik magików. Skorzystałem z nich, żeby otworzyć zamek w kajdankach. Na szczęście włoskie zamki są dość prymitywne. Kiedy zatrzymaliśmy się przy szybie, rozbroiłem



swojego przeciwnika ciosem w splot słoneczny, pozbyłem się opaski i knebla. Wystrzeliłem w powietrze, stopą spychając w otwór ciężki kamień. Następnie poleciłem strażnikowi, by kazał przyprowadzić ciebie, ale nie dałbym rady uporać się z nimi dwoma... Nie jestem zwolennikiem zabijania ludzi z zimną krwią, jednak nic nie mogłem na to poradzić.

Zamilkł.

D'Agosta czuł, jak rośnie w nim gniew. On niczego nie żałował. Palec znów boleśnie pulsował w rytm uderzeń serca. „Bullard”. Pendergast miał rację: ten człowiek drogo zapłacił.

Samochód wziął kolejny zakręt i tam, pół mili przed nimi, na tle nocnego nieba Vincent zobaczył w słabym poblasku zarys willi otoczonej cyprysami, z zakończoną blankami wieżą po jednej stronie.

- Miejsce wygnania Machiavellego - mruknął Pendergast. Samochód zanurzył się w dolinę, mijając starożytne mury. Agent zwolnił, gdy zbliżyli się do żelaznej bramy, a potem zjechał z drogi. Ukryli wóz w zagajniku oliwnym i dotarli do bramy.

- Spodziewałem się poważnych zabezpieczeń - stwierdził Pendergast po szybkim zbadaniu zamka. - Ale ta brama jest otwarta.

- Zajrzał. - A budka strażnika pusta.

- Jesteś pewien, że to ta willa?

- Tak. - Powoli otworzył bramę i weszli w ciemność otaczającego budynek wspaniałego parku. Wzdłuż podjazdu, który prowadził na wzgórze porośnięte następnymi zagajnikami oliwnymi, stały dwa rzędy cyprysów. Pendergast przystanął, pochylił się i na czworakach obejrzał niewyraźne odciski na żwirze. Wstał, rozejrzał się i ruchem głowy pokazał na gęsty sosnowy las z boku. - Tędy.

Ruszyli między drzewami, Pendergast co chwila przystawał, najwyraźniej szukając strażników albo jakichś zabezpieczeń. - Dziwne - zamruczał do siebie. - Bardzo dziwne.

Wkrótce dotarli do gęstego żywopłotu z wawrzynu, nieskazitelnie przyciętego i nie do przebycia. Doszli wzdłuż niego do zamkniętej bramy, którą Pendergast sprawnie otworzył. Dalej leżał elegancki włoski ogród, niskie bukszpanowe szpalery układały się w prostokątne kształty, obrzeżając grządki z lawendą i margerytkami. Pośrodku stał marmurowy posąg fauna grającego na fletni Pana, z której piszczałek tryskała woda i z pluskiem spadała do porośniętego mchem basenu poniżej. W głębi wznosiła się ciemna fasada willi.

Zatrzymali się, żeby przyjrzeć się wielkiej budowli. Ozdabiały ją stiuki w bladożółtym kolorze. Tuż pod dachem krytym dachówkami, wzdłuż trzeciego piętra, biegła loggia: rząd kolumn zwieńczonych rzymskimi łukami. Jedyнным znakiem życia był słaby, migotliwy blask widoczny przez okna z drobnych szybek prowadzące do pomieszczenia, które wydawało się pełnić funkcję wielkiego salone na pierwszym piętrze.

Pendergast znów ruszył naprzód, D'Agosta za nim, gulgotanie fontanny zagłuszało ich kroki. W kilka minut dotarli do zewnętrznej ściany willi. Wciąż ani śladu strażników.

- Dziwne - wyszeptał Pendergast.

- Może Bullarda nie ma w domu.

Przeszli pod jednym z wielkich okien salonu. Wtedy właśnie do D'Agosty dotarł zapach. Tylko przelotny powiew, ale odebrał go jak fizyczny cios. Z miejsca jego gniew zmienił się w niedowierzanie, a potem w narastające przerażenie.

- Siarka.

- Rzeczywiście.

Na wpół świadomie sięgając po krzyżyk, D'Agosta obszedł za Pendergastem bok domu do wielkiego portone.

- Otwarte - stwierdził Pendergast, wślizgując się do środka.

D'Agosta zawahał się niemal niezauważalnie i także wszedł. Zatrzymali się w wejściu, badając wzrokiem ogromne sklezione przestrzenie piano terra, ciemnego, ze starymi freskami i trompe l'oeil.

Zapach był tu mocniejszy Siarka, fosfor - i spalony tłuszcz.

Teraz Pendergast ruszył w górę szerokim łukiem schodów prowadzących na pierwsze piętro i do salone. D'Agosta podszedł za nim do masywnych drewnianych drzwi opasanych żelaznymi taśmami przytwierdzonymi na śruby. Jedno skrzydło stało otworem, zza niego widoczne było migocące światło.

Pendergast pchnął drzwi.

Chwilę trwało, zanim D'Agosta zrozumiał, co widzi. Światło nie pochodziło z palącej się świecy ani wielkiego kominka na dalszej ścianie, ale ze środka pomieszczenia. Tam, w środku pospiesznie narysowanego kręgu, leżało coś, co się dopalało, ze zwęglonych szczątków unosiły się ostatnie języki ognia.

To coś miało zarys ludzkiej sylwetki.

Z przerażeniem i niedowierzaniem D'Agosta wpatrywał się w żarzący, pokryty warstwą tłuszczu kształt rozciągnięty na podłodze: spopieliałe resztki szkieletu z rozrzuconymi rękami i nogami, widoczna każda strawiona przez ogień kość. Na właściwym miejscu znajdowała się klamra od paska, były tam trzy metalowe guziki

marynarki. Tam gdzie poprzednio była kieszeń, teraz leżała nadtopiona kupka euro. Wśród prochów górnej części zeber spoczywały pozostałości złotego pióra. Spalone kości ręki wciąż ozdabiała para znajomo wyglądających pierścieni.

Ale me wszystko spłonęło. Idealnie zachowała się jedna stopa, spalona tylko do kostki. Wyglądała absurdalnie, jak filmowy rekwizyt, wciąż obuta w pięknie wypolerowany, ręcznej roboty dziurkowany but. Z drugiej strony znajdował się drugi kawałek ciała: tylko bok twarzy z jednym wytrzeszczonym okiem, kosmykiem włosów i idealnie różowym uchem, wszystko nietknięte, jakby ogień, który pochłonął tego człowieka, nagle wygasł wzdłuż linii wyrysowanej na boku głowy. Z reszty pozostała tylko zasmolona czaszka, pęknięta i pokruszona od żaru.

Z twarzy zachowało się wystarczająco dużo, żeby nie mieć wątpliwości, kto tam leżał. Locke Bullard.

D'Agosta zorientował się, że wstrzymuje oddech. Wypuścił go z drżeniem, nabrał w płuca powietrza cuchnącego siarką i pieczonym mięsem. Gdy zaczęły mu wracać siły, zauważył, że zawieszzone jedwabnymi draperiami ściany i sufit pokryły się tłustą powłoką. Spory okrąg, w którym leżały zwłoki, wydawał się wycięty w podłodze, otaczały go tajemnicze symbole, całość została zamknięta w podwójnym pentagramie. W pobliżu znajdował się mniejszy okrąg - ten był pusty.

D'Agosta nie miał siły, żeby się odwrócić. Usłyszał trzask i zdał sobie sprawę, iż tak ścisnął krzyż, że zerwał łańcuszek. Spojrzał na przedmiot trzymany w dłoni, tak znajomy i uspokajający. Wydawało się niemożliwe, żeby to mogło być prawdą, żeby wszystko, co wiele

lat temu powiedziały mu zakonnice, było naprawdę realne, ale w tej chwili nie miał cienia wątpliwości. To było dziełem samego diabła.

Spojrzał na Pendergasta i zobaczył, że on także trwa w miejscu jak przyrośnięty, z twarzą przepelnioną zdumieniem, szokiem i rozczarowaniem. „To oznacza koniec pewnej teorii - pomyślał D'Agosta. - I utratę świadka. Nie chodziło tylko o wstrząs, ale też potworny, może nawet śmiertelny cios dla śledztwa.

Kiedy D'Agosta na niego patrzył, Pendergast wyjął komórkę i zaczął wybierać numer.

D'Agosta nie wierzył własnym oczom. - Do kogo dzwonisz?

- Do carabinieri. Włoskich sił porządkowych. Jesteśmy tu gośćmi i ważne, żebyśmy grali zgodnie z zasadami. - Odbył krótką rozmowę po włosku, zatrzasnął telefon, odwrócił się do D'Agosty. - Mamy jakieś dwadzieścia minut do przybycia policji. Wykorzystajmy je jak najlepiej.

Zaczął szybko obchodzić scenę zbrodni, zatrzymując się przy stoliku, na którym leżało kilka przedmiotów: kawałek starego pergaminu, dziwnie wyglądający nóż, niewielki kopczyk soli. D'Agosta tylko mu się przyglądał, nie był w stanie zmusić się do udziału w tych działaniach.

- No, no - powiedział Pendergast. - Nasz przyjaciel Bullard krótko przed swoim, ee, zgonem, korzystał z grimoiru.

- Co to jest grimoir?

- Księga czarnej magii. Zawiera instrukcje, jak przywoływać demony, między innymi.

D'Agosta przełknął ślinę. Chciał się stąd wynieść w cholerę. To było coś innego niż śmierć Grove'a czy nawet Cutforth'a - to się

właśnie stało. I nie chodziło o zwykłego zabójcę. Pendergast czy inni przedstawiciele organów sprawiedliwości nie mogli niczego zrobić. „Zdrowaś Mario, łaskiś pełna.

Pendergast nachylał się nad nożem. - A co my tu mamy? Arthame, sądząc na oko.

D'Agosta chciał powiedzieć agentowi, że muszą wyjść, bo zadziałały tu siły znacznie potężniejsze niż oni, ale nie potrafił złożyć słów.

- Zauważ, że krąg otaczający Bullarda ma kawałek wydrapany - widzisz? - tutaj. Został zmieniony w przerwany krąg.

D'Agosta skinął głową, oniemiały.

- Z kolei mniejszy krąg od początku nie został zakończony. Sądzę, że stworzono go jako przerwany krąg. - Pendergast podszedł tam i nachylił się, z uwagą badając rysunek. Wyjął z mankietu parę szczypczyków i podniósł coś ze środka kręgu.

- No tak - zdołał powiedzieć D'Agosta, ponownie przełykając ślinę.

- Bardzo jestem ciekaw, co takiego znalazło się w przerwanym kręgu - przedmiot ten niewątpliwie umieszczono tam jako podarunek dla, ee, diabła.

- Diabła. - „Pan z tobą.

Pendergast uważnie zbadał czubek szczypczyków, odwracając je na wszystkie strony. Brwi gwałtownie podjechały mu w górę, na twarzy pojawił się wyraz zdumienia.

D'Agosta przerwał modlitwę w połowie.

- Co to jest?

- Końskie włosie.

I D'Agosta zobaczył, albo tak mu się zdawało, wyraz zrozumienia

wypływający na bladą twarz agenta.

- Co to jest? Co to znaczy?

Pendergast opuścił szczypczyki. - Wszystko.



Harriman spacerkiem minął hotel „Plaza” i wszedł do Central Parku, z rozkoszą wdychając rześkie powietrze. Był wspaniały jesienny wieczór, ostatnie promienie słońca złociły listowie nad jego głową. Wiewiórki uwijały się, zbierając orzechy, mamy pchały wózki z dziećmi, po South Park Drive przemykały grupy rowerzystów i ludzi na rolkach.

Jego kawałek o Bucku poszedł w porannym wydaniu i Rittsowi cholernie się podobał. Telefony urywały się przez cały dzień, faksy grzały, napływały maile od czytelników. Znowu trafił we właściwą strunę.

W ten wspaniały wieczór Bryce Harriman szedł na północ, wracając na pole chwały, aby szukać nowych triumfów. Potrzebny mu był wywiad z samym wielebnym Buckiem - i to na wyłączność dla „Post”. Jeśli ktokolwiek umiał zdobyć ten wywiad, to właśnie on.

Minął zaplecze ogrodu zoologicznego i stary arsenał, po czym zatrzymał się zaskoczony. Zobaczył namiot, stary płócienny namiot rozbity na zarośniętej połaci ziemi rozciągającej się na północ od Sześćdziesiątej Piątej Ulicy od strony Piątej Alei. Kiedy wszedł na niewielkie wzniesienie, zobaczył kolejne namioty. Za szczytem rozpościerało się całe miasteczko; z kilkunastu ognisk unosiły się w niebo słupki dymu.

Zaskoczenie ustąpiło miejsca uczuciu satysfakcji. A więc udało mu



się. Utrzymał historię przy życiu, zidentyfikował lidera i zachęcił ludzi, żeby przybywali. A teraz to.

Wszedł między namioty w zewnętrznym kręgu obozowiska. Niektórzy ludzie, zwłaszcza liczne dzieciaki w wieku licealnym i studenci, byli owinięci tylko w gazety; inni mieli śpiwory różnych typów i kolorów, jeszcze inni zrobili sobie prymitywne szałaszy z rozpiętych na kijach prześcieradeł. Było też kilka wymyślnych namiotów z North Face i Antarctica Ltd. - pewnie własność bogatych dzieciaków ze Scarsdale i Short Hills. Kątem oka dostrzegł paru gliniarzy obserwujących to wszystko spod muru Piątej Alei. Po lewej stronie widział kolejnych policjantów trzymających się dyskretnie na uboczu. Nic dziwnego - musiało tu koczować z pięciuset ludzi.

Harriman ruszył wyznaczoną przez rozstawione namioty alejką. Wyglądało to niemal jak slamsy z czasów wielkiego kryzysu, wąskie dróżki między kępami drzew i skałkami, ogniska, na których tu i ówdzie coś się pichciło, ludzie siedzący na kocach i kołdrach, pijący kawę. Pojawiali się nowi z plecakami, stawiający kolejne namioty. Musiało się to ciągnąć co najmniej do Siedemdziesiątej Ulicy: cztery przecznice jak nic. Niewiarygodne. Czy w Nowym Jorku kiedykolwiek zdarzyło się coś podobnego? Szybko wyciągnął telefon i wezwał dyżurnego fotografa. Potem zaczął pytać o drogę i w kilka minut zlokalizował namiot wielebnego Bucka, duży, z demobilu, ustawiony mniej więcej w centrum obozowiska. W środku zauważył samego kaznodzieję; siedział przy stoliku i coś pisał. Dziwnie godna postać; przypomniała Harrimanowi stare ryciny przedstawiające generałów z wojny secesyjnej. Miał nadzieję, że cholerny fotograf się pospieszy.

Kiedy Harriman zbliżył się do namiotu, drogę zagroził mu młody mężczyzna.

- W czym mogę pomóc? - spytał.

- Przyszedłem zobaczyć się z panem Buckiem.

- Wiele osób przyszło tu w tym celu. Wielebny jest zajęty i nie można mu przeszkadzać.

- Nazywam się Harriman, jestem z „New York Post”.

- A ja Todd z Levittown. - Adiutant ani drgnął i dalej blokował przejście z wyniosłym, nieco nieobecnym uśmiechem.

„Nie ma większego dupka niż dupek duchowo odrodzony”, pomyślał Bryce. Zerknął ponad ramieniem samozwańczego strażnika na Bucka, który pracował, nie zwracając na nich uwagi. Co tam wisi, przyklejone taśmą do ściany namiotu? Rządek artykułów wyciętych z „New York Post”. Jego artykułów. Harriman poczuł się pewniej.

- Mnie wielebny przyjmie. - Ominął tamtego, schylił się i wszedł do namiotu, szybko podszedł do Bucka z wyciągniętą ręką.

- Wielebny Buck? Mężczyzna wstał. - A pan kim jest?

- Harriman z „Post”.

- Po prostu się wepchnął, wielebny... - zaczął strażnik.

Na twarzy Bucka powoli pojawił się uśmiech. - Harriman... Wszystko w porządku, Todd. Oczekiwałem tego pana.

Z Todda uszło powietrze. Wycofał się w róg namiotu, a Buck uścisnął podaną mu dłoń. Z bliska był niższy, niż się zdawało, kiedy przemawiał do zgromadzonych. Miał na sobie prostą kraciastą koszulę z krótkimi rękawami i drelichowe spodnie. Żadnych tapirów ani poliestrowych garniturów. Muskularne ręce, na jednej tatuaż. Silny uścisk dłoni. Były więzień, domyślił się Harriman.

- Czekał pan na mnie? - spytał.

- Wiedziałem, że się pan zjawi. - Buck kiwnął głową.

- Naprawdę?

- To wszystko jest częścią planu. Nie usiądzie pan? Harriman przysiadł na plastikowym krześle przy stoliku i wyciągnął dyktafon. - Można?

- Proszę bardzo.

Włączył nagrywanie, sprawdził, czy działa, delikatnie odłożył urządzenie na stolik.

- Może zaczniemy od tego pańskiego planu. Proszę mi o nim opowiedzieć.

Buck uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Miałem na myśli boski plan.

- Jasne. W porządku. Więc ten plan...?

Buck rozłożył ręce. - To wszystko, co widzi pan wokół siebie. Ja jestem niczym, jednym ze zwykłych, niedoskonałych ludzi, usiłującym jak najlepiej wypełnić plan Boga. Pan, panie Harriman, czy pan o tym wie, czy nie, też jest częścią tego planu. Ważną częścią, jak się okazało. To pańskie artykuły przyciągnęły tutaj rzesze ludzi, popchnęły ich ku sobie; tych, co mają uszy i słyszą, mają oczy i widzą.

- Co widzą?

- Rozłam.

- Co takiego?

- Boską obietnicę dla jemu wiernych na koniec świata. Kiedy sprawiedliwi będą wzięci do nieba, a źli pogrążą się w brudzie i ogniu.

Buck się zawahał. Harriman wyczuł odrobinę, tylko odrobinę zdenerwowania. Być może facet był trochę przerażony tym, co rozpętał.

- A skąd ta myśl, że koniec świata jest już bliski?

- Bóg zesłał mi znak. To pański artykuł w „Post” o śmierci Cutforth’a i Grove’a przywiódł mnie tu z Yumy w Arizonie.

- A kim właściwie są wszyscy ci ludzie obozujący wokół pana?

- To zbawieni, panie Harriman. Reszta po tamtej stronie jest potępiona. Do której grupy pan należy?

Harrimana totalnie zaskoczyła bezpośredniość pytania. Buck wpatrywał się w niego intensywnym spojrzeniem Rasputina.

- Czy to ważne? - Reporter zaśmiał się niepewnie.

- Czy to ważne, że spędzi pan wieczność, albo smażąc się w jeziorze ognia, albo spoczywając słodko na łonie Jezusa?

Harriman nie był pewien, czy odpowiada mu któraś z tych opcji.

- Pytam jeszcze raz. Po której stronie pan stoi? Albowiem nadszedł czas wyboru. Te straszne śmierci jasno to ukazały. Koniec z siedzeniem okrakiem na barykadzie, zastanawianiem się, gdzie leży prawda. To pytanie pojawia się kiedyś w życiu każdego człowieka, ale teraz konieczność podjęcia decyzji nagle, bez ostrzeżenia, spadła na pana. Proszę przypomnieć sobie fragment Listu świętego Pawła do Rzymian: „Nie ma żadnego sprawiedliwego, wszyscy bowiem zgrzeszyli i wyszli ze światłości Bożej”. Trzeba żałować za grzechy i odrodzić się w miłości Jezusa. Nie można dłużej zwlekać. A więc, panie Harriman, jest pan zbawiony czy potępiony? - Buck czekał na odpowiedź.

Harriman poczuł zimny pot na karku. Ten facet naprawdę chciał

usłyszeć odpowiedź. Było jasne, że nie będzie dalej z nim rozmawiał, dopóki jej nie otrzyma. Co miał mu powiedzieć? Pewnie, zawsze uważał się za chrześcijanina... w pewnym sensie. Ale nie za fanatyka wymachującego Biblią.

- Jeszcze się nad tym zastanawiam - stwierdził w końcu.

Jak to się stało, że pozwolił Buckowi narzucić taki scenariusz spotkania? Kto tu z kim przeprowadzał wywiad?

- Nad czym tu się zastanawiać? Decyzja jest prosta. Niech pan pamięta, co Jezus powiedział bogaczowi, który pragnął życia wiecznego: „Sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj ubogim. Albowiem łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niżli bogatemu wejść do królestwa Bożego”. Czy jest pan gotów wyrzec się ziemskich dóbr, panie Harriman, i przyłączyć do mnie? Czy też odwróci się pan i odejdzie, jak ów bogacz z Ewangelii świętego Łukasza?

Harriman zamyślił się. Czy Jezus naprawdę to powiedział? Coś tam musiało zaginąć w tłumaczeniu. Może zmiana taktyki pomoże mu wyjść z impasu.

- A kiedy, wielbny, to wszystko ma się stać?

- Gdyby wszyscy wiedzieli, kiedy nastanie dzień sądu, w nocy przed nim mielibyśmy całą masę nawróconych. Nadejdzie wtedy, kiedy świat będzie się tego najmniej spodziewał.

- Pan uważa, że to już wkrótce?

- Tak. Bóg zesłał bowiem wiernym znak, którym była śmierć w domu naprzeciwko.

Harriman zauważył, że stojąca w oddali grupa policjantów nieco się powiększyła. Rozmawiali i coś notowali. Zorientował się, że to małe Shangri-La nie będzie trwać długo. Jeżeli Jezus nie przyjdzie w

najbliższej przyszłości, zrobi to policja. Nie można bez końca tolerować setek ludzi, którzy srają w krzakach Central Parku. A skoro już o tym mowa... w powietrzu faktycznie czuło się dziwny zapach...

- Co pan zrobi, jeśli władze was stąd usuną? - zapytał.

Buck umilkł i przez jego twarz przemknął znowu cień niepewności. Zniknął jednak równie szybko, jak się pojawił, powrócił spokój.

- Bóg będzie moim przewodnikiem, panie Harriman. Bóg będzie moim przewodnikiem.

D'Agosta najpierw usłyszał syreny burzące spokój tokańskiej wsi swoim nieharmonijnym śpiewem na dwie nuty. Potem pojawiły się reflektory dwóch pojazdów gnających wokół pobliskiego wzgórza i pędzących podjazdem. Zatrzymały się przed willą, zachrząścił przyskający żwir. Policyjne światła przetoczyły się po suficie salone.

Pendergast wstał z klęczek. Szczypczyki, które magicznym sposobem wyłoniły się z jego ubrania, równie magicznie zniknęły.

Agent spojrzał na D'Agostę. - Może odpoczniemy w kaplicy? Nie chcielibyśmy, aby ci panowie sądzili, że naruszyliśmy ich miejsce zbrodni.

D'Agosta, wciąż owładnięty strachem, przerażony, bez słowa skinął głową. Kaplica. Wydawało się, że to dobry pomysł. Naprawdę dobry pomysł.

Kaplicę umieszczono w tradycyjnym miejscu w dalszej części salone; małe, ale przepiękny barokowy pokój, który mógł pomieścić zaledwie księdza i kilku członków rodziny. Wyglądało na to, że brak tu elektrycznego światła, więc Pendergast zapalił świecę wotywną w czerwonym szklanym lichtarzu; usiedli na twardych drewnianych ławkach, żeby poczekać.

Niemal natychmiast rozległ się dźwięk otwieranych z rozmachem drzwi, echo kroków w holu na dole, hałasy policyjnego radia. D'Agosta wciąż trzymał w dłoni krzyżyk, oczy utkwiał w niedużym

marmurowym ołtarzu. Świeca rzucała drżący czerwony poblask, powietrze przesycił aromat kadzidła i mirry. Zwalczył impuls, by uklęknąć. Przypomnił sobie, że jest policjantem na miejscu zbrodni, a myśl, że diabeł zabrał duszę Bullarda, to absurd.

A jednak w tej przesyconej zapachem ciemności nie wydawało się to śmieszne. Ręka, którą ścisnął krzyżyk, drżała.

Teraz carabinieri wpadli do salone. D'Agosta usłyszał gwałtownie zaczerpnięty oddech, stłumione odgłosy szoku, coś, co zabrzmiało jak szybko zaintonowana modlitwa. Potem znajome dźwięki związane z zabezpieczaniem miejsca zbrodni i ustawianiem reflektorów. Chwilę później pokój za nimi zalało niemal nieznośnie jasne światło. Promień reflektora przeszył kaplicę, trafiając w marmurowego Chrystusa za ołtarzem i rozjaśniając go blaskiem.

W drzwiach pojawił się mężczyzną rzucający długi cień. Miał na sobie nie mundur, ale szyty na miarę szary garnitur, rangę wskazywały złote listki w klapie. Zatrzymał się, intensywnie w nich wpatrując. Dla D'Agosty był tylko zarysem sylwetki obramowanym jaskrawym światłem, z dziewięćmilimetrową berettą parabellum o krótkiej lufie w dłoni.

- Rimanete seduti, mani in alto, per cortesia - powiedział spokojnie.

- Nie wstawać, ręce na widoku - przetłumaczył Pendergast. - Jesteśmy policjantami...

- Tacete!

D'Agosta przypomniał sobie nagle, że są ubrani na czarno, a twarze wciąż mają częściowo pomalowane. Bóg jeden wiedział, co ten policjant sobie myślał.



Mężczyzna podszedł z bronią w rękę, niezupełnie w nich celując, ale też nie celując gdzie indziej. - Kim jesteście? - zapytał po angielsku z lekkim akcentem.

- Agent specjalny Pendergast, Federalne Biuro Śledcze, Stany Zjednoczone Ameryki. - Pendergast miał w dłoni portfel i otworzył go, odsłaniając odznakę z jednej strony, dowód tożsamości z drugiej.

- A pan?

- Sierżant Vincent D'Agosta, komenda policji w Southampton, łącznik FBI. My...

- Basta. - Mężczyzna zrobił krok w przód. Sięgnął po portfel Pendergasta, spojrzął na odznakę, na identyfikator. - To pan zgłosił zabójstwo?

- Tak.

- Co tu robicie?

- Prowadzimy dochodzenie w sprawie serii morderstw w Stanach, z którymi ten człowiek - Pendergast wskazał w stronę wielkiego salonu - był powiązany.

- Mafioso?

- Nie.

Mężczyzna wyraźnie poczuł ulgę. - Znacie tożsamość zmarłego?

- Locke Bullard.

Mężczyzna oddał portfel, ruchem ręki wskazał na ich stroje. - Czy to najnowsze mundury FBI?

- Długa historia, pułkownika.

- Jak się tu dostaliście?

- Znajdzie pan nasz samochód - o ile jeszcze go pan nie znalazł - w gaju oliwnym po przeciwnej stronie drogi. Czarny fiat stylo.

Oczywiście przygotuję dla pana oficjalny raport ze wszystkimi szczegółami: kim jesteśmy, czemu się tu znaleźliśmy Część informacji już posiada Questura.

- Boże, nie. Żadnych raportów. To takie niedogodne, kiedy fakty zostają spisane. We właściwym czasie omówimy to przy espresso, jak ludzie cywilizowani. - Przesunął się, tak że nie miał już za plecami rażącego światła. D'Agosta po raz pierwszy mógł przyjrzeć się jego rysom: wydatne kości policzkowe, podbródek z dziurką i głęboko osadzone oczy. Około sześćdziesiątki, siwiejące włosy zaczesane do tyłu, poruszał się, zachowując sztywną wojskową postawę, czujne oczy rejestrowały każdy szczegół.

- Jestem colonnello Orazio Esposito. Proszę wybaczyć, że wcześniej się nie przedstawiłem. - Uścisnął im dłonie. - Kto jest waszym kontaktem w Questurze?

- Commissario Simoncini.

- Rozumiem. I co sądzicie o tym... - ruchem głowy wskazał w stronę salonu - ...tym... casino?

- To trzecie z serii morderstw, dwa pierwsze miały miejsce w Nowym Jorku.

Na twarzy Esposito pojawił się cyniczny uśmiech. - Widzę, że będziemy mieli sporo do omówienia, agencie Pendergast. Proszę posłuchać, w Borgo Ognissanti jest mała kafejka, zaledwie dwa domy od kościoła i bardzo blisko naszej kwatery głównej. Spotkamy się tam o ósmej rano? Oczywiście nieoficjalnie.

- Z przyjemnością.

- A teraz lepiej, jeśli stąd wyjdziecie. Nie zaznaczymy waszej obecności w oficjalnym raporcie. Amerykańskie FBI zgłaszające

przestępstwo na włoskiej ziemi... - Uśmiech się poszerzył. - To nie do pomyślenia.

Energicznie uściskał ich dłonie i zrobił w tył zwrot, tak szybko kreśląc znak krzyża, kiedy przechodził obok ołtarza, że D'Agosta nie był pewien, czy rzeczywiście to zrobił.



D'Agosta widział swego czasu mnóstwo siedzib policji, ale nawet nie umywały się one do tak zwanych koszar florenckich carabinieri. Żadne koszary, raczej rozpadający się renesansowy budynek - w każdym razie D'Agosta sądził, że renesansowy - przy wąskiej średniowiecznej uliczce. Został upchnięty obok słynnego kościoła Ognissanti, szara fasada z wapienia poznaczona była smugami brudu, a każdy gzyms i występ pokryty cienkimi jak igły kolcami dla odstraszenia gołębi. Sama Florencja zupełnie odbiegała od jego wyobrażeń - nawet w ciepłym świetle połowy października miasto wydawało się surowe, kręte ulice zawsze w cieniu, z gruba ciosane kamienne fasady budynków niemal ponure. Powietrze pachniało paloną ropą, a niemożliwie wąskie chodniki były zapchane wolno przesuwanymi się turystami w miękkich kapeluszach i szortach khaki, z plecakami i butelkami wody przypiętymi do pasków, jakby chodziło o ekspedycję na Saharę, a nie spacer po być może najbardziej cywilizowanym mieście świata.

Spotkali się z colonnello w pobliskiej kawiarni zgodnie z planem. Pendergast szybko i wyczerpująco przedstawił ich własne dochodzenie, pomijając, jak zauważył D'Agosta, pewne informacje drobne, lecz o kluczowym znaczeniu. Teraz szli z pułkownikiem do jego biura, gęsiego, walcząc z naporem strumienia podążających w przeciwnym kierunku japońskich turystów.

Colonnello skręcił w zwieńczone wielkim łukiem wejście do koszar, nad którym wisała oklapła włoska flaga - pierwsza, jaką D'Agosta zobaczył od przyjazdu do Włoch. Przeszli pod arkadami i znaleźli się na obszernym wewnętrznym dziedzińcu. Kiedyś elegancki, obecnie zmieniony w parking i zapchany po brzegi policyjnymi furgonetkami i samochodami osobowymi, upakowanymi z tak matematyczną precyzją, że przestawienie choćby jednego pojazdu wydawało się niemożliwe bez ruszenia wszystkich. Okna wychodzące na podwórze były otwarte, dochodził z nich nieustanny hałas dzwoniących telefonów, głosów, trzaskania drzwiami, wzmocniony i zniekształcony przez ograniczoną przestrzeń.

Skręcili w kolejny sklepiony korytarz obramowany kamiennymi filarami - nadal widoczne były kruszące się resztki fresków o tematyce religijnej - minęli zniszczoną figurę świętego, a potem po masywnych kamiennych schodach weszli pomiędzy ciasno upchnięte nowoczesne boksy, bez planu powstawiane do sali z pojedynczą kolumną.

- Caserma - powiedział Esposito, gdy szli - była kiedyś klasztorem połączonym z kościołem Ognissanti. Ta duża sala to sekretariat, a dalej - machnął ręką w kierunku małych, ale masywnych dębowych drzwi prowadzących do niedużych biur - są miejsca pracy dla oficerów urządzone w dawnych mnisich celach.

Skręcili za rogiem i poszli kolejnym łukowato sklepionym korytarzem. - Refektarz, gdzie mnisi jadali, ozdabia ważny fresk autorstwa Ghirlandaio, którego nikt nigdy nie ogląda.

- Naprawdę?

- Tu, we Włoszech, wykorzystujemy to, co mamy.

Kiedy dotarli do odległego końca korytarza, pokonali kolejne schody. Z półpiętra weszli przez drzwi, które, jak zorientował się D'Agosta, kiedyś musiały być tajnym przejściem, wspięli się maleńką spiralną klatką schodową, minęli zatłoczone pokoje pachnące pleśnią i rozgrzanymi urządzeniami do faksowania i nagle stali przy malutkich ponurych drzwiach opatrzonych wyłącznie numerem. Tu Esposito zatrzymał się z uśmiechem. Następnie pchnął drzwi i gestem zaprosił ich do środka.

D'Agosta wszedł do zalanego światłem pomieszczenia, które kończyło się ścianą przeszklonych kolumn i łuków. Dalej rozciągał się oszałamiający widok na południe, na rzekę Arno. Niemal wbrew sobie dał się uwieść temu pejzażowi.

Z góry Florencja wreszcie wyglądała tak, jak ją sobie wyobrażał: miasto kościelnych kopuł i wież, dachów z czerwonej dachówki, ogrodów i placów, otoczone stromymi zielonymi wzgórzami, na których stały bajkowe zamki. Widział Ponte Vecchio i pałac Pitti, ogrody Boboli, kopułę San Frediano w Cestello i jeszcze dalej wzgórze Bellosguardo. Minęła chwila, zanim zdołał skupić uwagę na samym pomieszczeniu. Duże, otwarte, zastawione rzędami starych mahoniowych biurek. Podłogę pokrywała uderzająca marmurowa mozaika wyglansowana w ciągu pięciuset lat przez niezliczone stopy, a na ozdobionych stiukami ścianach wisiały ogromne obrazy starców w zbrojach. W pokoju panowała napięta atmosfera, kilku mężczyzn w garniturach nerwowo zerkało znad biurek w ich stronę. Zabójstwo - a szczególnie jego dziwaczne szczegóły - najwyraźniej nie dawało wszystkim spokoju.

- Witam w Nucleo Investigativo, elitarnym wydziale carabinieri,

którym zarządzam. Zajmujemy się poważniejszymi morderstwami. - Esposito spojrział na D'Agostę z boku. - Czy to pańska pierwsza wizyta we Włoszech, sierzancie?

- Tak jest.

- I jak je pan znajduje?

- ...niezupełnie tak, jak się spodziewałem.

Dostrzegł przelotny wyraz rozbawienia w oczach pułkownika. Esposito wykonał szeroki gest, wskazując horyzont. - Pięknie, nieprawda?

- Stąd.

- Florentczycy... - Przewrócił oczyma. - Żyją przeszłością. Wierzą, że stworzyli wszystko, co na świecie piękne - sztukę, naukę, muzykę, literaturę - i że to wystarczy. Po co jeszcze czymkolwiek się zajmować? Od czterystu lat spoczywają na laurach. Tam gdzie dorastałem, mamy powiedzenie: *Nun cagna 'a via vecchia p'a nova, ca saie chello che lasse, nun saie chello ca trouve.*

- Nie żyj przeszłością - będziesz widział, co straciłeś, ale nie, co znalazłeś? - zapytał D'Agosta.

Esposito zamilkł. A potem się uśmiechnął. - Pańska rodzina pochodzi z Neapolu?

D'Agosta skinął głową.

- Nadzwyczajne. I faktycznie mówi pan po neapolitańsku?

- Myślałem, że dorastałem, mówiąc po włosku.

Esposito się roześmiał. - Nie pierwszy raz słyszę o czymś takim. Ma pan szczęście, sierzancie, mówić pięknym i starożytnym językiem, którego nie uczą już w żadnej szkole. Każdy może się nauczyć włoskiego, ale tylko prawdziwi mężczyźni mówią

napolitano. Sam jestem z Neapolu. Nie można tam pracować, ale to cudowne miejsce, żeby w nim mieszkać.

- *Si suonne Napele viato a tte* - powiedział D'Agosta.

Esposito wyglądał na jeszcze bardziej zdumionego. - „Bądź błogosławiony, jeśli śnisz o Neapolu”. Jakie urocze powiedzenie. Nigdy wcześniej go nie słyszałem.

- Kiedy byłem małym chłopcem, babcia szeptała mi to do ucha za każdym razem, gdy całowała mnie na dobranoc.

- I śnił pan kiedyś o Neapolu?

- Czasami śniłem o mieście, które, jak sądziłem, było Neapolem, ale to z pewnością tylko moja wyobraźnia. Nigdy tam nie byłem.

- Więc proszę nie jechać. Proszę żyć marzeniami, zawsze są o tyle lepsze. - Odwrócił się do Pendergasta. - A teraz, jak mawiacie wy, Amerykanie, bierzmy się do roboty.

Zaprowadził ich do niewielkiego kąta wypoczynkowego w odległej części pomieszczenia. Kanapy i krzesła ustawiono tam wokół starego kamiennego stołu. Esposito machnął ręką. - *Caffe per noi, per favore*.

Po chwili zjawiała się kobieta z tacą filiżaneczek do espresso. Esposito wziął jedną, opróżnił, potem równie szybko wypił drugą. Wyjął paczkę papierosów, zaoferował je rozmówcom.

- Ach, wy, Amerykanie, nigdy nie palicie. - Wysunął jednego dla siebie, zapalił, wypuścił dym. - Dziś rano, między siódmą a ósmą, odebrałem szesnaście telefonów: jeden z Ambasady Amerykańskiej w Rzymie, pięć z amerykańskiego konsulatu na Lungarno, jeden z amerykańskiego Departamentu Stanu, dwa z „New York Timesa”, jeden z „Washington Post”, jeden z Ambasady Chińskiej w Rzymie i pięć od różnych nieprzyjemnych osób z firmy pana Bullarda. -



Podniósł wzrok, oczy mu lśniły. - Na tej podstawie, dodając to, co właśnie powiedzieliście mi w kawiarni, widzę, że Bullard był ważnym człowiekiem.

- Nie znał go pan? - zapytał Pendergast.

- Tylko ze słyszenia. - Wdech, wydech. - Moi koledzy z polizia mają jego akta, ale oczywiście ich nam nie udostępnią.

- Mógłbym podać panu więcej danych na temat Bullarda, ale na nic by się to nie przydało. Informacje tylko odciągną pana uwagę, jak odciągnęły moją.

Esposito odwrócił się do dwóch carabinieri, którzy szeptali za jego plecami. - *Basta' cu sti fessarie! Mettiteve a fatica! Maronna meja, chist' so propri' sciem!*

D'Agosta zdusił śmiech. - Zrozumiałem.

- Ja nie - stwierdził Pendergast.

- Powiedział im po prostu po neapolitańsku: „Skończcie z tym głównem i wracajcie do roboty”.

- Moi ludzie są głupi i przesądni. Połowa z nich wierzy, że to robota diabła. Druga połowa jest na wpół przekonana, że to robota jakiegoś tajnego stowarzyszenia. Jak wiecie, są bardzo rozpowszechnione wśród florenckiej arystokracji. - Wdech, wydech. - Wygląda na to, panie Pendergast, że mamy pod bokiem żartownisia.

- Przeciwnie, nasz zabójca nie mógłby działać bardziej serio.

- Ale to wszystko - chest e 'na scena ro diavulo? Pan żartuje. Wszystko to może prawie na śmierć przerazić moich ludzi, ale pana?

- Zapewniam pana, że to w najwyższym stopniu celowa stylizacja.

- Widzę, że ma pan już teorię na temat tego, co spotkało pana Bullarda. Może będzie pan tak uprzejmy, by się nią ze mną

podzielić? - Colonnello pochylił się w przód, łokcie trzymał na kolanach. - W końcu wyświadczyłem już wam ogromną przysługę, pomijając w raporcie waszą obecność na miejscu przestępstwa. W przeciwnym razie wypełnialibyście papiery od teraz do Gwiazdki.

- Jestem wdzięczny - stwierdził Pendergast. - Ale na razie nie mogę panu powiedzieć wiele więcej niż wczoraj w nocy. Prowadzimy dochodzenie w sprawie dwóch tajemniczych śmierci, które miały niedawno miejsce w stanie Nowy Jork. Locke Bullard był potencjalnym podejrzanym. Był, delikatnie mówiąc, zamieszany w niezwykle podejrzone interesy. Ale tak się składa, że jego własna śmierć powieliła wzorzec dwóch poprzednich.

- Rozumiem. I ma pan jakieś koncepcje? Konkluzje?

- Byłoby nierozsądne z mojej strony, gdybym odpowiedział na to pytanie. A pan by mi nie uwierzył, jeśli bym to zrobił.

- *Va be'*. W takim razie, co teraz? - Odchylił się na oparcie, wziął kolejną filiżankę espresso i wychylił jednym ruchem, jak Rosjanie kieliszek wódki.

- Chciałbym, żeby wyszukał pan wszystkie zgony we Włoszech na przestrzeni roku, w wypadku których ciało znaleziono spalone lub częściowo spalone.

Esposito się uśmiechnął. - Kolejna przysługa... - Pozwolił, by jego głos zawisł w chmurze dymu. - Tu, we Włoszech, wierzymy w zasadę wzajemności. Chciałbym usłyszeć, panie Pendergast, co pan robi dla mnie.

Pendergast się nachylił. - Wszystko, co mogę powiedzieć, pułkowniku, to, że w ten czy inny sposób zrewanżuję się panu za przysługę.

Esposito wpatrywał się w niego przez moment, zdusił papierosa.

- Więc dobrze. Szuka pan spalonych zwłok we Włoszech. -  
Roześmiał się. - Obejmuje to połowę zabójstw na południu. Mafia,  
kamorra, cosa nostra, Sardyńcy - palenie ofiar po ich zabiciu jest  
tam uświęconą tradycją.

- Możemy spokojnie wykluczyć zabójstwa związane ze  
zorganizowaną przestępczością, nienawiścią w rodzinie albo między  
wspólnikami i wszystkie wypadki, kiedy już schwytałście zabójcę.  
Szukamy czegoś w odosobnieniu, być może osoby starszej,  
prawdopodobnie na wsi.

D'Agosta przyglądał się Pendergastowi. Do czego zmierzał? Miał w  
oku ten błysk podniecenia. Najwyraźniej złapał jakiś trop, ale jak  
zwykle z nikim się tym nie dzielił.

- To znakomicie zawęzi nasze poszukiwania - stwierdził Esposito.

- Każę, żeby ktoś od razu się tym zajął. Może potrwać dzień lub  
dwa, nie jesteśmy nawet w przybliżeniu tak skomputeryzowani jak  
FBI.

- Jestem niezwykle wdzięczny. - Pendergast wstał i uścisnął dłoń  
Esposito.

Policjant nachylił się i powiedział: - *Quann' 'o diavulo t'accarezza,  
vo'll'anema.*

Gdy wyszli na słońce, agent zwrócił się do D'Agosty - Okazuje się,  
że raz jeszcze muszę cię prosić o tłumaczenie. .

D'Agosta wyszczerzył zęby - Stare neapolitańskie przysłowie.  
„Trzeba mieć silne serce, żeby oprzeć się pieszczotom diabła”.

- Stosowne. - Pendergast wciągnął powietrze. - Co za piękny dzień.  
Zajmiemy się zwiedzaniem?

- Co masz na myśli?

- Podobno Cremona jest o tej porze roku urocza.



D'Agosta wyszedł z dworca w Cremonie w ciepłe światło późnego poranka. Zerwał się wiatr i strącał liście z platanów rosnących na szerokim placu, który mieli przed sobą. Dalej znajdowała się stara część miasta, radosna platanina średniowiecznych budynków z czerwonej cegły upchniętych w labiryncie wąskich ulic. Pendergast wybrał jedną z nich - Corso Garibaldi - i ruszył wielkimi krokami, szybko, czarna marynarka powiewała za nim na ostrym wietrze.

Wzdychając z rezygnacją, D'Agosta przyspieszył, żeby go dogonić. Zauważył, że agent nie zawracał sobie głowy przeglądaniem mapy. Pendergast większą część jazdy pociągiem spędził na czytaniu o historii pobliskich kamieniołomów marmuru w Carrarze i niezwykłym zbiegu okoliczności, że źródło najczystsze białego marmuru na świecie znajdowało się zaledwie kilkadziesiąt mil w dół rzeki od miejsca narodzin renesansu, dając rzeźbiarzom z Florencji możliwość korzystania z marmuru innego niż czarny czy zielony. Zgrabnie uchylił się od odpowiedzi na pytania D'Agosty o przyczyny, dla których zwiedzanie ma się odbyć akurat tutaj.

- Co teraz? - zagadnął sierżant głosem nieco bardziej zirytowanym, niż zamierzał.

- Kawa. - Pendergast skręcił do kawiarni i podszedł do cynkowego baru. D'Agosta poczuł, że jego irytacja wzrasta.

- Due caffè, per favore - powiedział Pendergast.

- Odkąd to kawa stała się twoim ulubionym napojem? Myślałem, że należysz do pijących zieloną herbatę.

- Zwykle tak. Ale kiedy wlałeś między wrony...

Pojawiła się kawa w zwykłych filiżaneczkach do espresso. Pendergast zamieszał swoją, wychylił ją na sposób włoski. D'Agosta wypił wolniej, przyglądając się Pendergastowi. Znowu to zauważył: zapach.

- Mój drogi Vincencie, nie myśl, proszę, że celowo jestem tajemniczy. Podczas pewnego rodzaju działań policyjnych należy zachować wielką ostrożność przy wysnuwaniu teorii. Teorie zaczynają żyć własnym życiem. Działają jak barwione okulary, stają się prawdą, którą widzimy, nawet gdy nią nie jest. Więc obawiam się występować z teoriami - szczególnie przy kimś, czyje zdanie cenię tak jak twoje - dopóki nie będę miał w ręku dowodu. Dlatego też nie pytam o twoje teorie.

- Nie mam żadnych.

- Będziesz miał przed końcem dnia. - Rzucił na ladę dwa euro w monecie i wyszli. - Nasz pierwszy przystanek to Palazzo Comunale, świetny przykład średniowiecznej budowli użyteczności publicznej, z godnym zapamiętania gzymsem nad kominkiem autorstwa Pedoniego.

- Cholera, zawsze chciałem zobaczyć ten gzymś. Pendergast się uśmiechnął.

Dziesięciminutowy spacer zaprowadził ich do serca miasta, na plac o nieregularnym kształcie. Po jednej stronie stała wielka katedra ze strzelistą wieżą. Pendergast wskazał na nią ruchem ręki, kiedy przechodzili. - Uważa się, że to najwyższa średniowieczna wieża we

Włoszech. Zbudowana w trzynastym wieku, ma wysokość trzydziestotrzy-piętrowego drapacza chmur.

- Niesamowite.

- A to Palazzao Comunale. - Weszli do potężnego, pozbawionego ozdób średniowiecznego budynku z cegły. Strażnik skinął głową, gdy mijali go w wejściu, i D'Agosta zaciekawił się, czy to kwestia całkowitej pewności siebie Pendergasta, czy coś innego sprawiło, że tak łatwo ich wpuścił. Wszedł za agentem po schodach, a potem przez kilka kamiennych korytarzy do małej, pustej sali. Pośrodku stała szklana gablota, z sufitu zwisał ogromny żyrandol z weneckiego szkła najeżony żarówkami i zapewniający pomieszczeniu oświetlenie godne sceny. W pobliżu stał uzbrojony strażnik.

W gablocie znajdowało się sześcioro skrzypiec.

- Ach! - stwierdził Pendergast. - Oto jesteśmy: *Saletta dei Violini*.

- Skrzypce?

- Nie jakieś tam skrzypce. Patrzymy na historię muzyki w jednej gablocie. Historię muzyki w pigułce.

- Rozumiem - powiedział D'Agosta, pozwalając, by w jego głosie zabrzmiała nuta sarkazmu. Pendergast powinien w końcu przejść do rzeczy.

- Pierwsze, te tutaj, zostały wykonane przez Andreę Amatiego w 1566 roku. Jak sobie przypominasz, skrzypce, na których gra Constance, to także amati, chociaż znacznie niższej klasy. Dwoje skrzypiec obok to dzieło jego synów, a tamte - wnuka. Następne zbudował Giuseppe Guarneri w 1689. - Pendergast zrobił pauzę. - A ostatnie stworzył Antonio Stradivari w 1715.

- Ten od stradivariususa?

- Najsłynniejszy na świecie lutnik. To on wynalazł nowoczesne skrzypce i zrobił ich za życia tysiąc sto sztuk, z których przetrwało około sześciuset. Chociaż wszystkie jego instrumenty należą do najwspanialszych, jakie kiedykolwiek powstały, był okres, w którym zbudował wiele skrzypiec mających cudownie idealny ton, może dwadzieścia czy trzydzieści sztuk. Nazywamy to jego złotym okresem.

- Okej.

- Stradivari był człowiekiem tajemniczym. Do dzisiaj nikt nie rozwiązał tajemnicy tego, jak budował tak idealne instrumenty. Swoje metody i formuły przechowywał w pamięci, nigdy ich nie zapisał. Te bezcenne sekrety zawodowe przekazał synom, którzy przejęli jego warsztat, ale kiedy zmarli, wraz z nimi umarły wszystkie tajemnice Stradivariego. Od tamtej pory nie ustają wysiłki, by skopiować jego skrzypce. Wielu naukowców próbowało odtworzyć tajemne formuły. Ale do dziś tajemnica Stradivariego nie została odkryta.

- Muszą być warte kupę kasy.

- Nie tak dawno temu można było kupić dobrego strada za pięćdziesiąt czy sto tysięcy dolarów, ale superbogacze zrujnowali rynek lutniczy. Teraz za najwyższej klasy skrzypce Stradivariego trzeba wyłożyć dziesięć milionów i więcej.

- Bez jaj.

- Najlepsze są bezcenne, szczególnie te wykonane w złotym okresie. W owych instrumentach wykorzystał swoją formułę idealnie. Nikt tak naprawdę nie wie dlaczego. Dość upokarzające, Vincencie, gdy człowiek zda sobie sprawę, że potrafimy doprowadzić do



lądowania statku kosmicznego na Marsie, zbudować urządzenie wykonujące miliard obliczeń w sekundę, potrafimy rozszczepić jądro atomu, ale wciąż nie umiemy zrobić skrzypiec lepszych, niż potrafił to człowiek kręcący się po prostym warsztacie trzy stulecia temu.

- Cóż, był Włochem.

Pendergast roześmiał się cicho. - Jedną z pięknych rzeczy, które wiążą się z tymi skrzypcami, jest fakt, że trzeba na nich grać, żeby zachowały swój dźwięk. Są żywe. Jeżeli zostawi się je w gablocie, tracą ton i umierają.

- A co z tymi?

- Są wyjmowane i gra się na nich przynajmniej raz w tygodniu. Cremona wciąż pozostaje centrum lutnictwa i jest wielu chętnych.

Splótł ręce za plecami, zawrócił. - A teraz prawdziwy powód naszego przyjazdu do Cremony. Trzymaj się blisko i proszę, nie zgub się.

Pendergast poprowadził przez labirynt przejść i wąskich klatek schodowych do wąskiej uliczki z tyłu palazzo. Tam zatrzymali się na przynajmniej minutę, a agent dokonał starannej inspekcji alejki i okolicznych budynków. Potem, poruszając się bardzo szybko, poprowadził D'Agostę przez kręte, wijące się średniowieczne ulice z antycznymi budynkami z cegły i kamienia tłoczonymi się nad głowami przechodniów. Niektóre uliczki były tak wąziutkie, że mimo południowego słońca panowała na nich ciemność. Od czasu do czasu Pendergast zbaczał w bramę albo boczny zaułek i przeprowadzał ponownie uważne oględziny terenu.

- Co jest? - zapytał w pewnym momencie D'Agosta.

- Po prostu ostrożność, Vincencie, zwykła ostrożność.

W końcu doszli do uliczki tak wąskiej, że z trudem zmieściłby się na niej rower. Zakręcała i kończyła się ślepo przed miejscem, które wyglądało na opuszczony sklep. Szyba wystawowa została byle jak wprawiona w średniowieczny kamienny łuk. Szkło było popękane; posklejane taśmą i nieprzejryste z brudu. Od frontu wstawiono metalową kratę, zamkniętą, wydawała się kompletnie przerdzewiała.

Pendergast wsunął za nią rękę i pociągnął za sznurek. W sklepie przed nimi rozległo się ciche dzwonienie.

- Czy naraziłbyś na szwank swoje dochodzenie, mówiąc mi, kogo teraz odwiedzamy?

- To laboratorium i warsztat Luigi Speziego, jednego z czołówek światowych ekspertów od skrzypiec Stradivariego. Il dottor sam jest trochę człowiekiem renesansu jako jednocześnie naukowiec, inżynier i świetny muzyk. Jego duplikaty skrzypiec Stradivariego należą do najlepszych na świecie. Ale ostrzegam: ogólnie wiadomo, że jest nieco ekscentryczny.

Pendergast pociągnął jeszcze raz i z zaplecza zadudnił głos: - *Non lo voglio. Va' via!*

Pendergast z uporem zadzwonił ponownie.

Za szkłem zmaterializował się szary kształt; olbrzymiego wzrostu mężczyzna w skórzanym fartuchu, pochylony, z długimi siwymi włosami i siwym wąsem. Machnął obiema rękami w kierunku Pendergasta, jakby chciał go przepłoszyć. - *Che cazz'! Via, ho detto!*

Pendergast wyjął wizytówkę, napisał coś na odwrocie i wsunął ją przez otwór na listy w drzwiach. Sfrunęła na podłogę. Mężczyzna podniósł, przeczytał i na chwilę zamarł. Spojrzał na Pendergasta, spojrzał na wizytówkę - a potem rozpoczął mozolny proces

otwierania drzwi i podnoszenia kraty. W ciągu minuty pochyleni przeszli pod łukiem i stali w warsztacie.

D'Agosta rozejrzał się z ciekawością. Ściany niemal całkowicie pokrywały wiszące korpusy, płyty spodnie i wygięte boki skrzypiec w różnych stadiach budowy. Przyjemnie pachniało drewnem, wiórami, pokostem, oliwą i klejem.

Mężczyzna wpatrywał się w Pendergasta, jakby zobaczył ducha. Miał na sobie brudny skórzany fartuch i zdjął pokryte opiłkami okulary, by przyjrzeć się agentowi dokładniej.

- A więc, doktorze Aloysiusie Pendergaście - odezwał się niemal nieskazitelną angielszczyzną. - Zwrócił pan moją uwagę. Czego pan chce?

- Czy jest tu miejsce, w którym możemy porozmawiać?

Poszli za gospodarzem przez wąski warsztat - szerokości może ośmiu stóp - do znacznie obszerniejszego pomieszczenia na zapleczu. Spezi wskazał, by usiedli na długiej ławie. Sam przycupnął przy końcu stołu do pracy, założył ręce i dalej się przyglądał.

W tylnej ścianie D'Agosta zobaczył drzwi z nierdzewnej stali, kompletnie tu nie na miejscu, z pojedynczym okienkiem. Za szybką mieściło się lśniące białe laboratorium, rzędy sprzętu komputerowego i lamp elektronopromieniowych skąpanych w nieprzyjemnym jarzeniowym świetle.

- Dziękuję, że zgodził się pan ze mną zobaczyć, dottor Spezi - powiedział Pendergast. - Wiem, że jest pan zajęтым człowiekiem, i mogę zapewnić, że nie będę marnował pańskiego czasu.

Mężczyzna pochylił głowę, nieco udobruchany

- To mój współpracownik, sierżant Vincent D'Agosta z komendy

policii w Southampton, w stanie Nowy Jork.

- Bardzo mi miło. - Mężczyzna nachylił się i potrząsnął dłonią Vincenta. Zaskakująco silny uścisk. Potem usiadł i czekał.

- Proponuję wymianę informacji - stwierdził Pendergast.

- Jak pan sobie życzy.

- Pan powie mi, co wie o tajemnych formułach Stradivariiego. Ja powiem, co wiem o istnieniu skrzypiec wspomnianych na mojej wizytówce. Oczywiście zachowam pańskie informacje w tajemnicy. Niczego nie zapiszę i nie będę o tym z nikim rozmawiał, nie licząc mojego współpracownika, który jest człowiekiem absolutnie dyskretnym.

D'Agosta przyglądał się głębokim, wypłowiłym oczom, które się w nich wpatrywały. Gospodarz najwyraźniej się zastanawiał, może nawet ze sobą walczył, rozważając propozycję. Wreszcie szybko skinął głową.

- W takim razie znakomicie - powiedział Pendergast. - Zastanawiam się, czy mógłby pan odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących pańskiej pracy

- Tak, ale najpierw skrzypce. Jak, u licha...?

- Wszystko po kolei. Proszę mi powiedzieć, dottore - ponieważ jestem człowiekiem, który nic nie wie o skrzypcach - proszę mi powiedzieć, co czyni dźwięk stradivariususa tak idealnym?

Mężczyzna chyba się odprężył, wyraźnie zdając sobie sprawę, że nie ma do czynienia ze szpiegiem czy konkurentem. - Żadna tajemnica. Scharakteryzowałbym ten dźwięk jako bardzo żywy To ciekawy dźwięk. Dodatkowo stanowi kombinację tego, co mroczne i jaskrawe, zachowuje równowagę między wysokimi i niskimi

częstotliwościami - to dźwięk bogaty, ale czysty i słodki jak miód. Oczywiście każdy strad brzmi inaczej - niektóre mają dźwięk mięsisty, inne ubogi, nawet chrapliwy, jeszcze inne cienki i przynoszący rozczarowanie. Niektóre naprawiano i przebudowywano tyle razy, że trudno je nazwać oryginałami. Na przykład tylko sześć stradów zachowało oryginalne szyjki. Kiedy upuszcza się skrzypce, zawsze pęka właśnie szyjka. Ale istnieje jakieś dziesięć czy dwadzieścia, których dźwięk jest niemal idealny.

- Dlaczego?

Słyszając to, mężczyzna się uśmiechnął. - To, oczywiście, jest pytanie. - Wstał, podszedł do stalowych drzwi, otworzył je i uchylił, odsłaniając dwa komputerowe zestawy do rejestrowania dźwięku i rzędy cyfrowych samplerów, kompresorów oraz ograniczników. Ściany i sufit pokrywały panele z dźwiękochłonnej pianki.

Weszli, a gospodarz zamknął za nimi drzwi na zamek. Potem włączył wzmacniacz, podsunął do góry tłumiki w znajdującej się obok konsoli mikserskiej. Z głośników umieszczonych pod sufitem zaczął się wydobywać niski szum.

- Pierwszy naprawdę naukowy test na stradivariusie przeprowadzono jakieś pięćdziesiąt lat temu. Przymocowano do mostka skrzypiec generator, by wprowadził instrument w drgania. Następnie zmierzono, jaką wibracją zareagowały na to skrzypce. Absurdalny test, doprawdy, ponieważ nie ma nic wspólnego ze sposobem, w jaki gra się na skrzypkach. Ale nawet tak prymitywne badanie pokazało, że stard w niezwykle sposób odpowiedział drganiami w zakresie dwóch do czterech tysięcy herców - a to, zupełnie nieprzypadkowo, zakres dźwięku, na który ludzkie ucho jest

najbardziej wyczulone. Później pracujące z wielką szybkością komputery pozwoliły na przetwarzanie danych uzyskiwanych podczas gry na stradivariusie w czasie realnym. Pozwólcie, że dam przykład.

Włączył jeden z cyfrowych samplerów, za pomocą klawiatury wybrał próbkę audio, wysłał plik do miksera. Pomieszczenie wypełnił słodki dźwięk skrzypiec.

- Jascha Heifetz gra kadencję z koncertu skrzypcowego Beethovena na „Mesjaszu” Stradivariiego.

Na monitorze ustawionym za mikserem pojawił się złożony wykres tańczących linii. Spezi wskazał na nie.

- Analiza częstotliwości od trzydziestu do trzydziestu tysięcy herców. Spójrzcie na bogactwo dźwięków o niskiej częstotliwości! To one dają skrzypcom mroczną barwę, dźwięczność. Zobaczcie, jak żywe i silne są w zakresie między dwoma a czterema tysiącami, o którym wspominałem. To właśnie wypełnia dźwiękiem sale koncertowe.

D'Agosta zastanawiał się, co to wszystko ma wspólnego z Bullardem albo morderstwami. Był też ciekaw, co Pendergast napisał na wizytówce, którą mężczyzna wciąż ścisnął w dłoni zwiniętej w pięść. Cokolwiek to było, niewątpliwie wpłynęło na jego chęć współdziałania.

- A oto wysokie częstotliwości. Patrzcie, jak skaczą i drżą niby płomień świecy. To te przebiegi przejściowe nadają skrzypcom przypominający oddech drżący ton, tak delikatny i ulotny.

Pendergast pochylił głowę. - A więc, dottore, w czym tkwi tajemnica?

Spezi sięgnął do samplera i muzyka się urwała. - Nie ma jednej tajemnicy. Był cały katalog sekretów, niektóre ujawniliśmy, innych zaś nie. Na przykład wiemy dokładnie, jak wygląda struktura skrzypiec Stradivariego. Tomografem komputerowym możemy idealnie zbadać strada w trzech wymiarach. Wiemy wszystko, co można wiedzieć o jego projektach korpusu, tylnej płyty, boków, otworów rezonansowych - wszystko. Wiemy też dokładnie, jakiego rodzaju drewna używał. Potrafimy stworzyć idealną kopię.

Włączył jeden z komputerów, napisał coś i na ekranie pojawił się obraz pięknych skrzypiec. - Proszę. Absolutnie idealna kopia „Harrisona”, co do szczeliny i zadrapania. We wczesnych latach osiemdziesiątych ich ukończenie zajęło mi niemal pół roku. - Spojrzał na nich z niewesołym uśmiechem. - Brzmią okropnie. Prawdziwy sekret, widzicie, tkwił w chemii. A dokładnie: w przepisie na roztwór, w którym Stradivari namaczał drewno, oraz w przepisie na pokost. To pcha mnie do poszukiwań.

- I?

Dottore się zawahał. - Nie wiem, czemu jestem skłonny wam zaufać, ale ufam. Drewno, którego używał Stradivari, ścinano u podnóża Apeninów i świeże wrzucano do rzek Po albo Adygi, spławiano i przechowywano w słonawych lagunach w pobliżu Wenecji. Postępowano tak z czystej wygody, ale miało to zasadniczy wpływ na drewno - otwierało pory. Stradivari kupował drewno mokre. Nie sezonował go. Zamiast tego moczył je dalej w roztworze własnej produkcji - z tego, co udało mi się wydedukować, mieszance boraksu, soli morskiej, żywicy owocowej, kwarcu i innych minerałów, ziemi, barwionego weneckiego szkła. Moczył je

miesiącami, może latami, a drewno chłonęło wszystkie chemikalia. Jak na nie wpływały? Zdumiewająca, złożona, cudowna sprawa! Po pierwsze, konserwowały Boraks sprawiał, że drewno stawało się mocniejsze, twardsze, sztywniejsze. Kwarc z ziemi i szkło zapobiegały zniszczeniu drewna przez szkodniki - ale też wypełniały wolne przestrzenie i nadawały jasność oraz czystość tonu. Żywica powodowała subtelne zmiany i działała jak środek grzybobójczy. Oczywiście prawdziwy sekret leży w proporcjach - a tych, signor Pendergast, panu nie zdradzę.

Pendergast skinął głową.

- Przez lata zrobiłem setki skrzypiec z tak przygotowanego drewna, eksperymentując z proporcjami i czasem trzymania w roztworze. Instrumenty, które powstały, miały wielki, olśniewający dźwięk. Ale był to dźwięk chropawy. Potrzebne było coś, co stłumi wibracje, nadtony.

Zamilkł. - Tu właśnie ujawnia się prawdziwy geniusz Stradivariiego. Znalazł to coś w swoim tajemniczym pokoście.

Przesunął myszą po ekranie komputera, kliknął na kilka kolejnych menu. Pojawił się nowy obraz, czarno-biały, bardzo urwisty krajobraz, który D'Agosta uznał za jakieś wielkie pasmo górskie.

- Oto obraz pokostu ze stradivariusa w mikroskopie elektronowym, powiększenie trzydzieści tysięcy razy. Jak widzicie, nie jest to gładka, twarda powierzchnia, jaką widzimy gołym okiem. Zamiast tego mamy miliardy mikroskopijnych szczelin. Gdy ktoś gra na skrzypcach, szczeliny absorbują i tłumią chropawe wibracje i rezonanse, pozwalając wydostać się tylko najczystszym, najjaśniejszym tonom. To prawdziwy sekret skrzypiec Stradivariiego.



Problem w tym, że pokost, którego używał, był niesamowicie skomplikowanym roztworem chemicznym zawierającym gotowane insekty i inne organiczne i nieorganiczne składniki. Oparł się wszystkim analizom - a mamy go do badania tak niewiele. Nie można zdjąć pokostu z instrumentu - usunięcie nawet niewielkiej ilości zrujnowałoby skrzypce. Chcąc uzyskać wystarczającą ilość pokostu, by odpowiednio go przeanalizować, trzeba zniszczyć cały instrument. I nie można użyć skrzypiec gorszej klasy Tamte były eksperymentalne i przepis na pokost wielokrotnie się zmieniał. Nie, trzeba by zniszczyć skrzypce ze złotego okresu. Nie dość tego, należałoby pociąć drewno i przeanalizować oddziaływanie chemiczne roztworu, w którym je moczył, oraz powierzchnię rozdziału między pokostem a drewnem. Z wszystkich tych powodów nie byliśmy w stanie odkryć, jak dokładnie to robił.

Odchylił się. - Kolejny problem. Nawet znając wszystkie tajne przepisy, można ponieść klęskę. Stradivari, wiedząc to wszystko, czego nie wiemy, stworzył też skrzypce miernej jakości. Istniały inne czynniki wpływające na proces tworzenia wielkich skrzypiec, niektóre najwyraźniej poza jego kontrolą - w rodzaju szczególnych właściwości kawałka drewna, którego używał.

Pendergast skinął głową.

- I to wszystko, panie Pendergast, co mogę panu powiedzieć. - Twarz mężczyzny lśniła gorączkowym napięciem. - A teraz pomówmy o tym. - Otworzył dłoń i wygładził zgniecioną wizytówkę. D'Agoście po raz pierwszy mignęło to, co napisał na niej Pendergast.

Słowa brzmiały „Burzowa Chmura”.



Mężczyzna trzymał karteczkę w drżącej dłoni.

Pendergast w odpowiedzi skinął głową. - Może najlepszym sposobem, aby zacząć, byłoby opowiedzieć sierżantowi D'Agoście to, co wie pan o ich historii.

Spezi odwrócił się do sierżanta z twarzą przepełnioną żalem. - „Burzowa Chmura” to były najwspanialsze skrzypce Stradivariiego. Grało na nich wielu wirtuozów. Niemal nieprzerwanie od Monteverdiego do Paganiniego i dłużej. Były obecne podczas niektórych wielkich chwil w historii muzyki. Franz Clement grał na nich na premierze koncertu skrzypcowego Beethovena. Sam Brahms używał ich na premierze własnego Drugiego koncertu skrzypcowego, a Paganini podczas pierwszych włoskich prezentacji wszystkich dwudziestu czterech swoich kaprysów. A potem, niedługo przed pierwszą wojną światową, przy okazji śmierci wirtuoza Luciano Toscanello - niech będzie przeklęty przez Boga - zniknęły. Toscanelli pod koniec życia oszalał i pewnego dnia je zniszczył. Inni twierdzą, że zaginęły podczas pierwszej wojny.

- Nie.

Spezi gwałtownie się wyprostował. - Chce pan powiedzieć, że wciąż istnieją?

- Jeśli mogę, jeszcze kilka pytań, dottore. Co pan wie o właścicielu „Burzowej Chmury”?

- To jedna z tajemnic tego instrumentu. Najwyraźniej zawsze pozostawał w posiadaniu tej samej rodziny, która, jak się mówi, kupiła go bezpośrednio od Stradivariego. Skrzypce przekazywano z ojca na syna wyłącznie formalnie, ponieważ używali ich kolejni artyści. To oczywiście normalne: dzisiaj większość stradów należy do bogatych kolekcjonerów, którzy powierzają je wirtuozom na zasadach długoterminowej pożyczki. Tak też było z „Burzową Chmurą”. Kiedy artysta, który na nich grał, umierał - albo jeśli miał pecha dać zły koncert - rodzina właścicieli zabierała instrument i oddawała komuś innemu. Były przedmiotem ostrej rywalizacji. Bez wątplenia z tego właśnie powodu rodzina pozostała anonimowa - nie chcieli być nękanymi i zanudzonymi przez ambitnych skrzypków. Zachowanie w tajemnicy swojej tożsamości uczynili bezpośrednim warunkiem gry na tym instrumencie.

- Żaden wirtuoz nigdy nie złamał milczenia?

- O ile wiem, nie.

- I Toscanelli był ostatnim, który na nich grał.

- Tak, Toscanelli. Wielki i potworny Toscanelli. Zmarł jako syfilityczny wrak w 1910 w dziwnych i tajemniczych okolicznościach. Skrzypiec nie było przy jego ciele i nigdy nie zostały odnalezione.

- Kto powinien był przejąć skrzypce po Toscanellim?

- Dobre pytanie. Może rosyjskie cudowne dziecko, młody hrabia Rawetski. Zamordowano go jednak podczas rewolucji - wielka strata. Cóż to było za okropne stulecie. A teraz, panie Pendergast, niemal umieram z ciekawości.

Pendergast wyjął z kieszeni przejrzystą kopertę, uniósł ją do

światła. - Fragment końskiego włosa ze smyczka „Burzowej Chmury”. Mężczyzna sięgnął drżącymi placami. - Mogę?

- Obiecałem wymianę. Należy do pana.

Gospodarz otworzył kopertę, szczypczykami wyjął włos, umieścił na podstawie mikroskopu. Chwilę później na ekranie komputera pojawił się obraz.

- Zdecydowanie włosie ze smyczka do skrzypiec - widać drobiny kalafonii, tutaj, i uszkodzenia mikroskopijnych łusek włosa spowodowane grą, tu. - Wyprostował się. - Oczywiście smyczek używany razem z „Burzową Chmurą” niemal na pewno nie jest oryginałem, a nawet jeśli, włosie musiało być tysiące razy wymieniane. Słaby dowód.

- Świetnie zdaję sobie z tego sprawę. To tylko pierwsza poszlaka, która doprowadziła mnie do ciągu dedukcji zakończonych konkluzją, że „Burzowa Chmura” wciąż istnieje. Skrzypce są tutaj, dottore, we Włoszech.

- Gdyby tylko tak było! Gdzie pan zdobył ten włos?

- Na miejscu zbrodni w Toskanii.

- Na litość boską, człowieku: kto je ma?

- Jeszcze nie wiem tego na pewno.

- Jak się pan dowie?

- Po pierwsze, muszę poznać nazwisko rodziny, która pierwotnie je posiadała.

Spezi myślał przez chwilę. - Zacząłbym od spadkobierców Toscanellego. Mówi się, że miał tuzin dzieci z niemal tylomaż kochankami. Bóg jeden wie, któreś może jeszcze być przy życiu - teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, zdaje się, że tu, we Włoszech,

mieszka jego wnuczka czy ktoś taki. Był notorycznym kobieciarzem, pił absynt, w ostatnich latach był niedyskretny. Może powiedział którejś ze swoich kochanek, mogła przekazać wiadomość swojemu potomstwu.

- Znakomita sugestia. - Pendergast wstał. - Bardzo nam pan pomógł, dottore. Kiedy dowiem się więcej o miejscu pobytu „Burzowej Chmury”, obiecuję, że podzielę się z panem wiedzą. A na razie dziękuję, że poświęcił nam pan swój czas.

Pendergast prowadził z powrotem przez wąskie uliczki z taką samą ostrożnością, jaką okazał przed dotarciem do warsztatu Speziego. W którymś momencie wyzbył się chyba wątpliwości, bo gdy dotarli do kawiarni, zaproponował przystanek na kolejne espresso. Stojąc przy barze, odwrócił się do D'Agosty z uśmiechem.

- A teraz, mój drogi Vincencie, czy masz jakieś teorie? D'Agosta skinął głową. - Właściwie, tylko jedną.

- Znakomicie! Nie mów mi na razie. Pociągnijmy nasze dochodzenia w milczeniu jeszcze nieco dłużej. Niedługo przyjdzie czas, kiedy będziemy musieli podzielić się konkluzjami.

- Mnie pasuje.

D'Agosta pociągnął łyk gorzkiego napoju. Zastanawiał się, czy gdzieś we Włoszech mógłby dostać filiżankę porządnej amerykańskiej kawy zamiast tej trującej czarnej substancji, która zdierała człowiekowi gardło i gotowała się w żołądku całe godziny

Pendergast wychylił swoją porcję, a potem oparł się o bar. - Czy możesz sobie wyobrazić, Vincencie, jak wyglądałby renesans, gdyby Dawid Michała Anioła został wyrzeźbiony w zielonym marmurze?

Kapitan Laura Hayward siedziała na pomarańczowym plastikowym krześle ze stygnącą kawą w styropianowym kubku. Miała przykrą świadomość, że w tym pomieszczeniu pełnym wyższych rangą funkcjonariuszy policji jest jedyną kobietą, w dodatku najmłodszą. Ściany sali konferencyjnej pomalowano na zwyczajowy ciemny brąz. Jedną ozdabiało zdjęcie Rudolfa Giulianiego, oprawione razem z fotografią Twin Towers i, poniżej, listą policjantów, którzy zginęli w atakach. Żadnych zdjęć obecnego burmistrza, prezydenta Stanów Zjednoczonych i nikogo innego.

Hayward podobał się taki wystrój.

Komisarz policji Henry Rocker siedział u szczytu stołu, jak zawsze z kubkiem kawy w wielkiej dłoni; nieodmiennie zmęczona twarz, wzrok wbity w środek stołu. Po jego prawej ręce zajął miejsce Milton Gracie, kapitan komendy w dzielnicy, w której zamordowany został Cutforth i wzniesiono miasteczko namiotowe.

Hayward zerknęła na zegarek. Dokładnie dziewięć.

- Gracie? - odezwał się Rocker, otwierając zebranie.

Gracie odchrząknął, przełożył jakieś papiery. - Jak pan wie, komisarzu, miasteczko namiotowe zaczyna być problemem. Dużym problemem.

Jedynym dowodem, że Rocker przyjął stwierdzenie do wiadomości, był fakt, że ciemne kręgi pod jego oczyma jeszcze

bardziej pociemniały.

- Mamy kilkaset osób, które mieszkają naprzeciwko najbardziej ekskluzywnej części mojej dzielnicy - prawdę mówiąc, całego miasta - i zaśmiecają park, szczają w krzakach, srają gdzie popadnie... - Spojrzenie Grable'a poszybowało w stronę Hayward. - Przepraszam panią.

- W porządku, kapitanie - szorstko stwierdziła Laura. - Znany jest mi zarówno ten termin, jak funkcja cielesna.

- Słusznie.

- Kontynuujmy - sucho polecił komisarz. Hayward wydawało się, że zauważyła w zmęczonych oczach Rockera delikatny błysk rozbawienia.

- Odbieramy setki pierdolonych telefonów - kolejne spojrzenie na Hayward - od ważnych ludzi. Wie pan, o kim myślę, sir. Żądają, wrzeszczą, żeby coś zrobić. I to racja. Ci ludzie w parku nie mają pozwolenia.

Hayward zaczęła się wiercić. Powinna się zajmować morderstwem Cutforth'a, a nie wysłuchiwać gadania jakiegoś dzielnicowego kapitana o pozwoleniach.

- Nie jest to protest polityczny, to nie kwestia wolności wypowiedzi - ciągnął Grable. - To banda religijnych świrów zachęconych do działania przez człowieka nazywanego „wielebnym Buckiem”. Który, nawiasem mówiąc, odsiedział w Joliet dziewięć lat za morderstwo drugiego stopnia; zastrzelił jakiegoś sprzedawcę nad paczką gumy.

- Rzeczywiście? - zamruczał Rocker. - A czemu nie pierwszego stopnia?

- Obrona stargowała. Zmierzam do tego, komisarzu, że nie mamy tu do czynienia ze zwykłym fanatykiem. Buck to niebezpieczny człowiek. A cholerny „Post” podgrzewa atmosferę, robią, co mogą, żeby rozdmuchać sprawę. Z dnia na dzień jest gorzej.

Hayward znała już fakty i częściowo wyłączyła uwagę, zaczęła myśleć o D'Agoście we Włoszech. Z ukłuciem, którego pochodzenie nie było całkiem jasne, zdała sobie sprawę, że powinien już się skontaktować i złożyć raport. To był prawdziwy glina. I dokąd go to zaprowadziło? Awansowali tacy faceci jak Grabie, biurowi macherzy.

- Sytuacja dotyczy nie tylko dzielnicy, to problem całego miasta. - Grabie położył dłonie na stole grzbietami na wierzch. - Chcę, żeby poszedł tam oddział SWAT i zgarnął tego człowieka, zanim będziemy mieli na głowie rozruchy.

Kiedy Rocker mu odpowiedział, zrobił to głosem chrapliwym i spokojnym. - I po to tu jesteśmy, kapitanie: żeby znaleźć sposób na uniknięcie rozruchów.

- Dokładnie, sir.

Rocker zwrócił się do mężczyzny siedzącego po jego lewej stronie.

- Wentworth?

Hayward nie miała pojęcia, co to za człowiek. Nigdy wcześniej go nie widziała, a nie miał na garniturze żadnych oznaczeń wskazujących rangę. Nawet nie wyglądał na gliniarza.

Wentworth odwrócił się - półprzymknięte oczy, czubki palców złączone - i zanim odpowiedział, wziął długi, powolny wdech.

Psycholog, pomyślała Hayward.

- Jeżeli chodzi o tego, ee, Bucka - wycedził Wentworth - to dość pospolity typ osobowości. Bez przeprowadzenia wywiadu nie da się



oczywiście postawić pewnej diagnozy, ale z tego, co zauważyłem, zdradza wyraźne cechy psychopatologiczne, być może schizofrenii paranoidalnej z możliwością wystąpienia kompleksu mesjanistycznego. Istnieje spora szansa, że cierpi na urojenia prześladowcze. Dodatkowo wszystko komplikuje fakt, że ma skłonność do przemocy. Stanowczo odradzałbym wysyłanie antyterrorystów. - Zamilkł z namysłem. - Inni są po prostu jego naśladowcami i zareagują tak, jak zareaguje Buck: przemocą albo chęcią współpracy. Pójdą za jego przykładem. Kluczowe jest usunięcie Bucka ze sceny Przypuszczam, że ruch samorzutnie się załamie, kiedy Buck zniknie.

- Świetnie - stwierdził Grabie - ale jak go usunąć, jeżeli nie z użyciem oddziału SWAT?

- Jeżeli zagrozi pan człowiekowi takiemu jak Buck, zacznie wierzcąc. W wypadku takiego człowieka przemoc jest środkiem ostatecznym. Sugerowałbym wysłanie tam oficera albo dwóch - nieuzbrojonych, niestanowiących zagrożenia, najlepiej kobiet, i to atrakcyjnych - żeby go zabrać. Delikatne, pozbawione cech prowokacji aresztowanie. Trzeba to zrobić szybko, chirurgicznym cięciem. W ciągu dnia namiotowe miasteczko zniknie, jego zwolennicy znajdą sobie nowego guru albo pójdą na koncert Grateful Dead, czy co tam robili przed przeczytaniem artykułów w „Post”. - Kolejny powolny wydech. - Tak to widzę.

Hayward nie mogła się powstrzymać, żeby nie przewrócić oczyma. Buck schizofrenikiem? Jego przemowy, z taką pieczołowitością cytowane w „Post”, nie zdradzały ani śladu dezorganizacji procesu myślowego, której należy się spodziewać przy schizofrenii.

Rocker właśnie mijał ją wzrokiem, zauważył ten wyraz twarzy. - Hayward? Ma pani coś do dodania?

- Dziękuję, sir. Zgadzam się z oceną sytuacji dokonaną przez pana Wentwortha, nie zgadzam się jednak z jego zaleceniami, z całym szacunkiem.

Poczuła na sobie wodniste oczy Wentwortha, najwyraźniej pełne politowania dla jej ignorancji. Chwilę za późno zdała sobie sprawę, że nazwała go „panem” zamiast „doktorem”. Ciężki grzech w środowisku naukowym, niechęć mężczyzny była wyczuwalna. A, pieprzyć go.

- Nie ma czegoś takiego jak aresztowanie pozbawione cech prowokacji - ciągnęła. - Żadna próba wejścia tam i wyprowadzenia Bucka siłą, nawet subtelna, się nie powiedzie. Jeżeli jest szalony, to jest niepoczytalny. Odmówi i nie pójdzie. A kiedy tylko pojawią się kajdanki, pańskie dwie „najlepiej kobiety, i to atrakcyjne” znajdą się w paskudnej sytuacji.

- Panie komisarzu - przerwał Grabie - ten człowiek otwarcie lekceważy prawo. Odbieram codziennie tysiące telefonów od firm i mieszkańców Piątej Alei - Sherry Netherland, Metropolitan Club, Plaza. Linie są zatkane. A założę się, że skoro dzwonią do mnie, dzwonią też do burmistrza. - Zrobił pauzę, pozwalając, by jego słowa zapadły słuchaczom w pamięć.

- Jestem całkowicie świadomy, że dzwonią do burmistrza - stwierdził Rocker cichym, poważnym głosem.

- Więc wie pan, sir, że nie stać nas na luksus marnowania czasu. Musimy coś zrobić. Jakie są inne opcje oprócz aresztowania tego człowieka? Czy kapitan Hayward ma jakiś lepszy pomysł? Chciałbym

usłyszeć. - Odchylił się na krzesło, ciężko oddychając.

Hayward przemówiła spokojnie. - Panie kapitanie, wspomnianym przez pana firmom i mieszkańcom nie można pozwolić na wmanewrowanie policji w pośpieszną i nieprzemyślaną operację. - „Innymi słowy - pomyślała sobie - mogą się iść pieprzyć”.

- Łatwo to pani mówić ze stołka w wydziale zabójstw. Codziennie mam tych ludzi na karku. Gdybyście rozwiązali zabójstwo Cutforth'a, nie byłoby tego problemu, pani kapitan.

Hayward skinęła głową, zachowując neutralny wyraz twarzy Punkt dla Grable'a.

Rocker zwrócił się do niej. - A skoro o tym mowa, jak przebiega śledztwo, pani kapitan?

- Mamy trochę nowych dowodów, nad którymi pracują chłopcy z laboratorium. Wciąż sprawdzamy ludzi z listy rozmów telefonicznych Cutforth'a z ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin życia. Przeglądamy taśmy z kamer zabezpieczających z holu apartamentowca, porównując z osobami mieszkańców i z gośćmi, o których obecności wiemy. I oczywiście FBI bada obiecujący ślad we Włoszech. - Cienko to brzmiało i Hayward zdawała sobie z tego sprawę. Prawda była taka, że guzik mieli.

- Więc jaki jest pani plan załatwienia kwestii z tym Buckiem? - Grable, czując, że jest górą, wojowniczo stawił jej czoło.

- Doradzałabym podejście jak na razie mniej agresywne. Bez nacisku. Bez żadnych prowokacyjnych ruchów. Wysłać tam kogoś, żeby pogadał z Buckiem. Wyłożyć mu nasze racje. Ma tam setki ludzi, niszczy park i zakłóca spokój w okolicy Jest w gruncie rzeczy człowiekiem odpowiedzialnym i w naturalny sposób zechce coś z

tym zrobić; na pewno zechce wysłać swoich naśladowców do domu, żeby się ogolili, wysrali i wzięli prysznic. Tak bym to rozegrała. A na dokładkę zaproponowałabym Buckowi układ: jeżeli odeśle swoich wyznawców do domu, damy pozwolenie na przemarsz. Potraktować go jak racjonalnie myślącą istotę ludzką. Sama marchewka, bez kija. A potem, kiedy tylko opuszczą obóz, ogrodzić teren pod pretekstem obsiewania. I wreszcie dać im pozwolenie na zgromadzenie o ósmej rano w poniedziałek w odległym końcu Flushing Meadows Park. I tyle będziemy o nich słyszeli.

Zobaczyła cyniczny błysk w oku Rockera. Zastanawiała się, czy na znak zgody, czy rozbawienia jej sugestią. Roker miał wśród ludzi dobrą reputację, ale był nieprzenikniony.

- Potraktować go jak racjonalnie myślącego człowieka? - powtórzył Grabie. - Ten człowiek to skazany morderca.

Psycholog zaśmiał się cicho. Hayward spojrzała na niego i odwróciła wzrok. Minę miał jeszcze bardziej protekcyjną. Zastanawiała się, czy wiedział o czymś, o czym ona nie widziała. Zaczynało wyglądać na to, że sprawa była przesadzona.

- A jeżeli pani plan nie zadziała? - zapytał komisarz Roker.  
- Wtedy skłaniałabym się do, ee, planu pana Wentwortha.  
- Jestem dok... - zaczął Wentworth, ale Grabie wszedł mu w słowo.  
- Panie komisarzu, nie mamy czasu, żeby wypróbować najpierw jeden plan, a potem inny. Musimy pozbyć się Bucka teraz. Albo pójdzie grzecznie, albo w kajdankach - jego wybór. Załatwimy to szybko, o świcie. Będzie się pocił na tylnym siedzeniu radiowozu, zanim ktokolwiek z jego wyznawców zorientuje się, że zniknął.

Cisza. Roker rozglądał się po sali. Paru ludzi jeszcze się nie

odezwało. - Panowie?

Kiwanie głowami, pomruki. Wyglądało na to, że wszyscy zgadzają się z psychologiem i Grable'em.

- Cóż - stwierdził Rocker, wstając. - Skoro wszyscy są zgodni. W końcu nie po to mamy psychologa na etacie, żeby ignorować jego rady - Zerknął na Hayward. Nie potrafiła nic odczytać z wyrazu jego twarzy, ale wyczuła w spojrzeniu coś jakby życzliwość.

- Wejdziemy małą grupą, jak sugeruje Wentworth - ciągnął Rocker. - Tylko dwóch oficerów. Kapitanie Grable, pan będzie pierwszy.

Grable spojrział na niego zaskoczony.

- To pańska dzielnica, jak pan dobitnie zaznaczył. I to pan jest zwolennikiem szybkiej akcji.

Grable pospiesznie opanował zaskoczenie. - Oczywiście, sir. Słusznie.

- I również idąc za sugestią Wentwortha, wyślemy kobietę. - Rocker kiwnął głową w stronę Laury. - I będzie nią pani.

W sali zapadła cisza. Hayward zobaczyła, że Grable i Wentworth wymieniają spojrzenia.

Ale Rocker wciąż patrzył wprost na nią. „Załatw tę sprawę racjonalnie, Hayward, proszę”, wydawało się mówić to spojrzenie.

- Buck doceni obecność dwóch wyższych rangą oficerów. Powinno to przemówić do jego poczucia własnej wartości. - Rocker się odwrócił. - Grable, pan jest starszy, pańska operacja. Ustalenie szczegółów i czasu zostawiam panu. Zebranie zakończone.



Dzień po podróży do Cremony poranek był jasny i rześki. D'Agosta mrużył oczy w południowym słońcu, towarzysząc Pendergastowi z powrotem na Piazza Santo Spirito znajdujący się po przeciwnej stronie rzeki niż ich hotel.

- Kontaktowałeś się z kapitan Hayward? - zapytał Pendergast, gdy szli.

- Tuż przed pójściem spać.

- Coś ciekawego?

- Właściwie nie. Tych kilka tropów, którymi szli w związku z Cutforthem, okazało się do niczego nie prowadzić. Kamery ochrony w budynku na nic się im nie przydały. Najwyraźniej z Grove'em to samo. A teraz cała góra nowojorskiej policji zajęta jest kaznodzieją, który rozgościł się w Central Parku.

Tym razem D'Agosta zauważył, że plac nie jest nawet w połowie tak spokojny jak poprzednio: jego ciszę zakłóciła spora grupa z plecakami siedząca na stopniach fontanny; palili trawę i podawali sobie butelkę wina Brunello, głośno rozmawiając w kilku językach. Dotrzymywało im towarzystwa co najmniej dziesięć biegających luzem psów.

- Patrz pod nogi, Vincencie - mruknął Pendergast z ironicznym uśmiechem. - Florencja: tak cudowna mieszanka tego, co wysokie i niskie. - Ruchem ręki wskazał najpierw kopczyk psiego gówna, a

potem wspaniały budynek zajmujący południowo-wschodni narożnik placu. - Na przykład Palazzo Guadagni. Jeden z najlepszych przykładów renesansowych pałaców w całym mieście. Został zbudowany w piętnastym wieku, ale rodzina Guadagni znana była już kilka stuleci wcześniej.

D'Agosta przyjrzał się budowli. Parter wzniesiono z grubo ciosanych bloków szarobrazowego wapienia, podczas gdy wyższe piętra pokrywały żółte stiuki. Na najwyższej kondygnacji znajdowała się loggia: galeria, której dach podtrzymywały kamienne kolumny. Konstrukcja surowa, ale elegancka.

- Na pierwszym piętrze są różne biura i apartamenty, na drugim - szkoła językowa. Najwyższe piętro to pensione, które prowadzi signora Donatelli. To tam, bez wątpienia, Beckmann i reszta spotkali się w siedemdziesiątym czwartym.

- Czy ta kobieta jest właścicielką pałacu?

- Owszem. Ostatnia spadkobierczyni Guadagnich.

- Naprawdę myślisz, że będzie pamiętać grupkę studentów, którzy odwiedzili to miejsce trzy dekady temu?

- Możemy tylko spróbować, Vincencie.

Uważnie wybierając drogę, przeszli plac i minęli parę ogromnych, nabijanych żelaznymi ćwiekami drewnianych drzwi. Kiedyś wspaniałe, teraz ponure sklezione wejście prowadziło do schodów i na półpiętro. Tu, na gzymsie nad spłowiałym barokowym freskiem, zawieszono sfatygowany kawałek kartonu. Widniała na nim odręcznie narysowana strzałka i słowo „Recepcja” wypisane pewną ręką.

Pomieszczenie recepcji było absurdalnie małe jak na tak

gigantyczny pałac, zagracone, ale czyściutkie, podzielone na dwie części drewnianą ladą, z rzędem zniszczonych drewnianych przegródek na pocztę po jednej stronie i wieszakiem na klucze po drugiej. W pokoju znajdowała się tylko jedna osoba: drobniutka staruszka siedząca za starożytnym biurkiem. Ubrana z niezwykłą elegancją, włosy idealnie ufarbowane i uczesane, nieskazitelnie nałożona czerwona szminka, do tego owinięte wokół szyi i zwisające z wyschłych uszu diamenty, które wyglądały na prawdziwe.

Wstała i Pendergast zgiął się w ukłonie.

- *Molto lieto di conoscerLa, signora.*

Kobieta odpowiedziała żywo: - *Il piacere e mio.* - Potem dodała po angielsku, z akcentem: - Panowie oczywiście nie szukają pokoju.

- Nie - powiedział Pendergast. Wyjął identyfikator, pokazał kobiecie.

- Jesteście policjantami.

- Tak.

- Czego chcecie? Mój czas jest ograniczony. - Głos miała ostry i onieśmielający.

- Jesienią roku 1974, jak sędzę, zatrzymało się tu kilku amerykańskich studentów. Oto ich zdjęcie. - Pendergast wyjął fotografię Beckmanna.

Nie spojrzała na nią. - Czy ma pan nazwiska?

- Tak.

- Więc proszę za mną. - Odwróciła się i obesza ladę, po czym przez drzwi z tyłu weszła do znacznie większego pokoju. D'Agosta zorientował się, że to coś w rodzaju starej biblioteki z książkami, manuskryptami i welinowymi dokumentami wypełniającymi półki od



podłogi do sufitu. Pachniało pergaminem i zbutwiałym papierem, starą skórą, woskiem. Sufit pokrywały kasetony, niegdyś starannie złożone. Teraz rozsypujące się ze starości drewno było podziurawione.

- Archiwa rodzinne - powiedziała. - Sięgają ośmiu stuleci wstecz.

- Jest pani dobrą archiwistką.

- Jestem znakomitą archiwistką, dziękuję. - Poszła prosto do jednej z dolnych półek w odległym końcu pokoju, wybrała potężny rejestr i zniosła na stojący pośrodku stół. Otworzyła, odsłaniając kolejne strony rachunków, płatności, nazwisk i dat zapisanych fanatycznym drobnym pismem.

- Nazwiska?

- Bullard, Cutforth, Beckmann i Grove.

Zaczęła przerzucać kartki, oglądając je w niesamowitym tempie, każdy ruch posyłał w powietrze niedużą chmurkę kurzu. Nagle się zatrzymała.

- Jest. Grove. - Kościsty palec obciążony wielkim pierścieniem z diamentem wskazał nazwisko. Potem ześlizgnął się poniżej.

- Beckmann... Cutforth... Bullard. Tak, byli tu wszyscy w październiku.

Pendergast zajrzał do spisu, ale nawet on miał spory kłopot z odcyfrowaniem drobniuteńkich liter.

- Czy czas tych wizyt się pokrywa?

- Tak. - Pauza. - Z tego wynika, że tylko podczas jednej nocy, trzydziestego pierwszego października.

Zamknęła księgę z trzaskiem. - Coś jeszcze, signore?

- Tak, signora. Czy wyświadczy mi pani uprzejmość i spojrzy na tę

fotografię?

- Chyba nie spodziewa się pan, że pamiętam jakichś niechlujnych amerykańskich studentów sprzed trzydziestu lat? Mam dziewięćdziesiąt dwa lata, proszę pana. Zasłużyłam sobie na przywilej niepamięci.

- Błagam panią o wyrozumiałość.

Wzdychając ze zniecierpliwieniem, wzięła zdjęcie, spojrzała - i wyraźnie zamarła. Wpatrywała się w nie długo, z jej twarzy powoli zniknęła ta odrobina rumieńca, która na niej była. Potem na powrót wręczyła fotografię Pendergastowi.

- Tak się składa - powiedziała cicho - że pamiętam. Tego. - Wskazała na Beckmanna. - Niech się zastanowię. Wydarzyło się coś okropnego. On i jacyś inni chłopcy, pewnie ci pozostali ze zdjęcia, poszli dokądś razem. Nie było ich całą noc. On wrócił, i to potwornie zdenerwowany. Musiałam mu znaleźć księdza...

Spauzowała, jej głos zamarł. Zniknęła szorstka pewność siebie, niewzruszone przekonanie o własnej racji.

- Było to w noc przed dniem Wszystkich Świętych. Wrócił po nocy pijackiej zabawy i był w złym stanie. Zabrałam go do kościoła.

- Jakiego kościoła?

- Tego obok, Santo Spirito. Pamiętam, że ogarnęła go panika i błagał o spowiedź. Minęło wiele czasu, ale tak dziwaczne zdarzenie utkwiło mi w pamięci. To i wyraz twarzy tego biednego chłopca. Błagał o księdza, jakby od tego zależało jego życie.

- I?

- Poszedł do spowiedzi i zaraz potem spakował swoje rzeczy, wyjechał.

- A pozostali studenci?

- Nie przypominam sobie. Co roku świętują dzień Wszystkich Świętych, albo raczej wcześniejszy dzień, który, zdaje się, nazywacie Halloween. To wymówka, żeby pić.

- Czy wie pani, dokąd poszli tamtego wieczoru albo kogo mogli napotkać?

- Nie wiem nic ponad to, co już panom powiedziałam.

W biurze od frontu rozległ się dźwięk dzwonka. - Mam gości, którymi muszę się zająć - powiedziała.

- Jedno ostatnie pytanie, signora, jeśli pani pozwoli - poprosi Pendergast. - Ksiądz, który wysłuchał tamtej spowiedzi - czy jeszcze żyje?

- To będzie ojciec Zenobi. Tak, ojciec Zenobi. Mieszka teraz z mnichami w La Verna.

Odwróciła się, potem zawahała i powoli spojrzała przez ramię. - Ale jeśli pan sądzi, że potrafi go skłonić do złamania uświęconej tajemnicy konfesjonału, bardzo się pan myli.

D'Agosta przypuszczał, że po wyjściu z palazzo wróci prosto do hotelu, ale zamiast tego Pendergast włączył się po placu: powolnym krokiem, z rękoma w kieszeniach, zerkając to na prawo, to na lewo. Po paru minutach zwrócił się do sierżanta.

- Lody? Jedne z najlepszych we Florencji można, jeśli się nie mylę, znaleźć tu właśnie, w Cafe Ricchi.

- Zrezygnowałem z lodów.

- Ja nie. Pozwolę sobie na tę zachciankę.

Weszli do kawiarni i podeszli do baru. Pendergast zamówił rożek - tiramisu i creme anglaise - podczas gdy D'Agosta poprosił o espresso.

- Nie wiedziałem, że taki z ciebie amator słodczy - stwierdził sierżant, kiedy stali oparci o bar.

- Mam pewną słabość do włoskich lodów. Ale głównym powodem naszego przystanku tutaj jest chęć przekonania się o jego zamiarach.

- Jego zamiarach? Czyich zamiarach?

- Mężczyzny, który nas śledzi. D'Agosta się wyprostował. - Co?

- Nie, nie patrz. Nierzucający się w oczy, po trzydziestce, w niebieskiej koszuli i ciemnych spodniach. Całkiem profesjonalny.

Pojawił się rozek Pendergasta. Agent nadgryzł go delikatnie. Potem nagle zmienił się na twarzy.

- Właśnie wszedł do pensjone - powiedział. Porzucając lody, cisnął na ladę parę euro i wielkimi krokami opuścił kawiarnię, D'Agosta za nim.

- Obawiasz się o signorę?

- Signora jest całkowicie bezpieczna. Boję się o księdza.

- Księdza? - Nagle D'Agosta zrozumiał. - W takim razie możemy go zatrzymać, kiedy wyjdzie z pensjone.

- Na nic by się to nie zdało, a jedynie zaangażowało nas w niekończące się procedury prawne. Nasza szansa to sam klasztor. Chodźmy, Vincencie, nie mamy ani chwili do stracenia.

Dwadzieścia minut później jechali przez wzgórza na północny wschód od Florencji, za kierownicą wynajętego fiata siedział Pendergast. Choć D'Agosta zaliczył niejedną jazdę z dużą prędkością, a Pendergast bez wątpienia prowadził znakomicie, to jednak serce biło Vincentowi nieprzyjemnie. Samochód piskał kołami, pokonując w strasznym tempie serię zakrętów o sto osiemdziesiąt stopni, z których żaden nie miał ochronnej bandy. Z

każdą kolejną serpentyną wspinali się wyżej i otwierał się przed nimi coraz szerszy widok na morze gór, kręgosłup Apeninów.

- Zdawałem sobie sprawę, że jesteśmy obserwowani już od pewnego czasu - powiedział Pendergast. - Odkąd znaleźliśmy ciało Bullarda, a może nawet wcześniej. W ważnych chwilach - takich jak nasza wyprawa do Cremony - zdołałem utrzymać go na dystans. Nie chciałem konfrontacji z naszym cieniem w nadziei, że dowiemy się, kto za nim stoi. Nie sądziłem, że ujawni się tak bardzo, jak teraz na placu. Co oznacza, że zbliżamy się do prawdy Oznacza to również wzmożone zagrożenie dla nas i osób mających kluczowe informacje, takich jak ojciec Zenobi.



Samochód zapiszczał na kolejnym zakręcie. D'Agosta walczył z boczną siłą odśrodkową, na czoło wystąpił mu pot.

- Widziałem, jak wydobywasz informacje z ludzi wszelkiego pokroju - powiedział, kiedy znów mógł bezpiecznie zaczerpnąć powietrza. - Ale jeżeli potrafisz przekonać księdza, żeby ujawnił spowiedź sprzed trzydziestu lat, przepłynę całą drogę z powrotem do Southampton.

Kolejny długi wiraż, pisk opon, samochód praktycznie wiszący na skraju otchłani.

Tym razem D'Agosta musiał siłą oderwać palce od przedniego panelu. - Może moglibyśmy zwolnić?

- Nie sądzę. - I Pendergast ruchem głowy wskazał przez ramię.

Samochód wykonał następny, na wpół kontrolowany obrót wokół zakrętu i kiedy D'Agostę rzuciło na boczną szybę, mignął mu w dole niepokojący widok. Jakieś trzy pętle poniżej zobaczył motocykl, czarny i chromowany, z odsłoniętym lśniącym podwoziem. Szybko się zbliżał.

- Mamy motocykl na ogonie! - stwierdził.

Pendergast skinął głową. - Ducati monster, model S4R, jeśli się nie mylę. Cztery zawory na każdy cylinder, dobrze ponad sto koni mechanicznych, lekki, ale ma wielką moc.

D'Agosta znów obejrzał się do tyłu. Motocyklista był ubrany w

czerwoną skórę, miał kask z przyciemnioną szybą.

- Człowiek z placu? - zapytał.
- Albo on, albo ktoś z nim związany.
- Ściga nas?
- Nie. Chodzi mu o księdza.
- Cholernie pewne jak to, że nie damy rady go prześcignąć.
- Możemy go opóźnić. Wyjmij broń.
- I co mam zrobić?
- Pozostawiam to twojej decyzji.

Teraz D'Agosta słyszał cienkie wycie silnika na wysokim biegu, zbliżającego się od tyłu. Szarpnęło nimi na kolejnym wirażu, poderwali chmurę pyłu, kiedy fiat obrócił się najpierw w prawo, potem w lewo. Ale motocykl dotarł już do tego samego łuku, nachylając się pod niewiarygodnym kątem, niemal kładąc na powierzchni drogi. Kierowca szybko się wyprostował i zaczął zmniejszać odległość, szykując się do wyprzedzania.

- Trzymaj się, Vincent.

Samochód zboczył na lewy pas dokładnie wtedy, gdy nadjechał motocykl, potem z piskiem gumy skreślił z powrotem, blokując przejazd. D'Agosta spojrzął do tyłu i zobaczył, że motocyklista odstaje, szykując się do kolejnej próby przemknięcia obok nich.

- Jedzie z prawej! - zawołał.

Pendergast w ostatniej chwili znów wykonał nagły ruch samochodem w lewo, trafnie przewidując zmyłkowy manewr. Usłyszeli za sobą pisk gumy, kiedy kierowca wcisnął tylny hamulec i motor stanął na tylnym kole. Zaraz się wyprostował, odzyskał równowagę. D'Agosta zobaczył, że sięga do kurtki.

- Ma broń!

Sierżant zajął pozycję przy bocznych drzwiach i czekał z własnym pistoletem w pogotowiu. Wątpił, żeby człowiek na motorze, jadący z prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę krętą górską drogą, mógł strzelać z choćby względną celnością, ale nie zamierzał ryzykować.

Motocykl zbliżył się do nich gwałtownym rzutem, broń została ustawiona poziomo, pewniej. D'Agosta wycelował.

- Zaczekaj, aż strzeli - mruknął Pendergast.

Rozległ się strzał, błękitna chmurka pojawiła się i natychmiast rozwiała, jednocześnie był łomot i tylna szyba nagle stała się matowa, sieć pęknięć biegła od idealnej dziurki po pocisku kaliber dziewięć milimetrów. Ułamek sekundy później Pendergast zahamował z przerażającą gwałtownością, D'Agostą rzuciło w przód i zawisł na pasach, a agent wykonał gwałtowny skręt kierownicą i znów przyspieszył.

Sierżant rozpiął pas, wskoczył na tyle siedzenie, kopnięciem usunął wiszącą do środka tylną szybę, pewnie ustawił broń i strzelił. Motocyklista zakolebał się i został za zakrętem, gwałtownie redukując biegi.

- To gnój!

Samochód wślizgnął się w kolejny wiraż, tańcząc na żwirze i sunąc niebezpiecznie blisko brzegu urwiska. D'Agosta ukląkł na tylnym siedzeniu, ledwie miał odwagę oddychać. Wycelował przez rozbite okno, gotowy do strzału, kiedy tylko motocykl pojawi się ponownie. Gdy okrążali kolejne zbocze, ducati błyskawicznie pojawił się jakieś sto jardów za nimi.

Pendergast zredukował bieg, silnik wył z wysiłku, wskazówka



obrotomierza doszła do czerwonego pola. Samochód wszedł w kolejny długi łuk.

Gdy przyspieszyli, wychodząc z zakrętu, wjechali na część drogi prowadzącą wzdłuż zbocza, biegnącą prosto przez długi ciemny las sosnowy, ginącą w tunelu mroku. Mignął i został za nimi znak: „Chiusi della Verna 13 km”. Obserwując drogę z tyłu, D'Agosta widział wirujące w tańcu igły sosnowe, poderwane przez ich przejazd.

...I nagle nadjechał ducati, kołysząc się na zakręcie. D'Agosta wycelował, ale trafienie dwieście jardów w tył z jadącego samochodu było niemożliwe. Siedział, czekając na okazję.

Z przeszywającym jękiem motocykl ruszył w przód, z wyciem przechodząc na piąty, potem szósty bieg, zbliżając się do nich z wciąż rosnącą prędkością. Mężczyzna schował broń, obie zakryte rękawicami dłonie trzymał na kierownicy, głowę miał pochyloną.

- Zamierza znowu spróbować nas minąć.

- Bez wątplenia. - Pendergast trzymał się środka drogi z pedałem gazu wciśniętym do oporu.

Ale samochód nie miał szans równać się z motorem. Ducati jechał dokładnie za nimi, cały czas przyspieszając. „Musi wyciągać sto osiemdziesiąt”, pomyślał D'Agosta. Wiedział, że będzie próbował skrócić i przemknąć obok nich w ostatniej chwili i nie ma sposobu, by Pendergast zgadł, czy kierowca zechce wziąć ich z prawej czy lewej strony. Znalazł oparcie dla ręki z pistoletem. Zdecydowanie poprawił strzelecką kondycję kolejnymi sesjami na strzelnicy dwudziestego siódmego posterunku, ale przy tych wibracjach - pędzący samochód, pędzący motor - ciężka sprawa. Motocykl jechał

teraz z prędkością co najmniej dwukrotnie większą niż ich samochód, szybko ich doganiał.

D'Agosta nacisnął spust, celując nisko w maszynę, i chybił.

Samochód gwałtownie uciekł na prawo, a motor z rykiem minął ich po lewej - podwójne tłumiki błyszcząły, kierowca pochylił się tak nisko, że wyglądał, jakby leżał na przednim kole - i zniknął za następną krzywizną drogi.

- Tym razem punkt dla niego - sucho powiedział Pendergast.

Teraz sami dojeżdżali do zakrętu z prędkością wykluczającą choćby śladową kontrolę. Pendergast ostro zahamował, jednocześnie wciskając pedał gazu i skręcając kierownicę w lewo. Wóz obrócił się gwałtownie, dwa razy, trzy razy - D'Agosta był zbyt wstrząśnięty, żeby liczyć - i stanął na samej krawędzi urwiska.

Przez chwilę po prostu stali, gryzący zapach spalonych okładzin hamulcowych unosił się nad samochodem.

- Przy wszystkich swoich wadach Fiat jednak wie, jak zrobić porządną wóz - stwierdził Pendergast.

- W Eurocarze nie będą zachwyceni - odparł D'Agosta. Pendergast wcisnął gaz i samochód z piskiem wrócił na drogę, przyspieszając na kolejnym zakręcie.

Jeszcze raz przemknęli przez iglasty las, a potem zaczęli pokonywać serię serpentyn jeszcze gorszych niż ostatnia. D'Agosta czuł, że żołądek nieprzyjemnie mu się burzy. Pozwolił sobie na jedno jedyne spojrzenie w przepaść. Daleko w dole - bardzo, bardzo daleko w dole - zobaczył dolinę Casentino usianą kropkami pól i wiosek. Szybko odwrócił wzrok.

Wspinali się, serpentyna za serpentyną; Pendergast prowadził w

ponurym milczeniu. D'Agosta przeładował i sprawdził pistolet: lepsze to niż wyglądanie przez okno. Nagle obok mignęły domy - gnali już przez miasto Chiusi delia Verna, Pendergast z ręką na klaksonie; przechodnie z przerażeniem uskoczyli do przedsionka sklepu, gdy przemknął obok nich, urywając boczne lusterko zaparkowanej tam furgonetki, tak że podskakując, potoczyło się ulicą. Tuż za miastem kolejny spłowiasty znak: „Santuario delia Verna 6 km”.

Droga stała wspinając się przez stromo wznoszący się las, jeden brutalny skręt po drugim. I nagle spomiędzy drzew wypadli na łąkę, a tam - bezpośrednio przed nimi, ale wciąż tysiąc stóp wyżej - stał klasztor La Verna: wielka płatanina starożytnych kamieni przycupnięta na skale, która wydawała się wisieć nad otwartą przestrzenią. Pozbawiony okien, tak stary, ogromny i poznaczony bliznami czasu, że wyglądał na część skalnej ściany. Mimo wszystko D'Agosta poczuł dreszcz wzdłuż kręgosłupa; z zajęć w szkółce niedzielnej wiedział, że to być może najświętszy chrześcijański klasztor na świecie, zbudowany w 1224 roku przez samego świętego Franciszka.

Samochód znów wjechał w las i zabudowania klasztoru zniknęły z pola widzenia. - Mamy jakąś szansę? - zapytał D'Agosta.

- Zależy, jak szybko nasz człowiek znajdzie ojca Zenobiego. Klasztor to spora budowla. Gdyby tylko mieli telefon!

Wóz przechylił się na kolejnym wirażu. D'Agosta usłyszał dźwięk dzwonu, przez hałas silnika doleciał do niego odległy monotony śpiew.

- Zdaje się, że mnisi są na modlitwie - powiedział. Zerknął na zegarek. To będzie nabożeństwo podczas seksty: szóstej godziny

Opus Dei.

- Tak. Bardzo niefortunnie. - Pendergast zmusił samochód do pokonania ostatniego łuku, nie było tu asfaltu, koła ślizgały się na starej, porośniętej mchem kostce.

Brukowana kostką droga - z pewnością nie została pomyślana jako jezdnia - prowadziła w górę do klasztoru. Tam, przy kamiennym łuku w zewnętrznym murze, prowadzącym na wielkie krużganki, D'Agosta zobaczył leżący na ramie motor, szerokie tylne koło wciąż jeszcze powoli się obracało.

Pendergast obrócił samochodem i stanął, znalazł się na zewnątrz z wyciągniętą bronią, właściwie zanim jeszcze wóz zdążył się zatrzymać. D'Agosta biegł tuż za nim. Minęli motocykl, przebiegli przez kamienny most i wpadli na krużganki. Po prawej stała obszerna kaplica z szeroko otwartymi drzwiami, wyraźne dźwięki chorału gregoriańskiego wznosiły się i opadały w chłodnym wietrze. Gdy biegli, śpiew jakby się załamał, a potem umilkł, rozsypując się w bezładne zamieszanie.

Wpadli do kościoła w samą porę, by zobaczyć postać w czerwonej skórze - z wyciągniętym sztywno ramieniem - strzelającą z bliska do starego mnicha, który klęczał z rękoma uniesionymi w zaskoczeniu czy modlitwie. Huk strzału był szokująco głośny w tej ograniczonej przestrzeni, rozbrzmiewał jeszcze, gdy zamarły ostatnie nuty śpiewu. D'Agosta krzyknął z przerażenia, wściekłości i zgrozy, gdy ksiądz upadł, a motocyklista podniósł broń jak do egzekucji, starannie celując, żeby strzelić po raz drugi.



W świetle brzasku Hayward stała z kapitanem Grable'em na skalistej górze w Central Parku, od północnej strony arsenału. Mieli stąd dobry widok na obozowisko, nadal uśpione w cichym powietrzu poranka. Zostali poinformowani o lokalizacji namiotu Wayne'a Bucka i teraz Hayward widziała go wyraźnie: duży, z zielonego płótna, w samym sercu obozowiska.

Wątpliwości Hayward przybrały na sile. Żadne tam czyste wejście i wyjście. Prowizoryczne miasteczko rozrosło się bardziej, niż oczekiwała. Namiotów musiało być trzysta, może więcej, ukrytych między drzewami. Ukształtowanie terenu nie ułatwiało im zadania: głębokie zielone mokradła i wypełnione liśćmi kotlinki, wokół trawiaste pagórki, które często miały z boków połacie ciemnoszarych skał. Przez gęste gałęzie drzew widziała zaledwie zarys zaparkowanego na Piątej Alei radiowozu, który miał wywieźć Bucka. Stał beczynnienie na ulicy od strony parku, dokładnie naprzeciwko wejścia do budynku Cutfortha.

Tak naprawdę to ostatnie miejsce, w którym chciałyby się w tej chwili znaleźć. Zgodnie z wszelkimi regułami powinna teraz prowadzić sprawę morderstwa Cutfortha. Nie powinno jej tu być, nie kiedy ma sprawę o zabójstwo w toku. Za bardzo przypominało to dawne, złe czasy, kiedy chodziła na patrole z wydziału komunikacji.

Spojrzała na Grable'a. Poprzedniej nocy zamieniła kilka słów z

D'Agostą i teraz żałowała, że go tu nie ma. To był facet, na którym można polegać. A co do Grable'a...

Grabie poprawił krawat, wyprostował się. - Obejdziemy teren i wejdziemy od zachodu. - Pocił się, koszula kleiła mu się do ciała mimo chłodu poranka.

Hayward skinęła głową. - Moim zdaniem najważniejsza jest szybkość. Lepiej, żeby nas tam nie przyłapali.

Grabie przełknął ślinę, podciągnął pas. - Ja, pani kapitan, nie marnowałem czasu w szkole, gromadząc dyplomy, tak jak niektórzy. Przeszedłem całą drogę od samego dołu; Wiem, co robię.

Przez dłuższą chwilę Grabie patrzył na uśpione obozowisko. Hayward spojrzała na zegarek. Z każdą chwilą robiło się coraz jaśniej, za parę minut wszędzie słońce. Na co Grabie, do cholery, czekał?

- Zaczyna się robić trochę późno, jeśli mogę coś powiedzieć - odezwała się.

- Nie działałam według harmonogramu, pani kapitan.

Hayward starała się zagłuszyć złe przeczucia. Operacją dowodził Grabie - Rocker wyraźnie to zaznaczył - on miał wyznaczać kierunek. Wyjście na akcję z negatywnym nastawieniem na nic się nie przyda. A plan może zadziałać. Do diabła, udałoby się, gdyby tylko mogli odpowiednio szybko wejść i wyjść, wywlec Bucka do czekającego radiowozu, zanim zdążyłby się obudzić. „Mogłoby się udać - powiedziała sobie w duchu - o ile Grabie będzie działać szybko. Jeżeli masz kogoś aresztować, zrób to. Nie dawaj mu czasu do namysłu". Znowu zerknęła na Grable'a, zastanawiając się, czemu zwleka.

- Dobra - powiedział Grabie, widząc jej spojrzenie. - Idziemy Poszli na zachód między niewysokimi drzewami i krzakami, zachodząc obozowisko z boku, trzymając się blisko brzegu płytkiego parowu. Wkrótce dotarli do ścieżki wyglądającej jak wydeptana przez zwierzęta, prowadzącej prosto do prowizorycznego osiedla. Szli teraz pod wiatr i Hayward uderzył ostry zapach nieczystości i niemytych ludzkich ciał.

Na obrzeżach Grabie przyspieszył kroku. Kilka osób już wstało, niektórzy gotowali na kuchenkach turystycznych, inni łazili po obozowisku.

Grabie zawahał się zaraz po wejściu w nieregularny krąg namiotów. Potem szorstko skinął na Hayward i ponownie ruszyli naprzód. Hayward przyjaźnie kiwała głową tym, którzy już wstali i przyglądali im się, gdy przechodzili obok. Teren spłaszczył się, namioty stały gęściej, tworząc wąskie ścieżki i alejki. Po kilku minutach dotarli do środkowego placu, na którym ustawiono namiot Bucka.

„Na razie dobrze”, pomyślała.

Skrzydło wejściowe było przywiązane do dwóch bocznych masztów. Grabie zatrzymał się przed wejściem i zawołał donośnym głosem - Buck? Tu kapitan Grabie z nowojorskiej policji.

- Hej! - Wysoki, schludnie wyglądający człowiek wyrósł jak spod ziemi. - Co robicie?

- Nie twoja sprawa - rzucił Grabie ostro. „Cholera - pomyślała Hayward. - Nie tak”.

- Nic się nie stało - powiedziała. - Przyszliśmy tylko porozmawiać z wielebny.

- Tak? A o czym?

- Odsuń się, koleżko - nakazał Grabie.

- Co się dzieje? - z namiotu dobiegł stłumiony głos - Kto tam jest?

- Kapitan Grabie, nowojorska policja. - Grabie zaczął rozwiązywać zasupłany sznurek, który mocował klapę wejściową do bocznego masztu. Już prawie skończył, kiedy ze środka wysunęła się dłoń, zamknęła na jego ręce i odsunęła. Klapa podniosła się i stanął przed nimi Buck, wyprostowany i surowy. - To mój dom - powiedział chłodno i z godnością. - Nie naruszajcie mojego spokoju.

„Skuj go - pomyślała Hayward. - Skuj sukinsyna i wynośmy się stąd w cholere”.

- Jesteśmy funkcjonariuszami nowojorskiej policji, a to teren publiczny Nie jakiś prywatny lokal mieszkalny.

- Ponownie proszę, aby pan odstąpił od mojego domu. Hayward była zdumiona postawą mężczyzny. Odwróciła się, żeby zobaczyć, jak Grabie to rozegra. Zaszokowana zobaczyła, że blednie pod warstwą potu.

- Waynie Bucku, jest pan aresztowany - Grabie próbował odpiąć kajdanki, ale ręce lekko mu się trzęsły i trwało to dłużej, niż powinno.

Hayward nie mogła uwierzyć. Grabie stracił grunt pod nogami. Od tak dawna siedział za biurkiem, że stracił wyczucie - o ile kiedykolwiek je miał - i zapomniał, jak radzić sobie w tego typu niejasnych sytuacjach. To tłumaczyło jego wahanie tam, przy arsenale, pot, wszystko. Chciał, żeby komisarz wysłał na rozprawę z Buckiem duży oddział, ale kiedy Roker powierzył zadanie jemu bezpośrednio, nie mógł odmówić. Teraz, bez wsparcia SWAT i wobec



nieugiętej postawy Bucka, tracił nad sobą panowanie.

Buck patrzył, nie wykonując żadnego ruchu świadczącego o chęci współpracy, ale i nie stawiając czynnego oporu.

Schludny mężczyzna, który wyglądał na ochroniarza albo na adiutanta wielebnego, odwrócił się, zwinął dłonie w trąbkę i zawołał wielkim głosem: - Przebudźcie się! Przebudźcie! Gliniarze przyszedli aresztować wielebnego!

Zaczął się poruszenie, nagły szmer głosów.

- Proszę się odwrócić i założyć ręce na plecach - powiedział Grabie trzęsącym się głosem.

Buck nadal stał bez ruchu.

- Przebudźcie się!

- Kapitanie - powiedziała cicho Hayward - on stawia opór. Niech go pan skuje.

Ale Grabie nie wykonał żadnego ruchu.

Hayward w jednej chwili oceniła sytuację i zrozumiała, że moment, kiedy mieli jeszcze szansę, minął. Rozejrzała się i przypomniała sobie, jak kiedyś - była dzieckiem i chciała się popisać - dźgnęła kijem gniazdo szerszeni. Chwila, krótka chwila w zawieszeniu... a potem stłumione bzyczenie, po którym się zagotowało i wyleciały rozwścieczone owady. To samo działo się teraz w obozowisku. Ludzie już wstali, ale jeszcze nie wyszli z namiotów, trwał głuchy szmer ruchu, który miał lada chwila eksplodować.

- Brońcie wielebnego! Policja przyszła go aresztować! Wstańcie! Teraz zaczęło się gotować. Nagle na nogach były setki ludzi, wyszli z namiotów, naciągając koszule, i szli w ich stronę.

Hayward pochyliła się w stronę Grabka. - Kapitanie? Mamy problem. Tylko spokojnie.

Grabkowi obwisły usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Tłum zaczął gęstnieć, z przodu szybko utworzyła się ściana ludzi, inni napływali ze wszystkich stron; huczał gwar gniewnych głosów.

„Cholera”. Odwróciła się twarzą do tłumu. - Słuchajcie przyjaciele, nie chcemy żadnych kłopotów.

- Kłamiesz!

Krzyki były coraz głośniejsze. - Błuzniercy! Tłum napierał. Buck nic nie mówił, nic nie robił; stał tylko, uosobienie godności.

- Słuchajcie - powiedziała Hayward spokojnym głosem, wyciągając ręce - jest tylko nas dwoje. Nie ma się czym denerwować.

- Bezbożni rzymscy żołdacy!

- Nieczyste ręce precz od wielebnego!

Było paskudniej, niż się spodziewała. Grabie cofał się instynktownie, szukając wzrokiem nieistniejącej drogi ucieczki. Tłum napierał, coraz bardziej rozjuszony - jeżeli nas dotkniecie, to będzie napaść - powiedziała Hayward głośno, ale spokojnie.

To zatrzymało na chwilę pierwsze szeregi, ale ci z tyłu naciskali, było tylko kwestią czasu, kiedy zostaną zgnieceni. Grabie puścił kajdanki i sięgnął po broń.

- Grabie, nie! - krzyknęła Hayward.

Natychmiast podniósł się ryk: - Będzie strzelać! Morderca! Judasz! - Czoło tłumu ruszyło naprzód.

Pistolet wypalił w powietrze, tłum zareagował na niespodziewany dźwięk. W tym momencie Buck, stojący zaledwie kilka stóp za Grable'em, wytrącił mu z ręki broń jednym płynnym, pewnym

ruchem.

„Bogu dzięki", pomyślała Hayward, trzymając ręce na widoku i z dala od własnej broni. Coś trzeba zrobić, natychmiast, inaczej będą ugotowani. Zwróciła się w stronę Bucka. - Niech pan lepiej coś zrobi, wielbny Wszystko w pańskich rękach.

Buck wystąpił krok naprzód, wznosząc ręce. Tłum ucichł, w jednej chwili znieruchomiał.

Wielebny pozwolił, by minęła chwila, potem powoli opuścił rękę i wycelował palec w Grable'a. - Ten człowiek przybył tu pod osłoną księcia ciemności, aby mnie aresztować. Ale Bóg ujawnił jego fałsz.

Grabie wyglądał, jakby mu mowę odjęło.

- Ci centurioni, ci rzymscy żołdacy weszli do naszego obozu jak skradające się węże na polecenie samego diabła. I pokonał ich własny wstyd i tchórzostwo.

- Wstyd, tchórze!

Hayward wykorzystała chwilę spokoju i cicho powiedziała do Bucka: - Chcielibyśmy już iść.

W tłumie wybuchł kolejny ryk. - Wstyd!

Spomiędzy ludzi wyleciał kij, lądując w pyle po ich nogami. Widziała kolejne, którymi wymachiwano nad głowami. Ludzie na obrzeżach zaczęli w krzaskach szukać kamieni.

Hayward pochyliła się, znów mówiąc cichym głosem, licząc, że tylko Buck słyszy - Wielebny? Co się stanie z panem i pana zwolennikami, jeżeli zostaniemy ranni? Albo wzięci jako zakładnicy? Myśli pan, że jak zareaguje policja? - Uśmiechnęła się chłodno. - Atak na Waco będzie przy tym wyglądał jak niedzielny piknik.

Nastąpiła chwila ciszy Buck, nie pokazując po sobie, że usłyszał,

ponownie podniósł ręce i skłonił głowę. Znowu z miejsca zaległa cisza.

- Ludzie moi - powiedział. - Ludzie moi. Jesteśmy chrześcijanami. Może przyszli ze złą wolą, ale my winni jesteśmy okazać im współczucie i przebaczenie. - Odwrócił się do adiutanta. - Todd, otwórz nieczystym drogę. Niechaj odejdą w pokoju.

Podniesione kije powoli opadły. Wśród wiercącej się ludzkiej rzeszy pojawiło się przejście. Hayward schyliła się z pałającą twarzą, podniosła pistolet Grabka, wetknęła sobie za pas. Odwróciła się i zobaczyła, że Grabie nie idzie za nią. Stał nieruchomy w miejscu.

- Idzie pan, kapitanie?

Wzdrygnął się, rozejrzał, po czym przeszedł obok niej, nie patrząc. Po chwili zaczął biec truchtem. W tłumie rozlegały się okrzyki triumfu. Hayward ruszyła za nim dostojnym krokiem, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń, starając się w żaden sposób nie zdradzić - wyrazem twarzy, postawą, głosem - że przeżywa właśnie najgorsze w całej karierze upokorzenie.



W uszach D'Agosty zabrzmiał strzał, straszliwie głośny. To Pendergast wypalił ponad głowami tłumy.

Zabójca odwrócił się i zobaczył, że nadchodzą. Spojrzał w dół na skurczoną postać leżącą u jego nóg, rozejrzał się pospiesznie, a potem odwrócił się i uciekł. Mnisi w brązowych szatach zgromadzili się wokół leżącego brata, niektórzy się modlili, inni krzyczeli i gestykulowali.

Kilku wskazywało na tył kościoła: - *Da questa parte! E scappato di la!*

Pendergast spojrział na nich. - Vincent, za nim! - Wyjął już komórkę i dzwonił po helikopter pomocy medycznej.

Jeden z braciszków zerwał się i chwycił D'Agostę za ramię. - Ja pomóc - powiedział łamaną angielszczyzną. - Za mną.

Pobiegli razem przez drzwi po prawej stronie od ołtarza, przez ciemny korytarz i wewnętrzne krużganki, potem przecięli podwórze i wyszli drugim kamiennym przejściem, które nagle skończyło się na samym zboczu. Tam stanęli. Drogę przecinał im boczny pasaż, łuki i kolumny wycięte w skale.

- Poszedł tędy. - Mnich się odwrócił i popędzili starożytnym, pokrytym freskami korytarzem. Na jego końcu widniały uchylone żelazne drzwi, zakonnik otworzył je szerzej. Ciemny korytarz zalało słońce. D'Agosta wyszedł za przewodnikiem na zewnątrz. Pod nimi

biegły w dół przyprawiające o zawrót głowy schody, wykute wprost w zboczu, którego stromizna zapierała dech, od strony spadku pozbawione jakiejkolwiek bariery poza przerdzewiałą żelazną poręczą.

D'Agosta wychylił się w przepaść, wyjrzał przez poręcz. Momentalnie zakręciło mu się głowie. Potem mignęła mu postać w czerwonym stroju, mozolnie schodząca kamienną ścieżką.

- *Eccolo!* - Mnich podjął pościg, szaty mu furkotały. D'Agosta ruszył za nim najszybciej jak mógł - schody były tak wypolerowane przez czas, tak mokre od rosy, że wydawały się śliskie jak lód. Zejście okazało się stare i nieużywane, miejscami uległo tak silnej erozji, że musieli przechodzić nad ziejącą pod nogami błękitną pustką.

- Wiesz, dokąd prowadzi? - zapytał D'Agosta pomiędzy jednym a drugim oddechem.

- Do lasu na dole.

Schody przez moment biegingy bardziej poziomo, a oni przeszli powoli nad kolejną wyrwą. W tym miejscu kompletnie przerdzewiała poręcz odpadła i mogli się przytrzymywać jedynie haków przeznaczonych do jej zamocowania. Powiał ostry, zimny wiatr.

Z dołu rozległ się strzał. Mnich się poślizgnął, chwycił hak, gramolił się, odzyskując równowagę. D'Agosta wcisnął się w skałę. Był całkowicie odsłonięty, nie mógł pomóc, nie mógł się nawet posuwać do przodu. Obiema rękoma wpił się w skałę i nawet nie miał jak wyjąć pistoletu.

Kolejny strzał. D'Agosta poczuł, że odprysk skały tnie mu twarz. Patrząc na dół, widział zabójcę na schodach jakieś sto metrów niżej celującego prosto w nich.

Nie było rady, nie mógł tak po prostu stać i czekać, aż zostanie postrzelony. D'Agosta puścił się jedną ręką, rozpaczliwie zakleszczył w urwisku stopami i kolanami i wyciągnął broń. Celując najlepiej jak mógł, wypalił raz, potem drugi.

Dwa bliskie trafienia, tuż obok celu. Mężczyzna krzyknął i poszukał schronienia, znikając im z oczu. W tym czasie mnich zdołał odzyskać równowagę i przejść w bezpieczniejsze miejsce. D'Agosta poczuł, że się zsuwa; zaraz będzie musiał upuścić pistolet.

- *A me!* - powiedział mnich.

D'Agosta rzucił mu glocka, którego ten zręcznie złapał. Potem podciągnął się z powrotem i przeskoczył nad dziurą. W chwili gdy dotarł na drugą stronę, rozległ się kolejny strzał.

- Padnij!

Przykucnęli na kamiennych stopniach za nędzną osłoną niewielkiej, wystającej skały. Następny strzał, następny deszcz skalnych okruchów.

„Chryste - pomyślał D'Agosta - jesteśmy uziemieni”. Nie mogli ruszyć ani w przód, ani w tył. Musiał ponownie odpowiedzieć ogniem.

Zakonnik podał mu broń.

D'Agosta wysunął magazynek, sprawdził. Zostało osiem naboii. Włożył go na miejsce.

- Kiedy strzełę, ty idź. *Capisci?*

Mnich kiwnął głową.

Jednym ruchem D'Agosta wstał, wycelował, wystrzelił serię, ścinając wierzchołek skały, za którą przykucnął przeciwnik, trzymając go w dole, uniemożliwiając odpowiedzenie ogniem. Mnich

przeszedł przez odkrytą część szlaku, znalazł porządną kryjówkę nieco dalej, tam gdzie ścieżka znów zaczynała schodzić w dół surowymi stopniami.

Po zużyciu wszystkich nabożów D'Agosta ukrył się za skalistym występem. Wcisnął nowy magazynek, a potem przebiegł przez otwarty teren, dotarł do mnicha i bezpiecznego miejsca przy schodach. Zatrzymał się, żeby wyrzeć zza kamiennej ściany Strzelca nigdzie nie było widać.

Szybko wstał i podjął pościg, mnicha miał tuż za plecami. Schodzili niżej i coraz niżej, aż nagle dotarli na dół. U podnóża skały znajdowała się mała winnica. Za nią wyrastała zwarta ściana lasu.

- Którędy? - zapytał D'Agosta. Mnich wzruszył ramionami. - Zniknął.

- Nie. Ruszemy za nim do lasu.

D'Agosta pochylony zaczął się posuwać w stronę drzew, idąc wzdłuż rzędów winorośli. W parę chwil znaleźli się w lesie. Otaczały ich pnie przypominające filary katedry, ciche i pachnące żywicą oraz chłodem, wyciągające ramiona w ciemność. D'Agosta badawczo obejrzał ziemię, ale w grubym dywanie sosnowych igieł nie było widać najmniejszego śladu stóp.

- Masz jakiś pomysł, którą poszedł? - zapytał.

- Niemożliwe wiedzieć. Potrzeba psy.

- Czy w klasztorze są psy?

- Nie.

- Możemy wezwać policję.

Mnich ponownie wzruszył ramionami. - Trzeba czasu. Dla psów może dwa, trzy dni.



D'Agosta zmierzył wzrokiem niekończący się las. - Cholera.

W kaplicy panowało zamieszanie. Pendergast pochylał się nad leżącym płasko na ziemi mnichem, robiąc mu masaż serca i sztuczne oddychanie. Kilku zakonników klęczało w półkołu, najwyraźniej pod przewodnictwem przełożonego, inni stali z tyłu, mamrotali cicho, wstrząśnięci. Idąc przez kaplicę, kompletnie zasapany D'Agosta usłyszał odległy warkot helikoptera.

Ukląkł i ujął kruchą dłoń starego księdza. Mężczyzna miał zamknięte oczy, twarz szarą. W tle trwał ciągły pomruk modlitwy, kojący w swej miarowej regularności.

- Chyba miał atak serca - stwierdził Pendergast, uciskając klatkę piersiową zakonnika. - Uraz po postrzale. A jednak, jeżeli zjawi się helikopter, może uda się go uratować.

Nagle mnich kaszlnął. Ręka mu zadrżała i otworzył oczy, patrząc wprost na Pendergasta.

- Padre - powiedział agent cichym i spokojnym głosem - *mi dica la confessione piu terribile che lei ha mai sentito.*

Oczy, tak mądre i tak bliskie śmierci, wydawały się wszystko rozumieć. - *Un ragazzo Americano che ha fatto un patto con il diavolo, ma l'ho salvato, l'ho sicuramente salvato.* - Westchnął, uśmiechnął się, a potem zamknął oczy i wydał z siebie ostatni, długi, drżący oddech.

Chwilę później wpadli sanitariusze z przenośnymi noszami. Nastąpił wybuch gorączkowej aktywności, gdy starali się ustabilizować stan ofiary: jeden podłączał monitor kardiologiczny, podczas gdy drugi przekazywał do szpitala wiadomość o braku czynności życiowych i otrzymywał w odpowiedzi polecenia. Nosze biegiem wyniesiono i parę sekund później helikopter już się oddalał.

A więc koniec. Kościół nagle wydał się pusty, w powietrzu unosił się zapach kadzidła, spokojny rytm modlitwy zamykał ten szokujący akt przemocy dziwną nutą spokoju.

- Uciekł - wysapał D'Agosta.

Pendergast położył mu rękę na ramieniu. - Przykro mi, Vincencie.

- Co przed chwilą powiedziałeś księdzu?

Pendergast się zawahał. - Poprosiłem, żeby przypomniał sobie najstraszliwszą spowiedź, jakiej wysłuchał. Powiedział, że to był chłopak - amerykański chłopak - który zawarł pakt z diabłem.

D'Agosta poczuł, że odraza ściska mu żołądek. Więc jednak to była prawda. Prawda.

- Dodał, że z pewnością ocalił duszę tego chłopca. Właściwie wiedział, że ocalił jego duszę.

D'Agosta musiał usiąść. Na chwilę zwiesił głowę, wciąż ciężko dyszał, a potem podniósł wzrok na Pendergasta. - Tak. Ale co z trzema pozostałymi?



Wielebny Buck siedział przy stoliku w swoim namiocie. Jaskrawe poranne słońce wpadało przez zasłonięte siatką wejście i rozświetlało płócienne ściany. Wszyscy w obozowisku byli jeszcze podekscytowani konfrontacją z policjantami, pełni energii. Buck czuł się podobnie. Pasja i wiara jego naśladowców zdumiały go i dodały ducha. Zaiste, czuło się, że Bóg jest z nimi. Z Bogiem wszystko było możliwe.

Problem polegał na tym, że policja nie da za wygraną. Będzie działać zdecydowanie, i to już wkrótce. Jego chwila miała nadejść; to dlatego zaszedł tak daleko, pracował tak ciężko, aby się spełniła.

Ale jaka chwila? I jak miałby ją spełnić? To pytanie rosnęło w jego świadomości i nie dawało mu spokoju już od paru dni. Z początku było jak słaby głos, lekki niepokój. Teraz jednak ani na chwilę go nie opuszczało mimo modlitw, postu i pokuty. Boska droga była niewyraźna, wola Pana tajemnicza. Buck po raz kolejny pochylił głowę, prosząc Boga o wskazanie kierunku. Z zewnątrz słyszał pomruk setek prowadzonych w podnieceniu rozmów. Zaczął nasłuchiwać, wszyscy mówili wyłącznie o nieudanej próbie aresztowania. Dziwne, że policja wysłała tylko tamtych dwoje. Pewnie nie chcieli demonstracji siły, nie chcieli mieć na głowie drugiego Waco.

Waco. Ta drobna wzmianka w ustach policjantki otrzeźwiła go

błyskawicznie, z kliniczną precyzją. Niezła była, trzeba przyznać. Na pewno nie starsza niż jakieś trzydzieści pięć lat, naprawdę ładna i bardzo pewna siebie. Jej kolega był tylko słabym, próżnym mięśniakiem, jak klawisze z więzienia, z którymi miał do czynienia. Ale ona, ona ufała w siłę i moc diabła, który za nią stał.

Czy miał stawić opór, walczyć? Dysponował potężną bronią - setkami uczniów i wiernych oddanych mu ciałem i duszą. Miał moc przekonywania i wsparcie Ducha, tamci byli uzbrojeni. Za nimi stała potęga państwa, które wyposażyło ich w broń, gaz łzawiący, armatki wodne. Gdyby się opierał, doszłoby do rzezi. Czego Bóg od niego chciał? Buck jeszcze raz pogrążył się w pokornej modlitwie. Ktoś zastukał w maszt namiotu.

- Kto tam?

- Już prawie pora na poranne kazanie i błogosławieństwo.

- Dzięki, Todd. Będę gotów za kilka minut.

Potrzebował odpowiedzi, choćby tylko dla siebie, zanim znowu stanie przed tymi ludźmi. Liczyli na jego duchowe przewodnictwo w tym największym ze wszystkich kryzysów. Był z nich taki dumny, z ich odwagi i wiary. „Rzymscy żołdacy”, krzyczeli do gliniarzy

Rzymscy żołdacy! To było to. Nagle wszystko ułożyło się w spójny ciąg jak kostki domina. Herod. Piłat. Golgota. Odpowiedź, której szukał, była tam od początku. Potrzebował tylko siły wiary, żeby ją odszukać.

Buck klęczał jeszcze przez chwilę. - Dzięki ci, Ojcze - szepnął.

Wstał, czując się wypełniony światłem. Teraz wiedział, jak stawić czoło legionom Rzymu. Odchylił połę namiotu i wyszedł, kierując się w stronę Skały Kazań. Chłonał piękno poranka, piękno bożego

świata. Życie jest tak cennym, a zarazem tak ulotnym darem... Wspinając się ścieżką na górę, przypominał sobie, że przyszły świat będzie o wiele lepszy i piękniejszy. Kiedy niewierni przyjdą tysięczną siłą, będzie wiedział, jak sprowadzić na nich klęskę.

Wzniósł ręce ku niebu. Powitał go grzmiący aplauz.

Podziemia w koszarach carabinieri wyglądały bardziej na loch, którym kiedyś były, niż na piwnicę i D'Agosta szedł za colonnello Esposito i Pendergastem przez kręty tunel z nagiego kamienia osnutego pajęczynami i poznaczonego wapnem, na wpół zaskoczony, że nie znajduje szkieletów przykutych do ścian.

Pułkownik zatrzymał się przed żelaznymi drzwiami, otworzył. - Jak widzicie, panowie, musimy dopiero dogonić dwudziesty pierwszy wiek. - Gestem zaprosił ich do wejścia.

D'Agosta wszedł do pomieszczenia od ściany do ściany zastawionego szafami i półkami. Na półkach leżały dokumenty powiązane sznurkiem w paczki. Niektóre tak stare i zapleśniałe, że musiały pochodzić sprzed stuleci. Oficer w schludnym niebiesko-białym mundurze z eleganckimi czerwonymi lampasami przy spodniach wstał i sprężyście zasalutował.

- Basta - powiedział colonnello zmęczonym głosem, a potem wskazał na stare drewniane krzesła ustawione wokół długiego stołu. - Proszę siadać.

Gdy usiedli, powiedział coś do młodszego oficera, który wyjął kilka teczek i położył je na stole. - Oto streszczenia akt zabójstw spełniających panów kryteria: nierozwiązane morderstwa z ostatniego roku, gdzie ofiara została spalona. Sam już je przejrzałem i nie znajduję niczego nawet w najmniejszym stopniu interesującego.

Znacznie bardziej niepokoi mnie to, co dziś rano wydarzyło się w La Verna.

Pendergast wziął pierwszą teczkę, otworzył, wyjął streszczenie sprawy. - Żałuję tego bardziej, niż jestem w stanie wyrazić.

- Ja jeszcze bardziej. Dopóki się nie zjawiliście, panował spokój, a potem... - Rozłożył ręce i smutno się uśmiechnął.

- Jesteśmy prawie u celu, pułkowniku.

- Więc módlmy się, żebyście tam dotarli, gdziekolwiek ów „cel” może się znajdować, jak najszybciej.

Pendergast zaczął czytać streszczenia, po zakończeniu każde podał D'Agostie. Jedynym dźwiękiem był szum z wymuszonego obiegu powietrza, które włączano do piwnicy lśniącoymi aluminiowymi kanałami wijącymi się jak węże po sklepionym suficie w daremnej próbie dostarczenia na tę głębokość świeżego powietrza. D'Agosta przeglądał wszystkie papiery i dołączone do nich zdjęcia i męczył się, żeby zrozumieć włoski tekst. Był w stanie wychwycić ogólny sens, ale nic więcej. Od czasu do czasu sporządzał krótką notkę - raczej po to, by móc coś przekazać Hayward, niż dla własnych potrzeb.

Przejrzeli wszystko w niespełna godzinę.

Pendergast odwrócił się do D'Agosty - I co?

- Nic rzucającego się w oczy.

- Spróbujmy drugiego podejścia. Colonnello zerknął na zegarek, zapalił papierosa.

- Nie ma potrzeby, by pan zostawał - stwierdził Pendergast.

Esposito machnął ręką. - Jestem całkiem zadowolony, że tu się schowałem, poza zasięgiem, z nieczynną komórką. Na górze nie jest zbyt przyjemnie, kiedy co pół godziny dzwoni Procuratore della

Repubblica dzięki, obawiam się, panom. - Rozejrzał się. - Jedyne, czego brakuje, to maszyny do espresso. - Odwrócił się do funkcjonariusza. - *Caffe per tutti*.

- *Sissignore*.

D'Agosta powstrzymał ziewnięcie i zaczął ponownie przeglądać ledwie zrozumiałe akta. Tym razem zatrzymał się na czarno-białym zdjęciu mężczyzny leżącego w czymś, co wyglądało na opuszczony budynek. Ciało skulone na popękany m cementie w kącie, wyjątkowo paskudnie spalone. Typowe policyjne zdjęcie, wstrętne, odrażające.

Ale było coś jeszcze. Coś tu nie grało.

Pendergast natychmiast wyczuł jego zainteresowanie. - Tak? - D'Agosta posunął mu fotografię. Pendergast uważnie przyglądał się jej przez kilka sekund. A potem brwi gwałtownie podjechały mu na czoło. - Tak, widzę.

- Co takiego? - zapytał colonnello, niechętnie się nachylając.

- Ten człowiek. Widzi pan niewielką plamę krwi tutaj, pod nim? Został spalony, a potem zastrzelony.

- I?

- Zwykle ofiary są zabijane, a potem palone, żeby ukryć dowody. Czy kiedykolwiek słyszał pan, by człowieka najpierw spalono, a dopiero później zastrzelono?

- Często. Jeśli ktoś chciał uzyskać informacje.

- Podczas tortur przypalała się tylko niektóre miejsca na ciele. Nie ponad połowę.

Esposito rzucił okiem na zdjęcie. - Może to jakiś szaleniec.

- Czy możemy zobaczyć kompletne akta?

Colonnello wzruszył ramionami, z szuraniem podszedł do odległej



szafy, a potem wrócił z grubą paczką dokumentów. Położył ją na stole, przeciął sznurek scyzorykiem.

Pendergast przejrzał papiery, wyciągnął jeden i zaczął streszczać po angielsku: - Carlo Vanni, lat sześćdziesiąt dziewięć, emerytowany farmer, ciało odkryte w zrujnowanym casa colonica w górach w pobliżu Abetone. Na miejscu nie znaleziono żadnych dowodów, żadnych odcisków palców, włókien, łusek, śladów, poszlak. - Podniósł wzrok. - W moim odczuciu nie wygląda to na dzieło szaleńca.

Na twarz colonnello powoli wypłynął uśmiech. - Nawet wśród carabinieri zdarzają się wypadki niekompetencji. To, że nie znaleziono żadnych dowodów, nie oznacza, że ich nie było.

Pendergast przerzucił stronę. - Pojedynczy strzał w serce. A to co? Medico legale odkrył drobiny stopionego aluminium wżarte głęboko w ciało ofiary.

Przerzucił następną stronę.

- A to jeszcze bardziej intrygujące. Kilka lat przed morderstwem Vanni został oskarżony o molestowanie dzieci w miejscowej społeczności. Uniknął kary z powodów proceduralnych. Policja założyła, że morderstwo było po prostu zemstą, i wygląda na to, że niespecjalnie starała się znaleźć zabójcę.

Colonnello zdusił papierosa. - Allora. Zabójstwo z zemsty, ktoś ze społeczności. Morderca chciał, żeby pedofil pocierpiał za to, co zrobił. Stąd poparzenia, a potem strzał w serce. To wyjaśnia wszystko.

- Tak by się wydawało. Długa cisza.

- A jednak - odezwał się Pendergast niemal do siebie - to zbyt

idealne. Gdyby chciał pan kogoś zabić, colonnello, i nie robiło panu różnicy, kto to taki, kogo by pan wybrał? Właśnie takiego człowieka: winnego ohydnej zbrodni, ale nigdy za nią nieukaranego. Człowieka bez rodziny, bez ważnych koneksji, bez pracy. Policja nie będzie się wysilać, żeby znaleźć zabójcę, a miejscowi zrobią, co mogą, żeby utrudnić dochodzenie.

- Zbyt sprytne, agencie Pendergast. Nigdy w życiu nie miałem do czynienia z przestępcą, który byłby zdolny do tak wyrafinowanego planowania. I po co zabijać przypadkową ofiarę? To coś jak z Dostojewskiego.

- Nie mamy tu do czynienia ze zwykłym przestępcą i nasz zabójca miał bardzo szczególny powód, żeby zabić. - Pendergast odłożył akta i spojrzał na D'Agostę. - Vincencie?

- Warte sprawdzenia.

- Czy mogę dostać kopię raportu medico legale? - zapytał Pendergast. Pułkownik mruknął coś do oficera, który właśnie wrócił z kawą.

Mężczyzna zabrał folder do kserokopiarki i chwilę później przyniósł kopię.

Colonnello wręczył ją Pendergastowi, a potem zapalił papierosa z twarzą zmarszczoną z irytacji. - Mam nadzieję, że nie zamierza mnie pan prosić o zgodę na ekshumację.

- Obawiam się, że tak.

Esposito westchnął, dym wypływał mu z nozdrzy. - *Mio Dio*. Tego mi jeszcze brakowało. Zdaje pan sobie sprawę, jak długo to potrwa? Co najmniej rok.

- Nie do przyjęcia.

Colonnello skinął głową. - To Włochy - Na jego twarzy pojawił się uśmiezek. - Oczywiście...

- Co oczywiście?

- Zawsze można pójść drogą nieoficjalną.

- Ma pan na myśli włamanie do grobu?.

- Wolimy nazywać to il controllo preliminare. Papierkową robotę wykonuje się, o ile coś się znajdzie.

Pendergast wstał. - Dziękuję, pułkowniku.

- Za co? Niczego nie mówiłem. - Wykonał kpiący ukłon. - Poza tym to miejsce znajduje się poza moimi kompetencjami. Satysfakcjonujący układ dla wszystkich zainteresowanych - oprócz, być może, Carla Vanniego.

Gdy wychodzili, colonnello zawołał za nimi: - Nie zapomnijcie spakować panini i dobrej butelki chianti. Noc, obawiam się, będzie długa i chłodna.



Kościół, miejsce pochówku Carla Vanniego, stał na wzgórzu u podnóża Apeninów, ponad miastem Pistoia, na końcu krętej drogi, która zdawała się bez końca piąć w ciemnościach. Zastępczy fiat, którym jechali, pokonywał serpentynę za serpentyną, na każdym zakręcie światła dźgały ciemność.

- Powinniśmy być przygotowani na towarzystwo - powiedział Pendergast.

- Myślisz, że wiedzą, gdzie jesteśmy?

- Wiem. Siedzi nas samochód. Mignął mi parę razy trzy czy cztery zakręty temu, w dole. Będzie musiał zaparkować poniżej kościoła, a ja nie zamierzam dać się zaskoczyć. Miałeś do czynienia z podchodzeniem do obiektu z osłoną?

- Jasne.

- Będziesz mnie osłaniał, a potem dam ci sygnał, żebyś ruszał, o taki. - Wydał z siebie niskie huknięcie, identyczne jak sowa.

D'Agosta wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Twoje talenty nieodmiennie mnie zaskakują. Zasady angażowania się w wymianę ognia?

- Mamy do czynienia z potencjalnym mordercą, ale nie możemy strzelić pierwsi. Czekać, aż otworzy ogień, potem strzelaj, żeby zabić.

- A tymczasem ty oberwiesz.

- Potrafię o siebie zadbać. Jesteśmy. - Pendergast zwolnił na

ostatnim łuku. - Sprawdź broń.

D'Agosta wyjął glocka, wysunął magazynek, upewnił się, że jest załadowany do maksymalnej pojemności piętnastu naboí, z trzaskiem go zamknął i odbezpieczył. Pendergast minął kościół, zaparkował na rondzie niedaleko końca drogi, a potem wysiedli z wozu.

Otoczył ich zapach rozgniecionej mięty. Noc była chłodna, bezksiężycowa. Rozrzucone po niebie jasne gwiazdy migotały ponad ciemną linią cyprysów. Sam kościół stał poniżej, słabo zarysowany na tle odległej poświaty Pistoí. W ciemności grały świerszcze. D'Agosta pomyślał, że to idealne miejsce, żeby rabować groby - ciche i odludne.

Pendergast dotknął jego ramienia i kiwnął w kierunku ciemnego zagajnika jakieś sto jardów niżej. D'Agosta przykucnął w cieniu samochodu z wyciągniętą bronią, gdy Pendergast cicho pomknął ku kępie drzew, znikając w mroku.

Minutę później D'Agosta usłyszał niegłośne pohukiwanie.

Wstał, szybko ruszył między drzewa i dołączył do agenta. Przed nimi stał kościół: mały i bardzo stary, zbudowany z kamiennych bloków, z kwadratową wieżą. Frontowe wejście - gotycki łuk nad drewnianymi drzwiami - było zamknięte.

Pendergast znów dotknął ramienia sierżanta, ruchem głowy wskazał wejście. D'Agosta ukrył się w cieniu, czekał.

Pendergast przemknął przez kościelny dziedziniec. Vincent ledwie mógł dostrzec jego sylwetkę, czerń na czarnym tle drzwi. Odgłos poruszania klamką zamkniętych drzwi. Teraz słabe skrobnięcie żelaza o żelazo, kiedy agent otwierał zamek, a potem ciche skrzypnięcie otwieranych drzwi. Pendergast szybko wślizgnął się do

środku. Za chwilę rozległo się kolejne pohukiwanie sowy D'Agosta wziął głęboki oddech i przebiegł przez otwarty plac i przez drzwi. Pendergast natychmiast za nim zamknął i, wsuwając w dziurkę od klucza jakiś wąski przyrząd, przekręcił zamek.

D'Agosta odwrócił się, przeżegnał. Wnętrze kościoła było chłodne, pachniało woskiem i kamieniem. Przed malowaną drewnianą figurą Dziewicy mrugało kilka świec, słabym pomarańczowym blaskiem rozświetlając małą nawę.

- Ty bierzesz lewą, ja prawą - powiedział agent.

Z wyciągniętą bronią ruszyli wzdłuż przeciwległych ścian starożytnego kościoła. Wnętrze było puste, nie licząc posągu Dziewicy, konfesjonału z zaciągniętymi zasłonkami i prostego ołtarza z krucyfiksem.

Pendergast podkradł się do konfesjonału, chwycił zasłony, szarpnął na boki.

Pusto.

D'Agosta zobaczył, że chowa broń i płynnym ruchem podchodzi do niewielkich zardzewiałych żelaznych drzwi wmurowanych w odległym narożniku. Nachylił się nad zamkiem - znów grzechot i skrobanie - po czym otworzył, odsłaniając prowadzące w dół kamienne schody. Agent włączył latarkę i poświecił w mrok.

- Nie jest to pierwszy grobowiec, którego spokój naruszam - mruknął, gdy D'Agosta do niego dotarł - ale wygląda, że jeden z najbardziej interesujących.

- Czemu Vanniego pochowano tutaj, a nie na cmentarzu na dworze? Minęli próg i Pendergast delikatnie zamknął za nimi drzwi na klucz. - Z powodu stromego wzgórza kościół nie ma zewnętrznego

camposanto. Wszystkich zmarłych chowa się w kryptach wyciętych w skale pod kościołem.

Zeszli schodami, by znaleźć się w niskiej, sklepionej przestrzeni. Nozdrza D'Agosty wypełnił zapach pleśni. Po lewej światło latarki ujawniło jakieś średniowieczne sarkofagi, kilka z figurami zmarłych wyrzeźbionymi w przykrywających je marmurowych płytach, przedstawionych jakby spali; rycerz w zbroi, ktoś w stroju biskupa.

D'Agosta poszedł za Pendergastem w prawo. Korytarz prowadził obok starych grobowców, ozdobionych rzeźbami i reliefami, kończył się następnymi żelaznymi drzwiami. Agent otworzył je w jednej chwili.

Światło pozwoliło zobaczyć dalszy, znacznie bardziej surowy tunel wykuty już w samej skale. Półki wycięto w skalnych ścianach; każda z własną kupką kości, czaszką, strzępami szmat. Niektóre szkielety miały pierścionki na kościstych palcach albo drobną biżuterię i naszyjniki rozrzucone wśród żeber. Słabo szurały myszy, po brudnej podłodze przemknęło kilka futrzanych kul szukających kryjówki. Dalej znajdowały się rzędy nowszych grobów ustawionych do korytarza węższą częścią jak w mauzoleum. Każdą niszę zakrywała marmurowa tablica.

W miarę jak szli, daty na tablicach stawały się bardziej współczesne. Niektóre ozdobiono fotografiami zmarłych przymocowanymi na froncie; poważne twarze z dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku, naznaczone cierpieniem i rozczarowaniem. Z rzadka zaczęły się pojawiać puste krypty z pustymi tablicami. Inne miały wyryte nazwiska i daty urodzin, ale bez dat śmierci. Pendergast przesunął promień światła z lewa na

prawo i z powrotem. Z przodu D'Agosta widział już ścianę zamykającą kryptę. I tam, w dolnym rzędzie na końcu, odosobniony, znajdował się grobowiec, którego szukali:

## CARLO VANNI 1948-2003

Agent sięgnął do marynarki i wyjął cienki materiał, który szybko rozłożył na kamiennej podłodze przed kryptą. Następnie wydobył łom i długie metalowe ostrze z zakrzywionym brzegiem. Wsunął ostrze za marmurową płytę, powoli przesunął po obwodzie, potem wepchnął łom w świeżo powstałą szczelinę i gwałtownie pociągnął. Tablica odskoczyła w bladej chmurze kurzu. Pendergast zręcznie ją chwycił i położył na materiale.

Z ciemnej dziury wydostał się paskudny zapach spalenizny

Agent zaświecił latarką w niszę. - Pomóż mi, proszę.

D'Agosta ukląkł obok. Unikał patrzenia w otwór, jakoś nie wydawało się to w porządku.

- Ty chwytasz za lewą stopę, ja za prawą i wysuwamy Mamy szczęście, że nisza Vanniego jest na poziomie podłogi.

Teraz D'Agosta zmusił się, żeby spojrzeć. W mroku zobaczył tylko podeszwy butów, każdą z dziurą.

- Gotowy?

Sierzant skinął głową. Sięgnął, chwycił za but.

- Wiesz, jednak chwyć ponad kostką. Nie chcielibyśmy, żeby stopa odpadła od kości.

- Jasne. - D'Agosta przesunął rękę wyżej, na nogę okrytą tkaniną



spodni. W dotyku przypominała wężlastą kość, nie licząc trzasku czegoś pod spodem, jakby pergaminu, od czego prawie wywrócił mu się żołądek. Smród był przerażający.

- Na trzy ciągniemy, powoli i równo. Raz, dwa, trzy... D'Agosta szarpnął i po chwili wrażenie ciągnięcia ustąpiło, ciało było wolne i zaczęło się wysuwać, zaskakująco lekkie.

- Jeszcze.

Sierżant cofał się, cały czas ciągnąc, dopóki zwłoki nie zostały całkowicie wyjęte z niszy. Zobaczyli gniazdo skorków; ogarnięte paniką insekty rozbiegły się na wszystkie strony. D'Agosta odskoczył, uderzeniem dłoni strącając tych kilka, które popędziły mu w górę po nodze.

Przed nimi leżał Carlo Vanni, ramiona skrzyżowane, ręce oplecione wokół krucyfiksu, oczy otwarte, ale czarne i pomarszczone. Wargi odsłaniały zęby, a właściwie tylko zgniłe ułamki. Białe włosy mężczyzny zostały przyglądzone jakąś zadziwiającą substancją, bo nie drgnął nawet kosmyk. Garnitur miał dziury świadczące o działalności robactwa, ale poza tym pozostał nietknięty, może trochę zakurzony. Jedyne widoczne ślady spalania zdradzały ręce, czarne, pokurczone, z paznokciami skręconymi jak zwitki papieru.

- Potrzyjmy latarkę, Vincencie.

Pendergast nachylił się nad ciałem, ustawił nóż na wysokości gardła zwłok i jednym ruchem rozciął ubranie od szyi aż do miednicy. Rozsunął przecięte warstwy. Kłęby papieru użyte do wypchania garnituru wypełniały zapadnięty brzuch. Agent je także odsunął, odkrywając poczerniały tors, spaloną skórę schodzącą zakurzonymi płatami. Nadpalone żebra sterczały z klatki piersiowej,

eksponując zwężone końce.

D'Agosta usilnie starał się trzymać latarkę prosto.

Pendergast wyjął z kieszeni kawałek papieru i położył go obok ciała. D'Agosta zobaczył, że to kopia raportu lekarza medycyny sądowej, ksero prześwietlenia pokazującego lokalizację drobin metalu. Następnie dopasował do oczodołu jubilerską lupę i, poprawiając ostrość, pochylił się nad ciałem. Z nożem w jednej ręce i chirurgicznymi szczypcami w drugiej. Zaczął grzebać w brzuchu. Rozległy się słabe trzaski.

- Ach! - Uniósł w górę kawałek metalu zaklinowany między łapkami szczypiec, a potem wrzucił go do próbówki i ponownie nachylił się nad ciałem.

Z ciemności za nimi doleciał dźwięk.

D'Agosta natychmiast się wyprostował, kierując światło wzdłuż korytarza. - Słyszysz?

- Szczur. Światło, jeśli pozwolisz.

D'Agosta z walącym sercem skierował latarkę na Vanniego. Konieczność zaczekania na odwalenie papierkowej roboty nie byłaby wcale taka zła. Rok? Niechby i dwa.

Znów jakiś odgłos - D'Agosta machnął latarką w tył. Szczur wielkości niedużego kota skulił się i zamrugał, szczerząc zęby z syknięciem.

- Sioo! - Sierżant kopnął w niego kurzem i zwierzak chyłkiem umknął.

- Światło?

D'Agosta przesunął latarkę z powrotem. - Parszywe gnojki.

- Jest następna. - Pendergast włożył do próbówki długą nitkę

zakrzepłego metalu. - Interesujące. Metal wszedł w ciało na ponad sześć cali. Ciało nie zostało opryskane tymi kawałkami: weszły w nie z dużą szybkością. W wyniku, obstawiałbym, niewielkiej eksplozji.

Agent wydobył trzecią i czwartą kroplę, zatkał probówkę, wyjął lupę. Wszystko zniknęło w czeluściach czarnego garnituru. - Chyba skończyliśmy - powiedział, podnosząc wzrok na D'Agostę. - Pan Vanni może wracać na miejsce spoczynku.

Sierżant pochylił się i ponownie chwytając zwłoki, pomógł wsunąć je z powrotem do niszy.

Pendergast zgarnął kawałki i resztki ciała, które spadły na raport patologa, strząsnął je do wnętrza grobowca. Potem wyjął tubkę cementu, rozmazał go wzdłuż brzegów marmurowej płyty i przypasował ją na miejsce, pukając tu i tam, żeby dobrze przywarła.

Odsunął się, obejrzał swoje dzieło. - Znakomicie.

Wyszli z krypty i po schodach wspięli się na poziom kościoła. Drzwi nadal były zamknięte na klucz. Pendergast otworzył, a D'Agosta osłaniał go przy pokonywaniu dziedzińca. Chwilę później usłyszał głos agenta. - W porządku.

Wszedł w ciepłe powietrze nocy, z niewypowiedzianą ulgą oddalając się od grobowców. Przejechał dłońmi po ramionach i nogach, czując, że smród, pleśń przywarły mu do ubrania. Przed nim Pendergast wskazywał na ciemne wzgórze. Pół mili niżej, na zboczu, było widać tylne światła samochodu.

- To nasz człowiek. - Błysnęła latarka Pendergasta, ujawniając nieznane ślady butów wyraźnie odcisnięte na krótkiej, pokrytej rosą trawie.

- Co robił?

- Wygląda na to, że już nie chcą nas zabić. Dokładają starań, żeby się dowiedzieć, ile my wiemy. Jak sądzisz, Vincencie, dlaczego?



Hayward nigdy nie lubiła wrażenia *deja vu*, a tego popołudnia doświadczała go szczególnie mocno, siedząc w tym samym pomieszczeniu z tymi samymi ludźmi, słuchając tych samych argumentów, których wysłuchała dwadzieścia cztery godziny temu. Tylko teraz przyszedł czas, żeby chronić własny tyłek. Sytuacja przypominała zabawę w komórki do wynajęcia: kiedy w sali zapadnie cisza, jakiś biedny dupek bez wątpienia zostanie na widoku z tyłkiem, którego nic nie chroni przed solidnym kopem.

Grabie bardzo się starał, żeby to był jej tyłek.

Był w środku zawilej opowieści o spartaczonej próbie aresztowania, opowieści, która jakimś cudem zmieniła jego własne tchórzostwo i niekonsekwencję w opanowanie i bohaterstwo. Historia ciągnęła się i ciągnęła, dochodząc do punktu kulminacyjnego w momencie, kiedy to zmuszony był wystrzelić w powietrze, by ostrzec rozwścieczony tłum. Dzięki temu zdołali odejść w spokoju, bez narażania na szwank godności departamentu policji w Nowym Jorku, nawet jeśli nie zrealizowali celu, którym było aresztowanie Bucka. W trakcie opowiadania sugerował, że on zrobił wszystko, wziął na siebie całe ryzyko, podczas gdy Hayward pozostawała niechętnym świadkiem - w najlepszym razie. Udało mu się nawet sprawić wrażenie, jakby powstrzymywał się od krytyki, że stanowiła dla operacji niepotrzebne obciążenie.

„Gdyby był w terenie równie dobry jak wtedy, kiedy trzeba bronić własnej dupy - pomyślała Hayward - nie byłoby nas tutaj”. Zastanawiała się nad jakąś reakcją, ale uznała, że nie ma ochoty akurat na taką zabawę. Gdyby wytknęła, że Grabie zwał jak kundel z podkulonym ogonem, że wystrzelił w ataku paniki i zgubił broń, cóż, może prawdzie stałoby się zadość, ale jej nic dobrego by z tego nie przyszło. Błądziła myślami gdzie indziej, wyciszając paradę półprawd.

Jedyny jasny punkt to fakt, że Pendergast i D'Agosta najwyraźniej robili postępy. I miała z głowy Pendergasta, bez dwóch zdań zatruwał teraz życie jakiemuś oficerowi z włoskiej policji. Z drugiej strony tęskniła za D'Agostą. Bardziej, niż się spodziewała.

Następnie przyszła kolej Wentwortha i Hayward próbowała się skupić. Rozwodził się na temat psychologii tłumu, rzucając cytatami o megalomanii z fiszek przygotowanych specjalnie na tę okazję. Wielka zasłona dymna ze słów i teorii spiętrzonych jedno na drugim, wszystko razem bez sensu. Potem mówił jakiś ważniak z dzielnicy, jak to burmistrz się denerwuje, jak to wszyscy się denerwują, a w mieście ważni ludzie wychodzą z siebie, że nie podejmuje się żadnych działań.

Wyglądało na to, że nikt nie ma pomysłu, jak pozbyć się Bucka z Central Parku.

Rocker wysłuchał ich wszystkich ciągle z tym samym znużonym wyrazem twarzy, która nie zdradzała ani śladu jego własnych przemyśleń. W końcu zmęczone oczy zatrzymały się na niej.

- Kapitan Hayward?

- Nie mam nic do dodania. - Wypadło może trochę ostrzej, niż

zamierzała.

Rocker nieznacznie uniósł brwi. - Więc zgadza się pani z panami?

- Tego nie powiedziałam. Nie mam tylko nic do dodania.

- Znalazła pani coś w aktach Bucka? Może jakiś niezrealizowany nakaz aresztowania?

- Owszem. - Hayward część poranka spędziła przy telefonie. - Ale niezbyt wiele. Jest poszukiwany w Broken Arrow w Oklahomie za naruszenie zwolnienia warunkowego.

- Zwolnienie warunkowe! - roześmiał się Grabie. - Co za żart. Prawa, które złamał tutaj, obejmują napaść na oficera policji, opór przy aresztowaniu, próbę porwania - mamy dosyć, żeby wsadzić go na lata.

Hayward milczała. Z tego wszystkiego kupy trzymało się tylko pogwałcenie zwolnienia warunkowego. Co do reszty, dziesiątki świadków mogły zgodnie z prawdą potwierdzić, że Grabie wyjął broń i strzelił niesprovokowany, że Buck w gruncie rzeczy nie opierał się aresztowaniu,

tłum rozstał się przed nimi jak cholerne Morze Czerwone, żeby mogli przejść, a Grabie zwał, zostawiając broń na ziemi.

Rocker skinął głową. - Co teraz?

Cisza.

Wciąż patrzył na Hayward. - Pani kapitan?

- Sugerowałabym to, co proponowałam na pierwszym spotkaniu.

- Nawet po waszym, ee... nieprzyjemnym doświadczeniu z dzisiejszego poranka?

- Rano nie stało się nic takiego, żebym zmieniła zdanie.

To wywołało długą ołowianą ciszę. Grabie kręcił głową, jakby

chciał powiedzieć: „Niektórzy nigdy się nie nauczą”.

- Rozumiem. Proponowała pani, żeby pójść w pojedynkę?

- Zgadza się. Wchodzę, proszę Bucka o współpracę przy odesłaniu jego ludzi do domu, żeby wzięli prysznic i zmienili ubrania. Obiecujemy mu w zamian zgodę na przemarsz. Traktujemy z szacunkiem. Przekazujemy jasne, uczciwe ostrzeżenie.

Gracie parsknął szyderczym śmiechem.

Rocker się odwrócił. - Ma pan coś do powiedzenia, kapitanie Gracie?

- Byłem tam, panie komisarzu. Buck to wariat. Niebezpieczny eksmorderca. A jego naśladowcy są jak z Jonestown, prawdziwi fanatycy. Jeżeli pójdzie tam sama, bez znacznych sił do ochrony, wezmą ją jako zakładnika. Albo i gorzej.

- Panie komisarzu, z całym szacunkiem, ale nie zgadzam się z kapitanem Gracie'em. Minał już prawie tydzień, a Buck i jego zwolennicy zachowują się całkiem rozsądnie i spokojnie. Uważam, że warto spróbować.

Wentworth przyłączył się do potępiającego kręcenia głową.

- Doktorze Wentworth? - odezwał się Rocker.

- Mało prawdopodobne, by plan kapitan Hayward się powiódł. Pani kapitan nie jest psychologiem, a jej prognozy dotyczące zachowań to potoczne opinie, nieoparte naukowymi badaniami psychologicznymi.

Hayward spojrzała na komisarza. - Nie zamierzam się chwalić, sir, ale w rzeczywistości mam magisterium z psychologii kryminalnej uzyskane na Uniwersytecie Nowojorskim. Ponieważ doktor Wentworth jest, jak sądzę, profesorem pomocniczym w college'u na



Staten Island, zrozumiałe, że nie zetknęliśmy się nigdy na polu naukowym.

W niewygodnej ciszy Hayward odniosła wrażenie, że Rocker powstrzymuje uśmiech.

- Podtrzymuję swoją poprzednią opinię - kwaśno stwierdził Wentworth.

Rocker go zignorował, dalej mówił tylko do Hayward. - I tyle?

- I tyle.

- Lepiej, żeby w pogotowiu czekał oddział SWAT razem z sanitariuszami, żeby wyciągnąć stamtąd panią kapitan, kiedy wydarzy się nieuniknione - stwierdził Grabie.

Rocker spojrzał na swoje ręce, zmarszczył brwi. Potem uniósł głowę. - Pojutrze niedziela. Podjąłem już decyzję, by wykorzystać względny spokój, jaki będzie wówczas panował, wejść tam znaczną siłą i aresztować tego człowieka. Ale nie chcę podejmować takiego kroku, dopóki nie wyczerpiemy wszystkich możliwości. Skłaniam się, by pozwolić kapitan Hayward spróbować. Jeżeli zdoła wyciągnąć stamtąd Bucka bez gazu łzawiącego i armatki wodnej, jestem za. - Zwrócił się do Hayward. - Zrobi to pani w południe. Jeżeli się nie uda, wchodzimy zgodnie z planem.

- Dziękuję panu, sir.

Chwila wahania. - Hayward, jest pani pewna, że ten plan zadziała?

- Nie, sir.

Rocker się uśmiechnął. - To właśnie chciałem usłyszeć, trochę pokory dla odmiany, cholera. - Zmierzył resztę wzrokiem, potem ponownie spojrzał na Hayward. - Ma pani zielone światło, pani kapitan.





D'Agosta patrzył na niewyraźny zarys wyspy na lewo od dziobu promu, wyłaniającej się stromo z morza w niebieskiej poświacie, lekko lśniącej w przedpołudniowym świetle. Capraia, najdalej wysunięta z tokańskich wysp, szczyt górski zagubiony w bezkresie oceanu. Nierealna, nieomal bajkowa. Prom samochodowy Toremar parł naprzód, przysadzisty dziób rozdzielał turkusową wodę jak pług, zmierzając ku miejscu przeznaczenia.

Pendergast stał obok D'Agosty, morska bryza rozrzucała jego blond włosy, regularne rysy lśniły alabastrowo w blasku słońca. - Niezwykle interesująca wyspa, Vincencie - powiedział. - Niegdyś więzienie dla najniebezpieczniejszych i najinteligentniejszych przestępców Italii, takich jak capo mafii czy wielokrotni uciekinierzy. Więzienie zamknięto w połowie lat sześćdziesiątych i teraz większą część wyspy zajmuje park narodowy.

- Dziwne miejsce, żeby tu mieszkać.

- Jednakowoż to najbardziej czarująca z tokańskich wysp. Mają tam niewielki port i maleńką wioskę na urwisku, połączone jedyną na wyspie drogą, która liczy sobie zaledwie pół mili. Żadnych paskudnych inwestycji budowlanych, a to dzięki temu, że nie ma tu żadnych plaż.

- Możesz mi przypomnieć, jak nazywa się ta kobieta?

- Viola Maskelene. Lady Viola Maskelene. Niewiele udało mi się

dowiedzieć w tak krótkim czasie, jest osobą skrytą. Wydaje się, że zwykle lato spędza na wyspie, wyjeżdża stąd pod koniec października. Przez resztę roku podróżuje, tak mi powiedziano.

- Jesteś pewien, że jest w domu?

- Nie. Ale wolę zaryzykować i zaskoczyć naszą podejrzaną.

- Podejrzaną?

- Nie w kontekście śledztwa. Mamy do czynienia z wyrafinowaną Angielką, która wiele podróżowała. Zakładam, że jako jedyna prawnuczka wielkiej miłości Toscanellogo wie coś o rodzinnych tajemnicach.

- Może być ciężkim orzechem do zgryzienia.

- Bardzo możliwe. Stąd atak z zaskoczenia.

- Ile ma lat?

- Przypuszczam, że jest w średnim wieku, o ile moje wyliczenia są prawidłowe.

D'Agosta zerknął na agenta. - Co mówi rodzinna opowieść?

- Był to jeden z tych gorących dziewiętnastowiecznych romansów, o których się czytuje. Materiał na operę. Prababcia Violi Maskelene, słynna wiktoriańska piękność, poślubiła księcia Cumberland, starszego od siebie o lat trzydzieści, tak chłodnego i ułożonego, jak tylko można sobie wyobrazić. Toscanelli uwiódł ją zaledwie kilka miesięcy po ślubie i rozpoczął się legendarny romans. Z tego związku pochodzi nieślubna córka, nieszczęsna księżna zaś zmarła w połogu. To dziecko było babcią lady Maskelene.

- Co książę miał w tej sprawie do powiedzenia?

- Był może zimny, ale wydaje się, że przyzwoity. Po śmierci żony przedsięwziął kroki, aby prawnie adoptować dziecko. Prawo do

dziedziczenia Aviekszych tytułów i posiadłości zostało ograniczone, ale córka otrzymała w spadku jeden z pomniejszych tytułów i ziemię w Kornwalii.

Prom dudnił im pod stopami, wyspa zdawała się nabierać ciężaru i gęstości, w miarę jak się zbliżali. Stali tak w ciszy, aż Pendergast wyciągnął z kieszeni probówkę. Podniósł ją w górę, stopione drobiny wydobyte z ciała Vanniego poprzedniej nocy błyszczały w słońcu. - O tym jeszcze nie mówiliśmy.

- Tak. Ale trochę myślałem.

- Ja również. Widzisz, Vincencie, być może nadszedł w końcu czas, aby każdy z nas odkrył karty.

- Ty pierwszy.

Pendergast uśmiechnął się lekko i podniósł w górę palec.

- Nigdy. Jako oficer dowodzący zastrzegam sobie prawo, żeby cię sprawdzić.

- Wykorzystujesz przeciw mnie stopień?

- Właśnie tak.

- Cóż, powiedziałbym, że te drobiny pochodzą z jakiegoś urządzenia, które nie zadziałało prawidłowo, rozpylając stopiony metal w głąb ciała Vanniego i powodując okropne poparzenia.

Pendergast skinął głową. - Jakiego rodzaju urządzenia?

- Aparatu, który miał Vanniego spalić. Tego samego, który zabił pozostałych. Tylko że w wypadku Vanniego najwyraźniej nie zadziałał, więc mężczyznę trzeba było potem zastrzelić.

- Brawo.

- A twoja teoria?

- Doszedłem do tych samych wniosków. Vanni był wczesną ofiarą,

być może obiektem doświadczalnym, na którym testowano jakieś wysoce specjalistyczne narzędzie do zabijania. Okazuje się, że najwyraźniej mamy do czynienia z zabójcą z krwi i kości.

Prom właśnie przeciskał się wśród obmywanych spienionymi falami klifów wulkanicznych, wpływając do niewielkiego portu. Na nabrzeżu stały rozpadające się domy pokryte żółtymi i czerwonymi stiukami, za nimi stromo wznosiły się wzgórza. Prom skończył manewry w porcie, z pokładu zjechał samotny samochód i zeszła grupka pasażerów. Zaledwie D'Agosta stanął na lądzie, prom już wycofywał się i kierował do następnego przystanku na wyspie Elba.

- Mamy cztery godziny, zanim przybije tu w drodze powrotnej. - Pendergast wydobyl mały skrawek papieru, przyjrzał mu się. - Lady Viola Maskelene, Via Saracino 19. Miejmy nadzieję, że la Signorina będzie w domu.

Ruszył wzdłuż nabrzeża w stronę przystanku autobusowego, D'Agosta za nim. Po kilku chwilach pojawił się stary pomarańczowy autobus. Posapując, z trudem zawrócił na wąskiej ulicy i otworzył drzwi. Wsiedli, zamykane drzwi skrzypnęły i pojazd z jękiem i sapaniem rozpoczął wspinaczkę na strome zbocze, które zdawało się wyrastać wprost ze spienionego morza.

Po pięciu minutach znaleźli się w wiosce na drugim końcu drogi. Drzwi otworzyły się, skrzypiąc, wysiedli. Z jednej strony stał stary kościół w kolorze brzoskwini, z drugiej - trafika. Brukowane uliczki biegły pod dziwnymi kątami, zbyt wąskie, żeby zmieścić samochód. Ogromne ruiny zamku, całkowicie porośnięte opuncjami, zdominowały leżący przed nimi cypel. Za wioską piętrzyły się puste wzgórza pokryte karłowatymi krzewami.

- Czarujące - stwierdził Pendergast. Wskazał starą marmurową płytę wmurowaną w ścianę budynku, na której wyryto nazwę ulicy: Via Saracino. - Tędy, sierżancie.

Poszli alejką między niskimi bielonymi domami o coraz wyższych numerach. Wkrótce miasteczko się skończyło, a uliczka zmieniła w polną drogę pomiędzy kamiennymi murkami otaczającymi ogródki z niskimi drzewami cytrynowymi oraz mikroskopijne winnice. W powietrzu unosił się zapach cytrusów. Ścieżka skręcała ostro i tam, na brzegu klifu, w cieniu bugenwilli, stał samotnie schludny kamienny domek wznoszący się nad niebieskim ogromem Morza Śródziemnego.

Pendergast zszedł ze ścieżki, wszedł na dziedziniec i zapukał do drzwi.

Cisza.

- *C'e nessuno?*- zawołał.

Wiatr dmuchnął przez krzaki rozmarynu, niosąc zapach morza.

D'Agosta rozejrzył się. - Tam ktoś jest - powiedział. - Mężczyzna, kopie. - Wskazał ruchem głowy niewielką winnicę położoną na tarasach, odległą o jakieś sto jardów, gdzie widać było sylwetkę człowieka przewracającego ziemię szpadlem. Mężczyzna miał na sobie sponiewierany słomkowy kapelusz, stare płócienne spodnie i zwyczajną, częściowo rozpiętą z przodu koszulę. Na ich widok wyprostował się.

- Poprawka: kobieta, która kopie. - Pendergast ruszył ścieżką rażnym krokiem. Dotarli do winnicy i dalej ostrożnie szli przez grudy świeżo odwróconej ziemi. Kobieta patrzyła, jak nadchodzą, oparta o łopatę.

Pendergast przystanął i wyciągnął rękę ze zwyczajowym półukłonem. W odpowiedzi zdjęła słomkowy kapelusz, rozrzuciła pukle ciemnych lśniących włosów i ujęła jego dłoń.

D'Agosta zamarł. „To nie jest kobieta w średnim wieku”.

Była oszałamiająco piękna, wysoka, wysportowana i szczupła, z pełnymi ognia orzechowymi oczami, wydatnymi kośćmi policzkowymi, skórą opaloną i piegową od słońca, nozdrzami jeszcze rozszerzonymi od wysiłku wywołanego kopaniem.

Po chwili zdał sobie sprawę, że Pendergast po wykonaniu ukłonu wyprostował się, ale wyglądał, jakby wrósł w ziemię. Nadal trzymał jej dłoń, nic nie mówił, tylko patrzył kobiecie w oczy. Ona najwyraźniej robiła to samo. Zamarli. D'Agosta zaczął się zastanawiać, czy ci dwoje już się gdzieś nie spotkali - wyglądało to, jakby właśnie się rozpoznali.

- Jestem Aloysius Pendergast - przedstawił się Pendergast po dłuższej chwili.

- Jestem Viola Maskelene - odpowiedziała ciepłym arystokratycznym akcentem brytyjskim.

Kiedy ich ręce się rozłączyły, D'Agosta zdał sobie sprawę, że Pendergast, co do niego niepodobne, zapomniał go przedstawić. - A ja sierżant Vincent D'Agosta z policji w Southampton.

Kobieta odwróciła się w jego stronę, jakby dopiero teraz go zauważyła. Ale obdarzyła go uśmiechem pełnym ciepła. - Witam na Caprai, sierżancie.

Kolejna chwila niezręcznego milczenia. D'Agosta spojrzał na Pendergasta. Na jego twarzy malował się zupełnie do niego niepasujący wyraz zaskoczenia, jakby ktoś wrzucił mu gałkę lodów



za koszulę na plecach. Co tu się dzieje?

- No cóż - powiedziała lady Maskelene, ponownie się uśmiechając.

- Domyślam się, że chciał się pan ze mną zobaczyć, panie Pendergast?

- Tak - odparł pośpiesznie. - Tak, zgadza się. Sprawa dotyczy...

Uniosła palec. - Gorąca winnica nie nadaje się do prowadzenia cywilizowanej rozmowy. Wróćmy do domu i zażyjmy chłodu, który oferuje terrazza, dobrze?

- Tak, oczywiście.

Uśmiech. Uśmiech olśniewający, z dołeczkami. - Proszę za mną. - Ruszyła w poprzek pola, długie buty roztrącały grudy ziemi. Terrazza była osłonięta pergolą, wokół której wiła się glicynia, a jej granice wyznaczały kwitnący rozmaryn i miniaturowe drzewa cytrynowe. Wyglądała jak zawieszona na krawędzi znanego świata. Klify opadały w stronę bezkresnego błękitu rozciągającego się po horyzont i niezauważalnie łączącego z niebem. Bezmiar morza mąciła tylko pojedyncza maleńka czarna rafa odległa od brzegu mniej więcej o milę, powiększając jedynie uczucie dystansu i nieskończoności.

Lady Maskelene posadziła ich przy starym, wykładanym płytkami stole na podniszczonych drewnianych krzesłach, po czym zniknęła wewnątrz domu. Po minucie wróciła z butelką wina bez etykiety, wypełnioną bladobursztynowym płynem, z kieliszkami, butelką oliwy z oliwek i wyszczerbionym glinianym półmiskiem ze stertą kromek grubo krojonego chleba. Rozstawiła kieliszki i obchodząc stół, napełniła je białym winem. Kiedy podawała kieliszek D'Agoście, poczuł lekki zapach, mieszaninę winogron, ziemi i morza.

Pendergast pociągnął łyk. - Czy to z pani winnicy, lady

Maskelene?

- Tak. Oliwa z oliwek także. W pracy na własnym kawałku ziemi jest coś cudownie satysfakcjonującego.

- Complimenti - Pendergast pociągnął następny łyk, zamoczył kawałek chleba w naczyniu z oliwą. - Znakomite.

- Dziękuję.

- Proszę pozwolić, że wyjawię powód naszej wizyty, lady Maskelene.

- Nie - powiedziała cicho, patrząc nie na niego, ale w dal, w stronę morza. W intensywnym świetle jej orzechowe oczy były niemal niebieskie, na ustach błąkał się dziwny uśmiech. - Proszę nie psuć tego. .. szczególnego momentu, jeszcze chwilę.

D'Agosta zastanawiał się, o jakim to szczególnym momencie właściwie mówi. Zza skraju klifu dochodził cichy odgłos spienionych fal i krzyki mew.

- Czarująca willa, lady Maskelene.

Zaśmiała się. - Żadna willa, po prostu zwykły domek nad morzem. Dlatego go kocham. Mam tu swoje książki, muzykę, winorośl, drzewa oliwne, morze. Czegóż więcej można chcieć?

- Wspomniała pani o muzyce. Czy gra pani na jakimś instrumencie?

Wahanie. - Na skrzypcach.

„Teraz do czegoś dochodzimy”, pomyślał D'Agosta. Jak zwykle Pendergast podchodził do tematu ogródkami.

- Mieszka tu pani cały rok?

- O nie, nudziłabym się. Nie jestem aż takim odludkiem.

- Gdzie zatem spędza pani resztę czasu?

- Prowadzę życie dosyć dekadencie. Jesień w Rzymie, grudzień w Lukсорze, w „Pałacu Zimowym”.

- Egipt? Ciekawe miejsce na spędzenie zimy

- Kieruję niewielkimi wykopaliskami w Dolinie Króli.

- Jest pani zatem archeologiem?

- Egiptologiem i filologiem. Widzi pan, istnieje pewna różnica. My studiujemy znacznie więcej niż tylko ziemię, garnki i kości. Prowadzimy prace przy grobowcu pisarza z czasów dziewiętnastej dynastii, pełnym fascynujących inskrypcji, które wykonano pismem hieratycznym. Grobowiec został oczywiście ograbiony jeszcze w czasach starożytnych, ale na szczęście rabusiów interesowało tylko złoto i klejnoty. Zwoje i inskrypcje pozostawili nienaruszone. W sarkofagu znaleźliśmy samego pisarza trzymającego zwitek zwojów - pełnych magicznych wzorów - które czekają na rozwinięcie i przetłumaczenie. Są niesłychanie delikatne.

- Fascynujące.

- Z kolei na wiosnę wyjeżdżam do Kornwalii, do posiadłości rodzinnej.

- Wiosna w Anglii?

Zaśmiała się. - Uwielbiam błoto. I marznący deszcz. I wyciąganie się na futrzanym dywaniku przy rozpalonym ogniu z dobrą książką. A pan, panie Pendergast? Co pan lubi?

Pendergast wydawał się zaskoczony pytaniem. Pokrył zmieszanie, pociągając łyk wina. - Uwielbiam pani wino. Świeże, proste, bezpretensjonalne.

- Uzyskane z winogron malvasia, które przywieźli na wyspę minojscy handlarze prawie cztery tysiące lat temu. Dla mnie to wino

ma smak historii. Minojczycy przemierzający w swoich tryremach morze ciemne jak wino, zmierzający w kierunku odległych wysp... - Zaśmiała się, odgarniając z twarzy czarne włosy. - Jestem nieuleczalną romantyczką. Kiedy byłam dzieckiem, chciałam zostać Odyseuszem, gdy dorosnę. - Spojrzała na Pendergasta. - A pan? Kim pan chciał zostać, kiedy był pan dzieckiem?

- Wielkim białym myśliwym.

Roześmiała się. - Cóż za niezwykła ambicja! Czy został pan nim?

- W pewnym sensie. Ale w czasie polowania w Tanzanii... odkryłem dość nagle, że straciłem do tego upodobanie.

Znowu cisza. D'Agosta się poddał i przestał szukać sensu w taktyce przyjętej przez Pendergasta. Pociągnął wina z nowym zainteresowaniem. Bardzo przyjemne, chociaż raczej wytrawne. Chleb też rewelacyjny, ciężki i mięsisty, oliwa tak świeża, że aż pikantna. Zamoczył w niej kawałek chleba i włożył do ust, potem następny. Nie jadł śniadania i w ogóle trochę przesadził ostatnio z dietą. Spojrzał ukradkiem na zegarek. Jeżeli Pendergast nie przyspieszy, nie zdążą na prom.

Wtedy, ku zaskoczeniu D'Agosty, kobieta sama poruszyła temat.

- Skoro mówimy o historii, mam jej sporo we własnej rodzinie. Czy słyszał pan o moim pradziadku Luciano Toscanellim?

- Słyszałem.

- Dwie rzeczy, które robił w życiu wyjątkowo dobrze, to gra na skrzypcach i uwodzenie kobiet. Prawdziwy Mick Jagger swojej epoki. Jego fankami były hrabiny, baronowe, księżniczki. Czasem miał dwie lub trzy kobiety w ciągu jednego dnia, nie zawsze o różnych porach - zaśmiała się głośno.

Pendergast odchrząknął i sięgnął po kawałek chleba.

- Miał jednak jedną wielką miłość, a była nią moja prababka, księżna Cumberland. Dał jej córkę z nieprawego łoża, moją babcię. - Przerwała, spojrzała ciekawie na Pendergasta. - To właśnie dlatego pan przyjechał, prawda?

Minęła chwila, zanim Pendergast odpowiedział. - Tak, dlatego.

Westchnęła. - Pradziadek skończył podobnie jak wielu innych w czasach, gdy nie znano penicyliny - z paskudnym przypadkiem choroby wenerycznej.

- Lady Maskelene - powiedział agent pospiesznie - proszę nie myśleć, że przybyliśmy tu wnikać w prywatne sprawy pani rodziny. Jest tylko jedno pytanie, które wymaga odpowiedzi.

- Wiem, jakie to pytanie. Ale najpierw chciałabym, aby poznał pan historię mojej rodziny.

- Nie jest konieczne...

Maskelene zarumieniła się, dotknęła guzików koszuli. - Chcę tylko, żeby od razu ją pan poznał, to wszystko. Nie będziemy musieli potem do niej wracać.

D'Agosta słuchał zaskoczony. „Chcę tylko, żeby od razu ją pan poznał”. Od razu? Pendergast wyglądał na równie skonsternowanego. W każdym razie, nie usłyszawszy odpowiedzi, lady Maskelene wróciła do opowieści.

- A zatem pradziadek zachorował na syfilis. W końcu choroba weszła w trzecie stadium, kiedy krętki atakują mózg. Jego gra się zmieniła. Stała się dziwaczna. Na koncercie we Florencji publiczność go wygwizdała. Rodzina, której własnością były skrzypce, zażądała ich zwrotu, a on nie chciał oddać instrumentu. Uciekł, ukrywając się

przed ich agentami, podróżując z miasta do miasta gnany narastającym szaleństwem, korzystając z pomocy niezliczonych kobiet. Agenci rodziny i prywatni detektywi ścigali go zawzięcie, ale bez rozgłosu, ponieważ zachowanie w tajemnicy nazwiska rodziny pozostawało najważniejsze. Pradziadek był cały czas o krok przed nimi. Nocami grał w pokojach hotelowych obłąkane, szokujące, nawet przerażające interpretacje Bacha, Beethovena, Brahmsa, wykonywane, jak niosła wieść, z ogromną wirtuozerią techniczną, ale zimne, dziwaczne, niedobre. Ci, którzy to słyszeli, mówili, że grał, jakby sam diabeł brał do ręki skrzypce. Przerwała.

- Proszę mówić - łagodnie poprosił Pendergast.

- Rodzina właścicieli „Burzowej Chmury” była bardzo potężna. Więzy krwi łączyły ją z niektórymi rodzinami królewskimi w Europie. Mimo to nie udawało im się schwytać mojego pradziadka. Ścigali go po całym kontynencie. Pościg zakończył się wreszcie w małej wiosce Siusi w południowym Tyrolu. Tam, pod szczytami Dolomitów, osaczyli go. Oczywiście zdradziła go kobieta. Wymknął się tylnym wyjściem z małego albergo i uciekł w wysokie góry, zabierając tylko skrzypce i ubranie, które miał na sobie. Wspiął się na Sciliar. Znają go panowie?

- Nie - powiedział Pendergast.

- To alpejski płaskowyż położony wysoko między szczytami Dolomitów, przecinany rozpadlinami i urwiskami. Mówi się, że tam właśnie wiedźmy odprawiały niegdyś czarne msze. Latem kilku śmiałych pasterzy wypasało tam stada, ale jesienią Sciliar był opustoszały. Tej nocy padał gęsty śnieg. Następnego dnia odnaleziono zamrożone ciało pradziadka w jednym z opuszczonych

pasterskich szałasów. „Burzowa Chmura” zniknęła. Nie było śladów na śniegu wokół szałasów, żadnych wskazówek. Domyślono się, że w drodze na Sciliar, w porwywie szaleństwa, cisnął skrzypce do wodospadu.

- Czy pani w to wierzy?

- Tak, choć niechętnie.

Pendergast pochylił się do przodu. Jego zwykle spokojny, słodki południowy akcent nabrał niezwykłej intensywności. - Lady Maskelene, przybyłem powiedzieć pani, że „Burzowa Chmura” istnieje.

Utkwiła w nim spojrzenie. - Już mi to wcześniej mówiono.

- Dostarczę pani dowodów.

Nadal patrzyła na niego z poważnym, opanowanym wyrazem twarzy. W końcu uśmiechnęła się blado i potrząsnęła ze smutkiem głową. - Uwierzę, kiedy zobaczę.

- Odzyskam je. I osobiście pani wręcę.

D'Agosta słuchał zaskoczony. Może się mylił, ale celem wizyty Pendergasta raczej na pewno nie było informowanie tej kobiety o istnieniu skrzypiec. Tak naprawdę zaskoczyło go, że Pendergast w ogóle o nich wspomniał.

Kobieta energicznie potrząsnęła głową. - Istnieją setki fałszywych „Burzowych Chmur”. Produkowano je na kopy pod koniec dziewiętnastego wieku, kosztowały dziewięć funtów za sztukę.

- Kiedy przyniosę pani skrzypce, lady Maskelene...

- Dostyc już tej „lady Maskelene”. Za każdym razem, kiedy się pan tak do mnie zwraca, mam wrażenie, że do pokoju właśnie weszła moja matka. Proszę mi mówić Viola.

- Dobrze, Violu.

- Tak już lepiej. A ja będę mówić do ciebie Aloysius.

- Oczywiście.

- Swoją drogą, to dosyć niezwykle imię. Czy twoja matka zaczytywała się rosyjskimi powieściami?

- Niezwykle imiona należą do naszej rodzinnej tradycji.

Viola się zaśmiała. - Tak samo jak u nas imiona muzyczne. A teraz powiedz mi coś o „Burzowej Chmurze”. Gdzież to ją odnalazłeś? O ile rzeczywiście ją odnalazłeś.

- Opowiem całą historię, kiedy przyniosę skrzypce. Zagrasz na nich i będziesz wiedziała.

- Nie liczę na aż tak wiele. Chociaż chciałabym je usłyszeć, zanim umrę.

- Oczyszczyłoby to także twoje nazwisko.

Maskelene zaśmiała się i machnęła ręką. - Bzdury. Szczerze mówiąc, nienawidzę, kiedy ktoś zwraca się do mnie „lady Maskelene”. Tytuły, honor rodziny - dziewiętnastowieczne głupstwa.

- Honor nigdy nie jest przestarzały

Spojrzała na Pendergasta z zaciekawieniem. - Jesteś człowiekiem raczej staroświeckim, nieprawdaż?

- Nie zwracam specjalnej uwagi na aktualną modę, jeżeli to masz na myśli.

Zmierzyła wzrokiem jego czarny garnitur, uśmiechając się z rozbawieniem. - Nie, faktycznie nie zwracasz. To mi się raczej podoba. Pendergast znów wyglądał na zakłopotanego.

- Cóż - wstała, w brązowych oczach odbił się blask wody, uśmiech nakreślił dołeczki na twarzy - niezależnie od tego, czy znajdziesz



skrzypce, czy nie, wróć tu i opowiedz mi o tym. Zgoda?

- Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

- Dobrze. A zatem ustalone.

Pendergast spojrział na nią poważnie. - I to doprowadziło nas do celu tej wizyty.

- Ważne pytanie. Dobrze. - Uśmiechnęła się. - Zadaj je.

- Jakie nazwisko nosi potężna rodzina, do której należała niegdyś „Burzowa Chmura”?

- Mogę zrobić coś więcej, niż tylko odpowiedzieć na to pytanie.

- Sięgnęła do kieszeni, wyjęła kopertę i położyła przed Pendergastem. Napis wykonany odręcznie staroświeckim, starannym pismem głosił: „Dr Aloysius X.L. Pendergast”.

Pendergast spojrział na kopertę i krew odpłynęła mu z twarzy.

- Skąd to masz?

- Wczoraj obecny hrabia Fosco, bo tak nazywa się rodzina, która kiedyś posiadała skrzypce, złożył mi niespodziewaną wizytę. „Niespodziewana” nie jest właściwym słowem. To był kompletny szok. Powiedział, że przyjdiesz, że jesteście przyjaciółmi, i prosił, żebym ci to dała.

Pendergast sięgnął powoli po kopertę. D'Agosta patrzył, jak wkłada palce pod zakładkę, rozdziera papier i wyjmuje kartę, na której tym samym zamaszystym, płynnym charakterem pisma skreślono:

*Isidor Ottavio Baldassare Fosco,  
Hrabia Świętego Cesarstwa Rzymskiego,  
Rycerz Wielkiego Krzyża Zakonu Quincunsa,  
Dożywotni Wielki Mistrz Masonów  
Różokrzyżowców z Mezopotamii,  
Członek Królewskiego Towarzystwa*

*Geograficznego, etc., etc,  
ma zaszczyt zaprosić pana  
do swojej siedziby rodowej  
Castel Fosco  
w niedzielę, 4 listopada*

*Castel Fosco  
Greve w prowincji Chianti  
Florencja*

Pendergast rzucił D'Agoście ostre spojrzenie, potem ponownie popatrzył na lady Maskelene. - Ten człowiek nie jest przyjacielem. Jest niezwykle niebezpieczny.

- Co? Ten gruby, czarujący, stary hrabia? - Zaśmiała się, ale śmiech zamarł, kiedy zobaczyła wyraz twarzy agenta.

- To on ma skrzypce.

Wpatrywała się w Pendergasta. - Właściwie to jego skrzypce, prawda? To znaczy, jeżeli zostały odnalezione.

- Brutalnie zamordował przynajmniej cztery osoby, żeby do nich dotrzeć.

- O mój Boże!

- Nikomu nic o tym nie mów. Będiesz bezpieczna tu, na Caprai. Gdyby uważał to za konieczne, już by cię zabił.

Wciąż patrzyła na niego. - Przerażasz mnie.

- Tak, przykro mi, ale czasem dobrze jest się bać. Za dwa, trzy dni będzie po wszystkim. Proszę cię, bądź ostrożna, Violu. Po prostu zostań tu i nic nie rób, dopóki nie wrócę ze skrzypcami.

Przez chwilę nie odpowiadała. Potem drgnęła. - Musicie iść. Nie zdążycie na prom.

Pendergast ujął jej dłoń. Stali przez chwilę bez ruchu, patrząc na siebie, nic nie mówiąc. Potem Pendergast odwrócił się, szybko

wyszedł przez bramę i ruszył ścieżką.

D'Agosta opierał się o rufę, patrząc, jak wyspa rozpływa się na horyzoncie mniej więcej w taki sam sposób, w jaki się pojawiła: z uczuciem oczekiwania, wrażeniem, że to początek czegoś. Pendergast stał obok. Odkąd wyszli z małego domku na skarpie, agent nie powiedział ani słowa. Patrzył na spieniony kilwater, najwyraźniej pogrążony w myślach.

- Fosco wiedział, że wiesz - stwierdził D'Agosta. - To ją uratowało.

- Tak.

- To wszystko było tylko wyrafinowaną intrygą, mającą doprowadzić do odzyskania skrzypiec, zgadza się?

Pendergast skinął głową.

- Od początku wiedziałem, że ten tłusty sukinsyn ma z tym coś wspólnego.

Pendergast nie odpowiedział. Zapatrzył się w dal.

- Dobrze się czujesz? - D'Agosta w końcu zaryzykował pytanie.

Pendergast wzdrygnął się, spojrzał. - Nieźle, dziękuję.

W końcu wyspa zniknęła. Jakby na ten znak od wschodu na horyzoncie zmaterializował się niski zarys Toskanii.

- I co teraz?

- Przyjmę zaproszenie Fosca. Co innego wiedzieć, a całkiem co innego mieć dowód. Jeżeli mamy dopaść Fosca, musimy znaleźć urządzenie, za pomocą którego popełnił te morderstwa.

- Więc dlaczego Fosco dał ci zaproszenie?

- Chce mnie zabić.

- Świetnie. I zamierzasz je przyjąć?

Pendergast odwrócił się i skupił wzrok na morzu. W ostrym

świetle oczy miał niemal białe. - Fosco wie, że je przyjmę, bo to jedyny sposób, aby zebrać dowody potrzebne do wsadzenia go za kratki. Jeżeli teraz tego nie zrobimy, wróci, żeby nas prześladować, po miesiącu, po roku czy po dziesięciu latach... - Tu zrobił pauzę. - Co więcej, zawsze będzie stanowić zagrożenie dla Violi, lady Maskelene, z powodu tego, co ona wie.

- Rozumiem.

Ale Pendergast nadal patrzył w morze. Kiedy znów przemówił, jego głos był bardzo cichy. - Koniec nastąpi jutro, w Castel Fosco.

Bryce Harriman siedział przy starym stole naprzeciw wielebnego Bucka i w ostrym świetle sztormówki robił notatki. Dochodziła północ, ale nie był śpiący. Poprzedniego dnia złożył w redakcji świetny artykuł o nieudanej próbie aresztowania Bucka. Skompilował go z opowieści kilku świadków i wyszedł smakowity kąsek: pewny siebie kapitan policji, które chce zatrzymać wielebnego, wpada w panikę i ucieka, pozostawiając rozwiązanie sytuacji drugiemu kapitanowi - i to kobiecie. Świetny tekst. W ostatecznym rozrachunku mógł się okazać nawet czymś więcej; Harriman zaczął badać teren w „Timesie” i odniósł wrażenie, że być może zechcą go zaprosić na rozmowę w sprawie pracy. Ten nowy artykuł odegra rolę wisienki na torcie. Dzięki Buckowi był teraz jedynym dziennikarzem wpuszczanym na teren obozowiska. Kolejny artykuł tak szybko po pierwszym zadziała piorunująco. No i jutro też tu będzie, na wypadek gdyby miało dojść do starcia z policją.

Sądząc po nastrojach w obozie, zapowiadała się niezła rozróżba. Od nieudolnej próby aresztowania wszyscy chodzili podminowani, niespokojni i nastawieni bojowo. Istna beczka prochu. Nawet teraz, o północy, już ponad dzień po niedosłej interwencji, nikt jeszcze nie spał; w ciemności niosły się odgłosy zbiorowych modłów i dyskusji. Sporo młodzieży, którą widział przy pierwszej wizycie w namiotowym miasteczku, zniknęło. Noc czy dwie spędzone na

twardej ziemi, bez dostępu do internetu i kablówki wystarczyły, żeby z podwiniętymi ogonkami zwiali do swoich komfortowych domów na przedmieściach. Na miejscu został najtwardszy element, prawdziwi gorliwcy. Tych zaś nie brakowało; według oceny Harrimana musiało tu stać ze trzysta namiotów.

Buck też się zmienił. Nie było już tego cienia niepewności, delikatnej aury zaskoczenia i zadziwienia, którą widział u niego wcześniej.

Teraz kaznodzieja wydawał się niemal nieziemsko spokojny i pewny siebie. Kiedy spoglądał na Harrimana, wyglądał tak, jakby patrzył poprzez niego na inny świat.

- No, dobrze, panie Harriman - powiedział. - Dostał pan to, po co pan przyszedł? Jest północ, a ja zwykle przemawiam do ludzi, zanim udam się na spoczynek.

- Jeszcze tylko ostatnie pytanie. Jak pan myśli, co się stanie? Policja nie zostawi was przecież w spokoju, zdaje pan sobie z tego sprawę?

Spodziewał się, że pytanie choć trochę poruszy Bucka, ale ten wydawał się jeszcze bardziej uduchowiony i spokojny niż przed chwilą.

- Stanie się, co ma się stać.

- Może być nieprzyjemnie. Jest pan na to przygotowany?

- Owszem, to będzie nieprzyjemne. I tak, jestem przygotowany

- Mówi to pan, jakby wiedział, co ma zająć.

Buck uśmiechnął się znacząco, ale nic nie powiedział.

- Nie martwi to pana? - nalegał Harriman.

Znów enigmatyczny uśmiech. Cholera, nie można przecież

zacytować uśmiechu.

- Mówimy o gazie łożącym, być może gliniarzach wymachujących pałami. To już nie będzie zabawa.

- Pokładam ufność w Bogu, panie Harriman. A pan komu ufa? Pora to zakończyć. - Dziękuję, wielobny. Bardzo mi pan pomógł. - Harriman wstał.

- To ja panu dziękuję. Nie pozostałoby pan jeszcze kilka minut, żeby posłuchać mojego przesłania do ludzi? Jak pan sam powiedział, coś się wkrótce stanie. Dlatego też moje kazanie będzie cokolwiek inne niż zazwyczaj.

Dziennikarz się zawahał. Musiał wstać o piątej i być gotowy. Był przekonany, że gliny wykonają swój ruch właśnie jutro i może się to zacząć wcześniej.

- O czym będzie to kazanie?

- O piekle.

- W takim razie zostanę.

Buck podniósł się z miejsca i dał sygnał jednemu ze swoich ludzi, który pomógł mu nałożyć prostą szatę, a potem wyszedł za nim z namiotu. Harriman ruszył ich śladem, wyciągając z kieszeni dyktafon i starając się nie zwracać uwagi na unoszący się wszędzie smród. Wiedział, że zmierzają do wielkiego polodowcowego głazu, który wystawał z ziemi po zachodniej stronie obozowiska i był teraz powszechnie nazywany Skałą Kazań.

Gwar obozowiska ucichł, kiedy kaznodzieja zniknął zgromadzonym z oczu za skałą, wspinał się na nią od tyłu po trawiastym zboczu i po chwili znów się pojawił, doskonale widoczny na wzniesieniu. Powoli podniósł rękę.

Harriman zobaczył setki ludzi wyłaniających się z mroku.

- Dobry wieczór, przyjaciele! - zaczął Buck. - Raz jeszcze dziękuję, że przyłączyliście się do mnie w tej duchowej wędrówce. Miałem zwyczaj opowiadać wam o niej na tych wieczornych spotkaniach, wyjaśniać, dlaczego tu jesteśmy i co musimy zrobić. Dzisiaj będę jednak mówił o czymś innym. Bracia i siostry, wkrótce czeka nas wielka próba. Odnieśliśmy wczoraj poważne zwycięstwo, za co winniśmy wdzięczność Panu. Ale sług ciemności nie da się tak szybko odeprzeć. Dlatego musimy być silni. Bądźcie silni i pogódźcie się z bożą wolą.

Harriman, który słuchał tej mowy, w całości ją nagrywając, był zaskoczony tonem i zachowaniem Bucka. Wielebny mówił cicho, ale w jego głosie dźwięczała żelazna pewność, jakiej nie słyszał nawet w pierwszym kazaniu wygłoszonym pod domem Cutfortha. Jasne oczy Bucka miały dziwny wyraz; widać w nich było przeczucie tego, co ma się zdarzyć, pomieszane ze stoicką rezygnacją.

- Mówiłem wam wiele razy, w jakim celu tu przybyliśmy. Teraz, w przeddzień największej ze wszystkich waszych prób, muszę poświęcić chwilę na przypomnienie, przeciwko czemu powstaliśmy i kto jest waszym wrogiem. Pamiętajcie o moich słowach nawet wtedy, gdy mnie już wśród was nie będzie.

W przeddzień waszej próby? Kto jest waszym wrogiem? Gdy mnie wśród was nie będzie? Od poprzedniego spotkania z Buckiem Harriman zaczął czytać Biblię - po troszeczkę, wyrywkowo - i teraz przypomniały mu się słowa Jezusa: „Tam, dokąd idę, wy za mną podążać nie możecie; podążycie tam jednak za mną później”.

- Dlaczego, moi przyjaciele i bracia, nasi średniowieczni



przodkowie, pod wieloma względami niewykształceni i prości, mieli o wiele więcej bojaźni bożej od dzisiejszych ludzi? Zadając to pytanie, już na nie odpowiedziałem. Dlatego, że bali się Boga. Wiedzieli, jaka nagroda czeka nielicznych wybranych w niebie. Wiedzieli też, jaki będzie los grzeszników, ludzi złych, leniwych i niewierzących. Wina za obecny stan rzeczy nie leży jednak tylko po stronie ludzi. Dzisiejsze duchowieństwo ponosi ją w jeszcze większym stopniu. Oblewają boże słowo lukrem, bagatelizują boże przestrogi, mówią swoim wiernym, że piekło to tylko metafora albo staromodna, nierealistyczna koncepcja. Bóg w swej wielkiej miłości wszystko nam wybaczy, powiadają. Dają ludziom fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Zupełnie jakby chrzest, parę dobrych uczynków i kilka komunii było biletem do nieba. Przyjaciele, to straszliwy błąd! - Buck przerwał i rozejrzał się po zamartwym w milczeniu tłumie. - Miłość Boga jest surowa. W tym mieście, jak w innych wielkich metropoliach, każdego dnia ludzie umierają. Umierają setkami. Jak myślicie, w którym momencie wszystkie te biedne dusze zaczynają sobie zdawać sprawę, jaki los je naprawdę czeka? Kiedy spadają im łuski z oczu i dowiadują się, że całe ich życie było kłamstwem, że spędzili je, oddalając się od światłości i coraz głębiej pograżając w ciemnościach, a teraz mają w perspektywie tylko niewyobrażalne cierpienia? Tego nie możemy wiedzieć na pewno. Sądzę, że przynajmniej niektórzy w ostatniej chwili życia widzą jakiś przeblysł tego, co ich czeka. Myślę, że doznają okropnego uczucia, że spotka ich coś straszliwie złego, o wiele gorszego od samej śmierci. W tych ostatnich minutach, kiedy dusza zaczyna się oddzielać od ciała, zasłona teraźniejszości zostaje rozdarta i nagle otwiera się przed nimi

przepaść. Widzą straszną niedolę, czują przemożny strach, czują płynący z dołu żar. Nie mogą krzyczeć, nie mogą uciekać. To nie atak paniki, który przeminie. To tylko przedsmak tego, co nadejdzie. Pierwszy krok na długich schodach prowadzących do piekła. A jakie jest samo piekło? Naszym przodkom mówiono, że to płonące jezioro siarki, w którym potępieni smażą się całą wieczność; straszliwy piec, którego płomienie nie niosą światła, lecz tylko podkreślają ciemność. I w tamtych mniej skomplikowanych czasach taki obraz wystarczał. - Buck znowu przerwał, przyjrzał się zgromadzonym. - Powiem wam, że naprawdę w to wierzę, dla niektórych piekło jest właśnie takie. Ale to nie jedyne piekło, bracia i siostry. Jest ich niezliczona ilość. Każdemu z nas zostało jakieś przeznaczone. Lucyfer może nie dorównuje naszemu Bogu, ale był naprawdę potężnym aniołem, a jako taki ma moc przekraczającą nasze skromne możliwości pojmowania. Musicie zawsze pamiętać o jednym: Lucyfer, szatan, został wyrzucony z raju przez swą niepohamowaną zawiść i zło. Z nieustannej zazdrości i pragnienia zemsty wykorzystuje nas jako pionki w grze. Jak odtrącone dziecko nienawidzi faworyzowanego rywala, tak on nienawidzi nas za to, czym jesteśmy: ukochanymi dziećmi Boga. A któż z nas może mieć choćby cień nadziei, że zrozumie głębię jego bezdennego gniewu? Każdy człowiek, którego uda mu się zdeprawować, każda dusza, którą zabiera, jest dla niego zwycięstwem - pięścią wygrażającą Bogu. On zna słabości każdego z nas, nasze małostkowe pragnienia; wie, co łechce naszą próżność, co budzi chciwość, pożądanie czy okrucieństwo. Przed nim nie mamy tajemnic. Przygotował pokusy na miarę każdego z nas; stworzył tysiące sposobności, abyśmy zboczyli w ciemność. A kiedy już mu się

uda zwabić duszę do swojego królestwa, kiedy znowu wygra - czy myślicie, że zadowoli się pozostawieniem jej w takim ogólnym piekle? Jeśli tak myślicie, to jesteście w błędzie, przyjaciele. On, który zna wszystkie nasze słabości, zna też nasze lęki. Nawet te, których być może sami nie znamy. By zwycięstwa dopełnić i skazać ofiarę na maksymalne cierpienie, stworzy indywidualne piekło dla każdego z potępionych, takie, jakie najtrudniej będzie mu znosić. A co najgorsze, będzie ono trwać wiecznie. Wiecznie. Dla niektórych może to oznaczać właśnie jezioro płonącej siarki. Dla innych zamknięcie w czarnej trumnie, bez ruchu, światła, dźwięku; będą chcieli krzyczeć, ale głos nie wydobędzie się z ich gardeł, tylko obłęd będzie narastał przez całe wieki. Innym szatan zgotuje, powiedzmy, wieczność duszenia się. Wyobraźcie to sobie, przyjaciele. Wyobraźcie sobie, że wstrzymaliście oddech na dwie, może trzy minuty. Wyobraźcie sobie rozpaczliwe łaknienie tlenu, potworną torturę. A w piekle nie da się odetchnąć z ulgą, wciągnąć słodkiego, rześkiego powietrza. Nie ma też niebytu - będzie tylko ta chwila ekstremalnej agonii rozciągnięta na wieczność.

„Chwila ekstremalnej agonii rozciągnięta na wieczność”. Harriman zadrżał mimo woli. Buck mówił dalej:

- Inne piekła mogą być bardziej subtelne. Wyobraźcie sobie człowieka, który zawsze się bał, że zwariuje - i doświadcza tego przez długie wieki, a potem zaczyna wszystko od początku. I jeszcze raz. Albo kochającą matkę zmuszoną patrzeć bez końca, jak po jej śmierci dzieci staczają się w nędzę i opuszczenie, narkomanię, depresję, poniewierkę i śmierć. - Znowu przerwał i podszedł na samą krawędź skały. - Zastanówcie się przez chwilę, co byłoby dla was najgorszym

piekłem, jakie umiecie sobie wyobrazić. A potem zrozumcie, że szatan, który zna was lepiej niż wy sami, potrafi zgotować piekło stokroć gorsze. I nie omieszka tego uczynić! Już to zrobił i tylko na was czeka. Albowiem jedynym balsamem na jego gorycz jest rozpacz, błagania, krzyki i cierpienie ofiar. - Tym razem pauza była dłuższa. Kaznodzieja odetchnął głęboko parę razy, zanim jeszcze ciszej przemówił: - Powiedziałem, że dla każdego z nas jest osobne piekło, które czeka na nasze przybycie. Za sprawą szatana zaś tak łatwo jest je znaleźć; zbudował do niego szeroką, wygodną i prostą drogę. O ileż łatwiej jest nam nią podążać, płynąć z prądem, iść bezmyślnie tą przyjemną aleją, niż szukać ukrytej, wyboistej ścieżki do nieba. Przyjaciele, musimy walczyć z pokusą łatwej drogi. To walka, moi drodzy, śmiertelna walka. Tylko bowiem w ten sposób - jedyny sposób, powiadam - możemy odkryć trudny szlak do zbawienia. Proszę, abyście o tym pamiętali, kiedy nadejdzie czas naszej próby.

A potem Buck odwrócił się i zniknął słuchaczom z oczu.

Kiedy D'Agosta wszedł do apartamentu hotelowego Pendergasta, zastał agenta przy śniadaniu. Stół był zastawiony owocami, rogalikami i nieodzownymi filiżankami espresso. Pendergast delikatnie skubał gotowane jajka i czytał coś, co wyglądało na plik dokumentów przesłanych faksem. D'Agosta pomyślał przez chwilę o posiłku, który zjedli w Southampton, kiedy sprawa była jeszcze świeżutka. Wydawało się to teraz odległym wspomnieniem.

- A, Vincent - powiedział Pendergast. - Wejź. Chcesz coś zamówić?

- Nie, dzięki. - Mimo pięknego poranka i słońca, które złociło pokoje, D'Agosta czuł, że wisi nad nimi groźna chmura. - Dziwi mnie, że masz apetyt.

- To ważne, żebym teraz coś przekąsił. Nie jestem pewien, kiedy będę mógł zjeść następny posiłek. Ale ciebie to nie powinno wstrzymywać: chodź, weź croissanta. Te alzackie powidła śliwkowe od Fauchona są przepyszne. - Odłożył faksy i wziął do ręki „La Nazione”.

- Co takiego czytałeś?

- Faksy od Constance. Będzie mi potrzebna każdego rodzaju, hm, amunicja, jaką mogę zgromadzić w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń. Constance okazała się bardzo pomocna.

DAgosta zrobił krok do przodu. - Jadę z tobą - stwierdził ponuro. -

Chcę od razu postawić sprawę jasno, żeby później uniknąć dyskusji.

Pendergast opuścił gazetę. - Przypuszczałem, że wysuniesz takie żądanie. Pozwól, że przypomnę: zaproszenie było tylko dla mnie.

- Wątpię, żeby ten hrabia z tłustą dupą miał jakieś zastrzeżenia.

- Prawdopodobnie masz rację.

- Dotarłem do tego punktu. Strzelano do mnie, i to kilka razy, straciłem koniec palca, o mało nie zostałem zepchnięty z urwiska, prawie stoczyłem się w przepaść z samochodem.

- Znowu racja.

- Nie możesz oczekiwać, że spędzę wieczór, relaksując się przy basenie i popijając zimne piwko, kiedy ty będziesz w łapach Fosca.

Pendergast uśmiechnął się słabo. - Przed wyjazdem z Florencji mam do załatwienia jeszcze pewien drobiazg. Omówmy to potem. I ponownie ukrył się za gazetą.

Dwie godziny później zatrzymali samochód w wąskiej uliczce przed obszernym, surowym budynkiem z grubo ciosanego kamienia.

- Palazzo Maffei - powiedział Pendergast znad kierownicy. - Mógłbyś chwilę zaczekać? To nie potrwa długo. - Wysiadł, podszedł do mosiężnej płyty z przyciskami domofonu wmontowanej w fasadę, przejrzał nazwiska, nacisnął guzik. Chwilę później z głośnika rozległ się chrapliwy głos. Pendergast coś odpowiedział. Potem wielkie drzwi otwarły się z brzęczeniem i agent zniknął w środku.

D'Agosta przyglądał się temu z zaciekawioną Nasłuchał się już dość włoskiego, by rozpoznać, że to, co Pendergast powiedział do domofonu, nie brzmiało jak należy. Prawdę mówiąc, bardziej przypominało łacinę.

Wysiadł z samochodu, przeciął uliczkę i obejrzał guziki. Ten, który

nacisnął Pendergast, opisano po prostu „Corso Maffei”. Nic mu to nie mówiło, wrócił więc do wynajętego wozu.

Po dziesięciu minutach Pendergast opuścił budynek i zajął miejsce za kierownicą.

- O co chodziło? - zapytał D'Agosta.

- O ubezpieczenie - odparł agent. Odwrócił się i uważnie spojrzął na sierżanta. - Przedsięwzięcie to ma w najlepszym razie połowiczne szanse powodzenia. Ja muszę to zrobić. Ty nie. Osobiście wolałbym, żebyś nie jechał.

- Nie ma mowy. Siedzimy w tym razem.

- Widzę, że jesteś zdeterminowany. Ale pozwól, że ci przypomnę: masz syna, Vincencie, a także znakomite, jak się wydaje, szanse na awans, karierę i szczęśliwe życie.

- Powiedziałem, że siedzimy w tym razem.

Pendergast uśmiechnął się i położył mu rękę na ramieniu - dziwnie czuły gest jak na człowieka, który rzadko ujawniał uczucia. - Wiedziałem, że tak odpowiesz, Vincencie, i cieszę się. Nauczyłem się polegać na twoim zdrowym rozsądku, stałości i umiejętnościach strzeleckich, nie licząc innych znakomitych zalet.

D'Agosta poczuł się dziwnie zakłopotany i mruknął coś w odpowiedzi.

- Powinniśmy dotrzeć do zamku po południu. Po drodze streszczę ci, co wiem.

Droga biegnąca z Florencji na południe, do Chianti, wiała się przez najładniejsze tereny, jakie D'Agosta kiedykolwiek widział: wzgórza pocięte pasami winnic, które przybierały żółtą, jesienną barwę, blade, szarozielone zagajniki oliwne, bajkowe zamki i wspaniałe

renesansowe wille rozrzucone po wzgórzach i szczytach. Dalej majaczyło pasmo gór porośniętych lasem, usianych tu i ówdzie jakimiś budowlami: a to ponurym klasztorem, a to starożytną dzwonnica.

Droga powoli podążała w stronę szczytów nad rzeką Greve. Gdy minęli Passo dei Pecorai, w dole ukazało się odległe miasto Greve leżące w głębokiej dolinie wzdłuż rzeki. Objechali kolejną serpentynę i Pendergast wskazał palcem przez boczną szybę. - Castel Fosco - powiedział.

Stał na samotnej skale wysoko na wzgórzach Chiantigian. Z tej odległości wyglądał w oczach D'Agosty jak pojedyncza masywna wieża zniszczona przez czas, zwieńczona blankami, wznosząca się ponad lasem. Droga skręciła i zeszła w dół, zamek zniknął. Chwilę później Pendergast zjechał z głównej szosy; po serii mylących skrętów w coraz to mniejsze dróżki dotarli do omszałego muru z żelazną bramą. Marmurowa tablica obok głosiła „Castel Fosco”. Otwarta brama, rozpadająca się i zardzewiała, wyglądała, jakby została krzywo osadzona bezpośrednio w ziemi. Dalej prowadziła stara bita droga, poprzez winnice wspinająca się na strome zbocze i znikająca za granią.

Gdy łuk za łukiem wspinali się na wzgórze, Pendergast ruchem głowy wskazał opadające tarasami winnice i zagajniki wzdłuż drogi. - Bogata posiadłość, jak widać, i jedna z największych w Chianti.

D'Agosta milczał. Im głębiej wjeżdżali w posiadłość hrabiego, tym mocniej czuł przygniatający ciężar.

Droga dotarła do grani i ponownie ukazał im się zamek, teraz znacznie bliżej: monstrualna kamienna wieża usadowiona na stromej



skale wysoko na górkim zboczu. Od jednej strony dobudowano późniejszy, choć też stary dodatek: zgrabną renesansową willę wykończoną bladożółtymi stiukami, przykrytą czerwonym dachem. Rzędy okazałych okien ostro kontrastowały z ponurymi, niemal brutalnymi liniami centralnej wieży.

Całą budowlę otaczał podwójny pierścień murów. Zewnętrzny, niemal całkowicie zrujnowany, składał się prawie wyłącznie z dziur po kamieniach, które wypadły, ze zrujnowanych wieżyczek i kruszących się blanków. Wewnętrzny, w znacznie lepszym stanie, był jakby ścianą oporową dla samego zamku, górna część wałów tworzyła dziedziniec wokół części mieszkalnej. Powyżej górkie zbocza wznosiły się na kolejne tysiąc stóp, przechodząc w dziki, zalesiony płaskowyż; zębate kawałki skał łączyły się tam w grzebieniasty półokrąg widoczny na tle nieba.

- Ponad pięć tysięcy akrów - stwierdził Pendergast. - Jak rozumiem, liczy sobie więcej niż tysiąc lat.

D'Agosta nie odpowiedział. Widok zamku przejął go większym dreszczem, niż zgodziłby się przyznać. Uczucie bycia w opresji jeszcze wzrosło. Szaleństwo tak po prostu wchodzić w paszczę lwa. Ale nauczył się ufać Pendergastowi bezwarunkowo. Nigdy nie zrobił niczego bez zastanowienia. Przechytrzył snajpera. Uratował ich od śmierci z rąk ludzi Bullarda. Wiele razy ratował im życie przy okazji wcześniejszych spraw. Plan Pendergasta - jakikolwiek by był - zadziała.

Oczywiście, że zadziała.



Samochód objechał ostatni łuk i minął zrujnowaną zewnętrzną bramę. Zamek wznosił się nad nimi w surowym majestacie. Przejechali cyprysową aleją wśród potężnych pni i zatrzymali się na parkingu tuż przed wewnętrznym murem. D'Agosta, dręczony złymi przeczuciami, spojrział na mur przez boczną szybę. Wznosił się nad ich głowami na dwadzieścia stóp, podparty przez potężne ukośne przypory oznaczone wapnem, obrośnięte mchem i paprociami. Żadnej bramy, tylko najeżone kolcami i wzmocnione metalowymi taśmami drewniane drzwi na szczycie szerokich kamiennych stopni.

Gdy wysiedli z samochodu, rozległ się pomruk, a potem głuchy dźwięk skrobania i drzwi otworzyły się, reagując na niewidzialny impuls.

Wspięli się po schodach, minęli potężne przejście i znaleźli się jakby w innym świecie. Gładki trawnik pokrywał wewnętrzny dziedziniec, ciągnąc się na przestrzeni stu jardów, aż do samego zamku. Z jednej strony znajdował się obszerny okrągły basen otoczony starożytną marmurową balustradą, ozdobiony ustawionym centralnie posągiem Neptuna dosiadającego morskiego potwora. Po prawej stała mała kaplica z kopułą wyłożoną kaflami. Poniżej następna marmurowa balustrada oddzielała nieduży ogród, który schodził w dół zbocza, kończąc się raptownie przy wewnętrznych fortyfikacjach.

Kolejny przypominający szuranie dźwięk i ziemia zadrżała; D'Agosta odwrócił się i zobaczył, że wielkie drewniane drzwi zatrzasnęły się za nimi.

- Mniejsza z tym - mruknął Pendergast. - Przygotowania zostały poczynione.

D'Agosta miał cholerną nadzieję, że agent wiedział, co mówi. - Gdzie Fosco? - zapytał.

- Bez wątpienia niedługo go zobaczymy.

Przecięli trawnik i dotarli do głównego wejścia do potężnej wieży. Otworło się z metalicznym szczękiem. I stał tam Fosco ubrany w elegancki gołębioszary garnitur; półdługie włosy zaczesane do tyłu, gładka biała twarz przecięta uśmiechem. Jak zwykle w skórzanych rękawiczkach.

- Drogi Pendergast, witam w moich skromnych progach. I sierżant D'Agosta? Miło z pańskiej strony, że przyłączył się pan do naszej zabawy.

Wyciągnął rękę. Pendergast go zignorował.

Hrabia opuścił ramię, jego uśmiech pozostał niezmienny - Szkoda. Miałem nadzieję, że załatwimy nasze sprawy uprzejmie, jak dżentelmeni.

- Jest tu jakiś dżentelmen? Chciałbym go poznać.

Fosco z dezaprobatą klasnął językiem. - Czy w taki sposób traktuje się człowieka w jego własnym domu?

- A co pan powie o traktowaniu człowieka, którego pali się we własnym domu?

Przez twarz hrabiego przemknął wyraz niesmaku. - Tacy panowie niecierpliwi, żeby od ręki załatwiać interesy? Ależ będzie na to czas,

będzie czas. Proszę, wejdźcie.

Hrabia się odsunął i długim, łukowato sklepionym przejściem weszli do wielkiego zamkowego holu. D'Agosta zupełnie nie tego się spodziewał. Zgrabna loggia - kolumny i rzymskie łuki - obiegała pomieszczenie z trzech stron.

- Zwróćcie uwagę na tondi della Robbia - powiedział Fosco, ruchem ręki wskazując jakieś terakotowe, malowane ozdoby na ścianach pod łukami. - Ale musicie być zmęczeni jazdą. Zaprowadzę panów do ich kwater, gdzie będziecie mogli się odświeżyć.

- Do naszych pokoi? - zapytał Pendergast. - Spędzamy tu noc?

- Oczywiście.

- Obawiam się, że to nie będzie konieczne ani nawet możliwe.

- Ależ zmuszony jestem nalegać. - Hrabia odwrócił się i pociągnął za żelazny pierścień przytwierdzony do otwartych drzwi zamku, które zamknęły się z głośnym hukiem. Dramatycznym gestem wyjął z kieszeni olbrzymi klucz i przekreślił go w drzwiach. Potem otworzył drewnianą skrzyneczkę zamontowaną na pobliskiej ścianie. W środku D'Agosta zobaczył nowoczesną klawiaturę, dziwacznie nie na miejscu w zestawieniu ze starą kamieniarską robotą. Hrabia wstukał długą sekwencję cyfr. W odpowiedzi rozległo się kliknięcie i z góry opadła potężna żelazna sztaba, wsuwając się w ciężkie klamry i ryglując drzwi.

- Teraz nie grozi nam niechciane wtargnięcie - stwierdził Fosco. - Lub, jeśli o to idzie, niechciany wyjazd.

Pendergast nie odpowiedział. Hrabia się odwrócił i poprowadził ich przez hol i długą zimną kamienną galerię, poruszając się w ten lekki, charakterystyczny sposób. Portrety, niemal czarne ze starości,

wisiałoby wzdłuż obu ścian wraz z zardzewiałymi zbrojami, włóczniami, lancami, pikami, maczugami i innego rodzaju średniowieczną bronią.

- Zbroje to bezwartościowe, osiemnastowieczne kopie. Portrety przedstawiają oczywiście moich przodków. Wiek je na szczęście przyciemnił - hrabiowie Fosco nie należą do urodziwych. Posiadłość ta pozostaje naszą własnością od dwunastego wieku, kiedy to mój szacowny przodek Giovan de Ardaz zdobył ją na pewnym longobardzkim rycerzu. Rodzina przyjęła wówczas tytuł „kawalerów” i jako herb wzięła stojącego smoka i skośnicę w prawą. W czasach wielkich książąt otrzymaliśmy tytuł hrabiów Świętego Cesarstwa Rzymskiego z rąk samej elektorki Palatynatu. Zawsze wiedliśmy tu cichą egzystencję, uprawiając winorośl i oliwki, nie mieszając się w politykę i nie aspirując do urzędów. My, florentczycy, mamy powiedzenie: „Palec, który wytkniesz, schowasz młotem zmiądzony”. Rodzina Fosco się nie wychylała i w efekcie nigdy, podczas wielu, wielu obrotów koła politycznej fortuny, nie poczuliśmy ciosu młota.

- A jednak pan, hrabio, zdołał się wychylić, i to poważnie, podczas kilku ostatnich miesięcy - odparł Pendergast.

- Niestety, i w znacznym stopniu wbrew własnej woli. A także wyłącznie po to, by odzyskać coś, co od początku było naszą prawną własnością. Ale pomówimy o tym w czasie kolacji.

Minęli galerię i przeszli przez piękny salon z, oknami z szybek oprawnych w ołów, ze ścianami pokrytymi tapiseriami. Fosco wskazał na jakieś duże olejne pejzaże. - Hobbema i van Ruisdael.

Za salonem nastąpił ciąg wdzięcznie umeblowanych, pełnych

światła pokoi, a potem charakter wewnątrz nagle uległ gwałtownej zmianie. - Wchodzimy teraz do oryginalnej, longobardzkiej części zamku - powiedział Fosco. - Datuje się na dziewiąty wiek.

Tu pokoje okazały się małe i niemal pozbawione okien, światła dostarczały jedynie otwory strzelnicze i maleńkie kwadratowe świetliki wysoko pod sufitem. Ściany podlegały erozji, pokoje ziały pustką.

- Te ponure stare pomieszczenia są nieużywane - stwierdził hrabia, gdy przechodzili. - Zawsze wilgotne i zimne. Jednak istnieje tu kilka poziomów piwnic, tuneli i podziemi, niezwykle użytecznych do produkcji wina, balsamico i prosciutto di Cinghiale. Muszą panowie wiedzieć, że na terenie posiadłości polujemy na dziki, a szynka ta cieszy się zasłużoną sławą. Najniżej położone tunele zostały wykute w skale przez Etrusków trzy tysiące lat temu.

Podeszli do ciężkich żelaznych drzwi osadzonych w niezwykle grubej kamiennej ścianie. D'Agosta zauważył, że w tej wewnętrznej części zamku kamienie były pokryte kroplami wilgoci.

- Wieża - oświadczył Fosco, gdy otwierał drzwi kolejnym kluczem.

Zaraz za drzwiami znajdowała się szeroka, pozbawiona okien spiralna klatka schodowa, która prowadziła w górę i znikła gdzieś ponad ich głowami. Fosco zdjął z uchwyty w ścianie zasilaną bateriami latarnię, włączył i poprowadził gości po schodach. Po pięciu czy sześciu pętlach zatrzymali się na niewielkim podeście z pojedynczymi drzwiami. Otwierając je następnym kluczem, Fosco zaprosił ich do niewielkiego apartamentu, który urządzone w starej wieży, z okienkami wychodzącymi na dolinę Greve i faliste wzgórze, daleko w dole biegnące w stronę Florencji. W kominku na końcu

pokoju płonął ogień, podłogę z terakoty przykrywały perskie dywany. Przed ogniem znajdowały się wygodne miejsca do siedzenia, stół pod ścianą obficie zaopatrzone w wina i wódki, półki pełne były książek.

- *Eccoci qua!* Sądzę, że uznają panowie swoje pokoje za wygodne. Po obu stronach mieszczą się małe sypialnie. Odświeżający widok, nieprawdaż? Z niepokojem zauważyłem, że nie przywieźliście panowie bagażu. Każę Pinkettsowi zaopatrzyć panów we wszystko, co może być potrzebne - brzytwy, szlafroki, pantofle, koszule nocne.

- Szczerze wątpię, że zostaniemy na noc.

- A ja wątpię, że opuścicie to miejsce. - Hrabia się uśmiechnął. - Jemy późno, modą kontynentalną. O dziewiątej.

Zgiął się w ukłonie, cofnął do drzwi, zamknął je z głuchym hukiem. D'Agosta z ciężkim sercem słuchał zgrzytu klucza w zamku, a potem kroków gospodarza szybko oddalających się w dół po schodach.



Punkt zborny przed akcją wejścia do obozowiska Bucka mieścił się na parkingu warsztatów na tyłach arsenału, niewidoczny z miasteczka namiotów Komisarz Roker wezwał przynajmniej trzy oddziały specjalne nowojorskiej policji do tłumienia zamieszek i jeden oddział SWAT, dwóch negocjatorów, policjantów konnych, dwa zmotoryzowane centra dowodzenia i mnóstwo szeregowców w hełmach i kamizelkach kuloodpornych, żeby przeprowadzić aresztowania. Ponadto były tam wozy strażackie, karetki pogotowia i furgonetki do przewozu więźniów, wszystkie ustawione w dyskretnym oddaleniu od Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy.

Hayward stała na północnym krańcu punktu zbornego, sprawdzając po raz ostatni radio i broń. Tłum umundurowanych policjantów kłębiących się wokół z pałkami i tarczami był ogromny, pomijając różnego rodzaju specjalistów operacyjnych z kabelkami zwisającymi z uszu, a nawet kilku tajnych informatorów przebranych za mieszkańców obozowiska. Rozumiała źródło tej przesady: jeżeli już ruszać, to z przytłaczającą przewagą - wtedy w dziewięciu przypadkach na dziesięć przeciwnik ustąpi. Najgorsze, co można zrobić, to pozwolić im uwierzyć, że będą mieć jakieś szanse, jeżeli stawią opór.

A jednak ci ludzie wierzyli, że wspierał ich Bóg. To nie strajkujący kierowcy autobusów czy pracownicy służb miejskich, z których



każdy miał żonę, dzieci i dwa samochody na podjeździe. To prawdziwi wyznawcy. Nieprzewidywalni. Wyjście, które w związku z tym podsunęła, było bardziej sensowne.

Bo chyba było?

Rocker wyłonił się z tłumu, podszedł energicznym krokiem i położył jej rękę na ramieniu. - Gotowa?

Hayward skinęła głową.

Ojcowskie klepięcie. - Użyj radia, jeśli zrobi się gorąco, wkroczymy wcześniej. - Spojrzał na zgromadzonych ludzi i sprzęt. - Mam nadzieję, że to wszystko nie będzie potrzebne.

- Ja też.

Przy jednym z ruchomych stanowisk dowodzenia widziała Wentwortha z przewodem dyndającym przy uchu, mówił coś, wskazywał ręką tu i tam. Grał gliniarza i świetnie się przy tym bawił. Spojrzał w jej stronę - odwróciła się. Niepowodzenie byłoby upokarzające. Zresztą nie tylko to, również poważnie zaszkodziłoby jej karierze. Wentworth już przewidział porażkę i tylko wstawiennictwo Rockera sprawiło, że misję w ogóle zatwierdzono. Nie po raz pierwszy od ostatniego spotkania zastanawiała się, po co się wychyła. Nie tak się robi karierę. Ile razy widziała, że to tych, którzy płyną z prądem, unosi fala sukcesu? Najwyraźniej zaczęła jej się udzielać postawa D'Agosty.

- Gotowa? Kiwnęła głową.

Rocker puścił jej ramię. - A zatem do dzieła, pani kapitan.

Jeszcze raz spojrzała na bezpieczny obszar punktu zbornego, po czym ruszyła wzdłuż pasażu prowadzącego łukiem na północ, wokół arsenału, po drodze wyjmując z kieszeni odznakę i przypinając ją do

kurtki.

Po kilku minutach zobaczyła przed sobą zewnętrzne namioty rozrastającego się obozowiska. Zwolniła, wczuwając się w nastrój tłumu. Było południe i wszędzie kręciła się masa ludzi. W powietrzu unosił się zapach smażonego bekonu. Kiedy podeszła do pierwszej linii namiotów, ludzie zaczęli się zatrzymywać, żeby popatrzeć. Skinęła przyjaźnie głową, w zamian zbierając wrogie spojrzenia. W tłumie wyczuwało się większe napięcie niż w piątek, i nic dziwnego. Nie byli głupi. Wiedzieli, że nie ujdą im na sucho groźby pod adresem funkcjonariuszy. Czekali teraz na drugi akt. Musiała tylko sprawić, by zrozumieli, że ta wizyta nie była drugim aktem.

Weszła w jedną z nierównych alejek, czując na sobie spojrzenia, słysząc szepty. Dotarły do niej słowa „szatan” i „nieczysta”. Pamiętała, co mówił profesor dynamiki społecznej, porównując tłum do psa. Jeżeli okażesz lęk, ugryzie, jeżeli zaczniesz uciekać, będzie go nił.

Ścieżka wyglądała znajomo i nie minęła minuta, gdy znalazła się przed namiotem Bucka. Wielebny siedział przy stole ustawionym na zewnątrz, czytając książkę, całkowicie zaabsorbowany lekturą. Nagle pojawił się ten sam nadgorliwy człowiek, który zaczepił ją i Grable'a dwa dni wcześniej - Buck zwrócił się do niego po imieniu... Todd. Zaczął się już tworzyć tłum. Nic strasznego, po prostu ciekawa i milcząca wroga gromada.

- To znowu pani - powiedział mężczyzna.

- To znowu ja - potwierdziła Hayward. - Przyszłam porozmawiać z wielebnym.

- Wrócili - krzyknął mężczyzna do pozostałych, robiąc krok naprzód i blokując jej przejście.

- Nie: wrócili. Tylko ja wróciłam.

Szmer rozniósł się w tłumie jak elektryczny dzwonek. Powietrze nagle zgęstniało. Hayward spojrzała za siebie zaskoczona wielkością zbierającego się tłumu. „Skup się na Bucku”. Ale on został przy biurku, czytając i kompletnie ją ignorując. Z miejsca, gdzie stała, widziała tytuł: Księga męczenników według Foksa, wydanie Reader's Digest.

Todd podszedł tak blisko, że prawie, choć nie całkiem, dotykał jej ciałem.

- Wielebnemu nie wolno przeszkadzać.

Hayward poczuła ukłucie czegoś, co w nieprzyjemny sposób przypominało wątpliwości. Czy jej plan rzeczywiście się sprawdzi? Czy może Wentworth miał jednak rację?

Zacząła mówić na tyle głośno, żeby Buck usłyszał. - Przyszłam tu tylko na rozmowę. Nie mam nakazu aresztowania. Chcę tylko porozmawiać z wielbnym jak człowiek z człowiekiem. Nic wielkiego.

- Krętaczka! - zawołał ktoś w tłumie.

Musiła ominąć adiutanta zagradzającego drogę. Zrobiła krok do przodu, ocierając się o niego.

- To napaść - powiedział Todd.

- Jeżeli wielbny nie chce ze mną rozmawiać, to niech mi to sam powie. Niech wielbny sam podejmuje decyzje.

- Wielebny prosił, żeby mu nie przeszkadzać. - Nadal się dotykali, co przyprawiało Hayward o gęsią skórkę, ale wyczuła, że zanosি się na odwrót.

Nie myliła się. Todd zrobił krok w tył, ale ciągle tarasował

przejście.

- Rzymianka! - dobiegł okrzyk z tłumu.

„Co to za gówno z tymi Rzymianami?” - Proszę tylko o pięć minut pańskiego czasu, wielebny - zawołała, wychylając się zza Todda. - Pięć minut.

W końcu Buck z namaszczeniem odłożył książkę, wstał od stołu, wreszcie podniósł głowę i spojrzał na nią. W chwili gdy ich oczy się spotkały, poczuła dreszcz. W piątek wydawał się lekko niepewny, co ma zrobić, być może podatny na perswazję. Ale dziś prezentował chłód, spokój i poczucie całkowitej pewności siebie, której Hayward wcześniej u niego nie widziała. Jedyłą emocją, którą wyczuła, było krótkie mgnienie jakby rozczarowania. Przełknęła ślinę.

- Przepraszam. - Próbowała obejść strażnika.

Buck skinął głową i mężczyzna odszedł na bok. Wtedy Buck na nią spojrzał, ale spojrzeniem tego rodzaju, że nie była pewna, czy nie patrzy poprzez nią.

- Wielebny, zostałam przysłana przez nowojorską policję, aby prosić pana i pańskich zwolenników o przysługę. - „Mów swobodnie, lekko, bez nacisku”. Tego nauczyła się na kursach prowadzenia negocjacji. „Niech im się wydaje, że to oni podejmują decyzje”.

Ale Buck w żaden sposób nie okazał, że ją słyszy. Zaległa złowróźbna cisza. Nie odwracała się, ale czuła, że za plecami ma olbrzymi tłum, pewnie większą część obozowiska.

- Proszę posłuchać, wielebny, jest pewien problem. Pańscy zwolennicy dewastują park, traturują krzewy, niszczą trawę. Najgorsze, że używają okolicznych terenów jako publicznej latryny. Sąsiedzi się skarżą. To zagrożenie zdrowotne, zwłaszcza dla was.

Przerwała, zastanawiając się, czy cokolwiek do niego dociera.

- Wielebny, czy może nam pan w tym pomóc? Odczekała chwilę, Buck się nie odezwał.

- Potrzebuję pańskiej pomocy.

Słyszała nieustanny pomruk tłumu za sobą. Ludzie napływali i zajmowali miejsca na tyłach namiotu Bucka, zajęli już całe pole widzenia. Teraz naprawdę była otoczona.

- Chcę zaproponować panu układ. Myślę, że sprawiedliwy Uczciwy układ.

„Spytaj, jaki układ, baranie”. Najważniejsze, żeby skłonić go do mówienia, żeby zadał pytanie, cokolwiek. Ale nadal tylko patrzył, patrząc przez nią. Chryste, w jakiś sposób źle go oceniła albo od ostatniej wizyty coś się zmieniło. To nie był ten sam człowiek.

Po raz pierwszy pojawiła się przed nią realna możliwość porażki.

- Czy zechciałby mnie pan wysłuchać? Żadnej reakcji.

Odważnie parła naprzód. - Po pierwsze, zagrożenie zdrowotne. Nie chcemy, żeby pańscy ludzie zaczęli chorować. Chcielibyśmy, żeby dał im pan dzień wolnego. To wszystko, jeden dzień. Niech pojedą do domu, wykąpią się, zjedzą gorący posiłek. W zamian wydamy panu zezwolenie na organizację pochodu, dzięki któremu będziecie się mogli zgromadzić zgodnie z prawem i błogosławieństwem władz miejskich. Nie tak jak teraz, niszcząc park, irytując mieszkańców i narażając się na lekceważenie całego miasta. Słyszałam przecież, jak pan przemawia, i wiem, że jest pan uczciwym człowiekiem, mówi pan, co myśli. Daję panu szansę legalizacji, zyskania szacunku i dalszego głoszenia przesłania.

Przerwała. „Nie mów za dużo. Daj mu czas, żeby się ocknął”.

Wokół nich narosła atmosfera oczekiwania. Wszyscy czekali, aż przemówi wielebny. Wszystko zależało od Bucka.

W końcu się poruszył. Mrugnął, podniósł rękę, powoli, prawie jak robot. Cisza wzmagala napięcie. Było tak cicho, że Hayward słyszała ptaki ćwierkające wśród okolicznych drzew.

Ręka Bucka przesunęła się, wskazał na nią.

- Centurion - powiedział cichym głosem, nieco tylko głośniejszym od szeptu.

Jakby ktoś wypuścił parę z kotła. - Centurion! - rozległ się nagły krzyk tłumu. - Żołdak rzymski! - Rzesza ludzi ruszyła, zaczęła się zbliżać.

Po raz pierwszy Hayward poczuła ukłucie autentycznego strachu. Myśl o porażce należała już do przeszłości, teraz gra toczyła się o coś więcej niż tylko o karierę. Tłum był niebezpiecznie podniecony.

- Wielebny, jeżeli pańska odpowiedź brzmi: nie...

Ale Buck odwrócił się i, ku jej rosnącemu przerażeniu, skierował do namiotu, podniósł klapę i zniknął w jego wnętrzu. Nowi ludzie napłynęli na miejsce, gdzie stał, wypełniając lukę.

Zostawił ją na łasce tłumu.

Odwróciła się do nich twarzą. „Teraz trzeba się stąd wynosić”. - No dobra, ludzie, wiem, kiedy należy się pogodzić z odmową...

- Zamilcz, Judaszu!

Hayward ponownie ujrzała kije, którymi wymachiwano nad głowami. Zaskoczyło ją, jak szybko tłum potrafił zmienić się w potwora. Zawiodła, zawiodła na całej linii. Kariere bez wątpienia miała z głowy. Prawdziwe pytanie brzmiało, czy zdoła z tego wyjść w jednym kawałku.

- Odchodzę - stwierdziła głośno i stanowczo. - Odchodzę i spodziewam się, że będę mogła odejść w spokoju. Jestem przedstawicielem prawa.

Ruszyła w stronę ludzkiej ściany, ale tym razem nie utworzyło się przejście. Szła nadal, oczekując, mając nadzieję, że się cofną. Nie cofnęli. Wyciągnęły się ręce, które pchnęły ją z powrotem - mocno.

- Przyszłam w pokoju! - Starła się powstrzymać drżenie głosu. - I odchodzę w pokoju! - Zrobiła kolejny krok w stronę tłumu, stając twarzą w twarz z Toddem. Trzymał w ręku coś, czym potrząsał. Kamień.

- Nie rób niczego głupiego - powiedziała.

Podniósł rękę do rzutu. Natychmiast zrobiła krok naprzód, patrząc mu w oczy, tak jak się postępuje z niebezpiecznym psem. Na czoło rozgrzanego tłumu zawsze przedostają się wariaci. Kibice stoją z tyłu, licząc, że trafi im się szansa na bicie, kiedy przeciwnik będzie już leżał bezbronny. Ale ci z przodu to zabójcy.

Todd zrobił krok w tył. - Suko judaszowa - powiedział, groźnie wymachując kamieniem.

Starając się zachować spokój, Hayward szybko przeanalizowała, jakie ma możliwości. Gdyby wyjęła broń, to koniec. Oczywiście strzelając w powietrze, mogła powstrzymać ich na chwilę, ale potem dopadliby ją w mgnieniu oka i musiałyby strzelać w tłum. I zaraz byłaby martwa. Mogła wezwać Rockera, ale zanim zdołałby zmobilizować siły i wkroczyć, minęłoby przynajmniej dziesięć minut. Krew już by się lała i z miejsca napotkałby opór. Zanim by do niej dotarli... Boże, nie miała dziesięciu minut, nie miała nawet pięciu.

Jedynym człowiekiem, który mógł opanować ten tłum, był Buck, a

on siedział w namiocie.

Wycofała się, powoli zataczając koło. Tłum tak zgęstniał, że nie widziała już nawet namiotu. Odpychano ją w przeciwnym kierunku, jakby ludzie chcieli oszczędzić Buckowi przykrości związanych z tym, co miało nastąpić. Ze wszystkich stron słyszała pogróżki i okrzyki.

Rozpaczliwie szukała w myślach czegoś ze szkoleń, co mogłoby się przydać. Interesowała się psychologią tłumu, zwłaszcza po zamieszkach w Wisher sprzed paru lat. Problem w tym, że rozwścieczony tłum nie zachowywał się jak normalna istota ludzka. Tłum nie reagował na mowę gestów. Tłum nie słuchał niczego oprócz siebie. Z tłumem nie można było dyskutować. Tłum mógł z entuzjazmem popełnić akt przemocy, którego poszczególni jego członkowie nigdy by nie zaakceptowali.

- Centurionie! - Todd zrobił kolejny krok do przodu, ośmielony, tłum za nim gęstniał. Histerycznie wściekły. Nie chcieli jej skrzywdzić - chcieli zabić.

- Buck! - krzyknęła, odwracając się, ale to na nic, nie mógł jej usłyszeć przez krzyki tłumu.

Znowu stanęła z nimi twarzą w twarz. - I wy nazywacie się chrześcijanami? - krzyknęła. - Spójrzcie na siebie!

Zły ruch. Jeszcze bardziej ich rozjuszyła. Ale tylko to jej zostało.

- Słyszeliście kiedyś o nadstawianiu drugiego policzka? Kochaj bliźniego swego...

- Błóżniesz! - Todd potrząsnął trzymanym kamieniem, tłum ruszył za nim.

Teraz była naprawdę przerażona. Cofnęła się o krok i poczuła



pchnięcie od tyłu. Głos jej się załamał. - Biblia mówi...

- Bezczęści Biblię bluźnierstwem!

- Słyszycie?

- Uciszyć ją!

„Ślepa uliczka". Hayward wiedziała, że czas jej się kończy. Musiała coś wymyślić, zanim sypną się kamienie. Kiedy polecą pierwszy, nie przestaną, aż będzie po wszystkim.

Problem w tym, że wyczerpała wszystkie możliwości. Nie mogła już nic zrobić.

Nic.



Za pięć dziewiąta D'Agosta odwrócił się od okna i zobaczył, że Pendergast spokojnie wstaje z sofy, na której leżał bez ruchu przez ostatnie pół godziny. Wcześniej agent sprawdził, że jest w stanie otworzyć drzwi za pomocą swojej kolekcji wytrychów, ale nie wydawał się zainteresowany wyprawą badawczą i ponownie je zamknął i - nadal czekali.

- Udana drzemka? - Zastanawiał się, jak Pendergast może w takim momencie spać. Sam był tak podminowany, że wydawało się niemożliwe, by jeszcze kiedykolwiek zdołał zasnąć.

- Nie drzemałem, Vincencie, myślałem.

- Taa. Ja też. Na przykład o tym, jak zamierzamy się stąd wydostać.

- Chyba nie sądzisz, że przywiozłem nas tutaj bez starannie obmyślanego planu opuszczenia tego miejsca? A jeśli plan nie zadziała, jestem wielkim zwolennikiem improwizacji.

- Improwizacji? Nie podoba mi się, że to mówisz.

- Stare zamki są pełne zakamarków. W ten czy inny sposób uciekniemy z dowodem, którego nam potrzeba, i wrócimy z posiłkami. Posiłkami, które można przekonać tylko dowodem. Przyjazd tutaj, Vincencie, był naszą jedyną opcją - nie licząc poddania się.

- Jeśli o mnie chodzi, to nie jest opcja.

- Dla mnie również.

Pukanie do drzwi. Otworzyły się i stanął w nich Pinketts w pełnej liberii. D'Agoście ręka sama powędrowała do służbowej broni.

Pinketts lekko się uklonił i powiedział swoją afektowaną angielszczyzną: - Kolację podano.

Poszli za nim schodami w dół, przez ciąg pokoi i korytarzy do przeznaczonego na jadalnię salotto. Było to pogodne miejsce pomalowane na żółto, z wysokim sklepionym sufitem. Stół zastawiono srebrem i platerami, kompozycja ze świeżych róż zdobiła środek. Nakryto na trzy osoby.

Fosco stał w głębi pokoju, gdzie w przepastnym kamiennym kominku, nad którym wyrzeźbiono tarczę herbową, płonął nieduży ogień. Odwrócił się szybko, po tłustej dłoni przebiegła mu biała myszka, popędziła w górę rękawa.

- Witam. - Umieścił mysz w małej pagodzie z drutu. - Panie Pendergast, pan usiądzie tutaj, po moje prawej stronie, pan D'Agosta po lewej, jeśli panowie łaskawi.

D'Agosta usiadł, odsuwając krzesło od Fosca. Hrabia zawsze przyprawiał go o dreszcze, teraz ledwie mógł wytrzymać z nim w jednym pokoju. Ten facet to maniak.

- Odrobinę prosecco? Własnej roboty.

Obaj mężczyźni potrząsnęli odmownie głowami. Fosco wzruszył ramionami. Pinketts napełnił winem kieliszek, który hrabia uniósł.

- Za „Burzową Chmurę” - powiedział. - Szkoda, że nie możecie wznieść toastu. Może przynajmniej trochę wody.

- Dziś wieczorem sierżant D'Agosta i ja pościmy - odparł Pendergast.

- Przygotowałem wspaniały posiłek. - Fosco wychylił kieliszek i na dany znak Pinketts przyniósł platerowy półmisek wypełniony czymś, co według D'Agosty wyglądało jak zimne zakąski.

- Affettati misti toscani - oznajmił Fosco. - Prosciutto z miejscowego dzika, prawdę mówiąc, sam go ustrzeliłem. Nie spróbuje pan? Finocchiona i soprassata, także własnej roboty.

- Nie, dziękuję.

- Panie D'Agosta? Sierżant nie odpowiedział.

- Szkoda, że nie mamy pod ręką karła, który mógłby kosztować jedzenia. Wyjątkowo nie lubię jeść sam.

Pendergast się pochylił. - Czy możemy odłożyć kolację na bok i od razu przejść do interesów, Fosco? Sierżant D'Agosta i ja nie możemy zostać na noc.

- Jednak nalegam.

- Pańskie naleganie nic nie znaczy. Wyjdziemy, kiedy uznamy za stosowne.

- Nie wyjdziecie - ani dziś wieczorem, ani innego wieczoru, jeśli już o to chodzi. Sugeruję, żebyście jedli. To będzie wasz ostatni posiłek. Bez obawy, nie jest zatruty. Obmyśliłem dla panów znacznie inteligentniejszy koniec.

Odpowiedziało mu milczenie.

Podszedł Pinketts i nalał czerwonego wina. Hrabia zakręcił kieliszkiem, skosztował, skinął głową. Potem spojrzał na Pendergasta.

- Kiedy się pan zorientował, że to ja?

Pendergast, gdy wreszcie odpowiedział, zrobił to powoli. - Na miejscu zabójstwa Bullarda znalazłem fragment końskiego włosa. Wiedziałem, że pochodzi ze smyczka do skrzypiec. W tym momencie

przypomniałem sobie nazwę łodzi Bullarda, „Burzowa Chmura”. Wszystko złożyło się w całość. Zdałem sobie wówczas sprawę, że to wyłącznie plugawa próba kradzieży wykorzystująca morderstwo i zastraszanie. Oczywiście kolejną rzeczą pomyślałem o panu - już od długiego czasu byłem pewien, że cała ta sprawa nie kończy się na Bullardzie.

- Sprytne. Nie sądziłem, że tak szybko się pan połapie, stąd niestosowny pośpiech, by zabić starego księdza. Żałuję tego bardziej, niż umiem wyrazić. Niepotrzebne, głupie. Przeżyłem chwilę paniki.

- Niepotrzebne? - warknął D'Agosta. - Głupie? Mówimy tu o zamordowaniu człowieka.

- Proszę mi oszczędzić tego moralnego absolutyzmu - Fosco pociągnął łyk wina, zwinął na widelcu plaster prosciutto, zjadł, odzyskał pogodę. Spojrzał na Pendergasta. - Jeśli o mnie chodzi, wiedziałem, że będą z panem kłopoty, pięć minut po tym, jak się spotkaliśmy. Kto by się spodziewał, że człowiek pańskiego pokroju wstąpi do policji?

Gdy nie uzyskał odpowiedzi, wzniosł kieliszek w kolejnym toaście.  
- Od pierwszej chwili, gdy pana poznałem, wiedziałem, że będę musiał pana zabić. I oto jesteśmy tutaj.

Pociągnął łyk, odstawił kieliszek. - Miałem nadzieję, że ten idiota Bullard załatwi sprawę. Ale oczywiście zawiódł.

- Naturalnie pan go do tego nakłonił.

- Powiedzmy, że przepelniony obawą, był podatny na sugestie. A teraz sam muszę się tym zająć. Ale najpierw, nie sądzi pan, należą mi się gratulacje za pięknie zrealizowany plan. Odzyskałem skrzypce od Bullarda. I jak pan dobrze wie, Pendergast, nie ma świadków ani

dowodów łączących mnie z morderstwami.

- Ma pan skrzypce. Kiedyś miał je Bullard. To można ustalić bez cienia wątpliwości.

- Zgodnie z prawem należą do rodziny Fosco. Wciąż jeszcze posiadam dowód sprzedaży podpisany osobiście przez Antonia Stradivariiego, a kolejnych właścicieli nie sposób kwestionować. Od śmierci Bullarda minie stosowny czas, potem skrzypce wypłyną w Rzymie. Zaplanowałem wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Przedstawię swoje roszczenia, wypłacę szczęśliwemu antykwariuszowi niewielką nagrodę i skrzypce trafią do mnie swobodnie, bez żadnych przeszkód. Bullard nikomu nie powiedział, dlaczego zabiera instrument z laboratorium, nawet ludziom z własnej firmy Jakże by mógł? - Fosco złośliwie zachichotał. - Jak więc pan widzi, Pendergast, nie ma przeciw mnie niczego, żadnego dowodu. Ale muszę przyznać, że w tych kwestiach zawsze sprzyjało mi szczęście. - Ugryzł kawałek chleba. - Na przykład sedno całej sprawy to niezwykley zbieg okoliczności. Wie pan jaki?

- Mogę się domyślać.

- Trzydziestego pierwszego października 1974 roku, wczesnym popołudniem, w drodze do Biblioteca Nazionale, wpadłem na grupę smarkatych amerykańskich studentów. Zna pan ten typ - tłoczą się we Florencji przez cały rok. Było to popołudnie wigilii Wszystkich Świętych, dla nich oczywiście Halloween, więc pili bez umiaru. Sam młody i niedoświadczony, uznałem ich za tak zdumiewająco wulgarnych, że aż zabawnych. Nawiązaliśmy przelotną znajomość. W którymś momencie jeden z nich - dokładnie Jeremy Grove - zaatakował religię, mówiąc, że Bóg jest wymysłem na użytek słabych

umysłów. Zirytowała mnie jego bezczelna arogancja. Oznajmiłem, że nie mogę niczego powiedzieć w kwestii istnienia Boga, ale wiem jedno: diabeł istnieje.

Fosco roześmiał się cicho, cała jego ogromna postać się trzęsła.

- Wszyscy energicznie zaprzeczyli istnieniu diabła. Powiedziałem, że mam przyjaciół, którzy parają się okultyzmem, i że sam również posiadam stary pergamin, który zawiera formuły pozwalające wywołać Lucyfera. Że jeszcze tej nocy możemy rozstrzygnąć tę kwestię. Moment był przecież idealny, Halloween. Czy chcieliby spróbować? O tak, odparli. Co za wspaniałe pomysły!

Fosco znów zatrzęsł się z rozbawienia.

- Więc urządził pan dla nich przedstawienie.

- Właśnie. Zaprosiłem ich do swojego zamku na seans o północy, a potem pospiesznie wróciłem, żeby wszystko przygotować. Świetnie się bawiłem. Pinketts pomógł - a nawiasem mówiąc, nie jest wcale Anglikiem, to służący nazwiskiem Pinchetti, jednocześnie zdolny językoznawca i miłośnik intrygi. Mieliśmy zaledwie sześć godzin, ale dobrze się sprawiliśmy. Zawsze byłem majsterkowiczem, budowniczym maszyn i gadżetów, a przypadkiem także projektantem fuochi d'artificio - fajerwerków. W tutejszych piwnicach znajdują się wszelkiego rodzaju sekretne przejścia, pułapki i ukryte drzwi i w pełni je wykorzystaliśmy. To była pamiętna noc! Powinien pan być widzieć ich twarze, kiedy wyrecytowaliśmy zaklęcie, poprosiliśmy księcia ciemności, by dał im wielkie bogactwa, zaoferowaliśmy w zamian ich dusze, nakłuliśmy palce i podpisali cyrografy krwią - szczególnie kiedy Pinketts zaczął przedstawienie. - Fosco odchylił się na oparcie, zanosząc śmiechem.

- Przeraził ich pan. Beckmanna do tego stopnia, że zrujnowało mu to życie.

- Wszystko to była dobra zabawa. Jeżeli wstrząsnęła nieco ich żalosną pewnością siebie, tym lepiej. Poszli swoją drogą, ja swoją. I oto zdarza się zbieg okoliczności tak wspaniały, że widzę w nim przeznaczenie: trzydzieści lat później z przerażeniem odkrywam, że jeden z tych filistynów zdobył „Burzową Chmurę”.

- Jak się pan dowiedział? - zapytał Pendergast.

- Poszukiwałem „Burzowej Chmury” niemal przez całe dorosłe życie, panie Pendergast. Swoim życiowym celem uczyniłem zwrócenie skrzypiec rodzinie. Odwiedził pan lady Maskelene, więc zna pan ich historię. Miałem całkowitą pewność, że Toscanelli nie wrzucił ich do wodospadu na płaskowyżu Sciliar. Jakże by mógł? W całym swoim szaleństwie lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, co przedstawiają sobą te skrzypce. Ale jeśli ich nie zniszczył, co się z nimi w takim razie stało? Odpowiedź nie jest wcale tajemnicza. Zamarzył na śmierć w chacie pasterza na zboczach Sciliar, a potem spadł śnieg. Na śniegu nie było żadnych śladów. To oczywiste, ktoś znalazł go martwego, ze skrzypcami, zanim spadł śnieg, i ukradł instrument. A kto taki? To równie oczywiste: właściciel owej chaty.

Pinketts błyskawicznie sprzątnął talerz, a potem wrócił z następnym, pełnym tortelloni z masłem i szalwią. Fosco zabrał się do nich z apetytem.

- Pamięta pan, kiedy mówiłem, że Kocham pracę detektywa? Mam do niej wyjątkowy talent. Szedłem tropem „Burzowej Chmury” od pasterza do jego bratanka, dalej przez bandę Cyganów do sklepu w Hiszpanii i sierocińca na Malcie - wędrowały różnymi drogami. Drzę



na myśl, ile razy zostawiano je na słońcu, pakowano do pudła z kilkoma żdźbłami słomy i rzucono na pakę ciężarówki, zostawiano bez opieki w jakimś szkolnym audytorium. *Mio Dio!* A jednak przetrwały. Znalazły się w końcu we Francji, gdzie z masą bezwartościowych instrumentów sprzedano je pewnemu liceum. Jakiś niezgrabiasz z orkiestry upuścił instrument, odłamał kawałek główki, więc zostały zawiezione do naprawy do warsztatu lutniczego w Angouleme. Człowiek, do którego należał warsztat, rozpoznał je i odesłał w zastępstwie inny instrument. - Fosco cmoknął z dezaprobatą. - Cóż to musiała być dla niego za chwila! Wiedział, że nigdy nie uzyska tytułu własności do skrzypiec, więc przeschmuglował je do Ameryki i cichcem wystawił na sprzedaż. Długo trwało, zanim znalazł kupca. Kto chciałby stradivariususa, jeśli nie można na nim oficjalnie grać? Jeżeli nie można uzyskać oficjalnie prawa własności? Jeżeli w każdej chwili mogą zostać odebrane? Ale w końcu znalazł kupca - w osobie Locke'a Bullarda. Dwa miliony dolarów - tylko tyle! Dowiedziałem się po trzech miesiącach od sfinalizowania transakcji.

Przez twarz Fosca przebiegł ponury grymas wściekłości ginąc raptownie, gdy Pinketts wniósł następne danie, bistecca fiorentina, skwierczące od ognia. Fosco odkroił kawałek prawie surowego mięsa, włożył do ust, przeżuł.

- Miałem szczerą chęć odkupić je od Bullarda, nawet płacąc ładną sumkę, i to mimo faktu, że od początku były moje. Ale nigdy nie doszedłem do etapu złożenia oferty. Widzi pan, Bullard zamierzał zniszczyć skrzypce.

- Żeby odkryć sekretne formuły Stradivariego, raz na zawsze?

- Właśnie. A wie pan dlaczego?

- Wiem, że Bullard nie zajmował się produkcją skrzypiec ani nie interesował muzyką.

- To prawda. Ale wie pan, czym zajmowała się jego firma BAI? I Chińczycy?

Pendergast nie odpowiedział.

- Pociski, drogi panie. Pracował nad raketami balistycznymi. Dlatego potrzebował tych skrzypiec!

- Gówno prawda! - wciął się DAgosta. - Nie ma możliwości, żeby coś łączyło trzystuletnie skrzypce i raketę balistyczną.

Fosco go zignorował. Nadal patrzył na Pendergasta. - Wyczuwam, że wie pan więcej, niż zdradza, szanowny panie. W każdym razie spenetrowałem jego laboratorium przy pomocy szpiega, którego zatrudniłem. Biedak skończył ze zmiażdżoną czaszką. Ale zanim to się stało, powiedział mi, co Bullard zamierza zrobić ze skrzypcami.

Nachylił się z oczyma błyszczącymi oburzeniem. - Chińczycy, widzi pan, skonstruowali pocisk, który teoretycznie mógłby przejść przez opracowywaną przez Stany Zjednoczone tarczę antyraketową. Ale mieli problem: ich rakiety ulegały zniszczeniu przy ponownym wchodzeniu w atmosferę. Aby pocisk był niewidzialny dla radaru, rozumie pan, nie może mieć żadnych zakrzywionych ani odbijających powierzchni. Proszę tylko spojrzeć na dziwne kanciaste kształty waszych myśliwców i bombowców stealth. A tu nie chodziło o bombowiec, który leci sześćset mil na godzinę; to była raketa balistyczna, która ponownie wchodzi w atmosferę z prędkością dziesięć razy większą. Ich testowe pociski rozpadały się z powodu niekontrolowanych wibracji przy wchodzeniu w atmosferę.

Pendergast niemal niezauważalnie skinął głową.

- Naukowcy Bullarda zdali sobie sprawę, że rozwiązanie problemu leży w przepisie Stradivariego na pokost. Wyobrażacie sobie? Otóż dla tego pokostu kluczowe znaczenie ma fakt, że po latach grania tworzy miliardy mikroskopijnych pęknięć i szczelin, zbyt małych, by je zobaczyć. Są wyjątkowo skuteczne w tłumieniu i ocieplaniu dźwięku instrumentu. Dlatego też na tych skrzypcach trzeba regularnie grać - w innym wypadku szczeliny i pęknięcia zaczynają się zasklepiać. Bullard projektował dla tych chińskich pocisków najwyższej jakości powłokę, która zrobiłaby to samo - powłokę mającą miliardy mikroskopijnych pęknięć, by tłumić wibracje przy ponownym wchodzeniu w atmosferę. Ale musiał dokładnie znać ich fizyczne właściwości, wiedzieć, dlaczego działają, jak działają. Musiał wiedzieć, jak te pęknięcia rozchodzą się w pokoście w trzech wymiarach, jak wygląda ich kontakt z drewnem, jakiej są szerokości, długości i głębokości, jak się ze sobą łączą.

Fosco zamilkł na czas wystarczająco długi, aby zjeść trochę steku i pociągnąć wina.

- Żeby się tego dowiedzieć, Bullard musiał pociąć strada ze złotego okresu. Każdy by się nadawał, ale żaden nie był na sprzedaż, zwłaszcza dla niego. A potem na czarnym rynku pojawiła się „Burzowa Chmura”. Ecco fatto!

D'Agosta z mieszaniną obrzydzenia i niedowierzania przyglądał się, jak hrabia ociera czerwone tłuste wargi wielką serwetką. Wydawało się to niegodziwe, niewiarygodne.

- Teraz pan rozumie, Pendergast, czemu musiałem sięgnąć po takie środki. Dla Bullarda skrzypce były warte miliard już tylko z powodu samej umowy z Chińczykami. A kolejne pieniądze pojawiłyby się w

chwili ponownej sprzedaży technologii czeredzie innych chętnych kupców. Musiałem odzyskać skrzypce szybko, zanim je zniszczy. Zdążył już przewieźć je do swojego włoskiego laboratorium, gdzie znajdowały się pod ochroną właściwie nie do pokonania. Tak więc musiałem wkroczyć. Skorzystałem z jedyne go punktu zaczepienia, jaki miałem: naszego pierwszego i jedyne go spotkania sprzed trzydziestu lat. Musiałem nastraszyć Bullarda tak, żeby oddał skrzypce!

- Mordując innych, którzy wzięli udział w tym teatralnym wywoływaniu diabła.

- Tak. Musiałem zabić Grove'a, Beckmanna i Cutfortha, aranżując każdy przypadek w taki sposób, jakby diabeł zjawił się w końcu po ich dusze. Beckmann, jak się wydawało, zniknął, więc zostali tylko Grove i Cutforth. Tylko dwaj. Cokolwiek bym robił, musiało być absolutnie przekonujące. Bullard był ignorantem, arogantem niemal pozbawionym uczuć religijnych. Musiałem ich zabić w sposób tak wyjątkowy i potworny, żeby policja stanęła bezradna, zaczęło się gadanie o diable - i co najważniejsze, aby przekonało to Bullarda. Oczywiście musiał to być ogień. I tak właśnie doszedłem do opracowania mojego przyrząd ziku. Ale to już inna historia.

Przerwał na kolejny łyk wina.

- Scenę śmierci Grove'a przygotowałem z wielką starannością. Zacząłem od tego, że zadzwoniłem i zaniepokoiłem go opowieścią o okropnym nawiedzeniu, którego doświadczyłem, o tym, jak to obawiam się, że Lucyfer po nas idzie z powodu tej ceremonii sprzed lat, jak to musimy coś zrobić. Z początku był sceptyczny, więc na moje polecenie Pinketts zorganizował w jego domu parę epizodów

dramatycznych. Dziwne dźwięki, zapachy i tym podobne. To zadziwiające, jak kilka rekwizytów może podważyć pewność nawet najbardziej aroganckiego człowieka. Zaczął się obawiać. Zaproponowałem coś w rodzaju odkupienia grzechów, stąd to szczególne przyjęcie. Pożyczyłem swój ukochany krzyż. Ten głupiec dał mi klucze do domu, kody do systemu alarmowego - wszystko, czego potrzebowałem.

Jego śmierć zadziałała w czarodziejski sposób. Niemal natychmiast zadzwonił do mnie Bullard. Starannie pilnowałem, żeby wszystkie telefony wykonywać przy użyciu karty telefonicznej, której nie da się wyśledzić. Dalej grałem rolę przestraszonego hrabiego. Powiedziałem mu o dziwnych rzeczach, które mnie spotykają, o zapachu siarki, odgłosach, nieprzyjemnym uczuciu mrowienia - o tym wszystkim, co oczywiście miało później jemu się przydarzyć. Udawałem głębokie przekonanie, że diabeł przybywa po nas wszystkich: w końcu w pakcie zawartym trzydzieści lat wcześniej zaoferowaliśmy mu swoje dusze. Diabeł wypełnił swoją część umowy, teraz czas, żebyśmy my wypełnili swoją.

Zostawiłem Bullarda, żeby to przetrawił - nadszedł czas, by załatwić sprawę z Cutforthem. Pinketts, udając angielskiego baroneta, nabył apartament sąsiadujący z jego mieszkaniem, żeby pomóc w różnych, hm, przygotowaniach. Podobnie jak Grove, Cutforth z początku wyśmiał wszystkie obawy. Był przekonany, że moje przedstawionko w siedemdziesiątym czwartym było oszustwem. Ale kiedy ujawniono szczegóły śmierci Grove'a, zaczął się robić coraz bardziej nerwowy. Nie chciałem, żeby stał się zbyt nerwowy - wystarczyło, aby zadzwonił do Bullarda i jeszcze bardziej

go zaalarmował. Co też, oczywiście, zrobił.

Fosco roześmiał się sucho.

- Po śmierci Cutfortha wasze wulgarne szmatławce znakomicie podgrzały atmosferę, doprowadzając ludzi do szaleństwa. Idealna sytuacja. I Bullard pękł. Odchodził od zmysłów. Potem colpo di grazia zadzwoniłem do Bullarda i powiedziałem, że zdołałem anulować swój pakt z Lucyferem!

Fosco z uciechą klasnął w ręce. D'Agosta, który na to patrzył, poczuł, że wywraca mu się żołądek.

- Rozpaczliwie chciał wiedzieć jak. Oświadczyłem, że znalazłem starodawny manuskrypt z wyjaśnieniem, iż diabeł czasami przyjmuje prezent w zamian za ludzką duszę. Ale musi to być podarunek rzeczywiście wyjątkowy, coś wielkiej rzadkości, czego strata umniejszy ludzkiego ducha. Powiedziałem mu, że poświęciłem na ten cel swojego Vermeera.

- Biedny Bullard mało nie wyszedł z siebie. Nie ma Vermeera, oznajmił, ani niczego wartościowego oprócz łodzi, samochodów, domów i firm. Błagał, żebym mu doradził, co powinien kupić, co powinien dać diabłu. Powiedziałem, że musi to być coś unikalnego i cennego, przedmiot, którego strata zuboży świat. Dodałem, że nie potrafię mu doradzić - naturalnie nie mógł wiedzieć, że mam świadomość istnienia „Burzowej Chmury” - po czym oświadczyłem, że bardzo mi się poszczęściło z Vermeerem, bo diabeł z pewnością nie przyjąłby mojego Caravaggia!

Fosco wybuchnął śmiechem z własnego żartu.

- Powiedziałem Bullardowi, że cokolwiek by to było, diabeł musi otrzymać ową rzecz natychmiast. Zbliżała się trzydziesta rocznica

zawarcia naszego paktu. Grove i Cutforth już nie żyli. Nie miał dość czasu, by pozyskać coś odpowiednio niepowtarzalnego. Przypomniałem mu też, że diabeł będzie w stanie przejrzeć jego serce, że tego staruszka nie da się oszukać, więc lepiej, by to, co zaproponuje, wyrównywało rachunek - albo jego dusza będzie wiecznie płonąć.

- Wtedy właśnie ostatecznie się załamał i wyznał, że ma niezwykle rzadkie skrzypce, stradivariususa o nazwie „Burzowa Chmura” - czy to się nada? Odparłem, że nie mogę się wypowiadać w imieniu diabła, ale - ze względu na jego dobro - mam taką nadzieję. Pogratulowałem mu, że ma takie szczęście.

Fosco przerwał, by umieścić w ustach kolejny kawałek ociekającego tłuszczem mięsa. - Ja sam wróciłem do Włoch oczywiście znacznie wcześniej, niż pan sądził. Byłem tu, jeszcze zanim przybył Bullard. Wygrzebałem z tutejszej biblioteki stary grimoir, dałem mu, kazałem odprawić rytuał i umieścić skrzypce we wnętrzu przerwanego kręgu. On sam miał być chroniony we własnym nieprzerwanym kręgu. Ale musi odesłać całą służbę, wyłączyć system alarmowy i tak dalej - diabeł nie lubi, żeby mu przeszkadzać. Biedak zrobił, co kazałem. Zamiast diabła posłałem tam Pinkettsa, który, powiadam wam, jest wystarczająco demoniczny. Z teatralnymi efektami i przebraniem. Zabrał skrzypce i odszedł, podczas gdy ja użyłem swojego przyrządźdiku, żeby rozprawić się z Bullardem.

- Po co ta maszyna i teatralne przygotowania? - cicho zapytał Pendergast. - Czemu nie wpakować mu kuli? Nie było już potrzeby straszyć ofiary.

- Ależ na pański użytek, drogi panie! W ten sposób chciałem sprowokować policję, zatrzymać panów dłużej we Włoszech, gdzie łatwiej będzie się was pozbyć.

- Czy tak łatwo przyjdzie się nas pozbyć, pozostaje sprawą otwartą. Fosco zachichotał z wielkim zadowoleniem. - Niewątpliwie jest pan przekonany, że ma jakiś argument przetargowy, w innym wypadku nie przyjąłby pan zaproszenia.

- Zgadza się.

- O czymkolwiek pan myśli, nie będzie wystarczające. Równie dobrze możecie się już uważać za martwych. Znam pana lepiej, niż pan sądzi. Znam pana, ponieważ jest pan taki jak ja. Bardzo podobny.

- Nie może się pan bardziej mylić, hrabio. Nie jestem mordercą... D'Agosta z zaskoczeniem zauważył na twarzy Pendergasta słaby rumieniec.

- Nie, ale mógłby pan być. Ma to pan w sobie. Widzę to.

- Niczego pan nie widzi.

Fosco skończył stek i teraz wstał. - Uważa mnie pan za złego człowieka. Nazwał pan całą sprawę plugawą. Ale proszę się zastanowić, co zrobiłem. Uratowałem najwspanialsze skrzypce świata przed zniszczeniem. Udaremniłem Chińczykom penetrację projektowanej przez Stany Zjednoczone tarczy antyrakietowej, likwidując zagrożenie dla milionów pańskich współobywateli. I jakim kosztem? Życia pederasty, zdrajcy, producenta muzyki popularnej, który zapełniał świat plugastwem, i bezbożnej duszy niszczącej każdego, z kim się zetknęła.

- Nie włączył pan do tej kalkulacji naszego życia.



Fosco skinął głową. - Tak. Waszego i nieszczęsnego księdza. To rzeczywiście godne pożałowania. Ale jeśli mam powiedzieć prawdę, poświęciłbym dla tego instrumentu życie nawet stu osób. Jest pięć miliardów ludzi. I tylko jedna „Burzowa Chmura”.

- Nie są warte nawet jednego ludzkiego życia. - D'Agosta usłyszał własny głos.

Fosco odwrócił się, z brwiami uniesionymi w zdziwieniu. - Nie? Klasnął w ręce. W drzwiach pojawił się Pinketts.

- Przynieś skrzypce.

Mężczyzna zniknął i po chwili wrócił ze starym drewnianym pudłem o kształcie małej czarnej trumny pokrytej patyną wieków. Umieścił je na stole i wycofał się do kąta.

Fosco wstał i podszedł do futerału. Wyjął smyczek, mocniej naciągnął włosie, parę razy przesunął po nim kalafonią, a potem powoli, z miłością wydobyl same skrzypce. W oczach D'Agosty wyglądały zupełnie zwyczajnie: po prostu skrzypce, starsze niż inne. Trudno uwierzyć, że zaprowadziły ich tak daleko, kosztowały życie tylu osób.

Fosco umieścił je pod brodą, stał wysoki i wyprostowany. Nastąpiła chwila ciszy, gdy westchnął, przymykając oczy. A potem smyczek zaczął się powoli przesuwać po strunach, wydobywając czyste nuty. Była to jedna z niewielu klasycznych melodii, które D'Agosta potrafił rozpoznać, dziadek śpiewał mu ją, kiedy był dzieckiem: Bacha Jezu, radości ludzkiego pragnienia. Prosta melodia, nuty wznosiły się rytmicznie jedna po drugiej w pełnej godności kadencji, wypełniając powietrze pięknym dźwiękiem.

Pokój nagle się zmienił, jakby zalała go transcendentna jasność.

Czystość drżących dźwięków zaparła D'Agoście dech. Melodia wypełniła go jak obecność, słodka i czysta, mówiąca językiem bez słów. Językiem czystego piękna.

A potem melodia się skończyła. To było jak gwałtowne przebudzenie ze snu. Vincent zdał sobie sprawę, że na chwilę zapomniał o wszystkim: o Foscu, zabójstwach, ich własnej ryzykownej sytuacji. Teraz to wszystko wróciło ze zdwojoną mocą, jeszcze gorsze, bo przez moment zapomniane.

Cisza trwała, gdy Fosco opuścił skrzypce. Wreszcie odezwał się szeptem, głos mu drżał. - Rozumie pan teraz? To nie jakieś zwykłe skrzypce. One żyją. Czy rozumie pan, D Agosta, czemu dźwięk stradivariususa jest taki piękny? Ponieważ jest śmiertelny. Ponieważ jest jak bicie ptasiego serca w locie. Przypomina, że wszystko, co piękne, musi umrzeć. Absolutne piękno muzyki w jakiś sposób odbija się w jej ulotności i kruchości. Oddycha przez jeden olśniewający moment - a potem się kończy. Na tym polegał geniusz Stradivariego: zamknął ten moment w drewnie i pokoście. Unieśmiertelnił śmiertelność.

Spojrzał na Pendergasta oczyma szaleńca. - Tak, muzyka zawsze umiera. Ale one - uniósł skrzypce - nigdy nie umrą. Przeżyją nas wszystkich stukrotnie. A teraz proszę mi powiedzieć, że źle postąpiłem, ratując te skrzypce, panie Pendergast. Proszę, niech pan powie, że dopuściłem się zbrodni.

Pendergast milczał.

- Ja to powiem - oświadczył D'Agosta. - Jest pan zimnokrwistym mordercą...

- A, tak - mruknął Fosco. - Zawsze można liczyć, że filistyn

zaprowadzi moralność absolutną. - Ostrożnie przetarł skrzypce miękką szmatką i odłożył. - Przy całej swojej urodzie nie są w najlepszym stanie. Trzeba na nich więcej grać. Ćwiczę codziennie, z początku po piętnaście minut, teraz do pół godziny. Ich stan już zaczyna się poprawiać. Kolejne sześć miesięcy i znów będą w idealnej formie. Wypożyczę je Renacie Lichtenstein. Zna ją pan? Pierwsza kobieta, która wygrała Konkurs Czajkowskiego, dziewczyna zaledwie osiemnastoletnia, ale już boski geniusz. Tak, Renata będzie na nich grać i zyska sławę i podziw. A potem, kiedy nie będzie już mogła grać, mój dziedzic wypożyczy je komuś innemu, jego spadkobierca znów komuś i tak będzie to trwało przez stulecia.

- Ma pan dziedzica? - zapytał Pendergast.

D'Agostę pytanie zaskoczyło. Ale Fosca nie, wydawało się, że powitał je z radością.

- Bezpośredniego dziedzica nie mam. Ale nie zwlekając, postaram się o syna. Poznałem właśnie najbardziej czarującą kobietę. Jedyna niedogodność, że to Angielka, ale przynajmniej może pochwalić się włoskim pradziadkiem. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Na oczach D'Agosty Pendergast zbladł. - Ma pan groteskowe urojenia, jeśli sądzi pan, że ona pana poślubi.

- Wiem, wiem. Hrabia Fosco jest gruby, odrażająco gruby. Ale nie docenia pan siły zręcznego języka, gdy chodzi o zawładnięcie kobiecym sercem. Lady Maskelene i ja spędziliśmy cudowne popołudnie na wyspie. Oboje należymy do arystokracji. Rozumiemy się. - Poklepał się po kamizelce. - Może nawet przejdę na dietę.

Po tym stwierdzeniu nastąpiła krótka cisza. Potem odezwał się Pendergast: - Pokazał nam pan skrzypce. Czy możemy zobaczyć teraz

ten przyrząd, o którym pan opowiadał? Którego użył pan do zabicia przynajmniej czterech osób?

- Z największą przyjemnością. Jestem z niego bardzo dumny. Nie tylko go panom pokażę, ale także zademonstruję jego działanie.

D'Agosta poczuł dreszcz. „Zademonstruję?”

Fosco skinął na Pinkettsa, który zabrał skrzypce i wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił ze sporą aluminiową walizką. Fosco ją otworzył, unosząc wieko i odsłaniając kilka kawałków metalu spoczywających na szarej piankowej wyściółce. Zaczął je wyjmować, skręcać. Potem odwrócił się i kiwnął na D'Agostę.

- Czy mógłby pan tam stanąć, sierżancie? - zapytał cicho.



- Buck! - Krzyknęła ponownie Hayward, walcząc z nieomal obezwładniającą paniką. - Nie pozwól im tego zrobić! - Beznadziejne, jej głos utonął w ryku tłumu, a Buck był w swoim namiocie, za zamkniętą klapą wejściową, niewidoczny za murem ludzi.

Tłum napierał coraz mocniej, pętla się zaciskała. Prowodyr, adiutant Bucka, wspierany przez rozszalały tłum za nim, uniósł rękę z kamieniem. Patrząc na niego, Hayward widziała rozszerzone źrenice, ruszające się nozdrza. Znała to spojrzenie, tak wygląda ktoś, kto ma uderzyć.

- Nie rób tego! - krzyknęła. - To nie o to wam chodzi! Zaprzeczylibyście wszystkiemu, czym jesteście!

- Milcz, centurionie! - krzyknął Todd.

Potknęła się, zaraz wyprostowała. Nawet w chwili ekstremalnego niebezpieczeństwa wiedziała, że nie może okazać strachu. Nie spuszczała wzroku z Todda - on był największym zagrożeniem, jak beczka prochu - jedną rękę przesunęła bliżej broni. W ostateczności, naprawdę w ostateczności, będzie musiała jej użyć. Oczywiście, kiedy już to zrobi, nastąpi koniec. Ale nie miała zamiaru ginąć jak kot zagryziony przez stado psów.

„Coś tu jest nie tak”. Coś się działo, rozgrywało się coś, czego nie rozumiała.

Krzyki tłumu, dziwaczne epitety były bez sensu. „Centurion.

Żołnierz Rzymu". Co to za mowa? Coś, co Buck subtelnie podpowiadał w swoich kazaniach? A Buck, dlaczego wydawał się rozczarowany, kiedy przyszła, i po prostu odszedł? Skąd to szkliste, wyczekujące spojrzenie? Coś się z nim stało od ostatniego spotkania.

„Co takiego?”

- Błuznierczyni! - wrzasnął Todd. Podeszedł krok bliżej.

Tłum zareagował, zaciskając się wokół Hayward. Zostało jej zaledwie tyle miejsca, żeby się odwrócić. Czuła na karku czyjś zjętcały oddech, serce biło jak oszalałe. Ręka sama zbliżyła się w stronę rękojeści rewolweru.

W tym jest jakiś sens, gdyby tylko mogła go dostrzec. Musi być.

Starła się myśleć racjonalnie. Dla niej jedynym wyjściem był Buck. Nic innego.

Szybko przebiegła myślą swoje zapasy wiedzy na temat psychologii zbrodni, rozważyła możliwe motywy postępowania Bucka. Co powiedział Wentworth? „Możliwa schizofrenia paranoidalna, możliwy kompleks mesjanistyczny". W głębi ducha nadal była przekonana, że Buck nie jest schizofrenikiem.

Ale kompleks mesjanistyczny?

„Potrzeba bycia Mesjaszem". Być może - tylko być może - Wentworth miał w tym wypadku więcej racji, niż podejrzewał.

Nagle doznała olśnienia, zrozumiała. Wszystkie nowe nadzieje Bucka, nowe pragnienia, stały się dla niej jasne. Tu nie chodziło o rzymskich katolików. Mówili o prawdziwych Rzymianach. Pogańskich Rzymianach. Centurionach. Żołnierzach, którzy przyszli aresztować Jezusa.

Nagle zrozumiała, jaki scenariusz odgrywa Buck. Dlatego ją

zignorował, wchodząc do namiotu. Nie pasowała do jego wizji tego, co miało nastąpić.

Odwróciła się twarzą do tłumu i przemówiła najgłośniejszym głosem, jak potrafiła. - Kohorta żołnierzy nadchodzi aresztować Bucka!

Efekt był natychmiastowy. Krzyki na chwilę osłabły, cisza rozeszła się od frontu do tyłu, jak fala po kamieniu wrzuconym do stawu.

- Słyszeliście?

- Żołnierze nadchodzą!

- Nadchodzą! - zachęcająco krzyknęła Hayward.

Tłum podjął ten okrzyk, tak jak na to liczyła, działając jak megafon skierowany do Bucka. - Żołnierze nadchodzą! Centurioni nadchodzą!

Tłum się poruszył, to było coś w rodzaju westchnienia. Gdy jedna z grup cofnęła się, Hayward zobaczyła Bucka, który ponownie pojawił się w wejściu do namiotu. Tłum dosłownie kipiał w oczekiwaniu. Todd raz jeszcze podniósł kamień i zawahał się.

Właśnie takiej szansy potrzebowała. Krótkiej chwili, by wezwać Rockera. Wyjęła radio i pochyliła się do przodu, w ten sposób kryjąc się przed tłumem.

- Panie komisarzu! - zawołała.

Przez moment był tylko szum. Potem z maleńkiego trzeszczącego głośniczka doleciał głos Rockera.

- Co się tam, do cholery, dzieje, pani kapitan? Brzmi jak zamieszki. Mobilizujemy się, wchodzimy natychmiast i ratujemy pani dupę...

- Nie! - ostro powiedziała Hayward. - To będzie krwawa łaźnia!

- Rozmawia przez radio! - wrzasnął Todd. - Zdrajczyń!

- Sir, proszę mnie posłuchać. Przyślijcie trzydziestu trzech ludzi. Dokładnie trzydziestu trzech. I jednego policjanta w cywilu, z tych, którzy prowadzili wywiad w obozowisku ubrani jak zwolennicy Bucka. Przyślijcie jednego z nich. Tylko jednego.

- Pani kapitan, nie rozumiem, co...

- Niech się pan zamknie i słucha. Buck musi odegrać rolę Chrystusa. Tak się postrzega. Jest barankiem ofiarnym Nowego Jorku. Tylko tak można wytłumaczyć jego zachowanie. Musimy podjąć grę, dać mu to odegrać. Wywiadowca w cywilu jest przynętą, jest Judaszem, musi objąć Bucka. Słyszysz pan, sir? Musi objąć Bucka. A wtedy policjanci wchodzą i zakładają kajdanki. Proszę to zrobić, komisarzu, i nie będzie zamieszek. Buck pójdzie spokojnie. W przeciwnym razie...

- Ale trzydziestu ludzi? To za mało...

- Trzydziestu trzech. Jak w rzymskiej kohorcie.

- Zabrać jej radio! - Ktoś potrącił Hayward. Odwróciła się, chroniąc radio.

- Czy pani mi mówi, że Buck myśli...

- Proszę po prostu to zrobić, sir. Teraz...

Hayward poczuła silne pchnięcie z tyłu. Radio wypadło jej z ręki i poleciało w tłum.

- Wysłanniczka ciemności!

Hayward nie miała pojęcia, czy Roker zrozumiał. Co więcej, nie wiedziała, jak zachowa się tłum. Buck może i ma scenariusz, ale czy rozhisteryzowany motłoch będzie się go trzymał?

Spojrzała w stronę Bucka, który brnął przez tłum. - Zróbcie przejście dla żołnierzy Rzymu! - krzyknęła. - Zróbcie przejście! -



Wskazała na południowy zachód, skąd, jak wiedziała, miała nadejść policja.

Niebywałe. Ludzie odwracali się, patrząc. Nawet Buck. Stał tam, spokojny i wysoki, czekając na rozpoczęcie spektaklu.

- Nadchodzą! - krzyczeli inni. - Nadchodzą!

Zrobiło się zamieszanie, przepychanie, kiedy pozostała część grupy zaczęła się zbroić w kije i kamienie. Nagle Buck podniósł w górę ręce, starając się coś powiedzieć. Tłum przycichł.

- Zaraz przemówi! - wołali ludzie. - Cisza!

Buck odezwał się głębokim, przenikliwym głosem: - Zróbcie przejście dla centurionów.

Wziął wszystkich z zaskoczenia. Niektórzy silniej zacisnęli dłonie na prowizorycznej broni, inni spoglądali przez ramię w stronę, z której miała nadejść policja. Jeszcze inni patrzyli na Bucka, niepewni, czy dobrze słyszą.

- Jest tak, jak powinno się stać - zawołał Buck. - Nadszedł czas, aby spełniło się to, co zapowiada proroctwo. Zróbcie przejście, bracia i siostry, zróbcie przejście.

Okrzyk został podjęty, najpierw nierówno, potem z rosnącą pewnością. - Zróbcie przejście!

- Nie walczyjcie z nimi! - krzyknął Buck. - Odrzućcie broń! Zróbcie przejście centurionom!

- Zróbcie przejście centurionom!

Buck rozłożył ręce i tłum z wahaniem zaczął się przed nim rozstępować.

Patrząc na to, Hayward czuła falę gorąca rozlewającą się po ciele. To działa. Nie znajdowała się już w centrum uwagi. Tylko Todd,

adiutant, wyglądał, jakby nie zaakceptował zmiany. Wciąż prznosił wzrok z niej na Bucka i z powrotem, jakby szaleństwo chwili poniosło go za daleko, by zmienić kierunek.

- Zdrajczyni! - warknął.

W tej chwili jak na komendę wśród odległych drzew pojawiła się falanga policjantów biegnących w ich kierunku. Rocker jednak zrozumiał, stanął na wysokości zadania. Dotarli do obrzeży tłumu, przepychając się i odsuwając ludzi na boki tarczami. Ale na skutek nawoływań Bucka, ci już zaczęli się cofać.

- Przepuście ich! - wołał Buck z rozpostartymi ramionami. Teraz policjanci gnali utworzoną dla nich alejką, tratując namioty i odpychając maruderów. Kiedy wdarli się na pusty obszar przed namiotem Bucka, nastąpiła chwila paniki i szamotaniny. Todd uniósł kamień z twarzą wykrzywioną furją. - Ty to zrobiłaś, ty suko...!

Kamień poleciał i uderzył Hayward bokiem w skroń. Zatoczyła się, upadła na kolana, czując strumyczek gorącej krwi.

Nagle Buck był przy niej, otoczył ją silnymi ramionami, podniósł i powstrzymał tłum ruchem dłoni. - Odłóżcie miecze! Oni przyszli mnie pojmać, a ja pójdę z nimi w pokoju. Taka jest wola boża!

Hayward patrzyła na Bucka oszołomiona. Delikatnie przykładał do jej rany śnieżnobiałą chusteczkę. - Przestańcie, dosyć - mruknął. Twarz mu promieniała, przepelniona światłem.

„Oczywiście - pomyślała. - Nawet to należy do scenariusza”.

Zrobiło się jeszcze większe zamieszanie. Ktoś objął Bucka - nareszcie znak - usłyszała, jak wielebny mówi: - Judaszu, wydajesz mnie pocałunkiem? - Wszędzie dookoła pojawili się policjanci i odciągnęli go od niej. Skaleczenie na głowie krwawiło i trochę ją

zamroczyło.

- Kapitan Hayward? - usłyszała czyjeś wołanie. - Kapitan Hayward jest ranna!

- Ranny oficer! Sanitariusza!

- Kapitan Hayward, dobrze się pani czuje? Zaatakował panią?

- Nic mi nie jest - powiedziała, otrząsając się z zamroczenia, podczas gdy policjanci tłoczyli się wokół, starając się pomóc. - To nic, zadrapanie. To nie Buck.

- Ona krwawi!

- Dajcie spokój, to drobiazg. Puśćcie mnie. - Puścili ją z ociążaniem.

- Kto to był? Kto panią zaatakował?

Todd się na nią gapił, wstrząs przywrócił mu ludzkie uczucia, był przerażony tym, co zrobił.

Hayward spojrzała w inną stronę. Kolejne aresztowanie w tej chwili mogłoby się skończyć katastrofą. - Nie wiem, pojawił się nie wiadomo skąd. Mniejsza z tym.

- Zaprowadzimy panią do karetki.

- Sama pójdę - powiedziała, odsuwając kolejną pomocną dłoń. Czuła zażenowanie. To był drobiazg. Rany skóry głowy zawsze obficie krwawią. Rozejrzała się, mrugając. Tłum ogarnęła wielka cisza. Policjanci założyli Buckowi kajdanki, uformowali wokół niego półkole i już go wyprowadzali. Tłum przyglądał się, oniemiały, podczas gdy Buck nawoływał, żeby zachowali ciszę, spokój, żeby nikogo nie krzywdzili.

- Wybaczcie im - powiedział. - Nie wiedzą, co czynią. Chwila minęła. Buck kazał im odstąpić i byli mu posłuszni. Było po

wszystkim.

D'Agosta z miejsca wyciągnął służbowy pistolet i wycelował w hrabiego. - Nie ma, kurwa, mowy - oświadczył.

Hrabia zapatrzył się na broń, wzdychając protekcjonalnie. - Odłóż ten pistolet, głupcze. Pinketts?

Służący, który wyszedł z pokoju, wrócił teraz, niosąc w objęciach sporą dynię. Ustawił ją na podłodze przed kominkiem.

- To prawda, sierżancie, demonstracja na panu byłaby znacznie bardziej obrazowa, ale powstałby taki bałagan. - Fosco ponownie zajął się montażem urządzenia.

D'Agosta powoli się cofnął, wsuwając jednocześnie broń do kabury. Tak się złożyło, że wyciągając broń, dostrzegł nowe rozwiązanie. Obaj z Pendergastem byli uzbrojeni. Przy pierwszym sygnale, że zanoszą się na kłopoty, bez wahania zdejmie i hrabiego, i Pinkettsa. Wydawało się, że nie licząc pomocy kuchennej, nie ma w pobliżu innej służby - chociaż wiedział, że przy hrabim nie należy ulegać pozorom.

- Proszę. - Fosco podniósł zmontowaną maszynę, która wyglądała jak duża strzelba z bulwiastym talerzem na jednym końcu i walcem z szeregiem przycisków oraz gałek na drugim. - Jak powiedziałem, musiałem zabić Grove'a i Cutforth'a tak, żeby zbić z tropu policję. I za pomocą wysokiej temperatury, oczywiście. Ale jak? Oparzenie, podpalenie, ugotowanie - zbyt pospolite. Musiało to być coś

tajemniczego, niewyjaśnionego. I przypomniałem sobie o fenomenie znanym jako spontaniczne samozapalenie. Czy wiecie, panowie, że taki pierwszy udokumentowany przypadek wydarzył się tu, we Włoszech?

Pendergast skinął głową. - Hrabina Cornelia.

- Hrabina Cornelia Zangari de' Bandi z Ceseny. Niezwykle dramatyczne. Jak, zastanawiałem się, można uzyskać równie diaboliczny efekt? I wtedy pomyślałem o mikrofalach.

- Mikrofalach? - powtórzył D'Agosta.

Hrabia uśmiechnął się pobłaźliwie. - Tak, sierżancie. Identycznych jak w pańskiej kuchence mikrofalowej. Wydawały się idealnie spełniać moje potrzeby. Mikrofałe podgrzewają od środka. Można je skupić zupełnie jak światło, aby - powiedzmy - spalić ciało, pozostawiając resztę otoczenia nietkniętą. Mikrofałe podgrzewają wodę szybciej niż suche materiały, tłuszcze czy oleje, więc poradzą sobie z wilgotnym ciałem, zanim podgrzeją dywany lub meble. I wpływają jonizująco oraz ogrzewają metale z pewną liczbą elektronów walencyjnych.

Fosco przesunął dłonią po swoim urządzeniu, potem położył je na stole w pobliżu. - Jak pan wie, Pendergast, należę do majsterkowiczów. Kocham wyzwania. Zbudowanie transmitera mikrofal o pożądanej mocy było dość proste. Problem dotyczył zasilania. Ale niemiecka firma I.G. Farben, z którą moja rodzina miała kontakty podczas wojny, produkuje cudowną kombinację kondensatora i baterii, zdolną zapewnić wymagany ładunek elektryczny.

D'Agosta spojrzął na urządzenie. Właściwie wyglądało głupio, jak

tani rekwizyt ze starych filmów science fiction.

- Nigdy nie posłużyłoby jako broń na wojnie: maksymalny teoretyczny zasięg wynosi niespełna dwadzieścia stóp i trzeba czasu, żeby zadziało. Ale do moich celów nadawało się idealnie. Nieźle się bawiłem, rozwiązując te wszystkie dziwaczne problemy. Wiele dyń oddało tej sprawie życie, sierżancie. W końcu przetestowałem urządzenie na starym pedofilu w Pistoii - tym, którego grób zbadaliście. Miało miejsce drobne niepowodzenie - ludzkie ciało wymaga znacznie mocniejszego podgrzania niż dynia. Przebudowałem broń i dodałem pewne ulepszenia, po czym z powodzeniem użyłem jej do skończenia ze sterroryzowanym Grove'em. Okazała się niewystarczająca, żeby spowodować spalenie ciała, ale zadanie wykonała. Potem zaaranżowałem scenę w satysfakcjonujący sposób, spakowałem się i wyszedłem, zamykając wszystko i z powrotem włączając alarm. Z Cutforthem sprawa była nawet prostsza. Jak powiedziałem, mój człowiek, Pinketts, wynajął apartament obok i przystąpił do „odnawiania”. Znakomicie udawał starszego angielskiego dżentelmena, biedaka całego pokurczonego i poowijanego dla ochrony przed chłodem.

- To wyjaśnia, dlaczego nie mogli zidentyfikować podejrzanego na podstawie taśm od ochrony - stwierdził D'Agosta.

- Pinketts był kiedyś związany z teatrem, co często się przydaje, kiedy załatwiam swoje sprawy. W każdym razie moja broń znakomicie działa przez ściany wykonane z płyt gipsowych i drewnianych wsporników. Mikrofałe, drogi panie Pendergast, posiadają cudowną właściwość przenikania przez płytę gipsową jak światło przez szkło, dopóki nie natkną się na zaprawę lub metal. W

ścianie między mieszkaniami nie mogło być oczywiście gwoździ, ponieważ metal absorbuje mikrofałe - podgrzałby się, po czym spowodował pożar. Tak więc Pinketts otworzył ścianę od naszej strony, usunął gwoździe i zastąpił drewnianymi kołkami. Kiedy skończył, ustawił naszą część ściany na miejscu. Cała operacja odbyła się pod pozorem przebudowy. Pinketts osobiście zajął się Cutforthem, gdy byłem z panem w operze. Czyż można wynaleźć lepsze alibi niż spędzenie wieczoru morderstwa z detektywem? - Fosco westchnął w cichym zadowoleniu.

- A zapach siarki?

- Siarka i fosfor spalone w kadzielnicy, wstrzyknięte przez ścianę, szczeliną przy gzymsie.

- Jak wypalił pan na ścianie znaki?

- Ślad kopyta w domu Grove'a został wypalony bezpośrednio, skupiłem mikrofałe. Wizerunek w apartamencie Cutforth'a na odległość - Pinketts nie mógł wejść do mieszkania - za pomocą skupienia fal z urządzenia na masce. Trochę skomplikowane, ale zadziałało. Podobizna wypaliła się poprzez ścianę. Genialne, nie uważa pan?

- Jest pan chory - stwierdził D'Agosta.

- Jestem majsterkowiczem. Lubię po prostu rozwiązywać skomplikowane problemy. - Uśmiechnął się okropnie i wziął do ręki urządzenie. - A teraz proszę się cofnąć. Muszę dostosować zasięg wiązki. Nie byłoby dobrze przypiec nas razem z dynią.

Fosco uniósł niezgrabną maszynę, przełożył przez ramię skórzany pas i wycelował w dynię, regulując coś gałkami. Potem nacisnął prymitywny element przypominający spust. D'Agosta przyglądał się



temu z pełną przerażenia fascynacją. Rozległ się pomruk kondensatora - i to wszystko.

- Teraz urządzenie zaczyna działać w najniższym zakresie. Gdyby dynia była naszą ofiarą, mniej więcej teraz zaczęłaby doświadczać okropnego wrażenia mrowienia we wnętrzościach i na skórze.

Dynia wydawała się nienaruszona. Fosco przekręcił gałkę i pomruk stał się o nutę głośniejszy.

- Teraz nasza ofiara krzyczy Mrowienie stało się nie do zniesienia. Wyobrażam sobie, że to uczucie jakby żołądka pełnego os, które bez końca żądł... także skóra zaczyna wysychać i pokrywać się pęcherzami. Coraz wyższa temperatura w mięśniach sprawi, że neurony zaczną płonąć, powodując spazmatyczne ruchy kończyn, więc ofiara pada i zaczynają się konwulsje. Temperatura wewnętrzna wzrasta. Za kilka kolejnych sekund ofiara zacznie się rzucać na ziemi, odgryzając lub połykając język.

Kolejne kliknięcie gałki. Teraz na skórze dyni pojawił się pęcherzyk. Jakby skłęsł, trochę opadł. Miękkie „plum” i dynia pękła od góry do dołu, wypuszczając chmurę pary.

- Teraz nasza ofiara jest nieprzytomna, sekundy do śmierci.

Z wnętrza dyni rozległ się stłumiony odgłos wrzenia i pęknięcie się poszerzyło. Z gwałtownym mokrym chlupnięciem z otworu wystrzeliła struga pomarańczowej mazi, rozlewając się po podłodze parującymi strużkami.

- Komentarz zbyteczny. W tej chwili nasza ofiara jest martwa. Interesująca część jednak dopiero się zaczyna.

Na całej powierzchni dyni zaczęły się pojawiać pęcherze, niektóre pękały, wypuszczając chmurki pary, z innych sączył się

pomarańczowy płyn.

Kolejne kliknięcie gałki.

Dynia pękła, drugi wyciek gotującego się mięszu i nasion utworzył gorącą kleistą papkę. Warzywo zapadło się i pociemniało, skóra zrobiła się czarna i zaczęła dymić, z pęknięć wypływało więcej płynu i pestek wraz ze strugami pary I nagle z ostrym klaśnięciem zaczęły eksplodować nasiona. Dynia jakby stwardniała, pokój wypełnił zapach spalonego mięszu - i wreszcie z nagłym hukiem stanęła w płomieniach.

- Ecco! Dokonane. Nasza ofiara płonie. A jednak, gdybyście panowie dotknęli kamieni obok dyni, poczulibyście, że są zaledwie ciepłe w dotyku.

Fosco opuścił urządzenie. Dynia nadal się tliła, płomienie lizały łupinę, skwiercząc i strzelając, powoli unosił się dym o kwaśnym zapachu.

- Pinketts?

Służący, nie tracąc ani chwili, chwycił z nakrytego do kolacji stołu butelkę acqua minerale i oblał dynię. Potem delikatnie popchnął bąblujące resztki w stronę ognia, dorzucił kilka szczap i znów wycofał się do kąta.

- Cudownie, nie uważacie, panowie? W wypadku ludzkiego ciała także znacznie bardziej dramatyczne, zapewniam.

- Jest pan stukniętym popierdoleńcem, wie pan o tym? - odezwał się D'Agosta.

- Pański człowiek, Pendergast, zaczyna mnie irytować.

- Jak widać, ma wiele zalet - odparł Pendergast. - Ale sądzę, że dość już tego. Czas, abyśmy zajęli się niezakończonymi interesami.

- Doprawdy.
- Zjawiłem się tu, by zaproponować panu układ.
- Oczywiście. - Fosco ironicznie skrzywił usta.

Pendergast przez chwilę przyglądał się hrabiemu z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, pozwalając, by cisza narastała. - Spisze pan wyznanie obejmujące to wszystko, o czym nam pan dziś opowiedział, i złoży na nim podpis, a także odda mi pan tę diabelską maszynę jako dowód. Będę pana eskortował do siedziby carabinieri, którzy pana aresztują. Zostanie pan osądzony za morderstwa Locke'a Bullarda i Carla Vanniego oraz za współsprawstwo w zabójstwie księdza. We Włoszech nie ma kary śmierci, więc prawdopodobnie zostanie pan zwolniony po dwudziestu pięciu latach, mając osiemdziesiątkę, aby dożyć resztki swoich dni w ciszy i spokoju - jeśli zdoła pan przeżyć więzienie. Tak wygląda pańska strona umowy.

Fosco słuchał, pełen niedowierzania uśmiech malował mu się na twarzy. - To wszystko? A co mi pan da w zamian?

- Pańskie życie.

- Nie byłem świadom, że moje życie spoczywa w pańskich rękach, Pendergast. Odnoszę wrażenie, że jest na odwrót.

D'Agosta kątem oka wychwycił ruch. Pinketts wydobyl berette dziewięć milimetrów i w nich wymierzył. D'Agosta przesunął dłoń w kierunku własnej broni, rozpiął kaburę.

Pendergast powstrzymał go potrząśnięciem głowy. Potem wyjął z kieszeni kopertę. - List identyczny jak ten zdeponowałem u księcia Corso Maffei, ma zostać otwarty w ciągu dwudziestu czterech godzin, jeśli nie wrócę, żeby go odzyskać.

Słyszając nazwisko Maffei, Fosco zbladł.

- Jest pan członkiem tajnego stowarzyszenia znanego jako Comitatus Decimus, Towarzystwo Dziesięciu. Jako członek tego towarzystwa, którego powstanie datuje się w średniowieczu, odziedziczył pan pewne dokumenty, formuły i manuskrypty, inne mu powierzono. Nadużył pan tego zaufania, szczególnie trzydziestego pierwszego października 1974 roku, kiedy przeprowadził pan prześmiewczą ceremonię, wykorzystując te same dokumenty, by przestraszyć grupę amerykańskich studentów. Następnie pogorszył pan swoją sytuację tymi morderstwami.

Bładość ustąpiła miejsca plamom świadczącym o wściekłości. - Pendergast, to absurd.

- Wie pan lepiej ode mnie, że nie. Przynależy pan do tego tajnego stowarzyszenia mocą swojego tytułu. Nie miał pan w tej kwestii wyboru: przesądziło urodzenie. Jako młody człowiek nie traktował pan tego serio; uważał za żart. Dopiero lata później zdał pan sobie sprawę z powagi tego błędu.

- To wszystko przechwałki, nędzna próba ratowania własnej skóry.

- Teraz powinien się pan martwić o swoją. Wie pan, co czeka tych, którzy łamią obowiązujące śluby milczenia. Pamięta pan, co spotkało markiza Meucciego? Ci, którzy przewodzą Towarzystwu, mają ogromne pieniądze, władzę i wpływy. Znajdą pana, Fosco - wie pan o tym.

Fosco nic nie mówił, po prostu wpatrywał się w Pendergasta.

- Jak powiedziałem, zwrócę panu życie, odbierając list - ale dopiero wtedy, gdy otrzymam pańskie podpisane wyznanie i odprowadzę pana do kwatery głównej carabinieri. Skrzypce może pan zatrzymać. W końcu należą do pana. Uczciwy układ, kiedy się

nad tym zastanowić.

Fosco otworzył list tłustą ręką i zaczął czytać. Po chwili przerwał i podniósł wzrok. - To nikczemność!

Pendergast tylko obserwował, jak Fosco skupia uwagę na dokumencie. Ręce wyraźnie mu drżały.

D'Agosta śledził rozwój sytuacji z rosnącym zrozumieniem. Teraz pojął cel dzisiejszego porannego przystanku, który Pendergast określił mianem „ubezpieczenia”. Deponował wówczas kopię swojego listu u owego księcia Maffei. Jak Pendergast zebrał to wszystko do kupy i o co właściwe chodziło, D'Agosta nie wiedział. Bez wątpienia z czasem się dowie. Ale teraz ogarnęło go przemożne uczucie ulgi. Jeszcze raz Pendergast ocalił im tyłki.

Hrabia gwałtownie opuścił dokument. Twarz mu zbielała.

- Skąd pan o tym wie? Ktoś musiał już wcześniej złamać tajemnicę Comitatus Decimus! Ktoś inny musi za to zapłacić, nie ja!

- Dowiedziałem się tego od pana i nikogo innego. To wszystko, co musi pan wiedzieć.

Fosco usiłował odzyskać panowanie nad sobą. Umieścił list na stole, spojrzał Pendergastowi w twarz. - Bardzo dobrze. Spodziewałem się mocnego ruchu na otwarcie, ale ten przynosi panu zaszczyt. Dwadzieścia cztery godziny, powiada pan? Pinketts odprowadzi panów do ich pokoi, podczas gdy ja rozważę ripostę.

- Nie ma, kurwa, mowy - stwierdził D'Agosta. - Wychodzimy. Może pan zadzwonić do naszego hotelu, kiedy będzie pan gotów wręczyć przyznanie się do winy. - Zerknął na Pinkettsa, który trzymał wycelowany w nich pistolet, wylot lufy przesuwiał się tam i z powrotem. D'Agosta uznał, że ma całkiem spore szanse, aby - jeśli

odpowiednio zgra to w czasie - wpakować Pinkettsowi kulkę, zanim ten zdąży zareagować.

- Pójdą panowie do swoich kwater i zaczekają na moją odpowiedź - rozkazująco oznajmił hrabia.

Kiedy żaden z nich nie drgnął, w niemal niezauważalny sposób skinął na Pinkettsa.

Wystarczyło słabe poruszenie ręki mężczyzny i D'Agosta wykonał padnij, przetoczył się i wystrzelił, wszystko jednym płynnym, bez końca ćwiczonym ruchem. Nie wydając głosu, Pinketts zatoczył się na ścianę wciąż z berettą w dłoni, wystrzelił ponad ich głowami. D'Agosta uniósł się na kolano i posłał dwa kolejne strzały Pinketts drgnął, pistolet wyslizgnął się na podłogę i zatrzymał w narożniku. Pendergast też trzymał w ręce rewolwer i mierzył w hrabiego.

Fosco powoli uniósł ręce.

Nagle w drzwiach wyjściowych jadalni pojawili się ludzie: mężczyźni o prostackim wyglądzie, w ubraniach wieśniaków, z bronią w rękach, z zawziętymi twarzami. Weszli porządnie, celowo, bez wahania, pewni siebie. W jednej chwili zjawilo się ich sześciu czy siedmiu, z pistoletami wycelowanymi w Pendergasta i D'Agostę.

Zapadła długa cisza, przzerwana tylko przeciągłym bulgotliwym dźwiękiem wydanym przez Pinkettsa, zakończonym gwizdem.

Fosco nadal trzymał ręce uniesione. - Zdaje się, że mamy remis - powiedział. - Jak teatralnie. Wy zabijecie mnie, moi ludzie zabiją was. - Słowa zabrzmiały lekko, ale kryły twarde, zimny podtekst.

- Proszę pozwolić nam wyjść - stwierdził D'Agosta - i nikt nie zostanie zabity.

- Zabił pan już Pinkettsa - szorstko odparł Fosco. - I proszę, oto

człowiek, który ośmielił się mnie pouczać o świętości ludzkiego życia. Pinketts, mój najlepszy i najbardziej lojalny sługa.

D'Agosta zrobił krok w stronę hrabiego.

- Agencie Pendergast! - Fosco odwrócił się i podniósł głos.

- Moment refleksji uzmysłowi panu, że w tej rozgrywce nie może pan wygrać. Policzę do trzech i każę zabić D'Agostę. Ja także umrę, z pańskiej ręki. Pan jednak zostanie przy życiu, by rozważać, jak doprowadził pan do śmierci swojego partnera. Zna mnie pan dość dobrze, by wiedzieć, że nie blefuję. Odłóż pan broń - ponieważ ma pan list.

Pauza. - Raz.

- To blef! - zawołał D'Agosta. - Nie daj się nabrać!

- Dwa.

Pendergast odłożył broń.

Hrabia znów umilkł, nadal trzymał ręce w górze. - A teraz pan, D'Agosta, nie odłożył pan jeszcze broni. Czy mam wypowiedzieć tę ostatnią liczbę, czy potrafi pan pojąć, że sytuacja pana przerosła? Nawet przy pańskich znakomitych umiejętnościach nie zdoła pan trafić więcej niż jednego, dwóch moich ludzi, zanim zostanie pan odesłany do Stwórcy.

D'Agosta powoli opuścił pistolet. Miał jeszcze drugi, przypięty do nogi, i wiedział, że Pendergast także. Zabawa jeszcze się nie skończyła. I nadal mieli list.

Fosco kolejno spojrzał na nich obu płonąym spojrzeniem. - Znakomicie. Moi ludzie odprowadzą panów do pokoi, podczas gdy ja rozważę waszą ofertę.



Przez okienka wieży wreszcie przedzierał się świt, kiedy Pendergast wyszedł ze swojego pokoju. D'Agosta, siedzący przy ogniu, powitał go mruknięciem. Spędził noc, wierząc się niespokojnie, nie był w stanie zasnąć, ale Pendergast, jak się wydawało, nie miał z tym żadnych trudności.

- Znakomity ogień, Vincencie - powiedział, wygładzając przód garnituru i zajmując miejsce w pobliżu. - Te jesienne poranki są nieco chłodne.

D'Agosta energicznie dźgnął ogień pogrzebaczem. - Dobrze się spało?

- Łóżko było okropne. Poza tym znośnie, dziękuję.

D'Agosta dorzucił kolejną kłodę. Nienawidził całego tego czekania, niepewności, w dodatku nie udało mu się do końca pozbyć irytacji, że Pendergast poszedł poprzedniego wieczoru prosto do swojego pokoju bez żadnych wyjaśnień.

- Jak w ogóle dowiedziałeś się o tym interesie z tajnym stowarzyszeniem? - zapytał mrukliwie. - Już wcześniej nieraz widziałem, jak wyciągasz królika z kapelusza, ale ten był prawdziwą wisienką na torcie.

- Cóż za urocza mieszana metafora. Podejrzewałem, że Fosco jest w ten czy inny sposób zamieszany w sprawę, zanim jeszcze znalazłem końskie włosie ze smyczka na miejscu zabójstwa Bullarda.



- Kiedy zacząłeś go podejrzewać?

- Pamiętasz współpracownika, o którym wspominałem? Mime'a? Kazałem mu sprawdzić przez internet ostatnie poczynania wszystkich, którzy znaleźli się na finalnym przyjęciu Grove'a. W końcu przypadkiem natknął się na informację, że sześć miesięcy temu Fosco po cichu nabył rzadki siedemnastowieczny krzyż florencki od handlarza Antykami przy Via Maggio.

- Ten, który dał Grove'owi?

- Właśnie. A przypomnij sobie, jak to hrabia nie omieszkał mi powiedzieć, że gdyby Grove pożył choć jeden dzień dłużej, on sam byłby bogatszy o czterdzieści milionów dolarów.

- Taa. Za każdym razem, kiedy ktoś wyskakuje z alibi niepytany, coś śmierdzi.

- Piętą achillesową hrabiego jest jego gadatliwość.

- I niewyparzona gęba.

- Zacząłem szukać jego słabych punktów. Bez wątpienia był człowiekiem niebezpiecznym i miałem wrażenie, że powinniśmy skorzystać ze wszystkiego, co nam wpadnie w ręce - na wszelki wypadek. Być może przypominasz sobie uwagę colonnello o tajnych stowarzyszeniach. Stwierdził, że „są bardzo rozpowszechnione wśród florenckiej arystokracji”. Zacząłem się zastanawiać, czy Fosco należał do takiego tajnego stowarzyszenia, a jeśli tak, to czy można to jakoś przeciw niemu wykorzystać. Florencka arystokracja należy do najstarszych w Europie - jej rodowody sięgają trzynastego wieku. Większość starożytnych tytułów wiąże się z różnymi tajemniczymi zakonami i bractwami, historia niektórych zaczyna się w czasach wypraw krzyżowych. Większość posiada tajne dokumenty, rytuały i

tak dalej. Rycerze Zakonu Templariuszy, Czarni Gonfalonierzy, Kawalerowie Róży - także wiele innych.

D'Agosta w milczeniu skinął głową.

- Niektóre z tych stowarzyszeń podchodzą do swoich spraw niezwykle poważnie, nawet jeśli ich oryginalne funkcje dawno przeminęły, a jedyne, co pozostało, to puste obrzędy i ceremonie. Hrabia, który pochodzi z jednej z najstarszych rodzin, mocą odziedziczonego tytułu z pewnością musiał należeć do kilku. Wysłałem maila do Constance, której udało się odkryć kilka możliwości. Zbadałem je przez jednego z moich informatorów tu, we Włoszech.

- Kiedy?

- Przedwczorajszej nocy.

- A ja myślałem, że śpisz jak zabity w hotelowym pokoju.

- Sen jest niefortunną biologiczną koniecznością, to zarówno strata czasu, jak i wystawianie człowieka na niebezpieczeństwo. W każdym razie wpadłem na trop istnienia Comitatus Decimus, Towarzystwa Dziesięciu. Była to grupa zamachowców założona w trzynastym wieku w czasie najgorętszych sporów, na długo zanim do władzy doszli Medyceusze. Jednym z założycieli był francuski baron Hugo d'Aquilanges, który zjawił się we Florencji z pewnymi dziwacznymi manuskryptami pełnymi czarnej magii. Za pomocą tych manuskryptów grupa wywoływała diabła - a przynajmniej byli o tym przekonani - żeby pomagał im w zabójstwach o północy. Złożyli śluby milczenia przypieczętowane krwią, każde ich naruszenie było karane natychmiastową śmiercią. Do założycieli należał też kawaler Mantun de Ardaz da Fosco; członkostwo wraz z tytułem przekazał synowi i

tak doszło do Fosca. Jego rodzina najwyraźniej pełniła funkcję bibliotekarzy Towarzystwa. To tych starożytnych dokumentów użył Fosco, wywołując diabła dla Bullarda i reszty w wigilię Wszystkich Świętych. Nie mam pewności, czy od początku planował użyć tych dokumentów. Ale zorientował się, że Beckmann czytał po włosku, a Grove już jako student znał się na starych manuskryptach. Fosco nie mógł im podsunąć dowolnego starego papieru - to musiał być autentyk. Sądzę, że po prostu nie oparł się pokusie, żeby się zabawić. Oczywiście w tym czasie nie zdawał sobie sprawy, co to oznaczało - ani jaką karę ściągnąłby na siebie, sprzeniewierzając tajemnicę. Bo widzisz, członków nie wprowadza się do zakonu, dopóki nie ukończą trzydziestego roku życia.

- Ale nadal nie wyjaśniłeś, skąd wiedziałeś, że Fosco do nich należy.

- Dzięki poszukiwaniom dowiedziałem się, że kiedy człowiek należący do Comitatus Decimus mocą odziedziczonego tytułu jest do Towarzystwa oficjalnie wprowadzany, naznacza się go czarnym punktem - w istocie tatuażem - za pomocą butli z prochami Mantuna de Ardaz, który został wypatroszony, poćwiartowany i spalony na Piazza delia Signoria za herezję. Ten czarny punkt umieszcza się bezpośrednio nad sercem.

- I kiedy zdołałeś tak dokładnie dziada obejrzeć?

- Gdy przesłuchiwałem go w „Sherry Netherland”. Miał na sobie białą koszulę z rozcięciem. Oczywiście wówczas nie dotarło do mnie znaczenie tego śladu - wyglądał po prostu jak duży pieprzyk.

- Ale to zapamiętałeś.

- Fotograficzna pamięć bywa przydatna.

Nagle Pendergast gestem nakazał D'Agoście zachowanie ciszy. Czekali bez ruchu przez mniej więcej minutę. Potem sierżant usłyszał kroki, delikatne pukanie.

- Proszę - powiedział Pendergast.

Drzwi się otworzyły i wślizgnął się przez nie Fosco, za nim sześciu ludzi z bronią. Ukłonił się. - Dzień dobry panom. Spodziewam się, że dobrze spędziliście noc?

D'Agosta nie odpowiedział.

- A pańska noc, hrabio? - zapytał Pendergast.

- Zawsze śpię jak dziecko, dziękuję.

- Zabawne, jak większość morderców.

Fosco zwrócił się do D'Agosty. - Pan jednak wygląda na zmęczonego, sierżancie. Mam nadzieję, że się pan nie przeziębził.

- Mdli mnie na pana widok.

- Kwestia gustu - odparł Fosco z uśmiechem. Potem przeniósł spojrzenie na Pendergasta. - Zgodnie z obietnicą rozważyłem pańską ofertę. I oto moja riposta.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął gładką białą kopertę. Z błyszczącymi oczyma zaprezentował ją Pendergastowi. D'Agosta z niepokojem zobaczył, że agent na widok koperty blednie.

- Zgadza się. Ten sam list, który zostawił pan u księcia Maffei. Nieotwarty i nieprzeczytany Mam wrażenie, że odpowiednim słowem będzie „szach”, panie Pendergast. Pański ruch.

- Jak...? - zaczął D'Agosta. Potem umilkł.

Fosco machnął ręką. - Pan Pendergast nie wziął pod uwagę mojej błyskotliwości. Powiedziałem księciu, że włamano się do mojego zamku i obawiam się o bezpieczeństwo najbardziej sekretne

manuskryptu Towarzystwa - który jako bibliotekarz Comitatus Decimus miałem oczywiście w posiadaniu. Zapytałem, czy mógłby wziąć go na przechowanie, dopóki włamywacze nie zostaną schwytani. Naturalnie zabrał mnie do swojego najlepiej zabezpieczonego pomieszczenia, gdzie, byłem pewien, umieścił także pański list. Nie wiedziałem, oczywiście, co powiedział mu pan na ten temat, więc uznałem, że lepiej nawet nie wspominać o sprawie. Stary głupiec otworzył sejf, żeby włożyć manuskrypt, a tam, pośród spleśniałych starych papierzysek, leżała świeżutka nowa koperta! Wiedziałem, że musi być pańska. Szybki ruch i list należał do mnie. Gdy pan nie wróci, ksiązę Maffei otworzy swój skarbiec i niczego nie znajdzie, z pewnością zacznie się wówczas martwić, że to wiek osłabia mu umysł. - Fosco z kopertą w dłoni roześmiał się cicho, wielki brzuch mu się trząsał. Pendergast w milczeniu wpatrywał się w kopertę. Potem wziął ją, otworzył, zerknął na kartkę w środku i pozwolił, by upadła na ziemię.

- Powiedziałem „szach”, ale być może powinienem powiedzieć „szach i mat”, panie Pendergast. - Odwrócił się do ludzi stojących w drzwiach. Ubrani byli w proste wełniane i skórzane stroje, wszyscy uzbrojeni.

Za nimi stał ktoś jeszcze, mężczyzna w poplamionej zamszowej kurtce. Z małej twarzy o ostrych rysach patrzyły na nich inteligentne oczy.

Ręka D'Agosty popęzła w stronę pistoletu. Pendergast to zauważył, przelotnie pokazał mu, żeby się wstrzymał.

- Słusznie, D'Agosta. Twój przełożony wie, że to daremne. Tylko w filmach dwóch ludzi może pokonać siedmiu. Oczywiście bardzo bym

chciał widzieć was już martwych. Ale - dodał kpiąco - nie traćcie nadziei, zawsze istnieje szansa, że zdołacie uciec! - Cmoknął i odwrócił się. - Fabbri, rozbroisz panów.

Mężczyzna w skórzanej kurtce zrobił krok do przodu, wyciągnął rękę. Po chwili Pendergast wyjął swój zapasowy pistolet i oddał mu. D'Agosta niechętnie postąpił tak samo. Miał bardzo złe przeczucia.

- A teraz ich przeszukaj - powiedział hrabia.

- Pan pierwszy, Pendergast - odezwał się Fabbri z ciężkim akcentem. - Proszę zdjąć marynarkę i koszulę. Potem stanąć tu z podniesionymi rękoma.

Pendergast zrobił, co mu kazano, wręczając każdą sztukę odzieży Fabbriemu. Kiedy zdjął koszulę, D'Agosta pierwszy raz zauważył, że agent nosi na szyi łańcuszek z niedużym wisiorkiem: był na nim dziwny rysunek otwartego oka, które wisiało nad Feniksem powstającym z popiołów.

Jeden z wieśniaków pchnął Pendergasta pod ścianę. Fabbri zaczął go fachowo obmacywać. Szybko znalazł sztylet.

- Będą też wytrychy - powiedział hrabia.

Fabbri przeszukał kołnierzyk i mankiety koszuli, znajdując w końcu nieduży zestaw przymocowany taśmą. Pojawiły się też inne rzeczy: strzykawka z igłą, małe próbówki.

- Ma pan w tym garniturze cały arsenał - stwierdził Fosco. - Fabbri, połóż wszystko tu na stole, dobrze?

Fabbri wyjął nóż o wąskim ostrzu i zaczął wypruwać podszewkę marynarki Pendergasta, dokładnie ją przeszukując. Kolejne drobiazgi - szczypczyki, pakieciki jakichś chemikaliów - pojawiały się na stole.

- Usta. Sprawdź mu usta.

Mężczyzna sprawdził Pendergastowi zęby, zajrzał pod język.

D'Agosta wzdrygnął się z przerażenia, widząc to poniżenie. Z odkryciem każdego kolejnego narzędzia jego nadzieje coraz bardziej słabły. Ale Pendergast miał masę asów w rękawie. Jakoś ich z tego wyciągnie.

Fabbri kazał Pendergastowi przejść na bok i pochylić głowę w przód, żeby przeszukać mu włosy. Agent, nadal z podniesionymi rękoma, usłuchał, ustawiając się tak, by nie patrzeć na półokrąg, który tworzyli pozostali ludzie i hrabia, z pomrukiem zaciekawienia badający przedmioty na stole. Teraz Fabbri stał plecami do D'Agosty, a Pendergast twarzą do niego. W tym momencie sierżant zobaczył coś zdumiewającego.

Pendergast, niezwykle delikatnie poruszając dłońmi, wyjął mały kawałek metalu pomiędzy serdecznego i małego palca lewej ręki. Jakimś cudem zdołał ukryć go w dłoni na początku przeszukania.

- W porządku - powiedział Fabbri. - Opuść ręce i stań tutaj.

Pendergast zrobił, co mu polecono. Płynnym ruchem, D'Agosta nie był właściwie pewien, czy go widział, wetknął ten kawałek metalu pod kołnierz kurtki Fabbriego - po prostu użył tego człowieka jako kryjówki.

Następnie Fabbri zbadał buty agenta, odcinając nożem obcasy i w kilku miejscach nakłuwając podeszwę, co ujawniło drugi zestaw wytrychów. Zmarszczył brwi i jeszcze raz zajął się garniturem.

A końcu przeszukanie zakończono. Ubranie Pendergasta było w strzępach.

- Teraz ten drugi - powiedział Fosco.

Powtórzyli ten sam proces z D'Agostą, rozbierając go i

rozpruwając wszystko, poddając temu samemu upokarzającemu obmacywaniu.

- Zostawiłbym was obu nagich - stwierdził hrabia - ale lochy w tym zamku są takie wilgotne. Byłbym zrozpaczony, gdybyście się poprzeciębiali. - Ruchem głowy wskazał na ubrania. - Ubierajcie się.

Spełnili polecenie.

Fabbri odwrócił ich i skuł im ręce za plecami. - *Andiamoci*.

Hrabia opuścił apartament, Fabbri za nim, potem Pendergast i D'Agosta. Sześciu drabów zamykało pochod.

Zeszli spiralną klatką schodową, opuścili wieżę i wrócili do starych pokoi w zamku. Hrabia poprowadził ich do jadalnego salotto, a potem przez kuchnię i dużą przewiewną spiżarnię. W ścianie znajdowało się łukowate przejście, a potem schody wiodące w dół. Cała grupa zeszła do głębokiego sklepionego tunelu, którego ściany ociekały wilgocią i były usiane kryształami kalcytu. W milczeniu mijali magazyny i puste kamienne galerie.

- *Ecco* - stwierdził hrabia, zatrzymując się przed niskimi drzwiami. Fabbri też stanął, a Pendergast, z oczyma wbitymi w ziemię, niezgrabnie wpadł na niego z tyłu. Fabbri zaklął i odepchnął agenta, rozciągając go na kamiennej podłodze.

- Wchodzić - rozkazał hrabia.

Pendergast wstał i schylając się, wszedł do maleńkiego pomieszczenia za progiem. D'Agosta za nim. Żelazne drzwi zamknęły się z trzaskiem, metalowy klucz wykonał obrót i znaleźli się w ciemności.

W maleńkim zakratowanym otworze w drzwiach ukazała się twarz hrabiego.



- Tu będziecie bezpieczni - stwierdził - podczas gdy ja dopilnuję ostatnich szczegółów A potem wrócę. Widzicie panowie, przygotowałem coś wyjątkowego, coś stosownego dla każdego z was. Dla Pendergasta literacki koniec - coś z Poego, mówiąc dokładnie. D'Agostę zaś, mordercę Pinchettiego, zapoznam z moim mikrofalowym przyrządem, który następnie zniszczę, usuwając tym samym ostatni dowód swojego zaangażowania w tę aferę.

Twarz zniknęła. Chwilę później nie został też ani ślad po słabym oświetleniu korytarza. D'Agosta siedział w ciemnościach, nasłuchując echa oddalających się kroków. W jednej chwili wszędzie zapadła cisza, nie licząc słabego kapania wody i trzepotania skrzydeł, które, jak uznał, musiały należeć do nietoperzy.

Poruszył się, mocniej otulił pociętym ubraniem. Z mroku dotarł do niego głos Pendergasta, tak cichy, że niemal niesłyszalny

- Nie widzę powodu, żeby opóźnić wyjście, a ty?

- Czy pod kołnierzem Fabbriego ukryłeś wytrych? - wyszeptał D'Agosta.

- Oczywiście. Jestem szczerze zobowiązany, że mi go poniósł. Naturalnie wpadłem na niego, żeby go odzyskać. A teraz zastanawiam się, czy Fabbri albo ktoś z pozostałych nie został na zewnątrz, żeby nas pilnować. Zabębnij w drzwi, Vincencie, sprawdzimy, czy doczekamy się jakiejś reakcji.

D'Agosta walnął w drzwi i zawołał: - Hej! Wypuście nas! Wypuście nas!

Echo powoli umilkło w korytarzu.

Pendergast dotknął ramienia sierżanta i znów zaszeptał: - Hałasuj dalej, kiedy będę otwierał zamek.

D'Agosta krzyczał, wrzeszczał i kłął. Minutę później Pendergast znów dotknął jego ramienia.

- Załatwione. Teraz słuchaj. Człowiek, który czeka w ciemnościach, bez wątpienia ma elektryczną latarkę i włączy ją przy najmniejszym podejrzeniu, że coś się dzieje. Zamierzam go znaleźć i się nim zająć. Ty hałasuj w ramach dywersji i żeby ukryć odgłosy mojego podkradania się w ciemnościach.

- Okej.

D'Agosta znów zaczął wołać, tupać i żądać, żeby go wypuszczono. Było ciemno choć oko wykol i nie widział nic z poczynań Pendergasta. Wrzeszczał i wrzeszczał. Nagle na zewnątrz rozległ się odgłos ciosu, a po nim huk. Potem w niskim przejściu pojawił się promień światła.

- Znakomita robota, Vincencie.

D'Agosta wydostał się tyłem przez niskie drzwi. Około dwudziestu stóp dalej leżał Fabbri, twarzą do kamiennej podłogi, z rękoma rozrzuconymi szeroko.

- Jesteś pewien, że istnieje droga wyjścia z tej rudery? - zapytał D'Agosta.

- Słyszałeś piski nietoperzy, zgadza się?

- Owszem.

- Więc musi być wyjście.

- Taa, dla nietoperza.

- Gdzie wyleci nietoperz, wylecimy i my. Ale najpierw musimy dostać w swoje ręce tę maszynę. To jedyny prawdziwy dowód przeciw hrabiemu.



Przeszli przez ciemne kamienne piwnice z zapasami i starymi schodami chyłkiem wspięli się do spizarni. Pendergast ostrożnie sprawdził pomieszczenie, potem gestem kazał D'Agoście ruszać. Powoli wyszli ze spizarni do kuchni: wielkiej, z równoległe ustawionymi stołami z olejowanej sosny i marmuru, masywnym kominkiem z grillem i rusztami. Przybory kuchenne z lanego żelaza zwisały z sufitu na wielkich hakach i łańcuchach. Ze znajdującego się dalej jadalnego salotto nie dochodził żaden dźwięk. Wszystko wydawało się opuszczone.

- Kiedy Pinketts przyniósł broń - wyszeptał Pendergast - przeszedł przez kuchnię i nie było go najwyżej minutę. Musi być blisko.

- Ale niby czemu miałyby być w tym samym miejscu?

- Pamiętaj, co powiedział Fosco. Planuje jeszcze raz jej użyć - na tobie. Nie licząc jadalni, są stąd tylko dwa wyjścia. Spizarnia, przez którą przyszliśmy, i to. - Wskazał na drzwi prowadzące do pomieszczenia, które wyglądało na starą chłodnię.

W tym momencie z salonu rozległy się kroki. Rozpłaszcyli się za kuchennymi drzwiami. Potem dobiegły ich głosy mówiące po włosku, zbyt dalekie, żeby mogli coś zrozumieć. Zbliżały się.

- Szukajmy dalej - stwierdził po chwili Pendergast. - Teraz w każdym momencie mogą podnieść alarm.

Wślizgnął się do chłodni, zimnego kamiennego pomieszczenia

zawieszzonego prosciutto i salami, z półkami uginającymi się pod ciężarem wielkich kół dojrzewających serów. Latarką Fabbriego oświetlił zastawioną przestrzeń. Na jednej z wyższych półek błysnęło aluminium.

- Tam! - D'Agosta chwycił walizkę.

- Niewygodna - stwierdził Pendergast. - Wyrzucmy ją i zmontujmy broń.

Otworzyli walizkę i - z pewną trudnością - Pendergast poskręcał różne części. Wręczył urządzenie D'Agostie, który na dołączonym skórzanym pasie przewiesił je przez ramię. Potem pospiesznie wrócili do kuchni. Kolejne głosy, tym razem z samej jadalni. Potem trzeszczenie radia. Ostry głos, wyraźny, pełen paniki:

- Sono scappati! Zamieszanie, oddalające się kroki.

- Mają radia - mruknął Pendergast. Odczekał jeszcze tylko moment. Potem pognał do kuchni i przez jadalnię, D'Agosta za nim, z bronią objającą się o ramię. Wbiegli do głównej galerii, minęli pociemniałe ze starości portrety i bogate gobeliny.

Przed sobą usłyszeli odległe głosy

- Tędy - powiedział Pendergast, głową wskazując otwarte małe drzwi. Przebiegli przez nie i znaleźli się w starej zbrojowni. Na ścianach wisiały zardzewiałe miecze, zbroje i kolczugi. Pendergast bez słowa zdjął miecz, obejrzał, odłożył, zdjął następny.

Głosy były teraz donośniejsze. A potem grupa mężczyzn minęła drzwi, pędząc w stronę jadalni i kuchni.

Agent wyjrzał, następnie skinął na D'Agostę.

Poszli dalej galerią, skręcili w labirynt eleganckich komnat, docierając w końcu do wilgotnych i pozbawionych okien pokojów

otaczających starą wieżę. D'Agosta słyszał tylko ich własne kroki. Wyglądało na to, że na razie mają szczęście: nikt się nie spodziewał, że weszli do zamku, zamiast przedzierać się w kierunku zewnętrznych murów.

W momencie kiedy o tym pomyślał, usłyszał głos mówiący coś z wielkim pośpiechem. Rozejrzył się. W ciągu nagich kamiennych pomieszczeń nie było gdzie się ukryć.

Pendergast błyskawicznie schował się za drzwiami. D'Agosta skulił się za nim. Na progu pojawił się mężczyzna, biegł z radiem w dłoni. Pendergast uniósł miecz jednym szybkim ruchem; biegnący chrząknął, a potem, przebity na wylot, padł na podłogę, krew pociekła na kamienie posadzki.

Pendergast natychmiast zabrał jego broń, berettę dziewięć milimetrów. Wręczył miecz D'Agostie i gestem nakazał mu ruszać za sobą.

Przed nimi stało otworem wejście na spiralną klatkę schodową prowadzącą w ciemność. Zaczęli zbiegać po kolejnych stopniach, po dwa naraz. Nagle Pendergast uniósł rękę.

Słabo słyszalne kroki z dołu. Ktoś biegł w ich stronę.

- Ilu ten gruby fiut zatrudnia oprychów? - mruknął D'Agosta.

- Dowolnie wielu, jak sądzę. Nie ruszaj się. Mamy przewagę zaskoczenia i stoimy wyżej. - I Pendergast starannie wycelował w zakręt schodów. Parę chwil później pojawił się tam mężczyzna w stroju wieśniaka. Agent strzelił bez wahania, potem ukląkł nad skurczoną postacią, zabrał znaną broń i rzucił D'Agostie.

Z dołu wołał jakiś inny człowiek. - Carlo! Cosa c'e?

Pendergast pognał po schodach w dół, trzepocząc strzypami

garnituru, i skoczył na wołającego, rozkładając go na ziemi kopnięciem w głowę. Potem lekko wylądował, zatrzymał się, żeby chwycić broń, którą tamten miał w ręce, i wetknąć ją za pasek spodni.

Pobiegli wilgotnym korytarzem odchodzącym od klatki schodowej. Za sobą D'Agosta słyszał wrzaski i krzyki. Pendergast wyłączył latarkę, żeby nie stanowili łatwego celu, i szli naprzód w całkowitych ciemnościach. Dalej tunel się rozszerzał. Agent stanął, zbadał podłogę, sufit.

- Widzisz guano? Nietoperze wylatują tędy.

Skręcili w tunel po lewej i teraz pojawiło się przed nimi odległe słabe światło. Zabrzączał strzał, z jękiem odbił się od kamieni. D'Agosta zatrzymał się, żeby odpowiedzieć ogniem. Pościg stanął.

- Co z tą bronią na mikrofałę? - zapytał.

- W tej sytuacji bezużyteczna. Za długo trwa, zanim zadziała, nie ma zasięgu. Poza tym, nie mamy czasu, żeby teraz rozgryźć, jak działa.

Tunel znów się rozdzielał. D'Agosta poczuł świeże powietrze, potem zobaczył odległy błysk światła. W biegu skręcili, potem jeszcze raz - i nagle stanęli przed grubą kratą z żelaznych prętów, pomiędzy których lały się strumienie jaskrawego światła. Sierżant zauważył, że kratka wychodzi na klif poniżej zamku. Dalej widział strome zbocze góry, po lewej przechodziło w głęboki wąwóz, po prawej wznosiło się ku szczytowi i stromym skałom.

- Cholera.

- Spodziewałem się czegoś takiego - stwierdził Pendergast. Błyskawicznie zbadał pręty. - Wiekowe, ale trzymają.

- Co teraz?

- Robimy postój. Liczę na twoją sprawność strzelecką, Vincencie. Pendergast rozpląszczył się przy ostatnim zakręcie tunelu, D'Agosta zrobił to samo. Ludzie szybko się teraz zbliżali - sądząc z odgłosu kroków, co najmniej sześciu. D'Agosta wychylił się, wycelował, nacisnął spust. W półmroku zobaczył, że jeden z biegnących pada. Reszta się rozproszyła, tulili się do szorstkich kamiennych ścian. Rozległ się huk strzału, odpowiedź. Po nim szybki stukot broni automatycznej: dwie eksplozje, pociski odbiły się od sufitu, wywołując deszcz iskier i okruchów

- Cholera! - D'Agosta skurczył się odruchowo.

- Powstrzymuj ich, Vincencie, a ja zobaczę, co się da zrobić z tą kratą.

D'Agosta przykucnął, zrobił szybki wypad za róg, strzelił. Automatyczna broń odpowiedziała ogniem, pociski znów rykoszetowały o sufit, wałać w ziemię i rozpryskując się niedaleko od sierżanta.

„Celowo mierzą tak, żeby rykoszetowały”.

Wyszarpnął magazynek, sprawdził. Dziesięciopistoletowy: zostało sześć pocisków plus jeden w komorze.

- Tu masz zapasowy magazynek - powiedział Pendergast, rzucając.  
- Oszczędzaj.

D'Agosta spojrzął: pełny. Miał siedemnaście strzałów.

Kolejna seria z automatu rozprysnęła się po suficie zygzakiem, wałać w ziemię tuż przy jego stopach.

„Kąt padania równa się kątowi odbicia”. D'Agosta przypomniał sobie przelotnie ćwiczenia na strzelnicy. Strzelił w miejsce, od

którego odbiły się rykoszetujące pociski, strzelił drugi raz, celując starannie w gładką powierzchnię kamienia, starając się odwzorować kąt.

Usłyszał krzyk. „Punkt dla matematyki”.

Sypnął się deszcz rykoszetujących pocisków D'Agosta przetoczył się w samą porę, kilka kul trafiło w miejsce, w którym był przed chwilą.

- Jak idzie? - zawołał przez ramię.

- Więcej czasu, Vincencie. Załatw mi trochę czasu.

Kolejne pociski odbite od sufitu z rozpryskami potłuczonego kamienia.

„Czas”. D'Agosta nie miał innego wyboru, jak tylko znów odpowiedzieć ogniem. Podpełzł do narożnika, rozejrzał się. Jakiś człowiek wychynął z cienia i biegł zająć bliższą pozycję. D'Agosta strzelił, raz, drasnął przeciwnika, który wycofał się z krzykiem.

Teraz Pendergast strzelał ze swojej broni w równych odstępach. Zerkając do tyłu, D'Agosta zobaczył, że celuje w zaprawę trzymającą kratę w miejscu.

Kolejne strzały, lądując, tworzyły wokół nieregularny wzór. Sierżant znów strzelił.

Pendergast opróżnił magazynek. - Vincent! - zawołał.

- Co?

- Rzuć mi swój pistolet.

- Ale...

- Pistolet.

Pendergast złapał go, starannie wycelował w te miejsca, gdzie wmurowano pręty. Cement był stary i miękki, strzały przynosiły



efekt, ale D'Agosta mimo wszystko się skurczył; nie mógł się powstrzymać, żeby nie liczyć zmarnowanych pocisków. Jeden, dwa, trzy, cztery, kliknięcie. Pendergast wytrząsnął zużyty magazynek, rzucił na bok. D'Agosta wręczył mu zapasowy. Ogień zza rogu przybrał na sile. Mieli zaledwie chwilę; zanim zostaną zaatakowani.

Zabrzmiało siedem kolejnych strzałów. Potem Pendergast wstrzymał się, przykucnął.

- Kopiemy razem. Na trzy.

Wymierzili kracie solidnego kopniaka, ale pozostała niewzruszona. Pendergast strzelił jeszcze dwa razy, potem wetknął broń za pasek.

- Jeszcze raz. Z dołu.

Położyli się na plecach, wyciągnęli nogi, razem uderzyli w kratę.

Drgnęła.

Jeszcze i jeszcze raz - teraz puściła, w chmurze kamieni i kawałków skały z brzękiem potoczyła się na stronę klifu.

Podnieśli się i dopadli brzegu. Chropowata skała opadała prosto w dół przez jakieś pięćdziesiąt stóp, dopiero potem stawała się bardziej pozioma.

- Cholera - mruknął D'Agosta.

- Nie mamy wyboru. Rzuć przyrząd. Szukaj krzaków, najbardziej miękkiego miejsca do lądowania. Potem schodzimy.

D'Agosta wychylił się, cisnął mikrofalową broń w gęstą kępę krzaków. Potem zdusił przerażenie, odwrócił się i opuścił na brzeg okna. Powoli zsuwał się w dół, mocno trzymając się resztek zaprawy, w końcu znalazł oparcie dla stóp. Kolejny ruch w dół, kolejne oparcie. Po chwili miał głowę poniżej brzegu korytarza, trzymał się

kurczowo skał.

Pendergast znalazł się nagle obok. - Nie schodź po prostej. Będziesz mógł łatwiej wypatrzeć miejsce na stopy i trudniej będzie cię trafić.

Wapienna skała opadała pod pewnym kątem, przerażająco stroma, ale też dość licznie usiana występami pozwalającymi znaleźć oparcie dla rąk i nóg. Dla człowieka profesjonalnie zajmującego się wspinaczką nie stanowiłaby specjalnego wyzwania, ale D'Agosta był przerażony. Nogi mu się ślizgały, buty ze skórzanymi podeszwami okazały się niemal nieprzydatne.

Ale schodził, ostrożnie, ręką, potem drugą, starając się nie ocierać rannym palcem o ostre skały. Pendergast był już daleko w dole, opuszczał się płynnie.

Z góry rozległo się echo wielkiej strzelaniny, potem zapadła cisza. Wreszcie fala głosów: *Eccoli! Di la!*

D'Agosta zerknął w górę i zobaczył kilka głów wychylających się z otworu. Pojawiła się ręka z pistoletem, celująca dokładnie w niego. Był wystawiony jak kaczką. Chryste, to koniec.

Z dołu huknęła broń Pendergasta: ostatni nabój. Strzelec dostał prosto w czoło, zachwiał się, upadł, potem odbijając się miękko, poleciał głową w dół na skały poniżej. D'Agosta odwrócił wzrok, znów zajął się schodzeniem najszybciej, jak pozwalał mu strach.

Na górze, przy miejscu po kracie, zrobiło się zamieszanie. Sierżant zobaczył, że ostrożnie wychyla się następna postać, tym razem z automatem w ręku. Rozpoznał pękaty kształt uzi.

Rozpłaszczył się na skale. Pendergast zniknął mu z oczu gdzieś w dole. Gdzie on był, do cholery?

Słyszał pojedyncze strzały z uzi, pociski z gwizdem przeleciały mu koło ucha. Spróbował wysunąć nogę, poszukać kolejnego oparcia dla stopy, ale zdał sobie sprawę, że chroni go tylko wąski skalny występ nad głową; gdyby znów się ruszył, byłby na widoku.

Następne kule to potwierdziły: przyszpilili go.

- Pendergast! Brak odpowiedzi.

Kolejne strzały, poczuł, że jeden z pocisków tnie but. Przyciągnął nogę. Oddychał zbyt szybko, rozpaczliwe wciągnął powietrze, trzymając się maleńkiego występu. Nigdy w życiu nie czuł takiego przerażenia.

Strzelali przez wąską półkę nad nim. Trafia go, nawet jeśli się nie ruszy. Po policzku, z miejsca, gdzie okruch skalny przeciął skórę, płynęła krew.

Potem usłyszał pojedynczy strzał, tym razem z dołu; krzyk z góry, kolejny człowiek stoczył się ze stromizny, za nim poleciało uzi.

„Pendergast”. Musiał dotrzeć na dół i zabrać broń tego zabitego.

Zaczął w panice schodzić w dół, ślizgał się, odzyskiwał równowagę, znów się ześlizgiwał. Kolejny strzał z dołu, jeszcze jeden - Pendergast go osłaniał, powstrzymując ludzi w górze.

Skała zaczęła się nieco spłaszczać i ostatnie dwadzieścia stóp D'Agosta na wpół zszedł, na wpół zjechał. A potem stał już na miękkich nogach na skraju osypiska, zlany potem, z walącym sercem. Pendergast przykucnął za skałą, znów strzelił w otwór.

- Bierz tę maszynę i idziemy - powiedział.

D'Agosta ruszył się, pogramolił w dół do zarośli i znalazł urządzenie hrabiego. Jedna z lamp miała niewielki odprysk, ale poza tym wydawało się nieuszkodzone. Zarzucił je na ramię i pognął ukryć

się między drzewami. Pendergast dołączył do niego chwilę później.

- W dół. Do drogi na Greve.

Biegli w dół, przeskakując przez przeszkody i omijając w pędzie kasztanowce, odgłosy strzałów za nimi stawały się coraz słabsze i słabsze.

A potem nagle Pendergast znów stanął.

W ciszy, która teraz nastąpiła, D'Agosta usłyszał wznoszący się z dołu dźwięk. Miarowe ujadanie psów.

Masy psów.



Pendergast słuchał przez chwilę, potem odwrócił się do D'Agosty - Psy hrabiego do polowania na dziki. Z opiekunami. Idą w górę.

- O mój Boże...

- Są tak wytresowane, żeby stworzyć tyralierę nie do przebiccia, schwytać ofiarę w pułapkę i otoczyć. Nie mamy wyboru. Musimy ruszyć w górę i przez szczyt. To dla nas jedyna szansa ucieczki.

Skręcili i zaczęli gramolić się przez rosnący na stromiźnie las, poruszając się pod kątem do stoku, oddalając od zamku. Ciężkie, paskudne podejście: kasztanowce obrośnięte były masą krzaków i jeżyn, ziemia mokra i śliska. D'Agosta słyszał w dole ujadanie psów, wydawało się, że są ich dziesiątki, głosy zlewały się w jeden kakofoniczny hałas. Dźwięki echem niosły się przez dolinę, z jednego końca na drugi. Wyglądało na to, że się zbliżają.

Wspięli się przez szczególnie stromą część lasu i wyszli na łagodniejsze zbocze, na którym posadzono winorośl, liście żółciły się w jesiennym powietrzu. Pomiedzy rzędami pobiegli w górę, potykając się i dysząc, wilgotna, lepka ziemia kleiła się do butów.

Bez dwóch zdań - psy się zbliżały.

Na końcu winnicy Pendergast stanął, żeby zorientować się w sytuacji. Znajdowali się w żlebie między dwiema górskimi krawędziami. Wyżej granie zbiegały się i docierały do szczytu oddalonego o jakieś pół mili. Zamek leżał w dole na wystającej

skalnej półce, ponury i mroczny.

- Chodź, Vincencie - powiedział Pendergast. - Nie mamy chwili do stracenia.

Winnica ustąpiła miejsca kolejnemu stromemu zboczowi, gęsto porośniętemu kasztanowcami. Z wysiłkiem przebijali się w górę, krzaki dzikiej róży darły i tak już podarte na strzępy ubrania. Nad głowami zobaczyli zniszczony mur jakiejś starożytnej ruiny, stary casa colonica zatopiony w winorośli. Minęli ruinę i otaczające ją dobudówki, weszli na zarośniętą polanę. I znów Pendergast stanął, żeby badawczo przyjrzeć się zboczowi ponad nimi.

D'Agosta miał wrażenie, że serce mu eksploduje. Urządzenie na mikrofałę martwo ciążyło mu na ramieniu. Patrząc w dół, wzdłuż linii grzbietu wzgórza, rozpaczliwie łapiąc oddech, zauważył przelotnie kilka psów, biegnęły z ujadaniem. Ich tyraliera się zacieśniała. W oddali słyszał teraz gwizdy i nawoływania opiekunów.

Pendergast intensywnie wpatrywał się w górną część zbocza, gdzie żleb zwęzał się w kierunku szczytu. - Widzę błysk stali.

- Ludzie?

Pendergast skinął głową. - Polowałeś kiedyś na dziki?

- Nie.

- Właśnie tak polują na nas. Jak na dzika. Tam na górze, gdzie wąwóz się zwęza, będą myśliwi. Z tuzin, może więcej, w ukryciu. Ich pole ostrzału całkowicie pokryje grań. - Kiwnął głową, jakby z aprobatą. - Standardowe polowanie. Psy naganiają dzika i nakierowują w wąską dolinę idącą do szczytu, gdzie zmuszony jest porzucić ukrycie i zostaje zdjęty przez myśliwych.

- Więc co robimy?

- Nie zachowujemy się jak dzik. Zamiast uciekać przed psami, kierujemy się w bok.

Pobiegł wzdłuż zbocza pod kątem prostym do linii spadku przez wzniesienia i zagłębienia terenu. Ujadanie psów przybrało na sile, ich głosy odbijały się od wzniesień, co dawało wrażenie, jakby zwierzaki nadciągały ze wszystkich stron.

Stromy bok góry znajdował się może ćwierć mili przed nimi. Gdyby zdołali go minąć, myślał D'Agosta, kiedy potykając się, gnali naprzód, mogliby minąć psy z boku i znów zejść na dół. Ale las rósł coraz bardziej stromo i gęściej, spowalniając ich tempo. A potem, całkiem niespodziewanie, dotarli do brzegu małej, lecz bardzo stromej rozpadliny, strumień na jej dnie przelewał się między ostrymi głazami.

Po przeciwnej stronie, w odległości może dwudziestu stóp, wznosił się klif, mokre, porośnięte mchem skały.

Nie do przejścia.

Pendergast się odwrócił. Psy wydawały się być bardzo blisko. D'Agosta słyszał trzaskanie gałązek, łamanie krzaków, przekleństwa opiekunów.

- Nie damy rady przejść przez wąwóz - stwierdził Pendergast. - Zostaje nam tylko jedna możliwość. Musimy ruszyć w górę i spróbować prześlizgnąć się przez linię myśliwych.

Agent wyjął pistolet, który zabrał zabitemu mężczyźnie, sprawdził magazynek. - Zostały trzy naboje - powiedział. - Chodźmy.

Podjęli wspinaczkę. D'Agosta miał wrażenie, że nie da rady zrobić już ani kroku, ale adrenalina - i potworne ujadanie sfory na dzika - pomagały mu iść dalej.

Po kilku minutach las się przerzedził i pojaśniał. Przykucnęli, potem powoli podkradli się w górę. Nad nimi las przechodził w łąki i porośnięte krzakami zagłębienia. D'Agosta sapnął przerażony. Zagłębienia nie do przejścia, łąki odsłonięte i puste, gdzieś tam tylko rosły na nich zagajniki. W odległości mniej więcej ćwierć mili teren znów się wznosił, obramowany dwoma skalnymi grzbietami, i w końcu dochodził do nagiego szczytu. Zupełnie jak na strzelnicy

- To na nic, Vincencie. Iść dalej to samobójstwo. Będzie tam zbyt wielu ludzi, a z pewnością polują w tej dolinie przez całe życie. Nigdy się nie przedrzemy.

- Jesteś pewien? To znaczy, że są tam ludzie?

Pendergast skinął głową, patrząc w górę. - Stąd widzę przynajmniej sześciu. Nie sposób powiedzieć, ilu chowa się za skałą. - Zamilkł, jakby coś rozważał. Potem odezwał się szybko, do siebie. - Pierścień zamknął się już z boków i z góry. I nie możemy pójść w dół: nigdy w życiu nie przedrzemy się obok psów.

- Jesteś pewien?

- Nawet dwustufuntowy dzik przedzierający się przez gęste krzaki z prędkością trzydziestu mil na godzinę nie potrafi minąć psów. Kiedy dociera do ich linii, psy się zbiegają i...

Zamilkł. Potem spojrzał na D'Agostę, oczy mu lśniły

- Vincencie, to jest to. Jest droga wyjścia. Posłuchaj. Zejdę prosto w dół wzgórza. Kiedy dotrę do linii psów, ich ujadanie sprowadzi pozostałe i zbiegną się w stado. W tym czasie ty przejdiesz kilkaset jardów w bok, tędy, najszybciej jak możesz. Potem powoli ruszysz w dół zbocza. Powoli. Kiedy usłyszysz głoszenie psów - nie da się tego dźwięku pomylić - będziesz wiedział, że doszedłem do sfory i że mnie



osaczają. Kiedy psy się zbiegną, linia się załamie i właśnie wtedy możesz przejść. Wtedy i tylko wtedy. Czy to jasne? Czekaj na ujadanie. Kiedy się przedrzesz, idź prosto do drogi na Greve.

- A ty?

Pendergast podniósł pistolet.

- Z trzema nabojami? W życiu.

- Nie ma innego sposobu.

- Ale gdzie się spotkamy? Na drodze do Greve?

Pendergast potrząsnął głową. - Nie czekaj na mnie. Sprowadź colonnello i wracajcie z posiłkami najszybciej jak się da. Z solidnymi posiłkami. Rozumiesz? Weź to urządzenie - będzie ci potrzebne, żeby ich przekonać.

- Ale... - D'Agosta zamilkł. Wtedy - dopiero wtedy - dotarło do niego w całej pełni, jakie są konsekwencje zamiarów Pendergasta.

- W cholere z tym - powiedział. - Idziemy razem. Ujadanie się zbliżyło.

- Tylko jeden z nas może się przedostać. Nie ma innego sposobu. A teraz idź!

- Nie. Nie ma mowy... Nie zostawię cię tym psom...

- Cholera, Vincent, musisz! - I nie mówiąc nic więcej, Pendergast odwrócił się i ruszył w dół.

- Nie! - krzyknął D'Agosta. - Nieee...! Ale było za późno.

Czuł się jak sparaliżowany, wrośnięty w ziemię z niedowierzania. Szczupła sylwetka Pendergasta kocimi skokami posuwającego się w dół zniknęła między drzewami.

Nie pozostało nic innego, jak działać zgodnie z planem. Niemal mechanicznie zaczął się gramolić wzdłuż zbocza, poziomo, aż

przeszedł około trzystu jardów. Odwrócił się, gotowy do zejścia.

Nagle stanął. Przed nim, w gęstym zagajniku obok ostrej skały, stała samotna postać. Z każdego innego punktu człowiek ten pozostałby niewidzialny pod osłoną skały. Stał zupełnie nieruchomo, patrząc na D'Agostę.

„Jezu - pomyślał D'Agosta. - To jest to”.

Sięgnął po mikrofalowe urządzenie, zastanowił się. Mężczyzna nie był uzbrojony albo, jeśli był, nie miał broni na widoku. Lepiej załatwić to gołymi rękoma. Zebrał się w sobie, żeby skoczyć.

Ale potem się zawahał. Mężczyzna, chociaż w stroju wieśniaka, wyglądał inaczej niż reszta ludzi Fosca. Bardzo wysoki i szczupły, może ze cztery cale wyższy od Pendergasta, miał krótko przystrzyżoną brodę. I coś dziwnego z oczami. Miały różne kolory: lewe było orzechowe, prawe intensywnie niebieskie.

„Może to miejscowy - pomyślał D'Agosta. - Albo kłusownik czy coś. Świetny, kurwa, czas na spacer”.

Nagle znów usłyszał psy. Wciąż ujadają, miarowy, regularny dźwięk, jak przedtem.

Nie ma czasu do stracenia. Mężczyzna odwrócił się spokojnie, niezainteresowany D'Agosta zaczął wolno schodzić, czekając na zmianę psich głosów. Zerknął do tyłu i zobaczył obcego, który - wciąż bez ruchu - intensywnie wpatrywał się w dół zbocza.

D'Agosta odwrócił się i powoli, ostrożnie ruszył w dół przez las. „Zapomnij o nim”. Teraz liczył się Pendergast. Ucieknie. Musi, musi...

A potem nagle z dołu i z prawej dotarło do niego histeryczne szczekanie pojedynczego psa, którego głos brzmiał wyższą, bardziej nagłą nutą niż wcześniej. Zatrzymał się, nasłuchiwał. Kolejny

podjął wezwanie, potem trzeci. W jednej chwili podjęła je cała sfora. D'Agosta słyszał, że z tym zgiełkliwym wysokim szczekaniem gromadzą się w jednym miejscu. Po chwili rozległ się huk pistoletu, skomlenie psa. Podniecenie sfory wzrosło. Przerażający dźwięk przerwany drugim strzałem, potem trzecim. Po nich nastąpiło niższe „bum” starego karabinka dużego kalibru.

D'Agosta przez gęste zarośla nic nie widział, ale aż zbyt wyraźnie słyszał, co się działo.

Teraz miał szansę. Mocno tuląc urządzenie hrabiego, Vincent biegł w dół zbocza najszybciej jak umiał, skacząc, przedzierając się przez jeżyny, potykał się, wstawał, znowu biegł. Wypadł na niedużą polanę i tam - teraz daleko po prawej - mignął mu Pendergast: samotna postać w czerni otoczona sforą podnieconych psów. Tuzin albo więcej mężczyzn zbliżało się z dwóch stron i z dołu, wszyscy z wymierzonymi w niego ciężkimi strzelbami. Panował niesamowity harmider, krąg rozszalałych psów się zaciskał, te odważniejsze wyrywały się naprzód, usiłując wyrwać kawał ciała.

D'Agosta biegł i biegł - a potem minął linię, okropne pożądliwe szczekanie psów miał teraz za i nad sobą. Oddalał się, koszarne głosy psów, przekleństwa i krzyki ich opiekunów docierały do niego coraz słabiej. Polowanie skończone, zdobycz otoczona - tylko że tym razem nie był to dzik, ale człowiek, Pendergast. I nie miał zamiaru uciekać - tym razem nie miał zamiaru uciekać.

Buck siedział na pryczy w swojej celi w izbie zatrzymań na Manhattanie, słuchał i czekał. Był to obiekt nowy, sterylny, ściany całe białe, oświetlenie jarzeniowe; świetlówki w osłoniętych kratą oprawach. Mimo że było po północy, słyszał, jak hałasowali inni osadzeni, stukali w kraty, krzyczeli, kłócili się, domagali adwokata. Niektórzy wykrzykiwali w niezrozumiałych językach, które brzmiały surowo, niemal po barbarzyńsku.

Przeszedł całą procedurę, pobrano od niego odciski palców, sfotografowano, wsadzono pod prysznic, wydano zmianę odzieży. Został nakarmiony, wręczono mu egzemplarz „Timesa”, zaoferowano telefon do prawnika - i nie powiedziano absolutnie niczego. Zdawało się, że tkwi w tej celi od wieków. Każda mijająca godzina przykręcała śrubę o jedną kreskę. Kiedy się zacznie? Czy tak czuł się Chrystus, czekając, aż go zawiodą przed Poncjusza Piłata? Wolałby cokolwiek - bicie, tortury, złorzeczenie - zamiast tego czekania bez końca. W dodatku otoczenie było sterylne, duszące. Co gorsza, siedział sam. Uprzejmość, z jaką go traktowano, wydawała się niemal okrutna. Zastanawiał się, jak długo jeszcze zniesie tych ludzi przychodzących i odchodzących z jedzeniem, ludzi, którzy nigdy nie odpowiadali na jego pytania, nigdy nie patrzyli mu w oczy, nigdy nie odzywali się nawet słowem.

Ukląkł, żeby się pomodlić. Kiedy to nastąpi? Kiedy ściany zadrżą,

głosy zawibrują, ziemia otworzy się i pochłonie nieczystych? Kiedy krzyki potępionych wypełnią powietrze, królowie i księżęta uciekną, aby schować się pośród skał, a czterej jeźdźcy Apokalipsy pojawią się na niebie? Nie miał nawet okna, nie mógł niczego zobaczyć.

Napięcie dosłownie go zabijało.

Pojawił się jeszcze jeden strażnik, czarna mężczyzna w niebieskim mundurze niosący tacę.

- Co to jest? - zapytał Buck, podnosząc wzrok.

Brak odpowiedzi. Mężczyzna otworzył przesuwaną szufladkę w kracie, wstawił tam tacę, odwrócił się i odszedł.

- Co się dzieje na zewnątrz? - zawołał Buck. - Co się...? Ale strażnik już zniknął.

Buck wstał i znowu usiadł na pryczy. Spojrzał na jedzenie. Bajgel z serkiem i galaretką, pierś kurczaka cała w skrzepłym sosie, trochę szarawej fasolki szparagowej i marchewki, łycha twardniejącego puree ziemniaczanego. Banalność tego posiłku przyprawiała o mdłości.

Nagle usłyszał coś nowego poza zwykłymi odgłosami więzienia. Głosy, szcęk, nagły wybuch krzyków wśród więźniów. Buck wstał.

Zaczyna się? Czy w końcu się zaczyna?

Na końcu korytarza pojawiło się czterech policjantów w pełnym uzbrojeniu, drewniane pałki kołysały się na biodrach. Kroczyli w szyku. Po niego. Przyszli po niego. Poczł dreszcz oczekiwania. Teraz coś się stanie. Może być bardzo ciężko. Na pewno będzie to dla niego ostateczna próba. Ale cokolwiek się stanie, przyjmie to jako część wielkiego planu bożego.

Zatrzymali się przed jego celą. Patrzył wyczekująco. Jeden z nich

wystąpił krok naprzód i przeczytał z kartki przypiętej do zielonej podkładki.

- Wayne Paul Buck? Skinął głową, sztywniejąc.

- Pójdzie pan z nami.

- Jestem gotowy - odpowiedział wyzywająco, ale z cichą godnością. Mężczyzna otworzył celę. Pozostali odsunęli się z bronią w gotowości.

- Proszę wyjść. Proszę się odwrócić i złożyć ręce na plecach.

Zrobił, co kazano. Będzie źle, bardzo źle, czuł to. Chłodna stal kajdanek otoczyła mu przeguby, potem usłyszał szczęk, zapowiedź tego, co miało nastąpić.

- Tędy, proszę pana.

„Proszę pana”. Zaczynały się drwiny.

Przeprowadzili go w ciszy korytarzem do windy, wjechali cztery piętra do góry, potem przeszli kolejnym sterylnym korytarzem do szarych metalowych drzwi. Zapukali.

- Proszę - powiedział kobiecy głos.

Drzwi otworzyły się i Buck wszedł do małego pomieszczenia z metalowym biurkiem i pojedynczym oknem z widokiem na nocny pejzaż Manhattanu. Przy biurku siedziała tamta, policjantka, która przyprowadziła centurionów, żeby go aresztowali.

Stał przed nią dumny, nieugięty. Ona była jego Poncjuszem Piłatem.

Przyjęła teczkę od dowódcy oddziału. - Czy miał pan możliwość skontaktowania się z prawnikiem? - zapytała.

- Nie potrzebuję prawnika. Bóg jest moim adwokatem. - Zauważył po raz pierwszy, jaka była ładna — i jaka młoda. Miała niewielki

opatrunek nad uchem, gdzie uderzył ją kamień. Uratował ją od śmierci.

„Diabeł ma wiele twarzy”.

- Jak pan sobie życzy. - Wstała, zdjęła kurtkę z wieszaka, włożyła ją i skinęła głową w stronę policjantów. - Czy szeryf jest gotów?

- Tak, pani kapitan.

- Więc chodźmy.

- Dokąd? - zapytał Buck.

Jedyną odpowiedzią było poprowadzenie go wzdłuż holu. Pojechali kolejną windą na dół, a potem przez misterny labirynt korytarzy wyszli na podwórze, gdzie stał beczynnie nieoznakowany policyjny samochód, odbijając światło tuzina lamp sodowych. Za kierownicą siedział umundurowany policjant. Niewysoki, krępy mężczyzna w szarym poliestrze stał przy drzwiach od strony pasażera z rękoma założonymi na piersiach.

- Możecie go rozkuć - powiedziała Hayward do policjantów. - Posadźcie go z tyłu.

Zdjęli mu kajdanki, otworzyli drzwi i umieścili w samochodzie. W tym czasie Hayward rozmawiała z mężczyzną w garniturze, dając mu zieloną teczkę i podkładkę. Podpisał dokument, oddał go, wsiadł obok kierowcy i zatrzasnął drzwi.

Hayward pochyliła się przy tylnym oknie. - Pewnie zastanawia się pan, co się z panem stanie.

Buck poczuł przyływ podniecenia. To było to, prowadzili go tam, gdzie miał nastąpić koniec, gdzie przeżyje najważniejszą chwilę. Był gotowy.

- Ten pan jest szeryfem, który będzie pana eskortować podczas

podróży samolotem do Broken Arrow w stanie Oklahoma, gdzie jest pan poszukiwany za złamanie zasad zwolnienia warunkowego.

Buck siedział oszołomiony. Niemożliwe. Kolejne drwiny. To sztuczka, podstęp.

- Słyszysz mnie pan?

Buck nie zareagował. To musiała być sztuczka.

- Prokurator okręgowy postanowił nie stawiać panu żadnych zarzutów tu, w Nowym Jorku - za duży kłopot. Zresztą, prawdę mówiąc, nie zrobił pan niczego złego poza wykorzystaniem wolności słowa w dość niefortunny sposób. Mieliśmy szczęście, uniknęliśmy zamieszek, po pańskim odejściu tłum spokojnie się rozszedł. Wszyscy pojechali do domu, teren jest teraz ogrodzony. Wkrótce Departament Parków rozpocznie akcję oczyszczania i siewu, co i tak było już potrzebne. Tak więc, jak pan widzi, nie nastąpiły żadne poważne szkody i uznaliśmy, że lepiej pozwolić, aby cały ten incydent dyskretnie odszedł w zapomnienie.

Buck słuchał, ledwie mógł uwierzyć własnym uszom.

- A co ze mną? - udało mu się w końcu zapytać.

- Jak już mówiłam, wysyłamy pana z powrotem do Oklahoma, gdzie pewien funkcjonariusz zajmujący się zwolnieniami warunkowymi bardzo chciałby się z panem widzieć. My pana nie chcemy. Oni mieli pierwszeństwo i chcieli pana z powrotem. W sumie to dla wszystkich dobre zakończenie.

Uśmiechnęła się, opierając ręce na drzwiach samochodu. - Panie Buck, wszystko w porządku?

Nie odpowiedział. Nie było w porządku. Czuł mdłości. Nie to miało się wydarzyć. To był żart, okrutny żart.



Pochyliła się bardziej do przodu. - Panie Buck? Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym powiedzieć panu coś prywatnie. Wpatrywał się w nią.

- Po pierwsze, jest tylko jeden Jezus i pan nim nie jest. Po drugie, jestem chrześcijanką i staram się być dobrą chrześcijanką, chociaż nie zawsze mi się udaje. Nie miał pan prawa stać tam, kiedy byłam na łasce tłumu, i wydawać sądów, wskazując mnie palcem. Powinien pan uważnie przyrzeć się następującemu fragmentowi Ewangelii według świętego Mateusza: „Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni... Obłudniku, wyrzuć najpierw belkę ze swego oka, a wtedy przejrzysz, żeby usunąć drzazgę z oka twego brata”.

Przerwała. - Zawsze najbardziej lubiłam wersję króla Jakuba. Teraz niech pan słucha: od tej pory niech się pan martwi o siebie. Niech pan będzie dobrym obywatelem, unika kłopotów i przestrzega prawa.

- Ale... Pani nie rozumie... To się stanie. Ostrzegam panią, to nadchodzi. - Buck ledwo był w stanie wyartykułować te słowa.

- Jeżeli szykuje się drugie przyjście, to na pewno nikt nie zostanie uprzedzony Tyle przynajmniej wiem.

Uśmiechnęła się, poklepała bok samochodu i powiedziała: - Do widzenia, panie Buck. Niech pan się w nic nie miesza.



W elegancko umeblowanej jadalni w głównym skrzydle Castello Fosco hrabia cierpliwie czekał, aż podadzą mu obiad. Ściany piętnastowiecznej rezydencji były niezmiernie grube i wewnątrz nie rozlegał się żaden dźwięk oprócz cichego mechanicznego szmeru, który wydawał Bucefalus ze swojej białej podstawki, miażdżąc mechanicznym dziobem sztuczny orzech. Przez okazałe okna rozpościerał się wspaniały widok na okolicę, na wzgórza Chianti i głęboką dolinę Greve. Ale Fosco z zadowoleniem siedział na ciężkim dębowym krześle na końcu długiego stołu, z rozkosznym spokojem analizując wypadki dnia.

Z zamyślenia wyrwało go szuranie stóp w przejściu. Po chwili pojawiła się kucharka Assunta, niosąc dużą tacę. Ustawiła ją na przeciwległym końcu stołu, prezentując dania, jedno po drugim: proste maltagliati ai porcini, ogon wołowy podany alla vaccinara, fegatini z rusztu, contorno z kopru włoskiego duszone w oliwie. Proste, bezpretensjonalne potrawy, w których specjalizowała się kucharka i które Fosco preferował podczas pobytów na wsi. I jeśli nawet jej sposobowi obsługi brakowało wykończenia i staranności właściwej Pinkettsowi, cóż, na to nic nie można było poradzić.

Podziękował i kiedy wychodziła, nalał sobie kieliszek znakomitego wina Chianti Classico produkowanego na terenie posiadłości. Następnie zabrał się ze smakiem do obiadu. Mimo że był bardzo

głodny, jadł powoli, delektując się każdym kęsem i każdym łykiem wina.

Kiedy nareszcie skończył jeść, zadzwonił srebrnym dzwoneczkiem, który leżał obok jego prawej ręki. Assunta pojawiła się ponownie.

- Grazie - powiedział, osuszając kąciki ust wielką lnianą serwetką. Assunta dygnęła dość niezgrabnie.

Hrabia wstał. - Kiedy już posprzątasz ze stołu, możesz wziąć kilka dni wolnego.

Kucharka spojrzała na niego pytająco, nie podnosząc głowy.

- Per favore, signora. Już od kilku miesięcy nie odwiedzała pani swojego syna w Pontremoli.

Dygnięcie było głębsze niż poprzednio. - Mille grazie.

- Prego. Buona sera. - Hrabia lekko odwrócił się na pięcie i wyszedł z jadalni.

Kiedy już kucharka wyjedzie, zamek będzie całkowicie opuszczony przez służbę. Jego ludzie wykonali swoje zadanie i wyjechali. Nawet dozorczy dostali kilka dni urlopu. Tylko Giuseppe, stary opiekun psów, pozostał w posiadłości. Tak się złożyło, że był potrzebny.

Nie chodziło o to, że Fosco nie ufał służbie, wszyscy oni od zawsze związani byli z rodziną, niektórzy nawet od ośmiuset lat, i ich lojalność nie budziła wątpliwości. Po prostu chciał dokończyć dzieła bez przeszkód.

Wolno, ale zdecydowanie przemierzał olbrzymie sale: salone, salę portretową, zbrojownię. Idąc, cofał się w czasie. Najpierw szedł przez nowszą część zamku, dobudowaną w trzynastym wieku, potem przez starsze komnaty, zbudowane pół tysiąca lat wcześniej. Tu nie było elektryczności, żadnych nowoczesnych wygód, takich jak kanalizacja

czy centralne ogrzewanie. Płatanina małych, pozbawionych okien pomieszczeń, coraz ciemniejszych i bardziej przytłaczających; Fosco przystanął, z uchwytu w ścianie zdjął pochodnię, zapalił. Odwracając się do wiekowego stołu umieszczonego opodal, wziął coś i wetknął za kamizelkę. Następnie skręcił w boczne przejście i szedł dalej, w dół, do labiryntu podziemnych tuneli wyciosanych w skałę.

Wiele spośród obszernych piwnic Castello Fosco zajęły produkty pochodzące z posiadłości. Szereg sal przeznaczono na produkcję wina - wypełniały je maszyny do butelkowania, kadzie fermentacyjne i niezliczone beczułki z francuskiego dębu. W innych magazynowano wędzone szynki z dzika; w tych głębokich chłodnych przestrzeniach z sufitów zwisały niezliczone szynki, nadal pokryte szorstką szczecią. W jeszcze innych przechowywano oliwę lub produkowano balsamico. Ale tu, głęboko pod główną bryłą twierdzy, nie było takich przestronnych, dobrze wentylowanych sal. Wąskie krypty wykuto głęboko w wapiennym licu klifu, spiralne schody prowadziły w dół do starych szybów i komnat nieużywanych przez pół tysiąca lat.

Fosco szedł w dół właśnie jedną z takich klatek schodowych. Powietrze było chłodne, ściany lśniły wilgocią. Hrabia jeszcze bardziej zwolnił kroku. Ręcznie wykute stopnie były śliskie i gdyby upadł, nikt nie usłyszałby jego krzyków.

Wreszcie doszedł do końca schodów, które przeszły w labirynt wąskich krypt wyłożonych starymi cegłami. W ścianach wykuto nisze, z których każda skrywała szkielet; byli to dawno zmarli członkowie rodziny albo też, co bardziej prawdopodobne - sądząc z ogromnej ich liczby - sojusznicy polegali w wojnach prowadzonych przed tysiącleciem. Powietrze było tu złe i pochodnia, którą niósł

Fosco, przygasła, podczas gdy on podążał swoim szlakiem.

W miarę jak szedł w głąb labiryntu, starożytne mury stawały się coraz bardziej nierówne. Minął kilka miejsc, gdzie odpadły od skały, tworząc stosy cegieł. Szkielety leżały tu w wielkiej obfitości, jakby rzucone niedbale, pozostawione na pastwę szczurom gryzącym i rozwlekającym kości.

Wreszcie dotarł do ślepego zaułka, którym kończyła się krypta. Panowała tu nieprzenikniona ciemność, tak gęsta, że pochodnia Fosca ledwie ją rozświetlała. Zrobił jeszcze krok naprzód, machnął przed sobą pochodnią, zataczając nią ostrożnie półkole w kierunku najgłębszego zakamarka.

Migotliwy płomień wydobył sylwetkę Pendergasta z głową opadającą na piersi. Twarz miał podrapaną, krwawił z kilkunastu miejsc. Zwykle nieskazitelny czarny garnitur - teraz podarty i brudny, marynarka leżała rzucona u stóp. Robione na miarę angielskie buty umazane były tokańskim błotem. Wyglądał na nieprzytomnego i osunąłby się na ziemię przed hrabią, gdyby nie ciężki łańcuch ściśle opasujący jego klatkę piersiową. Umocowany został do żelaznego skobla osadzonego w wapiennej ścianie, jego koniec zaś spięto kłódką z kolejnym takim samym skoblem pod drugim bokiem Pendergasta. Przeguby rąk zwisały mu bezwładnie po bokach przytwierdzone dodatkowymi odcinkami łańcucha do tylnej ściany niszy.

Fosco zrazu bardzo ostrożnie poruszył pochodnią. Nauczył się, że nawet teraz nie wolno mu lekceważyć przeciwnika. Ale Pendergast był całkiem unieruchomiony i bezbronny. Ośmielony tym hrabia ponownie zbliżył pochodnię.

Pendergast poruszył się, gdy światło padło mu na twarz. Zamrugał oczami i otworzył je.

Fosco natychmiast cofnął się o krok. - Agencie Pendergast? - powiedział łagodnie. - Aloysius? Obudziliśmy się już?

Pendergast nie odpowiedział, ale oczy miał nadal otwarte. Poruszył słabo kończynami, rozprostował skute dłonie.

- Proszę mi wybaczyć, obawiam się, że te więzy są konieczne, jak pan wkrótce sam zrozumie.

Nie było odpowiedzi, więc hrabia ciągnął: - Z pewnością czuje się pan słaby, ledwie zdolny się poruszyć. Może też doświadczać pan pewnego zaniku pamięci. Fenobarbital wywołuje czasem taki efekt. Wydał mi się najlepszym sposobem na sprowadzenie pana z powrotem do zamku bez nadmiernego wysiłku. Pozwoli pan zatem, że odświeżę mu pamięć. Panowie, wraz z poczciwym sierżantem D'Agostą znużeni moją gościnnością, zapragnęliście wyjechać. Ja, naturalnie, wyraziłem sprzeciw. Wywiązała się, niestety, nieprzyjemna walka, w trakcie której mój nieodżałowany Pinketts stracił życie. Złożyliście panowie pewne ważne dokumenty, które musiałem odzyskać. Wówczas podjęliście próbę ucieczki i obawiam się, że sierżant D'Agosta zdołał umknąć. Ważne jednak, że pan jest już z powrotem, mój drogi. Bezpiecznie powrócił pan na łono zamku Fosca! Nalegam też, aby pan pozostał jako mój gość. O nie, nie przyjąłbym odmowy.

Fosco ostrożnie umieścił pochodnię w uchwycie na ścianie. - Błagam o wybaczenie, że oferuję aż tak ciasne lokum. Komnaty te nie są jednak całkiem pozbawione naturalnego uroku. Zauważy pan, zapewne, białą siatkę, jaką połyskują ściany tej pieczary? To nitryt,

mój drogi pan Pendergast - ze wszystkich ludzi pan zapewne doceni tę aluzję literacką. Tym samym zrozumie pan, co ma nastąpić.

Aby podkreślić swe słowa, hrabia sięgnął za kamizelkę i z wolna wydobył kielnię.

Wpatrujące się w nią przytępione, oszołomione narkotykiem oczy Pendergasta załśniły na moment.

- Aha! - wykrzyknął uradowany hrabia. - Zatem pan odgadł! Weźmy się więc co prędzej do dzieła. - Sięgnął w bok i odgarnął stertę kości, odkrywając dużą ilość świeżej zaprawy.

Ujął kielnię, ułożył grubą warstwę zaprawy wzdłuż ujścia wnęki. Następnie podszedł do jednej ze stert cegieł i nosząc po dwie, ułożył je obok siebie na zaprawie. Po kilku minutach pierwsza warstwa cegieł była ułożona i Fosco kładł zaprawę na wierzchu.

- Jakże piękne są te cegły! - powiedział, nie przerywając pracy - Wytworzono je wiele wieków temu z gliny wydobytej z tego właśnie wzgórza. Proszę spojrzeć, jakie masywne, nie mamy tu w Fosco żadnych małych angielskich cegieł! Kazałem nie żałować wapna do zaprawy, niemal dwie części wapna na każdą część piasku, ale też chcę, by pańskie ostateczne mieszkanie było tak mocne, jak to tylko możliwe. Chcę, aby trwało długie wieki, mój drogi panie Pendergast. Chcę, aby trwało, aż rozlegną się trąby sądu ostatecznego!

Pendergast nie odezwał się ani słowem. Przyćmione narkotykiem oczy pojaśniały. Obserwował Fosca przy pracy z nieomal kocim stoicyzmem - o ile, pomyślał Fosco, stoicyzm to było właściwe słowo. Kończąc z drugą warstwą cegieł, przerwał na chwilę i spojrzał mu w oczy.

- Przygotowywałem to już od pewnego czasu - powiedział. - Od

dosyć długiego czasu, prawdę powiedziawszy Widzi pan, odkąd spotkaliśmy się po raz pierwszy na uroczystości ku pamięci Jeremy'ego Grove'a, kiedy to posprzeczaaliśmy się nieco na temat fresku Ghirlandaia, zdałem sobie sprawę, że jest pan najgroźniejszym przeciwnikiem, z jakim przyszło mi się zmierzyć.

Przerwał, czekając. Ale Pendergast nadal się nie odzywał i nie wykonał żadnego ruchu oprócz mrugnięcia. Fosco wrócił zatem do pracy i z energią zwielokrotnioną przez nagły przyływ złości wymurował trzecią, czwartą i piątą warstwę cegieł.

Kiedy kładł ostatnią cegłę w szóstym rzędzie, przerwał. Chwilowa złość ustąpiła i znowu był sobą. Mur sięgał Pendergastowi do pasa. Odrzucając poły marynarki, Fosco usiadł na starej stercie cegieł, aby odpocząć. Jego wzrok spoczął na więźniu niemal z sympatią.

- Proszę zwrócić uwagę, że zastosowałem wiązanie flamandzkie, układając na przemian cegły wzdłuż i w poprzek - powiedział. - Piękne, nieprawdaż? Mógłbym zostać murarzem, gdybym zechciał. Oczywiście budowa tego typu muru jest czasochłonna. Proszę uważać to za mój ostatni podarunek. Pożegnalny podarunek. Widzi pan, kiedy już ostatnia cegła znajdzie się na miejscu, nie potrwa to długo. Być może dzień lub dwa, w zależności od tego, jak wiele powietrza przesącza się przez te starożytne ściany. Nie jestem sadystą. Pańska śmierć nie będzie się przeciągać ponad miarę, chociaż wyobrażam sobie, że powolne konanie na skutek uduszenia w ciemności nie jest aż tak łaskawą śmiercią, jakiej można by sobie życzyć. Nic na to nie można poradzić.

Siedział przez chwilę, łapiąc oddech. Potem mówił dalej, a jego głos nabrał tonu wręcz kontemplacyjnego.



- Niech się panu nie zdaje, signor Pendergast, że lekko traktuję tę odpowiedzialność. Zdaję sobie sprawę, że zamurując pana w tym grobowcu, zabieram światu wielki intelekt. Bez pana świat będzie znacznie bardziej nudny. Jednak stanie się też bezpieczniejszy dla mnie i takich jak ja, mężczyzn i kobiet, którzy pragną spełniać swoje przeznaczenie nieograniczani prawem stanowionym przez ludzi poślednich.

Spojrzał we wnękę. Ściana była w połowie skończona i niszę zalegał głęboki cień. Tylko zarys mizernej, zakrwawionej twarzy Pendergasta widoczny był w świetle pochodni.

Hrabia spojrzał pytająco. - Wciąż nic? Bardzo dobrze. Kontynuujmy. - Co powiedziawszy, wstał.

Kolejne trzy warstwy zostały ułożone w ciszy. Na koniec, kiedy Fosco położył ostatnią cegłę dziewiątej warstwy i pokrył jej wierzch zaprawą, Pendergast przemówił. Ściana sięgała już poziomu jego bladych oczu i głos odbijał się echem wewnątrz nowo powstałej krypty.

- Nie wolno panu tego robić - powiedział. Jego głos nie miał w sobie ani śladu dawnej, płynnej, niemal leniwej precyzji.

Fosco wiedział, że jest to skutek uboczny fenobarbitalu. - Ależ mój drogi panie Pendergast, to już zrobione! - Wyrównał kielnią zaprawę i wrócił do sterty cegieł.

Zanim Pendergast ponownie się odezwał, ułożona została dziesiąta warstwa. - Jest coś, co muszę zrobić. Coś niedokończonego, co ma wielkie znaczenie dla świata. Członek mojej rodziny ma możliwość spowodowania ogromnych szkód. Muszę go powstrzymać.

Fosco przerwał i słuchał.

- Niech mi pan pozwoli wykonać zadanie. Potem wrócę. Pan... pan będzie wtedy mógł rozporządzać moją osobą wedle uznania. Daję panu słowo jako dżentelmen.

Fosco się zaśmiał. - Ma mnie pan za głupca? Mam uwierzyć, że wróci pan z własnej woli, jak Regulus do Kartaginy, żeby zginąć? Ba! Nawet gdyby dotrzymał pan słowa, kiedy mam pana oczekiwać? Za dwadzieścia lub trzydzieści lat, kiedy będzie pan już stary i zmęczony życiem?

Z ciemności spowijającej wnękę nie padła żadna odpowiedź.

- A to zadanie, o którym pan wspomniał. Zaintrygowało mnie. Mówi pan, członek rodziny? Proszę mi podać więcej szczegółów.

- Najpierw proszę mnie uwolnić.

- To niemożliwe. Ale cóż, widzę, że tylko pojedynkujemy się na słowa. I jestem już znużony tym zadaniem. - Pracując teraz szybciej, Fosco dokończył dziesiątą warstwę i zaczął jedenastą, ostatnią.

Dopiero kiedy miał do wpasowania i wmurowania w ścianę już tylko jedną cegłę, Pendergast znów się odezwał. - Fosco - głos był słaby, grobowy, jakby wydobywał się z najgłębszych czeluści sarkofagu. - Proszę pana jako dżentelmen i jako człowiek. Niech pan nie kładzie tej cegły.

- Tak. To rzeczywiście dość przykre. - Fosco zważył ostatnią cegłę w rękę. - Ale obawiam się, że nadszedł czas rozstania. Dziękuję, że zaszczycił mnie pan swoim towarzystwem przez te ostatnie dni. Nie mówię panu arrivederla, tylko addio. - I wcisnął ostatnią cegłę na miejsce.

Kiedy zbierał nadmiar zaprawy, usłyszał - lub tak mu się zdawało - jakiś dźwięk z wnętrza grobowca. Niski jęk albo wypuszczenie

powietrza. A może tylko wiatr wyjący w starożytnych katakumbach?  
Przycisnął głowę do świeżo postawionej ściany i słuchał pilnie.

Nic więcej.

Fosco cofnął się, kopnięciem usypał przed ścianą kopiec z kości, chwycił pochodnię i pospiesznie ruszył w stronę starożytnego szybu klatki schodowej przez przypominającą szcurze gniazdo sieć tuneli. Dochodząc do schodów, zaczął się wspinać - tuzin schodów, dwa tuziny, trzy - ku powierzchni i ciepłemu wieczornemu słońcu, niespokojną krainę cieni zostawiając daleko za sobą.



D'Agosta w milczeniu siedział z tyłu, podczas gdy samochód wjeżdżał wijącą się górską drogą. Krajobraz był równie piękny jak dwa dni temu: wzgórza odziane w jesienne szaty, lśniące rdzawością i złotem w słońcu wczesnego poranka. Ledwie to zauważył. Patrzył w górę, na surową wieżę Castel Fosco właśnie pojawiającą się w polu widzenia na samotnej szarej skale. Sam widok zamku przyprawił go o dreszcz, nie zdołał temu zapobiec nawet konwój policyjnych samochodów.

Przełożył ciężką płócienną torbę z jednego kolana na drugie. W środku znajdowała się diaboliczna broń Fosca. Dreszcz rozproszył się w fali wściekłości, starannie kontrolowanego gniewu, który go męczył. D'Agosta próbował skierować ten gniew w określonym kierunku: będzie go potrzebował podczas zbliżającej się konfrontacji. Papiery, nakaz - wreszcie przyszły; biurokracja dostała swoją porcję do przeżucia. Wiedział, że musi zachować spokój i nie może tracić panowania. Wiedział, że ma tylko jedną szansę na ocalenie Pendergasta - jeżeli rzeczywiście nadal żył - i nie zamierzał jej zmarnować z powodu braku kontroli.

Colonnello Esposito, który siedział obok, pociągnął ostatni, długi haust papierosowego dymu, potem zgniótł niedopałek w popielniczce. W czasie jazdy colonnello był cichy, tylko raz po raz zapalał nowego papierosa. Teraz również on wyjrzał przez okno.

- Straszliwa rezydencja - powiedział. D'Agosta skinął głową.

Esposito wyjął nowego papierosa, po czym zmienił zdanie, schował go i odwrócił się do sierżanta. - Ten Fosco, sądząc z pana opisu, to przebiegły człowiek. Będzie konieczne schwytanie go na gorącym uczynku, zabezpieczenie dowodów. Dlatego wkroczymy szybko.

- Tak. Świetnie.

Esposito przejechał dłonią po zaczesanych do tyłu siwych włosach.

- Najwyraźniej należy także do tych, którzy niczego nie zostawiają przypadkowi. Obawiam się, że Pendergast może... - zawiesił głos.

- Gdybyśmy nie czekali dwunastu godzin...

Colonnello potrząsnął głową. - Nie można zmieniać biegu rzeczy.

- Umilkł, gdy samochody mijaly zrujnowaną zewnętrzną bramę i wjeżdżały w długą cyprysową aleję. Potem poruszył się niespokojnie.

- Jedna prośba, sierżancie.

- Jaka?

- Jeśli pan pozwoli, ja będę mówił. Dopilnuję, by rozmowa toczyła się po angielsku. Fosco dobrze mówi po angielsku?

- Perfekcyjnie.

D'Agosta nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł podobne wyczerpanie. Bolały go wszystkie kości, skórę miał podrapaną i pokaleczoną w niezliczonych miejscach. Tylko żelazne postanowienie, by ratować Pendergasta, strach, co przyjaciel może znieść z rąk hrabiego, trzymały go na nogach. „Może jeszcze żyje - myślał. - W tej samej celi. Oczywiście. Musi”.

D'Agosta zmówił szybką żarliwą modlitwę, żeby tak właśnie było. Alternatywę uznał za zbyt potworną, żeby się nad nią zastanawiać.

Samochody wjechały na wyspany żwirem parking tuż przed wewnętrznym murem. Tu, głęboko w cieniu kamiennej przypory, panował chłód. D'Agosta otworzył drzwi wozu i mimo bólu i dolegliwości wysiadł energicznie.

- Fiat - powiedział. - Nasz wynajęty samochód. Nie ma go.

- Jaki model? - zapytał Esposito.

- Stylo, czarny. Numer IGP dwa, dwa, trzy

Esposito odwrócił się do jednego ze swoich ludzi i warknął rozkaz.

Zamek sprawiał wrażenie opuszczonego, niemal nienaturalnie cichego. Pułkownik skinął na swoich ludzi, potem jako pierwszy ruszył szybko po kamiennych stopniach w górę, do opasanych żelaznymi taśmami drzwi.

Tym razem wejście do wewnętrznej części zamku nie otworzyło się samo. Potrzeba było pięciu minut - colonnello stukał coraz bardziej nerwowo - zanim uchyliły się z powolnym jękiem. Tam, w niejakim oddaleniu, stał Fosco. Obrzucił spojrzeniem grupę policjantów, wreszcie jego oczy spoczęły na D'Agoscie. Uśmiechnął się.

- Wielkie nieba! Sierżant D'Agosta. Jak pan znajduje Włochy? D'Agosta nie odpowiedział. Sam widok groteskowej sylwetki hrabiego wzbudził w nim falę odrazy. „Tylko spokojnie”, powtórzył w myślach.

Fosco był trochę zasapany, ale poza tym jak zawsze jowialny i niewzruszony. - Proszę wybaczyć, że otwieram z opóźnieniem. Nie spodziewałem się dzisiaj gości. - Potem zwrócił się do colonnello: - Ale nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Jestem Fosco.

- Colonnello Orazio Esposito z Nucleo Investigativo - szorstko

powiedział Esposito. - Mamy nakaz przeszukania tej nieruchomości. Muszę prosić, żeby się pan cofnął.

- Nakaz! - Na twarzy hrabiego pojawiło się zaskoczenie. - Z jakiego powodu?

Esposito go zignorował, wyminął, rzucając swoim ludziom rozkazy. Odwrócił się do hrabiego. - Moim ludziom potrzebny będzie dostęp do wszystkich części zamku.

- Oczywiście! - Hrabia pospieszył przez trawnik wewnętrznej części zamku, obok pluszczącej fontanny, w mrok starej twierdzy, przybierając pozę wyraźnego zaskoczenia i niepokoju zmieszanego z usługną chęcią współpracy.

D'Agosta zachowywał kamienne milczenie, trzymał płócienną torbę poza zasięgiem wzroku Fosca. Zauważył, że tym razem żadne z masywnych drzwi nie zatrzasnęły się za nimi.

Hrabia poprowadził ich przez centralną galerię do pokoju, którego D'Agosta wcześniej nie widział: obszernej i eleganckiej biblioteki, której ściany zastawiono starożytnymi woluminami; skórzane grzbiety były tłoczone i złoczone. W kominku wesoło strzelał ogień.

- Proszę, panowie - powiedział Fosco, zapraszając ich gestem. - Siadajcie. Czy mogę zaproponować sherry? Cygaro?

- Obawiam się, że nie mamy czasu na uprzejmości - odparł Esposito. Sięgnął do kieszeni, wyjął arkusz papieru z oficjalnymi pieczęciami i położył na stole. - Oto nakaz. Najpierw przeszukamy piwnice i lochy, potem będziemy się posuwać w górę.

Hrabia wydobył cygaro z rzeźbionego drewnianego pudełka. - Oczywiście będę współpracował, ale chciałbym wiedzieć, o co chodzi.

- Sierżant D'Agosta wniósł przeciw panu niezwykle poważne oskarżenie.

- Przeciwno mnie? - zapytał hrabia. Zerknął na D'Agostę. - O czym mówimy?

- O porwaniu, usiłowaniu morderstwa... i oskarżeniu, że nadal przetrzymuje pan Pendergasta.

Wyraz zaskoczenia na twarzy Fosca jeszcze się pogłębił. - Ależ... ależ to oburzające! - Opuścił cygaro, przeniósł spojrzenie z D'Agosty na Esposito i z powrotem. - Czy to prawda, sierzancie? Czy rzeczywiście wnosi pan takie oskarżenie?

- Chodźmy - niecierpliwie odezwał się D'Agosta. Chociaż zachował spokojny głos, w środku aż się gotował z powodu mistrzowskiego aktorstwa hrabiego. Fosco naprawdę wyglądał jak człowiek walczący z szokiem i niedowierzaniem.

- Cóż. W takim razie, kim jestem, by protestować? - Fosco obejrzał uważnie cygaro, odciął koniec srebrną gilotynką, zapalił. - Ale może pan zapomnieć o nakazie. Zapewniam panu i pańskim ludziom swobodny dostęp do zamku. Wszystkie drzwi stoją przed wami otworem. Szukajcie, gdzie chcecie. Proszę pozwolić, że pomogę panom, na ile zdołam.

Esposito energicznie odwrócił się do jednego z carabinieri, mówiąc coś po włosku. Mężczyzna zasalutował, zakręcił się i zniknął.

Colonnello odezwał się do D'Agosty. - Sierzancie, może mógłby pan nas zabrać do pokoju, w którym byliście uwięzieni w nocy. Hrabio, pan pójdzie z nami.

- Sam bym na to nalegał. Fosco to stara i szlachetna rodzina i ponad wszystko cenimy swój honor. Muszę natychmiast zmierzyć się



i uporać z tymi zarzutami. - Spojrzał na D'Agostę z cieniem urazy.

Sierzant poprowadził wzdłuż galerii, przez salon i długi ciąg eleganckich komnat. Hrabia szedł za nim swoim szczególnym, lekkim krokiem, wskazując różne dzieła sztuki i ciekawe widoki colonnello, który go jednak ignorował. Pozostali dwaj carabinieri zamykali pochód.

I wówczas nadszedł moment, kiedy D'Agosta zgubił drogę. Rozejrzał się, zrobił krok do przodu, znów się zatrzymał. W tej pokrytej stiukami ścianie były drzwi - bo przecież były?

- Sierzancie? - odezwał się Esposito.

- Może mógłbym w czymś pomóc? - zaproponował Fosco.

D'Agosta zajrzał przez jedne drzwi, wycofał się, zajrzał przez drugie. Minęły niespełna dwadzieścia cztery godziny, nie mógł zapomnieć. A może? Podszedł, dotknął ściany; stara, sypiąca się, absolutnie nie świeżo postawiona.

- Sierzant twierdził, że apartament, w którym był przetrzymywany, znajdował się w samej wieży - wyjaśnił colonnello.

Hrabia rzucił colonnello pełne zdumienia spojrzenie, potem zwrócił się do D'Agosty. - W wieży znajduje się tylko jeden apartament, ale to nie tędy.

- Proszę nas tam zaprowadzić.

Hrabia szybko poprowadził ich przez ciąg korytarzy i niskich, ciemnych kamiennych pomieszczeń pozbawionych umeblowania.

- To najstarsza część zamku - wyjaśnił Fosco. - Powstała w dziewiątym wieku. Raczej zimna i ponura. Nie ma tu współczesnych udogodnień w rodzaju elektryczności czy kanalizacji. Sam nigdy tu nie zaglądam.

Niedługo dotarli do ciężkich żelaznych drzwi wieży. Fosco otworzył je z trudem, zamek był zardzewiały. Drzwi skrzypnęły, Fosco odgarnął pajęczyny. Jako pierwszy ruszył po schodach w górę, echo kroków wypełniało kamienne przestrzenie. D'Agosta wszedł na podest, zatrzymał się przed drzwiami do ich apartamentu. Były uchylone.

- To tu? - zapytał Esposito. D'Agosta skinął głową.

Esposito dał znak swoim ludziom, którzy otworzyli drzwi i weszli do środka. Esposito za nimi, D'Agosta następny.

Przytulne mieszkanie, w którym spędził poprzednią noc, zniknęło. Dywany, półki na książki, meble - nie został po nich ani ślad. Światło, urządzenie łazienki - wszystko, co było tam zainstalowane, teraz zniknęło. Zamiast tego patrzył na zimną, ciemną kryptę zastawioną gnijącymi rupieciami, potłuczonymi kamiennymi rzeźbami, pleśniejącymi stosami ciężkich draperii. Na podłodze leżał potężny żelazny żyrandol, poskręcany i zardzewiały. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Wyglądało tu jak w magazynie nagromadzonych przez stulecia śmieci.

- Sierzancie, jest pan pewien, że to ten pokój?

Zdumienie D'Agosty zmieniło się w zakłopotanie, potem gniew. - Tak, ale inaczej tu wyglądało. Zupełnie inaczej. Były sypialnie, łazienka...

W pomieszczeniu zapadła cisza.

„Więc takie buty”, pomyślał D'Agosta. - Hrabia wykorzystał te dwanaście godzin, które zajęło nam zdobycie nakazu, żeby to wszystko zaaranżować. Zamaskować wszystko.

Esposito przejechał palcem po zakurzonej, starym, przezartym

przez korniki stole, roztarł kurz między palcami, potem uważnie spojrzął na sierżanta. Zwrócił się do hrabiego. - Czy w wieży są jeszcze inne apartamenty?

- Jak pan widzi, ten zajmuje całe górne piętro.

Esposito przeniósł wzrok a D'Agostę. - W porządku. Co dalej?

- Zeszliśmy na dół na kolację. - D'Agosta pilnował się, żeby mówić spokojnie. - W głównej jadalni. Fosco oświadczył, że nigdy nie opuścimy tego zamku żywi. Nastąpiła wymiana ognia. Zabiłem służącego.

Hrabia gwałtownie uniósł brwi. - Pinkettsa?

W ciągu pięciu minut znaleźli się w pogodnym jadalnym salotto, ale stało się to, czego obawiał się D'Agosta: żadnych plam krwi, żadnych śladów walki. Na stole resztki śniadania dla jednej osoby.

- Mam nadzieję, że panowie wybaczą - powiedział Fosco, wskazując na wpół zjedzony posiłek. - Zaskoczyliście mnie przy śniadaniu. Jak wspominałem, nie spodziewałem się gości. I dałem służbie kilka dni wolnego.

Esposito obchodził pomieszczenie dokoła, ręce założył za plecami, badał ściany, szukając odprysków albo dziur będących śladami kul. Zapytał: - Sierzancie, ile pocisków wystrzelono?

D'Agosta zastanawiał się przez chwilę. - Cztery. Trzy poszły w Pinkettsa. Ten jeden powinien być gdzieś w ścianie ponad kominkiem. O ile nie zagipsowano dziury.

Ale oczywiście nie było ani śladu, nic.

Esposito zwrócił się do hrabiego: - Ten Pinketts, czy możemy się z nim zobaczyć?

- Wrócił do Anglii na kilka tygodni. Wyjechał przedwczoraj,

śmierć w rodzinie, jak sądzę. Z przyjemnością dam panu jego adres i telefon w Dorset.

Esposito skinął głową. - Później.

W pokoju ponownie zapadła cisza.

„To żaden Anglik! - o mało nie krzyknął D'Agosta. - I nie nazywa się Pinketts!" Ale wiedział, że nie ma sensu teraz się o to kłócić. Fosco najwyraźniej przygotował się aż za dobrze. I nie pozwolił sobie na połknięcie przynęty - nie w obecności colonnello.

„Znaleźć Pendergasta. To najważniejsze".

Wrócili dwaj carabinieri, odbyli z colonnello pospieszną rozmowę po włosku. Colnello odwrócił się do D'Agosty. - Moi ludzie nie znaleźli ani śladu samochodu w garażach czy gdziekolwiek indziej na terenie posiadłości.

- Oczywiście się go pozbył.

Esposito z namysłem skinął głową. - Od kogo wynajęliście wóz?

- Od firmy Eurocar.

Esposito powiedział coś swoim ludziom po włosku. Twierdząco kiwnęli i wyszli.

- Gdy Fosco wrócił z Florencji, zostaliśmy zamknięci w starym magazynie - odezwał się D'Agosta, walcząc z narastającym uczuciem paniki. - W piwnicach. Mogę tam zaprowadzić. Schody są tuż przy spiżarni.

- Proszę. - I Esposito gestem pokazał, że ma iść.

D'Agosta poprowadził grupę przez jadalnię i dużą, pustą kuchnię do położonej dalej spiżarni. Klatka schodowa prowadząca w dół do piwnic była teraz zastawiona masywną szafą, z której staroświeckich mosiężnych haków zwisały miedziane garnki i przybory kuchenne.

„Bingo!" pomyślał D'Agosta.

- Wejście jest za tym - powiedział. - Zasłonił je szafą.

Esposito kiwnął na dwóch ludzi, którzy z wielkim trudem przesunęli mebel. D'Agosta poczuł, że robi mu się zimno. Schody zniknęły. Ich miejsce zajęła naga ściana, stara i zakurzona jak reszta pomieszczenia.

- Niech pan dotknie! - Nie potrafił opanować frustracji i rosnącego przerażenia, zdradził go głos. - Zamurował je! Zaprawa musi być jeszcze mokra!

Colonnello podszedł, wyjął z kieszeni scyzoryk i dźgnął ostrzem zaprawę. Sypnął się strumyk małych suchych kawałków i kurzu. Podłubał głębiej, sprawdzał. Potem odwrócił się i bez słowa wręczył nóż D'Agoście.

Vincent ukląkł, pomacał wzdłuż dolnej krawędzi. Ścian wyglądała na starą i zakurzoną - nawet z czymś przypominającym pajęczyny, które ujawniło odsunięcie szafy. Odsunął się krok do tyłu, rozejrzał po pomieszczeniu. Nie mylił się: to było właściwe miejsce.

- Hrabia jakoś to ukrył. Zamaskował. Tu były drzwi.

Kolejna, tym razem dłuższa cisza. Esposito spojrzął D'Agoście w oczy, potem odwrócił wzrok.

Widząc to wątpliwe spojrzenie, D'Agosta poczuł nowy przypływ żelaznej determinacji. - Dołączmy do pańskich ludzi. Przeszukamy całe to cholerne miejsce.

Godzinę później D'Agosta znalazł się z powrotem w centralnej galerii. Zbadali więcej korytarzy, salonów, pokoi, komórek, piwnic i tuneli, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał, że może mieścić jeden zamek. Budowla była tak obszerna, tak rozległa, że niemożliwe było

stwierdzić, czy sprawdzili wszystkie pełne przeciągów przestrzenie i wilgotne klatki schodowe. Mięśnie drżały mu z wysiłku. Płócienna torba z mikrofalową bronią martwo zwiślała u boku.

W miarę poszukiwań Esposito stawał się coraz bardziej milczący. Fosco przez cały czas ich nie opuścił, chętny, cierpliwy, otwierający każde drzwi, nawet od czasu do czasu sugerował nowe trasy marszruty.

Teraz hrabia odchrząknął. - Czy mógłbym zaproponować powrót do biblioteki? Tam możemy porozmawiać w bardziej dogodnych warunkach.

Gdy usiedli przy ogniu, wszedł jeden z carabinieri i poszeptał na ucho z Esposito. Colonnello skinął głową, potem odprawił swojego człowieka z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Fosco ponownie zaproponował cygara i tym razem Esposito się zgodził. D'Agosta przyglądał się temu z rosnącym niedowierzaniem. Czuł, że ogarnia go wściekłość niemal nie do opanowania, zmieszana z przerażeniem i żalem. To było nierealne, jakiś koszmar.

W końcu neutralnym głosem odezwał się Esposito: - Moi ludzie poszukali waszego stylo. Zwrócono go do Eurocaru wczoraj o trzynastej. Kwit został podpisany przez A.X.L. Pendergasta, opłacony kartą American Express należącą do Pendergasta. Agent specjalny A.X.L. Pendergast miał rezerwację na lot do Palermo o czternastej trzydzieści z lotniska Peretola we Florencji. Wciąż próbujemy się dowiedzieć, czy rzeczywiście był na pokładzie. Linie lotnicze są w dzisiejszych czasach takie niechętne...

- Oczywiście, że okaże się, że był na pokładzie! Nie widzi pan, w co gra Fosco?

- Sierzancie...

- To wszystko gówno! - D'Agosta wstał z krzesła. - Zaaranżowane przez Fosca! Tak jak zamurował przejście, zakamuflował apartament. Tak jak wszystko, kurwa, zaplanował!

- Sierzancie, proszę - powiedział cicho Esposito. - Niech się pan kontroluje.

- Sam pan mówił, że mamy do czynienia z człowiekiem zdeterminowanym!

- Sierzancie. - Tym razem głos był bardziej stanowczy.

D'Agosta stał niemal nieprzytomny z wściekłości, frustracji i rozpacz. Fosco miał kartę kredytową Pendergasta. Co to oznaczało? A teraz ten drań wymykał się im z rąk. Pendergast zaginał, zniknął. Niemal nadludzkim wysiłkiem zdołał się opanować - jeżeli teraz przegra, nie będzie drugiej szansy. Musiał znaleźć jakąś szczelinę w pancerzu, który przywdział hrabia. - Więc nie ma go w zamku. Zabrali go do lasu. Wysoko w góry. Musimy przeszukać teren.

Esposito z namysłem wypuszczał dym z cygara, czekając, żeby D'Agosta skończył. Potem się odezwał. - Sierzancie. W pańskiej wersji utrzymuje pan, że hrabia zabił cztery osoby, chcąc odzyskać skrzypce...

- Co najmniej cztery. Tracimy tu czas! Musimy...

Esposito uniósł rękę, prosząc o ciszę. - Przepraszam. Twierdzi pan, że hrabia zabił tych ludzi urządzeniem, które pan przyniósł.

- Tak. - D'Agosta starał się kontrolować oddech.

- Czemu nie pokaże go pan hrabiemu?

D'Agosta wyciągnął z torby przyrząd na mikrofałe.

- Mój Boże - powiedział Fosco, przyglądając się z wielkim

zainteresowaniem. - Co to jest?

- Jak twierdzi sierżant, broń na mikrofalę - wyjaśnił Esposito. - Zaprojektowana i użyta przez pana, by spalić na śmierć pana Locke'a Bullarda, wieśniaka z Abetone i dwie inne osoby w Stanach Zjednoczonych.

Fosco najpierw spojrział na colonnello, potem na D'Agostę z wyrazem zdumienia, a potem - litości? - na twarzy - Sierżant tak twierdzi?

- Właśnie.

- Urządzenie, mówi pan? Które spala ludzi, zmieniając ich w kupkę dymiących popiołów? Które ja zbudowałem? - Rozłożył ręce ze zdziwieniem. - Chciałbym zobaczyć, jak to działa.

- Sierżancie, może mógłby pan zaprezentować to nam i hrabiemu? D'Agosta spojrział na broń, obrócił ją w rękach. Sceptyczny ton Fosca nie doczekał się żadnej reakcji ze strony colonnello, i nic dziwnego: urządzenie wyglądało jak broń z kreskówki, wyposażenie dla Flasha Gordona.

- Nie umiem tego użyć - odparł sierżant.

- Niech pan spróbuje - stwierdził Esposito z nutą sarkazmu w głosie.

D'Agosta pomyślał, że gdyby udało mu się uruchomić przyrząd, mógłby odwrócić bieg rzeczy. Miał teraz ostatnią szansę.

Wycelował w stronę paleniska, gdzie - jakby umieszczona celowo jako prowokacja - leżała świeża dynia. Spróbował oczyścić umysł, przypomnieć sobie dokładnie, co takiego robił Fosco. Przekreślił gałkę, nacisnął spust.

Nic się nie stało.



Pokręcił innymi gałkami, nacisnął guzik, wycelował, nacisnął spust.

Nadal nic.

Musiał uszkodzić urządzenie podczas ucieczki, kiedy wrzucił je w krzaki. Kręcił gałkami, wielokrotnie naciskał spust, mając nadzieję usłyszeć niskie brzęczenie, które słyszał podczas pokazu. Ale maszyna pozostała milcząca i zimna.

- Myślę, że dość już widzieliśmy - cicho powiedział Esposito. Powoli, bardzo wolno, D'Agosta włożył przyrząd z powrotem do płóciennej torby. Ledwie był w stanie zmusić się do spojrzenia na colonnello. Mężczyzna wpatrywał się w niego z miną pełną sceptycyzmu. Nie, nie tylko sceptycyzmu: zwykłego niedowierzania, złości - i litości.

Znad ramienia Esposito przyglądał mu się Fosco. Po chwili - bardzo wolno i z namysłem - sięgnął za kołnierzyk koszuli, wyjął łańcuszek z medalionem i starannie ułożył na gorsie, poufale klepiąc pulchną dłoń.

Z nagłym wstrząsem D'Agosta rozpoznał medalion: otwarte oko nad Feniksem powstającym z popiołów. Łańcuszek Pendergasta. Osobista wiadomość od Fosca była aż nazbyt potwornie czytelna.

- Ty gnoju! - I D'Agosta rzucił się na hrabiego.

W jednej chwili carabinieri dopadli sierżanta i odciągnęli go, przytrzymali pod odległą ścianą biblioteki. Colonnello szybko stanął między D'Agosta a Foskiem.

- Sukinsyn! To łańcuszek Pendergasta! Ma pan swój dowód! Zabił Pendergasta i go zabrał!

- Wszystko w porządku? - zapytał hrabiego Esposito, ignorując

D'Agostę.

- W jak najlepszym, dziękuję - odparł Fosco, siadając i wygładzając przód ubrania. - Przestraszyłem się tylko. Żeby nie było wątpliwości i pytanie raz na zawsze zyskało odpowiedź... - Odwrócił medalion, a tam, na rewersie, z pewnością wytarty od długiego noszenia, znajdował się pracowicie wygrawerowany herb hrabiego.

Esposito spojrzął na herb, potem przeniósł wzrok na D'Agostę, ciemne oczy lśniły D'Agosta w uścisku sześciu carabinieri ledwie mógł się ruszyć. Starał się odzyskać panowanie nad sobą, nad głosem. Sposób, w jaki hrabia powiedział, „żeby nie było wątpliwości”, ze szczególnym akcentem... To była wiadomość wprost dla D'Agosty Wiadomość, która stwierdzała, że się spóźnił. Te trwające dwanaście godzin manipulacje, aby uzyskać nakaz, okazały się fatalne w skutkach. Rozpaczliwa nadzieja, którą starał się podtrzymać - że hrabia może więzić Pendergasta żywego - tliła się i zgasła. Pendergast nie żył. „Żeby nie było wątpliwości...”

Esposito wyciągnął rękę do hrabiego. - *Abbiamo finito qui, Conte. Chiedo scusa per il disturbo, e la ringrazio per la sua pazienza con questa faccenda piuttosto spiacevole.*

Hrabia z gracją pochylił głowę. - *Nienete disturbo, Colonnello. Prego.*

- Zerknął w kierunku D'Agosty. - *Mi dispiace per lui.*

Esposito wymienił z Foskiem uścisk dłoni. - Będziemy się zbierać.

- Nie ma potrzeby, żeby nas pan odprowadzał. - Mówiąc to, głęboko uklonił się hrabiemu i wyszedł z pokoju, ignorując sierżanta.

Carabinieri puścili D'Agostę. Podniósł płócienną torbę i ruszył do drzwi. Miał przed oczyma czerwoną mgłę. Na progu zatrzymał się, żeby spojrzeć na Fosca. - Jesteś trupem. - Ledwie mógł mówić. - Ty...

Ale słowa utknęły mu w gardle, gdy Fosco wykonał obrót, żeby odwzajemnić spojrzenie, wielka twarz i wilgotne wargi wykrzywiły się w potwornym uśmiechu. D'Agosta nigdy w życiu czegoś takiego nie widział - zło, triumf, groteskowe uniesienie. Gdyby nawet hrabia powiedział to głośno, wiadomość nie mogłaby być bardziej czytelna. „Zamordował Pendergasta”.

A potem uśmiech zniknął ukryty za chmurą dymu z cygara.

Colonnello Esposito nie odzywał się podczas drogi przez galerie, staranie przycięty trawnik, przez wewnętrzną bramę. Zachował milczenie, gdy samochody jechały wąską drogą obok cyprysów i oliwnych gajów.

Dopiero gdy znaleźli się na głównej drodze do Florencji, zwrócił się do D'Agosty.

- Źle pana osądziłem - oświadczył cicho, zimnym głosem. - Powitałem tu pana, dałem listy uwierzytelniające, współpracowałem w każdy możliwy sposób. W zamian okrył się pan niesławą i upokorzył mnie oraz moich ludzi. Będę miał szczęście, jeśli hrabia nie złoży przeciw mnie denuncja w związku z najściem jego domu i obrazą jego osoby

Nachylił się bliżej. - Od tej chwili jest pan pozbawiony wszystkich oficjalnych przywilejów. Uzyskanie dokumentu, w którym zostanie pan uznany za persona non grata na włoskiej ziemi, trochę potrwa, ale na pańskim miejscu, signore, opuściłbym ten kraj najbliższym lotem.

Potem odchylił się na oparcie, wbił kamienne spojrzenie w okno i więcej się nie odezwał.



Dochodziła północ, gdy hrabia Fosco zakończył wieczorną przechadzkę i, lekko posapując, wrócił do głównego jadalnego salotto. Czy to w mieście, czy na wsi miał w zwyczaju odbywać przed pójściem do łóżka krótki spacer dla zdrowia. A długie galerie i korytarze Castel Fosco oferowały niemal nieskończoną wielość tras.

Zasiadł w fotelu ustawionym przed ogromnym kominkiem, grzejąc ręce nad wesołym płomieniem, który nie pozwalał, by budowla zamknęła go w wilgotnym uścisku. Naleje sobie szklaneczkę porto i posiedzi tu przez chwilę przed udaniem się na spoczynek, posiedzi i porozmyśla o końcu udanego dnia.

A właściwie także o końcu udanego przedsięwzięcia.

Ludzie zostali opłaceni i usunęli się, wracając do chat i wiejskich zabudowań na terenie posiadłości. Mały oddział policji zniknął, a razem z nim sierżant D'Agosta ze swoim oburzeniem i pustymi groźbami. Niedługo odleci z powrotem do Nowego Jorku. Służba nie wróci aż do rana. Zamek wydawał się niemal czujny w tej ciszy.

Fosco wstał, nalał sobie szklaneczkę porto z butelki z antycznego kredensu, potem wrócił na wygodny fotel. Przez kilka ostatnich dni zamek tętnił hałasem i podnieceniem. Teraz - przeciwnie - wydawał się nienaturalnie cichy.

Pociągnął porto, uznał, że jest znakomite.

Co za wielka szkoda, że nie ma już Pinkettsa, a raczej

Pinchettiego, by wyprzedzał każde jego życzenie. Wielka szkoda, gdy pomyśleć, że spoczywa w anonimowym grobie w rodzinnej krypcie. Człowiek, którego będzie trudno zastąpić, a właściwie będzie to wręcz niemożliwe. Prawdę mówiąc, kiedy Fosco tak siedział sam w tym przepastnym pustym gmachu, poczuł się cokolwiek odrobinę samotny.

Ale potem przypomniał sobie, że nie był sam. Miał do towarzystwa Pendergasta - albo przynajmniej jego zwłoki.

W przeszłości Fosco mierzył się z wieloma przeciwnikami, ale żaden nie okazał błyskotliwości czy nieustępliwości Pendergasta. Istotnie, gdyby nie przewaga związana z faktem znalezienia się na rodzinnej ziemi - szpieczy w policji i w innych miejscach, realizacja dawno przygotowanych planów, skala zabezpieczeń na wypadek niepowodzenia - historia ta mogłaby się zakończyć inaczej. Mimo wszystko czuł się odrobinę niespokojny. Tak więc zadbał, by dzisiejsza przechadzka była odpowiednio daleka - rzeczywiście niezwykle daleka - miała za cel aktualne miejsce pobytu Pendergasta. Żeby się upewnić. Tak jak się spodziewał, zastał nowo wymurowaną i starannie spatynowaną ścianę tak, jak ją zostawił. Zapukał, posłuchał, zawołał cicho, ale oczywiście nie było odpowiedzi. Minęło niemal trzydzieści sześć godzin. Poczciwy agent bez wątplenia już nie żył.

Sącząc porto, rozsiadł się w fotelu i cieszył wspomnieniem sukcesu. Była oczywiście pewna niezłałatwiona sprawa: sierżant D'Agosta. Fosco zamyślił się nad furją, bezsilną morderczą wściekłością na twarzy policjanta, gdy wyprowadzano go z posiadłości. Wiedział, że wściekłość szybko zblednie. A na jej miejscu

pojawi się najpierw rezygnacja, potem niepewność, wreszcie - strach. Ponieważ do tej pory sierżant D'Agosta z pewnością już się zorientował, z kim ma do czynienia. On, Fosco, nie zapomni. Załatwi tę niezłatwioną sprawę, zakończy wszystko, zmusi D'Agostę, żeby spłacił dług, który zaciągnął, strzelając do Pinchettiego, a przy okazji odzyska swój sprytny wynalazek.

Ale nie ma pośpiechu. Żadnego pośpiechu.

Pociągając porty, Fosco zdał sobie sprawę, że w rzeczywistości jest jeszcze jedna kwestia. Viola, lady Maskelene. Pomyślał o niej, uprawiającej swój skrawek winnicy, o silnym ciele, brązowym od śródziemnomorskiego słońca. Jej postawa, ruchy zdradzały mieszkankę dobrego urodzenia, kociej zwinności i seksualności, którą znajdował rozkosznie upajającą. W rozmowie błyszczała inteligencją jak żadna znana mu kobieta. Tryskała witalnością. Ożywiłaby każde miejsce - nawet Castel Fosco...

Słaby dźwięk, jakby szelest suchych liści na kamieniach, dobiegł z ciemności poza pokojem.

Fosco zamarł w połowie łyku.

Powoli odstawił szklanekę, wstał i podszedł do głównego wejścia do salotto. Dalej ciągnęła się długa galeria, oświetlona tylko przez księżyc i gdzieś tam przez kinkiety. Na ścianach wisiały długie rzędy zbroi, lśniąco słabo w bladym świetle.

Nic.

Fosco zawrócił, zamyślony. Stary zamek był pełen szcurków, najwyższy czas, żeby główny ogrodnik znów się z nimi rozprawił.

Zaczął iść z powrotem w stronę ognia, czując dreszcz, który nie do końca dało się wyjaśnić chłodem w powietrzu.

A potem znów się zatrzymał. Istniała pewna rzecz, o której wiedział, że znakomicie poprawi mu humor.

Nie doszedł do kominka, skręcił w małe drzwi, które prowadziły do jego osobistego warsztatu. Minął ciemny pokój, klucząc w labiryncie stołów laboratoryjnych i porozstawianego wszędzie sprzętu, aż dotarł do tylnej ściany wyłożonej drewnianymi panelami. Ukląkł, przesunął tłustą ręką wzdłuż wypolerowanej listwy, znalazł małą zapadkę. Nacisnął. Jeden z paneli nad jego głową uchylił się ze słabym trzaskiem. Wstając, hrabia odsunął płytę, co odsłoniło duży sejf wmontowany w kamienną ścianę. Wstukał kod i drzwi się otworzyły. Ostrożnie, z czcią hrabia sięgnął do środka i wyjął niedużą drewnianą skrzynkę o kształcie zbliżonym do trumny, która mieściła „Burzową Chmurę” Stradivariego.

Zaniósł pudełko do jadalni i umieścił na stole przy ścianie, z dala od żaru ognia, z zamkniętą pokrywą, żeby instrument powoli przywykł do zmiany temperatury. Potem wrócił na miejsce. W porównaniu z chłodem laboratorium przed ogniem było rozkosznie ciepło. Pociągnął łyk porto, zastanawiając się, co zagra. Kanconę Bacha? Efekciarskiego Paganiniego? Nie, coś prostego, coś czystego, odświeżającego... Vivaldi. Wiosna z Czterech pór roku.

Po kilku minutach ponownie wstał, podszedł do skrzypiec, otworzył mosiężny zameczek i uniósł wieko. Nie zagrał, jeszcze nie, potrzeba przynajmniej dziesięciu kolejnych minut, żeby instrument dostosował się do temperatury i wilgotności otoczenia. Zaledwie zerknął z uczuciem na cudowną i tajemniczą politurę, zmysłową linię. Wpatrując się w skrzypce, Fosco poczuł radość, doznał wrażenia pełni.

Wrócił na wygodny fotel, poluźnił krawat, rozpiął marynarkę. „Burzowa Chmura” znalazła się tam, gdzie było jej miejsce: w rodzinnym gnieździe. To on uratował instrument od zapomnienia. Był wart tych wydatków, szalonych planów, niebezpieczeństw, utraty życia. Był wart każdej ceny, każdego wysiłku. Gdy Fosco na niego patrzył, na skrzypce połyskujące karmazynowo w ciepłym blasku kominka, wydawało mu się, że nie są z tego świata. Był to raczej głos - pieśń - lepszego świata, który miał nadejść.

W pokoju zrobiło się teraz bardzo ciepło. Wstał, chwycił pogrzebacz, odsunął trochę kłody, odwrócił fotel od ognia. Wiosna. Słodka, żywa melodia przemknęła mu przez głowę, jakby już grał. Zdjął krawat i rozpiął górny guzik koszuli.

Kawał drewna głośno strzelił w kominku, przestraszył go. Gwałtownie się wyprostował, porto chlusnęło ze szklanki i rozlało się na rozpiętą marynarkę.

Powoli poprawił się w fotelu, zastanawiając się nad odczuwanym niepokojem. Nerwy: cała afera kosztowała go więcej, niż myślał. Lekko zakłuł go żołądek, hrabia odstawił szklaneczkę z porto. Może powinien wypić jako digestivo coś mocniejszego: kroplę calvadosu, grappę albo, jeszcze lepiej, jedną ze znakomitych ziołowych nalewek wytwarzanych przez mnichów z Monte Senario.

Doświadczył teraz niezwykle nieprzyjemnego wrażenia związanego ze złym trawieniem. Wstał, niezgrabnie podszedł do kredensu - czuł nietypowy ciężar w nogach - i wyjął buteleczkę amaro borghini, napełnił kieliszeczek czerwono-brązowym płynem i wrócił na fotel. Żołądek hałaśliwie protestował, więc pociągnął łyk, a potem drugi gorzkiej nalewki. W tym momencie usłyszał kolejny



dźwięk, jakby szurnięcie stopą, przy drzwiach.

Już prawie wstał, ale poczuł się słabo i opadł na fotel. Naturalnie nikogo tam nie było. Nie mogło być. Cała służba dostała kilka dni wolnego. To wyobraźnia płatała mu figle. Wysięk kilku ostatnich dni. Robił się za stary na takie historie.

Wnętrznosci niemal mu się gotowały od niestrawności. Osuszył kieliszek, zmienił pozycję, próbując ułożyć się wygodniej. Upał w pokoju stał się uciążliwy, ale, do licha, nie było nikogo, kto mógłby zalać ogień. Głęboko, z drzeniem westchnął. Uspokoi się, a potem wyjmie „Burzową Chmurę” i odzyska wcześniejszy dobry humor dzięki skocznemu wykonaniu Wiosny.

Jednak spokój nie nadchodził. Czuł, że z wolna ogarnia go dziwna ociążałość - ucisk, który wydawał się powoli narastać, warstwa za warstwą, od środka. To nie niestrawność, rozchorował się. Otarł czoło chusteczką, świadomy, że serce bije mu nieprzyjemnie szybko. Przebiegł się w tych kryptach, bez wątpienia, dźwigając ciężkie cegły, i tylko pogorszył sprawę drugą niemądrą wizytą w wilgotnych nitrytowych czeluściach. Zrobi sobie wakacje; właściwie wyjedzie jutro. Wyspa Capraia, powiedział sobie, będzie idealnym celem...

Wyciągnął drżącą rękę w stronę kieliszka z amaro, ale nagle likier miał nieprzyjemny smak, czuł go w ustach jak gorącą smołę i ocet - zresztą parzył też rękę. Palił. Wstał z krzykiem, kieliszek upadł i roztrzaskał się na ziemi w kawałki. Fosco zakręcił się, potknął, wyprostował.

Porca miseria, co się dzieje?

Gwałtownie nabrał powietrza, poczuł, że oczy go kłują, w ustach miał sucho, serce przyspieszało. Przez moment zastanawiał się, czy

ma jakiś atak, może zawał. Słyszał, że atak serca często zaczyna się takim uczuciem: uczuciem, że coś jest strasznie nie w porządku. Ale nie było bólu zlokalizowanego w klatce piersiowej albo w ręce. Zamiast tego narastał okropny wewnętrzny ucisk, narastał, aż w końcu pochłonął go całego. Wnętrznosci mu się skręcały. Obrzucił pokój rozszalałym wzrokiem, ale nie było tu nic - ani butelka porto, ani skrzypce, ani meble czy bogate gobeliny - nic, co mogłoby pomóc albo dostarczyć wyjaśnienia.

Czuł we wnętrznosciach jakby rojące się robactwo, wrzenie. Usta mu drgały, nie mógł opanować mrugania, twarz wykrzywiały grymasy, palce się kurczyły. Upał przypominał duszenie płonącym kocem. Miał wrażenie, że skórę mu okrywa rój pszczoł. Teraz strach i żar ogarnęły go jednocześnie: nieznośny, potworny żar nie miał nic wspólnego z ogniem w kominku...

Nagle wiedział. Wiedział.

- D'Agosta...! - wydusił, ale gardło mu się ścisnęło i nie wydostały się żadne więcej słowa.

Zatoczył się w kierunku zamkniętych drzwi salotto, potykając się, ruszył w przód, z chrupnięciem upadł przy bocznym stole, podniósł się na kolana. Mięśnie drżały mu spazmatycznie, ale wielkim wysiłkiem woli zaczął pełznąć przed siebie.

- Bastardo! - Zduszony krzyk. Gdy go wydał, jego kończyny zaczęły żyć własnym życiem, kurcząc się i drgając z potworną gwałtownością, ale miał do przejścia jeszcze zaledwie parę stóp; zdobył się na nadludzki wysiłek, chwycił za klamkę w drzwiach. Parzyła żywym ogniem i czuł, jak skóra pęka i skwierczy, a jednak uparcie trzymał, przesunął klamkę w górę, opuścił - zamknięte.

Padł ze zduszonym wrzaskiem, rozciągając się przy drzwiach, wił się. Żar narastał i narastał, jak lawa rozlewał się w żyłach. Głowę wypełniało mu straszliwe przeszywające wycie jak brzęczenie gigantycznego komara. Czuł zapach spalenizny, co takiego się paliło? Nagle hrabia zeszywniał. Szczęki zwarły mu się mimowolnie z taką mocą, że zęby skruszyły się i połamały. Teraz, nieproszone, ruszyły pochodem liczne grzechy i ekscesy, rozmazując się w okropnym pędzie. W miarę jak żar narastał - nieznośny, a jednak wciąż narastał, piekło agonii, jakiej nigdy sobie nie wyobrażał - Fosco zaczął widzieć dziwnie i niewyraźnie. Obiegł spojrzeniem pokój i zatrzymał wzrok na ogniu, rzeczywistość zaczęła się wykrzywiać, oddalać, zaczął widzieć to, co poza...

„... O dobry Jezu, co to za ciemny kształt wynurza się z ognia...?”

Teraz, przywołując resztki woli, mimo że zęby wgryzły mu się w usta, które wypełniała krew, a obrzmiały język nie chciał się poruszać, Fosco zaczął bełkotać w czymś pomiędzy bulgotem a jękiem słowa Modlitwy Pańskiej.

*Pater noster...*

Na skórze tworzyły się pęcherze, pokryte tłuszczem włosy zwinęły się i dymiły. Zakrzywionymi jak szpony palcami drapał kamienną podłogę, zdzierając paznokcie w wysiłku wydobycia słów:

... *Qui es in coelis...*

Przez przeszywający szum w uszach do Fosca dotarł - jak gdyby z największych głębin ziemi - potężny i okropny śmiech, nie, nie sierżanta D'Agosty, żadnego ziemskiego stworzenia...

...*Sanctificetur...*

Próbował ostatnim, najwyższym wysiłkiem woli kontynuować modlitwę, ale pod skórą warg gotował się tłuszcz:

*...Sanctiferrrrrrr...*

A potem nadszedł moment, kiedy ani dźwięk, ani nawet krzyk nie mogły się wydostać.



Bryce Harriman wszedł do dusznego, przesyconego dymem biura redaktora naczelnego Ruperta Rittsa. Czekał na tę chwilę od bardzo dawna i był zdecydowany cieszyć się nią i przeciągać jak najdłużej. Zapisze ją w pamiętniku i będzie o niej opowiadał dzieciom i wnukom. Zachowa jako jedną z tych, które smakuje się we wspomnieniach przez resztę życia.

- Harriman! - Ritts wyszedł z biurka, co według niego było okazaniem szacunku, i usiadł na krawędzi. - Siadaj, siadaj!

Harriman usiadł. Dlaczego nie? Niech Ritts najpierw sobie pogada.

- Twój artykuł o Hayward i tym całym Bucku był niezły. Prawie żałuję, że odtransportowali tego zwariowanego kaznodzieję do Oklahomy. Mam nadzieję, że wróci do Wielkiego Jabłka, kiedy tylko dostanie zwolnienie warunkowe. - Roześmiał się i podniósł z biurka jakiś papier. - Mam tu coś, co cię na pewno zainteresuje. Statystyka sprzedaży za ostatni tydzień. - Pomachał Harrimanowi kartką przed nosem. - O dziewiętnaście procent więcej niż o tej samej porze w ubiegłym roku. Sześć procent w stosunku do poprzedniego tygodnia. Sześćdziesiąt procent łącznej sprzedaży!

Ritts wyszczerzył zęby, jak gdyby dane o sprzedaży „New York Post” stanowiły istotę i cel życia Bryce'a Harrimana. Reporter odchylił się na krześle, słuchając z wypraktykowanym uśmiechem na ustach.

- A popatrz tylko na to! Wpływy z ogłoszeń wzrosły o trzysta pięćdziesiąt procent!

Kolejna pauza, aby ta wspaniała wieść w pełni dotarła do Harrimana i rozeszła się po jego ciele falą miłego ciepła. Ritts zapalił papierosa, zamknął z trzaskiem zapalniczkę, zaciągnął się.

- Harriman, nie mów tylko, że nie doceniam tego, co należy doceniać. To była twoja historia, od początku do końca. Ty ją stworzyłeś.

Pewnie, trochę ci pomagałem przy niektórych pomysłach, służyłem doświadczeniem, raz czy dwa popchnąłem we właściwym kierunku... ale to twoja historia, stary.

Ritts znowu przerwał, jakby na coś czekał. Na wylewne dziękowanie na kolanach? Harriman rozluźnił się jeszcze bardziej i tylko się uśmiechał.

- No, w każdym razie, jak mówiłem, ty to zrobiłeś. Zostałeś zauważony, zauważony, rozumiesz? Przez samą górę.

Harriman był ciekaw, o kogo chodzi. Czyżby właściciel? Kupa śmiechu... Faceta pewnie by nawet nie wpuścili do klubu ojca. I w tej chwili Ritts rzucił bombę.

- W przyszłym tygodniu chcę, żebyś był moim gościem na dorocznym obiedzie News Corporation w „Tawernie” na Green. To nie był wyłącznie mój pomysł - choć z całego serca to aprobuję - ale też jego. - Tu strzelił oczyma w górę, jakby sam niebiański gospodarz wystosował zaproszenie. - Chce cię poznać i uścisnąć ci dłoń.

„Poznać i uścisnąć mi dłoń”. A to piękne. Piękne. Harriman nie mógł się doczekać, żeby opowiedzieć o tym przyjacielom.

- Obowiązują czarne muszki... Masz smoking? Jeśli nie, zrób jak

ja. Wypożyczam w sklepiku naprzeciwko Bloomingdale'a. Discount Tux, najlepsze ceny w mieście.

Harriman nie mógł uwierzyć własnym uszom. Co za palant. Nawet się nie wstydzi przyznać, że bierze smokingi z wypożyczalni.

- Mam jeden czy dwa, dzięki - powiedział chłodno. Ritts spojrział na niego trochę dziwnie.

- Wszystko w porządku? - spytał. - Wiesz, co to jest doroczny obiad, nie? Rozumiesz, ja jestem w tym biznesie od trzydziestu lat i powiem ci, że to coś ekstra. Czwartek wieczorem, drinki o szóstej w Sali Kryształowej, obiad o siódmej. Ty i osoba towarzysząca. Przyrowadź dziewczynę, jeśli ją masz.

- Obawiam się, że to nie będzie możliwe. - Harriman wyprostował się na krześle.

- Nie ma sprawy, przyjdź sam.

- Nie rozumie pan. W ogóle me mogę przyjść. Mam już inne plany.

- Co takiego?

- Jestem zajęty

Zapadła cisza. Ritts zaniemówił, a potem nagle wybuchnął:

- Zajęty? Zajęty? Czyś ty nie słuchał, co mówiłem? To obiad z samym szefem! Mowa o pieprzonym dorocznym bankiecie News Corporation!

Harriman wstał i otrzepał rękaw, strząsając popiół z Rittsowego papierosa, którym ten wymachiwał w zdenerwowaniu.

- Przyjąłem posadę reportera w gazecie „New York Times”. Może pan o niej słyszał. - Harriman wyjął z kieszeni kopertę. - Oto moja rezygnacja.

Położył kopertę na biurku dokładnie w tym wyślizganym miejscu,

gdzie Ritts zwykle opierał tyłek. Więc już po wszystkim. Powiedziane i zrobione. Przeciągnął tę chwilę, ile się dało, nie było sensu tracić więcej czasu. Miał nowe biuro do urzędzenia i w ogóle sporo roboty. W końcu w poniedziałek Bill Smithback wróci z przedłużonego miodowego miesiąca, żeby zastać niespodziankę życia: Bryce'a Harrimana, kolegę po fachu, specjalnego korespondenta, zajmującego biuro po sąsiedzku.

Tak, to będzie coś!

Boże, życie było piękne.

Odwrócił się i ruszył ku drzwiom, oglądając się tylko raz, żeby popatrzeć na Rittsa stojącego z rozdziawionymi ustami. Choć raz nie miał nic do powiedzenia.

- To trzymaj się, stary - rzucił na pożegnanie.





Olbrzymi odrzutowiec uderzył w nawierzchnię lądowiska z szarpnięciem, uniósł się pod niewielkim kątem, a potem ponownie usiadł na ziemi z hukiem odwracaczy ciągu.

Gdy wytracał prędkość, w głośnikach rozległ się niespieszny głos: - Mówi kapitan. Wylądowaliśmy na Lotnisku Kennedy'ego i kiedy tylko dostaniemy pozwolenie, podjedziemy do wyjścia. W tym czasie proszę wszystkich o pozostanie na miejscach. Przepraszamy za niewielkie turbulencje. Witamy w Nowym Jorku.

Wśród morza poszarzałych twarzy tu i ówdzie odezwały się słabe oklaski, a potem szybko umilkły.

- Niewielkie turbulencje - mruknął siedzący przy przejściu mężczyzna. - Tak to się określa? Gównu na patyku. Nie ma mowy, żebym jeszcze kiedyś wsiadł do samolotu.

Odwrócił się do sąsiada, trącił go łokciem. - Dobrze być znów na ziemi, co koleś?

Dotyk przywołał D'Agostę do rzeczywistości. Powoli odwrócił się od okna, w które patrzył, tak naprawdę niczego nie widząc, i spojrzał na mężczyznę. - O co chodzi?

Ten parsknął z niedowierzaniem. - Niech pan nie zgrywa twardziela. Przez ostatnie pół godziny ze dwa razy całe życie przewinęło mi się przed oczami.

- Przepraszam. - D'Agosta znów odwrócił się do okna. - Nie

zwróciłem uwagi.

Vincent szedł sztywno z walizką w ręce przez terminal ósmy do kontroli celnej. Dookoła ludzie rozmawiali z ożywieniem, ściskali się, śmiali. Minął wszystkich, prawie ich nie widząc, patrząc przed siebie.

- Vinnie! - rozległ się głos. - Hej, Vinnie. Tutaj!

D'Agosta odwrócił się i zobaczył Hayward, machała, szła do niego przez tłum. Laura Hayward, piękna w ciemnym kostiumie, czarne lśniące włosy, oczy głębokie i błękitne jak wody wyspy Capraia. Uśmiechała się, ale ten uśmiech nie obejmował jej przepięknych oczu.

- Vinnie - powiedziała, obejmując go. - Och, Vinnie. Mechanicznie objął ją ramionami. Czuł powitalną moc uścisku, ciepło oddechu na szyi, napór piersi na swoje ciało. To było jak wstrząs elektryczny. Naprawdę minęło zaledwie dziesięć dni, odkąd ostatnio się obejmowali? Wstrząsnął nim dreszcz, czuł się dziwnie, jak pływak, który usiłuje wypłynąć na powierzchnię z bardzo wielkiej głębokości.

- Vinnie - wymamrotała. - Co mogę powiedzieć?

- Nic nie mów. Nie teraz. Może później. Powoli go puściła.

- Mój Boże. Co ci się stało w palec?

- Locke Bullard.

Ruszyli w kierunku części bagażowej. Zapadło milczenie, potrwało dość długo, żeby zaczęli się z nim czuć niewygodne.

- Co się tutaj działo? - zapytał w końcu niezgrabnie.

- Od twojego wczorajszego telefonu niezbyt wiele. Wciąż mamy dziesięciu detektywów pracujących nad morderstwem Cutforth'a. Teoretycznie. A z tego, co słyszę, szef policji w Southampton dostaje w kość za brak postępów w sprawie Grove'a.

D'Agosta zacisnął zęby, zaczął coś mówić, ale Hayward położyła mu palec na ustach.

- Wiem. Wiem. Ale taka bywa czasem ta praca. Teraz, kiedy pozbyliśmy się Bucka i „Post” zajął się innymi sprawami, Cutforth wreszcie zszedł z pierwszych stron. W końcu zostanie kolejnym nierozwiązanym morderstwem. To samo z Grove'em, oczywiście.

D'Agosta potwierdził ruchem głowy

- Zdumiewające, że to był Fosco. Mnie powaliło. D'Agosta potrząsnął głową.

- Cholerna sprawa wiedzieć, kim jest sprawca, i nie móc nic zrobić.

Rozległ się dźwięk klaksonu, nad głowami rozjarzyło im się bursztynowe światło i pobliski taśmociąg bagażowy zaczął się obracać.

- Jednak mogłem coś zrobić - powiedział cicho. Hayward przyjrzała mu się uważnie.

- Wyjaśnię w samochodzie.

Dziesięć minut później znajdowali się na autostradzie Van Wyck, w połowie drogi na Manhattan, Hayward prowadziła. D'Agosta siedział obok, beczynnie patrząc w okno.-

- Więc wszystko to z powodu skrzypiec - powiedziała Hayward.

- Cała cholerna sprawa. Pieprzonych skrzypiec.

- Nie jakichś tam skrzypiec.

- Nic mnie to nie obchodzi. Nie były warte tych wszystkich śmierci. A szczególnie nie były warte... - ale zamilkła, jakby wahając się, czy łamać niepisane porozumienie, które zawarli. - Gdzie są teraz?

- Specjalnym kurierem posłałem je tej kobiecie na wyspie Capraia. Pochodzi z rodu skrzypków. Zwróci je rodzinie Fosco w wybranym przez siebie czasie, kiedy ustalony zostanie nowy spadkobierca. Jakoś mi się wydaje, że tego by chciał Pendergast.

Pierwszy raz padło między nimi to nazwisko.

- Wiem, że nie mogłeś mi wyjaśnić przez telefon - powiedziała. - Ale co się dokładnie stało? To znaczy po tym, gdy wczoraj rano zabrałeś do zamku Fosca włoską policję.

D'Agosta nie odpowiedział.

- Daj spokój, Vinnie. Będzie lepiej, jeżeli o tym porozmawiamy. Westchnął. - Resztę dnia spędziłem, przeczesując okolice Chianti.

Rozmawiając z farmerami. Rozmawiając z wieśniakami. Z każdym, kto mógł coś wiedzieć, coś słyszeć. Sprawdzałem wiadomości w hotelu. Oczywiście niczego nie znalazłem. Ale musiałem mieć pewność, rozumiesz, absolutną pewność...

Hayward czekała. Po chwili zaczął mówić dalej.

- Rzecz w tym, że głęboko w duchu już byłem pewien. Przeszukaliśmy zamek. I to spojrzenie, które rzucił mi Fosco, to okropne spojrzenie. Gdybyś je widziała... - Pokręcił głową. - Blisko północy powędrowałem z powrotem do zamku. Wszedłem tą samą drogą, którą wyszliśmy. Trochę trwało, zanim się zorientowałem, jak działa ten przyrząd na mikrofałe. A potem... użyłem go. Po raz ostatni.

- Wymierzyłeś Foscowi sprawiedliwość. Pomściłeś partnera. Zrobiłabym to samo.

- Naprawdę? - cicho zapytał D'Agosta. Hayward kiwnęła głową.

Poruszył się niespokojnie. - Niewiele więcej jest do powiedzenia.

Dzisiejszy poranek spędziłem we Florencji, sprawdzając szpitale, kostnice, policyjne raporty Bardziej, żeby mieć zajęcie, niż z innego powodu. A potem wsiadłem do samolotu.

- Co zrobiłeś z tą bronią?

- Rozmontowałem, zniszczyłem części i powyrzucałem do śmietników w różnych punktach miasta.

Skinienie głową. - A jakie masz teraz plany?

D'Agosta wzruszył ramionami. Niespecjalnie się nad tym zastanawiał. - Nie wiem. Pewnie wracać do Southampton. Odebrać baty.

Na twarz wypłynął jej uśmiezek. - Nie słyszałeś, co powiedziałam? To komendant zbiera baty Wrócił z wakacji i tak się spieszył, żeby znaleźć się w centrum uwagi, że teraz czkawką mu się to odbija. Braskie startuje przeciw niemu w następnych wyborach i ma spore szanse na wygraną.

- Tym gorzej dla mnie.

Zmieniła pas. - Powinieneś wiedzieć jeszcze o czymś. Zawiesili zakaz zatrudniania w nowojorskiej policji. To znaczy, że możesz znów pracować w mieście. Odzyskać starą posadę.

D'Agosta pokręcił głową. - Nie ma mowy Za długo mnie tu nie było. Jestem za stary.

- Nie aż tak długo. Zatrudniają według starszeństwa. A z twoim doświadczeniem w Southampton i jako łącznik FBI... - Przerwała, żeby przejechać zjazdem na autostradę Long Island. - Oczywiście nie możesz być w moim dziale. Ale są wolne miejsca w kilku komendach w śródmieściu.

D'Agosta siedział przez chwilę, oswajając się z tą myślą. Potem

spojrzał na nią uważnie. - Zaraz. Odzyskać starą posadę, możliwości w śródmieściu. Chyba nie miałas z tym nic wspólnego, co? Pogadałaś z Rokerem czy coś w tym rodzaju?

- Ja? Wiesz, jaki że mnie glina. Regulaminowy. Panna porządnicka. - Ale jej uśmiech na moment stał się nieprzenikniony.

Przed nimi pojawiła się paszcza tunelu Queens-Midtown, kafle oświetlone jarzeniówkami. Hayward sprawnie wjechała na pas prowadzący do elektronicznej bramki pobierania opłat za przejazd.

D'Agosta obserwował ją z siedzenia pasażera: piękne rysy, krzywiznę nosa, małą zmarszczkę skupienia, kiedy radziła sobie z wieczornym ruchem. Cudownie było znów ją widzieć, być obok. A jednak czuł, że nie potrafi uciec przed odczuwaną pustką. Jakby nosił w sobie puste miejsce, próżnię, której nie da się zapełnić.

- Masz rację - powiedział, gdy wjechali do tunelu. - Nie ma znaczenia, czy te skrzypce to najcenniejszy instrument, jaki kiedykolwiek zrobiono. Nie były warte życia Pendergasta. Nic nie jest tego warte.

Hayward patrzyła na drogę. - Nie wiesz, czy nie żyje.

Nie odpowiedział. Mówił sobie to samo: raz, dwa razy, tysiąc razy. Kiedy piętrzyły się trudności, kiedy wydawało się, że nie ma siły, by przeżyli, Pendergast zawsze ich ratował. Czasami wydawało się, że niemal cudem. A jednak tym razem nie pojawił się ponownie. Tym razem było inaczej.

I jeszcze to inne uczucie, które sprawiało, że czuł się niemal fizycznie chory. Obraz Pendergasta na polanie, otoczonego przez psy. Wszyscy - myśliwi, pomocnicy, naganiacze - podchodzili coraz bliżej. „Tylko jeden z nas może się przedostać. Nie ma innego sposobu”.

D'Agosta poczuł, jak ściska mu się gardło. - Masz rację. Nie mam dowodu. Może oprócz tego. - Sięgnął do kieszeni, wyjął platynowy łańcuszek i wisiorek Pendergasta: otwarte oko nad Feniksem powstającym z popiołów, teraz z wżerami i częściowo nadtopiony. Łańcuszek, który zdjął z płonącego, dymiącego ciała Fosca. Przez chwilę się w niego wpatrywał. Zacisnął dłoń w pięść, kostki oparł o zęby. Czuł absurdalny impuls, żeby wybuchnąć płaczem.

Najgorsze, że wiedział. To on powinien był zostać na tym wzgórzu. Bardziej niż wszystkiego innego żałował, że nie został.

- W każdym razie do tej pory już by się ze mną skontaktował. Albo z tobą. Z kimś. - Zamilkł. - Nie wiem, jak to powiedzieć Constance.

- Komu?

- Constance Greene. Jego podopiecznej.

Dalszą część tunelu przejechali w milczeniu i wreszcie wydostali się w noc na Manhattanie. Poczuł, że Hayward bierze go za rękę.

- Wysadź mnie gdziekolwiek - poprosił z ciężkim sercem. - Penn Station będzie w porządku. Pojadę do Southampton.

- Dlaczego? - zapytała. - Nic tam na ciebie nie czeka. Masz przyszłość tu, w Nowym Jorku.

D'Agosta siedział w milczeniu, gdy samochód posuwał się na zachód: minęli Park, Madison, Piątą.

- Masz się gdzie zatrzymać? - zapytała. Pokręcił głową.

- Ja... - zaczęła. Potem i ona umilkła.

D'Agosta ocknął się, spojrzął na nią. - Co takiego? - Nie miał pewności, ale w refleksach światła z ulicznych latarni wyglądało, że oblała się rumieńcem.

- Tak tylko myślałam. Jeżeli wracasz do nowojorskiej policji,

będziesz pracował w mieście... czemu nie miałbyś się zatrzymać u mnie? Na razie - dodała pospiesznie. - No wiesz. Zobaczyć, jak to wyjdzie.

Przez chwilę nie odpowiadał. Patrzył tylko na światła przepływające ponad szybą.

Potem dość gwałtownie uświadomił sobie, że musi sobie odpuścić. Przynajmniej na razie. Przeszłość była i minęła. Jutro pozostawało nieznane, dopiero miało nadejść. Nie był w stanie tego kontrolować. Jedyne, co mógł kontrolować, czym mógł żyć, to tu i teraz. Ta świadomość tak naprawdę nie poprawiała sytuacji - ale pomagała ją znieść.

- Słuchaj, Vinnie - odezwała się Hawyard cicho. - Nieważne, co powiesz. Po prostu nie potrafię uwierzyć, że Pendergast umarł. Coś mi mówi, że żyje. Jeżeli ktoś jest niezniszczalny, to ten facet. Jakimś sposobem znów z tego wyjdzie. Wiem.

D'Agosta uśmiechnął się blado.

Światła przed nimi zmieniły się na czerwone. Zwolniła i stanęła, potem odwróciła się, by na niego spojrzeć.

- Wracasz ze mną czy nie? Niegrzecznie jest kazać damie prosić dwa razy.

Ścisnął jej rękę.

- Chyba to niezły pomysł - powiedział z coraz szerszym uśmiechem. - Chyba wręcz bardzo mi się podoba.



## - EPILOG -

Zimne listopadowe słońce oświetliło, lecz nie ogrzało ponurych kamiennych murów Castel Fosco. Ogród był opuszczony; marmurowa fontanna szemrała i rozsiewała krople, choć nikt tego nie oglądał. Poza ścianami zamku martwe liście tańczyły nad zwirowym parkingiem, zakrywając ślady licznych pojazdów, które przyjechały i odjechały wcześniej tego dnia. Teraz wszędzie panowała cisza. Wąska droga prowadząca na zbocze góry była pusta. Na blankach siedział samotny kruk, w ciszy przyglądając się dolinie Greve.

Furgonetka koronera zabrała ciało Fosca około południa. Policja została trochę dłużej, robiąc zdjęcia, zbierając zeznania, szukając dowodów, lecz nie znajdując niczego wartego wspomnienia. Assuntą, która odkryła zwłoki, szarą na twarzy i oszołomioną, zaopiekował się syn. Kilkoro pozostałej służby także wyjechało, korzystając z niespodziewanych wakacji. Nie było zresztą powodów, żeby zostawać. Najbliższy krewny Fosca, daleki kuzyn, przebywał na urlopie na Costa Smeralda na Sardynii i nie miał się zjawić jeszcze przez co najmniej kilka dni. Poza tym nikt nie palił się, by zostać w miejscu, w którym tak przerażającą wizytę złożyła śmierć. Tak więc pozostawiono zamek, aby trwał w mroku i milczeniu.

Cisza nigdzie nie była głębsza niż w starożytnych przejściach, którymi podziurawiono skałę leżącą znacznie głębiej niż zamkowe

piwnice. Nawet szelest wiatru nie zakłócał spokoju zakurzonych grobów i kamiennych sarkofagów zapomnianych zmarłych.

Najgłębsze z tych przejść, wykute przez Etrusków w żywej skale przed ponad trzema tysiącami lat, schodziło w dół w czarne ciemności i prowadziło do biegnącego poziomo tunelu. Tunel kończył się ścianą z cegieł, przed którą leżało trochę rozrzuconych kości. Było ciemno, nawet z pochodnią nie dałoby się stwierdzić, że ścianę postawiono zaledwie nieco ponad czterdzieści godzin wcześniej, zamykając dostęp do starożytnego grobowca. Kości poprzedniego lokatora, nieznanego rycerza z Longobardii, zostały z niego wymiecione i porzucone w pyle.

Starożytny grobowiec za ceglana ścianą był akurat tej wielkości, by pomieścić człowieka. W jego wnętrzu panowała cisza. Panowała również tak zupełna ciemność, że nawet upływ czasu wydawał się zawieszony.

Ciszę zakłócił stłumiony dźwięk: słabe echo kroków.

Po nim rozległo się grzechotanie, jakby na ziemi postawiono torbę z narzędziami. Raz jeszcze na chwilę zapadła cisza. A potem pojawił się łatwy do rozpoznania odgłos: skrobanie żelaza o zaprawę, ostry stukot młotka o przecinak.

Uderzenia następowały powoli, miarowo, metodycznie jak tykanie zegara. Minęły minuty i dźwięk ustał. Znów cisza, a potem słaby odgłos skrobania, wydłubywania zaprawy spomiędzy cegieł, kilka ostrzejszych stuknięć - i nagle w grobowcu pojawiło się słabe światło, lśniąca szczelina, która tworzyła obramowanie prostokątnego kształtu cegły w górnej części ściany. Cegła wysuwała się z delikatnymi powolnymi zgrzytnięciami, milimetr po milimetrze.

Wreszcie zniknęła, a przez świeżo powstały otwór wpadło miękkie żółte światło, penetrując ciemność grobu.

Chwilę później w jarzącym się prostokącie pojawiło się dwoje oczu patrzących z ciekawością, może nawet niecierpliwością.

Dwoje oczu: jedno orzechowe, drugie niebieskie.

## OD AUTORÓW

Lincoln Child pragnie podziękować Bruce'owi Swansonowi, Markowi Mendelowi, Pat Allocco, Chrisowi i Susan Yangom, Jerry'emu i Terry Hylandom, dr. Anfhonyemu Cifellemu, dr. Normanowi San Agustin oraz dr. Lee Suckno za przyjaźń i pomoc. Agentowi specjalnemu Douglasowi Marginiemu jestem nieustannie wdzięczny za rady dotyczące organów ścigania oraz wymiaru sprawiedliwości w stanach Nowy Jork, New Jersey oraz na szczeblu federalnym. Jill Nowak dziękuję za wnikliwą lekturę tekstu. Bob Przybylski wielce się zasłużył, sprawdzając niektóre informacje na temat broni palnej. Jego eminencji Bobowi Diacheckowi dziękuję za lekturę i uwagi na temat rękopisu. Dziękuję mojej rodzinie, zarówno najbliższej, jak i dalszej, za to, że wytrzymuje z ekscentrycznym pisarzem. Szczególnie zaś mojej żonie Luchie oraz córce Veronice za miłość i wsparcie.

Douglas Preston jest niezmiernie zobowiązany Alessandro Lazziemmu za jakże uprzejme zaproszenie go, by przyjrzał się polowaniu na dziki zorganizowanemu na terenie posiadłości Lazziego w tokańskich Apeninach. Mario Speziemmu dziękuję za wiele użytecznych informacji na temat metod działania włoskich carabinieri i tamtejszych organów ścigania. Mario Alfiero chciałbym wyrazić wdzięczność za pomoc w zakresie dialektu neapolitańskiego. Niektóre sceny w powieści nie mogłyby powstać bez życzliwej

pomocy wielu osób: przede wszystkim rodziny Cappellini, właścicieli Castello di Verrazzano w Greve; rodziny Matta, właścicieli Castello Vicchiomaggio; mnichów z La Verny i Sacro Speco w Subiaco. Chciałbym też podziękować Niccolo Capponiemu za pomoc oraz naszemu tłumaczowi języka włoskiego Andrei Carlo Cappiemu za rady i wsparcie. Andrei Pinkettsowi podziękowania za użyczenie nam swojego znakomitego nazwiska. I na koniec raz jeszcze dziękuję mojej rodzinie, której nigdy nie będę w stanie podziękować w pełni: Isaacowi, Alethei, Selene i Christine.

Jak zwykle chcemy wyrazić wdzięczność osobom, dzięki którym mogą powstawać kolejne powieści tandemu Preston-Child: Jaime Levine'owi, Jamie Raabowi, Ericowi Simonoffowi, Eadie Klemm i Matthew Snyderowi.

Na zakończenie chcielibyśmy się odciąć od wszelkich błędnych interpretacji Pisma świętego przeprowadzonych przez Wayne'a P Bucka oraz od nieprawidłowego stosowania zasady złotej proporcji przez profesora von Mencka. Wszystkie wymienione w niniejszej powieści osoby, komendy policji, korporacje, instytucje, agencje rządowe oraz miejsca akcji w Ameryce i we Włoszech są fikcyjne albo zostały wykorzystane na prawach fikcji literackiej.